

# TAMI HOAG

## Z PROCHU POWSTAŁEŚ

Sensacyjne  
śledztwo  
w środowisku  
policyjnym

Świat Książki



TAMI HOAG

---

Z PROCHU POWSTAŁEŚ

Z angielskiego przełożył  
*Michał Madaliński*



  
Świat Książki

Dedykuję moim najlepszym przyjaciołom,  
którzy pomogli mi w biedzie:  
Bobowi, Betsy, Jessie  
i - jak zawsze - Divasom.

## **Podziękowania**

Autorka pragnie podziękować następującym osobom za pomoc i zachętę podczas pisania tej książki: emerytowanemu agentowi specjalnemu FBI, Larry'emu Brubakerowi; sierżantowi Markowi Lenzenowi z wydziału zabójstw policji Minneapolis; sierżantowi Mike'owi Carlsonowi z wydziału zabójstw policji Minneapolis; komisarzowi Thomasowi Redingowi ze Służby Wewnętrznej policji St. Paul; Robertowi Craisowi; Eileen Dreyer; Nicie Taublib; Beth de Guzman; Andrei Cirillo.

## Prolog

Zdumiewające, jak szybko to się dzieje. Jak mało czasu trzeba, by niewielka bieda zamieniła się w tragedię. Parę sekund. Mizerne sekundy bez powietrza, a mózg zaczyna się wyłączać. Brak czasu na walkę. Brak czasu nawet na strach.

Pętla zaciska się coraz mocniej, niczym wąż boa dławiący zdobycz. Myśli, które wybuchają pod czaszką, są bez znaczenia. „Rusz się! Chwyć się liny! Zaczerpnij powietrza!” Rozkazy więzną na szlakach nerwowych od mózgu ku mięśniom rąk. Koordynacja ruchów to już tylko wspomnienie.

Lina skrzypi pod ciężarem człowieka. Trzeszczy belka w suficie.

Ciało kołysze się to w jedną, to w drugą stronę. Ręce unoszą się i opadają rytmicznie, w upiornych skurczach, pomału jak na zwolnionym filmie. Marionetka w *danse macabre*: ręce w górę, ręce w dół; dłonie skręcają się na zewnątrz; palce prostują się i zaginają niczym szpony. Nogi próbują się podkurczyć, prężą się. Skurcz agonalny: oznaka nieodwracalnego uszkodzenia mózgu.

Przeraźliwy płas nie ma końca. Sekundy się wloką, taniec śmierci trwa. Minuta. Dwie. Cztery. Lina i belka skrzypią; poza tym - cisza. Oczy otwarte, lecz puste. Usta rozchylają się: po raz ostatni chcą zaczerpnąć powietrza; na próżno. I najgłębiej przesywający ułamek sekundy życia: ostatnie uderzenie serca.

A potem nic.

Wreszcie.

Błysk, ostatni wybuch jaskrawego, białego światła i scena zastyga w czasie - na zawsze.

- Durnia, co to wymyślił, należałoby powiesić za jaja - burknął Sam Kovac, usiłując wydłubać kawałek nikotynowej gumy do żucia z pogniecionego cynfoliowego opakowania.

- Co wymyślił? Gumę czy opakowanie? - spytała Nikki Liska.

- Jedno i drugie. Ta cholerna paczka nigdy nie daje się otworzyć. A w ogóle wolałbym żuć kocie gównu.

- Nie marudź, przecież to smakuje tak samo jak fajki.

Przeciskali się właśnie przez tłum kłębiący się w obszernym, bezbarwnym hallu. Jedni policjanci spieszyli na zewnątrz, na schody ratusza Minneapolis, żeby sobie zapalić, drudzy wracali z papieroska. Plątali się jacyś petenci, liczący w swej naiwności, że uzyskają coś w zamian za swoje dolary z podatków.

Popatrzył na nią wilkiem. Liska miała metr sześćdziesiąt pięć, jak się wyprostowała. Kovac doszedł do wniosku, że Bóg poskąpił jej wzrostu, bo gdyby była wysoka jak Janet Reno, to nic na świecie by się jej nie oparło. Była zawzięta, a pary miała od cholery.

- A ty niby skąd wiesz? - zapytał podejrzliwie.

- Mój eksmąż palił. Spróbuj kiedyś wylizać popielniczkę. Właśnie dlatego się z nim rozwiodłam, kapujesz. Nie dawałam rady całować z jęczyzkiem.

- Rany, Dzwonek, daruj sobie szczegóły.

Przeżywał ją „Dzwoneczek na Sterydach”. Nordyckie blond włosy przycięte w czuprynę a la Piotruś Pan, oczy błękitne niczym górskie jezioro w słoneczny dzień. Prawdziwie dziewczęca, a przy tym twarda jak stal. W hierarchii służbowej szła w górę jak burza - awansowała szybciej niż wielu jego kolegów. W wydziale zabójstw pojawiła się... rany, kiedy to było? - pięć, sześć lat temu? Pogubił się już. Sam siedział tu od niepamiętnych czasów. Nieraz wydawało mu się, że od urodzenia, całe czterdzieści cztery lata. W każdym razie na pewno więcej niż połowę dwudziestotrzyletniej służby. Jeszcze siedem, i na emeryturę. A jakże, odsłuży swoją trzydziestkę - i basta. Najpierw przez

dziesięć lat będzie odsypiał. Czasami zastanawiał się, dlaczego nie wycofał się już po dwudziestu latach. Został, bo nie bardzo miał się dokąd wycofać.

Liska prześlizgnęła się między dwoma mundurowymi o zdenerwowanych twarzach, stojącymi przed drzwiami biura numer 126 - Służba Wewnętrzna.

- Ale to jeszcze drobiazg - uparcie ciągnęła temat. - Bardziej mnie martwiło, gdzie wtyka kutasa.

Kovac skrzywił się, po czym wydał jęk bólu i niesmaku. Liska wyszczerzyła zęby ze złośliwą satysfakcją.

- Na imię jej było Brandi.

Biura wydziału dochodzeń kryminalnych były świeżo po remoncie. Ściany pomalowano na kolor zaschniętej krwi. Kovac nie bardzo wiedział, czy w ramach świadomej aluzji, czy po prostu dlatego, że był to modny kolor. Pewnie to drugie, bo poza tym wystrój wnętrza w najmniejszym stopniu nie nawiązywał do faktu, że mieli tu pracować policjanci. Ciasne, szare dwuosobowe boksy mogły równie dobrze mieścić gromadkę buchalterów. Wolał tamtą prowizoryczną siedzibę, w której się gnieździli podczas remontu: wysłużony pokój, zagracony wysłużonymi biurkami, pełen wysłużonych policjantów, którzy pod ostrym białym światłem jarzeniówek nabawiali się migreny. Zabójstwa upchnięte w jednej małej salce, faceci od napadów z bronią w ręku za ścianą, a przestępstwa na tle seksualnym w pakamerze pod schodami. To była atmosfera!

- Co tam z pobiciem Nixona?

Kovac stanął jak wryty. Mocniej wgryzł się w nicorette. Liska poszła dalej jakby nigdy nic.

Nowe biuro, nowy porucznik, nowe kłody pod nogi. Biuro szefa wydziału zabójstw wyposażono w ozdobne drzwi obrotowe. Gabinet był przystankiem ambitnych jednostek we wspinaczce po szczeblach służbowej drabiny. Dobrze chociaż, że ten nowy porucznik, Leonard, wrócił do systemu stałych roboczych zespołów partnerskich, bo jego poprzednik wydumał sobie jakiś bzdurny system rotacyjnych grafików zespołowych, przez co nikt nigdy nie mógł się wyspać.

To oczywiście wcale nie oznaczało, że nowy nie był kompletnym durniem.

- Pracujemy nad tym - odparł Kovac. - Elwood właśnie przymknął faceta, który, zdaje się, pasuje do zabójstwa Trumana.

Leonard się zaczerwienił. Na całej głowie miał krótkie si-wawe włosy, przypominające kaczy puch.

- A po co sobie zawracasz głowę zabójstwem Trumana?! Kiedy to było, do diabła? Tydzień temu? Od tamtej pory było do cholery i trochę nowych napadów!

Wróciła Liska ze służbową miną.

- Uważamy, że ten gość załatwił obu, Lou. I Nixona, i Trumana. Zdaje się, że ci z gangu Nation chcą, żeby Bloodsów nazywali Martwymi Prezydentami.

Kovac roześmiał się; zabrzmiało to jak coś pośredniego między chrząknięciem a szczekiem.

- Te głąby o żadnych prezydentach pojęcia nie mają.

Liska podniosła głowę.

- Elwood trzyma go w pokoju gościnnym. Chodźmy, zanim narozrabia.

Porucznik Leonard cofnął się o krok i zmarszczył brwi. Nie miał warg, a uszy odstawały mu od czaszki prostopadle, niczym u szympansa. Kovac przeżywał go Małpią Szychą. Wyglądał tak, jakby wyjaśnienie morderstwa mogło mu zepsuć dzień do wieczora.

- Nie przejmuj się - powiedział Kovac. - Pobić mamy pod dostatkiem.

Odwrócił się, zanim Leonard się zorientował, i pospieszył z Liską do pokoju przesłuchań.

- To ten gość ma związek ze sprawą Nixona? - spytał Kovac.

- Okaze się. Leonardowi się podobało - odparła Liska.

- Dureń! Ktoś go powinien wywlec na zewnątrz wydziału i pokazać tabliczkę na drzwiach. Tam jest ciągle napisane „Wydział zabójstw”, prawda?

- Tak mi się wydaje.

- A on chciałby zajmować się pobiciami.

- Pobicie dziś to zabójstwo jutro.

- Świetny slogan. W sam raz na tatuaż. Wiesz, na czym.



- Ale trzeba by mieć latarkę, żeby przeczytać. Kupię ci na Gwiazdkę, ucieszysz się z prezentu.

Liska otworzyła drzwi, Kovac wszedł pierwszy. Pokój przesłuchań miał rozmiary przestronnej szafy. Architekt wewnątrz określiłby go jako przytulny. Zgodnie z nowymi teoriami dotyczącymi metod przesłuchiwania mebli stół był mały i okrągły. Nie ma strony dominującej. Wszyscy są równi. Kumple. Przyjaciele. Sami swoi.

Nikt przy nim nie siedział.

Elwood Knutson stał w bliższym kącie i wyglądał jak niedźwiedź z kreskówek Disneya w czarnym filcowym meloniku. Jamal Jackson zajął przeciwległy kąt, obok zupełnie bezużytecznego, pustego regału w ścianie, pod zamontowaną kamerą wideo, wymaganą przez prawo stanu Minnesota, aby było wiadomo, że nie wymusza się tu zeznań biciem.

Postawa Jacksona była równie niechlujna jak jego ubiór. Dżinsy, które pasowałyby na Elwooda, wisiały mu na kościstym tyłku. Wielka puchowa kurtka w czarno-czerwonych kolorach gangu Nation wzdymała się na tułowi. Dolną wargę miał grubą niczym ogrodowy szlauch. Wysunął ją w stronę Kovaca.

- Chłopie, to dęta sprawa. Nikogo nie załatwiłem.

Kovac zrobił zdziwioną minę.

- Nie? Rany, musiała zająć pomyłka. - Odwrócił się do Elwooda i rozłożył ręce. - Elwood, przecież mówiłeś, że to zrobił. A on mówi, że nie.

- Musiałem się pomylić - odparł Elwood. - Panie Jackson, niech pan będzie łaskaw przyjąć wyrazy najgłębszego ubolewania.

- Odwieziemy pana radiowozem do domu - dodał Kovac. - I każemy, by po drodze w pańskiej dzielnicy ogłaszali przez megafony, że aresztowaliśmy pana niesłusznie. Że to była wielka pomyłka.

Jackson gapił się na niego, wargę unosiła się i opadała.

- Niech ogłoszą, że pan absolutnie nie ma nic wspólnego z zabójstwem Deona Trumana. Żeby nikt nie miał wątpliwości, o co chodzi. Nie chcemy, aby przez nas mówiono o panu złe rzeczy.

- Piernicz się, facet! - wrzasnął Jackson, a głos mu podskoczył o oktawę. - Chcecie, żeby mnie wykończyli?

Kovac roześmiał się.

- Zaraz. Przecież powiedziałeś, że nic nie zrobiłeś. No to odsyłamy cię do domu.

- A moi pomyślą, że sypnąłem. I wsadzą kosę pod żebro jak nic.

Jackson zrobił kilka kroków, potrząsając warkoczykami, które sterczały mu na głowie we wszystkie strony. Ręce miał skute przed sobą. Zerknął na Kovaca.

- Wsadzisz mnie do pierdła, skurwielu.

- Nie da rady. Mimo że tak ładnie prosisz. Niestety.

- Przecież jestem aresztowany - upierał się Jamal.

- Skoro nic nie zrobiłeś, nie da rady.

- Mnóstwo zrobiłem.

- Więc się przyznajesz? - wtrąciła Liska.

Jackson popatrzył na nią podejrzliwie.

- A to kto, do jasnej cholery, twoja laska?

- Proszę nie obrażać damy - obruszył się Kovac. - Twierdzisz więc, że kropnąłeś Deona Trumana.

- W życiu.

- No to kto?

- Gównu ci powiem.

- Elwood, zadbaj, żeby go z pompą odwieziono do domu.

- Przecież jestem aresztowany!

- Piernicz się! Więzienia są przepełnione. To nie jakiś cholerny hotel. Pod jakim zarzutem go przyskrzyniłeś, Elwood?

- Kręcił się podejrzenie.

- Drobiazg, darujemy mu.

- Kurwa! - wrzasnął rozjuszony Jackson. Wytknął na Elwooda oba wskazujące palce. - Widziałeś mnie, jak sprzedawałem *crack*! Tu, na rogu Chicago i Dwudziestej Szóstej.

- Miał przy sobie *crack*, kiedy go zatrzymałeś? - spytał Kovac.

- Nie. Miał za to fajkę.

- Wywaliłem towar!

- Posiadanie akcesoriów narkotykowych - stwierdziła Liska beznamiętnie. - Też mi coś. Wypuście go, szkoda naszego czasu.

- Pieprz się, dziwko! - Jamal zatoczył się w jej kierunku. - Nawet bym ci nie dał obciągnąć fiuta.

- Raczej wykułabym sobie oczy zardzewiałym gwoździem. - Liska ruszyła, wwiercając weń błękitne spojrzenie niczym parę lodowatych laserowych promieni. - Lepiej trzymaj kutasa w portkach, Jamal. Jeśli dożyjesz, może znajdziesz sobie jakiegoś miłego kumpla w więzieniu, który ci to zrobi.

- Przecież on nie idzie do żadnego więzienia - oświadczył Kovac ze zniecierpliwieniem. - Kończmy. Mam dziś imprezę.

Jackson rzucił się przed siebie w chwili, gdy Kovac odwracał się do wyjścia. Udało mu się wyrwać jedną z luźnych półek z regału i zamachnął się na Kovaca od tyłu. Elwood poderwał się, zaklął ordynarnie i skoczył, ale za późno. Kovac obejrzał się w samą porę, aby oberwać kantem nad brwią. Trysnęła krew.

- Cholera!

- Niech to szlag!

Kovac osunął się na kolana, pole widzenia przesłoniła mu pajęczyna czerni. Podłoga ugięła się, jakby była z gumy. Elwood chwycił Jacksona za nadgarstki, szarpnął mu rękę do góry, półka pofrunęła i rogiem wybiła dziurę w świeżo odnowionej ścianie.

Potem Jackson krzyknął i nagle zaczął się przewracać, lewe kolano jakby się pod nim załamało. Padając, wrzasnął ponownie. Elwood odskoczył z szeroko otwartymi oczyma. Zza Jacksona wyłoniła się Liska i kolaniem przygniotła mu plecy. Twarzą uderzył w podłogę.

Drzwi się otworzyły i wpadło z tuzin funkcjonariuszy z wyciągniętymi pistoletami. Liska uniosła w górę czarną składaną pałkę i z niewinnie zdziwioną miną powiedziała:

- Jejku, zobaczcie, co znalazłam w kieszeni swojej kurtki! Następnie nachyliła się do ucha Jamala Jacksona i uwodzicielsko wyszeptwała:

- Wygląda na to, że spełni się twoje życzenie, Jamal. Jesteś zatrzymany.

- Wyglądasz z tym jakoś tak pedałowato.

- Czy to oficjalne stanowisko zwierzchnictwa, Tippen?

- Dzwonek, miałbym ochotę ci przypieprzyć.

- To pobożne życzenie czy zwykłe „nie”?

Wokół stołu zahuczało od śmiechu; chropowatego, twardego śmiechu ludzi, którzy na co dzień mają do czynienia z życiem od parszywej strony. Dowcip policyjny jest szorstki i złośliwy, bo świat, w którym żyją policjanci, to miejsce surowe i brutalne. Nie mają czasu ani cierpliwości na finezyjne pointy w stylu Noela Cowarda.

Zagarnęli sobie ulubiony przez wszystkich stolik w kącie pubu „U Patryka”. Wbrew pozorom właściciel nie był Irlandczykiem, lecz Szwedem i prawdopodobnie wcale nie miał na imię Patryk. Bar, ulokowany strategicznie pośrodku między Komisariatem Policji Miejskiej Minneapolis a siedzibą szeryfa hrabstwa Hennepin, w dni powszednie tak wypełniał się funkcjonariuszami obu instytucji, że nie dałoby się wetknąć szpilki. Przychodzili gliniarze z dziennej zmiany, aby się wyciszyć i podchmielić przed życiem po służbie; policyjni emeryci, którzy, jak się okazało, nie umieli znaleźć wspólnego języka z przedstawicielami normalnej reszty rodzaju ludzkiego; faceci na popołudniowej i nocnej służbie, którzy chcieli wrzucić coś na ruszt, pogadać z kumplem, zabić czas przed wyruszeniem w obchód.

Dziś jednak nie był zwykły, powszedni dzień. W codziennym tłumie znaleźli się miejsca notable, policyjne wyższe szarże i żurnaliści. Niemile widziani goście; ich obecność wzmagała napięcie; coś wisiało w powietrzu i tak już gęstym od dymu i gwaru. Ekipa telewizyjna jednej ze stacji lokalnych instalowała się przy frontowym oknie.

- Trzeba było zażądać prawdziwych szwów. Jak za dawnych, dobrych czasów - ciągnął Tippen.

Strząsnął popiół, podniósł papierosa do ust, zaciągnął się głęboko i popatrzył uważnie na ekipę operatorską. Jego twarz przypominała pysk irlandzkiego charta: wydłużona, ale sympatyczna, o krzaczastych szpakowatych wąsach i wściekle inteligentnych ciemnych oczach. Był detektywem w urzędzie szeryfa, z ramienia tej instytucji wszedł do wspólnej z policją miejską specjalnej ekipy, którą powołano do śledztwa w sprawie morderstw Krematora, trochę ponad rok temu. Niektórzy członkowie ekipy zaprzyjaźnili się ze sobą i robili właśnie to: spotykali się w barze, żeby wypić razem jednego, pogadać i złośliwie z siebie nawzajem pożartować.

- Toby mu została wielka szrama, jak u Frankensteina - powiedziała Liska. - A tak, dzięki plastrowi, będzie miał śliczną, wąską bliznę; niejedna kobieta na to poleci.

- Chyba sadystka - skomentował Elwood.

Tippen ściągnął wargi.

- A w ogóle są inne?

- Jasne. Te, które lecą na ciebie - Liska nie pozostawała dłużna. - Masochistki.

Tippen rzucił w nią kukurydzianą chrupką.

Kovac przyjrzał się sobie badawczo w lusterku Liski. Rozcięcie na czole opatrzyła mu przepracowana lekarka na ostrym dyżurze w samorządowym Ośrodku Opieki Zdrowotnej hrabstwa Hennepin, gdzie regularnie opatrywano - albo pakowano w czarne torby - ofiary porachunków ulicznych gangów. Czuł się niezręcznie, że przychodzi nie z raną postrzałową, lecz z czymś tak trywialnym, a młoda kobieta dawała do zrozumienia swoim zachowaniem, że każdy zabieg mniej poważny niż wydobywanie pocisku jest poniżej jej godności. Flirt nie wchodził w grę.

Ocecił uszczerbek krytycznym okiem. Miał kwadratową twarz, pociętą zmarszczkami, parę blizn, skrzywiony orli nos, który dobrze pasował do skrzywionego, drwiącego uśmiechu, czającego się nieustannie pod obowiązkowym policyjnym wąsikiem. Włosy miał raczej szpakowate niż kasztanowe. Sterczały na wszystkie strony, co zapewne wiązało się z faktem, że stary fryzjer, Norweg, do którego chodził raz na miesiąc, brał za strzyżenie jedynie dziesięć dolców.



Nie nazwałby siebie przystojnym, przynajmniej w żurnalowym rozumieniu tego słowa, kobiety jednak nie uciekały przed nim, w każdym razie nie z powodu jego urody. Jedna bliźna mniej lub więcej - nie powinno mieć znaczenia.

Liska zerknęła znad piwa.

- Dodaje ci klasy, Sam.

- Klasy mam dość, a głowa mnie przez to boli - mruknął, oddając jej lusterko.

- Pocałowałabym cię, żeby nie bolało, ale przecież już połamałam nogi gościowi, który ci to zrobił, więc chyba zrobiłam, co do mnie należy.

- A ja się dziwiłem, dlaczego nie możesz sobie znaleźć chłopca - wtrącił Tippen.

Liska posłała mu całusa.

- Słuchaj, na brak chętnych nie narzekam. Ty za to możesz sobie pomarzyć.

Otworzyły się drzwi, z ulicy wtargnęło chłodne powietrze i kolejna grupa klientów. Wszyscy obecni wyprostowali się czujnie, napięcie podskoczyło o jeszcze jeden stopień. Zwierali szeregi w obliczu obcych.

- Człowiek, który jest na ustach wszystkich - mruknął Elwood. Reszta też rozpoznała gościa. - Ostatni raz przed wniebowzięciem pospolituje się z motłochem.

Kovac się nie odezwał. W drzwiach stał Ace Wyatt, ubrany w dwurzędową jesionkę z wielbłądziej wełny. Wyglądał jak Kapitan Ameryka, pan i władca. Mocna szczęka, olśniewający uśmiech, fryzura prezentera telewizyjnego. W salonie fryzjerskim dał dziesięć dolców samego napiwku, a w prezencie od firmy dziewczyna od mycia głów obciągnęła mu laskę.

- Ma makijaż? - zapytał Tippen scenicznym szeptem. - Słyszałem, że maluje sobie rzęsy.

- Jak człowiek wybiera się do Hollywood, to musi - wyjaśnił Elwood.

- Zniosłabym takie upokorzenie - wtrąciła Liska drwiąco. - Wiecie, jaki szmal dostanie za ten program?

Tippen zaciągnął się głęboko i wypuścił kłęb dymu. Kovac przez chmurę popatrzył na kapitana Ace'a Wyatta. Jakiś czas pracowali razem. Kiedy to było? Wieki temu. Przeniósł się wówczas z wydziału rabunków do zabójstw. Wyatt już wtedy piął się na szczyty, już wtedy był żywą legendą; przygotowywał sobie miejsce na świeczniku i rozgłos

gwiazdy. W wydziale szło mu nieźle, potem wcisnął się do telewizji. Prowadził lokalny program poświęcony przestępczości, takie skrzyżowanie „997” z reklamówką; szefostwo wydziału dochodzeń kryminalnych jednak sobie zatrzymał. *Pora zbrodni* właśnie teraz miała wejść na antenę ogólnokrajową.

- Nie znoszę tego gościa.

Kovac sięgnął po whisky, której nie należało mieszać ze środkami przeciwbólowymi, i wlał sobie do gardła spory łyk.

- Zazdrościmy? - wetknęła szpileczkę Liska.

- Niby czego? Że kutas z niego?

- Kojak, nie bądź taki skromny. Z ciebie też niezgorszy.

Kovac mruknął gardłowo, nagle zapragnął stąd uciec, byle gdzie. Po co tu przylazł, do diabła? Miał dobrą wymówkę, żeby iść do domu: podejrzenie wstrząsu mózgu. Tyle że po cholerę iść do domu: puste mieszkanie z pustym akwariem w dużym pokoju. Rybki wyzdychały z głodu, kiedy pracował, non stop ileś dni przy sprawie Krematora. Nie miał czasu kupić nowych.

Siedzenie na przyjęciu na cześć Ace'a Wyatta zakrawało na masochizm taki jak tych kobitek, co lecą na Tippena. Wypił do reszty. Jak tylko orszak Wyatta zwolni drzwi, będzie mógł się przepchnąć przez tłum i wyslizgnąć na ulicę. Może pójdzie do tego baru, gdzie przesiadują chłopcy z V Komisariatu Dzielnicowego. Oni Wyatta mają gdzieś.

Już miał wyjść, gdy Wyatt go zauważył i ruszył ku niemu, błyskając oślepiającym uśmiechem; za nim podążało grono wielbicieli, nie odstępując go ani na krok. Przeciskał się przez tłum, dotykając dłoni i ramion, niczym papież udzielający błogosławieństw.

- Kojak, stary byku! - krzyknął donośnie. Chwycił dłoń Sama w potężny uścisk.

Wstając z krzesła, Kovac miał wrażenie, że podłoga zakołysała mu się pod stopami. Zapewne skutkiem tamtego bliskiego spotkania z deską albo w wyniku połączonego działania leków i gorzały; z pewnością zaś nie dlatego, że bohater zwrócił na niego uwagę. I jeszcze drań mówi na niego Kojak! Nie znosił tego przezwiska. Ci, którzy znali Sama, zwracali się tak do niego tylko wtedy, gdy chcieli go zdenerwować.

Z orszaku podszedł do niego jeden z polaroidem i błysnął w oczy fleszem.

- Do księgi pamiątkowej - powiedział dworak, trzydziestoparoletni ulizany brunet o kobaltowych oczach i urodzie w sam raz na okładkę ilustrowanego magazynu. Pasowałby na amanta w mydlanej operze.

- Słyszałem, że znów za sprawę oberwałeś w łeb! - ryknął Wyatt i wyszczerzył zęby.  
- Człowieku, idź na emeryturę, póki jeszcze ci go całkiem nie rozwalili!

- Cześć, Cwaniak! Jeszcze siedem lat - odparł Kovac. -A ci z Hollywood jakoś się o mnie nie dobijają. Przy okazji winszuję.

- Dzięki. Antena ogólnokrajowa pozwoli zwiększyć oddziaływanie.

I poprawi Ace'owi Wyattowi stan konta bankowego - pomyślał Kovac, ale się nie odezwał. Niech to szlag trafi. Nie tęskni za garniturami modnych projektantów ani za mani-kiurem co tydzień. Jest po prostu gliną. I nikim innym nigdy nie chciał być. Ace Wyatt zawsze chciał więcej, lepiej, wyżej, szybciej; chciał zrobić karierę - i zawsze mu się udawało.

- Cieszę się, że przyszedłeś na moje przyjęcie, Sam.

- Jak mógłbym przepuścić darmową wyzerkę i gorzałę! W końcu jestem gliniarzem.

Wyatt tymczasem już rozglądał się za jakąś ważniejszą dłońią do uściśnięcia. Przystojniaczek z jego świty złapał go za rękaw i zwrócił uwagę na kamery telewizji. Uśmiech Wyatta rozjarzył się o parę setek watów.

Liska poderwała się z krzesła jak pajacyk i wyciągnęła rękę, nim Wyatt zdążył odejść.

- Kapitanie Wyatt, jestem Nikki Liska, wydział zabójstw. Miło mi pana poznać. Bardzo cenię pański program.

Kovac zerknął na nią ze zdziwieniem.

- Moja partnerka. Blondynka z ambicjami.

- Ty to masz szczęście - rzucił Wyatt tonem męskiej solidarności.

Liska zacisnęła szczęki, jakby przelykała coś niesmacznego.

- Uważam, że pańska koncepcja wykorzystania telewizji i Internetu do wzmocnienia więzi między społeczeństwem a policją to rewelacyjny pomysł.

Wyatt chłonał pochwały jak gąbka.

- Ameryka to społeczeństwo multimedialne - powiedział podniesionym głosem, widząc w pobliżu reporterkę telewizyjną z mikrofonem. Odwrócił się twarzą do kamery i pochylił, chcąc usłyszeć pytanie dziennikarki.

Na pełne dezaprobaty spojrzenie Kovaca Liska odparła:

- Słuchaj, może da mi posadę. Mogłabym być jego konsultantką. - Uśmiechnęła się psotnie. - To byłaby dla mnie odskocznia do ról u boku Mela Gibsona.

- Idę do kibla.

Kovac przepchnął się przez tłumy, które ściągnęły, by opychać się na koszt Ace'a Wyatta chrupiącymi, pikantnymi skrzydełkami i kostkami smażonego sera i żłopać gorzałkę. Połowa przybyłych nie tylko nie pracowała nigdy z Wyattem, ale nawet nie знаła go osobiście; nie przeszkadzało im to jednak ochoczo uczestniczyć w uroczystości pożegnalnej. Wzięliby udział nawet w urodzinach diabła, gdyby można się było na nich najeść i napić za darmo.

Stanął pod ścianą od strony zaplecza i zlustrował scenę, której surrealizm podkreślały bożonarodzeniowe dekoracje połyskujące w telewizyjnych jupiterach. Morze ludzi - większość twarzy znał - a mimo to czuł się przeraźliwie samotny. Pusty. Pora się urządzić na serio albo iść do domu.

Liska kręciła się koło ekipy Wyatta, najwyraźniej próbowała się zaprzyjaźnić z głównym totumfackim. Wyatt właśnie potrząsał dłonią eleganckiej, poważnej blondynki, która mgliście wydawała się Kovacowi znajoma. Wyatt obejmował ją lewą ręką za ramię i szeptał coś do ucha. El wood miał spustoszenie w barze. Tippen usiłował flirtować z kelnerką, ale ta zrobiła minę, jakby właśnie w coś wdepnęła.

Nawet nie zauważają, kiedy wyjdzie. I nie będzie im go brakowało.

„Gdzie jest Kovac? Poszedł? Podaj orzeszki do piwa”.

Ruszył ku drzwiom.

- Byłeś najlepszym gliną w całym tym bajzlu! - ryknął zapity głos. - A jeśli ktoś jest innego zdania, będzie miał ze mną do czynienia! No, kto się odważy?! Za Ace'a Wyatta oddam nogi!

Pijak, starszy mężczyzna, siedział w wózku inwalidzkim, który chwiało się niebezpiecznie na górnym z trzech niskich stopni wiodących do głównego baru, gdzie przebywał Wyatt. Jego nogi, które tak ochoczo chciał oddać, były bezużyteczne od dwudziestu lat. Zostały z nich patykowate kości, mięśnie dotknęła atrofia. Za to twarz była pełna i rumiana, a tułów pękaty jak baryłka.

Kovac pokręcił głową i zrobił krok w stronę wózka, chcąc zwrócić na siebie uwagę mężczyzny.

- Cześć, Mikey! Nikt się z tobą nie spiera - powiedział.

Mike Fallon spojrział, najwyraźniej nie poznając. Jego oczy lśniły od łez.

- Jest bohaterem, do cholery! Nie próbuj zaprzeczać! - wyrzucił ze złością. Zamaszyście wyciągnął rękę w stronę Wyatta. - Kocham tego faceta! Kocham jak własnego syna!

Na ostatnim słowie głos się staremu człowiekowi załamał, a twarz wykrzywił wewnętrzny ból, na który nie miała wpływu znaczna ilość whisky, wypita w ciągu ostatnich paru godzin.

Telewizyjny uśmiech znikł, gdy Wyatt ruszył w kierunku Mike'a Fallona. W tej samej chwili Fallon chwycił za obręcz koła. Kovac rzucił się ku niemu, lecz wpadł na jakiegoś innego pijanego.

Wózek przechylił się i spadł ze stopnia, wyrzucając pasażera. Mike runął na posadzkę jak worek kartofli.

Odepchnąwszy zawali drogę, Kovac zbiegł po schodkach. Tłum się rozstał. Wyatt stał zastygły z zaskoczenia trzy metry dalej, ze zmarszczonym czołem, i patrzył na Mike'a Fallona.

Kovac przyklęknął.

- Hej, Mikey, podnosimy się. Że też nigdy nie usiedzisz na tyłku!

Ktoś postawił wózek. Mike przeturlał się na wznak i podjął rozpaczliwą próbę podniesienia się, rzucając się przy tym jak foka na brzegu. Łzy ciekły mu po policzkach. Facet, którego Kovac znał ze sprawy o rabunek, wziął leżącego pod pachę z jednej strony, Kovac z drugiej i obaj usadowili go na wózku.



Ludzie naokoło odwracali się, zażenowani. Fallon zwiesił głowę, bezgranicznie upokorzony. Kovac też wolałby na to nie patrzeć.

Poznał Mike'a Fallona pierwszego dnia pracy w policji. W tamtych czasach każdy „krawężnik” w Minneapolis znał Żelaznego Mike'a. Wzorowali się na nim i słuchali jego rozkazów. A wielu z nich płakało jak dzieci, gdy Mike Fallon został inwalidą. Widzieć go teraz w takim upodleniu było czymś ponad siły.

Kovac ukląkł przy wózku i położył Fallonowi rękę na ramieniu.

- Już dobrze, Mike. Na dzisiaj dość. Odwiozę cię do domu.

- Nic ci się nie stało, Mike? - zapytał drewnianym głosem Ace Wyatt, który zdecydował się wreszcie podejść.

Fallon wyciągnął do niego trzęsącą się dłoń, ale nie potrafił się zmusić, by popatrzeć mu w oczy, nawet wtedy, gdy Wyatt uścisnął podaną rękę. Głos miał napięty, szorstki.

- Kocham cię jak brata, Ace. Jak syna. Nie da się powiedzieć...

- Nie musisz nic mówić, Mike. Nie.

- Przepraszam, przepraszam - mamrotał Mike. Podniósł wolną rękę i zasłonił sobie twarz. Lepka nić śluzu pociekła mu z nosa na brzuch. Miał mokre od moczu spodnie.

Kątem oka Kovac zauważył, że dziennikarze skradają się niczym sępy.

- Zabiorę go do domu - powiedział do Wyatta, podnosząc się z klęczek.

Wyatt gapił się na Mike'a Fallona.

- Dzięki, Sam - mruknął. - Dobry człowiek z ciebie.

- Palant ze mnie. Ale nie mam nic innego do roboty.

Blondynka gdzieś znikła, za to brunetka z telewizji znów zaczęła przysuwać się do Wyatta.

- Czy to Mike Fallon? Ten Fallon ze sprawy zabójstwa Thorne'a z lat siedemdziesiątych?

Czarnowłosy amant pojawił się niczym diabeł z pudełka, powiedział reporterce coś poważnego na ucho i ona się wycofała.

Wyatt wziął się w garść i odwrócił, odprawiając dziennikarzy z dezaprobatą.

- Mały wypadek, moi drodzy. Chodźmy dalej.

Kovac popatrzył na mężczyznę, który łkał w wózku inwalidzkim.

„Chodźmy dalej”.

## 2

- No tak, już wiem, po co wzięłam dziś wolny wieczór - powiedziała Liska. - Po to, żeby odwozić pijaka do domu. Jakbym miała tego nie dość na służbie.

- Nie zrzedź! - rozkazał Kovac. - Mogłaś odmówić, partnerko.

- Jasne. I wyjść na jednostkę społeczną w oczach bohatera mediów. Mam nadzieję, że zwrócił uwagę na moją skłonność do poświęceń i przypomni sobie o tym, kiedy uderzę do niego, żeby mi dał robotę przy tym swoim programie - ironizowała.

- Wydawało mi się, że liczyłaś jeszcze na coś prócz pracy, przynajmniej u jego asystenta.

Liska, powstrzymując śmiech, dała mu kuksańca.

- Coś ty! Za kogo ty mnie masz?

- Miałby szansę? Oto jest pytanie.

- Nic by nie wskórał.

- Wcale nie próbował. W tym sęk.

Liska udała obrażoną.

- Bo to na pewno pedał.

- Jasne.

Minęli w milczeniu parę ulic, wycieraczki zgarniały z przedniej szyby mokry śnieg. Mike Fallon tkwił w kącie na tylnym siedzeniu, śmierdział moczem i chrapał.

- Pracowaliście razem? - Liska wskazała głową pasażera.

- Kiedy przyszedłem do policji, Żelazny Mike był na ustach wszystkich. Zawsze na czele. „Tak trzeba” - mawiał. Policjant taki właśnie ma być. I tacy dostają kulkę w krzyż. Nie te zasrane lenie, które latami nie ruszają się z za biurka.

- niesprawiedliwość losu.

- Ale dopadł tego drania, który go postrzelił.

- To była sprawa zabójstwa Thorne'a.

- Pamiętasz?

- Byłam jeszcze dzieckiem, staruchu.

- Dwadzieścia lat temu? - parsknęła drwiąco. - Ty się już dawałaś wtedy obmacywać kapitanowi szkolnej drużyny futbolowej.

- Bocznemu obrońcy - odpaliła. - I powiem ci, nie na darmo nazywali go „złota rączka”.

- Rany! - jęknął Kovac, chociaż kącik ust drgał mu od tłumionego chichotu. - Dzwonek, ty tylko o jednym.

- Ktoś ci musi poprawiać humor. Tylko byś się pławił w smutkach.

- I kto to mówi!

- Więc jak to było z tą sprawą Thorne'a?

- Bili Thorne był gliną. Starym wyjadaczem. Nie znałem go. Byłem wtedy nowy. Mieszkał koło starej szkoły West High, sporo glin mieszkało wtedy w tamtej okolicy. Mike patrolował raz dzielnicę, zauważył coś podejrzanego w domu Thorne'a. Zadzwoił, potem wszedł do środka.

- Powinien był poczekać na wsparcie.

- Owszem. Gruby błąd. Ale samochód Thorne'a stał na miejscu. To była dzielnica zamieszkała przez policjantów. Tak czy owak, kręcił się wtedy po okolicy jeden typek; najmował się do dorywczych robót po domach. Źle mu z oczu patrzyło. Thorne chciał go przepędzić, ale żonie zrobiło się go żal. Przyjęła go do mycia okien. Wyszło na to, że Thorne miał rację - łobuz okradł mu dom i zgwałcił żonę.

Właśnie tego wieczoru Thorne miał nocną służbę, ale wstąpił na chwilę do domu, bo czegoś zapomniał. Tamten drań znalazł pistolet i go zastrzelił.

Wtedy pojawił się Mike. Bandyta wycelował do niego. Mike otworzył ogień. Dopadł gościa, ale został trafiony. Ace Wyatt mieszkał wtedy naprzeciwko. W którymś momencie żona Thorne'a zadzwoniła do niego, cała w hysterii. Przybiegł i udzielił Mike'owi pierwszej pomocy, póki nie przyjechała karetka. Uratował mu życie.

- To wyjaśnia dzisiejsze zachowanie Mike'a.

- Tak. - Kovac zamyślił się smutno. - Przynajmniej częściowo.

Drogę, jaką przebył Fallon od Żelaznego Mike'a, bohatera, do starego Mike'a, żalostnego alkoholika, przebywało wielu. Ta profesja obfitowała w smutne historie i jeszcze smutniejszych pijaków.

Podjechali pod dom Fallona. Pasażer na tylnym siedzeniu pochylił się i zwymiotował na podłogę.

Kovac jęknął i oparł się czołem o kierownicę.

Liska otworzyła drzwiczki po swojej stronie.

- Żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary. Nie sprzątam tego, partnerze.

Z zewnątrz dom wyglądał na mały i schludny, tak samo jak pozostałe domki w okolicy. W środku było zupełnie inaczej. Żona Fallona zmarła wiele lat temu. Na raka. Mike mieszkał sam. Wnętrze cuchnęło starym człowiekiem oraz smażoną cebulą.

Pomieszczenia były pustawe, umeblowanie skromne - żeby ułatwić poruszanie się na wózku. Dziwna mieszanina staroci z nowoczesnością. Środek salonu zajmował rehabilitacyjny fotel-leżanka z urządzeniem do masażu, ustawiony na wprost kolorowego telewizora z trzydziestojednocalowym ekranem. Obok stała sofa, zabytek z lat siedemdziesiątych. Pokój stołowy sprawiał wrażenie, jakby nie używano go od dwóch dziesięcioleci, i prawdopodobnie nie zmieniło się w nim nic, odkąd go zostawiła pani Fallon - jeśli nie liczyć butelek po alkoholach na stole.

Mażeńskie łóżko wypełniało małą sypialnię niemal bez reszty. Z jednej strony piętrzyły się na nim stosy ciuchów, na drugiej połowie leżała skłębiona pościel. Z kosza na bieliznę wylewały się brudy. Na stoliku nocnym stała butelka burbona, obok niej musztardówka. Na komodzie po drugiej stronie łóżka, należącej niegdyś do małżonki gospodarza, stały rodzinne zdjęcia, część z nich odwrócona do ściany.

- Przepraszam, przepraszam - mamrotał Mike do Kovaca, który zabrał się do układania go w łóżku.

Liska pozbierała zdjęte ubranie, krzywiąc się, ale bez narzekania.

- Nie przejmuj się, Mike. Każdemu może się przytrafić - uspokajał Kovac.

- O rany! Zeszczalełem się.

- Nie ma sprawy.



- Przepraszam. Gdzie pracujesz, Sam?

- Wydział zabójstw.

Fallon zaśmiał się słabo, z pijackim szyderstwem.

- Pieprzony karierowicz. Za dobry na mundurowego.

Kovac westchnął ciężko, wyprostował się. Jego wzrok padł na zdjęcia po drugiej stronie. Fallon miał dwóch synów. Młodszy, Andy, też był policjantem. Przez jakiś czas pracował w wydziale rabunków. Podeszedłszy do komody, Kovac przekonał się, że to właśnie fotografie Andy'ego stały odwrócone do ściany.

Ładny chłopak. Wysportowany, przystojny. Na jednym ze zdjęć znalazł się w stroju baseballowym. I zbudowany był jak baseballista: krępy, o kociej zręczności. Inna fotografia przedstawiała go w mundurze policyjnym, w czasie rozdawania dyplomów akademii. Radość i duma Mike'a Fallona, dziedzic rodzinnej tradycji.

- Jak leci Andy'emu?

- Nie żyje - mruknął Fallon.

Kovac prawie podskoczył.

- Co?!

Fallon odwrócił twarz. W świetle nocnej lampki wyglądał mizernie, skórę miał bladą i pomarszczoną jak pergamin.

- Dla mnie umarł - dodał cicho. Potem zamknął oczy i zapadł w sen.

Smutek i bezapelacyjność, które zabrzmiały w słowach Mike'a Fallona, nie dawały Kovacowi spokoju przez całą drogę do „Patryka”, dokąd odwiózł Lisę, żeby wykorzystła jeszcze końcówkę przyjęcia. Wysadził ją na chodniku i pojechał dalej, pustymi bocznymi uliczkami, pokrywającymi się coraz grubszą warstwą śniegu, aż dotarł do nienowego już osiedla domków, gdzie mieszkał.

Przy głównej alei rosły stare drzewa, ich korzenie powypychały miejscami asfalt, spękany jak w Los Angeles od trzęsień ziemi. Domy stały stłoczone, jeden przy drugim. Były i większe, wielorodzinne, i całkiem małe. Jedną stronę ulicy zastawiała zbieranina samochodów, druga była wolna dla służb odśnieżania.

Dom sąsiadów Kovaca udekorowany był na święta do ostatecznych granic. Wyglądał, jakby miał się zawalić pod ciężarem kolorowych lampek. Na dachu zamontowano plastikowego Mikołaja i sanie z reniferem. Drugi Mikołaj włąził do komina. Trzeci stał na trawniku i przyglądał się z zadumą dwu pozostałym, a pół metra dalej Trzej Królowie szli złożyć pokłon Dzieciątku w żłobku. Cały ogródek oświetlały reflektory.

Kovac poczłapał do domu i otworzył drzwi. Nie musiał zapalać światła, sąsiedzi oświetlali i jego posesję. Jego dom pod jednym względem przypominał dom Mike'a Fallona - niewiele tu było mebli. Po ostatnim rozwodzie zostało mu tylko parę rupieci, ale nie chciało mu się ani wymieniać, ani uzupełniać wyposażenia. Sam był rupieciem, więc pasował tutaj. Jego jedynym zamiłowaniem stało się akwarium. Żalosa próba wprowadzenia do domu jakiejś żywej istoty.

Nie było fotografii rodzinnych. Dwa nieudane małżeństwa, raczej nie ma się czym chwalić. Pozostało po nich mnóstwo złych wspomnień i córka, którą ostatni raz widział jako niemowlę. Chyba w jakimś sensie umarła dla niego. A raczej nigdy nie istniała. Po rozwodzie jej matka wyszła ponownie za mąż z zawstydzającym pośpiechem i cała nowa rodzina wyprowadziła się do Seattle. Kovac nie miał więc okazji obserwować, jak jego córka dorasta, uprawia sporty; nie wiedział, czy chce iść w jego ślady jako stróż prawa. Wyćwiczył się w niemyśleniu o straconych szansach... przynajmniej w stopniu, w jakim się dało.

Poszedł na górę do sypialni, ale nie miał ochoty na łóżko. W głowie łupało mu cały czas. Usiadł przy oknie i wpatrywał się w jarmarczną iluminację u sąsiadów.

„Dla mnie umarł” - powiedział Mike Fallon o synu.

Dlaczego człowiek mówi coś takiego o dziecku, które przecież było dumą jego życia? Dlaczego odrzuca jedną z bliskich osób, jakich niewiele mu pozostało?

Kovac wygrzebał z kieszeni gumę „Nicorette” i wyrzucił do kosza na śmieci, sięgnął do szuflady nocnej szafki i wyciągnął na wpół opróżnioną paczkę salemów.

A kto mu zabroni?

### 3

Zdjęcie wyglądało nienaturalnie. Przeciętny człowiek, spojrzawszy na nie, wzdrygnąłby się wprawdzie z przerażenia, lecz zaraz uznał, że to jakiś makabryczny żart.

Fotograf nie jest jednak przeciętnym człowiekiem.

Przygląda się portretowi okiem artysty. Owszem, wpierv jest wstrząs, lecz od razu potem przychodzi dziwna mieszanka uczuć: zgroza, fascynacja, ulga, poczucie winy. A pod tą warstwą kolejne emocje, z ciemniejszego wymiaru: jakieś podniecenie... poczucie władzy... potęgi. Uczucia, które budzą lęk, obrzydzenie.

Odbieranie życia jest czymś potężnym. Odebrać komuś życie to znaczy wziąć energię drugiej żywej istoty i wzmocnić tą energią własną siłę życiową. Zło tego pomysłu jest uwodzicielskie. Dla niektórych odbieranie życia może stać się nałogiem. Tacy zabijają dla zabawy.

„Nie, to nie ja. To mnie nie dotyczy. Nigdy”.

Mimo tych zapewnień wspomnienia innej śmierci migają klatka po klatce: przemoc, ruch, krew, hałas w uszach, ogłuszający wewnętrzny krzyk, którego nie da się słuchać. Potem cisza i bezruch, i straszliwa świadomość: „Zrobiłem to”.

I to podniecenie... wrażenie potęgi.

Ciemne uczucia przemykają przez duszę niczym wąż, w skrętach i błyskach. Wstrząs: budzi się sumienie. Jak przyływ oceanu narasta lęk.

Fotograf przygląda się uchwyconemu obrazowi tańczącego na końcu liny ciała, na obraz odbity w lustrze, na którym nabazgrano jedno słowo: „Przepraszam”.

Bardzo przepraszam.

## 4

- Andy Fallon nie żyje.

Liska zakomunikowała Kovacowi tę wieść w drzwiach wydziału dochodzeń kryminalnych.

- Co?

- Andy Fallon nie żyje. Dziś rano znalazł go przyjaciel. Wygląda na samobójstwo.

- Jezu! - Kovac z trudem dochodził do siebie, podobnie jak rano, gdy poderwał się zbyt szybko jak na swoją obolałą głowę. Przed oczami stanął mu Mike Fallon, słaby i blady; w uszach zabrzmiały słowa: „Dla mnie umarł”. - Jezu!

Liska patrzyła nań wyczekująco. Otrząsnął się.

- Kto się tym zajmuje?

- Springer i Copeland - oznajmiła, zerkając na boki, czy nikt nie podsłuchuje. - Zajmowali. Czas przeszły. Pewnie chciałbyś tę sprawę, więc ją Chapmanem.

- Nie wiem, czy mam ci dziękować, czy żałować, że twoi rodzice nie stosowali antykoncepcji - burknął, ruszając do ich boksu.

- Znałeś Andy'ego?

- Nie. Właściwie nie. Spotkałem go parę razy. Samobójstwo. Rany, nie chciałbym komunikować tej nowiny Mike'owi.

- Ma to zrobić jakiś mundurowy? Czy ktoś z medycyny sądowej? - Liska nie kryła dezaprobaty.

Kovac wypuścił powietrze z płuc i zamknął na moment oczy, czując, jak na barkach osiada mu ciężar.

- Nie.

Los zetknął go z Żelaznym Mikiem wiele lat temu, a wczoraj wieczorem ponownie. Niech stary człowiek ma poczucie więzi z dawnymi czasami. Niech złą wieść dostarczy ktoś o znajomej twarzy.

- Dobrze zrobiłam, że capnęłam tę sprawę? - spytała Liska, rozglądając się, czy nie widać Copelanda albo Springera. - Trzeba zrobić to po cichu. Andy tu pracował, i w ogóle.

- No - powiedział Kovac i zerknął na migające światelko telefonu. - Załatwmy to, zanim Leonard wpakuje nas znowu w jakieś „zabójstwo jutra”.

Andy Fallon mieszkał w domku z poddaszem w części miasta sąsiadującej od północy z modną dzielnicą, zwaną Górką. „Górkę” zamieszkiwali przedstawiciele młodej elity; nazwa zdaniem Kovaca bez sensu, jako że dzielnica położona jest poniżej centrum. Może dlatego „Górka”, że dla tych, którym się udało wspiąć do góry, nie tak jak jemu. Centrum było całe odnowione, odszykowane: kawiarnie, modne knajpy, luksusowe kina. Czysze za domy na zachodnim brzegu, koło Lakę of the Isles i Lakę Calhoun, były niebotyczne. Dom Fallona mieścił się daleko na północy, tak że można było sobie na niego pozwolić z jednej policyjnej pensji.

Przy krawężniku od frontu stały dwa radiowozy. Liska szła przodem, zawsze pełna entuzjazmu do nowego śledztwa. Kovac włókł się za nią, pełen najgorszych obaw.

- Zajrzycie do środka, to oko wam zbieleje - powiedział mundurowy, który przywitał ich w drzwiach. - Coś pięknego-.

W tonie przebijała drwina. Siedział w branży zbyt długo, jego wrażliwość stępiała, widział już w życiu tylu martwych, że przestał ich traktować jak ludzi, dla niego byli tylko denatami. Wszyscy policjanci prędzej czy później dochodzą do tego stanu albo lądują na bruku, żeby nie zwariować. Śmierć nie może ich dotykać osobiście za każdym razem, kiedy się z nią stykają. Kovac wiedział, że sam nie jest wyjątkiem. Tym razem jednak będzie inaczej. Już jest inaczej.

Liska rzuciła mundurowemu obojętne spojrzenie, opanowane do perfekcji już w początkach kariery zawodowej.

- Gdzie trup?

- W sypialni. Na górze.

- Kto go znalazł?



- „Przyjaciel”. - Mundurowy znów użył drwiącego tonu, a cudzysłów pokazał palcami. - Siedzi w kuchni i beczy.

Kovac nachylił się do policjanta, przysunął aż za blisko i zerknął na plakietkę z nazwiskiem.

- Burgess?

- Tak - odparł tamten; widać było, że z trudem się powstrzymuje, aby się nie cofnąć.

Liska nagryzmoła w notatniku nazwisko i numer służbowy.

- Byłeś na miejscu pierwszy? - spytał Kovac.

- No.

- I takim tonem gadałeś z tym gościem, który znalazł zwłoki?

Burgess zmarszczył czoło, jakby coś podejrzewał.

- No...

Kovac przystąpił do niego jeszcze bliżej.

- Burgess, czy ty rzeczywiście jesteś taki głupi cham, czy dzisiaj starasz się wyjątkowo?

Gliniarz się zaczerwienił, rysy twarzy zaczęły mu się napinać.

- Pilnuj się - zarządził Kovac. - Facet był policjantem, jego stary też. Trochę szacunku.

Burgess zacisnął wargi, zrobił krok wstecz, wzrok mu pochłodził.

- Tak jest!

- Nikt tu nie ma prawa wejść, chyba że z policji albo z medycyny sądowej. Kapujesz?

- Tak jest!

- I zapisać mi nazwisko, numer służbowy i godzinę każdego, kto wchodzi i wychodzi. Poradzisz sobie?

- Tak jest!

- Oj, nie podobało mu się - Liska wysyczała radośnie do ucha Kovacowi, gdy znaleźli się już w środku.

- Tak? A pies go trącał. - Kovac popatrzył na nią. - Andy Fallon był homo?

- Mówi się „gejem”. Niby skąd mam wiedzieć? Nie prowadzam się z tymi szczurami ze służby wewnętrznej. Za kogo ty mnie masz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytał. Po chwili dodał: - Pracował w SW? Nic dziwnego, że Mike powiedział, iż chłopak dla niego nie żyje.

Kuchnia miała wystrój zgniłozielony z elementami z surowego, jasnego drewna; wszystko w niej było na swoim miejscu. To była kuchnia kogoś, kto się zna na gotowaniu: zestaw przyborów kuchennych, garnki i rondle powieszono rządkiem na metalowych haczykach, granitowy blat, luksusowy komplet noży w podstawce z drewna.

W głębi pomieszczenia, przy okrągłym stoliku pod wykuszem okiennym, siedział „przyjaciół” z głową w dłoniach. Przystojny mężczyzna w ciemnym garniturze. Rude włosy, modna fryzura. Kanciasta twarz, męskie rysy, piegi. Piegi wybijały się na tle skóry popielatej jak popiół z rozpaczony i od zimnego, szarego światła wpadającego przez okno. Ledwie rzucił na nich okiem, gdy weszli.

Liska błysnęła legitymacją służbową i przedstawiła się.

- Z tego, co nam wiadomo, znalazł pan zwłoki, panie...

- Pierce - powiedział chrypliwie i pociągnął nosem. - Nazywam się Steve Pierce. Tak, to ja... go znalazłem.

- Zdajemy sobie sprawę, że to dla pana niezwykle trudny moment, panie Pierce, ale chcielibyśmy z panem porozmawiać, kiedy skończymy. Czy pan rozumie?

- Nie - odparł, kręcąc głową. - Nic z tego nie rozumiem. Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę.

- Bardzo nam przykro z powodu straty, jaką pan poniósł - rzekła Liska odruchowo.

- On by nigdy czegoś takiego nie zrobił - wymamrotał, gapiąc się na blat stołu. - Nigdy. To po prostu niemożliwe.

Kovac milczał. Szli na górę, a przecucie czegoś okropnego osiadało mu na piersi coraz większym ciężarem z każdym stopniem po schodach.

- Coś mnie gnębi, Dzwonek - mruknął, naciągając chirurgiczne rękawiczki. - A może to zawał serca. Byłby to pech. Wreszcie rzuciłem palenie i dostaję zawału.

- Nie waż się wykitować. Chybabym się skichała z tą całą papierkową robotą.

- Ty to umiesz człowieka pocieszyć.

- Na pewno lepiej niż ty. Zresztą wcale nie dostajesz zawału.

Górna kondygnacja była niegdyś strychem, który zaadaptowano ładnie na obszerną sypialnię. Wyeksponowane belkowanie dawało efekt przestrzeni. Urocze miejsce na to, aby umrzeć - pomyślał Kovac, obejmując wzrokiem pomieszczenie.

Ciało wisiało na tradycyjnej pętli z liny zaledwie metr od ogromnego łoża z baldachimem. Linę przerzucono przez belkę stropową i przywiązano do ramy łóżka, gdzieś w głowach, pod pościelą. Łóżko było starannie zaścielone, nikt w nim nie leżał, ani nawet nie usiadł na nim. Kovac rejestrował te rzeczy w pamięci odruchowo, świadomie skupił się na zwłokach. Zauważył zdjęcia, te same, które widział odwrócone na toalecie w sypialni Mike'a Fallona: przystojny młodzieniec, mistrz sportowy, świeżo upieczony policjant u boku rozpromienionego dumą Mike'a. „Ładny chłopak” - przypomniał sobie, że tak wtedy o nim pomyślał.

Teraz przystojna twarz była odbarwiona, zniekształcona, sina i opuchnięta, usta zamarły w rodzaj szyderstwa. Oczy były na wpół otwarte i mętne. Wisiał już od jakiegoś czasu. Dzień albo i dłużej - domyślał się Kovac po braku *rigor mortis*, po napięciu skóry, po zapachu. Mdląca, słodkawa woń początków rozkładu zmieszana była z odorem zwierzęcego moczu i kału. Przy śmierci zwieracze puszczają, zawartość pęcherza i jelit wydostała się na podłogę.

Zwłoki były nagie. Ręce zwieszono po bokach, dłonie zaciśnięte w pięści, przesunięte trochę do przodu, ku biodrom; na kostkach sine znamiona - plamy opadowe, krew gromadząca się w najniższych punktach ciała. Stopy, zawieszono zaledwie parę centymetrów nad podłogą, były obrzmiałe i również sine.

Kovac przykucnął, uchwycił kostkę i nacisnął kciukiem ciało, po czym puścił. Sprawdzał, czy skóra nie zblednie, ale nic takiego się nie stało. Krew zakrzepła już dawno. Noga była zimna w dotyku.

Trzy metry przed ciałem stało oparte o ścianę wysokie lustro w dębowej ramie. Trup odbijał się w nim w całości. Na tafli widniało słowo „przepraszam”, napisane czymś ciemnym.

- Wiedziałem, że ci goście z SW to zbrodniecy.

Kovac podniósł wzrok na dwóch mundurowych funkcjonariuszy, którzy stali w odległości kilku metrów i popatrywali w lustro z kpiącymi minami. To była para ostrzyżonych na jeża gliniarzy o tęgich karkach, wyższy z nich miał łeb kwadratowy jak betonowy pustak. Na plakietkach identyfikacyjnych mieli wypisane „Rubel” i „Ogden”.

- Hej, Głupi i Głupszy - warknął Kovac. - Wynosić mi się z miejsca zbrodni natychmiast! Co się z wami, do cholery, dzieje? Wszystko zdeptujecie!

- To samobójstwo - powiedział ten brzydszy, jakby to miało jakieś znaczenie.

Kovac poczuł uderzenie krwi do twarzy.

- Ty mi tu, jeleniu, nie mów, co jest co. Gównu wiesz. Może za dwadzieścia lat będziesz miał prawo się wypowiadać. A teraz spieprzać mi stąd! Na dół i zabezpieczać teren. Nikt nie ma prawa podejść bliżej niż na drugą stronę ulicy. I trzymać te wasze parszywe pyski na kłódkę. Tam gdzie jest trup, zlecą się reporterzy. Jak przeczytam w gazecie jedno słowo o tym - pokazał palcem odbicie w lustrze - to wiem, kto zrobi miejsce dla nowych kadr. Kapujecie?

Funkcjonariusze popatrzyli po sobie, nadąsani, po czym ruszyli ku schodom.

- Jeden wykończony szczur z SW - mruknął z cicha ten brzydszy - też mi sprawa. Moim zdaniem wszyscy powinni się cieszyć.

Kovac przyglądał się zwłokom. Widział Liskę, jak myszkuje po pokoju, notuje każdy szczegół, robi szkice, rejestruje wszystko - kto wie, co może się okazać istotne. Jemu przypadło wstępne obfotografowanie sceny.

Zaczął od samego pomieszczenia, potem powoli przeszedł do zwłok, porobił zdjęcia ze wszystkich stron, pod różnymi kątami. Każdy błysk flesza wypalał mu ślad w pamięci - ten martwy przedmiot, który był kiedyś synem Mike'a Fallona; belka, z której zwisa pętla; stopień do gimnastyki firmy Reebok, stojący na podłodze niemal pod ciałem, to z niego Andy Fallon wykonał swój wielki zeskok stąd do wieczności; lustro. „Przepraszam”.

„Przepraszam”. Właśnie.

Czy to Andy Fallon przepraszal? Za co? Może to słowo nagryzmolił kto inny?

Nagle włączył się grzejnik nadmuchowy, trup zaczął obracać się lekko jak ogromny gnijący ananas. Odbicie w lustrze przyłączyło się do tego *danse macabre*.

- Nigdy nie zrozumieć kogoś, kto się rozbiera do naga, żeby popełnić samobójstwo - odezwała się Liska.

- Symboliczny gest. Zrzucenie doczesnej skóry.

- Nikt nigdy nie znajdzie mnie nagiej.

- Może to nie samobójstwo.

- Myślisz, że ktoś go powiesił? Albo zmusił, żeby to zrobił? Morderstwo przez powieszenie to rzadkość.

- Co z tym lustrem? - zapytał Kovac, chociaż już wiedział.

Liska jeszcze przez chwilę przyglądała się zwłokom, po czym popatrzyła w lustro, chwytając fragment własnego odbicia wraz z odbiciem Andy'ego Fallona.

- O rany - powiedziała cicho. - Nieszczęście przy zabawie z samym sobą? Nigdy mi się jeszcze coś takiego nie trafiło.

Kovac milczał, starając się sobie wyobrazić, co powie Mike'owi. Już komuś obcemu trudno wyjaśnić, co to jest autoerotyczne uduszenie, a miał taki obowiązek już parę razy w swojej karierze. Ale jak powiedzieć twardemu, zahartowanemu, starej daty policjantowi, że jego syn próbował osiągnąć orgazm przez zmniejszanie sobie dostępu tlenu i że się przy tym udusił na śmierć?

- Ale co by miał znaczyć napis? - zastanawiała się na głos Liska. - „Przepraszam” pasuje do samobójstwa. Po co by to pisał, gdyby tylko chciał sobie zrobić dobrze?

Kovac przyłożył rękę do obolałej głowy i skrzywił się.

- Wiesz, są takie dni, kiedy właściwie lepiej nie wstawać z łóżka.

- No, może... ale drugim wyjściem jest tylko to - wskazała trupa. - A to nie wygląda najlepiej. Wolę najpaskudniejszy dzień za życia niż najlepszy dzień po śmierci.

- Pieprz się!

Liska przykucnęła przed lustrem, chcąc się przyjrzeć literom dokładniej. Zerknęła na odbicie Kovaca.

- Nie przy zwłokach! Nie jestem aż tak złą dziewczynką.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem. - Wstała powoli. Nie zgrywając się już, położyła mu rękę na ramieniu i popatrzyła na niego szczerymi niebieskimi oczami. - Przepraszam cię, Sam. Zdaje się, że staremu Żelaznemu Mike'owi nic nie będzie oszczędzone.

Kovac przez chwilę przypatrywał się partnerce, przypatrywał się drobnej dłoni na rękawie jesionki i miał ochotę ująć tę drobną dłoń w swoją rękę. Ot tak, żeby nabrać otuchy przez kontakt z drugim człowiekiem. Nie nosiła pierścionka, „żeby nie płoszyć ewentualnych kandydatów”, jak mawiała. Paznokcie miała obcięte krótko i niepomalowane.

- Tak... - powiedział szeptem.

Z parteru dobiegł najpierw krzyk, potem głośny łoskot, za nim następne krzyki. Liska rzuciła się na dół niczym kozica. Kovac popędził za nią, tupiąc ciężko.

Rubel próbował zwlec Steve'a Pierce'a z rozciągniętego na ziemi Ogdena.

- Zostaw go! - wrzeszczał.

Pierce wyszarpnął się wściekle, zamachnął się i - sądząc z głuchego odgłosu i stęknienia Ogdena - trafił. Rubel chwycił go znowu, objął ramieniem przez szyję i ciągnął do góry i do tyłu, wrzeszcząc do ucha cały czas:

- Powiedziałem: zostaw go!

Ogden gramolił się na nogi, ale ślizgał się na wyfroterowanej podłodze. Okruchy szkła i porcelany trzeszczały pod jego ciężkimi policyjnymi butami. Uchwycił się krawędzi gabloty z porcelaną, na którą obaj wpadli, i podciągnął się; resztki pozostałych w środku naczyń zaklekotały niebezpiecznie. Twarz miał zaczerwienioną, z nosa ciekła krew. Otarł ją ręką i z niedowierzaniem popatrzył na umazaną dłoń. Nad Steve'em Pierce'em miał ze dwadzieścia kilo przewagi.

- Aresztuję cię, gnoju! - ryknął, celując w Pierce'a zakrwawionym paluchem.

- Puść go! - wrzasnęła na Rubela Liska.

Twarz Pierce'a zdążyła zsinieć w uścisku policjanta. Rubel rozluźnił chwyt, a Pierce osunął się na kolana, rżąc ciężko. Odzyskał oddech i popatrzył na Ogdena z nieukrywaną nienawiścią.

- Ty sukinsynu!

- Nie będzie żadnego aresztowania - oświadczył Kovac, stając między nimi.

- Niech się wynoszą! - zażądał ochryple Pierce, z trudem podnosząc się na nogi. Oczy błyszczały mu od łez i furii. - Zabierzcie ich stąd!

- Ty...! - zaczął Ogden.

Kovac pchnął go w pierś dłonią. Jakby poklepał granitową skałę.

- Zamknijcie się! I wynocha!

Rubel sztywno ruszył ku drzwiom, Ogden za nim, obaj kipieli ze złości. Kovac dopadł ich w salonie.

- Coś mu powiedział, do jasnej cholery?!

- Ja? Nic - odparł Rubel.

- To nie do ciebie, bałwanie. Powiedziałeś mu coś durnego, Ogden? Boże, co za pytanie! Jakbym się pytał, czy gówno jest brązowe. - Kovac nie posiadał się z niesmaku.

- Zaatakował mnie - wyjaśnił z oburzeniem zagadnięty. - Napaść na funkcjonariusza.

- Taak? - przeciągle spytał Kovac. - Chcesz tego, Ogden? Masz zamiar pisać raport o tym, jak schrzaniłeś sprawę? Chcesz, żeby pan Pierce złożył zeznanie? Chcesz, żeby twoi przełożeni dowiedzieli się, jaki z ciebie głupi kutas?

Obrażony funkcjonariusz wyciągnął nie pierwszej czystości chusteczkę i przyłożył do nosa.

- Będziesz miał szczęście, jeśli on nie złoży zażalenia do komisji praw obywatelskich i nie pozwie do sądu całego wydziału - ciągnął Kovac. - A teraz wynoście się stąd i zabierzcie do swojej roboty.

Rubel wyszedł pierwszy, szczęka zaciśnięta, oczy zmrużone. Ogden pospieszył za nim na ulicę, jedną ręką przytrzymując pod nosem zakrwawioną chustkę, a drugą gestykułując, jakby chciał partnerowi wytłumaczyć coś, czego on nie chciał słuchać.

Podjechał furgon ekipy kryminalistycznej i stanął przy krawężniku za radiowozami. Z przeciwnej strony nadjechały dwa osobowe. Zlatują się sępy. Dziennikarze. Kovac poczuł, że wargi wykrzywia mu niechęć. Wszedł z powrotem do środka, zobaczył, że Burgess sięga do sterty kaset wideo na półce koło telewizora.

- Niczego nie dotykać! - warknął. - Idź na zewnątrz i trzymaj reporterów z daleka. - „Żadnych komentarzy”. Potrafisz czy to dla ciebie za trudne?

Burgess kiwnął głową.

- I zapisać numer rejestracyjny każdego samochodu, jaki się pojawi na ulicy. Kapujesz?

- Tak jest! - wycedził policjant przez zęby i wyszedł.

- Skąd oni biorą tych palantów? - zapytał Kovac, wracając do kuchni.

- Hodują ich na północy jako zwierzęta juczne - odpowiedziała Liska, która czekała na niego w drzwiach. - Ogden palnął coś w stylu: „Jednego pedzia mniej”. Pierce'a poniosło. Dziwisz mu się?

- Cudownie - mruknął Kovac. - Miejmy nadzieję, że nie zacznie o tym trąbić po całym mieście. Wystarczy, że Andy Fallon zginął. Nie trzeba nam więcej atrakcji.

Weszła ekipa kryminalistyczna, taszcząc ze sobą swoje skrzynie. Scena zbrodni zostanie jeszcze raz obfotografowana. Sfilmowana na wideo. Wszystko zostanie obsypane proszkiem daktyloskopijnym, odciski palców zdjęte. Wszelkie ewentualne dowody rzeczowe zostaną sfotografowane, ich położenie wymierzone i opisane, wciągnie się je na listę, zapakuje troskliwie i podda drobiazgowej procedurze. A ciało Andy'ego Fallona będzie tam wisiało cały czas, czekając na przybycie lekarza sądowego.

Kovac udzielił wstępnych informacji szefowi ekipy i pokazał drogę na górę.

Liska usadziła Steve'a Pierce'a z powrotem przy kuchennym stoliku. Sprawiał wrażenie, jakby tylko z trudem mógł usiedzieć, jedną ręką wciąż rozcierał sobie gardło. Palce miał ubrudzone krwią Ogdena. Rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk. Ciemny garnitur był wymięty i powyciągany.

- Możemy porozmawiać, panie Pierce? - zapytał Kovac.

Pierce nie odpowiedział. Liska i Kovac usiedli jednak. Kovac wyjął z kieszeni miniaturowy dyktafon i położył go na stole.

- Będziemy nagrywać naszą rozmowę - wyjaśnił lekkim tonem. - Chcemy sprawdzić wszystkie szczegóły, kiedy wrócimy na posterunek pisać raport. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Pierce kiwnął głową ze znużeniem i przeczesał palcami włosy.

- Chciałbym, żeby pan odpowiadał głośno.



- Tak. Jasne. W porządku. - Odkasznął. Zmartwienie wyryło mu zmarszczki po bokach ust. - Czy oni... czy oni go teraz zabiorą? - Głos mu się załamał na ostatnich słowach.

- Tym się zajmie ekipa lekarza sądowego - wyjaśniła Liska.

Popatrzył na nią. Wyraźnie dopiero teraz dotarło do niego, że będzie robiona sekcja. Oczy znów wypełniły mu się łzami. Próbując odzyskać równowagę, wyjrzał za okno, na śnieg leżący w ogródku za domem.

- Czym się pan zajmuje zawodowo? - pytał dalej Kovac.

- Inwestycjami. Pracuję w firmie „Daring i Landis”.

- Mieszka pan tutaj? W tym domu?

- Nie.

- Co pana tu dzisiaj sprowadziło?

- Andy miał się spotkać ze mną wczoraj w kawiarni „Ca-ribou” na „Górcie”. Miał mi o czymś powiedzieć. Nie przyszedł. Nie odbierał telefonów. Zaniepokoiło mnie to, więc przyjechałem.

- Co pana łączyło z Andym Fallonem?

- Jesteśmy przyjaciółmi - odparł. Użył czasu teraźniejszego. - Jeszcze ze studiów. Starzy kumple. Wie pan, jak to jest.

- Może raczej nam pan powie - nalegał Kovac. - Jacy to kumple?

Czoło Pierce'a pokryły zmarszczki.

- Wie pan, wspólne wypady na piwo i pizzę, czasami na mecz koszykówki. Oglądaliśmy razem „Sportową Niedzielę”. Takie tam męskie przyjemności.

- Żadnej... bliższej zażyłości?

Kovac uważnie przyglądał się twarzy rozmówcy. Pierce oblał się rumieńcem od kołnierzyka w górę.

- Co pan insynuuje?

- Pytam, czy was dwóch łączył związek o charakterze seksualnym - wyjaśnił spokojnie, nie owijając w bawełnę.

Pierce wyglądał, jakby miał eksplodować.

- Nie jestem homoseksualistą, chociaż to nie powinno pana obchodzić.

- Tam na górze są zwłoki. I dlatego wszystko mnie obchodzi. A jak się miały te sprawy z panem Fallonem?

- Andy jest gejem. - W oczach Pierce'a widać było gorzką urazę. - Czy to znaczy, że to dobrze, iż nie żyje?

Kovac rozłożył szeroko ręce.

- Słuchaj pan, nie obchodzi mnie, kto co komu i gdzie wtyka. Mnie jest po prostu potrzebne tło wydarzeń, którymi się zajmuję w śledztwie.

- Nie przebiera pan w słowach, detektywie.

- Powiedział pan, że Andy chciał z panem o czymś porozmawiać - wtrąciła się Liska, zwracając na siebie uwagę. Dzięki temu Kovac mógł spokojnie przyglądać się każdemu drgnieniu twarzy przesłuchiwanego. - Wie pan, o co mogło chodzić?

- Nie. Nie powiedział mi.

- Kiedy rozmawialiście po raz ostatni? - Kovac wrócił do pytań.

Pierce zerknął z ukosa, wciąż urażony.

- Ee... chyba w piątek. Moja narzeczona miała zajęty wieczór, więc wybrałem się do Andy'ego. Ostatnio nie widywaliśmy się zbyt często. Przyjechałem, żeby się umówić z nim na kawę. Odnowić stosunki.

- I mieliście się spotkać wczoraj, ale Andy się nie pojawił.

- Dzwoniłem wielokrotnie, nagrałem się na sekretarkę. Nie oddzwaniał. Postanowiłem wpaść tu i zobaczyć, czy wszystko w porządku.

- A dlaczego przyszło panu do głowy, że coś jest nie w porządku? Mógł być zajęty, pojechać wcześniej do pracy.

Pierce przeszył go wzrokiem.

- Proszę mi wybaczyć, że się martwię o moich przyjaciół. Powinienem być taką szują jak pan. Powinienem siedzieć teraz w biurze. To by mi oszczędziło widoku...

Przerwał. Obraz, który zobaczył rano, znów musiał stanąć mu przed oczami. Twarz miał wciąż czerwoną, ale teraz z jakimś woskowym połyskiem. Jeszcze raz wyjrzał przez okno, jakby widok nieskazitelnego białego śniegu mógł go ochłodzić i ukoić.

- Jak się pan dostał do domu? - ciągnął przesłuchanie Kovac. - Ma pan klucz?

- Drzwi były otwarte.

- Mówił coś o samobójstwie? Był w depresji? - włączyła się Liska.

- Był raczej... sfrustrowany. Trochę przygnębiony, owszem, ale nie do tego stopnia, żeby chciał się zabić. Nigdy w to nie uwierzę. Nie zrobiłby tego, najpierw na pewno dałby jakiś znak, zwróciłby się do kogoś.

Otoczenie tak zawsze twierdzi na początku. Kovac znał to z doświadczenia. Ludzie wolą myśleć, że ten ich bliski poprosiłby ich o pomoc, zanim zdecydowałby się na ostateczny krok. Nie chcą przyznawać, że po prostu przeoczyli sygnał, wołanie o ratunek. Gdyby się okazało, że Andy Fallon rzeczywiście popełnił samobójstwo, to Steve Pierce musiałby się zacząć zastanawiać, że były przecież tuziny sygnałów ostrzegawczych, tylko on je zwyczajnie zlekceważył, z egoizmu czy po prostu ślepoty.

- Przygnębiony? Czym? Pierce wykonał gest bezradności.

- Nie wiem. Praca. Może rodzina. Wiem, że jego stosunki z ojcem były trochę napięte.

- A inne związki? - spytała Liska. - Miał kogoś?

- Nie.

- Skąd ta pewność? - zdziwił się Kovac. - Nie mieszkał pan tutaj. Nie widywaliście się zbyt często. Ot, wyskakiwaliście czasami na piwko.

- Byliśmy przyjaciółmi.

- Ale nie wiedział pan, co go naprawdę gnębiło. Może jednak był w głębokiej depresji.

- Znałem Andy'ego. Nie mógłby się zabić - upierał się Pierce, widać było, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Drzwi nie były zamknięte - powiedziała Liska - czy może coś zginęło albo było poprzestawiane?

- Nic takiego nie zauważyłem. Zresztą nie rozglądałem się. Przyszedłem i znalazłem Andy'ego.

- Steve, czy coś panu wiadomo, żeby Andy oddawał się jakimś nietypowym praktykom seksualnym? - przejął pałeczkę Kovac.

Pierce zerwał się z krzesła, aż się przewróciło.

- Co z was za ludzie! Nie do wiary! - Rozglądał się dookoła, jakby szukał świadka albo czegoś ciężkiego.

Kovac przypomniał sobie komplet noży na blacie, a także furię w oczach Pierce'a, gdy rąbnął Ogdena. Podniósł się i stanął między Pierce'em a nożami.

- Nie pytamy ze wścibstwa, Steve. To należy do naszej pracy - tłumaczył. - Musimy nakreślić tak wyraźny obraz sytuacji, jak to jest możliwe.

- Banda zasranych zwyrodnialców! - wrzasnął Pierce. - Mój przyjaciel nie żyje, a wy...

- A my nie mamy pojęcia, kim on był - zauważył Kovac rozsądnie. - I prawdę mówiąc, nie mamy też pojęcia, kim pan jest. Z tego, co nam wiadomo, wynika, że mógł popełnić samobójstwo.

- To absurd!

- Wie pan co? - ciągnął Kovac. - Znajduję martwego faceta, który powiesił się na golasa, przeglądając się w lustrze... Może i jestem pruderyjny, ale widzę w tym coś dziwnego. Wie pan, może ten gość miał nie całkiem normalne skłonności. Może pan też takie ma. Może pan nie widzi w tym nic dziwnego. Może pan co drugi dzień dusi się, żeby sobie zrobić dobrze? Może lubiliście różgi na goły tyłek? Skąd mam wiedzieć? Jeśli praktykowaliście coś takiego, pan i Fallon, obaj, to lepiej pan na tym wyjdzie, jeśli pan nam teraz powie, Steve.

Pierce płakał, łzy ciekły strumykiem, mięśnie twarzy drżały od powstrzymanych, szarpiących emocji.

- Nie.

- „Nie” znaczy, że nie bawiliście się w nic takiego, czy „nie, nie powiem wam”? - Kovac nie dawał za wygraną.

Pierce zamknął oczy i zwiesił głowę.

- Boże, niemożliwe, że to się stało. - Ciężar tego, co się stało, przytłoczył go nagle, osunął się na podłogę, skulił, schował głowę w dłoniach. - Dlaczego to się stało?

Kovac przyglądał mu się i czuł, jak ogarniają go aż za dobrze znajome wyrzuty sumienia. Ukucnął koło Steve'a Pierce^ i położył mu rękę na ramieniu.

- Właśnie tego się chcemy dowiedzieć, Steve - powiedział łagodnie. - Może ci się nie bardzo podobać, jak to robimy. Może ci nie przypaść do gustu to, co ustalimy. Ale w istocie wszyscy chcemy tego samego: prawdy.

Mówiąc to, Kovac zdał sobie sprawę, że gdy już dowiedzą się prawdy, nikt nie będzie jej chciał znać. Po prostu nie mogło istnieć żadne dobre wyjaśnienie śmierci Andy'ego Fallona.

## 5

W chłodnym, szarym świetle dnia dom Mike'a Fallona wyglądał jakoś jeszcze bardziej samotnie niż przedtem. Pod osłoną nocy domy zdawały się tulić do siebie - niczym zwierzęta w trzodzie - porozdzielane tylko wąskimi pasmami aksamitnej czerni. Za dnia oddaliły się od siebie, wyodrębniły, porozdzielane światłem, alejkami, ogrodzeniami i śniegiem.

Kovac popatrzył na dom. Zastanawiał się, czy Mike już wie. Ludzie czasami wiedzą takie rzeczy. Jakby jakaś fala uderzeniowa dotarła do nich z miejsca śmierci, dosięgła ich szybciej, niż wędruje dźwięk czy posłańcy.

„Dla mnie umarł”.

Wątpił, żeby Mike Fallon pamiętał te słowa, jemu jednak dźwięczały w uszach, kiedy tak siedział sam w samochodzie. Liskę wysadził po drodze przy posterunku, żeby mogła od razu zabrać się do roboty. Miała spotkać się z przełożonym Andy'ego Fallona z SW i dowiedzieć się, nad czym pracował i w jakim był ostatnio nastroju. Zamierzała wydobyć jego papiery z działu personalnego i dowiedzieć się, czy korzystał z usług policyjnego psychiatry.

Kovac z chęcią by się z nią zamienił na zadania, poczucie obowiązku mu jednak na to nie pozwoliło. Przeklinając się za frajerstwo, wysiadł z samochodu. Bywają dni, że życie staje się po prostu do niczego, jeśli się jest przyzwoitym człowiekiem.

Zajrzał do wnętrza przez wąską, prostokątną szybę we frontowych drzwiach. Salon wyglądał teraz gorzej, niż go zapamiętał z poprzedniego wieczoru. Ściany domagały się farby. Kanapa powinna być oddana na cele dobroczynne już ładnych paręnaście lat temu. Dziwny kontrast z nowoczesnym fotelem do masażu i wielkoekranowym telewizorem.

Zadzwoił, potem na wszelki wypadek zapukał i czekał niecierpliwie, starając się nie myśleć, co ktoś nieznamy pomyślałby o jego własnym salonie z pustym akwariem. Ktoregoś dnia trzeba będzie wreszcie znaleźć trochę czasu na życie poza pracą.

Zacisnął niespokojnie ręce w kieszeniach. Wyciągnął pasek owocowej gumy do żucia, miał wrażenie, że ze zdenerwowania chodzą mu po karku mrówki.

Zapukał jeszcze raz. Migawki z poprzedniego wieczoru przeleciały mu przez pamięć: Mike Fallon, stary policjant, załamany, odrzucony, przygnębiony, pijany... Dom wyglądał na wymarły. Ani znaku życia.

Brnąc w śniegu powyżej kostek, obszedł dom, szukając okna sypialni. To by dopiero była historia do popołudniowych wiadomości. „Podwójne samobójstwo policjantów, ojca i syna”. Paul Harvey wybrałby pewnie tę wiadomość do swojego programu, chcąc pognębić całą Amerykę przy jutrzejszym lunchu. Bezsensowna śmierć przy sałatce z kurczaka i hamburgerach.

W maleńkim garażu, pękającym w szwach, jak to zwykle bywa, od gromadzonych przez całe życie niepotrzebnych, choć ledwie używanych przedmiotów, znalazł lekką drabinę. W środku stała prawie nowa terenówka „Subaru”, przystosowana dla niepełnosprawnego kierowcy. Jakiś inny policjant musiał ją odstawić po imprezie w pubie „U Patryka”, albo też ktoś zawiózł Mike'a do baru, a potem się ulotnił, jak się zaczęły kłopoty. Ktoś, kto nie chciał, żeby mu pijak zarzygał tylne siedzenie.

Roleta w oknie sypialni Mike'a Fallona nie była zaciągnięta. Mike leżał na wznak na łóżku, z rozrzuconymi rękami, głową przekreconą na bok i ustami rozdziawionymi jak wrota. Kovac wstrzymał oddech i z napięciem wypatrywał oznak bicia serca pod cienkim podkoszulkiem.

- Hej, Mike! - zawołał, waląc w okno.

Fallon ani drgnął.

- Mike Fallon!

Poruszył się przy drugiej rundzie łomotania, podniósł powieki, zmrużył oczy, światło go raziło. Wydał okrzyk przestrawu na widok przyciśniętej do szyby twarzy.

- Mike, to ja, Sam Kovac!

Fallon usiadł na łóżku, odkrztuszając flegmę z całej nocy.

- Co tu robisz, do jasnej cholery? Całkiem ci się we łbie pomieszało?

Kovac osłonił dłońmi boki twarzy, chcąc lepiej widzieć.

- Musisz mnie wpuścić, Mike. Musimy pogadać. - Szyba zaparowała od jego oddechu, przetarł ją rękawem.

Fallon zmarszczył się gniewnie i próbował odprawić gestem.

- Daj mi święty spokój. Nie potrzebuję niczego od ciebie wysłuchiwać.

- Czego wysłuchiwać?

- Na temat wczorajszego wieczoru. Wystarczy, że to zrobiłem. Nie potrzebuję kazań.

Siedząc tak w bieliźnie na łóżku, wyglądał żałośnie, niczym jakiś zdezelowany Humpty-Dumpty: baryłkowaty tułów i patykowate nogi, kępki rzadkiego zarostu i nabiegłe krwią oczy. Przesunął ręką po ostrzyżonych na jeża włosach, wzdrygnął się, pomacał delikatnie.

Kovac nie ustawał:

- Wpuść mnie, dobrze? To ważna sprawa.

Fallon mrużył oczy, przyglądając mu się, oceniał wagę sytuacji. Nikt bardziej nie cierpi niespodzianek niż policjant. Wreszcie podniósł rękę, pokonany.

- Klucz jest pod wycieraczką, przy tylnym wejściu.

- Klucz pod wycieraczką! - Kovac położył go na stole i popatrzył spod oka na Fallona. - Rany boskie, Mike, przecież jako policjant powinieneś wiedzieć, że tak się nie robi.

Fallon nie zwracał na niego uwagi. Kuchnia cuchnęła tłuszczem z boczku i smażoną cebulą. Zasłonki były sztywne z brudu i starości. Na blacie stały kubki, szklanki, talerze, pudełka po płatkach śniadaniowych, mnóstwo buteleczek i słoiczków z lekarstwami, zgromadzonych w jednym miejscu jak skupienie grzybów o białych kapeluszach. Stojące szafki pozbawiono drzwiczek, odsłaniając zawartość półek: pudełka błyskawicznych ziemniaków puree, konserwy warzywne, chyba cała skrzynka zup Campbella w puszkach.

Fallon nie zawracał sobie głowy spodniami. Jeździł w fotelu po ciasnych pomieszczeniach z owłosionymi, atroficznymi nogami na wierzchu. Wygrzebał z apteczki na blacie fiołkę aspiryny, nalał sobie szklankę wody z butelki w lodówce.



- Co to za sprawa jest tak cholernie ważna? - zażądał opryskliwe wyjaśnień. Kovac widział jednak, że ramiona ma napięte, jakby z trudem zachowywał spokój. - Mam takiego kaca, że konia by powalił.

- Mike... - Kovac zaczekał, aż Fallon odwrócił się i popatrzył mu w oczy, po czym wziął głęboki wdech. - Andy nie żyje. Przykro mi.

Krótko i węzłowato. Bez owijania w bawełnę. Ludziom się wydaje, że złą wiadomość trzeba poprzedzić jakimś wstępem. To nieprawda. Tylko się daje odbiorcy czas na snucie najgorszych domysłów. Już dawno się nauczył, że trzeba mówić prosto z mostu i mieć to szybko za sobą.

Fallon odwrócił wzrok, mięśnie szczęki napięły mu się.

- Jeszcze nie wiemy, co się stało.

- Jak to, nie wiecie? Zastrzelono go? Zatluczono? Zginął w wypadku samochodowym? - Dawał upust złości, gniew był łatwiejszy do zniesienia, bardziej znajomy niż smutek. Zaczerwieniła mu się szyja, rumieniec pełznął coraz wyżej. - Przecież jesteś detektywem. Ktoś nie żyje. Nie potrafisz powiedzieć, jak to się stało? Chryste!

Kovac nie czekał.

- To mógł być nieszczęśliwy wypadek. Albo samobójstwo, Mike. Znaleźliśmy go powieszzonego. Wolałbym ci tego nie mówić, ale co mam zrobić? Naprawdę cię przepraszam.

„Przepraszam”. Jak Andy. Kovac miał to słowo przed oczami, wypisane na odbiciu Andy'ego Fallona. Nagiego. Martwego. Opuchniętego. Rozkładającego się. „Przepraszam” wydawało się słowem nie na miarę tego wszystkiego.

Mike jakby się skurczył i zwiądł. Jego małe, zaczerwienione oczy wypełniły się łzami, które leciały ciurkiem po policzkach i wyglądały jak szklane paciorki.

- O Jezu! - jęknął. To było błaganie, nie przekleństwo. - Jezu mój jedyny!

Podniósł drżącą rękę do ust. Dłoń miał wielką jak bochen, teraz jednak wydawała się krucha z tą cienką skórą usianą plamami. Z głębi trzewi wyrwał mu się jęk strasznego bólu.

Kovac odwrócił wzrok. Tyle przynajmniej mógł zrobić dla starego człowieka. W posłowaniu ze złymi wieściami najgorsze jest to, że gwałci się sferę czyjejś prywatności,

wkracza w te pierwsze chwile najostrzejszego bólu; chwile, w których człowiek nie powinien mieć świadków.

A na dodatek wiedział, że będzie musiał wdrzeć się w tę rozpacz z pytaniami. To było jeszcze gorsze.

Fallon zakręcił gwałtownie fotelem i wytoczył się do pokoju. Kovac zostawił go samego. Pytania mogą poczekać. Andy już zginął, prawdopodobnie z własnej ręki, celowo czy też przypadkiem. Dziesięć minut w tę czy w tamtą, jakie to ma znaczenie?

Oparł się o blat kuchenny i policzył fiołki z lekarstwami. Siedem brązowych słoiczków ze specyfikami na wszystkie dolegliwości - od niestrawności do arytmii, od bezsenności po bóle. Wystarczy Mike'owi chemicznych wspomagaczy, żeby przez to przejść.

- Niech cię szlag trafi! Niech cię...!

Do krzyków dołączył się łoskot i zgrzyt tłuczonego szkła. Kovac wypadł z kuchni i przeskoczył krótki przedpokój.

- Niech cię szlag!!! - wrzeszczał Mike Fallon, waląc fotografią w ramce o krawędź komody. Tania metalowa oprawka gięła się niczym plastelina. Szkło pryskało.

- Mike! Przestań!

- Niech cię szlag! - zawołał znów Fallon i machnął ręką z połamaną ramką, siejąc odłamkami szkła po całym pokoju. - Niech cię szlag trafi!

Kovac podejrzewał, że to ostatnie przekleństwo było przeznaczone dla niego, bo chwycił Mike'a Fallona za nadgarstek. Zdjęcie w ramce frunęło jak dysk „frisbee”, uderzyło o przeciwległą ścianę i spadło na drewnianą podłogę. Fallon szarpał się dalej, jak na człowieka w swoim wieku był zdumiewająco silny. Wolną ręką zamachnął się jak cepem i zrzucił z komody resztę fotografii. Kovac stanął z tyłu, pochylił się, chcąc go powstrzymać. Szlochając, Fallon odrzucił głowę do tyłu i rąbnął Kovaca w grzbiet nosa. Bluznęła krew.

- Do cholery, Mike, przestań! - Krew spływała po brodzie, kapłała na plecy Fallona, na włosy, do ucha.

Mike rzucił się na wierzch komody. Potem wyprostował się, znów opadł, podniósł się. W przód, w tył, w przód, w tył. Energia uchodziła z niego po trochu, w końcu położył

policzek na komodzie, wśród tłuczonego szkła, i poruszał już tylko rękami. Walił, tłukł, stukał.

Kovac cofnął się, wytarł zakrwawiony nos w rękaw jesionki, zaczął szukać chusteczki. Podszedł do leżącego na podłodze zdjęcia - pierwszego, na którym Mike wyładowywał emocje. Spróbował je odwrócić czubkiem buta. Buty i dół nogawek miał przemoczone od brożenia w śniegu. Zarejestrował, że nogi mu przemarzły, dopiero teraz, gdy zobaczył dowody. Nie czuł stóp.

Przyłożywszy chusteczkę do nosa, żeby zatamować krwawienie, ukucnął i podniósł wolną ręką zdjęcie. Wręczenie dyplomu akademii policyjnej. Andy rozpromieniony. Mike przy nim, w wózku inwalidzkim. Biały zygzak rozdarcia dzielił ich teraz niczym błyskawica.

Wyjął resztki szkła i próbował wyprostować oprawkę.

- Mike - odezwał się cicho - wczoraj powiedziałaś, że Andy dla ciebie umarł. Co miałaś na myśli?

Fallon nie podnosił głowy z komody, wzrok miał skierowany donikąd, pusty. Nie odpowiedział. Kovac przyjrzał mu się badawczo, bo przez chwilę bał się, że człowiek po prostu umarł. To już byłby szczyt wszystkiego.

- Były między wami jakieś nieporozumienia? - podsunął.

- Kochałem tego chłopaka - odezwał się słabo Fallon. Wciąż się nie poruszał. - Kochałem. Zastępował mi nogi. Był moim sercem. Był dla mnie wszystkim.

„Ale...”

Słowo zawisło w powietrzu, niewypowiedziane. Kovac przeczuwał, skąd się wzięło. Popatrzył na porzrzucone zdjęcia Andy'ego Fallona. Przystojniaka i sportowca. I geja.

Tak, taki stary twardziel nie mógł tego dobrze przyjąć. Do diabła, sam Kovac nie wiedział, jak by to przyjął, gdyby chodziło o jego własnego syna.

- Kochałem go - mamrotał Mike. - A on zmarnował wszystko. Wszystko zmarnowane.

Twarz mu się skurczyła, spojrzenie zapadło w głąb; zapatrzył się we własny ból. Czerwienił się z wysiłku... dławiąc łzy, a może próbując dać im upust? Nie wiadomo, co trudniejsze dla kogoś pokroju Żelaznego Mike'a.

Kovac przytykał odruchowo chusteczkę do nosa, potem wepchnął ją do kieszeni jesionki. Pozbierał delikatnie wszystkie zdjęcia i ułożył je na komodzie, żeby były pod ręką, gdy złość ustąpi potrzebie wspomnień.

W głowie miał gotową listę pytań, pojawiła się automatycznie, rutynowo, już uporządkowana. „Kiedy rozmawialiście z Andym ostatni raz? Czy mówił ci, nad czym teraz pracuje? W jakim był nastroju, kiedy się widzieliście ostatni raz? Czy kiedykolwiek mówił o samobójstwie? Był przygnębiony? Znasz jego przyjaciół, kochanków?”

Ani jedno z pytań nie przeszło mu przez gardło. Trzeba czekać.

- Chcesz, Mike, żebym teraz do kogoś zadzwonił?

Fallon nie reagował. Rozpacz otoczyła go niewidzialną osłoną. Nie słyszał niczego prócz głosu żalu w głowie, nie czuł żadnego bólu prócz kryjącego się w najgłębszych zakamarkach duszy. Był obojętny na wszystko, co z zewnątrz, nawet na te odłamki szkła, które kaleczyły mu policzek.

Kovac wypuścił powoli powietrze, jego wzrok padł na jedno ze zdjęć, które wciąż leżało na podłodze, częściowo schowane pod komodą. Wyciągnął je, popatrzył. Zobaczył scenę tak odległą, jakby patrzył na fotografię z Marsa. Rodzina Fallonów w komplecie, zanim zwała się na nich jedna tragedia po drugiej. Mike z żoną i dwoma synami.

- Zadzwonię do drugiego syna, jeśli chcesz - zaproponował.

- Nie mam drugiego syna - odparł Mike Fallon. - Jeden odrzucił mnie wiele lat temu, drugiego odrzuciłem ja sam. Parszywy interes, co, Kojak?

Kovac jeszcze przez chwilę przyglądał się zdjęciu, po czym odłożył je na stos pozostałych. Stwierdzenie Fallona uderzyło go, poczuł się nagle, jakby w środku miał pustkę, w której odbijają się echem uczucia starego człowieka. A może to były jego własne uczucia? Był nie mniej samotny niż Mike. - Tak, Mike. To parszywy interes.

Liska stała w korytarzu, gapiąc się na drzwi gabinetu numer 126. Służba Wewnętrzna. Kojarzyły się z nią pokoje przesłuchań z lampą w oczy i esesmanem o zimnych oczach, z gumową pałką w dłoni.

Brygada szcurków. Nie miała okazji ich poznać, nigdy przeciwko niej nie prowadzono żadnego dochodzenia. Oczywiście wiedziała, że zadaniem SW jest usuwanie

ze służby złych policjantów, a nie prześladowanie dobrych. Większość funkcjonariuszy jednak na hasło SW reagowała instynktownie: lękiem i pogardą. Policjanci trzymają się razem, wspierają nawzajem. SW zwraca się przeciwko swoim. Jak kanibale.

Awersja Liski wynikała z czegoś jeszcze.

W Minneapolis utarło się, że SW jest dla karierowiczów, wazeliniarzy, lizusów. Typów, co chcą rządzić. Znienawidzonych przez kolegów. Takich, co to, gdy ich ktoś popchnął w piaskownicy, lecieli od razu na skargę do przedszkolanki. Ludzi, którzy nie budzą ani szacunku, ani odruchu solidarności.

Liska pomyślała o Andym Fallonie wiszącym w sypialni. Zastanawiała się, kto mógł mieć coś przeciwko niemu.

Przełamała się i weszła do biura SW. W środku nie było odciętych ludzkich głów, zatkniętych na włócznie. Żadnych łańcuchów na ścianach. Przynajmniej nie w holu recepcyjnym.

- Liska, wydział zabójstw. - Błysnęła legitymacją sekretarce. - Mam się widzieć z porucznik Savard.

Recepcjonistka wyglądała na pięćdziesiątkę z hakiem. Tęga, bez uśmiechu; nie spytała o nic, widocznie takie tu panowały zwyczaje. Zaanonsowała Liszę.

Z holu recepcyjnego prowadziło troje drzwi do gabinetów. W jednym z nich było ciemno, w drugim paliło się światło i drzwi były zamknięte, w trzecim też się paliło, a drzwi były otwarte. Liska zerknęła do tego ostatniego, zobaczyła szczupłego mężczyznę w garniturze i pod krawatem, stojącego za biurkiem ze zmarszczonym czołem, pogrążonego w konwersacji z niskim świńskim blondynem, o krótko przystrzyżonych włosach, w jaskrawozielonym skafandrze z kapturem.

- ...dlaczego mnie odsuwacie - skamlał „jaskrawozielony” irytująco wysokim głosem. - To był koszmar od samego początku. A teraz mi mówicie, że dajecie sprawę komuś innemu.

- Chodzi o to, że śledztwo jest właściwie zakończone. Teraz ja mogę być twoim kontaktem, gdyby ci był potrzebny. To z naszej strony czysta uprzejmość. Niestety, nie mogę poradzić w sprawach personalnych - wyjaśniał ten w garniturze. - Okoliczności obiektywne. A sierżant Fallon już u nas nie pracuje.

„Garnitur” spostrzegł, że Liska się im przygląda. Zmarszczył czoło jeszcze mocniej, wyszedł zza biurka i zamknął drzwi.

- Porucznik Savard oczekuje. - Recepcjonistka przemawiała ściszym głosem przedsiębiorcy pogrzebowego.

W gabinecie porucznik Savard panował nienaganny porządek. Ani śladu zwykłego policyjnego bałaganu. Pod dostatkiem miejsca na wszystko i wszystko na swoim miejscu. To samo można było powiedzieć o pani porucznik. Stała za doskonale wysprzątanym biurkiem, w doskonale skrojonym czarnym żakiecie i takichż spodniach. Czterdziestka albo coś koło tego, idealnie symetryczne rysy, nieskazitelna, porcelanowa cera. Popielatoblond włosy, półdługie i falujące, ostrzyżone i uczesane na pozór niedbale, bez wątpienia wymagały mistrza fryzjerstwa, aby je co rano układać.

Liska z trudem powstrzymała się, żeby nie podnieść ręki i dotknąć własnej, ostrzyżonej na chłopaka czupryny.

- Liska, wydział zabójstw - przedstawiła się, nie podając ręki. - W sprawie Andy'ego Fallona.

- Tak - mruknęła Savard, jakby do siebie. - Jasne.

Wygląda zbyt kobieco jak na reputację, jaką się cieszyła - pomyślała Liska. O Amandzie Savard mówiono, że jest twarda i gładka, ostra i zimna niczym ostrze ze stali wolframowej.

Liska usiadła. Chłodna, swobodna, opanowana. Przynajmniej na zewnątrz. Wyciągnęła notes i pióro.

- To straszna tragedia - powiedziała Savard, opuszczając się na krzesło ostrożnie, jakby miała kłopoty z kręgosłupem i nie chciała tego pokazać. Sięgnęła po filiżankę z kawą, ręka jej drżała nieznacznie. - Lubiłam Andy'ego. To był dobry chłopak.

- Jakim był policjantem?

- Zaangażowanym. Skrupulatnym.

- Kiedy się pani z nim ostatnio widziała?

- W niedzielę wieczorem. Mieliśmy omówić pewne okoliczności sprawy, nad którą pracował. Nie był zadowolony z rezultatów.

- Gdzie się widzieliście?

- U niego w domu.  
- W domu? Nie nazbyt intymnie?  
- Andy był gejem. Ja pojechałam na „Górkę” po gwiazdkowe zakupy. Zadzwoiłam i spytałam, czy mogę wpaść do niego.

- O której to było?  
- Mniej więcej o ósmej. Wyszłam około wpół do dziesiątej.  
- Czy mówił, że się kogoś jeszcze spodziewa?  
- Nie.  
- W jakim nastroju go pani zostawiła?  
- Wydawało się, że w dobrym. Wszystko omówiliśmy.  
- Ale wczoraj nie przyszedł do pracy?  
- Nie. Poprosił o wolny dzień. Mówił, że ma zrobić świąteczne zakupy. Gdyby mi tylko przyszło do głowy... - Odwróciła wzrok, kilka sekund poświęcając na mocniejsze zebranie się w garść.

- Czy wykazywał ostatnio jakieś oznaki kłopotów emocjonalnych?  
Savard pozwoliła sobie na lekkie westchnienie, najwyraźniej zagłębiona w podziwianiu urody wiszącej na ścianie artystycznej czarno-białej fotografii, przedstawiającej pejzaż zimowy.

- Owszem. Był przyciszony. Przygnębiony. Schudł. Wiedziałam, że ma trudności ze sprawą, którą prowadził. I wiedziałam, że dręczą go problemy osobiste. Nie sądziłam jednak, że do tego stopnia, by się targnął na własne życie. Andy umiał sobie radzić.

- Chodził do psychiatrii?  
- Nie, przynajmniej nic mi nie wiadomo. Żałuję, że mu tego wyraźniej nie doradzałam.

- A doradzała pani?  
- Wszystkim pracownikom uświadamiałam, że nasz wydziałowy psychiatra nie jest tu dla ozdoby. Praca w SW to ciężki kawałek chleba. Wiąże się z nią wiele stresów.

- Pewnie. Wykańczanie policjantów ma swoje skutki uboczne - mruknęła Liska, gryzmołąc w notatniku.

- Żli policjanci sami się wykańczają, pani sierżant - oświadczyła Savard, a w jej głosie błysnęła stal. - Nasze zadanie polega na powstrzymaniu ich przed wykańczaniem innych. Wyświadczamy wam usługę.

- Nie miałam zamiaru nic insynuować.

- Oczywiście, że miała pani.

Liska poprawiła się na krześle, spuściła oczy pod lodowatym spojrzeniem zielonych oczu porucznik Savard.

- Straciłam dobrego podoficera śledczego - ciągnęła Savard. - Straciłam młodego człowieka, którego bardzo lubiłam. Czy pani uważa, pani sierżant, że ja nie mam uczuć? Myśli pani, że szczury z SW mają w żyłach lodowatą wodę?

Liska wbijała wzrok w kolana.

- Nie, proszę pani. Przykro mi.

- Pewnie, że pani przykro. Siedzi tu pani i zastanawia się, czy naskarzę na panią zwierzchnikowi.

Liska nie odpowiedziała, ponieważ Savard miała całkowitą rację. Bardziej obchodziło ją, czy ten epizod nie wpłynie negatywnie na jej pozycję zawodową, niż to, czy zraniła uczucia pani porucznik. Smutne, ale prawdziwe. Karierę stawiała na pierwszym miejscu. Odruchowo. Ambicja zawodowa była elementem jej filozofii życiowej: przetrwać za wszelką cenę. Dzięki tej filozofii całe życie wychodziła na swoje. Niestety, miała też za długi język. Nieraz już z tego powodu ucierpiała.

- Niech się pani nie martwi, pani sierżant - dodała znużonym głosem Savard - uodporniłam się.

Po chwili niezręcznego milczenia Liska odezwała się:

- Czy uważa pani, że Andy Fallon targnął się na własne życie?

Brwi Savard leciutko drgnęły.

- A pani uważa, że nie? Powiedziano mi, że Andy się powiesił.

- Znalaziono go powieszzonego, to prawda.



- Mój Boże, chyba nie podejrzewa pani, że został... - Pani porucznik urwała, nie wypowiadając kluczowego słowa: zamordowany. Miała przed sobą detektywa z wydziału zabójstw.

- To mógł być nieszczęśliwy wypadek - powiedziała Liska. - Nie możemy wykluczyć przypadku uduszenia w trakcie praktyk autoerotycznych. To jedna z hipotez.

- Nieszczęśliwy wypadek - powtórzyła Savard, skrywając oczy za rzesami. - To też byłoby straszne, ale i tak lepsze niż cokolwiek innego. W każdym razie powieszenie to niełatwa śmierć. - Musnęła dłonią nasadę szyi, po czym ją opuściła.

- Żadna śmierć nie jest przyjemna - odparła Liska. - Powieszenie przynajmniej trwa krótko. Szybko traci się przytomność. Po paru minutach.

Myśl o tym, jak wygląda te parę minut, uderzyła je obie w tej samej chwili. Liska przełknęła ślinę.

- Nad czym pracował? O jakiej sprawie rozmawialiście w niedzielę wieczorem? O co chodziło?

- Nie jestem upoważniona do ujawnienia tego.

- Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci człowieka, pani porucznik. A jeśli Andy Fallon nie zginął z własnej ręki? Jeśli zginął właśnie przez jedną ze spraw, którymi się zajmował służbowo?

Czekała, aż Savard da za wygraną, ale ta nie zdradzała żadnych oznak, by miało to nastąpić jeszcze w tym dziesięcioleciu.

- Sierżancie Liska, Andy był w depresji - zwróciła uwagę spokojnie. - Znalezione go powieszzonego. Rozumiem, że nie było włamania ani kradzieży, czy tak? Nie mówiłoby się o „podejrzeniu samobójstwa”, gdyby drzwi były wyłamane, a w domu brakowało wieży stereo. Ja nie widzę tu zbrodni, pani sierżant. Ja tu widzę tragedię.

- Jakkolwiek by na to patrzeć - odparła Liska - do mnie należy zebranie i usystematyzowanie wszystkich szczegółów. Pani porucznik, próbuję tylko wykonywać swoje obowiązki. Muszę mieć wgląd w akta i notatki Andy'ego Fallona.

- Wykluczone. Musimy zaczekać na wyniki sekcji.

- Idą święta - zauważyła Liska. - Samobójstw jest cała masa. Do lekarza sądowego trzeba czekać w kolejce. Ładnych parę dni minie, zanim się zabiorą do Fallona.

Savard nie drgnęła powieka.

- Każde dochodzenie prowadzone przez SW to poważna sprawa, pani sierżant. Nie możemy sobie pozwolić na ujawnienie szczegółów, jeśli to nie jest stan wyższej konieczności. Mogłoby to zrujnować czyjąś karierę zawodową.

- Myślałam, że to jest właśnie wasze zadanie. - Liska wstała z krzesła. Zamknęła notatnik, wsunęła do kieszeni kurtki i zrobiła niewinną minkę. - Cholera, znów mi się wyrwało. Przepraszam - powiedziała bez cienia skruchy. - Cóż, kiedy będzie pani rozmawiała z moim porucznikiem o tym, jaka jestem arogancka, proszę nie zapomnieć dodać, że nie chciała pani udzielić pomocy w śledztwie dotyczącym śmierci. Może jemu się uda panią przekonać.

Zasalutowała kpiąco i wyszła.

Recepcjonistka nie zaszczyliła jej nawet spojrzeniem. Drzwi gabinetu faceta w garniturze nadal były zamknięte. Liska słyszała odgłosy kłótni, ale nie mogła rozróżnić słów. Tak czy owak, „jaskrawozielony” przyszedł tutaj w związku z Andym Fallonem. A sprawę przekazano komuś innemu.

Wyszła na korytarz i rozejrzała się. Było pusto, przynajmniej na razie. Ten budynek często sprawiał wrażenie opustoszałego, chociaż był pełen policjantów, przestępców, urzędników miejskich i petentów. Podeszła do minifontanny z wodą pitną w holu naprzeciwko drzwi numer 126 i czekała.

Nie minęły nawet trzy minuty, gdy drzwi się otwały i wyszedł z nich „jaskrawozielony”. Jego twarz miała ten odcień czerwieni, który zupełnie nie pasował do zieleni skafandra. Podeszedł do fontanny, zmoczył dłonie, przyłożył je sobie do policzków. Oddychał głęboko przez wydęte wargi, najwyraźniej starał się uspokoić.

- To miejsce działa na nerwy, co? - zagaiła. „Jaskrawozielony” poderwał się. Jego zielone oczy były bystre, jasne i przezroczyste. I podejrzliwe.

- Ja też nie załatwiłam tego, co miałam tu załatwić - wyznała, przybliżając się do blondyna. - Nie bój się, wszyscy nienawidzą SW, ja też, chociaż tu pracuję.

- Tym więcej masz powodów, no nie? - odparł. - Przekonałem się, że rzeczywiście można ich znienawidzić.

Liska rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Pracujesz w policji? Jesteś wywiadowcą?

Oczywiście prędzej byłby gazeciarem niż wywiadowcą, ale wkupiła się w jego łaski tym pytaniem. Z bliska stwierdziła ze zdziwieniem, że facet jest niewiele wyższy od niej, a z pięć centymetrów dodawały mu podeszwy modnych butów. „Drobniutki” to było określenie, które się samo nasuwało. Miał umalowane oczy i błyszczący na wargach, a w uchu pięć kolczyków.

- Tylko zaniepokojonym obywatelem - wyjaśnił, rozglądając się nerwowo.

- A co cię tak zaniepokoiło?

- niesprawiedliwość.

- To trafiłeś do właściwej instytucji. Teoretycznie. - Wyciągnęła wizytówkę z kieszeni kurtki i wręczyła mu. - Może tylko do niewłaściwych ludzi.

„Jaskrawozielony” wziął wizytówkę. Maniur miał staranniejszy niż ona. Przyglądał się nadrukowi, jakby chciał się nauczyć na pamięć.

- Może - powiedział, wsunął kartonik do kieszeni i odszedł.

## 6

Neil Fallon zerwał nie tylko z ojcem, ale także z miastem. Kovac jechał na zachód szeroką, wielopasmową autostradą numer 394, która stopniowo schudła do czterech pasów, potem do dwóch, następnie do dwóch bez poboczy, aby stać się w końcu wąską wstążką asfaltu, wijącą się wokół zatok jeziora Minnetonka. Przy innych szosach w okolicach tego jeziora stały stare wille, pobudowane niegdyś przez magnatów drzewnych i przemysłowców, oraz nowe rezydencje wznoszone przez zawodowych sportowców i gwiazdy rocka. Przy drodze, którą jechał Kovac, między szosą a jeziorem było tak mało miejsca, że nie starczało go na żadne ostentacje. Na stromych skarpach pod wysokimi sosnami przycupnęły drewniane domki. Niektóre z nich służyły tylko na lato, inne były wędkarskimi budkami, nadającymi się tylko do rozbiórki, jeszcze inne były skromnymi, ale całorocznymi domami mieszkalnymi.

Brat Andy'ego Fallona okazał się właścicielem zbieraniny byle jak skleconych domków kempingowych, stojących na skrawku łądu wciśniętym między jezioro a skrzyżowanie dróg. Bar i Sklep Wędkarski Fallona znajdowały się przy samej drodze; był to budynek nie większy niż duży garaż, z elewacją z zielonej szalówki i zbyt małymi oknami, które sprawiały, że wyglądał, jakby mrużył oczy. W oknach jarzyły się neonowe reklamy piw Millera i Coorsa oraz żywych przynęt wędkarskich.

Myśl, żeby zjeść tu późny lunch, zwiędła i zgasła w pustym brzuchu Kovaca. Wtoczył się tą kupą szmelcu, czyli swoim chevroletem capricena, na skuty mrozem parking, zgasił silnik i przysłuchiwał się, jak przez chwilę jeszcze klekocze. Jeździł tym samym samochodem z wydziałowego taboru już ponad rok. Żaden mechanik nie umiał wyleczyć grata z notorycznej czkawki ani sprawić, żeby działało ogrzewanie. Złożył podanie o inny pojazd, ale musiało wpaść w jakąś biurokratyczną czarną dziurę; telefoniczne ponaglenia nie odnosiły skutku. Być może trudności te miały coś wspólnego z jego rejestrem wypadków, wołał jednak myśleć, że go zwyczajnie mają gdzieś. Był przynajmniej powód, żeby się wkurzać.

We wnętrzu królował stół bilardowy, zajmujący większość powierzchni baru. Ściany z poczerńiałych desek obwieszane były dziesiątkami zdjęć, przedstawiających mężczyzn - klientów, jak można się było domyślić - pokazujących do obiektywu ryby. W telewizorze nad maleńkim kontuarem szła opera mydlana. Tęga kobieta o rzadkich ciemnoblonde włosach, z papierosem przyklejonym w kącie ust, stała za podkowiastym bufetem i wycierała kufel podejrzaną szmatą. „Uwaga, Kovac. Zapamiętaj sobie: pij tu wyłącznie butelkowe”. Po drugiej stronie lady siedział na stołku klient, stary wilk jeziorny z brakami w uzębieniu, w brudnej czerwonej czapce baseballowej na bakier.

- Chyba mu tego nie zrobi - prychnęła kobieta. - Przecież go podobno tak cholernie kocha!

- Kochała - sprostował wilk jeziorny. - Nie oglądasz, czy co, Maureen? Stephano wszczepił jej mikroprocesor do mózgu, i teraz jest całkiem popieprzona. Zła. Nazywają ją teraz „Zła Gina”, nie wiesz?

- To gówno - obwieściła Maureen. Koniec papierosa z długą porcją popiołu rozjarzył się wściekle.

Kovac chrząknął.

- Neil Fallon?

Kobieta zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Czym pan handlujesz?

- Złymi wieściami.

- Jest na zapleczu. Ładna przyjaciółka.

Głową wskazała drzwi kuchenne.

Kuchnia była zapchana niczym karnawałowy kramik; śmierdziało zjełczalym tłuszczem i stęchłymi ścierkami. Może zresztą ten wilgotny odór wziął się od zdechłej rybkiej drobnicy. Kovac wepchnął ręce do kieszeni i otulił się mocniej jesionką. Próbował nie myśleć o tym, gdzie Neil może trzymać żywe przynęty.

Znalazł go na tylnym podwórku, pod wiatą magazynową. Fallon wyglądał jak Mike dwadzieścia lat wcześniej: zbudowany jak byk, o mięsistym, rumianym obliczu i z lekka w dół wygiętych ustach. Podniósł wzrok na Kovaca idącego przez podwórze, po czym

opuścił na twarz maskę spawacza i wrócił do naprawiania płozy skutera śnieżnego. Iskry przyskały wokół palnika niczym fajerwerki na pokazie, błyskały jasno w półmroku wiaty.

- Neil Fallon? - Kovac spróbował przekrzyczeć hałas. Wyciągnął z kieszeni blachę i okazał, starając się trzymać poza zasięgiem iskiei. - Kovac. Policja miejska Minneapolis.

Fallon cofnął się o krok, zgasił palnik i podniósł przyłbicę. Twarz miał bez wyrazu.

- Nie żyje.

Kovac zatrzymał się metr od skutera.

- Ktoś już do pana dzwonił?

- Nie. Tyle że zawsze wiedziałem, iż z tą wiadomością przyślą gliniarza. To wy byliście jego rodziną, ja nigdy. - Wyciągnął z kieszeni kombinezonu czerwoną chustkę i otarł sobie twarz z potu, choć tego popołudnia temperatura wynosiła około minus dwudziestu stopni.

- I co to było? Serce? Czy się schlał i zleciał z tego zasranego fotela?

- Nie przyjechałem w sprawie ojca.

Neil popatrzył na Kovaca, jakby ten nagle przemówił klasyczną greką.

- Jestem tu w sprawie Andy'ego. Nie żyje. Współczuję - dokończył Kovac.

- Andy.

- Pański brat.

- Rany boskie, przecież wiem.

Położył palnik na warsztacie, niezgrabnie. Zdjął grube, brudne rękawice spawalnicze. Zerwał maskę z głowy i rzucił, jakby go parzyła. Upadła z łoskotem w kupę pustych kanistrów.

- Nie żyje? - powiedział bez tchu. - Jak to? Co się stało? To niemożliwe.

- Prawdopodobnie samobójstwo. Albo nieszczęśliwy wypadek.

- Samobójstwo? - powtórzył Fallon. - Gównno. - Oddychając ciężko, podszedł do zardzewiałej metalowej szafki za warsztatem, wyjął na wpół opróżnioną flaszkę old crow, pociągnął dwa słusne łyki. Potem odstawił butelkę i usiadł, obejmując rękami kolana, mieląc pod nosem długi szereg przekleństw. - Andy. - Splunął na ziemię. - Samobójstwo. - Splunął jeszcze raz. - Jezu! - Podszedł do wyjścia i zwymiotował na śnieg.

Każdy reaguje inaczej.

Kovac pogrzebał w kieszeni jesionki i znalazł kawałek nicorette. Gównno.

- Jezu - mamrotał Fallon. Wrócił i usiadł na stołku z pniaka. Butelkę old crow postawił między stopami. - Andy.

- Bardzo byliście blisko? - Kovac oparł się o warsztat.

Fallon pokręcił głową i przeczesał palcami gęste włosy koloru starej rdzy.

- Kiedyś, dawno temu, może. A może wcale. Jako mały chłopak wciąż się na mnie wzorował, byłem starszy, mocniejszy. To ja byłem mężczyzną. Ale to on był oczkiem w głowie Żelaznego Mike'a. Długo go za to nienawidziłem, cholera wie, po co.

Powiedział to tak, jakby sprawa była dawno nieaktualna, ale Kovac wyczuł w jego głosie ślad goryczy. Wiedział z doświadczenia, że rodzinne urazy nigdy tak do końca nie mijają, a może nawet wcale nie mijają. Zamiast tego ludzie przykrywali je i udawali, że ich nie ma - jakby to był jakiś nieładny stary mebel.

- On był taki wzorowy pod każdym względem. - Fallon szturchał starą bliznę. - Sportowiec. Prymus w szkole. No i poszedł w ślady ojca.

Fallon patrzył w ziemię, usta zaciskał w wąską, prostą linię.

- Dla ojca był ucieleśnieniem marzeń. Tak się w każdym razie staremu wydawało. Ze mną było odwrotnie.

Włożył rękę za pazuchę kombinezonu i wydobyl z kieszeni koszuli papierosa i zapalniczkę. Zaciągnął się głęboko i mruknął:

- Mam ich gdzieś! - Zaśmiał się, chwycił szyjkę butelki i pociągnął kolejny haust.

- Widywaliście się często?

Fallon pokręcił głową; Kovac nie był pewien, czy to ma być zaprzeczenie, czy rozmówca wciąż próbuje się otrząsnąć z szoku.

- Wpadał czasami. Lubił powędkować. Trzymał tu swój sprzęt. Zostawiał łódkę na zimę. Taka namiastka braterskich kontaktów. Jakby uważał, że ma obowiązek wspierać mój biznes. Andy był obowiązkowy jak cholera.

- Kiedy rozmawialiście ostatni raz?

- Wpadł w niedzielę, ale nie rozmawiałem z nim. Byłem zajęty. Jakiś facet kupował ode mnie skuter.

- Kiedy ostatnio mieliście jakąś poważną rozmowę?

- Poważną? Będzie z miesiąc temu.

- O czym to było?

Fallon wykrzywił usta.

- Chciał skończyć z ukrywaniem. Tego swojego pedalstwa. Wcale nie musiałem tego słuchać.

- Nie wiedział pan, że był gejem?

- Pewnie, że wiedziałem. Od lat. Jeszcze w szkole. Po prostu wiedziałem. Wcale nie musiał mi tego mówić. - Znowu łyknął z butelki, zaciągnął się papierosem. - Powiedziałem kiedyś o tym staremu. Dawno temu. Wkurzyłem się. Miałem tego dość. Dość tego: „dlaczego nie możesz być taki jak brat?”

Roześmiał się głośno, jakby powiedział coś komicznego.

- Człowieku, ależ mi przyłożył! Omal mi nie złamał szczęki. Jeszcze go nie widziałem w takiej furii. Nawet gdybym powiedział, że Matka Boska źle się prowadziła, toby się tak nie wściekł. Zgrzeszyłem przeciwko ukochanemu syneczkowi. Gdyby nie to, że jest przykuty do tego wózka, toby mnie sprzął na kwaśne jabłko.

- Jakie Andy sprawiał wrażenie, kiedy ci to mówił? Fallon namyślał się przez chwilę.

- Był przejęty - powiedział w końcu. - To było chyba dla niego przeżycie. Powiedział przedtem Mike'owi. To musiała być scena! Dużo bym dał, żeby to zobaczyć. Że też stary nie wykorkował.

Posał papierosa, rzucił niedopałek na podłogę i zgniół pod roboczym butem.

- Wie pan, co jest dziwne? Że mi się żal Andy'ego zrobiło. Ja wiem, co to znaczy rozczarować starego. On nie wiedział.

- Później się jeszcze widzieliście?

- Parę razy. Przyjechał łowić ryby pod lodem. Dałem mu jeden z domków. Innym razem popiliśmy trochę. Chyba zależało mu na wznowieniu stosunków, ale, do jasnej



cholery, co my mieliśmy ze sobą wspólnego prócz ojca? Nic. - Fallon, gapiąc się w podłogę, zapytał cicho: - Jak przyjął to Mike? No, śmierć Andy'ego? - Wypuścił ostatki dymu przez nozdrza. - To on przysłał tu pana? Nie mógł sam zadzwonić. Nie mógł się przyznać, że ten jego idealny synalek okazał się wcale nie taki idealny. Cały Mike! Jeśli nie jesteś idealny, nie nadajesz się do niczego.

Chwyił butelkę za szyjkę, wstał i ruszył do wyjścia.

- W cholere z tym.

Kovac poszedł za nim, opatulając się jesionką. Robiło się coraz chłodniej; panowało takie wilgotne zimno, które przenika do szpiku kości. W głowie mu łupało, nos bolał.

Fallon wyszedł za róg szopy i zatrzymał się, gapiąc na byle jak posklecane budki rybackie, które wynajmował wędkarzom w lecie. Stały, przycupnięte, na brzegu jeziora Minne- tonka, z tym że o tej porze roku nie można było mówić o brzegu jeziora. Wszystko - i ład, i zamarznąta taflę jeziora - pokrywał śnieg; nie dawało się poznać, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Przed nimi rozciągało się jedno wielkie morze bieli, sięgające aż po pomarańczowy horyzont.

- Jak to zrobił?

- Powiesił się.

- Aha.

Tylko tyle: „aha”. Potem powstał jeszcze chwilę, a wiatr przerzucał rzadką mgielkę śniegu z jednej strony jeziora na drugą. Ani zdumienia, ani niedowierzania. Może znał Andy'ego lepiej niż Steve Pierce. A może kiedyś tak życzył bratu śmierci, że dziś łatwiej mu było ją zaakceptować.

- Jak byliśmy mali, to bawiliśmy się w kowboi i koniokradów - powiedział. - I to ja zawsze zostawałem wisielcem. To ja byłem czarnym charakterem. A Andy był zawsze szeryfem. Dziwnie to wyszło.

Milczeli kilka chwil. Kovac wyobrażał sobie, że Fallonowi stają przed oczami dawne czasy. Dwaj mali chłopcy, przed nimi całe życie, bawią się w kowbojskich kapeluszach po dwa dolary sztuka, ujeżdżając kije od szczotek. Jasną przyszłość mącą zazdrość, tarcia i frustracje dorastania.

Wyimaginowane sceny z dzieciństwa zblakły, zastąpione obrazem nagiego Andy'ego Fallona, wiszącego na linie uwiązanej do krokwi.

- Da mi pan łyknąć? - Kovac wskazał podbródkiem butelkę.

Fallon podał mu ją.

- Myślałem, że jest pan na służbie.

- Zawsze jestem na służbie. Poza robotą nie mam nic. Nikomu się nie przyznam, jeśli pan nie doniesie.

Fallon znów popatrzył na jezioro.

- Do diabła z nimi!

Gdy Kovac podjechał, sąsiad krzątał się właśnie wokół swojego domu, wymieniając przepalone żarówki w świątecznej iluminacji. Kovac zatrzymał się na chodniku, przyglądając się, jak wykrecał jedną z aureoli Matki Boskiej i wrzucał do worka na śmieci.

- Nawet jakby się połowa przepaliła, to wciąż miałbym tu słońce za płotem - zaczął Kovac.

Sąsiad zerknął na niego z mieszaniną urazy i niepokoju, przygarnął worek ze śmieciami do piersi. To był niski mężczyzna koło siedemdziesiątki, o małych, złośliwych oczkach, z wyglądu sądząc - typ zahartowany przez życie. Miał na głowie kraciatą pilotkę z nausznikami zwisającymi niczym uszy wyżła.

- A gdzie świąteczna radość? - spytał.

- Przeszła mi po czterech nieprzespanych nocach z powodu tych cholernych lampek. Nie może pan wyłączać tego paskudztwa na noc?

- Widać, że się pan nie zna.

- Widać, że pan oszalał.

- Gdybym to wciąż włączał i wyłączał, mógłby wysiąść transformator i w całej dzielnicy nie byłoby światła.

- Co to by było za szczęście! - mruknął Kovac i poszedł do domu.

Włączył telewizor, żeby mieć towarzystwo, odgrzał w mikrofalce niedojedzoną lazanie, usiadł na kanapie i zaczął grzebać w talerzu. Ciekaw był, czy Mike Fallon siedzi teraz przed swoim wielkoekranowym odbiornikiem, próbując coś zjeść, próbując choć na chwilę uciec przed rozpaczą w codzienne czynności.

Przez te wszystkie lata pracy w wydziale zabójstw Kovac nieraz obserwował ludzi w tej trudnej sytuacji przekraczania linii między zwyczajnością a tym surrealistycznym horrorem, w który zamienia się życie, gdy wkroczy w nie brutalna zbrodnia. Nigdy nie poświęcał temu zbyt wiele uwagi. Nie myślał o takich rzeczach z zasady, nie jest przecież pracownikiem opieki społecznej. Jego robota polega na wyjaśnianiu przestępstwa, niczym więcej. Dziś jednak myślał o Mike'u, pewnie dlatego, że Mike też był policjantem. A może nie tylko dlatego.

Zostawił lazanie i „Randkę w ciemno”, podszedł do biurka i zaczął szperać w szufladzie. Znalazł stary notes z adresami, który nie widział światła dziennego od ładnych paru lat. Była żona figurowała tu pod literą imienia. Wybrał numer, poczekał, odwiesił słuchawkę, gdy włączyła się automatyczna sekretarka. Męski głos. Drugi mąż.

A zresztą co by miał do powiedzenia? „Dziś miałem trupa i to mi przypomniało, że mam dziecko”.

Nie. To mu przypomniało, że nie ma nikogo.

Wrócił do living roomu, do telewizora ze Stone'em Phillipsem i pustego akwarium. Aż nazbyt mu to przypomina Żelaznego Mike'a w jego fotelu rehabilitacyjnym przed wielkim ekranem, samotnego w świetle i pozbawionego wszystkiego prócz gorzkich wspomnień oraz zawiedzionych nadziei. I martwego syna.

Właściwie Kovac na ogół był zadowolony, że nie ma prawdziwego życia. W pracy czuł się bezpiecznie. Wiedział, czego się spodziewać. Wiedział, kim jest. Wiedział, gdzie pasuje. Wiedział, co robić. Poza służbą kiepsko sobie radził z każdą z tych rzeczy.

Można mieć gorszy los niż zostać policjantem. Na ogół lubił swoją pracę, aby tylko bez tych intryg, które bywały z nią związane. Był dobry w tym, co robił. Bez fajerwerków. Bez tego całego szumu, który robił wokół siebie Ace Wyatt, pchając się na czołówki gazet i demonstrując przed kamerami swoje niezłomne oblicze. Po prostu dobry, i to się liczyło.

- Trzymaj się tego, co robisz najlepiej - mruknął do siebie, machnął ręką na kolację, chwycił jesionkę i wyszedł.

Steve Pierce mieszkał na Lowry Hill, w połówce bliźniaka na nijakiej ulicy, położonej zbyt blisko trasy szybkiego ruchu. W dzielnicy zamieszkało pełno yuppie i rozmaitych typów artystycznych, których stać było na restaurowanie starych kamienic. Ten fragment został jednak pocięty estakadami na nieregularne kawałki, gdy modernizowano i poszerzano arterie okręgu Hennepin i Lyndale, i zdeintegrowany nie tylko fizycznie, lecz także psychologicznie.

Sąsiedzi Steve'a Pierce'a mieli skromne iluminacje świąteczne, które nie narażały na szwank dzielnicowych transformatorów. Panował umiar i dobry smak. Tu skromny wianek. Ówdzie coś równie gustownego. Kovac nie znosił swojego osiedla, ale doszedł do wniosku, że tej okolicy nie znosi jeszcze bardziej. Ulica sprawiała wrażenie, że jej mieszkańców nic nie łączy, nawet niechęć.

Dobrze tu dziś pasował.

Siedział w samochodzie; zatrzymał się kilka domów przed domem Pierce'a, po drugiej stronie ulicy, i myślał. Myślał o tym, że Andy Fallon pewnie nie zostawił otwartych drzwi; że Steve Pierce z jednej strony wiedział dużo o swoim starym kumplu, a z drugiej - bardzo mało; że w tej historii musi być coś jeszcze, a Steve Pierce nie chce o tym powiedzieć.

Ludzie kłamią policjantom bez przerwy. Nie tylko ci źli czy winni. Kłamią po prostu wszyscy równo. Niewinni kłamią. Kłamią matki. Kłamią rachityczne gryzpiórki. Kłamią srebrnowłose babcie. Glinom kłamię każdy. To jest chyba zakodowane w genach.

Steve Pierce kłamię. Kovac nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Trzeba tylko zawęzić pole możliwych kłamstw i zdecydować, czy któreś z nich są istotne w sprawie śmierci Andy'ego Fallona.

Wyciągnął spod siedzenia obok paczkę salemów, potrzymał pod nosem, wciągnął głęboko powietrze, odłożył papierosy na miejsce i wysiadł.

Pierce otworzył ubrany w dresowe spodnie i koszulkę miejscowego klubu hokejowego; woń dobrej szkockiej whisky unosiła się wokół niego niczym zapach wody

kolońskiej; w kąciку ust trzymał papierosa. Po tych wszystkich godzinach od znalezienia zwłok Andy'ego Fallona Pierce doszedł do wyglądu człowieka, który od dawna umiera na nieuleczalną chorobę. Zapadnięta, szara twarz, czerwone oczy. Wyjął papierosa z ust, a ich kącik uniósł mu się w szyderyczym grymasie.

- Kogo my widzimy?! Duch Bożego Narodzenia we własnej osobie. A policyjną pałę wziął ze sobą? Bo ja jeszcze nie dosyć dostałem w kość jak na jeden dzień. Najpierw znalazłem mojego przyjaciela nieżywego, potem musiałem się bić z jakimś tępym osiłkiem przebrany za gliniarza, a jeszcze potem mordowali mnie jacyś durni detektywi. To za mało. Przydałoby się jeszcze trochę.

Przewrócił oczami w udawanym szoku.

- Rany! Wydało się! Jestem sado-maso! Cholera!

- Wie pan co - powiedział Kovac - dla mnie to też nie był najlepszy dzień. Musiałem powiedzieć facetowi, który był kiedyś moim wzorem, że jego syn targnął się na swoje życie.

- A w ogóle chciał słuchać?

- Co?

- Mike Fallon. W ogóle chciał słuchać o Andym?

Kovac zmarszczył czoło.

- Nie miał wyboru.

Pierce patrzył na ulicę za plecami Kovaca nieobecny wzrokiem, jakby jakaś część jego psychiki uczepiła się tej rozpaczliwej możliwości, że Andy Fallon nagle zmaterializuje się z mroku i pokaże na chodniku przed domem. Rzeczywistość jednak zwyciężyła. Wyrzucił niedopałek za drzwi.

- Muszę się napić - rzekł i odwróciwszy się na pięcie, ruszył do środka.

Kovac poszedł za nim, rozglądając się po drodze po mieszkaniu. Mocne kolory i dębowe meble. Pewnie antyczne, ale w jakim stylu, Kovac nie miał pojęcia. O architekturze wewnątrz wiedział tyle co nic; potrafił jednak rozpoznać wysoką jakość i także, niewątpliwie, ceny. Ściany przedpokoju usiane były artystycznymi fotogramami oprawionymi w białe *passe-partout* i cienkie czarne ramki.

Weszli do gabinetu o ciemnoniebieskich ścianach i rozłożystych fotelach obitych skórą jak na rękawice baseballowe. Pierce podszedł do stojącego w kącie barku z alkoholorami i dolał sobie do szklaneczki macallana. Pięćdziesiąt dolarów za butelkę. Kovac to akurat wiedział, bo kiedyś go poproszono, żeby kupił taką flaszkę na rachunek, w prezencie dla ostatniego szefa wydziału, kiedy odchodził z roboty. Z własnej kieszeni nigdy w życiu nie zapłacił za flaszkę gorzały więcej niż dwadzieścia dolców.

- Dowiedziałem się od brata Andy'ego, że mniej więcej miesiąc temu Andy wpadł do niego, chcąc mu powiedzieć, że ujawnia się jako gej - oznajmił Kovac, opierając się biodrem o barenk. Pierce zachmurzył się i zaczął wycierać wyimaginowane plamy ze steatytowego blatu. - To chyba nie przypadło do gustu jego ojcu, jak pan sądzi?

- Po co mu w ogóle mówił! - w głosie Pierce'a brzmiała z trudem maskowana złość. - „Tatusiu, przecież wciąż jestem tym samym synem, z którego byłeś taki dumny na meczach” - drwił ponuro. - „Po prostu lubię brać w tyłek, i tyle”.

Wypił whisky, jakby to był sok jabłkowy.

- Rany, czego on się spodziewał? Powinien był dać sobie z tym spokój. Niechby stary dalej się łudził. Przecież ludzie tylko tego chcą. Łudzić się.

- Kiedy się pan dowiedział, że Andy jest gejem?

- Nie wiem. Nie zaznaczyłem w kalendarzu. - Pierce odwrócił się tyłem.

- Miesiąc temu? Rok? Dziesięć lat?

- Dawno. - Zniecierpliwił się. - A co za różnica?

- Czy tylko przed rodziną się z tym krył? Kto poza tym wiedział? Przyjaciele, koledzy?

- Nie wyglądał na pedała - zachnął się Pierce. - Nie afiszował się. Jeśli wolał to utrzymywać dla siebie, to jego sprawa. Na studiach mieliśmy wspólny pokój w akademiku. Wtedy mi powiedział. Nie obchodziło mnie to. Nie przeszkadzało. Miałem więcej pańienek do podrywania dla siebie. Jeden poważny konkurent mniej.

- To dlaczego teraz im powiedział? Ojcu, bratu? Co go do tego skłoniło? Przecież ludzie nie zaczynają się wywnętrzać tak ni z tego, ni z owego. Musi być przyczyna.

- Czy te pytania do czegoś zmierzają? Bo jeśli nie, to wolałbym sobie posiedzieć w spokoju i zalać się w trupa.

- Steve, wcale mi pan nie wygląda na takiego, co chciałby sobie posiedzieć w spokoju. - Kovac odsunął się od barku i oparł o jeden z rozłożystych skórzanych foteli. Nawet pachniał rękawicą baseballisty; za taki zapach pewnie trzeba było dopłacać.

Pierce w trakcie tego całego interview trzymał się sztywno. Ludzie kłamią nawet językiem ciała; tyle że gorzej im to idzie.

- Pański przyjaciel zdecydował się na trudny krok, ujawniając się - powiedział Kovac. - I poszło mu jak najgorzej, przynajmniej z ojcem. Takie odrzucenie może wpędzić w dołek. Zwłaszcza kogoś takiego jak Andy, tak silnie z ojcem związanego.

- Nie.

- Na lustrze napisał „przepraszam”. Po co by to robił, gdyby to była tylko perwersyjna zabawa dla przeżycia orgazmu?

- Nie wiem. Wiem tylko, że nie targnąłby się na swoje życie.

- A może to napisał ktoś inny? - podsunął Kovac. - Może u Andy'ego był kochanek. Zabawiali się, doszło do nieszczęścia... Kochaś się wystraszył... Zna pan przypadkiem nazwiska jego partnerów?

- Nie.

- Ani jednego? Najlepszy przyjaciel nic nie wie? Dziwne.

- Nie interesowałem się jego życiem erotycznym. To mnie absolutnie nie dotyczyło. - Łyknął whisky i gapił się, nadąsany, w gniazdko elektryczne na ścianie.

- Ale rano był pan pewien, że nikt go nie odwiedził. To by mogło wskazywać, że jednak się pan interesował.

- A to mi przypomina, że już raz dzisiaj rozmawialiśmy. Nie mam ochoty na powtórkę.

Kovac rozłożył szeroko ręce.

- Wygląda mi pan na człowieka, który chce zrzucić z siebie jakiś ciężar. Ja tylko chcę panu to ułatwić. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Nie mam panu do powiedzenia nic, co mogłoby mieć dla pana jakąkolwiek wartość.

Kovac pogładził się dłonią po podbródku.

- Na pewno?

W drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz, ratując Pierce'a z opresji. Kovac poszedł za gospodarzem do przedpokoju. Zabójcza blondyna zdążyła już wejść i zdejmowała właśnie krótkie botki. Na stoliku stała torba z jedzeniem na wynos.

Kurczak z czosnkiem i wołowina po mongolsku. Kovacowi zaburczało w żołądku z głodu; wspomniał pozostawioną w domu lazanię z sentymentem, na który zupełnie nie zasługiwała.

- Mówiłem ci, Joss, że nie chcę nic do jedzenia.

- Przecież musisz coś zjeść, kochanie - odezwała się tonem łagodnej wymówki. Rozebrała się z płaszcza. Rysy miała przepiękne, oczy wręcz ogromne. Sięgające do ramion włosy przypominały jasnozłoty jedwab. - To tak pachnie, że powinno przywrócić ci apetyt.

Powiesiła płaszcz na dębowym wieszaku, który wyglądał na stuletni i z pewnością kosztował majątek. Odwróciwszy się, zauważyła Kovaca i usztywniła się. Miała wygląd władczyni, która w swoich komnatach zastaje nieproszonego gościa z gminu. Postawa i pogardliwa mina były isticie królewskie. Bez butów dorównywała wzrostem Pierce'owi. Sprawiała wrażenie wysportowanej. Ubrana była z lekkim konserwatyzmem kogoś od urodzenia zamożnego - drogie tkaniny, klasyczna elegancja: beżowe wełniane spodnie, granatowy zakiet, mięciutki z wyglądu golf w kolorze kości słoniowej.

Kovac błysnął swoim identyfikatorem.

- Kovac, wydział zabójstw. Jestem tu w związku ze sprawą Andy'ego Fallona. Przepraszam szanowną panią za zakłócenie wieczoru.

- Wydział zabójstw? - Zdziwienie i czujność zabrzmiały w jej głosie; oczy jeszcze się powiększyły. Były brązowe jak u sarenki Bambi. - Przecież Andy nie został zamordowany.

- Chcielibyśmy być tego równie pewni jak pani, pani... panno...

- Jocelyn Daring - przedstawiła się, ale nie wyciągnęła ręki. - Jestem narzeczoną Steve'a.

- I córką jego szefa - zaryzykował.

- Przeciąga pan strunę, Kovac - ostrzegł Pierce.



- Przepraszam. Ze mną tak zawsze. Nietakty to moja specjalność. Chyba jestem źle wychowany.

Spojrzenia Jocelyn Daring można by używać do produkcji mrożonek. Kovac się tym nie przejął. Myślał sobie właśnie o tym, że Steve Pierce jest niewątpliwie dobrze zapowiadającym się wybitnym specjalistą firmy „Daring i Landis”, a dobrze zapowiadający się wybitni specjaliści takiej firmy nie mogą sobie pozwolić na żadnego kościotrupa w szafie.

Narzeczona położyła Steve'owi Pierce'owi dłoń na ramieniu w geście otuchy; Kovaca uderzyła zaborczość tego gestu. Nie spuszczała wzroku z Kovaca.

- Czy jest jakiś ważny powód pańskiej tu bytności, panie detektywie? Steve przeżył dzisiaj straszliwy szok. Chcielibyśmy pobycć chwilę sami, żeby to przetrwać. A poza tym przecież to nie jego wina, że Andy popełnił samobójstwo.

Pierce nawet na nią nie spojrzał. Jego wzrok kierował się prosto przez przedpokój, ku otwartym drzwiom gabinetu... albo w inny wymiar. Nietrudno było zgadnąć, co widział. Natomiast prawdziwe pytanie brzmiało, ile to dla niego znaczyło i czy ciężar emocji, które go przytłaczały, miał cokolwiek wspólnego z winą. Jeśli tak, to jaką.

- Miałem po prostu parę pytań, nic więcej. Staram się stworzyć jasny obraz tego, kim był Andy, kim byli jego znajomi, co mogło go skłonić do tego drastycznego kroku, zakładając, że rzeczywiście sam go popełnił. Wie pani, staram się dowiedzieć, czy przeżył ostatnio jakiś zawód, zerwanie, może jakieś osobiste trudności.

Jocelyn Daring otworzyła płaską czarną torebkę, która stała na stole obok torby z jedzeniem. Wyjęła z niej wizytówkę. Palce miała długie i eleganckie; paznokcie błyszcząły niczym szczerze perły. Brylantem, osadzonym w pierścionku na serdecznym palcu lewej ręki, mogłaby się udławić koza.

- Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, to może pan najpierw zadzwoni - doradziła.

Kovac wziął wizytówkę, rzucił na nią okiem i zrobił zdziwioną minę.

- Prawniczka?

- Steven powiedział mi, jak go rano potraktowano. Nie dopuszczę, by się to miało powtórzyć. Czy wyrażam się jasno?

Pierce wciąż nie patrzył na nią. Kovac kiwnął głową.

- Tak. Nie jestem zbyt bystry, ale chyba powoli zaczynam rozumieć, jak się sprawy mają.

Minął ich oboje w drodze ku drzwiom, ale zatrzymał się z dłonią na klamce i obejrzał. Jocelyn Daring stanęła przed narzeczonym, zasłaniając go własną pierśią.

- Znała pani Andy'ego Fallona, panno Daring?

- Tak - odparła obojętnie.

- Wyrazy współczucia z powodu straty - powiedział Kovac i wyszedł na mróz.

Dom Liski stał w szeregu sześciu identycznych domków, przy uliczce w takiej dzielnicy St. Paul, która nie miała nazwy. Tutejsi mawiali, że mieszkają „koło Alei Stołecznej”, ponieważ Aleja Stołeczna była rzeczywiście stołeczna co się zowie. Nawet fakt, że gubernatorem stanu został były zawodowy zapaśnik, nie mógł pozbawić dzielnicy jej splendoru. Miejscowe city, serce Alei Stołecznej, składało się z eleganckich butików i modnych restauracji.

Osiedle, w którym mieszkała Liska, przypominało osiedle Andy'ego Fallona pod tym względem, że było na tyle oddalone od wytwornego centrum, aby dawało się opłacić czynsz z jednych poborów. Teoretycznie eksmąż Liski płacił alimenty, co miało ulżyć jej finansowo w sytuacji samotnej matki; w praktyce jednak to, co dostawała od Speeda Hatchera, miało się nijak do tego, co powinna otrzymywać na mocy wyroku sądowego.

Takie są skutki wychodzenia za tajnego agenta. Tajniacy żyli cały czas na skraju; granica między pracą a życiem prywatnym bywała u nich wyjątkowo nieostra. Jeśli idzie o Speeda, to w ogóle nie istniała. Zbyt lubił skrajności.

Teraz, z perspektywy, Liska widziała, że przebłyski jego nieokiełznanej natury dostrzec można było od początku, jeszcze w czasach, gdy oboje byli w służbie mundurowej. Musiała przyznać, że między innymi to właśnie ją u niego pociągało. To, i olśniewający uśmiech oraz wspaniały tyłek. Nieokiełznanie, cecha pożądana u kochanka, szczególnie pasuje do ojca dzieciom. Uśmiech przestał w końcu skutkować, a zgrabny tyłek okazał się poważnym mankamentem. Zbyt wiele kobiet miało ochotę wziąć go we własne ręce.

Przeglądała zdjęcia Andy'ego Fallona i zastanawiała się, czy jego kochankowie mieli z nim podobne kłopoty. Fallon, zanim ogarnęło go stężenie pośmiertne, musiał być facetem, na widok którego kobietom miękły kolana.

Rozłożyła fotografie na niskim stoliku w salonie, obok miała w pogotowiu płachtę lokalnej gazety z St. Paul, żeby je przykryć, w razie gdyby któregoś z chłopców tu przyniosło, chociaż już od godziny leżeli w łóżkach. Zdarzało się jednak, że jeden czy

drugi przychodził w piżamie, z zaspanymi oczami, żeby się przytulić do niej na kanapie, gdy próbowała się odprężyć przy książce czy telewizorze.

Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby i dzisiaj tak się stało. Mogłaby wypchnąć z myśli te obrazy i przez chwilę popróbować być normalnym człowiekiem. Bolała ją głowa, a mięśnie żuchwy zeszytniały od ciągłego zaciskania zębów. Zwieńczeniem dnia była rozmowa z porucznikiem Leonardem. Dopadł ją, gdy czekała na Kovaca, który się zresztą nie pojawił. Porucznik miał jej za złe, że Jamal Jackson odgraża się, iż pozwie ją za znęcanie się. Oczywiście Jackson nie miał żadnych podstaw, ale spiknął się z jakimś nędznym adwokacją z Ligi Obrony Praw Obywatelskich i razem będą jej zatruwać życie, póki wreszcie sąd nie oddali sprawy. A wzmianka o tym znajdzie się już na zawsze w jej aktach, niezależnie od tego, czy zarzuty były uzasadnione, czy nie. Zaraz będzie miała na karku Służbę Wewnętrzną - i to w trakcie, kiedy sama próbuje węszyć w ich sprawach.

Świetnie. Gdyby cały incydent wydarzył się tydzień wcześniej, mogłaby poznać Andy'ego Fallona jeszcze nie jako denata.

Przyglądała się zdjęciom bez szoku czy odrazy, które byłyby na miejscu u każdej zwyczajnej osoby. Zahartowała się i już od dawna nie podlegała takim odruchowym reakcjom. Patrzyła na fotografie okiem policjanta, wyszukiwała w nich istotnych informacji. Nagle przyszło jej do głowy, że Andy Fallon też miał kiedyś dwanaście lat jak Kyle, jej starszy syn.

Dreszcz przerażenia przebiegł jej po plecach, dała się mu zaskoczyć, bo była zmęczona. Niepokój, że za mało czasu spędza z chłopcami, prześladował ją wciąż, choć na ogół pozostawał na skraju świadomości. Żyli jak na przyspieszonych obrotach. Chłopcy mieli szkołę, zbiórki skautów i treningi hokeja. Ona próbowała pogodzić karierę zawodową ze sprzątaniami, gotowaniem, zakupami, podpisywaniem dzienników, chodzeniem na wywiady i tysiącem innych mniejszych i większych spraw. Wszystkich tak to męczyło, że gdy dzień chylił się ku końcowi, nie mieli siły na pożyteczne spędzenie czasu razem. Czy w porę zauważyłaby, gdyby z którymś z nich zaczęło się dziać coś złego?

Czytała, że praktyki autoerotyczne połączone z duszeniem się nie są wcale takie rzadkie wśród chłopców w wieku dojrzewania. Niemało zejść śmiertelnych nastolatków, zazwyczaj kwalifikowanych jako samobójstwa, w rzeczywistości było nieszczęśliwymi

wypadkami podczas tego rodzaju zabiegów. Kyle miał dopiero dwanaście lat, wciąż bardziej interesował się grami komputerowymi niż dziewczętami, lecz dojrzałość płciowa czaiła się tuż za rogiem. Liska z chęcią przemknęłaby się za ten róg i rozprawiła z dojrzałością płciową za pomocą swojej taktycznej pałki.

Starala się o tym nie myśleć i skupić na Andym Fallonie. Jeśli jego zgon był wynikiem nieszczęśliwego wypadku, to skąd się wziął napis na lustrze? Jeśli tego rodzaju praktyki należały do jego stałego repertuaru, to czy Steve Pierce wiedziałby o nich? Jeśli byli tylko kumplami, to pewnie nie. A jeśli łączyło ich jeszcze coś ponadto...? Jeśli Pierce kłamał; jeśli kłamał, chcąc chronić dobre imię Andy'ego Fallona albo siebie samego?

Na stole leżał *Podręcznik diagnostyczno-statystyczny zaburzeń psychicznych*, wydanie czwarte - czyli PDSZP- IV - otwarty na stronie 529, gdzieś w rozdziale pt. „Masochizm seksualny”. Niesamowite, czego to ludzie nie wymyślą, żeby sobie zrobić dobrze. Były w tym rozmaite pomysły: że się jest gwałconym, bitym, obsikiwanym, a także że się nosi pieluszkę. Mniej więcej w połowie kartki znalazła to, czego szukała:

*Jedną z postaci masochizmu seksualnego, szczególnie niebezpieczną, jest tak zwana hipoksyfilia, która polega na osiągnięciu podniecenia płciowego w wyniku pozbawienia dopływu tlenu... Praktyki związane z powodowaniem niedostatku tlenu mogą odbywać się w pojedynkę lub też z partnerem/partnerką. W wyniku usterek akcesoriów albo niewłaściwego umiejscowienia pętli czy zacisku lub też innych błędów - czasami dochodzi do wypadków śmiertelnych... Masochizm seksualny jest schorzeniem chronicznym, a chory ma tendencję do powtarzania tych samych zachowań...*

„W pojedynkę lub też z partnerem”. Pierwszą reakcją Pierce'a na pytanie o seksualne preferencje Fallona było oburzenie; oburzenie jednak może stanowić przykrywkę dla innych uczuć: zakłopotania, lęku, wstydu. Steve Pierce zeznał, że nie jest gejem. Może próbował ukryć coś wręcz przeciwnego; może lubił tylko wypadki za granicę homoseksualizmu. A może po prostu mówił prawdę, a Andy Fallon miał jakichś innych partnerów. Kogo?

Trzeba się dowiedzieć więcej o prywatnym życiu Andy'ego Fallona. Jeśli dopisze im szczęście, odkryją jakiegoś kochanka. Ktoś, kto przeprowadzałby wywiad na temat życia prywatnego Liski, nie znalazłby literalnie nic. Zero prywatnego życia. Nawet nie pamiętała, kiedy po raz ostatni umówiła się z jakimś sensownym facetem. Stosunki

towarzyskie utrzymywała wyłącznie z gliniarzami, a gliniarze z reguły okazywali się fatalnymi facetami z punktu widzenia kobiety. Normalni mężczyźni natomiast czuli się przy niej nieco onieśmieleni. Sama myśl, że dziewczyna potrafi biegle posługiwać się taktyczną pałką lub też pistoletem kaliber dziewięć, to za wiele na wytrzymałość przeciętnego poczciwca. Co w tej sytuacji ma robić dziewczyna? A zwłaszcza - jako matka dwóch synów - kiedy ma to robić?

Że ktoś stoi u drzwi wejściowych, poczuła ułamek sekundy wcześniej, nim usłyszała delikatne chrobotanie klucza w zamku. Poczuła wzbierającą falę adrenaliny. Złapawszy słuchawkę bezprzewodowego telefonu, zerwała się z kanapy. Nie spuszczała oka z drzwi. Żałowała, że słuchawka to nie jej pistolet; broń trzymała zamkniętą na klucz w komodzie - to był niezbędny środek ostrożności wobec dwóch synów oraz ich kolegów. Pałkę jednak miała, jak zawsze, pod ręką. Prawą dłoń zacisnęła na wyścielanej rękojeści, uderzyła o nadgarstek drugiej ręki dobrze wyćwiczonym ruchem, aby rozciągnąć składany stalowy pręt na pełną długość.

Schowała się za drzwiami, które zaczęły się uchylać, i przyjęła postawę obronną z pałką w dłoniach.

W drzwiach ukazała się pacynka, przedstawiająca Cartmana, jednego z bohaterów serialu „South Park”. Wychynęła okrągła buzia, wielkie oczy spojrzały prosto na Liskę.

- Hej, szanowna pani, chce mi pani dać w tyłek?

Ulga i złość zalały Liskę gorąco-lodową mieszanką, aż poczuła ciarki na skórze.

- Niech cię szlag trafi, Speed! Naprawdę powinnam ci dać w tyłek. Któregoś dnia wygarnę do ciebie ze spluwy przez drzwi i pozwolę się wykrwawić na śmierć na progu. Należałoby ci się.

- Jak ty się odzywasz do ojca własnych dzieci? - Wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Nie po raz pierwszy Liska pożałowała, że dała mu klucze do domu. Nie akceptowała tego, że wraca w jej - i chłopców - życie i znika, kiedy mu się żywnie podoba. Nie chciała jednak zadrażniać z nim stosunków przez wzgląd na synów. Speed to drań, jakich mało; lecz był także ich ojcem, a oni go potrzebowali.

- Chłopcy nie śpią?

- Speed, jest wpół do dwunastej. O tej porze każdy powinien dawno spać. Kyle, R.J. i ja żyjemy w realnym świecie. Wstajemy rano.

Rozłożył ręce i zrobił niewinną minę. Każda inna nabrałaby się na to, ale Liska знаła go zbyt dobrze.

- Czego tak naprawdę chcesz?

Wykrzywił twarz w uśmiechu pirata z romansu. Jest w trakcie jakiejś sprawy - pomyślała. Był wprawdzie ostrzyżony, krótko, niemal po wojskowemu, ale nie golił się od paru dni. Miał na sobie przybrudzoną wojskową panterkę, rozpiętą, a pod nią wytarte dzinsy i starą czarną trykotową bluzę. Mimo to wyglądał diabelnie seksy, trzeba mu było przyznać. Na szczęście dawno już się na to uodporniła.

- Może po prostu ciebie? - Przybliżył się.

Na Lisce nie robiło to najmniejszego wrażenia.

- Spróbuj, a rozwalę ci łeb. Mów, o co chodzi.

- Już nie można wpaść z prezentem dla moich chłopaków? - Zdjął pacynkę z dłoni.

- Co się z tobą dzieje, Nikki? Ugryzło cię co?

- Włamałeś mi się do domu o północy, wystraszyłeś jak jasna cholera i oczekujesz, że się ucieszę na twój widok? Tegoś się spodziewał?

- Nie włamałem się. Mam klucz.

- Tak, masz klucz. A telefonu, psiakrew, nie masz? Chociaż raz mógłbyś z niego skorzystać, a nie wdzierać się jak tornado.

Speed puścił jej słowa mimo uszu. Nie miał zwyczaju odpowiadać na kłopotliwe pytania. Położył Cartmana na stole, a wziął do ręki zdjęcie Andy'ego Fallona.

- Takie horrory poniewierają się po domu, żeby sobie moi chłopcy oglądali?

- Twoi chłopcy - mruknęła, wyrywając mu zdjęcie z ręki. - Ograniczyłeś się do dostarczenia surowca, i to też tylko w połowie. Dlaczego nigdy nie są twoi, kiedy się rozchorują albo trzeba im nowych ciuchów, albo mają kłopoty?

- Czy ja muszę tego wysłuchiwać? - zapytał z udawaną nieszczęśliwą miną.

- Jesteś u mnie. Musisz wysłuchać wszystkiego, co mam ci do powiedzenia.

- Tatusiu!!!

Z tym okrzykiem R.J. rzucił się przez pokój. Przyłgnął do ojca, obejmując go za nogi. Liska szybko odłożyła pałkę i rzuciła gazetę na zdjęcia Fallona, chociaż malec nie zwracał na nic uwagi.

- R.J., chłopie! - Speed roześmiał się, uwolnił nogi z objęć małego, klepnął się z nim dłonią, a potem przykucnął przed nim.

- Nazywaj mnie teraz „Rocket” - powiedział R.J., przecierając zaspane oko. Blond włosy sterczały mu na wszystkie strony. Pizama z emblematem „Minnesota Vikings”, odziedziczona po Kyle’u, była trochę za obszerna. - Chcę mieć pseudo jak ty, tatusiu.

- Rocket. Podoba mi się - oświadczył Speed. - Jest super.

Mały znalazł pacynkę i obaj mężczyźni na pięć minut zatopili się w ożywionej konwersacji o serialu. Cierpliwość stopniowo się Lisce wyczerpywała.

- R.J., jest już strasznie późno - przypomniała. Była wściekła, że musiała to powiedzieć, i wściekła na Speeda, że wmanewrował ją w rolę czarnego charakteru. Pojawiał się i znikał, wnosząc w życie chłopców zabawę i przygodę; jej pozostawała cała reszta: dyscyplina, wychowanie, codzienna harówka.

- Jutro masz szkołę.

Syn podniósł na nią zawiedzione i nadąsane spojrzenie błękitnych, jak jej własne, oczu.

- Przecież tata dopiero przyszedł!

- To się złość na niego. To on wpadł na pomysł przychodzenia w środku nocy, kiedy wszyscy powinni spać.

- Ale ty nie spałaś - zauważył.

- Bo nie mam dziesięciu lat. Jak będziesz miał trzydzieści dwa, to nic nie stanie ci na przeszkodzie, byś siedział po nocach nad robotą i dorabiał się wrzodów żołądka. Masz się do czego spieszyć.

- Ja będę pracował jako tajny agent, jak tata.

- Na razie masz dwie minuty, żeby znaleźć się pod kołdrą.

R.J. i Speed wymienili spojrzenie, które wyrzucało Liskę poza nawias. Speed rozłożył ręce.



- Nie mam tu siły przebicia, Rocket. Lepiej się kładź.

- Mogę zabrać Cartmana ze sobą?

- Jasne. - Zmierzył czuprynę chłopca, przeniósł zainteresowanie na eksmałżonkę.

Liska chciała pocałować syna, ale uchylił się i poszedł do sypialni, przemawiając do kukielki głosem z kreskówki i udając, że puszcza bąki. Kiedy znalazł się poza zasięgiem głosu, Liska spojrzała gniewnie na Speeda.

- Ale z ciebie gnojek! - wysyczała, nie chcąc, żeby chłopcy usłyszeli, choć miała ochotę krzyknąć. - Wcale tu nie przyszedłeś, żeby się zobaczyć z R.J. ...

- Rocketem.

- ...albo Kyle'em. Rozbudziłeś go, nie będzie mógł teraz zasnąć.

- Przykro mi.

- Wcale ci nie jest przykro - powiedziała z goryczą. - Czego chcesz, Speed? Na pewno nie przyszedłeś zapłacić zaległych alimentów, prawda?

Zrobił głęboki wdech.

- W przyszłym tygodniu, obiecuję - powiedział z dobrze wyćwiczoną skruchą. - Właśnie nakręcam sprawę, ale w przyszłym tygodniu...

- Daruj sobie aktorstwo. Mógłbyś występować na scenie. - Liska zdjęła gazetę ze stołu. Zebrała fotografie w plik. - Miałam dziś ciężki dzień. Chciałabym położyć się spać, jeśli pozwolisz.

Speed milczał chwilę, potem wyciągnął rękę i postukał w leżącą na wierzchu fotografię.

- Ktoś, kogo znałem? - zapytał cicho. - Słyszałem, że jeden z waszych skończył ze sobą. To ten?

- Na to wygląda. Facet z SW. Nie mogłeś go znać.

Oboje zaczęli karierę policyjną w St. Paul; on tam został, ona przeniosła się za rzekę, do drugiej części dwójmiasta: do Minneapolis. Speed znał wielu policjantów z Minneapolis, głównie tajniaków i paru ludzi z wydziału zabójstw, ale raczej nie znał Andy'ego Fallona. Nikomu nie przychodzi do głowy z własnej woli zawierać znajomości z facetami z SW.

Speed wyjął zdjęcie z jej dłoni i przyjrzał mu się dokładnie.

- Ale sobie znalazł sposób! Czy ci faceci z SW nie umieją posługiwać się bronią palną?

- Kto wie, co się dzieje w głowie drugiego człowieka.

Na początku małżeństwa często dyskutowali o prowadzonych sprawach i pomagali sobie nawzajem. Liska wspominała to jako „złote czasy”, ten krótki okres, zanim zdrady i rywalizacja zawodowa nie rozdarły tkanki ich związku.

- Może to nie było samobójstwo - powiedziała.

- Rany, wy, z zabójstw, macie zboczenie zawodowe! - Rzucił zdjęcie na stół. - Przecież każdy głupi widzi, że gość ze sobą skończył, Nikki. Po co sobie głowę zawracasz? Sam się powiesił. Samobójstwo albo wypadek, inaczej być nie może. W żadnym razie morderstwo. Daj sobie z tym spokój.

- Jak medycyna sądowa potwierdzi, to dam sobie spokój. Przedtem nie oświadczyła głównie z przekory. - Taką mam pracę. I taka jestem.

- No, dobrze. Ale nie musisz tego przynosić do domu.

- Chcesz mnie oskarżyć o zły wpływ na twoje dzieci. - Zrobiła kwaśną minę. - Słyszałeś, co mówił RJ. Chce być tajniakiem. Niżej już nie można upaść.

- Oj, mógłby. Na przykład iść do SW. Zobacz, jak oni kończą.

Liska nie spojrzała na zdjęcie, które podniósł jej do oczu. Nie musiała.

- W porządku. Dość już tych pogawędek na dzisiejszy wieczór. Było... jak zwykle. Tam są drzwi.

Speed ani drgnął. Zrobił swoją minę pt. „potrafię być dorosły”. Liska westchnęła.

- Wiesz, odwiedziłem cię, bo chciałem zobaczyć, jak ci leci - wyznał. - Słyszałem, że złapałaś to śledztwo, Nikki. Pomyślałem, że może ci być z tym trudno, no bo to był glina, a jeszcze z SW. Z powodu twojego ojca, i w ogóle.

- Mój ojciec się nie zabił - powiedziała Liska za szybko, zbyt napastliwie. Ten błąd sprawił, że poczuła się bezbronna.

- Wiem, ale cała ta sprawa z SW...

- To nie ma nic wspólnego z tamtym - odparła bez przekonania.

Speed się zastanawiał. Widać było, że myśli, jak ma dalej rozgrywać. Jak ma pograć z nią.

Rozłożył ręce. Przyjaciel, spieszący z dobrą radą.

- Ale... No, możesz to rzucić, jak tylko lekarz sądowy potwierdzi samobójstwo. Albo możesz od razu się wycofać. Przecież do takiej sprawy nie trzeba dwójki detektywów. Zwał to na Kojaka.

Złe zagranie. Liska aż się najeżyła, bo zabrzmiało to tak, jakby nie była dość silna, żeby sobie poradzić ze sprawą.

- A co się tak zacząłeś przejmować? Wzięłam sprawę i doprowadzę ją do końca.

- Dobrze. Ja tylko... - Westchnął głęboko, przyglądził włosy dłonią. - Wciąż mi na tobie zależy, Nikki, i tyle. Przeżyliśmy niejedno. To coś znaczy... nawet dla takiego zimnego drania jak ja.

Liska nie odezwała się. Nie ufała ani własnemu głosowi, ani emocjom, które się w niej kłębiły. Nie spodziewała się po nim takiej troski i nie była przygotowana na to, jak się poczuje w tej sytuacji: bezbronna i biedna. Nie podobało jej się to.

Speed sięgnął za pazuchę, wyciągnął papierosa i wetknął go sobie w kąt ust.

- No cóż - powiedział łagodnie, podnosząc rękę do jej policzka. - Nie powiesz chyba, że nigdy nic dla ciebie nie zrobiłem.

Liska cofnęła się, odwróciła twarz.

- Tak - ciągnął. - Wiem, gdzie są drzwi. - Opuścił rękę. - No to na razie, Nikki.

Stał już z dłonią na klamce, gdy wreszcie zdołała się odezwać.

- Ee... Speed. Dziękuję za troskę. Ale nic mi nie będzie. Poradzę sobie. To po prostu zwyczajne śledztwo.

- Jasne. Za dwa dni będziesz to miała z głowy.

Rzucił jej ostatnie przeciągłe spojrzenie; Liska miała wrażenie, że chce jej jeszcze coś powiedzieć. Ale nie powiedział. I już go nie było.

Zamknęła drzwi na dodatkową zasuwę, zgasiła światła zewnętrzne. Zebrała fotografie Andy'ego Fallona, zaniósła je do sypialni i zamknęła w teczce. Zajrzała do chłopców, którzy obaj udawali, że śpią, umyła zęby, przebrała się w zbyt duży

podkoszulek z Narodowej Akademii FBI i poszła do łóżka gapić się w sufit i oglądać przeszłość wirującą jak na karuzeli.

Gimnazjalny bal; córki tańczą z ojcami. Ma trzynaście lat, jest zdruzgotana. Wstydzi się. Poczucie winy ciąży w żołądku jak wielki kamień. Ojciec stoi sztywno obok niej, oczy wbite w ziemię; tak samo jak ona wstydzi się przed tymi ludźmi, których pełno dookoła. Krępy mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu; lewa połowa twarzy obwisła bezwładnie, jakby wszystkie nerwy przecięto nożyczkami. Ludzie gapią się na nich - nie tylko z powodu twarzy ojca, lecz głównie z powodu krążących opowieści: o zarzutach korupcji w jego wydziale policyjnym, o policjantach, którzy kradli pieniądze z narkotyków, o dochodzeniu Służby Wewnętrznej...

Żaden z zarzutów nie był prawdziwy. Nikki wiedziała. Miała wrażenie, że wierzy w to mocniej niż jej ojciec. To ją gniewało. Był niewinny. Dlaczego nie walczył, żeby to potwierdzić? Dlaczego nie splunął im w twarz? Nie zaprzeczył, nie sprzeciwił się, czegoś nie zrobił... Zamiast tego obnosił się ze spuszczoną głową, jakby chciał ukryć i wstyd, i twarz, którą dotknął paraliż wskutek stresu. W głowie brzęczały jej słowa „słabeusz” i „mięczak”. A to z kolei powiększało ciężar żalu i urazy.

Dochodzenie ciągnęło się blisko półtora roku i nie przyniosło potwierdzenia zarzutów. Nie wysunięto żadnych oskarżeń. Wszyscy mieli zapomnieć i wybaczyć. Ale zdrowie Thomasa Liski było poważnie podkopane. Po dwóch latach umarł na raka trzustki.

Liskę czekała bardzo długa noc.

## 8

Zwłoki znaleziono.

Samobójstwo. Nieszczęśliwy wypadek. Tragedia.

Żadnych wzmianek o morderstwie.

Bo czy można nazwać morderstwem coś, co jest podyktowane koniecznością, coś, czemu towarzyszy skrucha?

„Przepraszam”...

Z tego, że ludzie już wiedzą, bierze się jakiś niepokój, chociaż przecież nikt nic nie podejrzewa. To tak, jakby obcy wdarli się gdzieś, gdzie nikt nie powinien mieć wstępu. Sama śmierć była ich wspólną, wyłączną własnością. To, co potem, należy już do wszystkich.

A to w pewnym sensie deprecjonuje przeżycie.

Andy Fallon patrzy z fotografii: w jego wprószymkniętych oczach gaśnie ostatnia isierka życia, język wysuwa się spomiędzy rozchylonych warg. Wyraz twarzy jest jakby oskarżycielski.

„Przepraszam”...

Zdjęcie, trzymane w dłoni, podnosi się do ust; na wizerunku śmierci zostaje złożony pocałunek...

„Przepraszam”...

Skrucha przeradza się w podniecenie.

## 9

Liska niczym burza wpadła do swojego boksu; twarz ściągnięta ze złości, policzki miała zaróżowione od mrozu. Kovac przyglądał się jej z lękiem, bo wiedział, że to mu wcale dobrze nie wróży. Nie drgnął jednak, gdy wwierciła w niego wzrok. Z całej siły uderzyła go kulakiem w lewe ramię. Wrażenie było takie, jakby dostał młotkiem.

- Au!

- To za wczorajsze - wyjaśniła. - Wystawiłeś mnie do wiatru. Czekałam na ciebie i naraziłam się na to, że dopadł mnie Leonard i przemaglował na temat napadu na Nixona i związków Jamala Jacksona z tą sprawą. Wylęgło mu się we łbie, że Jackson może do tego procesu, który chce nam wytoczyć, dodać zarzut o bezzasadne aresztowanie.

- Jakiego procesu? - Kovac rozcierał sobie bolące ramię.

- Jamal grozi procesem. O znęcanie się. Przeciwno mnie.

Kovac przewrócił oczami.

- Na litość boską! Mamy nagranie wideo z całym zajściem. Sprawa jest czysta jak złoto, niech tylko spróbuje nas skarżyć! Gdyby Leonardowi zdawało się, że Jackson ma jakieś podstawy, to byłby z niego taki dureń, że należałoby wezwać tu ludzi od Guinnessa. Niech zapiszą rekord.

- Wiem. - Liska się powoli uspokajała. Wrzuciła torebkę do szuflady biurka, a teczkę postawiła na krześle. - Przepraszam, że cię rąbnęłam. Miałam fatalną noc. Wieczorem wpadł Speed. Nie wyspałam się.

- Rany, chyba nie zaczniesz znów opowieści o seksie?

Liska znów pociemniała na twarzy, zamachnęła się i trafiła Kovaca ściśle w to samo miejsce.

- Au!

Elwood wychylił się nad przepierzenie.

- Mam wezwać policję?

- A po co? - zdziwiła się Liska, ściągając kurtkę. - Popelniono jakieś przestępstwo?

Kovac rozcierał ramię.

- Zgaduję, że powiedziałem coś, co ci się nie spodobało.

- A ten twój nos - zaciekawiał się Elwood - to też ona?

Kovac spróbował przejrzeć się w szkle ekranu monitora, choć po prawdzie dobrze wiedział, jak jego nos wygląda: spuchnięty i siny, niczym u starego pijaka. Dobrze, że nie jest po raz n-ty złamany.

- Znęcanie się fizyczne kobiet nad mężczyznami - ciągnął Elwood - to zjawisko odkryte w naszym społeczeństwie znową milczenia. Służba pomocy ofiarom może ci podać adresy jakichś grup wsparcia. Mam wezwać Kate Conlan?

Kovac rzucił w niego długopisem.

- Spadaj na drzewo!

Liska usadowiła się przy biurku, po czym obróciła z krzesłem ku niemu. Wyglądała na smutną i chyba odrobinę skruszoną.

- Mało spałam, bo mój mózg wolał czuć i rozpamiętywać takie miłe tematy jak ten, że mój eksmałżonek jest wyjątkowym draniem. Co ci się stało w nos? Żelazny Mike nie chciał słuchać o tym, że jego syn lubił perwersje?

- To był wypadek. A wieści przyjął źle. Zerwał z Andym stosunki jakiś miesiąc temu, gdy syn postanowił mu się przyznać, że woli chłopców niż dziewczynki. Ojcu chyba, niełatwo znieść coś takiego. Co ci się udało załatwić w SW?

- Nic. Lodowata porucznik nie poszła na rękę. Dużo pouczeń, zero informacji. Nic nam nie może powiedzieć o prowadzonym przez nich śledztwie, bo to by mogło komuś zaszkodzić.

- A ja sądziłem, że oni uwielbiają ludziom szkodzić. Liska wzruszyła ramionami.

- Była u Fallona w domu w niedzielę wieczorem, między ósmą a wpół do dziesiątej, rozmawiała z nim o dochodzeniu, które mu coś nie szło. Zostawiła go w dobrej formie. Ale mówiła też, że był przygnębiony. Polecenia służbowego, żeby się udał do psychiatry, nie dała, ale sugerowała to i owo.

- Zastosował się?

- Informacja poufna.

- Nikt nie chce rozmawiać, póki lekarz sądowy nie wyda orzeczenia. Wszyscy chcą tylko jednego: usłyszeć, że to było samobójstwo, a wtedy już nikt nie będzie musiał nic mówić. I niech szlag trafi każdego, kto chce się dowiedzieć, dlaczego chłopak to zrobił. Jeśli rzeczywiście sam to zrobił.

Liska wzięła grubo długopis z plastikową, przekrwioną gąbką oczną na końcu. Był to jeden z jej skarbów, jakich wiele trzymała na swoim biurku. Kupowali sobie takie rzeczy nawzajem z Kovakiem, dla dowcipu. Najcenniejszym eksponatem Kovaca był sztuczny palec, zupełnie jak prawdziwy. Wyglądał na odcięty od reszty organizmu piłą mechaniczną. Kovac lubił nim ludzi zaskakiwać: zostawiał na przykład w teczce z raportem albo podrzucał komuś na biurko. Był to najdziwniejszy w życiu prezent, jaki dostał od kobiety. Ciekawe, że dostarczył mu największej radości. Jeśli po dwóch nieudanych małżeństwach z „normalnymi” kobietami człowiek ma najwięcej frajdy z otrzymywania od dziewczyny odciętych części ciała, o czym to świadczy?

- Będziesz na sekcji? - zapytała Liska.

- A po co? Dość się już na niego napatrzyłem. Nie potrzebuję teraz oglądać, jak go kroją bez sensu. Brat powiedział, że Andy jakiś miesiąc temu przyjechał do niego i powiedział, że się ujawnia ze skłonnościami. Przyznał się też ojcu, ale stary nie przyjął tego najlepiej.

- Wtedy popadł w depresję.

- Tak. Śmierdzi samobójstwem z daleka. Z tego, co słyszałem, chłopcy z kryminalistyki jak dotąd niczego ciekawego nie znaleźli.

- Owszem. Ale plotka głosi coś wręcz przeciwnego. Tippen mi mówił, że wczoraj w pubie „U Patryka” aż się trzęsło od opowieści o najrozmaitszych gadżetach seksualnych i gejowskiej pornografii. Skąd, twoim zdaniem, wzięły się te bzdury?

- Jak to skąd? Od tych trzech kretyńskich mundurowych dryblasów. A gdzie ty tak rano widziałaś Tippena?

- W kawiarni „Caribou”. On jest nałogowiec. Co rano pije tam podwójne espresso.

- Prawdziwi policjanci pijają wyłącznie tę lurę, którą dają w kantynie. To tradycja.

- Tradycja to Boże Narodzenie - sprostowała. - Nie ma obowiązku picia podłej kawy. Najbardziej mnie niepokoi seksualne podłoże całej sprawy. Może Andy Fallon był



sado- masochistą? Powiedzmy, że zabawiali się z kochasiem za pomocą liny. Coś tam nie wyszło. Fallon umiera. Partner wieje w popłochu. To już się kwalifikuje na przestępstwo. Nie- udzielenie pomocy. Jeśli nie znacznie więcej.

- Mnie też to chodziło po głowie. Byłem wczoraj u Steve'a Pierce'a. Wygląda mi na gościa, który chętnie zrzuciłby kamień z serca.

- Co ci powiedział?

- Tyle co nic. Przerwała nam narzeczona: śliczna panna Jocelyn Daring, adwokat. Brwi Liski schowały się pod grzywką.

- Daring jak „Daring i Landis”?

- Zaryzykowałem takie twierdzenie. Nikt mnie nie skorygował.

Liska gwizdnęła z cicha.

- Ciekawostka. Co z daktyloskopią?

- Jeszcze nie skończyli. Ale na pewno znajdą odciski Pier- ce'a. Byli przyjaciółmi.

Na biurku Liski zadzwonił telefon. Odwróciła się, aby go odebrać.

Kovac włączył komputer. Postanowił zabrać się do wstępnego meldunku w sprawie zgonu Andy'ego Fallona. Sprawozdanie lekarza sądowego dostaną w tydzień albo i więcej po sekcji. Wiedział, że trzeba będzie zadzwonić do prosektorium wcześniej, żeby się czegoś dowiedzieć o analizach i trochę przyspieszyć sprawę.

W boksie pojawił się nagle porucznik Leonard.

- Kovac! Do mojego gabinetu. Już!

Liska nie podniosła wzroku, udając głęboko pogrążoną w rozmowie przez telefon. Kovac stłumił głębokie westchnienie i poszedł za Leonardem.

Na jednej ze ścian gabinetu porucznika wisiał ogromny kalendarz upstrzony kolorowymi nalepkami. Czerwone oznaczały toczące się dochodzenia w sprawie zabójstw, czarne - zakończone. Pomarańczowe - niezamknięte napady, niebieskie - zakończone. Kolory w służbie walki z przestępczością. Czysto i schludnie. Takiego gówna uczą tych facetów na kursach zarządzania.

Leonard stanął za biurkiem, podparł się pod boki i wykrzywił chmurnie gębę. Miał na sobie brązowy sweter marengo, pod nim koszulę z krawatem. Sweter miał za długie rękawy. Nasuwał Kovacowi na myśl pluszową małą, którą miał w dzieciństwie.

- Dzisiaj dostaniecie wstępne sprawozdanie medyczno-sądowe na temat Fallona.

Kovac potrząsnął głową, jakby miał wodę w uchu.

- Co?! Powiedziano mi, że w ogóle zabiorą się do niego nie wcześniej niż za cztery-pięć dni.

- Załatwione po znajomości. Dla Mike'a Fallona. To przecież bohater naszego wydziału. Wszystkim zależy na tym, żeby jak najmniej cierpiał. No, a okoliczności tego samobójstwa... - Pozbawione warg usta wygięły się niczym robak. Obrzydliwa sprawa: nagi samobójca, a jeszcze ten perwersyjny seksualny podtekst.

- Tak - odparł Kovac. - Jak tak można odebrać sobie życie! Jeśli to rzeczywiście samobójstwo. A jaki wstyd dla wydziału!

- To już sprawa drugorzędna, ale i to trzeba brać pod uwagę - odparł Leonard. - Media tylko czekają, żeby nas obsmarować.

- I będą mieli do czego się przyczepić. Najpierw okazuje się, że przemęczone śródmiejskie gminy spędzają dyżury w nocnych klubach z panienkami. Teraz to. Wyjdzie na to, że u nas regularna sodoma i gomora.

- Zatrzymajcie takie uwagi dla siebie, sierżancie. I nikomu nie wolno o tej sprawie rozmawiać z mediami. Dzisiaj wydam oficjalne oświadczenie. „Przyczyną przedwczesnej śmierci sierżanta Fallona był nieszczęśliwy wypadek. Wydarzenie to napęła nas głębokim bólem. Jego rodzinie składamy serdeczne wyrazy współczucia” - wyrecytował wyuczone słowa, jakby się przymierzając, czy dobrze wypadną.

- Krótko, zwięźle i na temat - ocenił Kovac. - Może być, pod warunkiem, że to prawda.

Leonard wbił w niego wzrok.

- A macie jakiegokolwiek powody przypuszczać, sierżancie, że to nie jest prawda?

- Na razie nie. Dobrze będzie, jeśli uda mi się wszystkie wyjaśnienia pozapinać na ostatni guzik. Sam pan porucznik rozumie, śledztwo w toku. Może to erotyczna zabawa, która się nie udała? Może komuś da się zarzucić karygodne zaniedbanie?

- Macie jakieś dowody, że na miejscu wypadku obecny był ktoś jeszcze?

- Nie.

- I słyszeliście, że miał problemy z depresją, że chodził do wydziałowego psychiatry?

- Ee... no, tak - powiedział Kovac, wiedząc, że to raczej półprawda.

- Miał... kłopoty. - Porucznikowi Leonardowi najwyraźniej mówienie na ten temat sprawiało przykrość.

- Wiem, że był gejem, jeśli to ma pan porucznik na myśli.

- No to nie wsadzajcie kija w mrowisko! - warknął Leonard. Wykazując nagle zainteresowanie papierami, usiadł i otworzył jakąś teczkę. - Nic nie zyskamy, zajmując się tym wątkiem. Fallon zabił się sam celowo albo przez przypadek. Im prędzej to zamkniemy, tym lepiej. Macie przecież jeszcze parę innych niezakończonych spraw.

- Ach, jasne - zgodził się Kovac oziębło. - Moje „morderstwa jutra”.

- Wasze co?!

- Nic, panie poruczniku.

- Zakończcie to i wracajcie do napadu na Nixona. Prokurator hrabstwa suszy mi o to głowę. Porachunki gangów mają pierwszeństwo.

Tak - myślał Kovac, wracając do swojego boksu. Obniżać statystyki bandyckich rozrób, bo trzeba udobruchać radę miejską. A sprawie dziwnej, niewytłumaczalnej śmierci policjanta ukręcić łeb jak najszybciej.

Pomyślał, że właściwie powinien być zadowolony. Przecież i jemu samemu, tak jak Leonardowi, zależało na jak najszybszym zakończeniu sprawy. Tyle że z zupełnie innego powodu. Tak naprawdę Leonarda nie obchodził Żelazny Mike. Pewnie go nawet w życiu nie widział na oczy. Leonardowi chodziło o dobre imię wydziału. A Kovacowi zależało na tym, żeby mieć sprawę za sobą, zależało ze względu na Mike'a. Tak samo jak temu komuś, kto popchnął sprawę u lekarza sądowego. Mimo to czuł ucisk w dołku, mocny, jakby ktoś przyłożył tam pięść; znajomy jak dotyk kochanki. A może bardziej znajomy, uwzględniając fakt, że od bardzo dawna jej nie miał.

Liska rzuciła mu płaszcz.

- Przydałby się papierosek, co, Sam?

- Że co? Przecież rzuciłem. Niech cię szlag z taką pomocą!

- No to trochę świeżego powietrza. Przewietrzyć płucka.

Podeszła do niego blisko i rzuciła znaczące spojrzenie. Poszedł za nią do drzwi.

- Fallon załatwiony - powiedział, naciągając jesionkę, kiedy znaleźli się za drzwiami.

Liska popatrzyła na niego ze zdziwieniem, tak jak on na Leonarda, tyle że jeszcze większym.

- Sekcja już zrobiona.

- Że co?

- Wszystkim zależy, żeby wyszło na śmierć z własnej ręki. Tyle że życzą sobie ją nazwać przypadkową; żeby Mike'owi łatwiej to było przełknąć. Dziś będziemy mieli raport wstępny i błogosławieństwo Leonarda. Na górze nie chcą, żeby Mike - no i wydział - musiał się dłużej trapić paskudnymi okolicznościami tej śmierci.

- No pewnie, że nie chcą. - Liska nagle zbladła.

Nie odzywała się, czekała, aż znajdą się na zewnątrz budynku. Kovac o nic nie pytał. Pracowali ze sobą dość długo; nie musiał. Partnerstwo to pewien rodzaj intymności psychicznej czy emocjonalnej - bez seksualnego podtekstu, oczywiście. Im bardziej nadawali na jednej fali, tym lepiej szła im praca. Z Liska współpraca układała mu się lepiej niż z kimkolwiek dotychczas. Rozumieli się. I szanowali.

Szedł za nią labiryntem korytarzy. Wyszli rzadko używanymi drzwiami po północnej stronie gmachu. Słońce świeciło jasno, wręcz oślepiało nad śniegiem. Niebo było jasnoblękitne niczym jajko rudzika. Zwodniczo piękny dzień; mróz i wiatr. Tu, po północnej stronie - gdzie słońce nie dochodziło, za to wiatr hulał bez przeszkód - nie było nikogo. Ludzie woleli się trzymać południowej strony, niczym arktyczne ptaki szukające ciepła.

Kovac aż się skrzywił, gdy ziąb chlasnął go po twarzy. Wepchnął dłonie głęboko w kieszenie i zgarbił się, stanąwszy tyłem do wiatru.

- Leonard powiedział ci, że Fallon załatwiony - zaczęła Liska.

- Powiedział: skończyć i zapomnieć.

- Kto załatwił sekcję tak szybko?

- Ktoś wyżej w łańcuchu pokarmowym.

Liska popatrzyła na ulicę; jej mięśnie szczęki napięły się. Wiatr tarosił jej krótkie włosy i wywoływał łzawienie oczu. Kovac czuł, że nie spodoba mu się to, co od niej usłyszy.

- Co cię kłuje w tyłek? - zapytał z irytacją. - Zimniej tu, niż wiało od mojej drugiej teściowej.

- Właśnie zadzwonił do mnie ktoś, kto twierdził, że wie, nad czym pracował Andy Fallon.

- Czy ten ktoś ma jakieś nazwisko?

- Jeszcze nie. Ale wczoraj go widziałam w biurze SW. Jeszcze jeden rozczarowany klient.

Pięść w dołku wbiła się mocniej i zaczęła wiercić.

- A nad czym, jego zdaniem, Fallon pracował? Podniosła na niego wzrok.

- Nad morderstwem.

- Morderstwo?! - Kovac był pełen niedowierzania. - A odkąd to SW tyka się morderstw? Nie ma mowy. Każda zbrodnia trafia do wydziału, bo panowie z SW nie mają o tym zielonego pojęcia. Jak to możliwe, żeby Fallon pracował nad jakimś zabójstwem, a my nic o tym nie wiedzieliśmy? Gówna prawda.

- A jednak możliwe, jeśli myśmy zamknęli sprawę. Pamiętasz Erica Curtisa?

- Curtisa? Tego krawężnika, co go rąbnęli po służbie? Bandzior, który go załatwił, przecież siedzi. Jak mu tam było, Vermin?

- Verma. Renaldo Verma.

- Seria napadów rabunkowych. Ofiary to geje. Miał na sumieniu... ile? Trzy czy cztery przez półtora roku.

- Cztery. Dwie ofiary zmarły. Curtis był ostatni.

- Modus operandi taki sam za każdym razem, prawda? Napad, pobicie, rabunek.

- Tak. Tyle że Eric Curtis był gliną - dodała Liska z naciskiem.

- I co z tego?

- Był policjantem i gejem. Według mojego tajemniczego informatora parę miesięcy przed śmiercią Curtis złożył skargę do SW, że jest szykanowany z powodu swoich preferencji seksualnych.

- Chcesz powiedzieć, że z tego powodu zabił go jakiś policjant?! Rany boskie. Dzwonek, jeśli w to wierzysz, to natychmiast składaj podanie o posadę Fallona.

- Odpiernicz się, Kojak! - warknęła. - Nienawidzę SW. Ich i tego, co robią ludziom. Nawet nie wiesz, jak nienawidzę. Jednak Eric Curtis był policjantem i gejem, a teraz nie żyje. - Jej samej nie podobało się to, co mówiła. Skrzywiła się. Mimo to stała tuż przed nim i nie dawała za wygraną. Taka już była: nie było dla niej spraw złych czy obrzydliwych. Wychodziła na ring i walczyła do upadłego.

- A ja się właśnie dowiaduję, że zakończenie sprawy Fallona to już tylko czysta formalność - uzupełnił Kovac, gapiąc się na ulicę.

- I tobie się to nie podoba, Sam - powiedziała spokojnie. - Czujesz to przez skórę, prawda?

Odpowiedział nie od razu. Począł, aż przewinie mu się wszystko w głowie niczym film, a kurant zegara na ratuszu odegra swoje *White Christmas*.

- Tak - odparł w końcu. - Nic a nic mi się tu nie podoba.

Przez chwilę milczeli oboje. Ulicą Czwartą toczyły się samochody. Wiatr wył w przesmykach utworzonych przez wieżowce, łopotały flagi przed urzędowymi gmachami po drugiej stronie ulicy.

- Prawdopodobnie Andy Fallon zabił się sam - rzekła Liska. - Na miejscu zdarzenia nie było nic, co wskazywałoby na inną możliwość. Po prostu zadzwonił do mnie facet, któremu nie zależy na Andym Fallonie i pewnie chce tylko załatwić jakąś swoją prywatną sprawę; poza tym zależy mu na odgrzebaniu sprawy Curtisa, bo mu to na rękę... A co, jeśli jednak jest inaczej, Sam? Andy Fallon ma tylko nas. I Mike'a. Sam mnie uczyłeś. W czyim interesie tak naprawdę pracujemy?

- Ofiary - mruknął. Ciężki ucisk w dołku nie zelżał. Działają w interesie ofiary. Właczał to do głowy niezliczonym stażystom i praktykantom. Ofiara nie może się bronić. To detektyw musi zadawać właściwe pytania, drążyć i kopać, przewracać niebo i ziemię, aby znaleźć prawdę. Czasami sprawa jest prosta. Ale czasami nie.

- Komu to szkodzi, jeśli zadamy jeszcze parę pytań? - Zabrzmiało to tak, jakby chciał się znaleźć w książce *Słynne ostatnie słowa*.

- Przecież już rozmawiałam z pańską partnerką, sierżancie. - Porucznik Savard ledwie zaszyciła go spojrzeniem i wróciła do sterty meldunków na biurku. - A na wypadek, gdyby pan nie wiedział, śmierć Andy'ego Fallona uznano za nieszczęśliwy wypadek.

- W rekordowym tempie.

Na to pani porucznik poświęciła mu więcej uwagi. Zieleń jej oczu była niemal wstrząsająca. Czyste i zimne spojrzenie spod brwi o kilka odcieni ciemniejszych niż popielatoblond włosy. Ten kontrast wzmacniał jeszcze surowość jej miny. Kovac nie mógł uniknąć myśli, że niejednego gliniarza musiała tym spojrzeniem nieźle wystraszyć.

Za długo tkwił w branży, żeby się bać. Był odporny. Albo za głupi.

Usiadł na krześle naprzeciwko, oddzielony od niej biurkiem, skrzyżował nogi. Kiedyś, sto lat temu, współpracował przez moment z SW; to było w czasach, kiedy wydziałem kierował prawdziwy policjant, nie jakiś pierniczony karierowicz szykujący się do skoku na wysoki stołek. Nie wstydził się tamtej współpracy. Nie miał sympatii dla złych glin. Ale nie miał też sympatii dla takiej pracy.

W tamtych czasach w całej policji nie znalazłoby się takiego porucznika jak ten, naprzeciwko którego siedział.

- Cholernie miło z ich strony, że go posiekali tak szybko, nie sądzi pani? Zwłaszcza biorąc pod uwagę, ile teraz mają w prosektorium roboty. Zwłok mają tyle, że mogliby układać w sagi.

- Poszli na rękę.

Kovac przyłapał się na tym, że przygląda się jej wargom. Miały idealny kształt tatarskiego łuku i pokrywała je prawie niewidoczna warstwa pomadki.

- Taa... - powiedział. - Staremu Mike'owi i ja pewnie też powinienem pójść na rękę, no nie? Znała go pani? Znaczą Mike'a Fallona?

Znów patrzyła w papiery.

- Znam go. Rozmawiałam z nim dziś telefonicznie, złożyłam kondolencje.

- No tak, pani jest za młoda. Za czasów Żelaznego Mike'a nie mogło pani być tutaj. Ma pani jakieś... ile? Trzydzieści siedem, trzydzieści osiem?

Zrobiła minę, jakby wzięła do ust coś gorzkiego.

- To nie pana interes, sierżancie. I udzielię panu rady. Kiedy zgaduje się wiek kobiety, to lepiej się pomylić na minus.

Kovac się skrzywił.

- Tak daleko trafiłem?

- Nie. Tak blisko. Jestem próżna. A teraz, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu... - Podniosła jakieś papiery, zaczęła przekładać. Delikatna aluzja, żeby wyszedł.

- Tylko kilka pytań.

- Niepotrzebne panu ani pytania, ani odpowiedzi. Sprawa jest zakończona.

- Chodzi mi o Mike'a. To dla niego chcę się tego i owego wywiedzieć. Śmierć dziecka to ciężki cios dla ojca. Jeśli mogę mu trochę ulżyć, opowiadając o ostatnich dniach Andy'ego, to chcę to zrobić. Chyba nie proszę o zbyt wiele, nie sądzi pani?

- Owszem, zbyt wiele, jeśli chodzi panu o tajne informacje dotyczące dochodzenia prowadzonego przez Służbę Wewnętrzną. - Savard odsunęła krzesło od biurka.

Najpierw próbowała mu dać do zrozumienia, żeby wyszedł. Teraz próbuje go wypędzić. Kovac przez chwilę nie wstawał, chcąc ją trochę zirytować, uświadomić jej, że nie da za wygraną zbyt łatwo. Obeszła biurko, żeby go odprowadzić do drzwi. Poczekał, aż znajdzie się przy jego krześle, i wstał, co zmusiło ją do zatrzymania się. Cofnęła się pół kroku i zachmurzyła; nie lubiła się cofać.

- Wiem o sprawie Curtisa - zablefował.

- No to wcale nie potrzebuje już pan ze mną rozmawiać, prawda?

Kwaśny uśmiezek uniósł kącik ust detektywa.

- Chyba nie dostała pani tej posady w ramach przywilejów dla kobiet, pani porucznik?

- Może mi pan wierzyć, sierżancie Kovac, mam kwalifikacje więcej niż wystarczające.



W jej głosie zabrzmiało coś jakby rozbawienie, chociaż ciemniejsze. Może ironia. Zdziwił się; nie mógł wyczuć, co to było ani skąd się brało, ani dlaczego dała mu to zauważyć. Teraz nie miało to dla niego znaczenia, ale postanowił zarejestrować to swoje zdziwienie i zastanowić się nad sprawą później, jeśli uzna to za konieczne.

Założył ręce na piersi i przysiadł na krawędzi blatu biurka, gdy ona tymczasem zmierzała ku drzwiom. W zielonych oczach błysnęła irytacja. Gniew zaróżowił policzki. Tak - pomyślał - powinny wyglądać w telewizji panie w randze porucznika: eleganckie, z klasą, w szykownym stalowoszarym kostiumie. Chłodne, opanowane, ze stonowanym seksapilem.

Za wiele klasy, jak na ciebie, Kovac - pomyślał. Porucznik. Jezu! Nawet patrzeć na nią nie powinien.

- Wiedziała pani, że Andy Fallon był gejem?

- Jego życie osobiste znajdowało się poza zakresem moich zainteresowań.

- Nie o to pytałem.

- Tak, powiedział mi, że jest gejem.

- Przed pani wizytą u niego w niedzielę wieczorem?

- Przeciąga pan strunę, sierżancie. Już panu mówiłam, nie będę odpowiadać na pańskie pytania. Czy naprawdę chce pan, żebym porozmawiała o tym z pańskim porucznikiem?

- Może pani do niego zadzwonić, ale jest zajęty. Ćwiczy mowę: „to był tragiczny wypadek, teraz spuśćmy na to zasłonę milczenia”.

- Powinien poćwiczyć na panu.

- Powiedziałem mu, co o tym myślę. Nie do rytmu, nie do taktu. On się nadaje do przekładania papierków i niczego więcej.

- Jestem pewna, że bardzo liczy się z pańską opinią.

- Jasne. Tyle co nic. Bardziej się przejmie tym, co pani powie, jeśli się pani zdecyduje. Zaprosi mnie do gabinetu i każe robić, co mi każe, albo mnie zawiesi. Trzydzieści dni bez płacy. I wszystko dlatego, że chcę zrobić coś dla innego policjanta. Życie jest porąbane, a są dni, kiedy się wszystkiego odechciewa. Ale co mam zrobić? Powiesić się?

Twarz porucznik Savard pociemniała.

- To nie było zabawne, sierżancie.

- I nie miało być. Chciałem tylko przypomnieć pani Andy'ego Fallona. Chce pani zobaczyć zdjęcia? - Wyciągnął odbitkę z kieszeni na piersi i gestem prestidigitatora podetknął przed oczy. - Jest na co popatrzeć, no nie?

Krew odpłynęła z twarzy pani porucznik. Wyglądała, jakby miała ochotę uderzyć go ciężkim przedmiotem.

- Proszę to zabrać.

Kovac odwrócił fotografię i popatrzył na nią beznamyślnie, jak ktoś, kto widział takie widoki setki razy.

- Znała go pani. Była z nim pani jakoś związana. Przykro pani, że nie żyje. Proszę pomyśleć, jak się czuje jego ojciec.

- Proszę to zabrać - powtórzyła. W głosie pojawił się cień drżenia. - Proszę.

Wsunął odbitkę z powrotem do kieszeni.

- Czy zechce pani pomóc w rozwianiu wszystkich wątpliwości ojca?

- Czyżby Mike Fallon miał wątpliwości co do tego, że Andy poniósł śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku?

- Mike miał wątpliwości co do tego, kim Andy był. Odsunęła się od niego, milczała chwilę, namyślała się, rozważała.

- Nikogo tak naprawdę się nie zna. Nie do końca. Większość nas nie zna nawet samych siebie.

Kovac przyglądał się jej, zaintrygowany nagłym przeskokiem w stronę filozofii. Wyglądało na to, że rzeczywiście zebrało się jej na refleksje.

- Ja, pani porucznik, nie mam wątpliwości, kim jestem.

- A kim pan jest, sierżancie Kovac?

- Jestem dokładnie tym kimś, kogo pani widzi - odparł, rozkładając ręce. - Zwykły platfus, prostoliniowy gliniarz w tanim garniturze z domu wysyłkowego. Chodzący i mówiący stereotyp. Zle się odżywiam, za dużo piję i palę, chociaż próbuję rzucić, co należy mi zapisać na plus. Nie startuję w maratonach, nie ćwiczę tai- chi ani nie komponuję w

wolnych chwilach oper. Jeśli mam pytanie, pytam. Ludziom nie zawsze to przypada do gustu, ale, niech to szlag trafi, przeklinanie to jedna z wielu moich wad, której się już nie pozbędę. Ach, jeszcze jedno. Jestem uparty jak osioł.

Savard wygięła brwi w łuk.

- Niech zgadnę. Jest pan rozwiedziony?

- Dwukrotnie, ale to mnie nie powstrzyma przed spróbowaniem jeszcze raz. Pod tanią marynarką bije serce nieuleczalnego romantyka.

- A są inni romantycy?

Kovac wolał nie odpowiadać. Zamiast tego powiedział:

- Robię to dla Mike'a. Rozpytuję o jego chłopaka, próbuję ułożyć jakiś obraz, z którym stary będzie mógł żyć. Pomoże mi pani?

Savard myślała przez moment, przetrawiała, przyglądała się, ważyła za i przeciw.

- Andy Fallon był dobrym dochodzeniowcem - rzekła w końcu. - Zawsze się starał. Czasami za bardzo.

- Co to znaczy „za bardzo”?

- Praca przesłaniała mu wszystko. Pracował za ciężko, a niepowodzenia brał sobie za bardzo do serca.

- Miał ostatnio jakieś niepowodzenie? Sprawa Curtisa?

- Zabójca funkcjonariusza Curtisa siedzi za kratkami i czeka na wyrok.

- Renaldo Verma.

- Skoro pan to wie, to powinien też wiedzieć, że w naszym wydziale nie prowadzimy żadnego dochodzenia związanego z Erikiem Curtisem.

- Pewnie już nie, skoro prowadzący dochodzenie nie żyje.

- Tej sprawy nie prowadziliśmy i przed śmiercią Andy'ego.

- Czy Curtis skarżył się na szykany?

Porucznik Savard milczała.

Kovac poczuł, że cierpliwość mu się wyczerpuje.

- Pani posłucha, mogę iść do męża zaufania do spraw mniejszości seksualnych. Curtis na pewno z nim rozmawiał, zanim złożył u was skargę. Ale potem wrócę tutaj, a wydaje mi się, że wolałaby pani mnie już nie widzieć.

- Tak - odparła i pozwoliła tej odpowiedzi zawisnąć w powietrzu. - Funkcjonariusz Curtis złożył skargę niedługo przed śmiercią. Dlatego SW interesowała się śledztwem w sprawie jego śmierci. Dowody jednak wskazywały wyłącznie na Vermę, więc zamknęliśmy dochodzenie, gdy sprawca przyznał się do winy.

- A nazwiska funkcjonariuszy, których skarga dotyczyła?

- Nie ujawniamy ich.

- Mogę się do nich dokopać.

- Może się pan dokopywać, do czego pan chce. Ale nie u mnie. Sprawa jest zakończona i nie mamy powodu do niej wracać.

- No to dlaczego Fallon był taki rozstrojony, skoro zabójca siedzi w areszcie?

- Nie wiem. Andy był mocno przytłoczony od miesiąca czy dwóch. Tylko on mógłby powiedzieć, o co chodziło. Mnie się nie zwierzał. A ja nie zajmuję się spekulacjami. Nikt nie potrafi wnikać w serce drugiego. Zbyt wiele jest barier.

- Na pewno. - Kovac patrzył jej w oczy bez mrugnięcia, starając się przeniknąć przez jej bariery. Bez rezultatu, musiał to przyznać. To były grube mury. Kobieta nie doszłaby do takiego stanowiska, gdyby pozwalała sobie na ujawnianie własnych słabości. - Dobrze by było - ciągnął - gdyby zechciała pani pomóc mi w przesiewaniu tego gówna. Tkwę w tym po kolana, już mi nawet smród przestał przeszkadzać.

Pani porucznik nie odezwała się, chociaż Kovac odniósł wrażenie, że miała wiele do powiedzenia, a nawet że słowa zaczynają w niej wzbierać jak woda przegrodzona zaporą. Wyczuwał, że jest napięta. W końcu jednak odstąpiła od niego o krok.

- Niech pan zabiera swoje sitko i idzie przesiewać gdzie indziej, sierżancie Kovac. - Otworzyła drzwi na oścież, wskazując hali recepcyjny. - Ja już panu powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia.

Kovac ruszył niespiesznie. Kiedy zrównał się z Amandą Savard, zatrzymał się. O włos wewnątrz jej strefy komfortu. Na tyle blisko, że poczuł delikatną woń jej perfum.

Dość blisko, by widzieć pulsowanie pod jej delikatną skórą w zagłębieniu nad mostkiem.  
Wystarczająco, by poczuć lekkie mrowienie elektryczności pod własną skórą.

- Chyba nie, pani porucznik - powiedział cicho. - Dziękuję, że mi pani poświęciła swój czas.

Renaldo Verma był oślizgłym szczurem. Szczupły, żyłasty, miał ten wyprany wygląd długoletniego ćpuna, którym w rzeczywistości był. Trudno było sobie wyobrazić, żeby mógł kogoś fizycznie pokonać, tym bardziej funkcjonariusza policji. Niemniej przyznał się do nieumyślnego zabójstwa w wyniku pobicia mężczyzny kijem baseballowym. Był wielokrotnym recydywistą, jego akta zawierały długą listę: od nagabywania do narkotyków, od drobnych kradzieży do włamań. Napad i zabójstwo były najnowszym uzupełnieniem repertuaru; wykazał się w nich szczególnym talentem. Napady rabunkowe w jego wykonaniu wyróżniały się schematem, którego trzymał się ściśle. Policjani psychiatrzy nazywają to podpisem; przestępca powtarza pewne czynności, które są niekonieczne dla powodzenia samego przestępstwa, lecz wynikają z jakiejś wewnętrznej psychicznej potrzeby. Gdyby udało mu się uniknąć aresztowania, skończyłby zapewne jako seryjny morderca.

Verma wszedł do pokoju przesłuchań zawadiackim krokiem, jakby miał z czego być dumny. Usiadł naprzeciwko Kovaca i od razu sięgnął do leżącej na stole paczki salemów. Dłonie miał długie i kościste, jak łapy gryzonia, a skórę poznaczoną plamami, które mogły być objawem AIDS.

- Nie powinienem z panem rozmawiać bez adwokata - oznajmił na wstępie i wydmuchnął dym przez nozdrza. Nos miał cienki i długi, z parą garbków na grzbiecie. Cienkie niczym ołówek wąsy wyglądały nad jego górną wargą jak brudny cień. Mówił afektownie, trochę po kobiecemu i miał wyszukany sposób gestykulacji. Cała górna połowa ciała kiwała się, zgięła i skręcała w czasie mówienia, jakby w głowie rozbrzmiewała mu taneczna muzyka.

- To dzwoń, ale szybko - powiedział Kovac, wstając - bo ja nie mam czasu na żadne bzdety. Zanim tu dojedzie, ja już będę daleko, a ty zostaniesz z rachunkiem do zapłacenia.

- Rachunek to zapłacą podatnicy - zadrwił Verma; kościste ramiona zadrgały mu od tłumionego śmiechu, klatka piersiowa zapadła się. - Czym się mam przejmować?

- Taa, widzę, że wszystko masz gdzieś - zauważył Kovac. - Ale wiem, że powiesz mi to, co chcę usłyszeć, bo masz ze mną interes do ubicia. Tylko że już za późno na interesy. Jak sobie pościeliłeś, tak się wyśpisz, już prokuratura o to zadba. Masz murowane miejsce w St. Cloud.

- O, co to, to nie - odparł Verma hardo. - Mam rezerwację w Oak Park Heights. Nie zamierzam siedzieć w tej zasranej kamiennej twierdzy na północy. To są lochy. Ja idę do Heights. To było w ugodzie. Mam w Heights znajomych.

Kovac wyciągnął złożoną kartkę z wewnętrznej kieszeni marynarki, przyjrzał się jej, jakby była czymś ważniejszym niż kwitem z pralni, potem schował z powrotem.

- Dobrze, skoro tak ci się wydaje.

Verma podejrzliwie zmrużył oczy.

- O co ci chodzi? Zgodzili się. Umowa obowiązuje.

Kovac obojętnie wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie. Mnie interesuje tylko zabójstwo Erica Curtisa.

- Ja tego nie zrobiłem.

- Wiesz, ilu łachudrów tak mówi? Każdy, kogo tylko zahaczyć. Czy muszę ci tłumaczyć, że nie gawędzimy sobie w Ritzu?

- Przyznałem się do zabójstwa Franza. Nieumyślnego; nie miałem zamiaru go zabić.

- Oczywiście, że nie miałeś. Skąd mogłeś wiedzieć, że głowa nie wytrzyma walenia kijem baseballowym.

- Nie poszedłem tam specjalnie, żeby go zabić - uściślił Verma, obrażony.

- Ach, rozumiem. To jego wina, że był w domu, kiedy się zjawiłeś, aby go okraść. Po prostu idiota. Powinieneś dostać medal za usunięcie z puli genowej wybrakowanego egzemplarza.

Verma wstał.

- Słuchaj, Kovac, zejdź mi z tyłka.

- Pewnie. Już się nim zajmie jakiś twój przyjaciel spod celi. Myślisz, że pojedzie za tobą do St. Cloud? A może będziesz musiał poszukać sobie nowego?

Verma dźgnął w stronę Kovaca papierosem, sypiąc popiołem po stole.

- Nie wybieram się do St. Cloud. A ty rozmawiaj z moim adwokatem.

- Twoim adwokatem! Tym zapracowanym, źle opłacanym najemnikiem administracji hrabstwa Hennepin. Tak, zobaczę się z nim. Ciekaw jestem, czy w ogóle pamięta twoje nazwisko. - Kovac wstał, obszedł stolik dookoła i położył dłoń na kościstym ramieniu Vermy. - Pan będzie łaskaw usiąść, panie Verma.

Verma z łoskotem padł na krzesło. Zdusił papierosa na blacie stołu i zapalił następnego.

- Nie zabiłem tego gliniarza.

- No pewnie. A prokurator cię oskarżył po prostu dla sportu. Bo chciał jakiemś smutasowi u siebie w biurze dołożyć papierkowej roboty. - Kovac przewrócił oczami i usiadł na drugim krześle. - Przestań się wygłupiać. Oskarżył cię, bo to zabójstwo pasowało do ciebie jak ulał. Identyczny modus operandi.

- Nigdy nie słyszałeś o podszywaniu się?

- A ktoś by się chciał podszywać akurat pod ciebie?

- No to czemu prokuratura poszła na ugodę? - zapytał Verma zadowolony z siebie.

- Gównu na mnie mieli, jeśli idzie o Curtisa. Ani odcisków, ani świadków.

- Czyżby? Jeśli nie załatwiłeś Curtisa, to skąd się wziął jego zegarek w twoim mieszkaniu?

- Sam bym chciał wiedzieć. Ja go na pewno nie przyniosłem. Po cholere miałbym kraść jakiegoś zasranego timeksa?

- Zawsze może się przydać - zauważył Kovac. - Znałeś Erica Curtisa, prawda? Przymknął cię za nagabywanie, dwa razy.

Verma wzruszył ramionami, wydął wargi i skromnie spuścił oczy.

- Nie miałem mu za złe. Zaproponowałem mu nawet numerka za darmo. Fajny gość. Powiedział: „Może następnym razem”. Szkoda, podobał mi się.

- Właśnie, wpadłeś do niego spróbować, czy coś z tego będzie... i potem samo poszło.



- Nie - stanowczo zaprzeczył Verma. Zaciągnął się mocno papierosem, patrząc Kovacowi prosto w oczy. Wydmuchnął dym prosto na pierś Kovaca. - Słuchaj, Kojak, wszyscy gliniarze, z którymi miałem do czynienia, próbowali mi wcisnąć zabójstwo Curtisa i żadnemu się nie udało. Próbował prokurator i też mu się nie udało.

Pochylił się przez stół, próbując uwodzicielskiej miny. Kovac niemal się wzdrygnął.

- Wiem, że jesteś cholernie napalony - mruknął Verma - ale i tobie nie uda się mi nic wcisnąć.

- Wolałbym wsadzić do kontaktu.

Verma odchylił się do tyłu i zaczął się szaleńczo śmiać.

- Człowieku, mówisz tak, bo nie wiesz, co tracisz.

- Wierz mi. Niczego nie tracę.

Verma zachichotał, po czym wywalił jęzor i zaczął nim sprośnie wymachiwać.

- Chyba nie chcesz, Kojak, żebym ci obciągnął laskę? A może wylizać ci tyłek?

- Rany boskie! - Kovac odsunął krzesło, wstał, wyciągnął brązowy szalik z kieszeni jesionki, która wisiała na oparciu krzesła, podszedł do kąta, gdzie znajdowała się kamera wideo, i powiesił szalik na obiektywie.

Verma wyprostował się, jedną ręką złapał się nerwowo za szyję.

- Człowieku, co jest grane?

- O-o, Renaldo! - Kovac, wróciwszy do stolika, szeroko otworzył oczy i odezwał się szeptem: - Chyba kamera już nie działa.

Verma chciał zerwać się z krzesła, ale Kovac chwycił go za kark i przytrzymał zdecydowanie. Pochylił się nad nim.

- Jedyne, co mam ochotę wsadzić ci w dupę, to czubek mojego buta - powiedział cicho. - Koniec pierdoł, Verma. Myślisz, że nie mam w St. Cloud ludzi, którzy chętnie wyświadczą mi przysługę?

- Nie idę do... - Nacisk na kark wzmógł się, przerywając mu. Verma wtulił głowę w ramiona.

- Mój siostrzeniec jest tam strażnikiem - zełgał Kovac. - Wielkie chłopisko, prosto ze wsi. Niezbyt lotny, za to wierny mi jak pies. Trochę nerwus.

- Dobrze, dobrze.

Kovac puścił go i wrócił na krzesło.

- Musiałem spróbować - cmoknął Verma i sięgnął po sa- lemy. Kovac odsunął paczkę poza jego zasięg, wytrząsnął z niej papierosa i zapalił, tłumacząc sobie, że to posunięcie taktyczne, a nie uleganie nałogowi. - Ach, jaki brutal! - ciągnął Verma, grając skromnisią. - To mi się podoba.

- Verma...

- Czego chcesz? - zapytał z udawanym oburzeniem. - Czego ty ode mnie chcesz, Kojak? Mam się przyznać, że załatwiłem Curtisa? Odpieprz się! Mam ugodę. Nie załatwiłem go. Prokurator nawet nie naciskał, bo gównu na mnie mieli. Tyle że zostało mi to na reputacji. Powiedzieli, że sprawę Franza mają murowaną, więc zaproponowali ugodę, żeby nie trwonić państwowych pieniędzy na proces. Mnie to pasowało. Nie zaszkodzi mi, że chłopcy z Height będą myśleli, iż załatwiłem gliniarza. Ale ja Curtisa nie załatwiłem. Jeśli chcesz wiedzieć, kto go załatwił, spytaj swojego sierżanta z wydziału zabójstw, Springera. On wie.

Kovac pozostawił tę rewelację bez komentarza, jakby uznał ją za nieistotną. Patrzył przed siebie i palił, rozmyślając, jakie to okropne, że naprawdę lubi to uczucie, gdy substancje smoliste i nikotyna osadzają mu się w płucach.

- Tak? - odezwał się w końcu, spojrzawszy na Verme. - No to dlaczego sukinsyna nie aresztował?

- Bo ten sukinsyn okazał się też gliniarzem.

- Tak twierdzisz.

- Tak twierdzi ten przystojniaczek ze Służby Wewnętrznej.

- Nie wiem, o kogo ci chodzi. - Kovac poczuł, że nerwy napinają mu się jak postronki.

- Szczupły, umięśniony, śliczny jak model od Versace'a. - Verma zamknął oczy i wymamrotał: - Mniam, mniam.

- Coś takiego! Wpada do ciebie na pogawędkę szczur z SW i wali prosto z mostu, że jego zdaniem policjant załatwił Curtisa?

Verma wysunął dolną wargę i rozparł się na krześle. Kovac miał ochotę mu przyłożyć. Powiedział jednak:

- No dobrze. O co cię wypytywał?

Verma wzruszył ramionami.

- To i tamto. Co było w czasie zabójstwa. Co było po zabójstwie. O śledztwo... ogólnie rzecz biorąc.

- I co mu powiedziałaś?

- Sam go zapytaj.

- Pytam ciebie. Powinieneś się cieszyć, Renaldo. Cenię cię wyżej niż SW. Zresztą o to nietrudno, to gnoje.

- Powiedziałem mu, że nie zabiłem Curtisa i gównu mnie obchodzi, ilu jeszcze gliniarzy będzie chciało, żebym się przyznał. Nie przyznałem się ani jemu, ani Springerowi, ani temu mundurowemu.

- Jakiemu mundurowemu?

- Temu, któremu zawdzięczam to - pokazał na większy z garbków na grzbiecie nosa. - Twierdził, że stawiałem opór.

- Składam wyrazy ubolewania w imieniu wydziału - powiedział Kovac bez skruchy.

- Ten mundurowy miał jakieś nazwisko?

- Wielki bydlak. Nazwałem go Tępy Osilek. Nie przypadło mu to do gustu. Jego partner wołał na niego „B.O.” Przeczytałem imię na jego plakietce, zanim mnie znokautował. Ogden.

- Ogden - powtórzył Kovac, a przez głowę z zawrotną prędkością przeleciała migawka: Steve Pierce kotłujący się na podłodze w kuchni Andy'ego Fallona z wielkim bydlakiem. Wielki bydlak gramoli się na nogi, a krew bucha mu z nosa.

Ogden.

- Prokuratura poszła z Vermą na ugode, bo wasi ludzie spieprzyli robotę - Chris Logan nie owijał w bawełnę. Przerzucił stos papierów na biurku. - Pogadaj z Calem Springerem, jak wyglądały poszlaki i dowody. Zapytaj go, jak im poszła rewizja.

- Z dowodami było coś nie za bardzo? - Kovac stał w drzwiach ciasnego gabinetu prokuratora Logana, który właśnie zamierzał wyjść do sądu na rozprawę, mającą zacząć się za pięć minut.

Logan zaklął półgłosem, wpatrując się w bałagan na biurku. Podparł się rękami pod boki. Był wysoki, wysportowany. Trzydzieści parę lat, przystojny, łatwo się obrażał. Twardy facet z dyplomem prawnika i zapalczywym charakterem.

Dobry oskarżyciel. Uzbrojone ramię Teda Sabina, prokuratora hrabstwa, który rzadko osobiście występował w sądzie.

- Było źle od początku do końca - burknął.

Schylił się do kosza stojącego przy biurku i zaczął przerzucać pomięte kartki, papierki od cukierków, podarte opakowania od potraw na wynos. Wyciągnął kulę pogniecionego żółtego papieru, wielkości piłki tenisowej, rozpostarł ją, przyjrzał się charakterowi pisma. Po chwili wydał westchnienie ulgi i wzniósł oczy do nieba. Włożył kartkę do teczki i ruszył do drzwi.

Kovac poszedł za nim i zrównał się.

- Muszę być w sądzie - powiedział Logan, przepychając się wśród ludzi spieszących korytarzami prokuratury.

- Ja też nie mam za wiele czasu. - Kovac zastanawiał się, czy porucznik Savard zrealizowała pogrózkę i zadzwoniła do jego szefa. Trudno ją było rozszyfrować; nie wiedział, czego się po niej spodziewać. Nie wiadomo, kiedy Leonard wezwie go na „rozmowę zasadniczą”.

Wsiedli do pustej windy, a Kovac, posługując się policyjną plaketką, wstrzymał tych, którzy chcieli wejść za nimi.

- Sprawy służbowe, przepraszam - oznajmił, wciskając wolną ręką guzik „zamykanie drzwi”.

Logan wyglądał na niezadowolonego, lecz, prawdę mówiąc, prawie zawsze tak wyglądał.

- Mieliśmy tylko poszlaki - powiedział. - Zetknęli się przedtem, był motyw, modus operandi w stylu Vermy. Ale nie mieliśmy świadków, którzy by widzieli Vermę na miejscu zbrodni lub w pobliżu. Nie było żadnych śladów fizycznych, żadnych dowodów rzeczowych. Ani odcisków palców, ani włókien, ani płynów ustrojowych. W pozostałych przypadkach Verma onanizował się na miejscu zbrodni. Tutaj nie. Nie wiemy, dlaczego. Może coś go spłoszyło. Może nie dał rady się podniecić. Kto wie? Mogło być cokolwiek.

- A co było z tym zegarkiem? - Winda właśnie stanęła, za rozsuwającymi się drzwiami ukazało się ludzkie rojowisko.

W korytarzach sądowych nieustannie kłębił się tłum krętaczy i ludzi wypłoszonych, cwaniaków i zdezorientowanych, nowicjuszy i starych wyg sądowych - wszystkich, których urzędowe wezwanie wkręciło w tryby maszyny sprawiedliwości hrabstwa Hennepin.

- Jakiś mundurowy palant twierdził, że znalazł go w szufladzie u Vermy, ale śmierdziało to z daleka - odparł Logan, skreślając ku drzwiom sali sądowej. - Ani jednego odcisku palca. Żaden dowód. Biorąc pod uwagę, że wasz wydział ostatnio parę razy podpadł za fabrykowanie dowodów, Sabin w ogóle nie miał zamiaru tego wykorzystywać.

- Mimo że ofiarą był policjant - zauważył Kovac z niesmakiem.

Logan rozłożył ręce, podchodząc do swojego stanowiska.

- Nie mieliśmy szans na wygranie tej sprawy. Nie mogliśmy się narażać na kolejny pozew o odszkodowanie. Zresztą po co było się w to pchać? Mieliśmy Vermę na widelcu za Franza. Przyznał się. I tak ma siedzieć.

- Za zabójstwo w afekcie.

- Ale do tego dochodzi umyślne ciężkie uszkodzenie ciała i napad. To nie byle co. No, a Franza zabił przecież jego własnym kijem baseballowym. Przypadkowe narzędzie. Nie mieliśmy na czym oprzeć zarzutu o premedytację.

- Czy były jakieś głosy, że to nie Verma załatwił Curtisa? Że jest w to wrabiany?

- Były ploty, że Curtisa szykanowali jacyś ludzie ze służby patrolowej, z powodu tego, że był gejem. Ale do morderstwa jeszcze daleko, a poza tym poszlaki wielkimi literami krzyczały „Verma”.

Kovac westchnął i rozejrzał się po sali. Strażnik sądowy flirtował z protokolantką. Adwokatka, niska kobieta, o szpakowatych lokach zebranych w kok, w dużych okularach bez oprawki, postawiła ogromną tekę na biurku obrońcy i podeszła do Logana z kwaśną miną.

- Ostatnia szansa na ugodę, Chris.

- Nigdy w życiu, Phyllis. - Logan wyciągnął z teczki plik akt gruby jak Biblia. - Nie ma litości dla amatorów pornografii dziecięcej.

- Szkoda, że morderców nie traktujecie tak surowo - powiedział Kovac na odchodnym.

- Po co pojechałeś do Vermy? - spytała Liska, sięgając po frytkę do plastikowego czerwonego koszyczka, w którym przybyła porcja Kovaca. Spóźniła się, zamówił sobie jedzenie, nie czekając na nią. - Przecież to załgany gnój - dodała.

- Znasz go?

- Nie. - Zanurzyła drugą frytkę w jego keczupie. - Ale wszyscy to załgane gnoje. Tak można uogólnić moje dzisiejsze doświadczenia.

- Zamówić ci coś? - Skinął na kelnerkę.

- Nie. Zjem trochę od ciebie.

- Nie ma mowy. Na dzień dzisiejszy jesteś mi winna dziewięćdziesiąt dwa tysiące frytek. Sobie nigdy nie zamawiasz.

- Są tuczące.

- Co? Moje są mniej tuczące?

Błysnęła uśmiechem.

- Właśnie. A poza tym rzuciłeś palenie, będziesz tył. Wyświadczam ci przysługę. Po co jechałeś do Vermy?

Kovac odgryzł kęs hamburgera i poczuł, jak mija mu apetyt. „Patryka” wybrał z przyzwyczajenia, a teraz żałował. Lokal był jak zwykle pełen policjantów. Znalazł stolik w głębi, w kącie sali. Czuł się adekwatnie: zagnany w róg. Nie podobało mu się, co usłyszał od Vermy; nie podobało mu się, że zagłębiając się w życie Andy'ego Fallona, będzie

natykał się głównie na policjantów, a wiele wskazuje na to, że część z nich to nie będą dobrzy policjanci.

- Bo SW weszła w sprawie Curtisa. Nie wiem, dlaczego. Savard nie chciała mi powiedzieć. - Mówił przyciszonym głosem, nie chcąc, by go słyszano przy sąsiednich stolikach. - Może zajmowali się samym morderstwem, jak twierdził ten twój facet. Albo też przyglądali się, jak było prowadzone śledztwo. Chciałem się czegoś dowiedzieć, zanim pójde do Springera po informacje.

- Cal Springer to dureń, krowiego gówna na pastwisku by nie znalazł - oświadczyła Liska i zamówiła colę u ślamazarnej kelnerki. - Ale o nadużycia czy kombinacje nigdy nikt go nie podejrzewał.

- To idiota - zgodził się Kovac. - Nadęty palant. Więcej się zajmuje związkami zawodowymi niż właściwą robotą. Niemniej jednak sprawa Curtisa wyglądała na łatwiznę. Nawet Springer nie powinien był jej spieprzyć. Ale Verma twierdzi, że jest niewinny.

Liska spojrzała z udawaną zgrozą.

- Ach, nie! Uwięziono niewinnego człowieka!

- Tak. Jest czysty jak ła - zadrwił Kovac. - Ale poszli z nim na ugodę. On twierdzi, że zegarek Curtisa podrzucił mu do domu policjant. Ogden.

Liska zmarszczyła czoło.

- Ten Ogden? Wczorajszy?

- Żaden inny. W każdym razie tego rodzaju insynuacje na pewno zainteresowały SW. Logan powiedział mi, iż sprawa śmierdziała na odległość tak potężnie, że Sabin wolał się do tego nie dotykać. A Ted Sabin byle czym się nie zraża, jak wiemy. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że Curtis to policjant.

- Curtis przede wszystkim był gejem - przypomniała Liska. - Ofiarą przestępcy, który uderzał w jawnych gejów. Myślisz, że pani burmistrz i jej zausznicy mieli ochotę, by media nagłośniły sprawę?

Kovac skwitował słuszność uwagi uniesieniem brwi.

- Na dodatek Verm a twierdzi, że Curtisa załatwił policjant.

- Dlaczego nic o tym dotąd nie słyszeliśmy? - Liska była najwyraźniej wzburzona tym, że znalazła się poza kręgiem dobrze poinformowanych.

- Dobrze pytanie. SW zajęła się tym dopiero jakiś miesiąc temu. Verma siedzi w pace już przynajmniej dwa. Może nikt nie wiedział, że SW wtrąciła się w sprawę. Springer na pewno by tego nie rozgłaszał. Tak by się trząśł o swój tyłek, że by mu mowę odjęło. - Zachichotał. - Ha! SW na tyłku Calowi Springerowi! Bomba!

Liska nie podzielała rozbawienia Kovaca, lecz on wcale tego nie zauważył.

- Może nikt nie wiedział, póki Andy Fallon nie ujawnił - skomentowała.

- Możesz nas umówić z tym twoim tajemniczym informatorem, żebyśmy się trochę więcej dowiedzieli?

Lisce zrzęda mina.

- Mam czekać, aż sam się odezwie. Nie chciał mi dać swojego numeru dziś rano. Wyglądał na wypłoszonego.

- Jego nazwisko i numer telefonu musi mieć SW.

- Ale nam nie dadzą. Nie możemy nawet o to poprosić. Śledztwo zostało oficjalnie zakończone.

- Będzie zakończone wtedy, kiedy ja je zakończę. - Kovac bez entuzjazmu uświadomił sobie, że zaczyna bronić własnego podwórka. To jego sprawa. Nikt mu nie będzie mówił, jak ją prowadzić, kiedy zakończyć ani nic innego. Prowadzi śledztwo, póki nie jest zadowolony. A teraz wiele mu brakowało do zadowolenia.

- Tym razem sprawa nie będzie taka prosta - odparła Liska. - Zgadnij, kto załatwił, że ciało Andy'ego Fallona przeskoczyło wszystkie pozostałe zwłoki czekające w kolejce na sekcję?

Kovac skrzywił się boleśnie.

- Nie będę zachwycony tą wieścią, prawda?

- Murowane.

Westchnął ciężko i przesunął do niej swój talerz.

- Niech to szlag! Kto?



Liska odkroiła nadgryziony kawałek hamburgera, potem wzięła solidny kęs bułki. Ketchup pociekł jej z kącika ust. Otarła brodę serwetką i popatrzyła Kovacowi prosto w oczy.

- AceWyatt.

Kovac jęknął.

- Ten skurwiel.

- Przysługa dla Mike'a.

- Taa. Użył swoich wpływów. Dla nas to w każdym razie żadna przysługa.

Pociągnął łyk piwa i rozejrzał się po sali, przypominając sobie, jak wyglądała w czasie pożegnalnej imprezy Ace'a Wyatta: udekorowana, zatłoczona, duszna, zadymiona. Zobaczył Mike'a Fallona na podłodze, zażenowanie na twarzy Wyatta.

Pomyślał sobie, że to czyjaś wdzięczność za ocalenie życia dźwiga się z trudem, zwłaszcza jeśli uratowany wciąż o niej przypomina. Niekończące się zobowiązanie. Ace Wyatt wciąż ratował Mike'a Fallona, wyświadczał mu przysługi. To prawdopodobnie też wpływ Wyatta, ten nacisk, by śmierć Andy'ego uznać za nieszczęśliwy wypadek raczej niż samobójstwo; Mike'owi łatwiej byłoby się z tym pogodzić, no i kwota z polisy na życie Andy'ego mogłaby zostać wypłacona.

- Masz wyniki sekcji? - zapytał. - Maggie Stone napisała już sprawozdanie?

- To nie Stone robiła sekcję. Zajął się tym niejaki Upshaw.

- Upshaw? Co to za jeden, do jasnej cholery?

- Jakiś nowy. Niebrzydki, jeśli się nie ma nic przeciwko temu, że facet cały dzień grzebie w trupach. Ja tam mam. - Liska wykończyła hamburgera.

- Jakies inne cechy szczególne? Może półgłówek?

- Może, to się nie rzuca w oczy. Czy zna się na swoim fachu, za wcześniej oceniać.

- Rewelacyjnie.

- Wstępne sprawozdanie stwierdza, że Fallon zmarł wskutek uduszenia. Nie ma innych obrażeń. Nie ma śladów walki.

- Uprawiał seks?

- Doktor Upshaw twierdzi, że nie znalazł płynu nasiennego tam, gdzie go nie powinno być. Więc jeśli to wypadek przy zabawie erotycznej, to albo uprawiali seks bezpieczny, albo czekali z aktem na finalny moment. Albo to w ogóle nie miało nic wspólnego z seksem.

- Toksykologia?

- Na piśmie jeszcze nic nie ma, ale dzwoniłam do laboratorium i rozmawiałam z Barkinem. Znaleźli u Fallona trochę alkoholu we krwi - 0,4. Poza tym barbiturany. Takie coś, co się nazywa zolpidem, pigułka nasenna, ma nazwę handlową Ambien. To by wskazywało bardziej na samobójstwo niż na zabawy erotyczne, chociaż nie ma mowy o dawce śmiertelnej, nawet biorąc pod uwagę łączne działanie. Wielu z tych, co chcą odebrać sobie życie, najpierw bierze coś na przymulenie. Gdyby natomiast znaleźli rohypnol czy coś w tym rodzaju, byłaby to zupełnie inna sprawa.

Kovac zmarszczył czoło, coś zamajaczyło mu w pamięci, ale mgliście.

- Czy ktoś sprawdzał apteczkę w domu Andy'ego?

- Chyba nikomu nie przyszło to wtedy do głowy.

- Muszę ją sprawdzić.

- Nie dostaniesz nakazu.

- A po co mi nakaz? Kogo to obchodzi?

Liska wzruszyła ramionami i zassała colę przez słomkę. Podniosła wzrok. Nie poderwała się, ale spojrzenie jej stwardniało.

- Co jest? - zainteresował się Kovac.

- Cal Springer we własnej osobie. Wygląda, jakby się obżarł meksykańskiej fasolówki i nie mógł puścić bąka.

Springer przeciskał się przez tłum, jakby kij połknął; mięśnie miał napięte, twarz czerwoną ze złości albo z zimna, albo z jednego i drugiego. Miał podłużną, płaską twarz z długim, zakrzywionym nosem; nad nim wznosiła się nieporządna szopa szpakowatych, kręconych włosów. Na widok Kovaca oczy mu zabłyśły. Ruszył ku nim i wpadł na ślamazarną kelnerkę. Rozlała piwo i zaklęła, a Springer zaczął ją nieudolnie przeproszać.

Kovac pokręcił głową.

- Hej, Cal, słyszałem, że na damach robisz piorunujące wrażenie. Teraz już wiem, dlaczego.

Springer wycelował w niego palcem.

- Co wyprawiałeś z Renaldem Verma?

- Zatańczyliśmy tango i wypaliliśmy po papierosku.

- Jego adwokat zadzwonił do mnie z awanturą. Nikt z nim nie uzgadniał tego spotkania. Ani ze mną.

- I nikt nie musiał tego z nim uzgadniać. Verma zgodził się ze mną rozmawiać. Mógł wezwać adwokata, gdyby chciał. A ciebie odkąd to muszę pytać o pozwolenie na pod- tarcie tyłka?

- To było moje śledztwo.

- Ale się skończyło. Nic ci do Vermy. O co ci chodzi? Springer rozejrzał się dookoła, jakby za chwilę miał wyjawić jakąś tajemnicę wagi państwowej.

- Nie skończyło się.

- Ach, czyżby za sprawą SW? - zapytał Kovac na cały głos.

Springer skrzywił się, jakby go zabolalo.

- Chyba nie zaczęli śledztwa przeciwko tobie? - zaczęła się dopytywać Liska. - To przecież nie ty podrzuciłeś ten zegarek, prawda, że nie ty, Cal?

- Nic nie zrobiłem.

- Jak zwykle - wtrącił się Kovac. - To twoja normalna metoda śledcza. Jeśli to przestępstwo, to ty się lepiej pocałuj w tyłek.

Springer spojrział wściekle.

- Śledztwo prowadziłem czysto. Według podręcznika. Verma nie mógł mieć do mnie żadnych zastrzeżeń. Ani SW.

- No to po co tracisz cenny czas, żeby mnie o tym przekonywać?

Springer nabrał powietrza, nadął się i trzymał przez ładnych parę sekund, niczym człowiek, który chce coś z siebie wycisnąć.

- Kovac, nie wtrącaj się do tego. Koniec. Sprawa jest zamknięta, i już.

- Ty się zdecyduj, Cal. Jest zakończona czy nie jest? - Kovac przyglądał mu się i zastanawiał. Liska też obserwowała Springera uważnie, chociaż jej mina zdradzała jakieś napięcie, tak jakby zdenerwowanie Springera sprawiało jej przykrość.

- Pani porucznik z SW powiedziała mi, że w sprawie zabójstwa Curtisa nie toczy się żadne postępowanie - ciągnął Kovac. - Przynajmniej dzisiaj. Śledczy im się wykończył.

- Wiem - mruknął Springer i odwrócił wzrok. Rumieniec odpływał mu z twarzy. - Słyszałem. Odebrał sobie życie. Niestety.

- Podobno.

Springer znów spojrzał na niego.

- To znaczy?

Kovac wzruszył ramionami.

- Nic. Tak sobie powiedziałem.

Springer rozważał to chwilę, zastanawiał się, jakie ma wyjście. W końcu przygarbił się, skurczył, jakby spuszczone z niego powietrze.

- Słuchaj, Kovac. Nie mogę sobie teraz pozwolić na to, żeby SW dobierało mi się do tyłka. Startuję w wyborach na przedstawiciela związku zawodowego.

- Jak będziesz miał SW na karku, to wygrasz w cuglach.

- Może i tak by było, gdyby tacy faceci jak ty zawracali sobie głowę wyborami. Mam większe plany niż ty, Kovac. Zależy mi na opinii. A ty mi możesz wszystko zepsuć.

Kovac patrzył za nim, jak odchodzi i drugi raz wpada na tę samą kelnerkę, najwyraźniej myślami będąc gdzieś daleko od baru „U Patryka”.

- Według podręcznika! - Kovac parsknął śmiechem. - Jaki to mógł być podręcznik? *Jak prowadzić śledztwo. Poradnik dla durniów.*

Liska milczała. Odwróciła się bokiem do stolika, żeby odprowadzić wzrokiem Springera, ale wydawało się, że patrzyła gdzieś znacznie dalej. Całe lata świetlne dalej - pomyślał Kovac. Sięgnął przez stolik i szturchnął ją w ramię.

- Hej, ten przecież był niezły. Mogłabyś się chociaż uśmiechnąć.

- Daj mu spokój, Sam - odparła, odwracając się z powrotem do stolika. - Springer jest może głupi, ale uczciwy. Nie zasługuje na to, co mu może zrobić SW.

- Jeśli on coś wie, ja muszę też to wiedzieć.

- Dowiem się.

Kovac popatrzył na nią. Umknęła spojrzeniem. Wyglądała jak czternastolatka, która posiadała wielki sekret. Na przykład dowiedziała się, że kapitan szkolnej drużyny futbolowej pali i popija piwo. Z wahaniem wyciągnęła rękę po ostatnią frytkę i umazała jej koniec w krzepnącym keczupie.

- Coś cię gnębi? - zapytał cicho.

Usta wykrzywiła w coś na kształt cwaniackiego uśmiechu.

- Jasne. Hormony. Chcesz coś na to zaradzić?

- Jeśli hormony ci się burzą na widok Cala Springera, to z chęcią obleję cię wiadrem lodowatej wody.

- No nie. Nie przy jedzeniu. - Skrzywiła się z niesmakiem. - Miałam dziś ciężki dzień. A przedtem ciężką noc. Muszę wrócić do domu.

- Wydawało mi się, że nie masz ochoty mieć nic wspólnego z SW

- Bo nie mam - odparła, zbierając pilnie swoje rzeczy. - Ale dlaczego by to mnie miało powstrzymać przed dogrzebaniem się do tego, co wie Springer? On też nie chce mieć do czynienia z SW.

- Jak chcesz. - Pomyślał, że Liska ma chyba prawo do jakichś swoich tajemnic, chociaż wcale mu się ta myśl nie podobała.

Wstał, rzucił na blat parę banknotów, chwycił płaszcz z wieszaka obok.

- Jadę zobaczyć, co Andy Fallon trzymał w apteczce.

- Sam Kovac. Całodobowe usługi detektywistyczne.

- Jaki znajdę lepszy sposób zabicia czasu?

- Żaden. Przecież nigdy nic innego nie robisz. - Liska wstała i wysunęła się zza stolika.

- Właśnie. - Kovac zignorował obraz Amandy Savard, który pojawił się mu przed okiem wyobraźni. To zbyt szalone nawet jak na fantazję. Śmiechu warte. „Jeśli niczego nie pragniesz, nie doznasz rozczarowania”.

Wielopoziomowy garaż miał patrona: policjanta, którego zamordowano z zimną krwią w pizzerii przy Lake Street. Liska zawsze sobie o tym przypominała, kiedy późno w nocy musiała iść samotnie po samochód albo kiedy była zmęczona i wszystko widziała w czarnych barwach. Dziś spełniała wszystkie te warunki. Miała podły nastrój, a było już po godzinach szczytu i pochylnia opustoszała. Kovac wrócił do biura po klucze od domu Fallona. Pogardliwie odrzuciła jego propozycję odprowadzenia do auta.

Poczuła ciarki na plecach. Zatrzymała się jak wryta i odwróciła gwałtownie, wbijając spojrzenie w mrok. Dźwięki w betonowym labiryncie odbijały się echem z różnych stron, co uniemożliwiało określenie kierunku. Trzask zamykanych drzwiczek. Skąd? Z piętra powyżej, a może z dołu. Szurnięcie podeszwą. Trzy alejki dalej? Czy tuż za plecami? Wielopoziomowe parkingi to ulubione miejsce bandytów i gwałcicieli. Bezdomni włóczędzy, na ogół alkoholicy albo chorzy psychicznie, korzystali z garaży jako schronienia i publicznej toalety, gdy wyrzucano ich z bardziej luksusowych przybytków.

Serce waliło jej jak młotem, czekała i patrzyła, obracała się powoli, dłoń wsuwała pod kurtkę, aż poczuła kolbę pistoletu.

Nikogo nie zobaczyła, nie usłyszała nic zwracającego uwagę. Może to zwykłe zdenerwowanie. Usprawiedliwione przecież: cały dzień spędziła na dociekaniu spraw związanych z dwoma zgonami policjantów. Czuła się tak, jakby ktoś ją obił żelaznym prętem przez poduszkę. Chciała do domu, chciała przebrać się w dres, zobaczyć chłopców, zapomnieć na parę godzin o tym, że sama, na ochotnika, zgłosiła się do grzebania w tej kupie gówna z SW.

- Zachowuję się jak blondynka - mruknęła, puściła kolbę pistoletu i wyciągnęła z kieszeni kluczyki.

Trzeba się zastanowić, jak podejść Springera, żeby się wygadał. Boże! I nie porzygać się przy tym. Ciężka sprawa.

Trudno przypuszczać, by Springer zamieszał się w jakąś aferę. Rzadko jadano z nim obiady, nie dopuszczano do zażyłości. A teraz można było wyczuć, że Springer się czegoś boi. Zapach strachu pociągnął ją w przeszłość, ku ojcu. Nienawidziła tego.

- Trzeba było słuchać matki - rozważała półgłosem. - Naucz się porządnego fachu, Nikki. Kosmetyka. Gastronomia. Mierz wysoko. Znajdź pracę, do której będziesz chodziła w ładnej sukience. Poznaj mężczyznę swoich marzeń.

Ciemnoniebieski saturn, który służył jej za biuro na kółkach i taksówkę, tkwił na samym końcu, pod ścianą, w miejscu stanowczo zbyt mrocznym teraz, gdy zapadł zmierzch. Wyciągnęła rękę, nacisnęła pilota centralnego zamka i zaklęła pod nosem. Nic. Nie pstryknęły otwierane zamki. Nie błysnęły migacze. Pilot nawalał już od paru tygodni, czasami działał, czasami nie. Ona z kolei wciąż pracowała i nigdy nie miała czasu, żeby go dać do naprawy. Drobiazg, którym nie warto się przejmować. Chyba że się stoi samotnie na ciemnym parkingu.

Odgłos uderzenia i zgrzyt sprawiły, że znów stanęła jak wryta. Na innym poziomie garażu zaskrzypiał układ kierowniczy, ktoś przekręcił kierownicę do oporu. A na tym poziomie poczuła czyjąś obecność. Człowiek. Zadygotała. Nawet nie próbowała sobie tłumaczyć, jak robią zazwyczaj kobiety, gdy czują się niepewnie, że to może nic takiego. Instynktom trzeba wierzyć bardziej niż wyuczonym, cywilizowanym reakcjom. Jeśli jej się wydawało, że coś jest nie w porządku, to coś było nie w porządku.

- Hej! Jest tam kto?! - zawołała, odwracając się. Twarda sztuka. Głos typu: „Chodź tu, to ci przyłożę”. Tętno podskoczyło jej o dodatkowe kilkanaście uderzeń na minutę.

Skradała się do samochodu, kluczyki w lewej dłoni, prawa znów pod kurtką wysuwała pistolet z kabury. Macała kluczem w zamek, nie trafiła raz, drugi. Nie spuszczała wzroku, rozglądała się w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Zauważyła. Coś. Kogoś. Zacieniona krawędź betonowej kolumny była chyba zbyt gruba, trochę zniekształcona.

Liska zamrugała oczami, próbując zobaczyć wyraźniej. Za ciemno. Może coś, a może nic.

Trafiła kluczykiem w zamek. Wsiadła do auta, zatrzasnęła drzwiczki, nacisnęła przycisk blokowania drzwi, znowu nic. Zaklęła, zapuściła silnik, znów nacisnęła guzik, tym razem zamki zaskoczyły. Cały czas nie odrywała wzroku od betonowego słupa w

odległości kilkunastu metrów. Nie dostrzegła żadnego ruchu, ale czuła, że tam jest jakaś żywa istota, że obserwuje ją, czeka.

Pora do domu.

Rzuciła teczkę na siedzenie obok, gdzie panował śmietnik. Wiadomo, pracująca samotna matka nigdy nie ma czasu posprzątać. Dziś wyglądało to gorzej niż zazwyczaj, bałagan spływał z siedzenia na podłogę. Przysłane pocztą ulotki reklamowe, torebki z Burger Kinga, jakieś czasopisma, adidas bez pary młodszego syna, jakieś plastikowe figurki-zabawki. I mnóstwo tłuczonego szkła.

Dodatkowe uderzenia na minutę.

Szyba po stronie pasażera była wybita, zmieniła się w tysiąc kawałków, rozrzuconych teraz na siedzeniu i podłodze, wymieszanych z ulotkami reklamowymi, torebkami z Burger Kinga, czasopismami, adidasem bez pary i plastikowymi figurkami. To robota jakiegoś menela - pomyślała Liska. Pewnie ten zaczajony cień w mroku, który kryje się przed nią i czeka, aż pojedzie, żeby wybić szybę komuś innemu i ukraść coś cennego. Prawdopodobne wytłumaczenie.

Wrzuciła bieg. Zjedzie na parter, gdzie jest budka obsługi i więcej światła, i wezwie radiowóz.

Jej uwagę zwróciła czerwona lampka na tablicy rozdzielczej, sygnalizująca, że zbliża się termin przeglądu.

- Tak. A mnie kto zrobi przegląd? - burknęła do siebie, ruszając. Reflektory oświetliły kolumnę. Nic. Nikogo. Wypuściła powietrze, starając się rozwiać podejrzenia, ale nie chciały ustąpić.

Zerknęła w lusterko, mijając kolumnę, i coś jej mignęło. Zarys sylwetki mężczyzny, stojącego trzy samochody dalej, w stronę miejsca, gdzie było przedtem jej auto.

Właściwie nic dziwnego, że ktoś stoi przy samochodzie w garażu. Przy każdym ktoś prędzej czy później się znajdzie. Ale kierowca zazwyczaj otwiera drzwi i zapala światła. Ten człowiek tego nie robił. Znów schował się w cieniu. Liska zrezygnowała z lusterka i popatrzyła przez lewe ramię. Prawa ręka spoczywała na pistolecie, leżącym na siedzeniu: małym, zgrabnym pistolecie firmy „Sauer”, pasującym do jej drobnej dłoni, ale mogącym zatrzymać w miejscu szarżującego bawołu.



Skąd się wziął ten człowiek? Nie przyszedł za nią, nasłuchiwała i rozglądała się z wytężeniem.

- Hej!

Głos uderzył ją jak pocisk. Liska gwałtownie odwróciła się w prawo i zobaczyła mężczyznę, który wtykał głowę i ramiona przez wybite okno.

- Hej! - zawołał znowu. Miał twarz jakby wystruganą scyzorykiem z pniaka. Poorana, brudna. Żółte zęby. Zmierzwiona broda. Dzikie, ciemne oczy. - Da mi pani pięć dolców.

Liska wcisnęła gaz. Opony zapisały na betonie. Mężczyzna wrzasnął gniewnie i w ostatniej chwili jego brudne łapy chwyciły zagłówek przedniego siedzenia. Liska podniosła sauerę i machnęła nim w stronę twarzy intruza.

- Wynocha! Jestem z policji!

Mężczyzna otworzył usta i wraz z zepsutym oddechem wydał z nich okrzyk wściekłości.

Liska podniosła pistolet, niemal przytykając go człowiekowi do ust.

- Puszczaj, durniu!

Skręciła kierownicę jedną ręką w lewo, wciskając jednocześnie hamulec; wóz wpadł w poślizg i bokiem uderzył w minivana. Pijak puścił zagłówek i zniknął za oknem.

Liska zatrzymała się, wyskoczyła z wozu, obiegła go od przodu, cały czas trzymając przed sobą pistolet w uchwycie strzeleckim. Włóczęga leżał tuż koło brudnego cadillaca z lat siedemdziesiątych, nieruchomo jak trup, powieki miał zamknięte. Cholera, tylko tego jej brakowało: zabić kogoś. Dozorca garażu biegł pochylnią z dolnego poziomu: tłuścioch w byle jakim mundurze, za ciasna kurtka nie mogła opiąć wielkiego piwnego brzuszyska.

- Rany! Co pani wyrabia! - wykrzykiwał w przerwach między łapaniem powietrza. Było z pięć stopni mrozu, a facet ociekał potem jak wyścigowy koń, mizerne płowe włosy przylepiły mu się do wielkiej czaszki. Na widok pistoletu wybałuszył oczy i podniósł ręce do góry.

- Jestem z policji - wyjaśniła Liska. - Ten człowiek jest aresztowany. Jest tu jakiś strażnik na służbie?

- Eee... ma przerwę.

- W tej knajpie na rogu, co?

Dozorca otworzył usta i zamknął je, powtórzył to kilka razy. Liska sprawdziła, czy pijak wykazuje oznaki życia. Oddech miał regularny, tętno w porządku. Ani śladu krwi. Wyciągnęła z kieszeni kajdanki i zatrzasnęła na jednym nadgarstku włóczęgi.

- Ma pan przy sobie komórkę? - spojrzała na dozorcę.

- Tak, proszę pani.

- Dzwon pod dziewięćset jedenaście. Wezwij policję i pogotowie.

Popatrzył na nią podejrzliwie, gotów uskoczyć gdzieś w bok.

- Mówiła pani, że to pani jest z policji.

- Rób, co mówię.

Pijak z trudem podniósł powiekę przekrwionego oka i z wysiłkiem próbował coś zobaczyć.

- Fajny chłopak z ciebie. Daj pięć dolców. Liska spiorunowała go wzrokiem.

- Masz prawo milczeć. Skorzystaj z niego.

Drugą bransoletę kajdanek zatrzasnęła na klamce cadillaca. Wróciła do swojego auta i wyciągnęła ze schowka dużą paluchową latarkę patrolową. Ważyła ponad kilo i można nią było kogoś niezłe zamrozić. Dozorca nadal stał z rękami w górze, gdy Liska wysiadła z samochodu.

Znów spiorunowała go wzrokiem.

- Czemu pan nie dzwoni?

- Nie chciałem wykonywać gwałtownych ruchów.

- Na miłość boską!

Zapaliła latarkę, znów wyciągnęła z kieszeni sauera i ruszyła w górę pochylni.

- Dokąd pani idzie?! - zawołał dozorca.

- Poszukać upiora. Dzwonię wreszcie!

Dochodziła dziesiąta, gdy Liska podjeżdżała pod własny dom, wyczerpana i pełna niesmaku. Na domiar złego wjazd do garażu był zastawiony przez samochód Speeda. Co

prawda i tak nigdy nie chowała auta, garaż był zawalony rozmaitymi rupieciami. Ale chodziło o zasady.

Skostniała w samochodzie, ogrzewanie bowiem nie radziło sobie z mroźnym powietrzem wpadającym przez rozbite okno. Zastanawiała się, dlaczego w tamtym garażu nie znalazła nikogo. Mundurowi policjanci zaopiekowali się pijakiem, niejakim Edwardem Gedesem, i pojechali za karetką do szpitala, gdzie będą dla zabicia czasu pić kawę i flirtować z pielęgniarkami z działu pomocy doraźnej w oczekiwaniu na wypisanie ich podopiecznego. Nie było podstaw do oskarżenia. Zarzut, że to on wyłukł szybę, był bardzo wątpliwy; Liska tego nie widziała, a na dodatek miała przeczucie, że pijaczyna nie ma z tym nic wspólnego. Nie wyglądało prawdopodobnie, żeby Gedes wybił okno, a potem czekał na nią, chcąc wskoczyć do środka i ją przestraszyć.

Z samochodu nic nie zginęło; po prawdzie jednak nic cennego w nim nie trzymała. Nikt nie tłukłby szyby, aby ukraść zabawkę R.J. Do schowka nawet nie zajrzano. Radio było nienaruszone. Właściwie wolałaby, żeby je skradziono. Wtedy wybicie okna nabrałoby sensu. Jedyne, co ruszono, to ulotki reklamowe, które przysły do niej pocztą. Widocznie ktoś włamał się do samochodu tylko po to, żeby zdobyć jej adres domowy.

Widziadło w ciemnościach.

Dlaczego wybrano właśnie jej wóz w pełnym samochodów garażu?

Zebrała swoje rzeczy i poczłapała do domu. Jej wejście pozostało niezauważone. W salonie wrzała zażarta bitwa. W jednym kącie stał namiot sporządzony z koca. Przyniesiono wszystkie krzesła z jadalni i uczyniono z nich fort w okolicach choinki świątecznej. Chłopcy, z twarzami pomalowanymi w barwy wojenne, biegali w piżamach po pokoju, wymachując plastikowymi „laserowymi” mieczami i wydzierając się tak, że umarłego by ożywili. Eksmałżonek przykucnął za kanapą, w narzuconym na ubranie szlafroku i przepasce z czarnej chusty na głowie, dzierżąc w dłoni samurajski miecz.

- Witaj w domu, kochana mamusiu - odezwała się Liska, stawiając torebkę na stole. - Jak ci się udał dzień, mamusiu? Nie bardzo - odpowiedziała sama sobie. - Ale dziękuję za zainteresowanie. Cieszę się, że jestem w domu, gdzie panuje spokój i porządek i czuję się kochana przez wszystkich.

Kyle zareagował pierwszy, stanął jak wryty, uśmiech zniknął mu z twarzy, gdy zerkał to na matkę, to na ojca. Dwa lata starszy od R.J., pamiętał jeszcze scysje z

końcówki małżeństwa rodziców i był bardzo wyczulony na napięcie, jakie pozostało między nimi.

- Cześć, mamó - powiedział, spuścił oczy i odłożył miecz, jakby zawstydzony tym, że matka przyłapała go na zabawie. Po ojcu odziedziczył urodę, ale miał też w rysach powagę, której Speedowi zawsze brakowało.

- Cześć, mój duży. - Liska przyglądała mu włosy i pocałowała w czoło. Kyle wbijał wzrok w podłogę.

RJ. kwiczał jak zarzynane prosię i biegał w kółko, wymachując szaleńczo mieczem, przekornie ignorując obecność matki. Spojrzała na eksmęża, a stara, znajoma złość rozlała się po jej żyłach.

- Cześć, Speed! Znowu? Co tak często? Zachowujesz się, jakbyś był ojcem albo kimś w tym rodzaju. Gdzie Heather?

- Odesłałem ją do domu - odparł, wstając. - Po co płacić opiekunce, jeśli nie jest potrzebna? Mam dziś trochę czasu.

- Cóż za troska o moją sytuację materialną! - Ugryzła się w język, żeby nie dodać: „zważywszy, że nie dbasz o regularne płacenie alimentów”. - Pora kładzenia się dawno minęła, chłopcy. - Znów jej przypadło zagrać czarny charakter. Miała o to żal do Speeda. - Umyć buzie i zęby, i do łóżek!

Kyle ruszył wykonać polecenie. RJ. popatrzył na nią wielkimi oczami, po czym wydał krwiożerczy okrzyk i wyskoczył w górę, wywijając nogami i rękami w najlepszym, na jaki go było stać, popisie kung-fu.

Kyle chwycił go za rękę.

- Dość na dziś, RJ. - powiedział najsurowszym ze swoich tonów. Liska nie upomniała starszego syna.

- Wiem, że byłeś notorycznym wagarowiczem - zwróciła się do Speeda, kiedy chłopcy już wyszli - ale twoi synowie uczęszczają na lekcje. Potrzeba im trochę snu.

- Jak się raz położą później, to nic im nie będzie, Nikki.

- Może i tak.

„Ale dlaczego właśnie dziś?” - miała ochotę zapytać, lecz bała się, że jeśli to zrobi, to się rozplacze. Nie miała dziś siły do Speeda. Od hamburgera Kovaca minęło już sporo

czasu. Przetarła twarz dłońmi i poszła do kuchni, gdzie zaczęła szperać po dolnych szafkach.

Speed stanął w drzwiach kuchni. Zdjął już szlafrok, pod spodem miał czarny podkoszulek, opięty na muskularnej klatce piersiowej i płaskim brzuchu. Rękawki omal nie pękały na bicepsach. Chyba ostro ćwiczy na siłowni. Ściągnął z głowy opaskę z chustki i przejechał palcami po włosach, które sterczały mu na wszystkie strony.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.
- A odkąd to rozmawiamy o czymkolwiek? Rozłożył ręce.
- Możemy zacząć od dziś.
- Dziś nie chcę niczego zaczynać.

Wyciągnęła z szuflady torby na śmieci z przezroczystej niebieskiej folii, zbadła rozmiar i wytrzymałość.

- Będą się nadawać.
- Do czego?
- Ktoś mi wytlukł boczne okno w aucie. Omal nie zamarzłam, jadąc setką po autostradzie.

- Cholerne męty - wymamrotał. - Co ukradli?
- Nic.
- Tylko wybili?
- I przeszperali pocztę, która leżała na przednim siedzeniu. Same ulotki reklamowe.

- Ulotki? Nie było nic ważnego? Wyciągi bankowe? Rachunek za komórkę?
- Nieważnego.
- Radia nie ukradli?
- A po co komu stare radio ze starego saturna? Speed zachmurzył się.
- Nie podoba mi się, że nic nie ukradli.
- Ani mnie. - Wysunęła szufladę z narzędziami i zaczęła grzebać w poszukiwaniu taśmy klejącej. - Szkoda, że nie zabrali samochodu. Kontrolka awaryjna się pali. Przy moim pechu silnik zaraz się rozsypie na amen.

- Może to ma związek z czymś, nad czym teraz pracujesz? Ktoś może chcieć cię znaleźć? - Speed podszedł do bufetu, przy którym stała, składając nerwowo torebkę na coraz mniejsze kwadraciki.

Liska pomyślała o „jaskrawozielonym”, o Calu Springerze, o SW, o funkcjonariuszu Ogdenie i dwóch martwych policjantach. Pokręciła głową, wciąż patrząc na torebkę.

- To nic takiego.

Stoi za blisko - pomyślała. Nie chcę go mieć tak blisko. Nie dzisiaj.

- Słyszałem, że lekarz sądowy już cię załatwił z tym twoim denatem z SW - rzucił. - Jednak wypadek, co?

Liska wzruszyła lekko ramionami, oderwała z rolki kawałek taśmy.

- Tak jest lepiej ze względu na ubezpieczenie.

- Myślisz, że to było coś innego?

- Nieważne, co myślę. Leonard kazał zamknąć sprawę.

- Ważne, jeśli nadal w tym grzebiesz. Co podejrzewasz? Że go załatwili z powodu śledztwa, które prowadził? Albo go uśmiercił jakiś zdeprawowany gliniarz? To szaleństwo, Nik-ki. Myślisz, że w SW policji Minneapolis dzieją się aż takie rzeczy?

- Nic nie myślę - zniecierpliwiła się. - I nie obchodzi mnie, co się dzieje w SW. Zresztą wszystko jedno. Porucznik kazał zakończyć sprawę.

- Czyli jest zakończona. Masz to z głowy. Powinnaś się cieszyć.

- Jasne - odparła bez przekonania. Czowała, że ją obserwuje, czeka na to, czego nie chciała powiedzieć.

- Nikki...

W jego głosie brzmiał zawód, chyba odrobina tęsknoty. Może więcej niż odrobina. A może tylko jej się wydawało, bo chciałyby to usłyszeć. Potarła się po brodzie i popatrzyła na niego, wstrzymując oddech. Wiele spraw między nimi się popsło przez ostatnie lata, nie dotyczyło to jednak w najmniejszym stopniu fizycznego pociągu. Cały czas podniecał ją fizycznie, ku jej zresztą bezdennej rozpacz; i pewnie zawsze już tak będzie. Chemia nic sobie nie robi z zazdrości, rywalizacji i zdrad.

- Pocałujecie się?

- R.J.! - wykrzyknęła Liska, a Speed wypuścił powietrze. - Nie zadaje się takich pytań. To niegrzeczne.

- I co?

Nie zmył do końca barw wojennych z oblicza. Pochyliła się i pocałowała go w smugę farby na czole.

- I to, że cię kocham. Pora spać.

- Ale tata...

- Tata właśnie wychodzi - powiedziała, rzucając Speedo- wi znaczące spojrzenie.

R.J. jęknął.

- Zawsze go wyrzucasz.

- Odsuść sobie, Rocket. - Speed chwycił R.J. na ręce i przerzucił sobie przez bark.

- Zaniósę cię do łóżka i opowiem ci, jak to było, kiedy złapałem Big Ass Baxtera.

Liska patrzyła, jak wychodzą, ciągnęło ją, by pójść za nimi. Nie dlatego, że chciała udawać, iż są normalną rodziną. Chciała pójść za nimi, bo była zazdrosna o stosunki Speeda z chłopakami. Uznała, że ta chętką jest niezdrowa. Równie niezdrowa jak tęsknota za dotykiem eksmęża.

Wzięła taśmę i foliową torbę, wyszła kuchennymi drzwiami do samochodu. Z ulgą powitała uderzenie w twarz mroźnego nocnego powietrza.

- Wygląda elegancko - mruknęła, przykleiwszy torbę taśmą w miejsce szyby. Nic tak nie dodaje autu szyku jak trochę taśmy klejącej.

W jej osiedlu panowała cisza. Noc była jasna, mroźna i gwiaździsta. Jeden sąsiad pracował w „United Way”; z drugiej strony mieszkało małżeństwo zatrudnione od trzydziestu lat w „3M”. Nikt z nich nigdy nie widział trupa wiszącego na krokwi. W środku osiedla Liska poczuła się nagle samotna, odseparowana od normalnych ludzi przez swoje dotychczasowe i przyszłe doświadczenia. Odseparowana przez przemoc, której obiektem stała się dzisiaj.

Ktoś, kogo nie zna i nic o nim nie wie, ma jej adres.

Spojrzała ku ulicy. Jakiś przejeżdżający samochód... Jakaś para oczu obserwująca w mroku... Jakiś obcy dźwięk...

Niepokój to nie było uczucie znane czy lubiane. Przeszył ją, ogarnął jak chłód albo choroba. Przeczucie strachu. Rodzaj słabości. Bezsilność. Izolacja.

Miałaby ochotę komuś dokopać.

- Nareszcie sami.

Liska poderwała się i obróciła jak fryga; rozpoznała głos, zanim zobaczyła, kto mówi.

- Niech cię szlag trafi, Speed. Że też cię jeszcze nikt nie zastrzelił!

- Nie wiem, jak to się stało. Od dawna spodziewałem się, że będziesz próbowała. - Wyszczерzone w uśmiechu zęby zabłysły w ciemności.

- Miałaś szczęście, że nie miałam broni.

- Chyba wciąż mam to szczęście.

Wepchnął ręce do kieszeni kurtki, wyciągnął paczkę Marl- boro i zapalniczkę. Zapalił.

- Teraz bym cię nie zastrzeliła. Chcę się położyć spać. Gdybym cię zabiła, nie położyłabym się do rana; wiesz, aresztowanie, przesłuchania, te rzeczy. Nie warto.

- Rany, dzięki.

- Jestem zmęczona, Speed. Może już powiedzielibyśmy sobie dobranoc?

Zaciągnął się głęboko papierosem, wydmuchał dym. Popatrzył wzdłuż podjazdu na ulicę, którą przejechał powoli nie- rzucający się w oczy, ciemny wóz. Liska zauważyła auto kątem oka; owinęła się mocniej kurtką.

- Zadzwoń do warsztatu, żeby ci wstawili jutro tę szybę? - Speed strącił popiół z papierosa i gestem wskazał samochód.

- O niczym innym nie myślę.

- Wiesz, bo przyklejona torba na śmieci za dobrze nie wygląda.

- Dziękuję, że się tak o mnie troszczysz.

- Jesteś matką moich dzieci.

- Byłam głupia, co?



- Hej! - Popatrzył jej prosto w oczy i wyrzucił papierosa w śnieg. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że wolałabyś nie mieć chłopców?!

Liska oddała mu spojrzenie.

- Nie żałuję, że mam synów.

- Żałujesz, że byliśmy ze sobą.

- Po co to robisz? - zapytała ze znużeniem. - Na skruchę trochę za późno, na negocjacje też, Speed. Nasze małżeństwo rozleciało się bardzo dawno temu.

Speed wyciągnął kluczyki z kieszeni.

- Nie ma co żałować. Trzeba żyć chwilą obecną. Nigdy nie wiadomo, która jest ostatnia.

- I tym optymistycznym akcentem... - Liska odwróciła się ku domowi.

Chwyił ją za rękę. Pomyślała, że zaraz ją pocałuje. Widać to było po jego oczach, czuło się w napięciu ciała. Ona jednak tego nie chciała, a on chyba to dostrzegł i odczuł.

- Uważaj na siebie, Nikki - powiedział cicho. - Nie bądź zbyt odważna, dla własnego dobra.

- Jest mi to potrzebne - odparła. Zdobył się na smętny uśmiech i puścił ją.

- Taak. Szkoda, że nigdy nie potrzebowałaś mnie.

- Nie powiedziałabym, że nigdy. - Nie spojrzała na niego. Nie odrywała oczu od ziemi.

Nie spojrzała, jak odchodził, popatrzyła dopiero później, gdy wsiadał do auta i odjeżdżał. Patrzyła długo, aż czerwone światła pozycyjne jego wozu stały się już tylko wspomnieniem. Znów sama - pomyślała, gapiąc się na zaklejone okno samochodu. Przynajmniej zdawało się jej, że jest sama.

Weszła po schodkach do domu. Zamknęła drzwi, pogasiła światła. Była już w sypialni, gdy ulicą przed jej domem przetoczył się ciemny wóz... drugi raz.

Dom Andy'ego Fallona był ciemną plamą na uliczce. Jedynym jaśniejszym akcentem był odbłask światła z ganku sąsiedniego domu na żółtej policyjnej taśmie przegradzającej wejście.

Kovac odczepił taśmę i wszedł do domu, otworzywszy drzwi kluczem. Dom po przeszukaniu przez ekipę kryminalistyczną robił zawsze wrażenie splądrowanego. Bez zgody gospodarza kilkanaście obcych osób myszkowało po wszystkich kątach. Dotykali rzeczy osobistych, naruszyli świętość prywatnego schronienia. Komentowali, oceniali. To wszystko wisiało w powietrzu, jak kwaśny odór. A Kovac przyszedł tu po nich i próbował wydedukować, co było tu przedtem: kim była ofiara, nim stała się zwłokami.

Zaczął od salonu, gdzie stała choinka: jodła udekorowana lampkami i czerwonymi łańcuchami. Drzewko było piękne, a pachniało tak, jakby je spryskano żywicznym aromatem. Uklęknął, zajrzał na podpisy przy paru zapakowanych prezentach, zanotował imiona. Większość pochodziła od gospodarza i miała być dopiero doręczona Kirkowi, Aaronowi i Jessice... Trzeba będzie dopasować te imiona do nazwisk z notesu Fallona, czegoś się o tych ludziach dowiedzieć. To samo dotyczy kartek świątecznych, które wypełniały koszyk na bocznym stoliku.

Przeszedł do szafki z telewizorem. Przejrzał tytuły na grzbietach kaset wideo. *Cud na 34. Ulicy. Holiday Inn. Cudowne życie* - film, który zaczyna się od tego, że człowiek chce odebrać sobie życie, a kończy normalnym przesłodzonym hollywoodzkim happy endem. Żaden anioł imieniem Clarence nie uratował Andy'ego Fallona przed jego przeznaczeniem. Z doświadczenia Kovaca wynikało, że żaden anioł nigdy się nie pojawia, kiedy się go potrzebuje.

Minął pokój stołowy. Wyglądał na nieużywany, jak jadalnie w większości domów. Wszedł po schodach na górę.

Główna łazienka zawierała komplet przedmiotów potrzebnych człowiekowi na co dzień. W koszu na brudną bieliznę nie było żadnych ręczników. Gdyby były, sprawdzono by je na obecność włosów i płynów ustrojowych, a pobrane próbki poddano by badaniom

DNA. Gdyby śmierć Fallona nastąpiła bez wątplenia w wyniku morderstwa - albo gdyby ją za taką uznano - mógłby polecieć ekipie śledczej sprawdzenie, czy są włosy w zawartości syfonów odpływowych. Co prawda z jego doświadczenia wynikało, że tego rodzaju dowody nigdy nie wystarczają do skazania winnego, lecz zawsze stanowiłyby dodatkowy materiał wzmacniający argumentację prokuratury. Ponieważ jednak to śledztwo było już oficjalnie zakończone, nikt nie będzie łowił włosów łonowych w wannie Andy'ego Fallona.

W apteczce stała brązowa flaszka zolofu. Środek przeciw- depresyjny. Na receptę doktora Seirosa. Kovac zanotował dane z etykiety i odstawił buteleczkę. Poza tym jedno opakowanie tylenolu i jedno melatoniny. Ambieniu nie było.

W sypialni unosił się zapach śmierci, przebijający wyraźnie poprzez woń środków do odświeżania powietrza. Pokój posypano proszkiem daktyloskopijnym, szukając odcisków palców; jego resztki pozostały na szafce nocnej i komodzie. Poza tym było tu czysto jak w pokoju hotelowym. Łóżko nienagannie nakryte błękitną narzutą. Kovac podniósł jeden róg. Pościel czysta. U Andy'ego Fallona, inaczej niż u jego ojca, nie piętrzyły się stosy brudnych ciuchów, nie poniewierały musztardówki z resztkami whisky na dnie. W szafie porządek. Na półkach bielizna poskładana w kostkę, skarpetki zwinięte parami, ułożone w szufladzie.

Na szafce nocnej książka w twardej oprawie - opowieść o tragicznej wyprawie na pustkowie Alaski. Prawdopodobnie na tyle przygnębiająca, że trzeba było wziąć dodatkową tabletkę zolofu, albo nawet dwie. W szufladce leżał walkman, parę taśm z muzyką medytacyjną i relaksacyjną oraz paczka cytrynowomiodowych dropsów przeciwkaszlowych. Na szafce po drugiej stronie łóżka - świece w kutym świeczniku. W szufladce - pudełka zapalek z różnych barów i restauracji oraz tubka wazeliny.

Kovac wsunął szufladę, rozejrzał się po sypialni i zamyślił się o Andym Fallonie. Dobry syn. Schludny. Niekłopotliwy. Ambitny. Skryty. Na komodzie stało to samo zdjęcie, które zniszczył Mike w porywie gniewu i żalu: Andy w dniu ukończenia akademii policyjnej. Postawione skromnie w kącie. Wspomnienie, które Andy Fallon przechowywał i codziennie odświeżał, mimo napiętych stosunków z ojcem.

Na Kovaca opadł smutek niczym deszcz, wypłukując z niego całą energię. Może dlatego nigdy nie starał się być nikim innym niż zwykłym gliną. Widział zbyt wiele rodzin

porozdzieranych jak zbutwiałe kotary. Załamanych z powodu niespełnionych wygórowanych ambicji. Nigdy nie dość. Taka jest ludzka natura, chce się więcej, lepiej, chce się tego, co poza zasięgiem.

Wziął głęboki oddech i ruszył ku wyjściu. Uchwycił w nozdrzach zwietrzały zapach dymu z papierosów. Najpierw pomyślał, że to z jego własnego ubrania. Pociągnął nosem jeszcze raz. Nie. To zapach stąd, czuć go przez odświeżacz powietrza. Zapach palonego tytoniu. Nikły, ale niewątpliwy.

W pokoju ani śladu popielniczki, nie widać napoczętej paczki papierosów. Dom nie sprawiał wrażenia, że mieszka w nim palacz. Ludziom z ekipy kryminalistycznej nie wolno było palić w czasie pracy.

Palaczem jest Steve Pierce. Kovacowi przypomniało się wrażenie, jakie odniósł przy ostatnim spotkaniu: że Pierce'owi coś ciąży na duszy. Przypomniała mu się panna Daring o sarnich oczach.

Zastanowiło go łóżko. Starannie pościelone. Czysta pościel. Nikt nawet na nim nie usiadł. Czy to nie dziwne? Fallon wisiał zaledwie pół metra od łóżka, odwrócony plecami. Człowiek, który przygotowywał się starannie, żeby odebrać sobie życie - albo do erotycznej zabawy - przysiadłby chyba na chwilę na łóżku przed zarzuceniem sobie pętli na szyję.

Stanął w miejscu, gdzie wisiały zwłoki Fallona, i sprawdził odległość od łóżka. Mały krok, najwyżej dwa. Skrzywił się na widok własnego odbicia w wielkim lustrze. „Przepraszam”.

Napis nadal był widoczny. Znalaziono pisak, którego użyto. Nic szczególnego. Czarny, wodoodporny mazak położony na komodzie. Kovac zanotował w pamięci, że trzeba spytać, czy znalaziono na nim odciski palców.

We wtorek, w kuchni na dole, pobrano od Pierce'a komplet odcisków. Do celów porównawczych. Standardowe postępowanie. Pierce nie był zachwycony. Czy dlatego, że wiedział, iż zostaną wykryte w tej sypialni? Na uchwycie szuflady z tubką wazeliny? Na poręczy łóżka? Na lustrze? Na czarnym mazaku?

Nietrudno było ułożyć scenariusz: Pierce i Fallon są w tajemnicy kochankami i lubią się perwersyjnie zabawić. Zabawa się nie udała, Fallon umiera, Pierce wpada w

panikę. A może Pierce wcale nie był taki niewinny? Może Fallon chciał, żeby przyjaciel się zdeklarował i rzucił narzeczoną? Może Pierce bał się, że jego wyściełana przyszłość w firmie „Daring i Landis” rozpadnie się w drobny mak, gdy Fallon ujawni jego skłonności? Może Steve Pierce przyjechał tu we wtorek rano drugi raz, żeby sprawdzić, czy nie zostawił śladów, i dopiero potem zadzwonił na policję i odegrał rolę wstrząśniętego przyjaciela?

Ostatni raz Kovac rozejrzał się po sypialni i zszedł na dół. W kuchni sprawdził szafki, szukając lekarstw. Nic. Ani używanych szklanek na blacie. Zmywarę uruchomiono prawie pustą: trzy talerze, trochę sztućców, szklanki, kubki do kawy. Dwa kieliszki. We wnęce przy kuchni stała pralka-suszarka, zasłonięta ażurowymi drzwiami. W środku ręczniki i pościel, przyklejone do ścianek bębna po wirowaniu.

Albo Andy Fallon postanowił posprzątać dom przed śmiercią, albo ktoś inny zrobił to za niego potem. Ta druga możliwość targnęła nerwami Kovaca.

Na parterze były jeszcze dwie sypialnie, do których prowadził drugi przedpokój za schodami. Mniejszy był typowym pokojem gościnnym i nie mieściło się w nim nic interesującego. Większy zamieniono w domowe biuro, ze skromnym biurkiem, regałami i szafkami kartotekowymi. Kovac zapalił lampkę na biurku i zaczął przeglądać szuflady, uważając, by niczego nie pomieszać.

Wielu policjantów trzymało w domu akta ze starych śledztw. Sam miał ich pełno w piwnicy. Jeśli Bóg istnieje, Andy Fallon miał kopie dokumentów śledztwa w sprawie Curtisa. A jeśli je miał, prawdopodobnie umieścił je pod literą C, jak porządny i skrupulatny automat z SW. Pierwsza kartoteka zawierała prywatne papiery finansowe i podatkowe. W drugiej znalazł skarb. Starannie poukładane skoroszyty, każdy opatrzony nazwiskiem i numerem sprawy, wypisanymi równymi drukowanymi literami. Na żadnym nazwiska Curtis. Ani Ogden. Ani Springer.

Kovac usiadł na biurowym krześle Andy'ego Fallona i zaczął się bujać. Jeśli Fallon tak się przejmował sprawą Curtisa, to powinny tu być akta tej sprawy. Szafki nie były zamknięte. Każdy mógł wyjąć dokumenty i po prostu z nimi wyjść. Przyszedł mu do głowy Ogden, chociaż nie wyglądał na to, by do jego mocnych stron należało spiskowanie. Rozbijanie czołem betonowych bloków - tak. Zręczne manipulacje - nie. Zresztą nie sposób stwierdzić, kto wchodził do tego domu między śmiercią Fallona a

odkryciem zwłok. Zbyt wiele czasu minęło, zbyt wiele w okolicy ludzi, których interesowały wyłącznie własne sprawy.

Zaczął się zastanawiać nad sposobami dobrania się do oryginalnych akt w SW, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Na ich straży stała urocza porucznik Savard. Bez jej zgody nie zobaczy dokumentów, a ona tej zgody wyrazić nie ma zamiaru.

Oczywiście zobaczył ją, jak stała za biurkiem w swoim gabinecie. Twarz z filmowego magazynu z czasów kina czar- no- białego i Veroniki Lake. Przeczynał, że pod tą atrakcyjną powierzchownością kryje się tajemnica warta każdego słynnego detektywa, prawdziwego czy takiego z kadru filmowego. To go do niej ciągnęło nie mniej niż uroda. Chciałby wślizgnąć się tajnym przejściem i sprawdzić, jaka jest naprawdę.

- Ty to masz pomysły, Kovac - mruknął do siebie, zdziwiony i zażenowany jednocześnie. - Ty i pani porucznik z SW. To na pewno możliwe.

Gdy tak siedział i marnował czas na rojenia o kobiecie, której nigdy nie zdobędzie, zauważył, że czegoś brakuje na biurku. Nie ma komputera. Kabel od drukarki, z szeroką wielowtykową końcówką, leżał niczym płaskogłowy wąż. Drugim końcem podłączony był do drukarki atramentowej. Kovac jeszcze raz sprawdził szuflady, znalazł pudło czystych dyskietek. Wyciągnął szufladę kartoteki i stwierdził, że w każdej teczce była dyskietka. Podszedł do regału i wśród instrukcji obsługi różnych urządzeń, jak faks czy drukarka, znalazł instrukcję obsługi laptopa ThinkPad IBM- a.

- No to gdzie on jest? - zapytał na głos.

Zastanawiał się nad tym właśnie, kiedy do jego świadomości dotarł dźwięk - ostry, elektroniczny odgłos, dochodzący z innej części domu. Brzęczyk, potem skrzypnięcie deski w podłodze. Zgasił lampę na biurku, pokój zanurzył się w ciemności. Ręką odruchowo chwycił za pistolet typu „Glock” w kaburze i przesunął się ku drzwiom; poczekał, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności, i wślizgnął się na korytarz.

Z nawyku gasił, wychodząc, światło w każdym pomieszczeniu. Nie chciał wzbudzać zainteresowania sąsiadów. Do wnętrza dochodził teraz jedynie blask lampy nad gankiem, przesiany przez matowe szybki drzwi frontowych. Obrysowywał sylwetkę człowieka.

Kovac wyjął glocka, wymierzył z jednej ręki, drugą zaczął szukać na ścianie włącznika światła.

Postać przy drzwiach podniosła rękę do twarzy.

Kovac wstrzymał oddech, czekając na szcęk spustu.

- Tak, to ja - odezwał się męski głos. - Jestem w mieszkaniu...

- Nie ruszać się! Policja! - krzyknął Kovac, naciskając włącznik.

Mężczyzna drgnął, wydał okrzyk, otworzył szeroko oczy, po czym zmrużył je w jaskrawym świetle, wolną rękę podniósł, jakby chciał się zasłonić przed pociskami. Czyjś głos skrzeczał w słuchawce telefonu komórkowego w jego drugiej dłoni.

- Nie, wszystko w porządku, kapitanie Wyatt. - Opuścił powoli wolną rękę. Komórkę nadal przyciskał do ucha. - To tylko jeden z naszych dzielnych policjantów przy robocie.

Kovac przyjrzał się uważnie człowiekowi, który stał przed nim, celowo nie opuszczając glocka, bo był wkurzony i chciał, żeby tamten to odczuł. Rozpoznał twarz, poznał faceta na przyjęciu pożegnalnym. Pan Przystojniak, ulizany brunet o oddechu śmierdzącym tyłkiem Wyatta.

- Schowaj telefon! - rozkazał Kovac ze złością.

Przystojniak gapił się.

- Ale...

- Schowaj ten cholerny telefon, lalusiu. Co tu robisz? Lokal jest zaplombowany.

Dworak Wyatta zatrzasnął klapkę telefonu i wsunął go do wewnętrznej kieszeni eleganckiej czarnej jesionki.

- Mam się tu spotkać z kapitanem Wyattem. To chyba wystarczający powód...

- Mylisz się, laluu! - warknął Kovac, wciąż celując z pistoletu. - Mógłbym ci odstrzelić tę ulizaną łepetynę. Nie wiesz, że się dzwoni do drzwi?

- Po co dzwonić do drzwi umarłego?

- Po co tu w ogóle przychodzić?

- Jedzie tu kapitan Wyatt z Mikiem Fallonem. Pan Fallon ma wybrać garnitur do trumny dla syna - wyjaśnił tonem wyższości. - Pracuję u kapitana Wyatta. Nazywam się Gavin Gaines, więc może pan przestać nazywać mnie „laluś”.

Za dużo samozadowolenia w uśmiechu - ocenił Kovac. Najgorszego rodzaju kutas po studiach.

- Mam podnieść ręce do góry? - zapytał Gaines, trzymając ręce odsunięte od boków. Na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu.

- Nie bądź taki cwaniak. - Kovac schował glocka do kabury. - Co właściwie robisz dla „Kapitana Ameryki”?

- Jestem asystentem, rzecznikiem, łącznikiem z mediami. Pomagam mu we wszystkim.

Czyli: lizusostwo, wazeliniarstwo i włożenie w tyłek bez mydła.

- No to teraz pomóż wtaszczyć pana Fallona do domu. - Kovac podszedł do drzwi i otworzył je. - Czy ci się fryzura od tego potarga?

Gaines zgrzytnął idealnymi zębami.

- Jak mówiłem, pomagam we wszystkim. Żyję, by służyć. We dwóch z trudem wnieśli Fallona po schodach. Mike wisiał na nich bezwładnie. Jeszcze gorzej niż wtedy, gdy był pijany - pomyślał Kovac. Żaloba dodawała mu ciężaru; rozpacz odebrała mu resztki sił. Wyatt ograniczył się do wniesienia fotela.

- Sam, słyszałem, że omal nie postrzeliłeś mojej prawej ręki - zażartował Wyatt. Sama słodycz.

- Jeśli płacisz mu za szare komórki, to chyba powinien ci zwrócić nadpłatę - odparł Kovac. - Ma braki w zakresie zdrowego rozsądku.

- Dlaczego tak twierdzisz? Przecież nie wtargnął na miejsce zbrodni. Nie miał powodu kogokolwiek się tu spodziewać. A właśnie: co ty tutaj robisz?

- To, co zwykle. Szukam brakujących kawałków.

- Przecież uznano, że Andy zmarł wskutek nieszczęśliwego wypadku. - Wyatt powiedział to stłumionym głosem, zerkając na Mike'a zgarbionego w wózku inwalidzkim. Gaines stał w głębi, czekał z założonymi rękami, chmurne spojrzenie skierował w stronę



choinki. To spojrzenie podpatrzył prawdopodobnie w filmach u aktorów grających agentów Tajnej Służby.

- Podobno rzeczywiście - odparł Kovac. - Należą ci się za to podziękowania, Ace.

Wyatt nie dostrzegł ironii w głosie Kovaca.

- Po co było przedłużać cierpienie Mike'a? A w czym interesie było nazywanie tego samobójstwem?

- Tylko firmy ubezpieczeniowej. Mamy je gdzieś.

- Mike poświęcił służbie w policji wszystko. Nogi. Syna. Tym przynajmniej mogliśmy się mu odwdziaczyć.

- I ty o to zadbałeś.

- Ostatnia akcja jako kapitana. - Błysnął zmęczoną wersją słynnego uśmiechu. W świetle lampy w przedpokoju jego skóra wydawała się żółtawa, a zmarszczki w kącikach oczu były głębsze niż dwa dni temu. Brak makijażu.

Ostatnia akcja. Dopelnienie - pomyślał Kovac - tej, która rozpoczęła karierę Ace'a Wyatta, a która uczyniła z Mike'a kalekę.

- Gdzie mój chłopak?! - ryknął Mike.

Wyatt odwrócił wzrok.

Kovac ukucnął przy wózku.

- Nie żyje, Mike. Pamiętasz? Mówiłem ci.

Fallon gapił się na niego, twarz miał obwisłą, spojrzenie nieobecne. Wiedział jednak. Wiedział, że jego syn nie żyje; wiedział, że musi temu stawić czoło, poradzić z tym sobie, uporać się. Miał jeszcze tylko chwilę na to, by udawać, że nic się nie stało. Stary człowiek powinien mieć do tego prawo.

- Mogę się zająć wyborem ubrania, panie kapitanie. - Gaines ruszył ku schodom.

- Chciałbyś, Mike? - zapytał Kovac. - Jakiś obcy ma wybierać rzeczy, w których twój chłopak pójdzie do Pana Boga?

- Nie pójdzie - wymamrotał Fallon bezbarwnie. - Odebrał sobie życie. To grzech śmiertelny.

- Tego nie wiemy, Mike. Lekarz jest zdania, że to był wypadek.

Fallon patrzył na niego przez kilka sekund.

- Wiem. Wiem, kim był. I co zrobił. Oczy wypełniły mu się łzami, zadrżał.

- Nie mogę mu wybaczyć, Sam - szepnął, chwytając Kovaca za rękę. - Niech mnie Bóg ma w swojej opiece. Nie mogę mu wybaczyć. Znienawidziłem go. Nienawidziłem go za to, co robił!

- Nie mów tak, Mike - odezwał się Wyatt. - Wcale tak nie myślisz.

- Pozwól mu mówić, potrzebuje tego - przerwał mu Kovac. - Wie, co naprawdę myśli.

- Dlaczego nie mógł być taki, jak mu mówiłem? - mamrotał Fallon do siebie albo do swojego Boga, tego Boga, który ma bramkarzy przy wrotach niebieskich, żeby nie wpuszczali gejų i samobójców, i wszystkich tych, którzy nie pasowali do sztywnych wyobrażeń Mike'a Fallona. - Dlaczego?!

Kovac dotknął jego głowy. Błogosławieństwo jednego gliny dla drugiego.

- Chodź, Mike. Zajmijmy się tym.

Fotel zostawili u podnóża schodów. Kovac i Gaines znów nieśli Mike'a. Wyatt zamykał korowód. Posadzili Fallona na brzegu łóżka, plecami do lustra z przeprosinami za śmierć syna. Ale na woń nic się nie dało poradzić. Woń doskonale znaną każdemu policjantowi.

Mike Fallon zwiesił głowę i rozplakał się bezgłośnie, zagubiony w spekulacjach, dlaczego jego chłopak był taki, jaki był, i skończył tak, jak skończył. Gaines podszedł do okna i wyglądał na zewnątrz. Wyatt stał w nogach łóżka i ze zmarszczonym czołem gapił się w lustro.

Kovac wszedł do garderoby i zdjął z wieszaka kilka garniturów Andy'ego. Zastanowił się, kto dla niego będzie wybierał strój na ostatnią drogę.

- Który z tych, Mike? - zapytał, pokazując w jednej ręce granatowy, a w drugiej ciemnoszary.

Fallon nie odpowiedział. Jego spojrzenie powędrowało ku fotografii syna w kącie na komodzie. Tej z uroczystości wręczenia dyplomu akademii. Utrwalona chwila radości i dumy.

- Człowiek nie powinien żyć dłużej od własnych dzieci - rzekł. - Należy umrzeć, zanim człowiekowi pęknie serce.

Człowiek nie powinien żyć dłużej od własnych dzieci.

Nie powinien.

I nie żył.

Widzi tę scenę wyraźnie, jakby dwadzieścia lat wcale nie minęło: bezwietrzna noc, skrzypienie własnych butów, odgłos własnego oddechu.

Dom wydaje się ogromny. Czuje napływ adrenaliny. Drzwi tylnego wejścia otwarte na oścież.

Kuchnia. Białe jarzeniówki pod wiszącymi szafkami bucą jak druty wysokiego napięcia. Wchodzi w ciemność. Ciemne pokoje, księżyc za oknem. Cisza, jakby zatkał palcami uszy. Sekundy mijają w zwolnionym tempie.

Porusza się zręcznie i silnie. To żywe, wyraźne wrażenie; a przecież od dwudziestu lat od pasa w dół pozbawiony jest czucia. Dobrze pamięta napięcie każdego mięśnia: nóg, pleców, palców lewej dłoni zaciśniętych na kolbie pistoletu; pamięta skurcze serca.

Nagle - jest. Zaskoczenie: zobaczył coś, ale nie zapamiętał. Śmierć w nagłym białoniebieskim błysku. Głośny huk. Odepchnięty, niczym falą uderzeniową, odruchowo naciska spust.

Pada.

Slepnie. Głuchnie. Szybuję.

Niedowierzenie. Strach. Ulga.

Umarłem.

Szkoda, że tak nie zostało.

Wpatruje się w ciemność, nasłuchuje własnego oddechu, czuje własną słabość, własną śmiertelność, po raz milionowy zastanawia się, dlaczego tamtej nocy nie zginął. Często tego żałował, ale sam nie chciał zrobić ostatecznego kroku; nie miał odwagi. Pozostał wśród żywych, zanurzając się coraz bardziej w goryczy, trunku i lekach.

Dwadzieścia lat w czyścicu. Nigdy się z niego nie wydostał, bo nie chciał spojrzeć demonom w twarz.

Teraz ma przed sobą jednego z nich. Nawet teraz, nietrzeźwym wzrokiem, wyraźnie widzi i rozpoznaje, kto to: to Demon Prawdy. Anioł Śmierci.

I ten ktoś przemawia do niego spokojnie i cicho. Widać ruchy ust, dźwięk jednak jakby rozlegał się we wnętrzu głowy.

Czas umrzeć, Mike. Człowiek nie powinien żyć dłużej od własnych dzieci.

Patrzy na swój stary rewolwer służbowy, trzydziestkęósemkę o krótkiej lufie z głęboką szczerbą na kolbie, ślad po pocisku, tym samym, który uszkodził mu rdzeń pacierzowy. Z tej broni - powiadali później - zastrzelił człowieka, który go omal nie zabił. Tamtej nocy, ostatniej nocy swojej policyjnej służby.

Słyszy cichy okrzyk strachu, domyśla się, że ten okrzyk wydało jego własne ciało, chociaż słyhać go jakby z daleka. Ręce próbują popchnąć koła fotela, jakby ciało próbowało jeszcze uciec przed przeznaczeniem, z którym umysł już się pogodził. Dziwne.

Zastanawia się, czy tak samo było z Andym: wzbierający strach, gdy pętla zaciskała się na szyi. Boże, jakie uczucia ta myśl w nim wyzwala! Wstyd, wściekłość. Wyrzuty sumienia, nienawiść i miłość.

- Kochałem go - mówi. Mowę ma bełkotliwą. Po brodzie spływa ślina z kącika ust.  
- Kochałem go, ale nienawidziłem! Robił to. To była jego wina.

Te słowa to jak wbijanie noża we własną pierś. Nie potrafi jednak ich nie powtarzać, mleć w myślach; nie potrafi przestać nienawidzić Andy'ego, nienawidzić samego siebie. Jak można nienawidzić własnego syna? Płacze znowu, głośno; rozpaczliwy szloch wznosi się i opada, jak wycie syreny. Słyszy go tylko demon. Jest sam na świecie, sam, a wokoło noc. Sam na sam z demonem, Aniołem Śmierci.

Człowiek nie powinien żyć dłużej od własnych dzieci. Należy umrzeć, zanim człowiekowi pęknie serce. Albo zanim im pęknie serce. Zabiłeś go. Nienawidziłeś go. Zabiłeś go.

- Kochałem go też! Nie rozumiesz?

Widziałem, co mu zrobiłeś. Przez ciebie pękło mu serce. Robił dla ciebie wszystko, a ty go zabiłeś.

- Nie, nie - mówi, połykając łzy. Strach i żal nabrzmiewają jak guz w głębi gardła. - Nie słuchał mnie. Mówiłem mu. Mówiłem mu... Przeklęty! - Łka. - Przeklęty pedał!

Ból wyrywa się potwornym wrzaskiem. Człowiek wymachuje rękami, wali na oślep, chce dosięgnąć demona. Zabiłeś go.

- Przecież nie mógłbym! - krzyczy. - Mój wspaniały chłopiec!

Chcesz się od tego uwolnić, Mike? Skończ z tym bólem.

Skończ z bólem...

Głos uwodzi, kusi. Człowiek znów płacze, dławi się, strach ściska go za gardło.

Skończ z bólem.

To grzech!

To odkupienie.

Zrób to, Mike.

Skończ.

Zimna lufa służbowego rewolweru całuje policzek. Łzy ciekną po oksydowanej stali.

Skończ z bólem.

Po tylu latach.

Zrób to.

Łkając, otwiera usta i zamyka oczy. Oślepiający błysk. Ogłuszający huk. Czyn dokonany.

Dym unosi się, wijąc, w nieruchomym powietrzu. Mija czas. Chwila. Dwie. Szacunek dla śmierci. Kolejny błysk... i szmer elektrycznego silniczka. Anioł Śmierci wsuwa aparat fotograficzny do kieszeni, odwraca się i odchodzi.

Obudziła się z niespokojnego, pełnego koszmarów snu i zobaczyła go. Stał przy łóżku, na tle przyćmionego światła sączącego się przez drzwi łazienki: wielka sylwetka bez twarzy, o ramionach jak górskie zbocza.

Strach wybuchł w piersi jak bomba. Odłamki stanęły w gardle. Rozdzierały wnętrzności. Mięśnie rąk i nóg chwycił skurcz.

Uciekać!

Podniosła obie ręce i zepchnęła z siebie coś, próbując się podnieść z materaca. Widziała to coś, niczym na zwolnionym filmie: gruby, wijący się wąż. Wyraźnie widoczne kolory: kremowobiałe podbrzusze, brązowo-czarny deseń po stronie grzbietowej.

Wymachując rękami, rzuciła się przed siebie. W ułamku sekundy jej umysł stracił całkowicie orientację. Egipskie ciemności. Nic nie widzi. Niczego nie czuje. Nie wie, gdzie góra, gdzie dół. Biegnie ze wszystkich sił.

Coś uderzyło ją tuż pod prawym okiem. Silnie jak kowalski młot. Głowa niemal odpadła z szyi. Chyba krzyknęła. Potem wszelki ruch ustał. Zdała sobie sprawę, że to, co ją uderzyło, to podłoga.

Boże, skręciłam kark.

On wciąż jest tutaj.

Nie mogę się ruszyć.

Przytomność zaczęła się wymykać, wyslizgiwać jak piskorz. Chwyciła się jej całą siłą woli, zmusiła mózg do funkcjonowania.

Gdyby mogła ruszyć nogą... Może.

Gdyby mogła ruszyć ręką... Może.

Przyciągnęła ręce, wsparła się i powoli uniosła z podłogi. Głowa opadła ciężko, szyja bolała, jak nadłamana. Uklękła, podtrzymała głowę dłońmi, ból nadchodził falami jak tętno. Na przemian traciła i odzyskiwała świadomość. Jasność i czerń. Jasność i czerń.

To niemożliwe.

Nie było tego.

To nie był sen, nie do końca. Raczej omam. Nie sen i nie jawa. Specjaliści mówią o nocnych lękach. Ona była specjalistą, wyspecjalizowała się przez lata. Całe lata koszmarów.

Napłynęła znajoma fala rozpacz. Miała ochotę rozplakać się, ale nie mogła. Ogarniało ją obronne otępienie. Nie chciała go, ale się mu poddawała. Powoli, chwiejnie stanęła na nogach.

Nadal podtrzymując jedną ręką głowę, zapaliła lampkę na komodzie. W pokoju nie było nikogo. W świetle zajaśniały ciepłe, kremowe tapety w prążki. Łóżko było puste, na podwyższonym podglówku nie było poduszek, które się tam normalnie znajdowały. Zrzuciła je na podłogę wraz ze szklanką wody z nocnej szafki. Mokra plama rozlewała się na dywaniku w kolorze kości słoniowej. Koło pustej szklanki leżał budzik, pokazywał czwartą trzydzieści dziewięć. Rano.

Powoli, obolała, podeszła do łóżka i odrzuciła koldrę. Węza nie było. Logiczną częścią mózgu wiedziała oczywiście, że nigdy go tu nie było, mimo to wzrokiem gorączkowo myszkowała po podłodze. Niemal spodziewała się zobaczyć smukły kształt, znikający pod drzwiami do garderoby.

Świadomym wysiłkiem uregulowała oddech; ćwiczenie równie dobrze jej znane jak samo oddychanie. Serce waliło. Ból w karku był nieznośny. Poczowała mdłości. Stopniowo doszło do niej, że ręka, która podtrzymywała głowę, jest mokra i lepka. Wiedziała, że nadeszła pora oszacować szkody.

Amanda Savard przyjrzała się sobie w lustrze łazienki, ponuro przyjmując do wiadomości wszystko, co widzi. Delikatna, elegancka, kobieca: taki wizerunek stworzyła dla siebie samej, aby czuć się bezpiecznie. Taki też wizerunek prezentowała na ogół otoczeniu. Dziś jednak wyglądała, jakby miała za sobą pięć rund na ringu. Okolica prawego oka była opuchnięta po uderzeniu, dochodziły do tego otarcia od szorstkiej wykładziny. Paliło. Otarcia odbijały czerwienią od trupiej bladości twarzy. Delikatnie ucisnęła opuszkami palców okolice obrażeń, chcąc wymacać, czy nie ma pęknięcia kości; zabolalo tak, że z sykiem wciągnęła powietrze.



Jak to wytłumaczyć? Jak ukryć? Kto jej uwierzy?

Z szafki z bielizną wyjęła płócienną myjkę, zmoczyła w zimnej wodzie, dotknęła otartych miejsc, niemal zgrzytając zębami z bólu. Wzięła trzy tabletki tylenolu i wróciła do sypialni. Niezgrabnie ściągnęła przepoconą na wylot koszulę nocną i włożyła obszerną bluzę i legginsy.

W domu panowała cisza. Lampki kontrolne systemu alarmowego, zamontowane na ścianie przy drzwiach sypialni, uspokajały ją, że wszystko w porządku. Poddawała się jednak nocnemu rytuałowi: przed położeniem się do łóżka sprawdziła wszystkie zamki. Wciąż miała poczucie, że gdzieś czai się niebezpieczeństwo. Z doświadczenia wiedziała, że jedyna na to rada to zrobić obchód mieszkania i upewnić się osobiście, że żadnego intruza nie ma.

Wyjęła z szuflady pistolet i poszła do hallu, ruszając się jak niesprawna staruszka. Zapaliła w domu wszystkie światła, kolejno w każdym pokoju, sprawdziła każde pomieszczenie, każde okno, każdy zamek. Światło płoszyło upiory. Upiory nawiedzały ją od tak dawna, że powinna się już była do nich przyzwyczaić, przestać się ich bać. Były równie bliskie jak najbliżsi i tak samo znienawidzone.

W gabinecie nacisnęła włącznik wieży stereo. Kenny Loggins zaczął śpiewać łagodną, spokojną piosenkę o wakacjach i wspomnieniach domu. Wzbudziła w niej uczucie pustki, samotności i smutek, ale nie wyłączyła jej.

Lubiła ten mały pokój na tyłach domu. Było tu przytulnie, czuła się bezpiecznie. Okna wychodziły na ogródek, zaciszny, pełen karmników dla ptaków. Mieszkała w Plymouth, przedmieściu, które wciskało się między mokradła, lasy i jezioro Medicine. Trafiły się tu nawet jelenie, chociaż dzisiaj żaden nie podszedł dostatecznie blisko, by uruchomić alarm. Miała trzy fotografie takich nocnych gości, oprawione w ramki wisiały na ścianie gabinetu. Na jednym widać było ducha: jej własne odbicie w okiennej szybie, nałożone na obraz zwierzęcia.

Zasunęła rolety, zbyt podenerwowana, by ukazywać się zewnętrznemu światu. Potrzebowała uczucia otulenia. Sypialnia była jej schronieniem, gdy chciała uciec przed pracą. Gabinet był schronieniem, gdy chciała uciec przed prześladowającymi ją upiorami.

Dzisiaj nie było ucieczki przed niczym.

Na biurku było czysto, na półkach i w szufladach panował porządek. Rachunki i dokumenty poumieszczane w segregatorach, spinacze poukładane w magnetycznych pojemnikach, pisaki wstawione do drewnianego kubka. Nie widać było rodzinnych fotografii; niewiele pamiątek, w tym policyjna odznaka na górnej półce etażerki. Nieustanne memento, dlaczego została policjantem. Rzadko na nią spoglądała, ale teraz wzięła ją do ręki i przyglądała się długą chwilę, czując w żołądku piekący ból.

Na biurku leżał egzemplarz „Minneapolis Star Tribune”, otwarty na kolumnie, którą większość ludzi przeskakuje po drodze do działu sportowego. Notka, która ją interesowała, miała zaledwie parę linijek i umieszczono ją u dołu strony. ŚMIERĆ POLICJANTA UZNANO ZA NIESZCZĘŚLIWY WYPADEK. Nawet zdjęcia nie było.

To szkoda - pomyślała. Taki był przystojny. A tu parę linijek, które się przeskakuje i od razu zapomina. Wczorajsza wiadomość.

- Nie zapomnę cię, Andy - wyszeptała.

Jak mogłabym? Przecież cię zabiłam.

Dłoń zacisnęła się na policyjnej odznace tak mocno, że krawędzie zaczęły ranić palce.

Ciemność wciąż spowijała Minneapolis, gdy Amanda Savard dotarła do gmachu ratusza. Okna wychodzące na ulicę były jasne, w biurach zostawiano na noc zapalone światła. O tej porze nikogo tu jeszcze nie było; była zadowolona - doskonały moment, żeby się dostać do gabinetu, nie będąc widzianą. Im dłużej zdoła się ukryć przed ludźmi, tym lepiej. Po południu już się to nie uda; musi być na pogrzebie. Na tę okazję założyła ciemne okulary.

Ciemne okulary w oprawce dość dużej, by zakryć obrażenia, których doznała, miała i teraz, choć raczej wykluczała możliwość natknięcia się na kogokolwiek. Owinęła głowę dużą, czarną, aksamitną chustą i związała ją fantazyjnie na karku. Nie chodziło tu jednak o fantazyjny wygląd. Chodziło o ukrycie.

Kroki odbijały się echem w pustym korytarzu, wysokie obcasy kozaków stukały po starej podłodze. Droga do pokoju numer 126 dłużyła się, dłonie Amandy Savard były wilgotne od potu wewnątrz rękawiczek. Kurczowo ścisnęła klucze. Adrenalina nocnego koszmaru jeszcze się nie wypaliła; jej resztki sprawiały, że czuła się i podniecona, i

wyczerpana. Co chwila kręciło jej się w głowie. Nogi miała miękkie, a głowę - obolałą. Nie mogła skrócić szyi w prawą stronę i raz po raz nachodziły ją mdłości.

Włożyła klucz do zamka, drgnęła - poczuła mrowienie na karku. Obejrzała się, ale korytarz wyglądał na pusty. Przeszła przez hali recepcyjny biura Służby Wewnętrznej, nie zapalając światła, i weszła prosto do swojego gabinetu, w którym zostawiła zapaloną lampkę na biurku.

Nareszcie bezpieczna. Przez godzinę czy dwie. Powiesiła chustkę i palto na wieszaku przy drzwiach i weszła za biurko. Zdjęła okulary i przejrzała się w lusterku puderniczki, jakby mając nadzieję, że po drodze z domu do biura zdarzył się jakiś cud.

Otarcie pod prawym okiem wyglądało fatalnie: czerwone i błyszczące od antybiotykowego żelu. Nie było szans, żeby zamaskować je makijażem, ani sposobu, by utrzymał się na nim opatrunek. Wokół oka obrzęk i siniak.

- Nieźle to wygląda.

Amanda Savard podskoczyła, usłyszawszy obcy głos. Chciała się odwrócić tyłem, ale zdała sobie sprawę, że już za późno. Ogarnęły ją wstyd i zakłopotanie, które szybko przerodziły się w złość i urazę. Chwyciła okulary i założyła je szybko.

W drzwiach stał Kovac; wyglądał, jakby wyszedł z powieści Chandlera: długi płaszcz z postawionym kołnierzem, ręce w kieszeniach, stary pilśniowy kapelusz naciągnięty nisko na czoło.

- Zdaje się, że praca w SW wiąże się z ryzykiem oberwania po buzi.

- Jeśli chce pan się ze mną zobaczyć, proszę się umówić przez sekretarkę, sierżancie.

- Już panią zobaczyłem.

Powiedział to w taki sposób, że poczuła się zagrożona. Jakby zobaczył coś więcej niż tylko fizyczne ślady tego, co ją spotkało, jakby dostrzegł coś głębszego, ważniejszego.

- Była pani z tym u lekarza? - Podeszedł bliżej. Zdjął kapelusz i położył na biurku, przygładził dłonią włosy. Skupił wzrok na jej obrażeniach. - Paskudnie to wygląda.

- Nic mi nie jest - odparła, ciesząc się, że broni jej zaporą z biurka. Odsunęła się jak najdalej, pod pretekstem chowania puderniczki do torebki, a torebki w szufladzie. Znowu zakręciło się jej w głowie, musiała się przytrzymać blatu.

- Ciekawe, jak wygląda ten drugi.

- Nie było nikogo drugiego. Upadłam.

- Z trzeciego piętra?

- Nie pańska sprawa.

- Moja sprawa, jeśli ktoś to pani zrobił.

„Służyć i bronić” to jego dewiza. Obowiązek zawodowy, nic osobistego.

- Powiedziałałam panu, przewróciłam się.

Nie uwierzył. Widać to było wyraźnie. Był policjantem, dobrym policjantem. Wiedziała o tym, sprawdziła jego akta. Sam Kovac miał wieloletnie doświadczenie w wyłapywaniu tonu kłamstwa w tym, co ludzie mówią. A ona w zasadzie nie kłamała, lecz i nie mówiła całej prawdy.

Obserwowała, jak spojrzenie Kovaca spoczywa na jej serdecznym palcu. Szuka obrączki. Zastanawia się, czy to nie brutalny mąż. Ona nosi jednak tylko pierścionek ze szmaragdem, pamiątkę rodzinną od stu lat.

- Niech mi pan uwierzy, sierzancie. Nie jestem kobietą, która komukolwiek puściłaby coś takiego płazem.

Widać było, że się waha, czy nie powiedzieć czegoś jeszcze, nawet już zaczerpnęła powietrza, ale się powstrzymała.

- Nie przyszedł pan tutaj, żeby się dopytywać o moje zdrowie.

- Wczoraj natknąłem się na Cala Springera. Pewnie się pani ucieszy, że trzęsie portkami z powodu waszego śledztwa.

- Nie interesuje mnie Cal Springer. Mówiłam już panu, sprawa Curtisa jest zakończona. Śledztwo miało wiele mankamentów, ale prowadzącemu nie udało się udowodnić żadnej nieuczciwości. Nic, co by się nadawało do sądu.

- Nieudolność to rzeczywiście mocna strona Cala, a do nieuczciwych kombinacji za wielki z niego tchórz. A co z Ogdenem? Słyszałem, że podrzucił w mieszkaniu Vermy zegarek Curtisa.

- Może pan to udowodnić?

- Nie. Może Andy Fallon mógł? Zastaliśmy Ogdena na miejscu, kiedy przyjechaliśmy z partnerką do domu Fallona we wtorek.

- Nie, on też nie mógł tego udowodnić. Zamknęliśmy to śledztwo. - Znów poczuła, że traci równowagę. Głowa pulsowała bólem. - Andy został przesunięty do innej sprawy.

Nie z wyboru. Z rozkazu. Jej rozkazu.

- Ogden o tym wiedział? - zapytał Kovac.

- Tak. Co tam robił? U Andy'ego?

- Gapił się.

- Wstrętne.

- I głupie. Ale trzeba przyznać, że Ogden do błyskotliwych nie należy.

- Przesłuchał go pan na tę okoliczność, skąd się wziął na miejscu?

- Nie mam prawa przesłuchiwać nikogo, pani porucznik.

Sprawę zamknięto - przypomniał jej Kovac. - Nieszczęśliwy wypadek, jeśli pani zapomniała.

- Na pewno nie zapomniałam.

- Myślałem, że Ogden z partnerem zjawili się na wezwanie radiowe. Nie miałem powodu przypuszczać, że ma jakiś inny motyw, aby się tam znaleźć. Głupie pytanie: czy była jakaś animozja między nim a Fallonem? Czy Ogden mu groził?

- O niczym takim mi nie wiadomo. Powiedzmy, że nie było między nimi większej niechęci, niż to bywa zazwyczaj.

- Przyzwyczailiście się, że ludzie was nienawidzą.

- Pana też, sierżancie.

- Ale nie moi.

Nie odpowiedziała od razu.

- Niechęć jest nieunikniona. Ludzie, którzy postępują źle, nie lubią ponosić konsekwencji swoich czynów. Policjanci, którzy postępują źle, są gorsi niż zwykli przestępcy. Wydaje im się, że osłoni ich policyjna odznaka. Kiedy się okazuje, że nie... Sprawdzę akta sprawy - powiedziała, wypuszczając powoli powietrze. Miała ochotę usiąść, ale nie mogła ujawnić mu swojej słabości; nie chciała też, by sobie pomyślał, że

siada do komputera, aby zajrzeć do akt sprawy na poczekaniu. - ...Ale nie spodziewam się znaleźć niczego nadzwyczajnego. Oboje wiemy w głębi serca, że Andy prawdopodobnie odebrał sobie życie, niezależnie od tego, co powiedział lekarz sądowy.

- Pani porucznik, ja nie mieszam w to serca. Wystarczy mi to, co czuję przez skórę.

- Wie pan, o co mi chodzi. Nie został zamordowany.

- Ja wiem tylko tyle, że nie żyje - upierał się Kovac. - A powinien żyć.

- Na świecie wciąż zdarzają się tragedie, sierżancie Kovac - odparła, oddychając trochę za szybko. - Nam zdarzyła się w zeszłym tygodniu. Może łatwiej byłoby się nam z nią pogodzić, gdyby chodziło o zbrodnię, nie wiem. Ale to nie była zbrodnia. Musimy się z tym uporać.

- I co? - Przesunął się w jej kierunku. - Właśnie próbuje się pani z tym uporać?

Savard wydało się nagle, że Kovac wcale nie mówi o Andym Fallonie. Patrzył na jej obrażenia, na te fragmenty, które wystawały spoza okularów. Chciała zrobić krok do tyłu, ale podłoga zachowywała się jakoś dziwnie. Zrobiło się jej czarno przed oczami, znów zakręciło się w głowie.

Kovac przyskoczył, przytrzymał za ramię. Oparła się dłońmi o jego pierś, bojąc się stracić równowagę.

- Lekarz jest konieczny.

- Nie, nie. Nic mi nie jest. Przysiadę na chwilę. Odepchnęła się od niego, próbując uwolnić. Nie puszczał.

Odwrócił ją, a gdy kolana się pod nią ugięły, podstawił krzesło. Zdjął jej okulary i zajrzał w oczy.

- Ilu mnie pani widzi?

- Jeden aż za dużo.

- Proszę śledzić wzrokiem mój palec - polecił, przesuwając palec przed jej oczami na boki, a potem w górę i w dół. Minę miał posępną. Jego oczy były ciemnobrązowe, jakby przydymione i z domieszką błękitu gdzieś w głębi. Z bliska wyglądają ciekawiej - pomyślała z roztargnieniem.

- Rany - mruknął, przyglądając się okolicy prawego oka. Wielką dłonią przytrzymał jej twarz łagodnie; kciukiem obmacywał kości, czy są nienaruszone. - Stawiam dziesięć dolców, że zostanie blizna.

- Nie pierwsza, nie ostatnia.

Zatrzymał dłoń. Baczynym wzrokiem odnalazł jej spojrzenie. Uciekła oczami w bok.

- Musi pani iść do lekarza - powtórzył po raz kolejny. Przysiadł na biurku. - To może być wstrząs mózgu. Z tym nie ma żartów, przemawia przeze mnie doświadczenie. - Pokazał palcem na szwy nad swoim lewym okiem. Wokół też miał obrzęk i siniaki.

- Miał pan wstrząs mózgu? To by wiele wyjaśniało.

- Nie. Głowę mam granitową. Chyba oboje mamy coś wspólnego - powiedział to takim tonem, jakby przemyślał sprawę.

- Ma pan chyba coś do roboty, sierżancie. - Przysunęła krzesło do biurka, mając nadzieję, że od tego nie zakręci jej się w głowie na tyle silnie, by spadła albo zwymiotowała. Kovac ani drgnął. Nie podobało jej się, że jest tak blisko niej. Wcale nie podobało. Gdyby podniósł rękę, mógłby dotknąć jej włosów, jej twarzy, jak przed chwilą.

Nie podobało się jej, że wszedł za biurko. To jej prywatna przestrzeń. Sforsował wały obronne, chyba wie o tym.

- Pani nie chce rozmawiać o Andym Fallonie. Dlaczego?

Zamknęła oczy, zdesperowana, otworzyła je.

- Bo nie żyje, a ja się czuję za to odpowiedzialna.

- Myśli pani, że można było to przewidzieć? Czasami nie można. Czasami wypatruje się czegoś, a cios nadchodzi z zupełnie nieoczekiwanej strony. - Zrobił taki gest, jakby zadawał lewą ręką cios w stronę jej prawego oka.

Savard przyglądała mu się.

- Niech się pan lepiej zajmie jakimś prawdziwym zabójstwem, sierżancie - powiedziała, sięgając do aparatu telefonicznego.

Przyglądał się, jak uruchamia pocztę głosową. Nie wyglądał na zadowolonego czy szczęśliwego, ale prawdę mówiąc, nigdy tak nie wyglądał. Może nigdy nie był.

Następne, co oboje mamy wspólnego - pomyślała.

Niechętnie wyszedł zza biurka i wziął do ręki kapelusz.

- Nie zawsze mądrze jest być odważną, Amando - powiedział cicho.

- Wolałabym, żeby zwracał się pan do mnie „pani porucznik Savard”.

Kącik ust uniósł mu się odrobinę.

- Tak. Wiem. Chciałem tylko usłyszeć, jak to brzmi. - Zamilkł na chwilę. - Czy piliście z Andym wino, kiedy była pani u niego w niedzielę wieczorem?

- Nie piję. Piliśmy kawę.

- Aha! A wiedziała pani, że Andy zmienił pościel i puścił pranie, zanim się zabił? Dziwne, przyzna pani.

Savard milczała.

- Do zobaczenia na pogrzebie - rzucił na odchodnym. Patrzyła za nim. Poczta głosowa odtwarzała wiadomości, ale ona ich nie słyszała.



Mundurowi policjanci od czterdziestu lat uczęszczali na śniadania do lokalu „Tani Charlie”, mieszczącego się na ziemi niczyjej na północny wschód od Metrodome. Wysłuzony lokal o brudnej fasadzie z lat pięćdziesiątych drwił sobie ze zmiennych kolei losu; bez jakiegokolwiek metamorfozy przetrwał kolejne dekady postępu, recesji, przebudowy i czego tam jeszcze. „Tani Charlie” nie miał powodu do zmian. Jego klientela to gliny. Czasy się zmieniają, lecz policjanci są zawsze tacy sami. Tradycja to tradycja.

Mógł tu jadać śniadania Mike Fallon jako policyjny żółtodziób - pomyślała Liska, spoglądając na lokal przez błękitną folię, zastępującą jej chwilowo okno po stronie pasażera. Udało jej się znaleźć miejsce do parkowania tuż przy wejściu, bo właśnie gdy nadjechała, opuszczał je jakiś radiowóz.

I ona stołowała się tu w początkach kariery. Obsługiwała ją wtedy kelnerka, która pewnie nastąpiła jeszcze przed czasami Mike'a Fallona; wołano na nią „Pucka”. W zamierzchłych czasach świetności wyglądała jak chomik, który się objadł. Pulchne policzki, nosek jak guziczek. Później, z upływem lat, siła ciężenia zrobiła swoje i obecnie „Pucka” nie było już tak trafnym przewiskiem jak kiedyś; ponieważ jednak wszyscy się przyzwyczaili, więc zostało.

Dziś Pucka pracowała za bufetem; pomarszczona lalka z oczyma jak szparki i krzywą wieżą farbowanych na czarno włosów, nalewała kawę, nie wyjmując papierosa z ust, wbrew wszelkim przepisom higienicznym. Żaden z obecnych policjantów nie zwrócił jej na to uwagi. Lokal wypełniały mundury i wąsy. Wielu detektywów po cywilnemu też tu przychodziło. Kovac zaglądał tu nierzadko. Siła tradycji.

Liska podeszła do bufetu i usiadła na wolnym stolku koło Elwooda Knutsona. Przeczesała wzrokiem pomieszczenie.

- Elwood, myślałam, że jesteś człowiekiem zbyt oświeconym, aby tu jadać.
- Owszem - odparł, zerkając na talerz usmarowany tłuszczem, z resztkami jajek sadzonych na boczku. - Ale postanowiłem spróbować tej nowej diety proteinowo-

tłuszczowej, a nie ma lepszego miejsca, gdzie by można zjeść właściwe śniadanie. Ten lokal jest znów na topie. A jak ty się wytłumaczysz?

- Dawno już nie miałam porządnej zgagi.

- Więc wpadłaś tu coś przekąsić.

- Otóż to.

Zauważyła wreszcie Ogdena. Wcisnął się do boksu w głębi. Miał taką minę, jakby cierpiał na zaburzenia ruchu robaczkowego jelit. Liska nie widziała, kto mu towarzyszy przy śniadaniu i musi oglądać skrzywioną minę.

Elwood nie odwrócił się, lecz przyglądał się Lisce.

- Masz tu jakieś interesy, o których nic nie wiem?

- Przeciwnie, jestem zainteresowana czymś, co może wiesz. Pamiętasz to zabójstwo mundurowego, Curtisa?

- Tak. Jeden z serii tych napadów na gejów. Jakiś wschodzący seryjny morderca.

- Prawdopodobnie. A co wiesz o prześladowaniach gejów w policji?

Elwood w zamyśleniu żuł ostatni kawałek smażonego boczku. Na głowie miał mysiego koloru płócienny kapelusik z rondem wywiniętym z przodu do góry.

- Uważam, że prześladowanie kogokolwiek ze względu na jego preferencje seksualne jest godne najwyższego potępienia. Kimże jesteśmy, by oceniać innych? Miłość jest tak rzadka...

- Dziękuję. Jestem pełna podziwu. Prześlę twój adres do Związku Obrony Praw Człowieka - powiedziała Liska sucho. - Nie mówimy o tobie, Elwood.

- A o kim mówimy?

Rozejrzała się dyskretnie dookoła, z nadzieją, że ktoś ich podsłuchuje.

- Mówię o mundurowych. Jakie są nastroje w okopach, na pierwszej linii frontu? Zostawmy wydział politycznej poprawności z boku. Jakie postawy przeważają wśród szeregowców? Słyszałam, że Curtis skarżył się Służbie Wewnętrznej na szykany. O co chodziło? Czy wciąż wpuszczają do klubu neandertalczyków? Myślałam, że skończyło się wraz z Rodneyem Kingiem i rozruchami w Los Angeles.

- Przykra sprawa, ale widać taki element lubi ten rodzaj pracy - skomentował Elwood. - Chodzi o odznakę policyjną. Lubią błyskotki, jak mały.

Mundurowy policjant, który siedział po drugiej stronie Liski, odwrócił się i rzucił jej ponure spojrzenie.

- Musiał być orangutanem w poprzednim wcieleniu - powiedziała szeptem. Pociągnęła łyk kawy, przyniesionej przez Pućkę, i od razu przypomniało się jej, że trzeba wymienić olej w Saturnie. - Tak czy owak, słyszałam, że dochodzenie w sprawie zabójstwa Curtisa zostało skopane od początku do końca.

- To Springer. Ten typ zawsze wszystko skopie.

- To prawda, ale z tego, co słyszałam, najgorzej napaprał jeden mundurowy. Wielki bydlak, niejaki Ogden. Znasz go?

- Niestety, nie obracamy się w tych samych kręgach towarzyskich.

- Chyba dla ciebie lepiej - zakończyła Liska, zsuwając się ze stołka.

Ruszyła w głąb baru. Szła, przyjmując pozdrowienia, ale nie odrywała wzroku od Ogdena. On nadal jej nie widział. Rozmawiał z niewidocznym partnerem z coraz większym ożywieniem. Liska nie mogła rozróżnić słów, ale wyraźnie był coraz bardziej rozzłoszczony. Żałowała, że salka jest zbyt wąska, by podkraść się do rozmówców z boku. Ogden zobaczył ją wreszcie; zeszytniał i omal nie wylał szklanki z sokiem pomarańczowym.

- Na twoim miejscu spróbowałabym suszonych śliwek - odezwała się. - Słyszałam, że steroidy dają takie zatwardzenie, jakby cię zabetonowali.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparł Ogden. - Nie używam steroidów.

Cięta riposta zamarła na ustach Liski, gdy zobaczyła, kto był rozmówcą Ogdena. Cal Springer. Miał minę winowajcy, jakby go przyłapano w miejscu publicznym z prostytutką.

- Cześć, Cal. Ciekawe masz towarzystwo. Robisz to specjalnie, żeby podpaść SW? Umawiasz się z facetem, który ich zdaniem schrzanił twoje śledztwo? Może ludzie się myślą co do ciebie. Może rzeczywiście jesteś taki głupi, jak na to wyglądasz.

- Pilnuj swoich spraw, Liska.

- To nie leży w naturze detektywa. Słuchaj, Cal, nie przyszedłem tu cię prześladować. Mówię ci tylko, że to, co robisz, źle wygląda. Jeśli masz zamiar zostać zwierzęciem politycznym, powinieneś zwracać uwagę na takie rzeczy.

Odwrócił się do okna. Przez szybę nic nie było widać. Miała kolor matowy od dymu, wilgoci i tłustego nalotu.

- Gdzie się podziewa twój partner z tamtego śledztwa, Cal? Chciałabym z nim pogadać.

- Ma urlop. Wyjechał na dwa tygodnie na Hawaje.

- Szczęściarz.

Springer miał minę, jakby wolał dwa tygodnie w piekle zamiast tej rozmowy.

Liska odwróciła się do Ogdena i zapytała wprost:

- Skąd znaleźliście się z partnerem u Fallona we wtorek?

Ogden podrapał się po ostrzyżonej na jeża głowie. Między krótkimi, cienkimi włosami prześwitywała skóra głowy biała jak brzuch ryby.

- Usłyszeliśmy wezwanie przez radio.

- A przypadkowo byliście w pobliżu.

- Tak jest.

- Trafiło się. Jak ślepej kurze ziarno.

Małe oczka Ogdena wyglądały jak dwie śruciny w cieście. Poruszył potężnymi ramionami.

- Nie podoba mi się twoje zachowanie, Liska.

Liska roześmiała się.

- Tobie się nie podoba moje zachowanie. Wiesz co, głąbie - powiedziała, pochylając się, żeby mu spojrzeć w twarz. - Znajdujesz się o parę szczebli niżej ode mnie na ewolucyjnej drabinie policji. Mogę ci kupę zrobić na głowę i nikt nie wysłucha twoich skarg. Ale jeśli mnie się nie będzie podobać twoje zachowanie, a nie podoba mi się, to masz kłopot. Po co tam poszliście?

- Mówiłem, usłyszeliśmy przez radio wezwanie.

- Burgess zgłosił się pierwszy. I pierwszy znalazł się na miejscu.

- Myśleliśmy, że przyda się nasza pomoc.

- Przy zwłokach?

- Burgess był sam. Musiał zabezpieczyć miejsce wypadku.

- W związku z czym pojawiłeś się ty i Rubel i napsuliście tyle śladów, ile się dało. A to, że ofiara była tym śledczym SW, który ci siedział na tyłku z powodu tej wpadki przy sprawie Curtisa, to już czysty przypadek.

- Tak jest.

Liska pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Gdzie ty byłeś, kiedy rozdawali mózgi? Rozwalałeś głową skały? Chcesz, żeby SW znowu się do ciebie dobrała?

Ogden rozejrzał się i podniósł głos.

- Odpowiedzieliśmy na wezwanie radiowe. Skąd mogliśmy wiedzieć, że denat to Fallon?

- Ale jak już się dowiedzieliście, to nie ruszyliście się stamtąd i zostawiliście swoje odciski palców, gdzie tylko się dało.

- I co z tego? Sam się załatwił. Przecież nikt mu w tym nie pomógł.

- Skąd ta pewność? Tego nadal nie wiadomo. A poza tym to w ogóle nie wasza sprawa, póki jesteście w służbie mundurowej.

- Lekarz sądowy wykluczył zabójstwo.

- Tak czy owak, nie wolno wam było kibicować. Nie mogłeś się oprzeć, co? Zrobiłeś parę fotek, żeby pokazywać koleśnikom, którzy tak samo jak ty nienawidzą gejów?

Ogden wysunął się zza stołu i wstał. Liska próbowała utrzymać pole, ale musiała się cofnąć o krok. Nabrzmiała żyła na czole Ogdena uformowała zygzak przypominający błyskawicę. Oczy miał zimne i płaskie jak guziki. Przebiegł ją instynktowny dreszcz strachu, co zirytowało ją jeszcze bardziej.

- Nie będę ci się tłumaczył, Liska - powiedział Ogden cicho, ale z tłumionym napięciem.

Na jego wściekłe spojrzenie odpowiedziała swoim. Wiedziała, że drażni się z bykiem. Nie był to może najrozsądniejszy sposób wyjścia z sytuacji, ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Jeśli wpieprzysz mi się w jeszcze jedno miejsce przestępstwa, to już nie będziesz się musiał przed nikim tłumaczyć, Ogden. Stracisz odznakę.

Żyła na czole pulsowała jak w jakimś horrorze, czerwień wypełzła na policzki Ogdena spod za ciasnego kołnierzyka koszuli.

- Hej, B.O., spadamy stąd.

Liska wiedziała, że to woła od wejścia do baru partner Ogdena, Rubel. Mimo to nie odwróciła wzroku. Nie odwróci się od niego, choćby się paliło i waliło. On też nie mógł oderwać od niej wściekłego spojrzenia. Widać było, że złość się w nim gotuje, wzbiera z każdym oddechem. Widziała to, czuła.

Przypomniały się jej fotografie z zabójstwa Curtisa. Świadczenia ślepej wściekłości. Brutalności. Ludzka głowa rozwalona niczym arbuz.

Ludzie dookoła gapili się na nich. Cal Springer wstał z za stołu i przepychał się ku drzwiom, mijając się po drodze z Rubelem.

- B.O., chodź, idziemy! - popędzał Rubel.

Ogden w końcu popatrzył na niego; napięcie prysło jak złamany patyk. Liska wypuściła powietrze z płuc. Rubel rzucił jej szybkie spojrzenie znad lustrzanych okularów słonecznych.

Był zdecydowanie przystojniejszy od Ogdena. Ciemne włosy, mocna szczęka; miał budowę jak *Dawid* Michała Anioła po steroidach. Domyślała się, że stanowi mózg tej pary. Pospiesznie wyprowadzał partnera za drzwi, wyciągał go z kłopotów, tak samo jak wtedy u Fallona.

Wyszła za nimi na zewnątrz. Szli na parking po drugiej stronie ulicy.

- Hej, Rubel! - zawołała. Odwrócił się i popatrzył na nią. - Z tobą też mam do pogadania. W cztery oczy. Przyjdź do mojego wydziału, jak będziesz kończył służbę.

Nie odpowiedział. Jego wyraz twarzy się nie zmienił. Oddalili się we dwóch, ich bary zajmowały razem całą szerokość chodnika.

Gdyby uznano, że Fallon został zamordowany, Ogden byłby na jednym z pierwszych miejsc listy podejrzanych. Czy u Fallona zjawiał się tylko z głupoty? Może nie. Reakcja na wezwanie radiowe dała im pretekst, żeby „legalnie” zostawić w domu Fallona swoje odciski palców.

Jak można zmusić człowieka, żeby się powiesił?

Dreszcz przebiegł jej po plecach; wiedziała, że ten dreszcz nie ma nic wspólnego z temperaturą, tylko z tym, że podejrzewa innego policjanta o zgniliznę.

Brzęknął dzwonek, otworzyły się za nią drzwi „Taniego Charliego”.

- Może się czepiam drobiazgów - odezwał się Elwood - ale wydawało mi się, że nie prowadzi się dalej śledztwa, jeśli zostało zakończone.

Liska patrzyła, jak dwaj funkcjonariusze idą do radiowozu. Rubel usiadł za kierownicą. Wóz przysiadł na resorach, kiedy swoje miejsce zajął Ogden.

- Dla kogo pracujemy, Elwood?

- Formalnie czy w przenośni?

- Dla kogo pracujemy, Elwood? Kovac wszystkim im kładł to do głowy.

- Dla ofiary.

- Więc mój pracodawca wciąż nie upoważnił mnie do zakończenia działań - skomentowała bez swojej zwykłej ironii w głosie.

Elwood westchnął głęboko.

- Dzwonek, jak na kogoś, kto chce daleko zajść, za bardzo narażasz swój tyłek.

- Może i tak - powiedziała, wyciągając z kieszeni kluczyki do samochodu. - Składam się ze sprzeczności. Albo jestem zwyczajnie głupia.

„Na świecie wciąż zdarzają się tragedie, sierżancie Kovac”.

Głos porucznik Savard rozbrzmiewał mu w głowie przez całą drogę do Mike'a Fallona. Umysł płatał mu figle, dopatrując się w tym głosie seksownego przydechu. Jej twarz wydawała mu się pełna dramatyzmu i jednocześnie łagodna, a spojrzenie - tajemnicze.

Trochę w tym było prawdy. Amanda Savard była zagadką, a Kovaca zawsze kusiły zagadki. Zwykle rozwiązywanie ich szło mu nieźle; czuł jednak instynktownie, że ta będzie trudniejsza, niż to jest na ogół, a zysk z jej rozwiązania - nieszczególny. A już na pewno pani porucznik nie będzie zadowolona z jego prób.

„Wolałabym, żeby zwracał się pan do mnie «pani porucznik Savard»”.

- Amando - powiedział z czystej przekory. Nie podobałoby jej się, gdyby wiedziała, że powtarza jej imię, kiedy jest sam. Może nawet mniej by się podobało niż bezpośrednio zwracanie się do niej po imieniu. Nie może nim rządzić, skoro jej tu nie ma; tymczasem ona należy do tych, co zawsze i wszędzie chcą mieć wszystko pod kontrolą. Zastanawiał się, dlaczego taka jest; co ukształtowało z niej taką właśnie kobietę. - Jaką tragedię przeżyłaś, Amando?

Nie nosi obrączki. W gabinecie ani jednej fotografii „drugiej połowy”. Nie wyglądała na kogoś, kto się włóczy po barach, szukając faceta, który podbije jej oko.

Nie uwierzył w jej tłumaczenie, że po prostu się przewróciła. Zbyt podejrzanie umiejscowione obrażenia. Kto się potyka i upada na twarz? Naturalny odruch to wyciągnąć ręce i zamortyzować upadek. Na dłoniach nie miała żadnych śladów. Myśl, że ktoś może uderzyć kobietę, wprawiała go w niesmak i furję. Myśl, że ta właśnie kobieta mogłaby na to pozwolić, była nie do pojęcia.

Odłożył te pytania na bok, gdy znalazł się przed domem Mike'a Fallona. Przy krawężniku nie stał żaden samochód. Nikt nie zareagował na dzwonek.

Kovac wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer Mike'a, nagryzłomony na skrawku papieru. Mike nie odbierał. Albo spał, albo był pijany czy oszołomiony środkami



uspokajającymi. Każda z tych możliwości była prawdopodobna; każda z nich odpowiadała Kovacowi. Czuł, że musi spędzić w tym domu parę minut, nieniepokoiony przez nikogo.

Zaszedł na tyły domu, sprawdził garaż. Samochód był w środku. Podeszedł do tylnych drzwi i wyjął klucz spod wycieraczki.

W domu panowała cisza. Nie grał telewizor ani radio; nie było słyhać szumu wody w łazience. Stary pewnie spał jak zabity. Niech pośni jeszcze trochę, nim będzie musiał stawić czoło wydarzeniom dnia pogrzebu własnego syna.

Kovac podeszedł do zawalonej lekarstwami lady kuchennej i zaczął przeglądać buteleczki. Prilosec, darvocet, ambien.

Ambien, czyli zolpidem. Lek, który znaleziono we krwi Andy'ego Fallona. Kovac przypatrywał się buteleczce i czuł rosnący ciężar na piersi. Zdjął zakrętkę i zajrzał do środka. Pusto. Recepta na butelce głosiła, że zawartość wynosi trzydzieści tabletek, a przyjmować należy jedną wieczorem w razie potrzeby. Data zakupu: siódmy listopada.

To pewnie przypadek, że ojciec i syn używają tego samego środka na sen. Ambien to popularny preparat nasenny. W domu Andy'ego nie było jednak ambienu, a to wydaje się dziwne. Jeśli przyjął to lekarstwo w dniu śmierci, to gdzie jest opakowanie? Ani w apteczce, ani w pojemniku na śmieci, ani na szafce nocnej. Buteleczka Mike'a była pusta; może po prostu skończył opakowanie. Z drugiej strony, jeśli „w razie potrzeby” znaczy raz czy dwa razy w tygodniu, to powinno zostać jeszcze sporo.

Kovac rozpatrywał różne możliwości; nie cenzorował ich, nie oceniał. Żadna z nich nie była przyjemna, lecz w końcu taką miał pracę i takie skrzywienie umysłu wywołane pracą. Nie mógł sobie pozwolić, by aprobować jedno z możliwości bardziej niż inne, wybierać je, filtrować, pozwalać na działanie mechanizmu zaprzeczania, jak to się dzieje u zwykłych ludzi. Nie czuł się z tego powodu źle. Nie przygnębiało go to, o czym musiał myśleć. Prosta prawda tego świata jest taka, że ludzie, często zupełnie porządni, regularnie dopuszczają się potworności wobec innych, nawet wobec własnych dzieci.

Mimo wszystko nie potrafił wymyślić scenariusza, w którym Mike Fallon miałby bezpośredni wpływ na śmierć swojego syna. Było to niemożliwe choćby z powodu fizycznego kalectwa. Andy mógł wziąć tabletki z zapasów ojca, ale to też nie wydawało się

detektywowi zbyt prawdopodobne. Może dostał lekarstwo od przyjaciela. Pomyślał o pościeli i ręcznikach w pralce, o czystych naczyniach w prawie pustej zmywarce.

- Hej, Mike! Nie śpisz?! Tu Kovac!

Brak odpowiedzi.

Odstawił buteleczkę na blat i wyszedł z zagraconej, ciasnej kuchni. Panowała cisza, która mu się nie podobała; dom wydawał się opuszczony. Może Neil zabrał już ojca? Do pogrzebu było jednak jeszcze mnóstwo czasu. Może Mike miał jeszcze jakichś krewnych, którzy zabrali go do siebie i właśnie pocieszali, poili kawą i mówili te wszystkie rzeczy, jakie należy mówić człowiekowi w jego sytuacji. Kovac jednak sądził, że to zbyt piękne, by było prawdziwe. Znał Mike'a Fallona i wiedział, że zawsze jest sam. Samotny - kiedyś dlatego, że był twardy; potem dlatego, że był zgorzkniały. Trudno było sobie wyobrazić, by go ktoś kochał, tak jak kochają się ludzie w dobrych rodzinach. Po prawdzie Kovac się na tym zupełnie nie znał. Jego własna rodzina rozproszyła się na cztery wiatry. Od dawna nikogo nie widział.

Rozglądał się po pustych pokojach i zastanawiał, czy nie ogląda przypadkiem własnej przyszłości.

- Mike! Tu Kovac! - zawołał znowu i skręcił w krótki korytarzyk prowadzący ku sypialniom.

Najpierw poczuł zapach. Niezbyt silny, ale bezsporny. Lęk osiadł mu na piersi ciężarem kowadła. Serce zaczęło walić niczym pięść do drzwi.

Przeklął bezgłośnie i wyrwał glocka z kabury. Stopą otworzył drzwi do pokoju gościnnego. Nic. Nikogo. Puste podwójne łóżko, na ścianie portret Jezusa w kolorze sepii, oprawiony w tanią metalową ramkę.

- Mike?

Ruszył do sypialni Mike'a, ale już wiedział. Obrazy, które zobaczy po drugiej stronie drzwi, już mu przebiegały przez głowę. Mimo to chował się za ścianą, naciskając klamkę, i otworzył drzwi nogą.

W pokoju panował taki sam bałagan jak wtedy, gdy był tu poprzednio. Potłuczone zdjęcia Fallona leżały w tym samym miejscu, dokąd je zgarnął. Łóżko nie było pościelone.

Na szafce stała ta sama szklanka z resztką whisky. Brudne ubrania wciąż się walały po podłodze.

Kovac patrzył na pusty pokój, starając się uwolnić od obrazów, które już zadomowiły mu się w głowie. Woń była tu silniejsza. Krew, odchody, moc. Gryzący, metaliczny zapach prochu. Prosto przed nim były drzwi do łazienki. Zamknięte.

Stanął z boku i zapukał, powtórzył imię Fallona, choć tak cicho, że sam ledwie usłyszał. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

Zasłonka prysznicowa wyglądała, jakby ktoś na niej rodził. Poprzyklejane krwawe ochłapy tkanki i włosy.

Żelazny Mike Fallon siedział na wózku inwalidzkim, w samej bieliźnie, głowę i ramiona miał odrzucone do tyłu, ręce zwisały po bokach. Cienkie, owłosione, bezużyteczne nogi przesunięte były na lewo. Usta miał rozchylone bezwładnie, a oczy otwarte szeroko, jakby w ostatnim ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że śmierć jest zupełnie inna, niż sobie wyobrażał.

- Ojej, Mike - powiedział Kovac z cicha.

Z długoletniego nawyku wszedł do pomieszczenia ostrożnie, odruchowo zarejestrował szczegóły, chociaż jakaś część jego mózgu pograżyła się w smutku. Mike Fallon wprowadził go do tego zawodu, służył za przykład, stał się legendą. Był kimś w rodzaju ojca. Tym bardziej że z własnymi synami jego stosunki się pogorszyły. Źle było widzieć starego człowieka, jak gorzkniej i żałośnie pograża się w nałogu. Widzieć go martwym w samej bieliźnie było bolesne do ostatecznych granic.

Potylica znikła, w czaszce ziała szeroka wyrwa. Wokół fragmenty skóry głowy z zakrwawionymi siwymi włosami. Mózg i kawałki kości rozprysły się po podłodze. Stary służbowy rewolwer kaliber 0,38 cala leżał na podłodze po prawej stronie Fallona, odrzucony, gdy ciałem targnął ostatni skurcz.

Żelazny Mike Fallon, jeszcze jeden glina, który ginie z własnej ręki, za pomocą broni, którą nosił, aby strzec porządku publicznego. Bóg wie, ilu ich robi to samo każdego roku. Zbyt wielu. Spędzają życie zawodowe jako członkowie bractwa, lecz umierają w samotności - bo żaden z nich nie potrafi uporać się ze stresem, a każdy boi się

o tym powiedzieć komukolwiek. Nieważne, że wielu z nich oddaje na długo przedtem odznakę. Glina to glina - do końca życia.

Dziś przysłała pora na Mike'a Fallona. W dniu pogrzebu syna.

„Człowiek nie powinien żyć dłużej od własnych dzieci. Należy umrzeć, zanim człowiekowi pęknie serce”.

Kovac dotknął szyi denata dwoma palcami. Czysta formalność, chociaż wiedział, że nawet takie rany ludzie potrafią przeżyć. A raczej ich serca funkcjonują jakiś czas nadal, bo uszkodzone zostały jakieś mniej ważne partie mózgu. To nie jest przeżycie.

Fallon był zimny w dotyku. Zaczynało się już stężenie pośmiertne twarzy i szyi, ale jeszcze nie tułowia. Na tej podstawie Kovac przypuszczał, że śmierć nastąpiła przed pięcioma lub sześcioma godzinami. Czyli o drugiej, trzeciej nad ranem. Najbardziej samotne godziny nocy. Godziny, które zdają się ciągnąć w nieskończoność, gdy człowiek leży bezsennie i patrzy w ciemność, a przeszłość pokazuje tylko swoją najgorszą stronę.

Kovac wyszedł z łazienki, wyszedł z domu i stanął na tylnym ganku. Wpatrywał się w próżnię. Zapalił papierosa, palił go, a palce sztywniały mu z zimna. Miał rękawiczki w kieszeni, ale nie chciało mu się ich wkładać. Czasami dobrze, jeśli poboli. Fizyczny ból to afirmacja życia, to coś łatwiejszego do zniesienia niż głębsze cierpienie.

Napiłby się whisky, wznosił toast za tego nieszczęśnika, ale wiedział, że z tym będzie musiał poczekać. Skończył papierosa i wyjął telefon komórkowy.

- Mówi Kovac, wydział zabójstw. Przyślijcie mi ekipę. Mam tu zwłoki. I niech to będzie zespół pierwsza klasa. Zmarły był jednym z nas.

Usiadł na górnym stopniu przed drzwiami wejściowymi, opatulił się szczerze trenczem i zdążył wypalić dwa papierosy, nim zjawiała się Liska.

- Rany, Dzwonek, czym ty jeździsz? Chcesz tu wywołać sensację?! - zawołał, gdy jego partnerka gramoliła się ze swojego auta z oknem z torby na śmieci.

- Myślisz, że komendant straży sąsiedzkiej wezwie policję?

- Raczej zastrzeli cię na miejscu. Najpierw strzelać, potem zadawać pytania. Ameryka u progu nowego milenium.

- Dobrze byłoby, gdyby trafił w zbiornik paliwa i wysadził tego grata w powietrze.  
Wzięłabym wolne do końca tygodnia.

- A ja z tobą. - Kovac skinął głową w stronę saturna Liski. - Co się właściwie stało?

Wzruszyła bagatelizująco ramionami.

- Kolejny przykład upadku moralnego. W garażu koło ratusza, bezczelność.

- Świat schodzi na psy.

- Ale dzięki temu nie grozi nam bezrobocie.

- Coś ukradli?

- Chyba nic. Nie było nic wartego kradzieży, prócz mojego adresu domowego z ulotek reklamowych.

Kovac zachmurzył się.

- To mi się nie podoba.

- Cóż... Czy matka ci nie mówiła, że od siedzenia na zimnym betonie dostaniesz hemoroidów?

- Nie. - Wstał powoli, zeszywniały. - Mówiła tylko, że stracę wzrok, jeśli się będę onanizował.

- Potworne.

- Potworne to zobaczysz w środku. - Kovac zgniótł niedopałek i wyrzucił za rosnący przy ganku jałowiec.

Na chwilę zapanowało niezręczne, pełne napięcia milczenie.

- Współczuję ci, Sam - przerwała je Liska. - Wiem, że to był dla ciebie ktoś ważny.

Kovac westchnął.

- Tak to jest, że najtwardsi w końcu pakują sobie lufę w usta.

Liska szturchnęła go lekko.

- Hej, jeśli ty mi zrobisz coś takiego, to cię przywrócę do żywych tylko po to, żeby cię osobiście zastrzelić.

Spróbował się uśmiechnąć, ale nie zdołał; spojrzął więc w bok, na sąsiedni dom. Sąsiad Fallona ustawił w ogródku wycięte ze sklejki sylwetki Trzech Króli na wielbłądach,

jadących odwiedzić Dzieciątko Jezus. Pies, sznucer, podlewał właśnie jednego wielbłąda.

- Wiesz, Dzwonek, taki twardy to ja nie jestem - wyznał. Czuł się tak, jakby jego stary pancerz przerdzewiał i płatami odpadał, a on pozostawał obnażony. Co było gorsze? Być zbyt twardym, by odczuwać emocje, zbyt odległym, by zostać dotkniętym - czy też być otwartym i współczuć innym ludziom, przejmować ich emocje, być otwartym i narażonym na zranienie? Niezły wybór na taki dzień jak dziś. To tak jakby się zastanawiać, czy lepiej być zatłuczonym łomem, czy kijem baseballowym.

- To całe szczęście. - Liska objęła go ręką przez plecy i oparła na chwilę głowę na jego ramieniu. Dotyk przynosił ulgę, jak chłodny okład na oparzenie.

Lepiej być otwartym - uznał, wracając do swoich poprzednich rozważań. Nawet jeśli można się narazić na ból. Czasami lepiej. Przycisnął partnerkę i powiedział:

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Naprawdę - zażartowała z poważną twarzą i odsunęła się. - Muszę dbać o opinię. Aha, a propos ludzi dbających o opinię, zgadnij, kogo spotkałam w tym luksusowym lokalu, uczęszczanym przez sławy.

Kovac czekał.

- Cala Springera i Bruce'a Ogdena.

- Nie gadaj.

- Ciekawi kolesie, co?

- Ucieszyli się na twój widok?

- Jakby im kto w kieszeń narobił. Wydaje mi się, że to nie było zaplanowane spotkanie. Cał się pocił jak mnich przyłapany w burdelu. Zwiął przy pierwszej okazji.

- Coś za bardzo się denerwuje, jak na faceta, którego oczyszczono z wszelkich zarzutów.

- Właśnie. A co do Ogdena... - Rozejrzała się po ulicy, jakby szukała czegoś, do czego mogłaby go porównać. Przejechała z łomotem śmieciarka. - Ten facet to beczka nitrogliceryny z wrażliwym zapalnikiem. Chciałabym zajrzeć do jego akt personalnych.

- Porucznik Savard obiecała mi sprawdzić dokumentację Fallona ze śledztwa w sprawie Curtisa. Zobacz, czy miał coś na temat Ogdena, czy Ogden mu groził, i tak dalej.

- Ale samej dokumentacji ci nie pokaże?

- Nie.

- Tracisz kunszt, Sam.

Parsknął śmiechem.

- Jaki kunszt? Mam nadzieję, że pani porucznik po prostu tak będzie miała mnie dosyć, że dla świętego spokoju da mi to, czego potrzebuję. Terapia awersyjna.

- Gdyby nie to, że ze mnie kawał twardziela, Ogden by mnie trochę dziś nastraszył - przyznała. - Jak go zobaczyłam wściekłego, to nie mogłam nie pomyśleć o głowie Curtisa rozwalonej pałą w drobny mak.

Kovac rozważał rzecz chwilę.

- Myślisz, że to Ogden szykanował Curtisa i szlag go trafił, kiedy ten doniósł na niego do SW? Przecież Ogdena nigdy by nie dopuścili do śledztwa w sprawie zabójstwa, gdyby były jakiegokolwiek sygnały, że w przeszłości coś miał z Curtisem. Coś takiego mogłoby się zdarzyć tylko w kinie.

- Tak - zgodziła się Liska z westchnieniem. - Mogłoby się zdarzyć, gdybyś ty był Melem Gibsonem, a ja Jodie Foster.

- Mel Gibson jest za niski.

- No dobrze. Gdybyś był... Bruce'em Willisem.

- On jest niski i na dodatek łysy.

- Al Pacino?

- Wygląda, jakby go ciągnano na linie za ciężarówką.

Liska przewróciła oczami.

- Rany! Harrison Ford?

- Postarzał się trochę.

- Ty też - zauważyła Liska, po czym znów wyjrzała na ulicę. - Gdzie ekipa? - Zaczęła podrygiwać. Nie miała czapki i uszy poczerwieniały jej od mrozu.

- Na akcji. Skrajny przypadek przemocy domowej. Uważaj: konkubina stwierdza, że znudziło jej się, jak luby ją gwałci, kiedy ona urzyna się do nieprzytomności; po dziewięciu latach czegoś takiego. Zadźgała go obtłuczoną butelką po wódce „Absolut”.

- Zabójstwo absolutne.

- Porządne. W każdym razie trochę jeszcze poczekamy.

- No to zrobię wstępne fotki. - Wyciągnęła rękę po kluczyki od jego samochodu, gdzie był polaroid.

Według podręcznika. W każdym przypadku gwałtownej śmierci postępuje się tak, jakby chodziło o zabójstwo.

Kovac wszedł z nią do domu i zaczął robić notatki. Rutynowe działania dawały pociechę, chociaż wciąż nie mógł zapomnieć, że ofiara to jego dawny nauczyciel i mistrz, taki, na którego trafia się tylko raz w życiu. Liska powstrzymała się od czarnego humoru, który zazwyczaj pomagał jej znieść makabrę sytuacji. Przez jakiś czas Kovac słyszał tylko trzaskanie migawki i szum silniczka aparatu, który wyrzucał z siebie jedno ponure zdjęcie za drugim. Gdy dźwięki ustały, podniósł wzrok znad szkicownika.

Liska ukucnęła przed Fallonem i przyglądała mu się, jakby spodziewała się uzyskać od niego odpowiedź na jakieś, zadane telepatycznie, pytanie.

- Co? - spytał Kovac.

Nie odpowiedziała, tylko podniosła się i zaczęła przeglądać wąską łazienkę, potem obejrzała się przez ramię i znów spojrzała przed siebie. Zmarszczyła brwi i ściągnęła usta.

- Dlaczego jest przodem do wejścia?

- Hm?

- Jest tu ciasno, nawet nie licząc przeszkód, takich jak sedes i umywalka. Nie odwróciłby się. Dlaczego wjechał tyłem? Przecież to trudniejsze. Po co?

Kovac przyjrzał się denatowi i zastanowił nad pytaniem.

- Gdyby wjechał normalnie, każdy, kto by tu wszedł, zobaczyłby najpierw tę całą marmoladę z tyłu głowy. Może chciał zachować odrobinę godności.

- Gdyby mu o to chodziło, toby nie zrobił tego w samych gaciach i podkoszulku, nie sądzisz? Narzuciłby coś na siebie.

- Trudno o konsekwencję przy samobójstwie. Jak ktoś ma zamiar połknąć pocisk z trzydziestkiósemki, to niekoniecznie jest przy całkiem zdrowych zmysłach. Wiesz równie dobrze jak ja, że mnóstwo ludzi odbiera sobie życie w łazienkach. Jakby chcieli ułatwić potem sprzątanie.



Liska nie odpowiedziała. Zwróciła uwagę na podłogę, sfatygowane PCW, dwadzieścia lat temu pewnie raczej białe. Z tyłu za Fallonem wykładzina była zachlapana krwią, kawałkami kości i mózgu, który wyglądał jak rozgotowany makaron. Przed nim było czysto. Wisząca z tyłu zasłonka prysznicza upaprana; drzwi do łazienki, przez które weszli - czyste.

Każdy, kto wchodził - albo wychodził - miał wolną drogę. Bez bryzgów krwi, w której można zostawić odcisk podeszwy albo palca.

- Gdyby był milionerem i miał młodą śliczną żonę, to bym powiedział, Dzwonek, że jesteś na tropie. Ale to był zgorzkniały starzec na wózku inwalidzkim, który właśnie stracił ukochanego syna. Po co miał żyć? Męczył się, nie mógł sobie darować, że nie wybaczył Andy'emu. No to wjechał tutaj i odstrzelił sobie łeb. I zrobił to tak, żeby scena była czysta, żeby nikt z nas, którzy tu przyjdziemy, nie poślizgnął się na jego mózgu.

Liska wycelowała polaroid w trzydziestkęósemkę na podłodze i pstryknęła ostatnie zdjęcie.

- To musi być jego stara broń służbowa - rzekł Kovac. - Jak się tu rozejrzemy, to się okaże, że trzymał ją w pudełku po butach na dnie szafy. Wszyscy starzy gliniarze trzymają tam swoje spluwy. - Zaśmiał się ostro i gorzko. - Ja swoją też tak chowam, gdybyś chciała kiedyś przyjść i ją podwędzić. Żałosne z nas kreatury, ofiary schematyzmu i nawyków. - Popatrzył na Fallona. - Niektórzy z nas bardziej żałośni niż inni.

- Zgorzknialec z ciebie, Kojak - rzuciła Liska, oddając mu fotki.

Wsunął je do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Jak mogę być inny, kiedy oglądam takie rzeczy?

Nagle rozległo się trzaśnięcie drzwi wejściowych. Kovac z ulgą odwrócił się od zwłok i ruszył do przedpokoju.

- Wreszcie, cholera jasna! Najwyższy czas! - zawołał z irytacją i stanął jak wryty, zderzywszy się niemal z Neilem Fallonem w przejściu między salonem a jadalnią.

Ten wyglądał, jakby całą noc pił, a potem go obrabowano na dworcu. Włosy mu sterczały, fioletowe otarcie zdobiło prawy policzek, wargi miał popękane. Brązowy garnitur był nieźle wymiętoszony, tani krawat przekrzywiony, a kołnierzyk koszuli

rozpięty. Dopiąć by go się nie dało żadnym wysiłkiem. Koszula została najwyraźniej kupiona, gdy był jeszcze szczupły, i od tamtej pory przeleżała na półce.

Fallon odetchnął parę razy, najwyraźniej dodając sobie animuszu.

- Chryste Panie, nawet tego nie mógł mi pozostawić?! - wykrzyknął, zmieniając minę z zaskoczonej na wściekłą. - Nawet nie mogę rodzzonego ojca zawieźć na pogrzeb?! Do tego też potrzebni mu koledzy z pracy? Co za sukinsyn...

- On nie żyje, Neil - uciał Kovac. - Chyba się zastrzelił. Współczuję.

Fallon gapił się na niego dłuższą chwilę, potem pokręcił głową ze zdumieniem.

- Normalny Anioł Śmierci z ciebie, Kovac.

- Tylko poseł.

Fallon odwrócił się, jakby miał zamiar po prostu z powrotem wyjść, ale stał z rękami na biodrach, a jego masywne ramiona unosiły się i opadały.

Kovac czekał, tęskniąc do następnego papierosa i tej szklaneczki whisky, na którą już przedtem miał ochotę. Przypomniawszy sobie butelkę old crow, którą Neil wyciągnął wtedy w warsztacie i z której obaj popijali, gdy Kovac przyjechał powiedzieć mu o śmierci brata. Wydawało się, że to było rok temu.

- Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Mikiem? - zapytał, popadając z powrotem w rutynę, tak samo jak zawsze.

- Wczoraj. Przez telefon.

- O której?

Fallon zaczął się śmiać: szorstko, chrapliwie.

- Ty to jesteś niesamowity, Kovac - powiedział i zaczął zataczać kółka w kącie jadalni. - Brat i ojciec umarli mi w ciągu tygodnia, a ty, kurde, bierzesz mnie na spytki. To nie do pomyślenia! Przez ostatnie dziesięć lat widziałem starego może z pięć razy, a ty myślisz, że go zabiłem? Po co miałbym to robić?

- Nie dlatego pytam, ale skoro już zacząłeś, to powiedz mi dla porządku, gdzie byłeś dziś w nocy między dwunastą a czwartą rano.

- Niech cię szlag trafi!

- Daj spokój. Nie będę ja, to będzie inny.

- Byłem w domu. Spałem.
- Masz żonę albo dziewczynę, która to potwierdzi?
- Mam żonę. Jesteśmy w separacji.

Fallon rozejrzał się, jakby szukał obiektywnego świadka niesprawiedliwości, jaka mu się dzieje; nie znalazł jednak nikogo. Pochodził jeszcze w kółko po jadalni, kręcąc głową, i było widać, że gniew i rozżalenie ogarniają go coraz mocniej.

Podskoczył do Kovaca, cofnął się, dźgając powietrze palcem wskazującym, z twarzą zniekształconą grymasem:

- Nienawidziłem tego starego skurwysyna! Nienawidziłem go! - Zaciśnął powieki, spod których wyciekły łzy i potoczyły się po policzkach. - Ale to w końcu był mój stary - rzekł i odetchnął szybko. - A teraz nie żyje. I odwal się ode mnie, skurwielu!

Zatrzymał się, pochylił i oparł dłońmi o kolana, jakby dostał cios w brzuch. Jęknął gardłowo:

- Boże, chyba zwymiotuję.

Kovac przesunął się, żeby mu zagrozić drogę do łazienki, ale Fallon ruszył w przeciwnym kierunku: do kuchni i przez tylne drzwi na zewnątrz.

Kovac chciał pójść za nim, ale właśnie w tym momencie frontowymi drzwiami weszła ekipa kryminalistyczna. I dobrze. Nie ma się co spieszyć, lepiej niech Fallon zakończy pirotechniczno-żołądkowe wyczyny. Gdy Kovac wyszedł, Fallon stał na tylnej werandzie, wsparty o poręcz, gapił się na ogródek i pociągał z płaskiej metalowej piersiówki. Cerę miał z lekka szarawą, a oczy w czerwonych obwódkach. Nie dał po sobie poznać, że zauważył Kovaca, ale po chwili wskazał bezlistny dąb w kącie ogrodu.

- Tam się wieszalo - powiedział beznamiętnie. - Jak byliśmy z Andym mali.
- I bawiliście się w kowbojów i koniokradów.

- I piratów, i Tarzana, i co tam jeszcze. Powinien był przyjść tutaj i tutaj to zrobić. Andy powieszony w ogrodzie, a Żelazny Mike z odstrzelonym łbem w domu. Mógłbym wjechać samochodem do garażu, zamknąć drzwi i się zagazować spalinami.

- W jakim Mike był nastroju, kiedy z nim rozmawiałeś?

- Ten palant był zawsze w takim samym nastroju. „Chcę być na cmentarzu przed dziesiątą”. - Neil imitował głos ojca bez przychylności, za to bezbłędnie. - „Nie chciałbym

być w twojej skórze, jeśli się spóźnisz". Pieprzony stary kutas - wymamrotał i wytarł nos wierzchem dłoni w rękawicze.

- Która to była? Muszę wiedzieć, jaka była kolejność wydarzeń - wyjaśnił Kovac. - Muszę to mieć w papierach.

Fallon gapił się na dąb, wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie zwróciłem uwagi. Może dziewiąta?

- Dziewiąta nie. Około dziewiątej widziałem go w domu Andy'ego.

- A co tam robiłeś? - Fallon spojrzał podejrzliwie.

- Myszkowałem. Jeszcze parę spraw muszę wyjaśnić.

- Na przykład co? Andy się powiesił. Masz jakieś wątpliwości?

- Lubię znać przyczyny, tło. To mój konik. Chciałem wiedzieć, nad czym pracował, jakie miał życie osobiste, takie rzeczy. Zapełniać białe plamy, mieć obraz sytuacji. Rozumiesz?

Fallon może i rozumiał, ale nie akceptował. Odwrócił się i pociągnął następny łyk z piersiówki. Kovac ciągnął:

- Jestem przyzwyczajony do przypadków gwałtownych śmierci. Dealerzy narkotykowi zabijają się nawzajem dla pieniędzy. Ćpuny zabijają się dla prochów. Mężowie zabijają żony z nienawiści. W tym szaleństwie jest metoda. Ktoś taki jak twój brat ginie, chociaż wszystko mu dobrze szło. Próbuję to sobie wyjaśnić.

- Powodzenia!

- Skąd te obrażenia na twarzy?

Fallon dotknął policzka dłonią, jakby chciał zetrzeć ślady.

- Nic takiego. Miałem na parkingu scysję z klientem.

- Na jakim tle?

- Coś mi przygadał. Nie wytrzymałem i powiedziałem, żeby się pieprzył z owieczką. Zamachnął się i udało mu się mnie trafić.

- To pobicie. Zadzwońeś po policję?

Fallon roześmiał się nerwowo.

- Dobrze sobie. Po policję? To właśnie był policjant.

- Policjant? Z policji miejskiej?
- Nie był w mundurze.
- To skąd wiesz, że był z policji?
- Daj spokój. Glinę wyczuwam na milę.
- Masz nazwisko? Numer odznaki?

- No, tak. Jak mi już przyłożył, to miałem go prosić o numer odznaki?! Chyba zwariowałaś? Tak czy owak, szkoda mi było zachodu ze składaniem skargi. To był jakiś dupek, który znał Andy'ego... Przyłożył mi. To było na zewnątrz.

- Jak wyglądał?

- Jak co drugi gliniarz - rzucił niecierpliwie Fallon. Wsunął piersiówkę do kieszeni płaszcza, wyjął paczkę papierosów i rozpoczął rytuał palenia: zdjął rękawiczki, wyciągnął papierosa zeszywniałymi od mrozu albo ze zdenerwowania palcami, zaklął pod nosem, wreszcie zdołał zapalić, zaciągnął się parę razy głęboko. - Słuchaj, żałuję, że cokolwiek powiedziałem. Nie chcę robić z tego sprawy. Byłem po paru głębszych. I mam niezłą gębę, jak jestem podcięty.

- Duży facet? Mały? Biały? Murzyn? Stary? Młody?

Fallon skrzywił się i poruszył nerwowo. Zachowywał się tak, jakby mu nagle zrobiło się niewygodnie we własnej skórze. Unikał wzroku Kovaca.

- Nie wiem, czybym go poznał, gdybym go znowu zobaczył. To był drobiazg. Nic ważnego.

- To może być coś bardzo ważnego - powiedział Kovac. - Twój brat pracował w Służbie Wewnętrznej. Jego praca polegała na robieniu sobie wrogów.

- Sam się zabił - upierał się Fallon. - Przecież to prawda, czyż nie? Powiesił się. Sprawa zakończona.

- Wszyscy by chcieli, żeby była zakończona.

- A ty nie?

- Ja chcę znać prawdę, jakakolwiek by była.

Neil Fallon roześmiał się, otrzeźwiał, popatrzył znowu na ogródek... albo w przeszłość.

- To się wzięłeś do złej rodziny, Kovac. Fallonowie nigdy nie przywiązywali szczególnej wagi do prawdy. Okłamywali się nawzajem, kłamaliśmy o sobie i o naszym życiu. To była nasza specjalność.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. Jesteśmy typową amerykańską rodziną; to wszystko. A przynajmniej byliśmy, póki w tym tygodniu dwie trzecie nas nie popełniły samobójstwa.

- Czy ktoś prócz ciebie mógłby zidentyfikować tego gościa, z którym się wczoraj pobiłeś? - zapytał Kovac, bardziej zainteresowany myślą, że Ogden mógł pojechać ten kawał drogi do baru Fallona, niż rozważaniami o rodzinnych problemach Fallonów.

- Pracowałem sam.

- Inni klienci?

- Może. Jezu! Żałuję, że ci nie powiedziałem, iż wpadłem na drzwi.

- Nie byłbyś pierwszy, który mi dziś próbuje coś takiego wmówić. A więc przed tą aferą czy po niej rozmawiałeś z Mikiem?

Fallon wydmuchnął dym przez nozdrza. Był zirytowany.

- Chyba potem. A co za różnica?

- Kiedy go widziałem, był mocno wstawiony - wyjaśnił Kovac. - Wóda i prochy albo i coś jeszcze. Jeśli rozmawiałeś z nim potem, to znaczy, że się jakoś otrząsnął.

- Pewnie tak. Jak miał mi przypieprzyć, to zawsze się brał w garść - powiedział z goryczą. - Nic go nie zadowalało. Nic nie mogło wynagrodzić.

- Co wynagrodzić?

- Że ja nie byłem nim. Andym. Kiedy się już dowiedział, że Andy to pedał, to mógłby... Ale już nie żyje, więc wszystko jedno. Koniec. Wreszcie.

Jeszcze raz spojrzął na dąb, rzucił papierosa w śnieg i sprawdził, która godzina.

- Muszę jechać do kaplicy pogrzebowej. Może uda mi się pochować jednego, zanim drugi całkiem ostygnie.

Od drzwi zerknął na Kovaca spod oka.

- Nie bierz tego do siebie, Kovac, ale mam nadzieję, że się już nigdy nie spotkamy.

Kovac nic nie powiedział. Stał na tarasie i patrzył na „drzewo do wieszania” braci Fallonów, wyobrażając sobie dwóch chłopców, którzy mają całe życie przed sobą, jak się bawią w czarnych i białych bohaterów; jak słabną z czasem braterskie więzi, jak rodzą się pretensje i żale.

Jest choroba, z której nie można się do końca wyleczyć - dzieciństwo. Są więzy, których nie da się nigdy zerwać naprawdę - więzy rodzinne.

Obracał te myśli w głowie, jak niedźwiedź obraca głazy, chcąc znaleźć pod nimi tłuste robaki. Myślał o Fallonach, o zazdrości, rozczarowaniu i gniewie, które narosły między nimi. Myślał o policjancie bez twarzy, z którym Neil Fallon wdał się w bójkę na parkingu przed swoim barem.

Czy Ogden byłby tak dumny, żeby tam pojechać? I po co? Może „dumny” to niewłaściwe słowo. Co mógłby zyskać? Może to właśnie jest pytanie.

Myśląc o tym wszystkim, Kovac zauważył, że Neil Fallon nawet nie chciał popatrzeć na ojca. Krewni ofiar na ogół chcą je zobaczyć. Większość ludzi nie może uwierzyć w złą wieść, póki nie ujrzą zwłok na własne oczy. Neil Fallon nawet nie zapytał. I nawet kroku nie postąpił w stronę łazienki, kiedy mu się zebrało na wymioty. Od razu poszedł na zewnątrz.

Może potrzebował świeżego powietrza. Może nie chciał zobaczyć ojca, bo należy do osób, które nie muszą się naocznie przekonać, by uznać śmierć za rzeczywistość. Może ma słaby żołądek.

A czy nie należałoby zrobić badania na obecność prochu strzelniczego na dłoniach Neila Fallona?

Otworzyły się drzwi, Liska wystawiła głowę.

- Sępy się zleciały.

Kovac jęknął. Trochę czasu udało mu się zyskać dzięki temu, że wezwał ekipę śledczą przez komórkę, ale dyspozytor musiał ich już wezwać normalną drogą, przez krótkofalówkę, a wszyscy dziennikarze w mieście mieli nasłuch radiowy na częstotliwości policyjnej. Wieść o znalezieniu zwłok zawsze ściągała padlinożerców. „Opinia publiczna ma prawo wiedzieć” - było ich ulubionym hasłem. Wiedzieć o tragediach, jakie dotyczą nieznanym.

- Mam się nimi zająć? - zapytała Liska.

- Nie. Wygłoszę oświadczenie. - Pomyślał o życiu Mike'a Fallona, o jego czasach, o bólu, stracie, o nieudanej miłości i straconych szansach. - Co powiesz na takie: „Życie jest do dupy”?

Liska uniosła brwi i stwierdziła cynicznie:

- Tak. To świetne na tytuł.

Chciała się wycofać za drzwi. Kovac zatrzymał ją pytaniem:

- Hej, Dzwonek, czy Ogden, jak go dziś widziałas, miał ślady bójki?

- Nie. A bo co?

- Jak go znów zobaczysz, zapytaj, co, do diabła, robił wczoraj wieczorem na parkingu przed barem Neila Fallona. Zobacz, jaką będzie miał minę.

Liska nie wyglądała na zachwyconą.

- Był u Fallona?

- Może. Fallon twierdzi, że jakiś gliniarz przyjechał do niego i się czepiał, a potem się pobili na parkingu.

- Dał rysopis Ogdena?

- Nie. Najpierw puścił trochę farby, a potem ani pary z gęby. Zachowuje się jak człowiek, który się czegoś przestraszył. Może odwetu.

- Po cholere Ogden miałby jechać taki kawał? Bez sensu. Nawet jeśli - mój Boże! Zwłaszcza jeśli miał coś wspólnego z Andym Fallonem lub z zamordowaniem Curtisa. Jechać i wdać się w bijatykę z Neilem Fallonem? Nawet Ogden aż taki głupi nie jest.

- Tak właśnie myślę. W takim razie następne logiczne pytanie brzmi: dlaczego Neil Fallon kłamie, skoro nic takiego się nie zdarzyło?

- Neil Fallon, którego ojciec tkwi w łazience bez tylnej połowy czaszki?

Neil Fallon, który kipi gwałtownymi uczuciami. Neil Fallon, który, jak sam się przyznał, ma wybuchowy charakter. Neil Fallon, który miał żal do brata i który nienawidził ojca - nawet po śmierci.



- Trzeba będzie trochę pogrzebać wokół pana Fallona - powiedział Kovac. - Daj do tego Elwooda, jeśli nie jest zbyt zajęty. Pogadam z klientami Fallona, zobaczę, czy ktoś jeszcze widział tego widmowego policjanta na parkingu.

- Byłoby dobrze.

Kovac po raz ostatni rzucił okiem na dąb.

- Powiedz ludziom, żeby dobrze zabezpieczyli dłonie Mike'a. Trzeba będzie zrobić analizę. Niewykluczone, że mamy jednak do czynienia z morderstwem.

To nie był jeden z takich pogrzebów policjanta, jakie pokazują w wiadomościach o szóstej. Kościoła nie przepełniały tłumy funkcjonariuszy i oficerów z całego stanu. Nie było długiego konduktu radiowozów. Nikt nie grał *Amazing Grace* na dudach. Andy Fallon nie poległ na posterunku. To nie była bohaterska śmierć.

To nawet nie przypomina kościoła - pomyślał Kovac, idąc przez wielki parking w stronę niskiego nieotynkowanego domu. Jak większość kościołów z lat siedemdziesiątych wyglądał raczej na budynek komunalny. Tylko cienki, stylizowany metalowy krzyż zdradzał charakter budowli. No i jeszcze oświetlona tablica przy drodze:

KOŚCIÓŁ POD WEZWANIEM ŚW. MICHAŁA

ADWENT: OCZEKIWANIE NA CUD?

MSZE ŚWIĘTE W DNI POWSZEDNIE: 7.00

W SOBOTY: 17.00

W NIEDZIELE: 9.00 i 11.00.

Jak gdyby cuda dokonywały się codziennie o ustalonych godzinach. Katafalk stał koło bocznego wejścia. Bez cudów dla Andy'ego Fallona. Może gdyby zjawił się tu w sobotę o siedemnastej...

Wiatr łopotał połami płaszcza Kovaca. Detektyw pochylił głowę, nie chcąc, by mu zwiało kapelusz. Przy takim wietrze ziąb był straszny. Uczestnicy pogrzebu nadchodzili z różnych miejsc ogromnego parkingu. Policjant. Policjant. Trzech cywili w grupie: mężczyzna i dwie kobiety przed trzydziestką. Cywilne ubrania nie zmyliły Kovaca; rozpoznawał glinę równie łatwo jak Neil Fallon: po sposobie poruszania się, postawie, spojrzeniu, węsach.

Organy odgrywały jak zwykle marsza pogrzebowego; żałobnicy jeden za drugim wchodzili do wnętrza i zatrzymywali się niepewnie w kruchcie. Kovac po raz kolejny obiecał sobie, że nie będzie miał pogrzebu, gdy umrze. Kumpie niech wypiją parę

głębszych w pubie „U Patryka”; Liska niech coś zrobi z jego popiołami. Może wyrzuci przed schodami ratusza, żeby się połączyły z popiołem tysięcy papierosów wypalanych tam codziennie przez policjantów. Pasowałoby. W każdym razie nie chciałby narażać ludzi na coś takiego. Tkwią tu, gapią się przed siebie, słuchają koszarnej muzyki organowej i duszą się od zapachu kalii.

Powiesił kapelusz, ale został w płaszczu. Stał z boku, przyglądając się trójce cywili, jak dołączają do małej grupki swoich. Później do nich podejdzie. Potem. Kiedy już wszyscy razem oddadzą przyjaciela ziemi. Zastanawiał się, czy ktokolwiek z tego towarzystwa był z Andym na tyle blisko, by dzielić jego seksualne dewiacje.

Trudno powiedzieć. Z doświadczenia wiedział, że zupełnie normalni z wyglądu ludzie mieli najdziwsze upodobania. Przyjaciele Andy'ego Fallona wyglądali na śmietankę. Dobrze ubrani, starannie ostrzyżeni. Żalobnie blade twarze okryte niknącymi rumieńcami od lodowatego wiatru. Trudno powiedzieć, kto tu homo, kto hetero, a kto sadomasochista.

Drzwi otwarły się znowu, Steve Pierce przytrzymał skrzydło, przepuszczając do środka Jocelyn Daring. Stanowili ładną parę. Mieli na sobie eleganckie, czarne lodenowe palta. Jocelyn z blond włosami ściągniętymi do tyłu czarną aksamitną wstążką wyglądała jak porcelanowa figurka. Być może nie pogrążyła się w smutku z powodu śmierci przyjaciela narzeczonego, ale potrafiła ubrać się stosownie do okazji. Miała z lekka obrażoną minę. Pierce stał obok niej przy wieszaku na okrycia, zapatrzony w dal. Nie pomógł jej zdjąć płaszcza. Powiedziała coś do niego, on coś odburknął. Kovac nie słyszał słów, tylko ostry ton. Ona obraziła się jeszcze bardziej. Nie dotykali się, wchodząc do kaplicy.

Niezbyt szczęśliwa para.

Kovac podszedł do oszklonych drzwi i przyjrzał się zebranym żałobnikom. Zamiast kościelnych ław stały krzesła z chromowanych rurek i czarnego plastiku. Nie było klęczników, tajemniczych figur Dziewicy i świętych z czuprynymi z prawdziwych włosów. Nie było niesamowitej atmosfery. Brakowało świadomości karcącego spojrzenia Boga na przerażoną trzódkę. Nic nie przypominało Kovacowi kościoła z dzieciństwa, gdy zjedzenie hamburgera w piątek było murowanym biletem do piekła. Kościół dzieciństwa budził lęk i szacunek. Ten miał w sobie tyle podniosłości co biblioteka publiczna.

Pierce i Daring zajęli miejsca w środkowej nawie, mniej więcej w połowie odległości do ołtarza. W pewnej chwili Pierce podniósł się gwałtownie i ruszył ku kruchcie, narzeczona obejrzała się za nim. Wzrok wbijał w podłogę; po drodze wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Kovac odsunął się z przejścia. Pierce wyszedł na zewnątrz, nawet go nie zauważywszy.

Kovac poszedł za nim i stanął na szerokim kościelnym stopniu, oddalony od Pierce'a o metr, po jego prawej stronie. Pierce nawet na niego nie spojrział.

- Wciąż sobie obiecuję, że rzucę - odezwał się Kovac, wyciągając z paczki jednego salema. Wsunął go między wargi i przypalił zapalniczką z bożonarodzeniowym obrazkiem. Rak płuc pod choinkę. - I wiesz, co? Wciąż nie rzucam. Lubię palić. Wszyscy się starają, żebym czuł się winny z tego powodu, i nawet im się to udaje. Chyba na to zasługuję. Więc wciąż mówię, że rzucam, ale nie rzucam.

Pierce zerknął na niego spod oka i zapalił swojego elegancką, wąską niklowaną zapalniczką, która przypominała z wyglądu duży pocisk. Ręce mu się trzęsły. Skierował wzrok na ulicę i powoli wypuścił dym.

- Taka jest natura ludzka - ciągnął Kovac, żałując w duchu, że nie wziął, wychodząc, kapelusza. Całe ciepło organizmu uciekało mu przez głowę. - Wszyscy noszą ze sobą balast gówna i myślą, że powinni się z tego powodu czuć winni. Jak gdyby dzięki temu stawali się lepsi. Jak gdyby jakieś prawo zabraniało człowiekowi być takim, jaki jest.

- Mnóstwo praw zabrania być sobą - odparł Pierce, nie odrywając wzroku od ulicy.  
- Zależy, kim się jest.

Kovac przez chwilę się nie odzywał. Czekał. Pierce uchylił drzwi. Zostawił wąską szparkę.

- Jasne, jeśli ktoś jest prostytutką albo dealerem narkotyków. A może miałeś na myśli coś mniej oczywistego?

Pierce dmuchnął dymem przed siebie.

Kovac odpowiedział:

- Na przykład bycie gejem.

Pierce poruszył ramionami i przelknął. Jabłko Adama podskoczyło do góry. - Zależy, o kogo pytasz.

- Pytam ciebie. Myślisz, że to jest coś, czego należy się wstydzić? Myślisz, że należy to ukrywać?

- Zależy. Od człowieka. Od sytuacji.

- Od tego, czy się jest zaręczonym z córką szefa, na przykład - odpowiedział znowu.

Trafił w dziesiątkę. Pierce aż się cofnął o krok.

- Mówiłem już chyba, że nie jestem gejem - wyrzucił napiętym głosem. Strzelał oczami na boki, patrząc, czy nikt nie podsłuchuje.

- Mówiłeś.

- Czyli nie wierzysz mi. - Złość w głosie.

Kovac zaciągnął się z lubością. Co za rozkosz!

- Może zapytasz mojej narzeczonej? Mamy ci nagrać kasetę wideo, jak się kochamy? - Więcej złości. - Życzysz sobie jakieś konkretne pozycje?

Kovac nic nie odpowiedział.

- Mam ci dać listę moich byłych dziewczyn?

Kovac tylko na niego popatrzył; pozwalał wyładować się złości. Tymczasem wciąż się wznagała, przeradzała w rodzaj rozgorączkowania, którego Pierce nie umiał opanować.

- Słuchaj, Steve, jestem gliną od lat - przemówił w końcu. - Potrafię rozpoznać, gdy ktoś coś przede mną ukrywa. Widzę, że dźwigasz wielki ciężar.

Oczy Pierce'a nabiegły krwią, jakby miały mu popękać naczynka krwionośne.

- Straciłem kogoś, kto był moim przyjacielem od czasów college'u. Znalazłem jego zwłoki. Byliśmy ze sobą blisko jak bracia. Wydaje ci się, że nie można rozpaczać po śmierci przyjaciela, jeśli się nie jest gejem? Tak z tobą jest? Budujesz wokół siebie mur, bo się boisz, co ludzie sobie pomyślą, kiedy poznają prawdę?

- Gównu mnie obchodzi, co ludzie sobie o mnie myślą - odparł Kovac rzeczowym tonem. - Nie zależy mi na tym. Nie robię niczego na pokaz. Zbyt wielu ludzi widziałem

dźwigających całe życie ciężar, aż w końcu padają pod nim. Masz teraz okazję do pozbycia się go.

- Nie potrzebuję.

- On dziś idzie do piachu. Jeśli coś wiesz, to nie licz, że zostanie to pogrzebane wraz z nim. Będzie ci nadal ciężyło. Coraz mocniej.

- Niczego nie wiem. - Zaśmiał się chrapliwie, puszczając z ust chmurę dymu i pary z oddechu. - Ni cholery.

- Jeśli tamtej nocy...

- Nie wiem, z kim się Andy pieprzył, sierżancie. - Kilkoro wchodzących do kościoła obejrzało się w ich stronę. - Nie ze mną w każdym razie.

Żyły na szyi nabrzmiały mu niebezpiecznie, twarz oblała się czerwienią. Niebieskie oczy były zmrużone, pełne wściekłości i łez. Rzucił papierosa na schody kościoła i przydeptał szpicem eleganckiego półbuta.

- A teraz zechciej wybaczyć, muszę iść. Będę niósł trumnę mojego przyjaciela.

Kovac dał mu spokój. Dopalając papierosa, pomyślał, że wiele osób uznałoby jego postępowanie za okrucieństwo. Sam był innego zdania. Wspomniał Andy'ego Fallona wiszącego na krokwi. Robi to, co robi, dla ofiary. Ofiara nie żyje, a mało co jest okrutniejsze niż śmierć.

Zgasił papierosa, schylił się, podniósł oba niedopałki i wyrzucił do stojącej przy wejściu donicy z rośliną ozdobną. Widział przez szybę, jak przetaczano trumnę z bocznej nawy do kruchty, jak postawny mistrz ceremonii instruuje sześciu kandydatów do niesienia trumny.

Z jednej strony stanął Neil Fallon z niewyraźną miną. Ace Wyatt położył przedsiębiorcy pogrzebowemu rękę na ramieniu i coś mu szeptał na ucho. Gaines, główny pomagier, tkwił w pobliżu, gotów podskoczyć, coś przynieść albo wylizać tyłek.

- Wchodzi pan, sierżancie? Czy zadowolili się pan widokiem z tylnych rzędów?

Kovac skupił wzrok na nikłym odbiciu, które pojawiło się w szybie tuż koło jego własnego. Amanda Savard w przebraniu Veroniki Lake. Wielkie okulary słoneczne, aksamitna chustka na głowie. To nie przebranie - pomyślał - lecz kamuflaż. A to co innego.

- Jak tam głowa? - zapytał.

- Nic nie ucierpiało, tylko duma.

- Pewnie. Co tam wstrząs mózgu dla takiej twardej sztuki jak pani.

- Czuję się zakłopotana. Wolałabym, żeby pan zmienił temat.

Omal się nie roześmiał.

- Oj, nie zna mnie pani zbyt dobrze, pani porucznik.

- Wcale pana nie znam - powiedziała, kładąc na kłamce drobną dłoń w rękawiczce.

- I niech tak już zostanie.

Istna prowokacja. Zastanawiał się, czy ona o tym wie, a jeśli tak, to co zamierza dalej.

Kovac, daj spokój. Ty i pani porucznik z SW.

- Ja nie daję za wygraną - rzekł, a ona obejrzała się przez ramię. - Powinna pani o tym wiedzieć.

Nie sposób było stwierdzić, co myśli, zasłonięta okularami. Nie odezwała się i weszła do kaplicy. Kovac wszedł za nią, gotów ponieść karę.

Żałobnicy z trumną na ramionach ruszyli środkiem nawy. Organista rozpoczął kolejny posępny utwór.

Porucznik Savard wybrała miejsce w jednym z ostatnich rzędów, całkowicie pustym. Nie dała po sobie poznać, że zauważyła Kovaca, który wsunął się na sąsiednie krzesło. Nie śpiewała, nie modliła się, nie włączała do responsoriów. Nie zdjęła okularów ani chustki. Schowała się, niczym w kokonie, przed myślami świata zewnętrznego. Owinęła się we własne myśli o Andym Fallonie.

Kovac obserwował ją kątem oka. Chyba oszalał, że kusi los, drażniąc się z nią. Jedno jej słowo, i zawieszą go w czynnościach służbowych. Z drugiej strony to niezły pomysł, żeby zbliżyć się do SW właśnie teraz; przynajmniej niech na to wygląda, chociaż w rzeczywistości nikt z obecnych nie zwraca na to uwagi.

Wszyscy, nie tylko Amanda Savard, wydawali się zapatrzeni we własne wnętrza. Nie, nie słuchali księdza, który przecież nie znał Andy'ego Fallona i mógł mówić o nim tylko to, co mu przekazano. Jak zwykle w czasie pogrzebów i tak nie miało znaczenia, co powie kapłan odprawiający nabożeństwo. Znaczenie miała tylko panorama rozwijająca

się w głowie każdego z obecnych: intelektualne i emocjonalne migawki wspomnień o osobie, która odeszła.

Kovac przyglądał się twarzom i zastanawiał, czy ktoś z obecnych ukrywa wspomnienie o intymnych chwilach z Andym Fallonem; wspomnienie wspólnych namiętności, wspólnych perwersji. Czy ktoś z obecnych pomógł Andy'emu Fallonowi założyć sobie pętlę na szyję, a potem uciekł, gdy zdarzył się wypadek? Kto znał brakujący fragment układanki? Kto wiedział, czy Andy chciał odebrać sobie życie?

Czy komukolwiek z nich zależało na poznaniu prawdy? Śledztwo zakończono.

Ksiądz udawał, że słowo „samobójstwo” nigdy nie pojawiło się w kontekście tej śmierci. Za godzinę Andy'ego Fallona przykryje ziemia; pozostanie po nim tylko blaknące wspomnienie.

Nadszedł moment wygłaszania mów pochwalnych. Neil Fallon kręcił się nerwowo i rozglądał, jakby chcąc zobaczyć, czy ktoś ma mu za złe, że nie przemawia na pogrzebie brata. Steve Pierce miał wzrok wbity w posadzkę, sprawiał wrażenie, że ma kłopoty z wzięciem głębszego oddechu. Kovac, czekając, też czuł ciężar na piersi. Psycholodzy nazywają takie naładowane emocjonalnie sytuacje uruchamiającymi czynnikami stresowymi; prowokującymi do działania, do wyznań, do dawania świadectwa. Wszystko działo się jednak w Minnesocie, a to nie jest miejsce, gdzie ludzie mówią otwarcie o swoich uczuciach. Chwila minęła więc i obyło się bez dramatu.

Wstała porucznik Savard, zdjęła płaszcz i podeszła w stronę prezbiterium. Ksiądz ustąpił jej miejsca przy pulpicie.

- Andy był moim podwładnym - rozpoczęła tonem spokojnym, lecz władczym. - Był świetnym funkcjonariuszem, utalentowanym i oddanym pracownikiem dochodzeniowym i wspaniałym człowiekiem. Znajomość z nim wzbogacała nas wszystkich, a jego odejście jest dla nas niepowetowaną stratą. Dziękuję.

Prosto. Do rzeczy. Wracła z pochyloną głową. Tajemnicza. Kovac wstał i wyszedł spomiędzy rzędów krzeseł, żeby ją przepuścić na miejsce. Ludzie się oglądali. Pewnie patrzyli na porucznik Savard. Pewnie zastanawiali się, co facet taki jak on robi przy kobiecie takiej jak ona.



Kovac patrzył ludziom prosto w oczy, wyzywająco. Steve Pierce przez moment wytrzymał jego wzrok, potem odwrócił oczy. Wstał Ace Wyatt i poprawiając mankiety koszuli, ruszył w stronę pulpitu.

- Jezus, Maria - mruknął Kovac i przeżegnał się, widząc, że kobieta siedząca trzy rzędy przed nim ogląda się i rzuca mu spojrzenie pełne potępienia. - Co za facet! Każdy powód dobry, żeby się pokazać przed obiektywem.

Savard uniosła brew. Kovac ciągnął:

- Wypiąłby goły tyłek z dziesiątego piętra i wypierdzał hymn państwowy, gdyby sądził, że to mu przyniesie rozgłos.

Kącik idealnych ust porucznik Savard wygiął się odrobinę do góry.

- Kapitan Wyatt to mój dobry znajomy.

Kovac skrzywił się.

- To chyba wpadłem, co?

- Skoczył pan na główkę.

- Zawsze tak robię. Dlatego tak wyglądam.

- Znałem Andy'ego Fallona w czasach, gdy był młodym chłopcem - zaczął Wyatt z egzaltacją prowincjonalnego aktora. To, że właśnie dostał angaż do ogólnokrajowej telewizji, świadczyło wyłącznie o upadku wymagań amerykańskiej publiczności. - Kiedy dorósł, nie utrzymywałem z nim już tak żywych kontaktów, ale wiem, jakie cechy go wyróżniały. Odwaga, uczciwość i zdecydowanie. Wiem, bo służyłem razem z jego ojcem, Żelaznym Mikiem. Wszyscy znaliśmy Żelaznego Mike'a. Szanowaliśmy go, ceniliśmy jego poglądy i baliśmy się gniewu, kiedy coś spapraliśmy. Nie znałem lepszego policjanta. Dlatego z głębokim smutkiem oznajmiam, że Mike Fallon zmarł dzisiejszej nocy.

Przez tłum przemknęła fala szmeru. Savard drgnęła jak smagnięta biczem, jej blada skóra zbieleła. Oddychała szybko i płytko.

Wyatt ciągnął:

- Pogrążony w żalu po śmierci syna...

Kovac pochylił się:

- Dobrze się pani czuje?

- Przepraszam - powiedziała, wstając gwałtownie.

Kovac też wstał, chcąc ją przepuścić. Przecisnęła się koło niego, popychając z powrotem na krzesło. Chciała biec, uciec z kaplicy i uciekać, uciekać jak najdalej. Nie zrobiła tego jednak. Odprowadzono ją przelotnymi spojrzeniami; uwaga wszystkich skierowana była na Wyatta przy pulpicie. Nikt, zdawało się, nie słyszał walenia jej serca i tętnienia wzburzonej krwi.

Pchnęła szklane drzwi do kruchty i skręciła w boczny korytarz domu pogrzebowego, szukając toalety. Znalazła, paliło się tu łagodne światło, a w powietrzu unosił się zapach środka do odświeżania powietrza. Głos Ace'a Wyatta ciągle rozbrzmiewał wokół niej, wywołując nowe fale strachu. Zdała sobie sprawę, że dochodzi z głośnika na ścianie.

Ściągnęła chustkę i okulary, omal nie krzyknęła z bólu, zawadziwszy oprawką o skaleczenie. Zacisnęła mocno powieki, pod którymi zebrały się łzy, po omacku szukała kranu. Woda popłynęła gwałtownym strumieniem, chlapiąc naokoło. Nie przejęła się tym. Nabrała jej w obie ręce i zanurzyła twarz.

Zakręciło się jej w głowie, nogi zmiękły, jakby były z waty. Oparła się o umywalkę, zacisnęła na jej krawędzi jedną rękę, drugą chcąc przytrzymać się ściany. Próbowwała zapanować nad odruchem wymiotnym, błagała Boga, by pomógł jej wrócić do równowagi; nie myślała o tym, że wiara w siłę wyższą wygasła w niej wiele lat temu.

- Błagam, błagam - powtarzała zgięta wzdół, z głową prawie w umywalce. Oczami wyobraźni widziała Andy'ego Fallona, patrzącego na nią oskarżycielsko i gniewnie. Nieżywy. Teraz Mike Fallon.

„Pogrążony w żalu po śmierci syna...”

- Pani porucznik! - rozległ się za drzwiami głos Kovaca. - Amando! Jest pani tam? Dobrze się pani czuje?

Amanda Savard usiłowała się wyprostować, próbowała zaczerpnąć powietrza i odezwać się pewnym głosem. Nie wyszło jej to najlepiej.

- T-tak. - Aż się skrzywiła, słysząc drzenie własnego głosu. - Nic mi nie jest. Dziękuję.

Drzwi się otworzyły i Kovac wszedł do środka bez wahania, nie zwracając uwagi, że to toaleta dla pań. Minę miał chmurną.

- Nic mi nie jest, sierżancie Kovac.

- Tak. Widzę właśnie. - Podszedł blisko. - Rano też nic pani nie było, a musiała się pani trzymać biurka. Czy często się pani zdarza nieodparta ochota na prysznic bez rozbierania? - pokazał na zachlapaną garderobę i mokre włosy.

- Zakręciło mi się w głowie - odparła, przykładając dłoń do czoła. Wzięła głęboki wdech i na sekundę przymknęła powieki.

Kovac położył jej rękę na ramieniu. Zesztywniała; pomyślała, że powinna się odsunąć; nie zrobiła tego. Spojrzała w ciemne oczy jego odbicia w lustrze, zobaczyła w nich zatroskanie. I zobaczyła siebie: bladą, pokiereszowaną, słabą.

- Chodźmy, zaprowadzę panią do lekarza.

- Nie.

Powinna była mu kazać zabrać rękę, ale ciężar tej dłoni dodawał otuchy. Szkoda, że nie mogła się o niego oprzeć. Przebiegł ją dreszcz. Nie powinna mieć takich myśli, przynajmniej w odniesieniu do tego człowieka.

Spojrzała do lustra na odbicie jego ręki: duża dłoń, szeroka, szorstka, z palcami o krótko przyciętych paznokciach. Ręka człowieka pracy - pomyślała, chociaż Kovac pracował głównie głową, nie rękami. Zacisnął lekko palce na jej ramieniu.

- Przynajmniej wyjdźmy stąd - powiedział. - Od tego odświeżacza powietrza nawet koza by zemdląła.

- Poradzę sobie - zapewniła. - Naprawdę. W każdym razie dziękuję panu.

- Chodźmy - nalegał Kovac. Odwrócił się do drzwi i wyprowadził ją. Pomogły mu lata praktyki w postępowaniu z pijanymi, rannymi, ludźmi w szoku. - Zabrałem pani płaszcz.

Wyrwała się, cofnęła do umywalki, zabrała okulary słoneczne i ostrożnie wsunęła je na nos. Aksamitna chustka była pochłapana wodą. Włożyła ją jednak, owijając się starannie. Kovac obserwował.

- Myślałem, że Mike'a Fallona zna pani tylko ze słyszenia.

- To prawda. Rozmawiałam z nim ostatnio. O Andym.

- Ale na wiadomość o jego śmierci zareagowała pani gwałtownie.

- Mówiłam już panu. Miałam lekki zawrót głowy. Wiadomość o śmierci Mike'a Fallona nie miała z tym wiele wspólnego. Oczywiście, to tragedia...

- A na świecie wciąż zdarzają się tragedie... Słyszałem.

- Właśnie.

Zadowolona wreszcie z ułożenia chustki, minęła Kovaca i wyszła o własnych siłach. Nie pokazywać słabości. Za późno.

Jej płaszcz leżał na stoliku z kościelnymi folderami. Wzięła go i zaczęła wkładać, ale ból w karku wziął górę i została z jedną tylko ręką w rękawie. Kovac pośpieszył z pomocą. Stał trochę za blisko, przyciskał ją niemal do stolika z broszurami.

- Wiem - powiedział cicho - nic pani nie jest. Sama by sobie pani poradziła.

Porucznik Savard wymknęła się, ominęła go i ruszyła przez kruchtę. Znow rozległa się gra organów, a z wnętrza kaplicy wydobywał się gorzkosłodki zapach kadzidła.

- Nie pozwolę pani samej jechać samochodem. Zawroty głowy za kółkiem to rzecz zbyt niebezpieczna.

- Nic mi nie jest. Przeszło.

- Podwiozę panią. Jadę na posterunek.

- Jadę do domu.

- Podrzucę panią.

- To nie po drodze.

Otworzył przed nią wrota wejściowe.

- Nic nie szkodzi. Będę miał sposobność zadać pani parę pytań po drodze.

- Nigdy pan nie rezygnuje? - wycodziła przez zęby.

- Nie. Nigdy. Mówiłem pani: nie daję za wygraną. Póki nie dostanę tego, co chcę.

Chwycił ją za rękę, próbowała się wyrwać, serce jej waliło, oczy otworzyły się szeroko za ciemnymi szklami.

- Co pan sobie wyobraża?!

Patrzył na nią przez sekundę, Bóg wie co wyczytując z jej twarzy. Mimo chustki i okularów czuła się przed nim obnażona.

- Kluczyki.

Jej zaciśnięta dłoń rozluźniła się odrobinę, Kovac zsunął kółko kluczyków z jej palca. Gruby taktyczny błąd. Nie chciała, żeby Kovac ją odwoził do domu. Nie chciała go w swoim mieszkaniu. Nie chciała, żeby się nią interesował. Nawykła do stanowiska, do władzy. Zajmowała wprawdzie wyższą pozycję w hierarchii służbowej, ale Kovac, mając wieloletnie doświadczenie, wyraźnie nad nią górował. Czowała się przy nim jak podwładna, jak dziewczynka, która udaje, że ma ważne stanowisko.

- Jeśli ma pan pytanie, proszę je zadać - powiedziała, krzyżując ręce na piersi. Wiatr kąsał mrozem. Ochłodziło się przez tę godzinę, którą spędzili w kaplicy. Słońce już stało nisko na zimowobiałym niebie. - I oddać kluczyki, sierzancie.

- Czy Andy Fallon kiedykolwiek opowiadał o bracie?

- Nie.

- Czy wspominał, że się z kimś spotyka... chodzi z kimś? Że ma jakieś problemy osobiste?

- Już panu mówiłam, jego sprawy osobiste mnie nie obchodziły. Dlaczego pan tak się o to dopytuje, sierzancie?

Próbował robić niewinną minę, ale mu się nie udało; Savard wątpiła, czy w niemowlęctwie mu to wychodziło. Z twarzy Kovaca przebijała znajomość świata, znużenie wynikłe z doświadczenia zebranego w ciągu tysięcy, zdawałoby się, lat.

- Śledztwa to moja praca, za to biorę pieniądze - rzekł.

- Śledztwa w sprawach zbrodni. Tu nie było zbrodni, z tego, co wiem.

- Mike'owi Fallonowi brak pół głowy - odparł. - Zrobię wszystko, żeby się upewnić, że nikt w tym nie maczał palców, i dopiero wtedy odłożę sprawę.

Savard oglądała go przez ciemne szkła.

- Skąd podejrzenie, że to było morderstwo? Według kapitana Wyatta odebrał sobie życie.

- Kapitan Wyatt wyciąga przedwczesne wnioski. Śledztwo trwa. Zwłoki jeszcze nie zeszytniały, kiedy stamtąd wychodziłem na ten pogrzeb.

- Zabójstwo Mike'a Fallona nie miałyby sensu.

- A kto twierdzi, że miałyby? - odparł Kovac. - Ktoś się wkurza, traci panowanie, chwyta za broń. Bum! I morderstwo. Ktoś żywi urazę, pielęgnuje ją długo, któregoś dnia ma już dość, iskra wyzwała wybuch. Bęc! I ktoś nie żyje. To mój chleb powszedni, pani porucznik.

- Fallon był kaleką. Stracił syna. Zdaje się, że okoliczności wskazują na samobójstwo. Czy nie wydaje się bardziej logiczne, że to on sam pociągnął za spust, a nie że to zrobił ktoś inny?

- Jasne. I sprytny zabójca tak właśnie mógł sobie pomyśleć - zauważył Kovac.

- Chyba ostatnio w wydziale zabójstw macie za mało roboty, skoro najlepszy detektyw może sobie pozwolić na zajmowanie się niekryminalnymi przypadkami.

- Im więcej przestaję z ludźmi związanymi z Andym i Mikiem Fallonami, tym mniej mam przekonania, że te zgony to przypadki niekryminalne. Znała pani Andy'ego, twierdzi pani, że go lubiła. Mam zostawić tę sprawę, chociaż według mnie nie jest wykluczone, że wcale nie sam założył sobie pętlę na szyję? Mam zrezygnować, chociaż wydaje się, że Mike wetknął sobie lufę trzydziestkiósemki do ust nie bez czyjejs pomocy? Jaki byłby ze mnie policjant, gdybym to zrobił?!

Za ich plecami otworzyły się drzwi kaplicy i zaczęli wychodzić żałobnicy; kulili się z zimna i spieszyli do samochodów. Kovac zauważył Steve'a Pierce'a i Jocelyn Daring. Kobieta próbowała wziąć narzeczonego pod rękę, ale Pierce ją odtrącił. Zaraz za nimi wyszedł Ace Wyatt ze swoim totumfackim. Wyatt zdawał się uodporniony na zimno: wyprostowany, głowa do góry. Nieomylnie odnalazł Kovaca, jakby miał laserowy system namierzania.

- Sam - rozpoczął swoim telewizyjnym, poważnym głosem. - To ty znalazłeś Mike'a. Mój Boże, cóż za tragedia!

- To, że nie żyje, czy to, że to ja go znalazłem?

- I jedno, i drugie. Biedny Mike. Nie mógł już tego znieść. Miał chyba okropne wyrzuty sumienia z powodu śmierci Andy'ego. Nie zdążyli naprawić stosunków. Niestety...

Zerknął na porucznik Savard i skłonił się.

- Amando, miło cię widzieć, szkoda, że przy takiej smutnej okazji.

- To straszna wiadomość - powiedziała. Kovac widział nawet przez jej zasłony, że nie patrzy na Wyatta, tylko gdzieś w dal. - Współczuję. Wiem, że się znaliście od lat.

- Biedny Mike - rzekł ochryple, nie patrząc w oczy. Milczał przez chwilę, jakby chcąc uczcić pamięć zmarłego, po czym odchrząknął. - Widzę, że znasz Sama.

- Owszem. - Wyciągnęła rękę i wyjęła Kovacowi kluczyki z dłoni. - A teraz, panowie, wybaczcie...

- Właśnie mówiłem pani porucznik, jakie to dziwne, że Mike, tak wczoraj wzburzony sprawą Andy'ego, tym, że samobójstwo to grzech śmiertelny, wrócił do domu i strzelił sobie w łeb. - Kovacowi udało się zatrzymać porucznik Savard jeszcze na chwilę. - Przecież to bez sensu.

- A kto mówi, że z sensem? - zauważyła z ironią.

- Amanda ma rację - powiedział Wyatt. - Mike nie był przy zdrowych zmysłach.

- Był w ciężkim stanie, jak go ostatnio widziałem - przyznał Kovac. - Ty go odwoziłeś do domu, Ace, prawda? W jakim stanie go zostawiłeś?

Gaines popatrzył znacząco na zegarek.

- Kapitanie...

Wyatt przewrócił oczami.

- Wiem, Gavin. Spotkanie z ludźmi od *public relations*.

- Nie jedziesz na cmentarz - stwierdził Kovac. „Bo tam nie będzie reporterów” - miał ochotę dodać, ale dzięki rozsądkowi w porę ugryzł się w język.

- Sam pochówek został odłożony - wyjaśnił Gaines. - Jakieś kłopoty ze sprzętem.

- Aha, problemy techniczne - burknął Kovac. - To znaczy, że w taki mróz tym pieprzonym grabarzom się nie chce kopać. Pani wybacz grubo słowo - zwrócił się do Savard z uroczym uśmiechem.

- Wcale panu nie wybaczam, sierżancie - powiedziała ozięble. - A teraz powiem panom „do widzenia”.

Podniosła rękę w pożegnalnym geście i ruszyła przez ośnieżony plac parkingowy. Kovac dał za wygraną, zrozumiał bowiem, że teraz, przy świadkach, już nie może jej za-

trzymywać. I tak już pewnie przeciągnął strunę. Jedyne, na co mógł sobie teraz pozwolić, to odprowadzić ją wzrokiem.

- Sam, chyba nie myślisz serio, że Mike został zamordowany - rzekł z przekonaniem Wyatt.

- Jestem policjantem z wydziału zabójstw. - Kovac włożył kapelusz. - Jeśli ktoś nie żyje, to ja na wstępie zakładam, że został zamordowany. Zboczenie zawodowe. O której odwiozłeś Mike'a?

Wtrącił się Gaines:

- Kapitanie, niech pan jedzie sam na to spotkanie, ja to załatwię.

- Czy zjadasz za niego posiłki i podcierasz mu tyłek? - zapytał Kovac, otrzymując w zamian lodowate spojrzenie.

- Kapitan nie może się spóźnić na to spotkanie, sierżancie Kovac - uciął Gaines, delikatnie wsuwając się między Wyatta a detektywa. - Wczoraj cały czas byłem z kapitanem. Mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania równie dobrze jak on.

- Nie trzeba, Gavin. Przyrowadź samochód, a my z Samem sobie pogadamy.

Kovac wyglądał na zadowolonego z siebie.

- No pewnie, laluuś, biegiem do samochodu! Pogadamy sobie później, przy kawce z mleczkiem. Mówię ci, fajnie będzie.

Gainesowi najwyraźniej nie przypadło do gustu, że został pokonany i że się go odsyła. Spojrzenie błękitnych oczu było twarde jak betonowa nawierzchnia parkingu, na którym stali; ale cóż miał robić, zacisnął zęby i poszedł po czarnego lincolna, tak jak pan mu kazał.

- Ale sobie załatwiłeś pieska, Ace.

- Gavin to moja prawa ręka. Ambitny, niestrudzony, bezgranicznie oddany. Bez niego nie osiągnąłbym tego, co osiągnąłem. Ma przed sobą przyszłość. Czasami jest nadgorliwy, ale i o tobie, Sam, da się powiedzieć to samo. Jeśli dobrze wiem, nic nie wskazuje, by śmierć Mike'a nasuwała podejrzenia o morderstwo.

Kovac wcisnął ręce do kieszeni i westchnął.



- To był jeden z naszych, Ace. Wyjątkowy człowiek. Owszem, być może ostatnio legenda go przerosła, ale jednak... Jestem mu chyba winien to, by się dobrze przyjrzeć sprawie. Wiesz, o co mi chodzi? Powinieneś wiedzieć, przeżyłeś z nim przecież niejedno.

- Trudno się pogodzić z zamknięciem jakiegoś rozdziału w życiu. Trudno uwierzyć, że od nas odszedł - powiedział cicho Wyatt, patrząc, jak na parkingu z rury wydechowej jego lincolna zaczynają wydobywać się kłęby pary w mroźnym powietrzu.

To musi być dla niego przede wszystkim ulga - pomyślał Kovac. Ta noc, kiedy został zabity Thorne, tyle lat temu, to była chwila, która na zawsze naznaczyła i Ace'a Wyatta, i Mike'a Fallona. Wtedy wszystko zostało przesądzone; już nigdy nie miało być tak jak przedtem; na zawsze pozostali związani z tą chwilą, która z Mike'a uczyniła kalekę, a z Ace'a - bohatera. Teraz, gdy Mike'a już nie ma, ciężar, który dźwiga Wyatt, musiał zelżeć, a to nie tylko ulga, ale i konsternacja. Kim teraz jest Ace Wyatt, skoro już nie ma Mike'a Fallona jako przeciwwagi?

- Zostawiliśmy Mike'a mniej więcej wpół do dwunastej w nocy - odezwał się Wyatt. - Był spokojny. Zatopiony w smutku. Nie miałem pojęcia, co mu chodzi po głowie, bo na pewno bym go powstrzymał. - Widząc podjeżdżającą limuzynę, wykrzywił usta w grymasie ironii. - A może lepiej, że tego nie zrobiłem. Straszliwie cierpiał od lat. Teraz przestał. Dajmy mu spokój, Sam. Niech spoczywa w spokoju.

Gaines wysiadł, obszedł wóz, otworzył drzwi Wyattowi. Ten wsiadł bez słowa i lincoln odjechał w chmurze spalin. Samotny Jeździec i jego indiański Piętaszek, Tonto, odjeżdżają w stronę zachodzącego słońca.

Kovac chwilę zatrzymał się przy krawężniku. Został tu ostatni. Nawet ksiądz już sobie poszedł.

- Samotny Jeździec - mruknął i z głową wtuloną w ramiona ruszył przez zmrożony parking.

- Neil Fallon był karany.

Kovaca zamurowało, gdy zdejmował płaszcz.

- Szybki jesteś.

- Do usług - powiedział Elwood, zerkając znad przepierzenia.

Liska siedziała na krześle z buzią rozświetloną miną chochlika-maniaka. Wyglądała super, kiedy wpadła na ślad. Świeży trop podniecał ją jak narkotyk; niemal erotycznie. Kovac nie pamiętał, kiedy sam był aż tak zapalony do tej roboty, a przecież praca była jedyną wielką miłością jego życia. Może trzeba się zastanowić nad terapią hormonalną?

- Miał wyrok jako młodociany. Oczywiście już zatarty, ale dostałam zgodę, żeby do tego zajrzeć - opowiadała Liska. - Potem siedem lat służył w wojsku. Zażądałam jego papierów. Zaraz po wyjściu do cywila miał sprawę o pobicie. Kara trzy do pięciu lat. Odsiedział półtora roku.

- Co narozrabiał?

- Pobił faceta w barze. Gość przeleżał tydzień nieprzytomny.

- Nerwowy ten nasz Neil.

Kovac powiesił wreszcie palto na wieszaku. Myślał. Biuro wrzało codzienną pracą. Dzwoniły telefony, ktoś się roześmiał. Do pokoju przesłuchań prowadzono w kajdankach dwudziestolatka z kilkoma kolczykami w uszach, o utlenionej, nastroszonej czuprynie, w spodniach wiszących w kroku do kolan. W czasach Mike'a Fallona ktoś by go kopnął w tyłek za sam sposób ubierania.

- To jakim sposobem dostał koncesję na alkohol, mając za sobą taki wyrok? - zapytał Kovac, osuwając się ciężko na krzesło.

- Nie dostał - powiedział Elwood.

- Chodź tutaj, na litość boską, bo cały sztywnieję od oglądania się - sarknął Kovac.

Liska wyszczerzyła zęby.

- Na pewno cały? - Trąciła jego krzesło czubkiem buta. - To powinieneś się cieszyć.
- Też mi dowcip!

Elwood obszedł przepierzenie i znalazł się w ich boksie. Trzymał w ręku wydruk z faksu.

- Koncesję na wyszynk w barze wydał urząd gminy Excelsior na nazwisko niejakiej panny Cheryl Brewster, która za parę miesięcy stała się panią Cheryl Fallon.

- Ach, małżonka w separacji.

- Już właściwie eksmałżonka - sprostowała Liska. - Zadzwoiłam do niej. To pielęgniarka. Pracuje na noc w Fairview Ridgedale. Twierdzi, że się z nim rozwodzi i że już nie może się tego doczekać. Zachlany, podły sukinsyn - to przykładowe określenia.

- Rany, a mnie się wydawał taki sympatyczny! - zdziwił się Kovac. - To znaczy, że koncesję ma żona. Co będzie, kiedy odejdzie?

- Neil będzie miał kłopoty. Mogą sprzedać bar wraz z koncesją, a urząd przepiše koncesję na nabywcę. Neil może też kogoś podstawić, ale jak dotąd jeszcze tego nie zrobił. Cheryl twierdzi, że on próbuje wykupić całość interesu i zrezygnować z koncesji, ale zdaje się, że nie ma na to gotówki. A nawet gdyby miał, to jej zdaniem nie da się z tego wyżyć bez sprzedaży alkoholu, więc... Pytałam ją też, czy sądzi, że on będzie chciał pożyczyć forszę od rodziny. Roześmiała się i powiedziała, że Mike nie da mu złamanego centa, choć, jej zdaniem, ma kupę forsy.

- To się nazywa motyw w żargonie detektywów - zauważył Elwood.

- Zastanawiam się, czy zwracał się z tym do Andy'ego - zamyślił się Kovac.

- Powiedział Cheryl, że miał zaproponować bratu, by zainwestował w ten interes, ale ona nie wie, czy do tego doszło. Możemy zapytać Pierce'a. Może doradzał Andy'emu w sprawach finansowych.

- Gdyby Pierce podejrzewał, że brat może mieć coś wspólnego ze śmiercią Andy'ego, to na pewno by nam powiedział - rzekł z przekonaniem Elwood.

Kovac skinął głową.

- Dlaczego nie pokazał na niego palcem, tylko zachowuje się tak, jakby mu coś ciążyło? Przejrzyjmy notatki z przesłuchań prowadzonych u sąsiadów Andy'ego Fallona. Trzeba sprawdzić, kogo nie pytano, wykonać parę dodatkowych telefonów. Może ktoś

rozpozna samochód, może kogoś widziano. Elwood, masz czas przejrzeć notes z adresami Fallona i sprawdzić znajomych?

- Zrobi się.

- I tak musimy jeszcze raz przepytac sąsiadów Fallona - powiedziała Liska.

- A dlaczego?

- Bo robili to nasi ulubieńcy, Ogden i Rubel. Kovac jęknął.

- Tylko tego brakowało. Ogden wmawiający ludziom, że nic nie widzieli.

- Jeśli świadek kogoś widział, na przykład Neila Fallona czy Pierce'a, to nawet Ogden miałby dość rozumu, żeby nam na to zwrócić uwagę.

- No to miejmy nadzieję, że przeoczono tego kogoś.

- Kto kogo przeoczył? - zaciekawił się Leonard, zatrzymując się przy ich boksie.

Kovac zaczął udawać, że przegląda akta na biurku i przykrył nimi notatki dotyczące Andy'ego Fallona.

- Ten facet, który pobił Nixona - odparł. - Człowiek Deene'a Combsa. Mamy nadzieję, że jego ludzie przeoczyli kogoś w swojej akcji zastraszania i ten ktoś coś nam powie.

- Przesłuchaliście tę kobietę? Tę, którą widział taksówkarz, jak wchodziła do domu, kiedy tamten uciekał?

- Pięć razy.

- Porozmawiajcie z nią jeszcze raz. To kluczowy świadek. Wiemy, że ona coś wie.

- To ślepy tor - odparł Kovac. - Ona zabierze tajemnicę do grobu.

- Jeśli Nixon sam nie sypnie tego gościa, to Chamiqua Jones tego za niego nie zrobi - zauważyła Liska.

Leonard popatrzył na nią gniewnie.

- Porozmawiajcie z nią jeszcze raz. Pójdźcie tam, gdzie pracuje. Dziś. Nie chcę, żeby ci bandyci myśleli, iż są bezkarni.

Kovac zerknął na Liskę, Liska spuściła oczy. Sprawa pobicia Wyana Nixona wynikła stąd, że spróbował orznąć swojego szefa, Deene'a Combsa, przy jakiejś transakcji narkotykowej i został przez owego szefa ukarany dla przykładu. Nikt nie chciał zeznawać

łącznie z poszkodowanym Nixonem. Prokurator okręgowy zamierzał przekonać opinię publiczną, że nie będzie pobłażał gangom narkotykowym, i postanowił wytoczyć sprawę z urzędu, nawet jeśli Nixon nie wniesie skargi. Bez świadków jednak nie można było nikogo oskarżyć, taksówkarz widział niewiele, by mógł podać rysopis napastnika.

- To beznadziejna sprawa - powiedział Kovac. - Nikt nie piśnie ani słowa. Dlaczego to ciągnąć?

Leonard znów zmarszczył czoło.

- Dlatego, że to twoja praca, Kovac.

- Wiem, na czym polega moja praca.

- Naprawdę? Mam wrażenie, że coś ci się pomyliło.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Śledztwo w sprawie Fallona jest zakończone. Daj sobie z tym spokój.

- Słyszał pan o Mike'u? - Odbił piłeczkę, zastanawiając się jednocześnie, kto go sypnął Leonardowi. Na pewno porucznik Savard. Nie chciała, żeby się koło niej kręcił, zbliżał zanadto, zagrażał, że przeniknie przez mury obronne, które tak starannie wokół siebie wybudowała. Wyatt by sobie nie zadał trudu, nic go nie obchodziło, czym się Kovac zajmuje. Interesował go wyłącznie rozgłos.

Leonard zrobił zdezorientowaną minę.

- O tym, że się zabił?

- Nie jestem pewien, czy to na pewno to.

- Strzelił sobie w łeb.

- Na pozór tak to wygląda.

- Są pewne niepokojące sprawy, poruczniku - wyjaśniła Liska. - Na przykład ułożenie ciała.

- Twierdzicie, że samobójstwo zostało upozorowane?

- Nie wiemy. Ale ułożenie jest trochę zbyt wygodne dla ewentualnego sprawcy. I nie ma listu pożegnalnego.

- To nic nie znaczy. Wielu samobójców nie zostawia listów.

- Starszy syn Fallona miał motyw... i był skazany.

- Chciałbym trochę przy tym pogrzebać. Może Mike odebrał sobie życie. A jeśli nie? Wiele mu zawdzięczamy, nie powinniśmy iść po linii najmniejszego oporu i od razu zgodzić się na wariant samobójstwa.

- Zobaczymy, co powie lekarz po sekcji - powiedział nadąsany Leonard, niezadowolony, że mogą się zacząć komplikacje, zwłaszcza że Wyatt i przełożeni będą się sprawie przyglądać. - Tymczasem odwiedźcie Chamikę Jones. Dzisiaj. Niech prokurator wreszcie przestanie mnie się czepiać w sprawie Nixona.

- Wolałabym, żeby mi wbijano szpilki w ciało, niż zakupy w centrum handlowym „Mall of America” w czasie przedświątecznej gorączki.

Kovac zerknął na Liskę przelotnie. Jechali caprisem Kovaca na wschód zatłoczoną w tej godzinie szczytu trasą szybkiego ruchu numer 494.

- Gdzie twój konsumencki duch?

- Dusi się z braku tlenu na dnie mojego konta bankowego. Masz pojęcie, co dzieciaki chciałyby w dzisiejszych czasach dostać pod choinkę?

- Pistolet maszynowy?

- RJ. dał mi listę, która przypomina spis remanentowy domu towarowego.

- Znajdź jaśniejszą stronę sytuacji, Dzwonek. Mógł ci to przysłać z policyjnej izby dziecka.

- Ten, kto powiedział, że wychowanie dziecka od urodzenia do końca studiów kosztuje milion dolców, na pewno nie wliczał w to prezentów świątecznych.

Kovac zjechał na lewy pas, żeby wyprzedzić zgniłozielonego geo, prowadzonego z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę przez łysiejącego gościa, kurczowo trzymającego się kierownicy. Tablice stanu Iowa.

- Te chłopy z Iowy - burknął - tracą głowę za kółkiem, jeśli po obu stronach szosy nie rośnie kukurydza.

Przejechał teraz ukosem przez dwa pasy w prawo, żeby się dostać do zjazdu z trasy. Jego styl kierowania na ogół pobudzał Liskę do krytycznych uwag, tym razem jednak nie odezwała się; wyglądała na zatopioną w myślach o zbliżających się świątach.

Kovac przypomniał sobie Boże Narodzenie z tamtego roku, kiedy go zostawiła pierwsza żona. Wysłał wtedy prezenty dla ich córki. Pluszowy miś. Szmaciana lalka. Takie bzdety. Odesłano je nierozpakowane. Oddał je w punkcie zbiórki darów dla sierot, po czym urznął się w trupa. Skończyło się to bijatyką ze świętym Mikołajem z Armii Zbawienia, wskutek czego zawieszono go w obowiązkach (bez wynagrodzenia) na miesiąc.

- Kup dzieciakowi coś, o czym naprawdę marzy, i nie zrzedź. Przecież to tylko pieniądze.

Liska wpatrywała się w niego.

- O czym marzy naprawdę? - spytał, speszony jej badawczym wzrokiem.

- O tym, żebyśmy zeszli się z powrotem ze Speedem.

- Rany! Mam nadzieję, że ci to nie grozi.

Milczała o sekundę za długo. Podjechali tymczasem pod zachodni parking wielopoziomowy centrum handlowego. Kovac znów jej się przyjrzał.

- Czy ja wyglądam na kompletną wariatkę? - zapytała zaczepnie. - Jak ci się wydaje?

- To palant.

- Wiem to i bez ciebie.

- Tak tylko mówię.

Kovac znalazł wolne miejsce i zaparkował. Zapamiętał oznaczenie piętra i numer rzędu. Jedno z dwunastu tysięcy siedmuset pięćdziesięciu miejsc do parkowania wokół centrum. Lepiej się tu nie zgubić.

„Mall of America” przypominał olbrzymi, elegancki czteropiętrowy labirynt dla szczurów. Szerokimi korytarzami przelewały się ludzkie masy, spieszące od sklepu do sklepu. Największe centrum handlowe w USA: pięćset sklepów, dwieście trzydzieści dwa tysiące metrów kwadratowych powierzchni handlowej, a mimo to przy każdym stoisku panował tłok; kłębili się ludzie szukający najlepszych towarów, żeby je wytwornie zapakować, a potem oddać dwa dni po świętach. Natura ludzka.

Z wesołego miasteczka „Camp Snoopy” dobiegał nieustanny hałas: łoskot kolejki górskiej i szum wodnej zjeżdżalni, potęgowane piskiem i wrzaskiem klientów. Na

podium przed wejściem do „Macy's” zbierał się chór szkolny - licealiści i licealistki rozchodzili się, by oglądać wystawy, a dyrygent zwoływał ich bezskutecznie.

Minęli trzypiętrowe centrum „Lego” z ośmiometrową wieżą zegarową, ogromnym dinozaurom, stacją orbitalną - wszystko z klocków. Nad tym unosiła się rakietą kosmiczną, zbudowana ze stu trzydziestu ośmiu tysięcy dwustu czterdziestu klocków lego.

Kovac zawistnym okiem zerknął na wystawę „Old Navy” z ekspozycją dresowych spodni, podkoszulków i paskudnych pikowanych kamizelek.

- Popatrz na to!

- Moda retro, lata siedemdziesiąte - powiedziała Liska. - Ubranie w stylu „wszystko mi się zbiegło w praniu, ale i tak to noszę”.

- Już wtedy wydawało mi się to paskudne. Jak to teraz widzę, to tak jakby mi wracały złe wspomnienia z lat szkolnych.

Kovac mignął odznaką sprzedawczynie, dziewczynie z kolczykiem w wardze, w okularach jak kocie oczy i z rudymi włosami, które wyglądały, jakby fryzurę robił jej pięciolatek za pomocą tępych nożyc do strzyżenia owiec.

- Mogę się widzieć z kierownikiem?

- Ja jestem kierownikiem. Czy chodzi o tego faceta, który się chowa między stoiskami i pokazuje kobietom - wie pan co?

- Nie.

- Powinniście coś z nim zrobić.

- Zapiszę sobie. Czy Chamiqua Jones jest w pracy?

- Tak. - Oczy dziewczyny zza okularów wyglądały na duże. - Co zrobiła? Nigdy nie pokazuje nikomu penisa.

- Mamy do niej parę pytań - wyjaśniła Liska. - Nic jej nie grozi.

Dziewczyna nie wyglądała na przekonaną, ale nic nie mówiąc, poprowadziła ich ku przymierzalniom.

Chamiqua Jones miała dwadzieścia parę lat, a wyglądała na czterdzieści parę. Przypominała dwustulitrową beczkę, a jej fryzura - zardzewiały druciak do szorowania



garów. Stała koło przebieralni i pilnowała potencjalnych klientów i potencjalnych złodziejasków sklepowych.

- Tamte drzwi, kochaneńka. - Skierowała klientkę ku którejś z dalszych kabin, potem pokręciła głową i mruknęła pod nosem: - Już widzę, jak zmieścisz swój tłusty biały tyłuś w te portki!

Zerknęła na Kovaca i Liskę, potem weszła do jednej z przymierzalni i zabrała z niej kłęb odrzuconych dzinsów.

- To znowu wy.

- Witaj, Chamiqua!

- Po co robisz mi obciach w pracy, Kovac?

- Hej, tęskniłem za tobą, a ty tak mnie witasz? Myślałem, że zostaniemy przyjaciółmi.

Jones nie uśmiechnęła się.

- Skopią mi przez was tyłek, i tyle.

- Wciąż nic nie masz do powiedzenia o Nixonie? - zapytała Liska.

- O tym prezydencie? Nie. Nic. Jeszcze mnie na świecie nie było. Słyszałam, że to drań, ale przecież wszyscy to dranie.

- Świadkowie twierdzą, że byłeś przy tym pobiciu, Chamiqua.

- Ten durny taksjarsz?! - wykrzyknęła, niosąc dzinsy na ladę. - Łże. Nie widziałam żadnego pobicia. Już wam mówiłam.

- Nie widziałeś, jak mężczyzna napadł na Wyana Nixona i pobił go łyżką do opon?

- Nie, proszę pani. Nic nie wiem o żadnym Wyanie Nixonie, oprócz tego, że mi przynosi pecha.

Składała dzinsy szybkimi, wprawnymi ruchami. Dłonie miała szerokie, palce krótkie, skórę napiętą. Kovacowi nasunęło się skojarzenie z balonikami. Od czasu do czasu rzucała okiem na krępego, nabitego młodzieńca w obcisłej, elastycznej białej czapeczce, w której wyglądał, jakby miał na głowie kondom. Kovac nigdy przedtem go nie widział, ale nie miał wątpliwości: mięśniak. Osiemdziesiąt parę kilo aspołecznej agresji. Miał pewnie z szesnaście, siedemnaście lat, ale dzieckiem nie był. Stał przy wieszaku z

grubymi kamizelkami i przekładał je, nawet na nie nie patrząc; jego chłodny, nieruchomy wzrok spoczywał cały czas na sprzedawczyni.

- Widzisz, Kovac, że jestem bardzo zajęta - powiedziała i poszła otworzyć przymierzalnię kluczem. Wisiał on na plastikowej jaskrawozielonej lince, którą miała przewieszoną w nadgarstku.

Kovac odwrócił się tyłem do mięśniaka.

- Możemy ci zapewnić ochronę, Chamiqua - powiedział. - Prokurator okręgowy bardzo chce wsadzić za kratki Deene'a Combsa.

- Ochrona! - prychnęła. - Jaka ochrona? Wyślecie mnie autobusem do jakiegoś zapchlonego motelu w Gary w stanie Indiana? Ukryjecie mnie? - Pokręciła głową i wróciła do lady z następnym stosem ciuchów. - Jestem porządnym człowiekiem, Kovac. Pracuję na dwóch etatach. Wychowuję trójkę fajnych dzieci. Chcę dożyć do czasów, kiedy skończą szkoły. Dziękuję bardzo. Wyan Nixon niech sam dba o własny tyłek. Ja dbam o swój.

- Jak się prokurator uprze, to może cię oskarżyć o utrudnianie śledztwa - zaryzykowała Liska. - Odmowa współpracy z organami ścigania.

Jones wyciągnęła przed siebie złożone ręce, jednocześnie wciąż zerkając na chłopaka w kondomowej czapeczce.

- To od razu mnie skujcie i zabierzcie stąd. Nie mam nic do powiedzenia ani o Wyanie Nixonie, ani o Deenie Combsie. Nic nie widziałam.

Kovac pokręcił głową.

- Dziś cię nie zabierzemy. Do zobaczenia, Chamiqua.

- Oby nie.

- Nikt mnie dziś nie kocha - poskarżył się Kovac. Liska wyciągnęła wizytówkę i położyła ją na stercie złożonych dzinsów.

- Zadzwoń, gdybyś zmieniła zdanie.

Gdy odchodzili, Jones przedarła wizytówkę na dwoje.

- Dziwisz się jej? - powiedział Kovac półgłosem, obdarzając spojrzeniem spod oka kondomową czapeczkę.

- Martwi się o dzieci - odparła Liska. - Ja bym robiła to samo. A poza tym, tak czy owak, jej zeznania nie pozwolą wsadzić Deene'a Combsa. Przecież to nie on osobiście dołożył Nixonowi. Wsadzą jakąś płoćkę, jak ten chłopak, co ją obserwował w sklepie, a ona i tak zginie. I po co to wszystko? Na jego miejsce będzie tysiąc następnych.

- Pewnie. Dajmy spokój. Jeden bandzior pobił drugiego. To znaczy, że przez jakiś czas będzie o jednego mniej na ulicach. Kogo to obchodzi? Nikogo.

- Kogoś musi - nie zgodziła się Liska. - Nas powinno obchodzić.

Kovac popatrzył na nią.

- Bo tylko my możemy ochronić społeczeństwo przed anarchią?

Liska skrzywiła się.

- Wskaźnik wykrywalności ma ogromne znaczenie przy awansie. Guzik mnie obchodzi społeczeństwo. Mam dwójkę dzieci na utrzymaniu i chciałabym je posłać na studia.

Kovac się roześmiał.

- Dzwonek, ty zawsze potrafisz ustawić sprawy we właściwej perspektywie.

- Ktoś musi dbać o to, żebyś nie popadał w ponuractwo.

- Nie popadam w ponuractwo.

- Popadasz bez przerwy.

- Nie ponuractwo, tylko rozgoryczenie - poprawił ją. Mijali właśnie „Cafe Dżungla”, skąd dobiegały nadawane przez głośniki odgłosy tropikalnej ulewy z grzmotami oraz upiorne wrzaski żywych papug w klatkach. Ludzie w kolejce czekali na wolne miejsca. - To dwie różne sprawy. Popadanie w ponuractwo to coś biernego. Rozgoryczenie wymaga aktywności. To coś w rodzaju hobby.

- Każdy powinien mieć hobby - zgodziła się Liska. - Moje to najmowanie się dla zarobku.

Zawróciła, żeby zajrzeć do wnętrza sklepu, gdzie stał wycięty z tektury Ace Wyatt prawie naturalnej wielkości, obejmujący opiekuńczym gestem pudło pełne kaset wideo z filmem *Bądź aktywny: zawodowy policjant radzi, co robić, aby nie zostać ofiarą*. Założyła ciemne okulary i upozowała się obok.

- I co myślisz? Pasujemy do siebie? - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Nie sądzisz, że potrzebna mu młoda kobieta jako partnerka, żeby rozszerzyć widownię? Mogę nosić bikini, jeśli to będzie konieczne.

Kovac spojrzął spode łba na tekturowego Wyatta. - A może pojedziesz na trzecie piętro i zatrudnisz się w „Hootersie”? Albo po prostu staniesz pod latarnią na Hennepin Avenue?

- Jestem najemnikiem, ale to nie znaczy, że jestem dziwką. To co innego.

- Nieprawda.

- Prawda. Najemnik nie pracuje waginą.

- Jezu! - Kovac zdrętwiał. - Nie masz żadnych zahamowań?

Liska roześmiała się.

- O co ci chodzi? O mój język czy o moją bezwstydną żądzę awansu?

- Wychowano mnie tak, że nie jestem przyzwyczajony do mówienia o... no wiesz. - Zarumienił się.

- O waginach?

Kovac rzucił jej wściekłe spojrzenie, bo paru przechodniów obejrzało się za nimi.

- To wyjaśnia - ciągnęła - dlaczego nie masz żadnej na własne potrzeby. Powinieneś być bardziej otwarty, Sam. Wejść w kontakt z kobietą stroną własnej natury.

- Gdybym miał kontakt z kobietą stroną własnej natury, to pewnie nie potrzebowałbym tej... no wiesz... na własne potrzeby.

- Świetny pomysł. Mógłbyś mieć wtedy swój program telewizyjny: „Obojnaczy detektyw z wydziału zabójstw”. Pomyśl, jaki byś się stał sławny. Wreszcie przestałbyś zazdrościć Ace'owi Wyattowi.

- Wcale mu nie zazdrościsz.

- No chyba. Bo uwierzę.

- Ty po prostu lecisz na jego asystenta. Nie możesz wytrzymać.

Liska przewróciła oczami.

- Gaynesa? Daj spokój. To pedał.

- Pedał czy po prostu cię olewa?

- Na jedno wychodzi. Kovac wybuchnął śmiechem.

- Dzwonek, tak czy owak, jesteś za dobra dla niego. To palant. A Wyatt to już kompletny drań. Zaslugują na siebie nawzajem.

- Tak. Służba społeczeństwu, pomoc ludziom, dbanie o ofiary... Co za dureń!

Kovac znów się zachmurzył.

- Ten cały rozgłos, reklama, ta cała hollywoodzka forsa. Ace Wyatt robi tylko to, co przynosi korzyść Ace'owi Wyattowi.

- Uratował życie Mike'owi Fallonowi.

- I stał się legendą.

- Tak. Na pewno zrobił to z premedytacją. Kovac skrzywił się, jakby poczuł niesmak w ustach.

- No dobrze. Zrobił raz w życiu dobry uczynek, bezinteresownie - zgodził się. Wyszli na zewnątrz; mroźne powietrze i spaliny uderzyły ich w twarze. - Ale to nie znaczy, że nie jest draniem.

- Ludzie są skomplikowani.

- Tak - zgodził się Kovac. - Właśnie dlatego tak ich nienawidzę. Gdy się ma do czynienia z psychopatą, przynajmniej się wie, na czym się stoi.

Zanim wrócili do biura, skończyły się godziny urzędowania i Leonard poszedł do domu, co oszczędziło im konieczności meldowania o fiasku rozmowy z Chamiką Jones. Liska przez chwilę zastanawiała się, czy nie załatwić paru telefonów ze swojego biurka, ale się rozmyśliła. Nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że wszyscy ją obserwują, nasłuchują, podsłuchują - tylko dlatego, że te parę pytań, które miała zadać, dotyczą innych policjantów.

Zawsze uważała się za osobę twardą, zdolną sprostać każdemu wyzwaniu, jakie niesie ze sobą jej praca, ale tym razem zamieniłaby tę sprawę, którą musiała prowadzić, na każdą inną, z wyjątkiem zabójstwa dziecka. Nie ma nic gorszego od rozpracowywania morderstwa dziecka. Zebrała rzeczy i wyszła z biura, zastanawiając się, co robi, jeśli droga do awansu będzie wiodła przez SW. Zbuduje objazd?

Po drodze na parking zmarzła; mróz kąsał w policzki i uszy. Jazda do domu nie będzie lepsza. Nie zdołała dotrzeć do warsztatu w sprawie wstawienia szyby. Najgorsze, że wybite okno zmniejszyło szansę na to, by samochód został skradziony. Jej polisa ubezpieczeniowa przewidywała w takim wypadku samochód zastępczy.

W budce ochrony parkingu siedział ten sam tłusty strażnik. Rozpoznał ją i schował głowę, unikając jej wzroku. Liska przewróciła oczami i pomacała w kieszeni ciężką składaną pałkę. Zastanawiała się dziś, czy nie zacząć parkować gdzie indziej, ale w końcu zmusiła się do powrotu na miejsce przestępstwa. Po upadku z konia trzeba wracać na siodło. I uważnie się rozglądać. Jeśli dopisze jej szczęście, to nie tylko pokona własny strach, ale i ujmie sprawcę włamania do auta - wszystko za jednym zamachem. Mało prawdopodobne jednak, żeby jej tajemniczy osobnik wciąż się tu kręcił... Chyba że to właśnie ona jest jego celem.

Nic nie skradł. Niczego nie ruszył prócz jej korespondencji...

Dziś skierowano na teren parkingu jeden wóz patrolowy; miał co jakiś czas kręcić się po betonowym labiryncie. Widok policji wypłoszył bezdomnych, prawdopodobnie

przenieśli się na drugą stronę ulicy, żeby obsikiwać kąty drugiego parkingu i tam sprawdzać drzwi wszystkich samochodów.

Jej saturn stał w pustawym już rzędzie miejsc parkingowych, mniej więcej w jednej trzeciej odległości od początku rzędu; zaparkowany był tyłem do ściany. Okno z folii nienaruszone. Nikt nie wybił żadnej innej szyby. Liska minęła wóz i rozejrzała się, sprawdzając teren. Na tym piętrze było cicho i pusto. Cofnęła się, otworzyła drzwiczki i wsiadła. Zamknęła centralny zamek, uruchomiła silnik i włączyła ogrzewanie. Wyciągnęła z torebki telefon, wystukała numer męża zaufania policji do spraw mniejszości seksualnych i czekając na połączenie, patrzyła na palącą się czerwoną lampkę awaryjną „sprawdzić silnik”.

Grat. Trzeba będzie sprzedać i kupić inny. Może w styczniu, jeśli nie zbankrutuje z powodu świąt. A może się szarpnie i kupi sobie minivana? Byłoby czym wozić chłopaków z kolegami i sprzętem do hokeja. Może uda się wydusić ze Speeda pieniądze, które jest jej winien...

- Halo?

- Czy rozmawiam z Davidem Dungenem?

- Tak, to ja.

- Davidzie, mówi sierżant Liska, wydział zabójstw. Czy możesz teraz rozmawiać? Mam kilka kwestii, w rozwikłaniu których mógłbyś mi pomóc.

Po drugiej stronie chwila milczenia.

- O co chodzi?

- Sprawa Erica Curtisa.

- Chodzi o morderstwo? Sprawa już zakończona.

- Wiem. Ale mam sprawę, która się wiąże z tamtą.

- Rozmawiałaś ze Służbą Wewnętrzną?

- Wiesz, jacy oni są. Zawiązali akta tasiemką na śliczną kokardkę i nie chce im się tego ruszać. Zresztą oni nigdy nie są skłonni do zwierzeń.

- I mają powody - odparł Dungen. - To zazwyczaj delikatne sprawy. Nie mogę udzielać informacji każdemu, kto się zwróci.

- Ja to nie każdy. Pracuję w wydziale zabójstw. Nie pytam z niezdrowej ciekawości.

- To ma związek z jakąś inną sprawą?

- Będę z tobą szczerą, Davidzie. - Mówić po imieniu. Zakumplować się. Mnie możesz wszystko powiedzieć. - W tym momencie po prostu działam „na rybkę”. Jeśli uda mi się znaleźć coś, co będę mogła pokazać mojemu porucznikowi... Dungen milczał chwilę, po czym powiedział:

- Muszę mieć twój numer służbowy.

- Podam ci, ale nie chciałabym, żebyś to gdzieś oficjalnie zapisywał. Rozumiesz.

Znów znacząca pauza.

- A dlaczego?

- Bo są tacy, co woleliby nie budzić licha, kiedy śpi, rozumiesz, o co mi chodzi. Sprawdzam pewne sprawy związane z Curtisem, bo mnie ktoś o to poprosił osobiście. Nie wiem, czy z tego w ogóle coś będzie. Nie mogę iść do szefa, mając tylko przecucia i mgliste wrażenie. Muszę mieć coś konkretnego.

Milczał tym razem bardzo długo, Liska już się bała, że urwało się połączenie.

- Jaki masz numer? - zapytał w końcu.

Liska odetchnęła głęboko i wydała bezgłośnie westchnienie ulgi. Dokuczał silny smród spalin. Uchyliła okno. Było tak cholernie zimno, że nie zgasiła silnika. Podała Dungenowi numer służbowy i numer telefonu, modląc się w duchu, by nie zadzwonił do Leonarda w celu sprawdzenia danych.

- W porządku - powiedział zadowolony. - Co byś chciała wiedzieć?

- Wiem, że Curtis skarżył się w SW, iż jest prześladowany przez kogoś z naszych. Co wam o tym wiadomo?

- Wiem, że dostawał anonimy z pogrózkami. Takie, jak to zwykle bywa: litery wycięte z gazet. „Wszystkie pedały muszą zginąć. Po to właśnie Bóg zesłał AIDS”. Mniej więcej w tym stylu. Pełne jadu wypociny, mnóstwo błędów ortograficznych i gramatycznych.

- To musiał być policjant - stwierdziła cierpko Liska.



- Ach, na pewno. Bez wątpienia. Dwa z listów zostały wsunięte do jego szafki w biurze. Jeden znalazł we własnym samochodzie. Doręczyciel wybił szybę po stronie pasażera, żeby dostarczyć list.

Liska popatrzyła na swoje niebieskie plastikowe okno i przebiegł ją zimny dreszcz.

- Czy Curtis podejrzewał, kto to mógł być?

- Twierdził, że nie. Kilka miesięcy wcześniej zerwał intymny związek, ale przysięgał, że nie stoi za tym jego były.

- A ten jego były to ktoś z policji?

- Tak. Ale krył się ze swoim homoseksualizmem. Dlatego między innymi Curtis z nim zerwał. Chciał, żeby był uczciwy i się jawnie zdeklarował.

- Curtis się nie krył.

- Ale zachowywał dyskrecję. Nie zaliczał się do zagorzałych bojowników o sprawę; żadnej ostentacji. Tyle że zmęczyło go życie w zakłamaniu. Chciał, by świat był miejscem, w którym ludzie mogą być sobą bez obawy o własne życie. Ironia losu polega na tym, że zabił go gej.

- Wiecie, kim był ten jego poprzedni kochanek?

- Nie. Wiem, że Curtis parę razy zmieniał partnerów, z którymi chodził na patrole, ale to może nie mieć znaczenia. Nie podejrzewał żadnego z nich. Tak czy owak, nie był to mój interes. Nie prowadzę śledztwa. Do mnie należało przyjęcie jego skargi i pełnienie funkcji łącznika do Służby Wewnętrznej i do jego przełożonych.

- Pamiętasz nazwiska jego partnerów patrolowych?

- Ostatnio jeździł z jakimś Benem Engle'em. Poprzednich nie przypominam sobie. Nie skarżył się na Engle'a. Chyba się im dobrze pracowało.

- Czy kiedy się okazało, że nie żyje, pomyślałeś, że zrobił to autor anonimów?

- Tak, oczywiście, tego się z początku obawiałem. Coś okropnego! Chodzi o to, że my, to znaczy funkcjonariusze homoseksualiści, wszyscy, wciąż mamy do czynienia z mniejszymi lub większymi przykrościami, szykanami, uprzedzeniami. W tym zawodzie pełno jest typków o ptasich mózdkach, ale byczych karkach. Ten cały tłum z siłowni. Ale morderstwo to sprawa znacznie poważniejsza, to już nowy, groźniejszy stopień. Strach pomyśleć. Na szczęście okazało się, że to nikt z naszych. Dzięki Bogu.

- Wierysz, że Curtisa zabił Renaldo Verma?

- Tak. A ty nie?

- Nie wszyscy są przekonani.

- Ach... - powiedział takim tonem, jakby go nagle oświeciło. - Musiałaś rozmawiać z Kenem Ibsenem.

To nazwisko nic jej nie mówiło, ale pomyślała, że pewnie chodzi o człowieka, którego nazywała jaskrawozielonym. Jej milczenie Dungen uznał za potwierdzenie swojego domysłu.

- Od czasów Olivera Stone'a nie było większego specja od teorii spiskowych - powiedział.

- Uważasz, że to pomylenie?

- Aktor. Uwielbia dramaty. I pieniacz. Ciągłe kogoś pozywa do sądu o dyskryminację na tle preferencji seksualnych albo o szykany. Znał Erica Curtisa, a przynajmniej tak twierdzi, i nie daje nam spokoju. Teraz dotarł do ciebie, bo w biurze SW nudziło im się wysłuchiwanie jego teorii.

- Raczej dlatego, że funkcjonariusz SW, z którym współpracował, nie żyje.

- Andy Fallon. To przykra sprawa.

- Znałeś Fallona?

- Rozmawiałem z nim w związku z jego dochodzeniem. Osobiście go nie znam.

- Był gejem.

- To nie jakiś klub, gdzie wszyscy się znają - odparł Dungen. - Podejrzewam, że pan Ibsen od razu znalazł sposób, by wkomponować śmierć Fallona w swoją ostatnią teorię. To wszystko należy do powszechnego spisku, który ma na celu zatuszować rozprzestrzenienie się AIDS w policji.

- Curtis miał AIDS?

- Był nosicielem HIV. Nie wiedziałaś?

- Jestem tu nowa. Muszę niejedno nadrobić. - Liska już zaczęła przekształcać w głowie obraz sytuacji, uwzględniając w rozważaniach tę nową bombę. - Był nosicielem, a mimo to patrolował ulice?

- Nie przyznał się przełożonym. Przyszedł z tym najpierw do mnie. Bał się, że straci pracę. Powiedziałem mu, że to niemożliwe. W siłach policyjnych nie wolno dyskryminować funkcjonariusza ze względu na jego stan zdrowia. Tak postanawia ustawa o niepełnosprawnych. Curtisa zabrano by z ulicy i przydzielono inne zadania. Funkcjonariusz z HIV-em na ulicy, gdzie może zostać raniony i narazić innych na zakażenie, to zbyt duże ryzyko; nie mówiąc już o ewentualności pozwania policji do sądu.

- Czy wtedy, kiedy dostawał te listy z pogrózkami, ktoś wiedział, że jest nosicielem? Jacyś koledzy?

- Z tego, co wiem, nikomu nie mówił. Powiedziałem mu, że jest zobowiązany poinformować swoich partnerów intymnych. Nie wiem, czy to zrobił. Morderca na pewno nie wiedział. Kto byłby na tyle głupi, żeby rzucić się na nosiciela HIV z kijem baseballowym?

Liska ujrzała oczami wyobraźni scenę zbrodni: wszędzie krew, zachlapano ściany, sufit, abażury; krew pryska wszędzie, a morderca uderza Curtisa raz za razem.

Kto narażałby się świadomie na kontakt z zakażoną krwią?

Tylko ktoś, kto nie ma pojęcia o drogach zakażenia wirusem, albo ktoś, komu nie zależy. Ktoś, kto już jest zakażony.

- Kiedy ostatni raz Fallon z tobą rozmawiał o tej sprawie? - spytała, rozcierając kciukiem skroń. Zaczynała ją boleć głowa. Zamknęła z powrotem okno; doszła do wniosku, że wpada przez nie więcej spalin niż powietrza. - Czy to było niedawno?

- Nie. Sprawa została zamknięta. Prokuratura poszła na ugodę ze sprawcą. O co właściwie ci chodzi? - Dungen znów nabrał podejrzeń. - Przecież Andy Fallon popełnił samobójstwo.

- Tak - przyznała Liska. - Próbuję tylko zrozumieć, dlaczego. Dziękuję, że zechciałeś mi poświęcić chwilę.

To duża sztuka przyprowadzeniu przesłuchania: skończyć w odpowiednim momencie. Rozłączyła się i zaczęła zastanawiać, czy ta rozmowa nie obróci się przeciwko niej, jeśli facet zadzwoni do Leonarda. Na samą myśl zebrało się jej na mdłości. A może to tlenek węgla - pomyślała tylko półzartem. Czowała zawroty głowy.

Wyłączyła silnik i wysiadła. Zaczerpnęła głęboki haust mroźnego powietrza.

- Hej, Liska!

Głos przeszył ją niczym ostrze. Odwróciła się na pięcie i zobaczyła Rubela stojącego kilka metrów dalej. Nie słyszała windy ani kroków na schodach. Po prostu nagle się zmaterializował.

- Próbowałem złapać cię w biurze - powiedział. - Ale już wyszłaś.

- Chyba już dawno po służbie?

Zbliżył się do niej, wielki jak góra. Nawet bez ciemnych okularów z lustrzanymi szklami nie można było z jego twarzy nic wyczytać.

- Odwalałem papierkową robotę.

- A jak mnie znalazłeś?

Machnął ręką w stronę czarnego forda eksplorera, kilka aut dalej, w sąsiednim rzędzie.

- Zbieg okoliczności.

Aha, już w to wierzę - pomyślała. Przy tylu miejscach na parkingu i tylu piętrowych parkingach w śródmieściu Minneapolis...

- Świat jest mały - powiedział po prostu. Oparła się o samochód, czując, że kolana ma jak z waty. Wsunęła ręce do kieszeni, zacisnęła palce na rękojści składanej pałki.

- O czym to chciałaś ze mną rozmawiać? - zapytał. Stanął przy niej blisko. Za blisko, by czuła się z tym dobrze; i pewnie o tym wiedział.

- Twój koleś, B.O., ci nie powiedział? Nie gadaj.

Rubel milczał.

- Wiedziałeś, że SW interesuje się Ogdenem za kombinacje z dowodami w śledztwie po zabójstwie Curtisa...

- Było, minęło.

- Ale to wam nie przeszkodziło udać się do domu funkcjonariusza śledczego, kiedy usłyszeliście komunikat o znalezieniu zwłok? Kto wpadł na ten genialny pomysł?

- Usłyszeliśmy wezwanie przez radio. Byliśmy w pobliżu.

- Przyciągasz zbiegi okoliczności jak magnes.

- Skąd mieliśmy wiedzieć, że te zwłoki to Fallon?

- Ale jak już tam dotarliście, to się dowiedzieliście. Trzeba było wyciągnąć stamtąd Ogdena jak najszybciej. Zdaje się, że masz zwyczaj ratować mu tyłek. Czemu tego nie zrobiłeś w domu Fallona?

Rubel gapił się na nią dłuższy czas. Liska czuła w głowie łupanie w rytm tętna. Mdłości wzbierały.

- Skoro podejrzewasz nas o jakieś machinacje, to czemu nie pójdziesz z tym od razu do SW?

- Chciałbyś?

- Nie pójdziesz, bo sprawa jest zakończona. Fallon odebrał sobie życie.

- To nie znaczy, że sprawa jest zakończona. I nie znaczy, że nie pójde do waszego przełożonego...

- Proszę bardzo.

- Od dawna jeździsz w zespole z Ogdenem? - zapytała.

- Trzy miesiące.

- A z kim jeździł przedtem?

- Z Larrym Porterem. Odszedł z naszego oddziału. Przeniósł się do Plymouth. Możesz się wszystkiego dowiedzieć od naszego przełożonego. Jeśli chciałabyś z nim pogadać.

W jego głosie zabrzmiał ton wyższości; zdawał sobie sprawę, że ona nie zwróci się do jego zwierzchnika, bo się obawia, że wiadomość o tym doszłaby do Leonarda.

- Wiesz, chciałabym, żebyś rozumiał, Rubel - powiedziała poirytowana. - Nie trzeba nam konfliktów z mundurowymi. Jesteście nam niezbędni. Ale nie wolno wam psuć nam roboty. Od tego, czy miejsce przestępstwa zostało odpowiednio zabezpieczone, zależy, czy oskarżenie ocaleje w sądzie. A gdyby się okazało, że ktoś jednak Fallona zamordował? Adwokat zrobiłby nas na szaro, gdyby się dowiedział, że właśnie Ogden, nikt inny, znalazł się na miejscu.

- W porządku, rozumiem - powiedział Rubel beznamiętnie. - To się więcej nie powtórzy.

Ruszył do swojego samochodu.

- Ten twój partner to bomba zegarowa, Rubel! - zawołała za nim Liska. - Jeśli rzeczywiście ma takie problemy, jak mi się wydaje, to lepiej dla ciebie, gdy się szybko od niego uwolnisz.

Rubel obejrzał się przez ramię.

- Wiem wszystko, co mi trzeba wiedzieć. - Popatrzył na jej samochód. - Lepiej każ wstawić tę szybę. Można za to dostać mandat.

Liska patrzyła za nim, jak wsiada do wozu. Poczula na rękach gęsią skórę i mrowienie na karku. Zadudnił silnik eksplorera, z rury wydechowej wydobył się kłęb spalin. Rubel wyprowadził wóz na wstecznym i wyjechał z garażu. Liska znów została sama.

Właściwie nie wiedziała, który z nich jest gorszy: Ogden, wybuchowy i napompowany sterydami, czy Rubel z tym swoim niesamowitym spokojem. Co za para!

Odetchnęła głębiej po raz pierwszy od chwili, kiedy przestraszył ją Rubel. Odeszła od wozu, chcąc się trochę przespacerować w nadziei, że minie jej to dziwne osłabienie, od którego drętwiały jej mięśnie rąk i nóg. Patrzyła na swoje okno z torby na śmieci i zastanawiała się, czy już popada w paranoję, skoro wydawało się jej, że Rubel znaczącym tonem namawiał ją do wstawienia szyby. Przecież on by nie musiał włamywać się do samochodu, żeby zdobyć jej adres. Jako policjant, miał setki lepszych sposobów uzyskania tej informacji.

Ale może ktoś wybił szybę z zupełnie innej przyczyny. Ze złości. Chcąc ją przestraszyć. Żeby z powodu jakichś przyszłych ataków na nią rzucić podejrzenie na kogoś takiego jak ten stary pijaczyna, który chciał się tu do niej dostać. Ani jedna z tych możliwości nie wydawała się prawdopodobna.

Nagle zauważyła, że coś zwisa z tyłu samochodu. Pewnie bryła brudnego śniegu - pomyślała. Jeszcze jeden powód, by nie znosić zimy: pod błotnikami gromadziły się zwały brudnego śniegu, które zamarzały na kamień, jeśli się ich od razu nie usuwało.

Podeszła, żeby kopniakiem pozbyć się balastu, i zmartwiała. To coś nie było bryłą śniegu. To coś zwisało z rury wydechowej.

Mdłości wezbrały falą, gdy się nachyliła. Ból w skroniach wzmógł się. Kręciło jej się w głowie; kucając, musiała się podeprzeć o bagażnik.

Do rury wydechowej ktoś wetknął usmoloną białą szmatę.

Oblał ją zimny pot.

Z niewiadomego powodu ktoś właśnie próbował ją zabić.

Komórka w kieszeni zaczęła piszczeć. Trzęsąc się, Liska wstała i oparta o samochód wyciągnęła słuchawkę z kieszeni.

- Liska, wydział zabójstw.

- Pani sierżant, musimy się spotkać.

Znała ten głos. Teraz już wiedziała, jakie nazwisko do niego dopasować: Ken Ibsen.

- Gdzie i kiedy?

- Cześć, Ruda, mam parę pytań na temat praktyk autoerotycznych połączonych z duszeniem się.

Kate Conlan na widok Kovaca otworzyła szeroko oczy. Wygląda lepiej niż Rene Russo - pomyślał. Odgarnęła kosmyk włosów za ucho. Kpiący uśmiezek podniósł do góry kącik jej zmysłowych warg.

- Jak to miło, że zwróciłeś się z tym do mnie, Sam. Wchodź - cofnęła się od drzwi. - Właśnie rozmawialiśmy z Johnem, że można by się pobawić w coś perwersyjnego.

- Ach, to przepraszam.

- Skoro już jesteś, pozwól, że zabiorę płaszcz.

Wszedł do przedsiionka i wytarł starannie buty w wycieraczkę.

- Dom wygląda wspaniale.

- Dziękuję. Podoba mi się to podmiejskie życie. Przyjemnie mieć trochę przestrzeni - mówiła Kate. - A dodatkowa korzyść jest taka, że tutaj nikt nie próbował mnie zamordować ani nie zmarł gwałtowną śmiercią na parterze.

Rzuciła te słowa beztrąsko, jakby mówiła na przykład o mrówkach faraona. „Ach, ci uciążliwi seryjni mordercy”. Tak naprawdę, to będąc zawodowo obrońcą interesów ofiar, sama o włos uniknęła losu ofiary. Kovac był wtedy razem z Johnem Quinnem na miejscu przestępstwa. Kovacowi po tej sprawie nie zostało nic prócz dymu z papierosów; Quinnowi została dziewczyna.

„Oto historia mojego życia”.

- Widzę, że niczym się nie przejmujesz, Ruda.

- Zapraszam do środka, do naszego sanktuarium. - Poprowadziła go przez obszerny hali, po błyszczącym parkiecie przykrytym wschodnimi czerwonymi chodnikami. Na stoliku siedział tu ogromny, kosmaty kot. Kovac wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać.

- Cześć, Thor.



Kot wydał dźwięk niczym piszcząca zabawka, zeskoczył na podłogę i ruszył przed nimi z puszystym ogonem uniesionym pionowo do góry.

Weszli do gabinetu; była tu podłoga z sosnowych desek w naturalnym kolorze i ciemnozielone ściany. Przy szerokich szklanych drzwiach do ogrodu stała choinka. W kominku z piaskowca trzaskał ogień. Na macie przed kominkiem spał smacznie żółty szczeniak labrador. Kot przyglądał się psu z mieszaniną podejrzliwości i odrazy.

W pokoju stały dwa biurka zestawione ze sobą. Na każdym mieściło się pełne wyposażenie: komputer, faks i rozmaite biurowe utensylia. Przy jednym z biurk siedział John Quinn i wpatrywał się w monitor.

- Zobacz, kogo tu do nas przyniosło! - zawołała Kate.

Quinn uśmiechnął się, zdjął okulary.

- Sam, jak to miło, że wpadłeś.

- Nie ciesz się tak - powiedziała Kate. - On chce z nami rozmawiać o swoim życiu seksualnym. Uwielbia autoerotyczne przygody.

Kovac się zarumienił.

- Nie jest jeszcze ze mną tak źle.

Quinn podszedł się przywitać. Był mocno zbudowany, wysportowany i wyglądał młodziej niż rok wcześniej. Miał jakąś taką swobodę obejścia, której mu wtedy brakowało, a z oczu zniknął wyraz nieokreślonego smutku. Oto jak człowiekowi służy miłość i szczęście.

Po zakończeniu sprawy Krematora Quinn porzucił służbę w FBI, gdzie był jednym z czołowych speców od modelowania psychicznego przestępców. Miał już dość: zbyt wiele spraw, zbyt wiele śmierci, zbyt wielki stres. FBI znane jest z tego, że swoje najlepsze konie zajezdza na śmierć; z Quinnem byli na dobrej drodze - przy jego ochoczym udziale. Gdy jednak Kate o włos uniknęła śmierci z rąk mordercy, Quinn usłyszał dzwonek alarmowy. Zamienił FBI na własną firmę konsultingową i szkoleniową - i na życie z Kate. Dobry interes.

- Siadaj, rozgość się - wskazał gestem dwie rozłożyste kanapy przed kominkiem. - Nad czym teraz pracujesz, Sam?

- Z pozorów samobójstwo, oficjalnie wypadek, a kto wie, co naprawdę.

- Ten gość ze Służby Wewnętrznej? - spytała Kate, wręczając Kovacowi szklaneczkę szkockiej. Usiadła na kanapie stanowczo zbyt blisko Quinna, a stopy w pończochach położyła na niskim stoliku.

- Właśnie.

- Wisiał, gdy go znaleziono, prawda? - spytał Quinn. - Był nagi?

- Tak.

- Czy stwierdzono masturbację?

- Nie.

- Jakież rekwizyty, przebranie, więzy?

- Nie. Ale było tam duże lustro, mógł widzieć w nim całą swoją sylwetkę - opowiadał Kovac. - Na lustrze ktoś mazakiem napisał „przepraszam”.

Quinn zamyślił się.

- Czy włożył sobie w pętlę jakąś ochronę szyi, poduszkę czy coś w tym rodzaju? - spytała Kate. Ona również pracowała kiedyś w FBI, w dziale psychologii. To było w poprzednim życiu, jak mawiała.

- Nie.

Kate zamyśliła się. Quinn wstał z kanapy i podszedł do biblioteczki stojącej obok jego biurka.

- Większość tych, którzy oddają się praktykom tego rodzaju, a zwłaszcza bardziej doświadczeni podkładają coś pod linę, bo nie chcą mieć śladów na szyi - wyjaśniła Kate. - Jak by się wytłumaczyli w pracy czy przed rodziną i tak dalej?

Kovac sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Mam trochę zdjęć.

Położył je na niskim stoliku przed kominkiem. Kate przejrzała je bez mrugnięcia okiem, pociągając od czasu do czasu ze szklaneczki dzinu z tonikiem.

- Czy znaleźliście u niego jakieś filmy o treści seksualnej? - zapytał Quinn, wracając z paroma książkami i kasetą wideo.

- *Holiday Inn* - powiedział Kovac. - Być może ktoś mógłby twierdzić, że to film podszyty erotyzmem, ale to bzdura.

- To znaczy, że sprawa jest bardziej zagadkowa, niż sądziłem. - Quinn podszedł do telewizora, włączył aparaturę, włożył kasetę do odtwarzacza.

- Nie było żadnej pornografii, ani gejowskiej, ani hetero, nic takiego. Ofiara była gejem, jeśli to ma znaczenie.

- Raczej nie. Nie znam danych, które by wskazywały, że ten typ zachowań jest częstszy u homoseksualistów - tłumaczył Quinn. - A o kasety pytałem dlatego, że część z tych, którzy oddają się tego rodzaju praktykom, lubi się filmować w trakcie akcji, żeby później czerpać przyjemność z oglądania.

Wrócił na kanapę, usadowił się koło Kate i uruchomił pilotem odtwarzacz. Kovac pochylił się do przodu, wsparł dłonie na udach i intensywnie wpatrzył się w ekran - głównie po to, żeby nie patrzeć na dłoń Kate, spoczywającą poufale na brzuchu męża.

Widowisko, które obejrzeni, było obrzydliwe, smutne i żalosalne. Domowe nagranie człowieka, który sfilmował swoją przypadkową śmierć. Nalany łysiejący facet, o nadmiernym owłosieniu ciała, ubrany w czarną skórzaną uprząż, używaną przez perwersyjnych sadomasochistów. Starannie przygotował scenę, skrupulatnie sprawdził skomplikowany takielunek połączony z główną linią z pętlą; wszystko to znajdowało się w jakimś garażu czy szopie. Sporządził tło z udrapowanych prześcieradeł, w strategicznych miejscach postawił damskie manekiny w perwersyjnych strojach. Filmował je szczegółowo trzy minuty. W tle słychać było balladę rockową *Dziś cię pragnę*.

Kiedy już scenografia była gotowa, mężczyzna podszedł do dużego lustro i odegrał krótkie przedstawienie, łącznie z dialogiem. Skazał sam siebie na karę, nałożył na głowę obcisłą skórzaną maskę, wokół szyi owinął kilka razy czarną jedwabną chustkę. Potem tanecznym krokiem udał się ku swojej prowizorycznej szubienicy, po drodze pieścąc się i zwracając do manekinów. Wszedł na taboret i założył sobie pętlę na szyję. Zaczął się bawić nabrzmałym członkiem, zsunął ze stołka jedną stopę, potem drugą.

Czubkami palców muskał podłogę, długo tej pozycji nie mógł utrzymać. Pętla się zacisnęła. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, że znalazł się w biedzie. Dalej odgrywał swoje fantazje. Potem zaczął tracić równowagę. Wyciągnął do tyłu jedną stopę, żeby wrócić na taboret. Stołek przewrócił się do tyłu, a pętla zacisnęła mocniej, gdy próbował go przyciągnąć stopą. Puścił członek, wyciągnął rękę po linę bezpieczeństwa, ale ponieważ przechylił się do tyłu, próbując chwycić stołek, nie mógł teraz dosięgnąć liny.

I nagle było już za późno na wszystko. Moment. Sekundy, a jego taniec stał się horrorem.

- Widzisz, jak szybko to się dzieje? - powiedział Quinn. - Parę sekund za długo, drobny błąd, i po wszystkim.

- Jezu - mruknął Kovac. - Tylko nie oddaj tej kasety omyłkowo do wypożyczalni.

Kovac wiedział, że kasetka pochodzi z prywatnej taśmoteki Quinna. Jego specjalnością były zabójstwa na tle seksualnym.

Siedzieli i patrzyli na śmierć człowieka, tak samo, jak inni oglądaliby zdjęcia sąsiada z wakacji. Kiedy mężczyzna przestał wierzgać nogami, a jego ręce uniosły się i opadły po raz ostatni, Quinn wyłączył odtwarzacz. Od początku do końca cała scena trwała niespełna cztery minuty.

- Nie zawsze robią to tak ceremonialnie - tłumaczył Quinn. - Ale nierzadko. Prawdę mówiąc, to w ogóle jest rzadkie. Według bardzo przybliżonych szacunków zdarza się w tym kraju rocznie około tysiąca potwierdzonych przypadków śmierci wskutek tego rodzaju praktyk erotycznych; pewnie dwa czy trzy razy tyle umyka statystyce, bo zostaje uznanych za samobójstwo czy coś innego.

- Ale to dotyczy ludzi, którym coś się nie udało - włączyła się Kate. - Ilu mężczyzn oddaje się tej perwersji, nie mamy pojęcia. Czy ktoś z rodziny albo przyjaciół sugerował, że ten Fallon ma takie skłonności?

- Jego brat opowiadał, że w dzieciństwie bawili się w wieszanie. Wiesz, kowboje i koniokrady. Bez żadnych seksualnych podtekstów. Ale co o tym sądzisz? Widziałeś, żeby w czymś takim brali udział razem członkowie rodziny?

- Widziałem niejedno, Sam - odparł Quinn. - Tego akurat nie widziałem, ale to o niczym nie świadczy. Nigdy nie mów: nigdy; jedno jest pewne, kiedy człowiek myśli, że nic już go nie zaszokuje, trafia się coś gorszego, niż można sobie wyobrazić. A co sądzisz o tym bracie?

- Typ prostaka. Nie pasuje mi do perwersji seksualnych, ale mogę się mylić. Między nimi nagromadziło się wiele żalów i uraz.

- A co z przyjaciółmi?

- Najbliższy przyjaciel twierdzi, że Fallon nie miał takich skłonności, ale ten człowiek coś ukrywa.

- Najbliższy przyjaciel. Myślisz, że kochanek?

- Twierdzi, że nie jest homoseksualistą. Ma narzeczoną. Ofiara była gejem. Niedawno ujawnił się z tym przed rodziną.

- Podejrzewasz, że ten przyjaciel był jednak partnerem.

- Myślę, że to możliwe. To mogłoby tłumaczyć słowo „przepraszam” na lustrze. Sprawy wymknęły się spod kontroli, zdarzył się wypadek, przyjaciel spanikował...

Kate pokręciła głową, przyglądając się fotografiom.

- To mi nie wygląda na grę. Miałby jakąś ochronę na szyję, jakieś zabezpieczenia. Raczej jednak samobójstwo.

- To po co lustro? - zakwestionował Quinn.

- Żeby się upokorzyć.

Dyskutowali coraz to nowe szczegóły. Kovac przeglądał książki przyniesione przez Quinna: *Podręcznik diagnostyczno-statystyczny zaburzeń psychicznych*, *Zaburzenia psychiczne a życie współczesne*. *Podręcznik seksuologii sądowej*. *Wypadki przy praktykach autoerotycznych*. Rozrywkowa lektura. Oglądał ilustracje z rozdziału „Rodzaje śmierci”, wszystkie pokazywały pechowców zmarłych wśród skomplikowanych olinowań, węży od odkurzaczy, plastikowych toreb - wynalazków, które miały przynieść lepsze, mocniejsze orgazmy. Przedstawiciele marginesu ludzkiej puli genetycznej. Ludzie otoczeni perwersyjnymi seksgadżetami i ohydą pornografią. Ludzie mieszkający w suterrenach bez okien. Nieudacznicy.

- Fallon nie bardzo pasuje do tego towarzystwa - zauważył Kovac.

- Rockefellerów i Kennedych nie zobaczysz na takich zdjęciach - odparła Kate. - Ale to nie znaczy, by nie zdarzały się wśród nich dewiacje takie same albo jeszcze gorsze. To tylko znaczy, że są bogaci.

Quinn się z nią zgodził.

- Badania pokazują, że tego rodzaju zachowania trafiają się we wszystkich grupach społecznych i ekonomicznych. Ale trochę racji masz. Uderza mnie, że ta scena jest taka

schludna, czysta. I brak jakichkolwiek seksualnych gadżetów... To rzeczywiście nie pasuje. Masz jakieś powody, by wątpić w samobójstwo?

- Za dużo motywów i za dużo podejrzanych.

- Zabójstwo przez powieszenie zdarza się rzadko. I bardzo trudno je przeprowadzić, nie zostawiając śladów. Były jakieś obrażenia, na przykład na rękach?

- Nie.

- Na głowie?

- Też nie. Nie mam jeszcze pełnego raportu z sekcji, ale lekarz, który go kroił, o niczym takim nie wspominał. Badania toksykologiczne też nic nie wykazały. Trochę się napił i wziął parę tabletek nasennych; bez przedawkowania.

- To tym bardziej wygląda na samobójstwo.

- To środek na receptę, a w mieszkaniu nie znalazłem ani recepty na ten środek nasenny, ani opakowania. Jego lekarz mu tego nie przepisywał, nie kupował tego w tej aptece, w której się zwykle zaopatruje.

- Chodził do psychiatrii?

- Lekka depresja. Miał w apteczce słoiczek zolofu. Dziś rozmawiałem z jego lekarzem.

- Uważał go za kandydata do samobójstwa? - zapytała Kate.

- Nie. Ale nie był wyjątkowo zaskoczony.

- No to masz prawdziwą zagadkę kryminalną.

- Niestety. I na dodatek nikomu nie zależy na jej rozwiązaniu. Śledztwo zakończono. Narażam swój tyłek w imieniu ofiary, którą wszyscy chcą jak najszybciej pogrzebać. Już byłby w ziemi, gdyby nie ten cholerny mróz. - Zebrał zdjęcia, schował z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki, uśmiechnął się smętnie do siedzącej naprzeciwko pary. - Ale nie mam co robić z czasem. Nie mam życia osobistego ani nic, co by je choć w przybliżeniu przypominało.

- To sobie znajdź. Polecam. - Quinn puścił oko do Kate, która odwzajemniła mu się ciepłym, pełnym miłości uśmiechem.

Kovac wstał.

- No, dobrze. Uciekam, zanim zacznę się głupio czuć.
- To nam głupio, Sam - powiedziała Kate, wstając.
- Tak czy owak, idę.

Odprawdzili go oboje. W oczach został mu obraz pary odwracającej się tyłem i wracającej w objęciach do wnętrza swojego ślicznego domu. Cholera, ale to boli - pomyślał, uruchamiając samochód.

Niechętnie się do tego przyznawał, wolał się okłamywać, ale prawda była następująca: podkochiwał się w Kate Conlan kiedyś przez prawie pięć lat i nigdy nic nie zrobił w tym kierunku, by dać jej o tym znać. Nawet nie spróbował. Bo jak się nie ryzykuje, nie można przegrać. Czy taka kobieta mogła zobaczyć coś w mężczyźnie takim jak on?

Teraz już się nie dowie. Świadomość tej prawdy wywoływała w nim poczucie pustki głęboko w sercu. Nie było od tej pustki ucieczki, czaiła się w ciemności. Poczul się tragicznie samotny.

Niespodziewanie pojawiła się mu przed wewnętrznym okiem twarz Amandy Savard. Piękna, smutna, znękana czymś nieodgadnionym. Chciał sobie wmówić, że jest ona tylko częścią zagadki, którą chce rozwikłać. Dziś jednak był szczery sam ze sobą. Prawda była nieubłagana i widoczna jak na dłoni. Pragnął tej kobiety.

Tu, za miastem, noc ciaśniej otulała ziemię. Dom Kate i Quinna formalnie znajdował się jeszcze w Plymouth, lecz wyglądało tu jak na wsi, nawet nie jak na przedmieściu. Dojeżdżało się pustą, boczną drogą. Niewielkie jezioro dochodziło prawie do ich ogrodu. Mało światła, żadnego ruchu. Kovac siedział w samochodzie stojącym na poboczu i nic mu nie przeszkadzało przyglądać się uważnie własnym uczuciom.

Może lepiej mieć sąsiada, który iluminuje swoje podwórko i czyni z niego imitację taniego hotelu z Las Vegas.

Ken Ibsen nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś go obserwuje. Przyzwyczyił się już do tego wrażenia. Odkąd zaczęła się ta cała afera, wciąż mu się wydawało, że tkwi nad nim jakieś ogromne, złowrogie oko i śledzi jego każdy krok. A przecież niczym nie zawinił - i to było najgorsze. Zrobił, co mógł, żeby zasłużyć na miano praworządnego obywatela i dobrego przyjaciela - a w zamian dostał wydziwianie i szykany. Eric nie żył. Za jego zabicie posadzili nie tego człowieka, co trzeba, ale nikogo to nie obchodziło, łącznie ze skazanym. Świat oszalał z kretesem.

Jeden jedyny Andy Fallon chciał dotrzeć do prawdy o tym, co się zdarzyło z Erikiem, a teraz i Fallon nie żyje. Ken ma szczęście, że jeszcze żyje. Może i nie tak źle, że ludzie uważają go za maniaka spiskowej teorii.

Sierżant Liska wyglądała jednak na autentycznie zainteresowaną tym, co naprawdę się stało.

Więc dlaczego, do cholery, jeszcze jej nie ma?

Umówili się na wpół do jedenastej w kawiarni. Po jego pierwszym występie. Musi wracać na scenę o wpół do dwunastej. Zerknął na damski zegarek, który miał pod białą rękawiczką, i westchnął, wypuszczając delikatne pasmo papierosowego dymu. Za pięć jedenasta. Droga z powrotem do klubu na wysokich obcasach zajmie mu bite pięć minut na tym mrozie, a będzie jeszcze musiał umalować usta.

Żałował, że nie umówił się z nią za kulisami, bał się jednak, że ktoś mógłby ich tam podsłuchać. A na parkingu klubu „Boys Will Be Girls”, ulubionym miejscu potajemnych schadzek, za wiele się działo, nawet przy takim mrozie. Nie miał ochoty na to, żeby Liska zobaczyła, jak facetowi w sąsiednim samochodzie ktoś obciąga laskę, podczas gdy Ken starałby się jej wytłumaczyć, że policja Minneapolis to zorganizowana nienawiść wobec gejów. Przede wszystkim wiarygodność. I tak źle, że się z nią spotka w kostiumie scenicznym.

Miał nadzieję, że nie będzie patrzyła tylko na makijaż i strój. Niestety, ludzie tacy są: oceniają po pozorach, a na dodatek wszystko podciągają pod stereotypy. Klienci tej



kawiarni, widząc go przebranego za kobietę, uznaliby go za transwestytę lub transseksualistę, bo oba terminy ludziom się mylą. On zaś nie jest ani jednym, ani drugim. Ludziom wydaje się, że wiedzieliby, jak się lubi ubierać, jak się porusza, jak mówi, co lubi. Niektóre z tych wyobrażeń byłyby prawdziwe, większość - nie.

Jest po prostu zwykłym gejem, ma wyjątkowy głos i talent imitatorski. Jest poważnym aktorem, który wykonuje dziwaczną pracę, bo jest dobrze płatna. Lubi pograć w bilard i nosić džinsy. Ma psa, którego nigdy nie ubiera w kubraczek. Woli porządnego stęka niż sałatkę i nie znosi Bette Midler.

Nie pasuje do stereotypu. Jak większość.

Popijał kawę, założył nogę na nogę i spojrzał ostro na starszego mężczyznę, który obserwował go z drugiego końca salki. Dla wygłupu wydał wargi i posłał staremu przykowi całusa.

Nie czuł się wystawiony na pośmiewisko w przebraniu Marilyn Monroe; przeciwnie, w platynowej peruce i grubym scenicznym makijażu czuł się bezpiecznie, jakby osłonięty. Do kawiarni wszedł tylnym wejściem i zajął stolik w kącie w głębi sali, żeby nie zwracać uwagi nielicznych zresztą klientów. Było za zimno, by komukolwiek chciało się wychodzić z domu wieczorem, a dzień był powszedni. To pasowało do planu Kena: spotkanie w miejscu publicznym, ale bez publiczności.

Tylko gdzie ta Liska?

Popijając kawę, patrzył na drzwi wejściowe.

Liska klęła półgłosem, stając na kolejnym czerwonym świetle. Była spóźniona. Była rozdrażniona. Była wściekła. Właśnie dziś, nie kiedy indziej, lecz dziś, nie udało jej się znaleźć opiekunki do dzieci, która mogłaby posiedzieć dłużej. Półtorej godziny spędziła, wydzwanając wszędzie, gdzie tylko mogła. Kyle narzekał, że obiecała mu pomóc w matematyce, RJ. swoje niezadowolenie wyładowywał, najpierw rozstawiając figurki swoich wojowników na stole, a potem zrzucając je na podłogę.

W końcu zadzwoniła do Speeda. Niechętnie. Nie znosząc tego, co robi. Nie ma nic gorszego niż przyznanie się, że w czymkolwiek jest od niego zależna. Zwłaszcza jeśli chodziło o chłopców. Powinna być samodzielna, musi być samodzielna, jest samodzielna.

A tu okazuje się, że się nie nadaje, nie radzi sobie; jest złą matką. Do bezgranicznej rozpaczki doprowadzała ją świadomość, że gdyby Speed znalazł się w takiej sytuacji, zwróciłby się do niej bez mrugnięcia okiem. Nawet by sobie nie zadał trudu, żeby wydzwaniać do opiekunek, i wcale nie wydawałoby mu się, że się do niczego nie nadaje.

W gardle narastała jej wielka bania emocji, a łzy piekły pod powiekami. Złapała Speeda przez telefon komórkowy w siłowni; marudził, że mu przerywa trening. Liska podejrzewała, że nie skrócił go ani o minutę i nie zrezygnował z prysznic. Czekala i czekała, i nie mogła się za żadną cholere doczekać. Palant! A teraz jest spóźniona.

Światła się zmieniły, wcisnęła gaz, wyprzedziła cadillaca, zajęchała mu drogę, skręciła w prawo w przecznice. Nie miała pojęcia, czy Ibsen będzie czekał. Artysta dramatyczny, niech go licho, kapryśny, odgrywa wielkiego informatora, nie chciał gadać przez telefon, nalegał na rozmowę w cztery oczy. Chciała wierzyć, że ma coś naprawdę ważnego do powiedzenia. Ale w nastroju, w jakim była w tej chwili, sądziła raczej, że racja okaże się po stronie Dungena. Zafundowała sobie koszmarny wieczór i ryzykuje całą karierę zawodową, żeby dać zrobić z siebie kompletną idiotkę.

Mimo całego cynizmu, jaki ją ogarnął, Liska wciąż była przekonana, że jest bliska raczej wsadzenia kija w mrowisko niż znalezienia się w ślepej uliczce i że Ken Ibsen - pomylenie czy nie - jej w tym pomoże. Niech tylko poczeka jeszcze pięć minut, to się okaże, jaka jest jego rola w tym całym dramacie.

Liska już nie przyjedzie. Powtarzał to sobie co dwie minuty, prawie od kwadransa. Skracał sobie czas bazgraniną na serwetce; rysował karykaturę siebie samego w kostiumie, pisał byle co.

Może mu nie uwierzyła? Może porozmawiała z tą żmiją, Davidem Dungenem, i on już wsaczył swój jad w jej umysł. Dungen - zdrajca. Dungen - marionetka dowództwa. Zależy mu tylko na ciepłej posadce. Mąż zaufania. Też coś. Policji Minneapolis wcale nie zależy na swoich funkcjonariuszach gejach.

Ken nie wiedział o tym z pierwszej ręki, ale i tak był pewien. Eric robił na ten temat aluzje. Stanowisko męża zaufania powołano tylko po to, by ludziom zamydlić oczy, że coś się robi dla obrony praw gejów. Dlatego właśnie nikt naprawdę nie przejął się tymi pogrozkami, które dostawał Eric. Dlatego właśnie w policji może kwitnąć atmosfera

nienawiści, która doprowadziła do śmierci Erica. Dlatego właśnie - Ken napisał te słowa na serwetce i podkreślił - policja Minneapolis jest odpowiedzialna za błędny wyrok i skazanie figuranta.

Sąd nie zechce uznać go za uprawnionego do wniesienia oskarżenia prywatnego. Nie był krewnym Erica Curtisa. Nie byli małżeństwem. Prawo nie zezwala - wbrew konstytucji, jego zdaniem - na małżeństwa osób tej samej płci. Sąd go nie wysłucha.

Dlaczego miłość dwóch osób tej samej płci budzi tyle agresji? Właściwie trudno powiedzieć, czy to, co ich łączyło z Erikiem, to była miłość. Byli przyjaciółmi. Znajomymi. Ale kto wie, jak to się mogło rozwinąć.

Dzwonek w drzwiach brzęknął, Ken z nadzieją podniósł wzrok znad swojej bazgraniny, ale się zawiódł. Najnowszym gościem był niechlujny facet w starym wojskowym drelichu.

Ona już nie przyjedzie.

Osiemnaście po jedenastej.

Zgasił papierosa, wcisnął serwetkę do kieszeni długiego płaszcza ze sztucznego lamparciego futra i wyszedł tylnym wyjściem.

Nie lubił chodzić tymi zaułkami na tyłach. Tym labiryntem uliczek poruszali się głównie pijacy, narkomani i bezdomni, którzy woleli schodzić z oczu policji. Prawdę mówiąc, i on dlatego tędy chodził. Nieraz zaczepiały go patroli, kiedy szedł w przebraniu. Brali go za męską prostytutkę. Idioci! Tak jakby każdy mężczyzna w blond peruce musiał być dziwką. No, a poza tym policjanci z patroli ulicznych mogli już wiedzieć o jego akcji na rzecz wyjaśnienia tajemnicy śmierci Erica.

W tym zaułku było okropnie ciemno i nieprzyjemnie. Budynki tworzyły betonowy kanion. Ciemności rozjaśniały tylko mdłe światła żarówek nad tylnymi drzwiami podejrzanych lokali, których tu była obfitość. Jakaś kreatura mogła się kryć za każdą skrzynią, każdym kontenerem na śmieci.

Jakby myślami wywołał wilka z lasu: koło pojemnika, dziesięć metrów dalej, wynurzyła się jakaś sylwetka. Rozżarzony koniec papierosa zaświecił na czerwono niczym oko Złego.

Ken zgubił rytm kroków i pośliznął się w zamrożonej koleinie; musiał się przytrzymać ściany budynku. Przeklął, bo poczuł, że odlepił mu się tips od paznokcia. Cały numer będzie musiał występować w rękawiczkach. Nie będzie czasu na przyklejenie. Niech szlag trafi tę Liskę!

Postać w głębi zaułka ani drgnęła. Widmo stało przy tylnym wejściu do gabinetu tatuażu, tam gdzie klientów zarażają AIDS-em i żółtaczką od brudnych igieł.

Ken pogrzebał w kieszeni, aby wyciągnąć pojemnik z lżawiącym aerozolem. Szedł dalej, trzymając się jak najbliżej drugiej strony zaułka. Do klubu miał dwie przecznice.

Wstrzymywał oddech. Codziennie biegał dla utrzymania kondycji i lepiej niż większość kobiet radził sobie w szpilkach, lecz wolał nie próbować w nich sprintów.

Czuł na sobie wzrok widmowej postaci. Tylko czekał, kiedy jej oczy zaświecą jak u wilka.

Zrównał się z wejściem do gabinetu tatuażu, gotów rzucić się do ucieczki, ręka na pojemniku z aerozolem spocila mu się mimo mrozu. Serce waliło pod sztucznym biustem.

Boże, nie chciałby umrzeć przebrany za kobietę. Oczami wyobraźni już widział, jak się gliny wyśmiewają, podając sobie zdjęcia z miejsca zbrodni. Słyszał ich drwiny. Jeśli dzisiaj nie zginie, każe sobie wytatuować napis: „Nie jestem transwestytą”.

Widmo rzuciło papierosa, różowa iskra zatoczyła łuk, lecąc w jego stronę. Ken poderwał się. Za jego plecami rozległ się chrapliwy śmiech, gdy pośliznął się znowu. Prawa noga skręciła się w kostce; upadł niezgrabnie. Zabolało, jakby dostał młotkiem, i to w paru miejscach: oba kolana, łokieć, biodro, szczęka. Okrzyk, który mu się wyrwał, zabrzmiał rozpaczliwie i słabo, i zamarł wśród cegieł i betonu.

Pozbierał się na nogi; chwycił się kontenera, chcąc się dźwignąć, palce ześlizgiwały się, uderzył się o krawędź. Nylonowe rajstopy były w strzępach. Na gołej skórze czuł chłód i wilgoć. Spódnica się popruła.

Obejrzał się szybko. Widmowa postać ze śmiechem odwróciła się i schowała w gabinecie tatuażu. Palant!

Ken opierał się o kontener, oddychając ciężko, powietrze drapało w gardle jak suchy lód.

Przekłeta Liska. Pośle jej rachunek z pralni.

Utykając, ruszył dalej. Złamał mu się jeden obcas, chyba zwichnął sobie nogę w kostce. Dotknął ręką ust i brody; na białej rękawiczce zostały smugi krwi i brudu. Niech to szlag! Jeśli nie wystąpi, szef będzie wściekły. Dwie przecznice - teraz wydawało się znacznie dalej niż na początku wieczoru. Nie zdąży. A jeszcze uwzględniając konieczne naprawy, nie ma mowy, żeby wystąpił.

Dochodził do przecznicy. Nic nią nie jechało. Samotny ciemny wóz stał przy krawężniku. Widać było tylko bagażnik. Coś go tknęło dopiero na ułamek sekundy przedtem, nim wielki, ciemny cień człowieka przesłonił wyjście z zaułka. Kena oblał zimny pot i ogarnęło straszliwe przeczucie.

Dziś umrę.

Postać otworzyła klapę bagażnika, światło z wnętrza padło na twarz w kominiarce. Mężczyzna wyciągnął łyżkę do opon.

Ken Ibsen zatrzymał się, znieruchomiał, chwila wydała mu się jednocześnie rzeczywista i surrealistyczna. Odwrócił się powoli, chcąc uciec z powrotem, skąd przyszedł. Mniejsze zło. Nie było jednak odwrotu. Nie było mniejszego zła. Druga ciemna postać bez twarzy zagradzała drogę ucieczki. Potężna sylwetka, trzymająca coś w dłoni.

Czuł zło emanujące od obu postaci, które zbliżały się z obu stron. Rażony strachem niczym piorunem, wrzasnął i wyciągnął aerozol z kieszeni, usiłując nacisnąć przycisk. Napastnik z łyżką do opon uczynił jeden szybki ruch i ręka Kena opadła, złamana i bezużyteczna. Pojemniczek, grzechocząc, potoczył się po bruku jak śmieć.

Pomyślał: uciekać - a łom trafił go w kolano; kość trzasnęła niczym szkło. Pomyślał: wołać o pomoc - a poczuł uderzenie w szczękę; zęby posypały się jak groch. Pomyślał: nie chcę umrzeć przebrany za kobietę - a wszystko okryła czerń.

Liska postawiła saturna przy samym krawężniku, w miejscu gdzie nie wolno było parkować, niedaleko kawiarni, którą Ibsen wybrał na miejsce ich spotkania. Była mocno spóźniona; niech szlag trafi tego Speeda, że tak długo kazał na siebie czekać.

W lokalu było pustawo, nieliczni klienci siedzieli w grupkach dwu- , trzysobowych, odsuniętych od siebie jak najdalej, zatopieni w swoich konwersacjach.

Nikt nawet nie spojrzał na wchodzącą Liskę. Podeszła od razu do baru, gdzie jedyny widoczny w lokalu członek personelu siedział zaczytany w podręczniku grubym jak książka telefoniczna.

- Czego się pan tak uczy? - zapytała, wyciągając z torebki odznakę.

Barman popatrzył na nią zza okularów w modnej oprawce. Miał uduchowione ciemne oczy i subtelną twarz, jaką malarze zwykle obdarzają wizerunki Chrystusa.

- Mój ojciec wydaje mnóstwo pieniędzy, by posłać mnie do szkół, gdzie uczą, jak się robi doskonale cappuccino. - Zerknął na odznakę. - Czy chce mnie pani aresztować za udawanie studenta medycyny?

- Nie. Miałam się tu przed chwilą z kimś spotkać. Niewysoki, szczupły facet, świński blondyn.

Chłopak pokręcił głową.

- Nikogo takiego tu nie widziałem. Był tylko transwestyta przebrany za Marilyn Monroe. Wyglądał, jakby na kogoś czekał, ale wyszedł. Mam nadzieję, że nie przyszła pani na randkę w ciemno.

- Nie. Kiedy wyszła ta Marilyn?

- Z dziesięć minut temu, kwadrans. Przez tylne drzwi. Pracuje w klubie „Boys Will Be Girls”. Przychodzą tu do nas w przerwach między występami. Gdyby nie to, nie miałbym o nich pojęcia - zastrzegł się od razu.

~ Transwestyta - mruknęła do siebie Liska, odwracając się. - Coraz gorzej!

Jej wielki informator przyszedł przebrany za Marilyn Monroe. Kaznodzieje i bankierzy - upomniała samą siebie - rzadko kończą jako informatorzy policyjni. A jeśli nawet, to tylko wtedy, kiedy są w tajemnicy dewiantami albo złodziejami.

A jej matka zastanawia się, dlaczego wciąż nie ma chłopaka.

Weszła w korytarz, minęła toalety, podeszła do wyjścia na tyły. Student medycyny szedł za nią jak pies.

- Zna pani kogoś w kostnicy miejskiej? - zapytał. - Do tego doszło, że myślę raczej o patologii sądowolekarskiej. Pacjent nie wytoczył procesu o błąd w sztuce.

- Jasne, znam tam ludzi. To niezła robotka, jeśli wytrzymać smród.

Otworzyła drzwi i wyjrzała. Zaulek był ciemny, mokry i brudny. Do pełnego obrazu brakuje szczurów i obdartych sierot - pomyślała i nagle zauważyła ludzką hienę pochyloną nad czymś, co leżało z dziesięć metrów w głąb zaułka. Scenę oświetlała mdła żarówka nad tylnym wyjściem jakiegoś innego lokalu. Człowiek poderwał się i spojrzał na nią niczym ko- jot przyłapany na szperaniu w śmietniku, który chce uciec, ale żal mu łupu. Odsunął się na tyle, że blade światło padło na jego znalezisko; umysł Liski zaczął rejestrować szczegóły: damski pantofel, goła noga, błysk jasnych włosów.

- Hej, ty! - krzyknęła i rzuciła się naprzód, dobywając pistoletu i zgodnie z regułami sztuki kryjąc się za osłoną kontenera. - Policja! Odsunąć się od ciała! - Zwróciła się do studenta: - Dzwon pod dziewięćset jedenaście. Załaduj radiowozu policyjnego i karetki pogotowia. Powiedz, że był napad. Szybko.

Człowiek hiena rzucił się do ucieczki. Liska ruszyła pełną parą, wołając, trzymając broń w pozycji strzeleckiej, zastanawiając się, czy ścigany ma broń, czy odwróci się i jej użyje. Potknął się, zachwiał, stracił cenne sekundy, próbując odzyskać równowagę. Liska zadała cios w biegu, powaliła na ziemię, wbiła kolano w plecy, złapała za kołnierz i tłuste włosy lewą ręką, a lufę pistoletu, trzymanego w prawej, wycelowała w głowę.

- Jesteś aresztowany, skurwielu! Nie ruszać się!

- Nic nie zrobiłem!

Odór taniej whisky i kału wionął obrzydliwą chmurą. Człowiek próbował się podnieść, Liska rąbnęła go w potylicę ręką sauera.

- Powiedziałam, nie ruszać się!

- Ale ja nic nie zrobiłem!

- Gdybym dostawała dolara za każdego palanta, który mi tak mówi, to dziś miałabym willę z basenem i chłopca na posyłki imieniem Raoul.

- Zapytaj Beana! To były wasze ludzie! „Wasze ludzie”.

Obejrzała się na ofiarę. Nie widziała twarzy, nie mogła stwierdzić, czy oddycha. Skuła hienie ręce na plecach kajdankami.

- Leż tu! Nie wstawaj! Nie ruszaj się!

- Ale ja tego nie zrobiłem - wyjęczał.

- Jeszcze raz to powiesz, a cię zastrzelę, do cholery! Zamknij się!

Zaczął płakać, a ona zostawiła go i podeszła do leżącej postaci.

- Proszę pani, nic się pani nie stało? - zwróciła się do ofiary. Idiotyczne pytanie, które miało na celu tylko wywołanie reakcji. Jęku, stęknienia, czegoś, czegokolwiek.

Ukucnęła przy ciele i sięgnęła ręką pod jasnoblond włosy, chcąc znaleźć puls na szyi. Z początku myślała, że to, co widzi, to potylicica - krwawa masa wgniecionej kości bez rysów. Wtedy ofiara odetchnęła płytko i z drzeniem; potworny, mokry, emokający odgłos; Liska zobaczyła bąbelki krwi, wydobywające się z czegoś, co musiało być ustami.

- Jezu Chryste! - wyszeptała, odnajdując słaby, nitkowaty puls drżącymi palcami. Drugą ręką ostrożnie odgarnęła włosy. To była peruka, która zsunęła się bez trudu, odsłaniając jasne, krótko obcięte włosy, poplamione krwią płynącą z pęknięć czaszki. Ken Ibsen.

Leżał na ziemi jak wyrzucona szmaciana lalka; kończyny powyginane w najdziwniejszych kierunkach. W dłoni ścisnął kawałek papieru... serwetkę. Liska wysunęła ją z powykrecanych palców i podsunęła do nędznego światła. Bazgroły. Pewnie zajął się tym, czekając na nią. Przypadkowe słowa i rysunki. Jedno zdanie wpadło jej w oczy: błędna śmierć.

Podbiegł zdyszany student medycyny.

- Już jadą!

Jeszcze nie skończył, gdy w oddali rozległa się syrena.

- Przyniosłem latarkę - powiedział i skierował snop światła na twarz ofiary.

Latarka z łoskotem uderzyła o ziemię i potoczyła się. Student odwrócił się i zwymiotował. Chyba powinien pomyśleć o innym zawodzie.



Poczuła go, zanim jeszcze ujrzała. Świadomość tej obecności wezbrała w niej jak fala powodziowa, uderzyła w gardło, zagroziła przelaniem się na zewnątrz krzykiem. Strach napiął mięśnie jej pleców, utrudniał obrócenie się. Czowała się jak w kaftanie bezpieczeństwa.

Krył się w mroku salonu, księżycowa poświata wpadająca przez okna obrysowywała jego sylwetkę, lecz nie uwidaczniała rysów. Nie odzywał się. Nie ruszał, póki go obserwowała. Zastanawiała się, czy myśli sobie, że jeśli się nie rusza, to jest niewidzialny. Kiedy była dzieckiem, tak myślała: jeśli się nie poruszę, nie zobaczą mnie.

Teraz pomyślała na odwrót: może jeśli będzie udawać, że go nie widzi, on zniknie.

Odeszła, z trudem wstrzymując pośpiech. Poszła do pokoju stołowego. Nie słyszała za sobą jego kroków. Słyszałaby stukot butów na posadzce, gdyby za nią szedł. A jednak kiedy się obejrzała, był przy niej. Stał w mroku hallu i patrzył.

Wstrzymała oddech, póki nie poczuła się tak, jakby ją ktoś dusił. Nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że rzeczywiście ktoś ją dusi. Wielkie dłonie zacisnęły się na jej szyi, palce gniotły krtań. Chwyliła te dłonie i próbowała się wyrwać. Przyciągnął ją do siebie i próbował powalić na podłogę. Fala adrenaliny dodała jej sił: rozerwała jego uścisk, zaczerpnęła powietrza do płuc. Rzuciła się do ucieczki, oglądając się przez ramię, zobaczyła go wyraźnie: Andy Fallon, jego twarz sina i opuchnięta, oczy mętne, język wywalony z ust.

Nagle już nie spała. Zeskoczyła z kanapy, odzyskała pełną świadomość, gdy jej stopy uderzyły o podłogę. Straciła równowagę, uderzyła się o antyczny kufer, który służył jej za sto-lik-lawę. Sięgnęła paznokciami do szyi, podrapała się, szarpiąc zamek błyskawiczny golfu bluzy, którą miała na sobie. Miękka bawełniana bluza; włożyła ją, bo czowała się w niej bezpieczna, niczym w kokonie. Teraz była na wylot mokra od potu.

Zalała się łzami. Zdała sobie sprawę z tego, co się działo; pomyślała, ile już razy musiała przez to przejść; zwątpiła, czy kiedykolwiek te koszmary się skończą. Opadła na kolana, ukryła twarz w dłoniach; syknęła, gdy dotknęła otarć i siniaków.

Ma już dosyć. Fizycznie i psychicznie. Ma dość niedosypiania, ma dość stresu, koszmarów i poczucia winy. Boże, ma dość wszystkiego.

Przez moment pomyślała, że dobrze byłoby mieć kogoś, kto by ją podtrzymał w tej szarpaninie. Cóż za idiotyzm! Ma być sama, chce tego czy nie chce. Tak to już jest z losem: nie pyta o zdanie, nie zważa na to, czy chcesz czegoś, czy czegoś potrzebujesz. A zatem siedzi sama, w nocy, drżąc z wycieńczenia, oblana zimnym potem. Tłumiąc płacz, bo płakać nie ma sensu. Płacz to marnotrawstwo energii, a na marnotrawstwo jej nie stać; to jedna z niewielu użytecznych lekcji, jakich udzielił jej ojciec.

Zamknęła oczy i zaczęła ćwiczenia oddechowe, mające na celu ustabilizowanie rytmu serca i uspokojenie nerwów. Ni stąd, ni zowąd pojawiło się wspomnienie mocnej dłoni na jej ramieniu, tej siły, na której można polegać. Zobaczyła ciemne oczy Sama Kovaca, patrzące na jej odbicie w lustrze damskiej łazienki. Przypomniała sobie zatroskanie, które usłyszała w jego głosie. Pozwoliła sobie na sekundę popuścić wodze wyobraźni i poczuć, jak by to było, gdyby położyła mu głowę na piersi i pozwoliła się objąć. Kovac był opoką, filarem. Sprawiał wrażenie kogoś stabilnego, kogo nikt i nic nie jest zdolne wytrącić z równowagi. Skądże, nie potrzeba jej kogoś takiego, bynajmniej. Kovac byłby ostatni, kogo dopuściłaby do tajemnic swojego wnętrza, do okiełznania tych węży, które kłębią się w jej głowie. Jej przeznaczeniem jest walczyć z nimi samotnie. I da sobie radę. Daje sobie radę już od dawna. Tylko dziś... dziś jest tak zmęczona i taka samotna...

Westchnęła głęboko i zmusiła się do wstania. Przeszukała, jak zwykle, pokoje na parterze, przemierzając pusty dom niczym żywy trup, tak naprawdę niczego nie widząc, mgliście świadoma, że szuka czegoś, czego nie da się zobaczyć. Salon zakończył jej poszukiwania. Stała tam dłuższą chwilę, przyglądając się wiszącym na ścianie zdjęciom, które robiła przez lata. Czarno- białe; pejzaże i martwe natury. Piękne, puste, posępne, surowe. Projekcja wewnętrznego „ja” autora, jak określiliby to psychoterapeuta.

Czas upływa niepostrzeżenie. Stała może pięć minut, a może godzinę, gdy rozległ się gong u drzwi. Odgłos tak ją przestraszył, że już nie wiedziała, czy znów pograżyła się w swoich snach i teraz się budzi, czy też dzwonek jest sygnałem początku kolejnego koszmaru, a ona w ogóle się jeszcze nie obudziła.

Gong odezwał się znowu. Z walącym sercem podeszła do drzwi i wyjrzała przez judasza. Na progu stał Kovac. Niepewna, czy to nie kolejny senny zwid, otworzyła drzwi.

- Światła były pozapalane - powiedział tytułem usprawiedliwienia.

Savard przyglądała mu się w milczeniu.

- Pomyślałem, że pani nie śpi. Czyżbym się mylił?

Świadoma nagle swego wyglądu, poprawiła włosy i próbowała zasłonić kontuzję twarzy, ale zrezygnowała. Opuściła wzrok, żeby sprawdzić, czy w ogóle jest ubrana.

- Ee... ach... zasnęłam na kanapie.

- Przepraszam, że obudziłem.

- Czego pan chce, sierżancie?

Przestąpił z nogi na nogę, nie wyjmując rąk z kieszeni, kuląc głowę w ramionach.

- Na początek chętnie bym zszedł z tego mrozu.

Tak samo kuląc się z zimna, Amanda Savard odwróciła się i poszła w głąb domu, pozwalając mu pójść za sobą. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze nad stolikiem w przedpokoju i mało nie zemdląła. Ciemne sińce pod oczami, blada cera, włosy matowe i potargane. Wyglądała na biedną i zagubioną. Przerażoną. Chyba wolałaby, aby rzeczywiście przyłapał ją nago, wtedy nie zwracałby uwagi na jej twarz i nie zastanawiał się nad jej stanem psychicznym.

- Mam nadzieję, że nie przerwałem czegoś... na przykład upojnej nocy?

Nie, jeśli nie liczyć demonów - pomyślała.

- Co pan tu robi?

- Znalazłem się w okolicy.

Uchwyciła jego odbicie w lustrze. Patrzył na nią badawczo. Odwróciła głowę i z trudem powstrzymała jęk. Zaboląłszy szyja i ramiona.

- Przecież Plymouth to już nie pański rejon.

- Jestem po służbie. Mam tu przyjaciół. John Quinn. Zna go pani?

- Słyszałam o nim.

- Miałem do niego parę pytań w sprawie tego pani chłopaka, Andy'ego. Wciąż nie jestem pewien, czy ktoś nie przyłożył ręki do tej śmierci. Mógł to być nieszczęśliwy

wypadek, ale wątpię, żeby Fallon był wtedy sam. Jeśli ktoś uciekł z miejsca jego śmierci, to chcę wiedzieć, kto, bo być może ponosi on odpowiedzialność za to, co się stało.

Savard przyglądała bluzę pogniecioną podczas snu. Nie mogła powstrzymać ręki, która co chwila poprawiała włosy. Była okropnie niezadowolona, że Kovac widzi ją w takim stanie. Bezradna - to słowo wciąż pulsowało jej w głowie, niczym nerw uderzony młotkiem.

- I co pan Quinn miał do powiedzenia? - Nie potrafiła się zmusić do tego, żeby patrzeć mu prosto w oczy. Jak gdyby myślała, że unikając kontaktu wzrokowego, uniemożliwi mu zobaczenie, w jakim jest stanie. „Jeśli się nie poruszę, nie zobaczą mnie...”

- To i owo przyszło mu do głowy. - Kovac tak manewrował, żeby stać naprzeciwko niej. - Na ogół nie przywiązuję za wiele wagi do tych wymysłów psychiatrów. Czasami ludzie robią to, co robią, tylko dlatego, że są źli. Ale, z drugiej strony, są tacy, których tak dręczą demony przeszłości, że nie mogą się oprzeć i popełniają zbrodnię.

- Profil psychiatryczny to narzędzie do poszukiwania zbrodniarzy seryjnych - powiedziała. - A pan nie ma do czynienia ze zbrodniarzem seryjnym. Pan w ogóle nie ma do czynienia z przestępstwem.

- Rodzina Fallonów może uważać inaczej: straciła dwóch członków w ciągu zaledwie tygodnia. Tak czy owak, wychodząc od Quinna, pomyślałem o pani, pani porucznik.

- Dlaczego?

- Na pogrzebie zapomniałem zapytać, czy zajrzała pani do akt tej sprawy. Tej, którą zajmował się Fallon: machinacje Ogdena przy śledztwie w sprawie Curtisa.

- Może chce mi pan wmówić, że Ogden był potajemnym homoseksualnym kochankiem Andy'ego i ma zadatki na seryjnego mordercę? Traci pan moje zainteresowanie, sierżancie.

- Staram się tylko zebrać wszystkie fakty i stworzyć jasny obraz sytuacji, na ile to możliwe. Jeśli prowadzący śledztwo ma klapki na oczach i skupia się na jednym tylko aspekcie sprawy, to naraża się na przeoczenie ważnych elementów łamigłówki. To

prawda stara jak świat. Skąd wiadomo, gdzie co wpasować, jeśli nie spojrzysz się z szerszej perspektywy? Zajrzała pani do tych akt?

Popatrzyła przez salon do gabinetu; miała ochotę iść tam i zatrzaskać za sobą drzwi.

- Nie. Nie miałam sposobności.

Kovac znów znalazł się na linii jej wzroku.

- Możemy usiąść? Dobrze by to pani zrobiło, pani porucznik. Proszę się nie gniewać.

- Gdybym pozwoliła panu usiąść, to byłby sygnał, że nie mam nic przeciwko temu, by został pan dłużej. A mam.

Nie przejął się przytykiem.

- No to niech pani usiądzie, ja postoję. Wygląda pani na wykończoną.

Który to już raz dzisiaj, chyba trzeci, dotknął jej dłońmi, a ona na to pozwoliła. Zaprowadził ją za ramiona i posadził na antycznej sofie pod ścianą. Poczula się jak mała dziewczynka, krucha i bezsilna. Mogła mu kazać wyjść, ale jakaś jej część wcale tego nie chciała. Gniew, frustracja i wstyd starły się w jej wnętrzu z potrzebami, do których istnienia na ogół się nie przyznawała.

- Wie pani, szukałem ich w domu Andy'ego - mówił Kovac. - Przeszukałem jego domowy gabinet, chciałem znaleźć kopię dokumentacji w tej sprawie Ogdena i Curtisa. Chciałem zobaczyć, nad czym pracował, jaki sobie wyrobił pogląd, czy mu grożono, cokolwiek; cokolwiek, co by mi pozwoliło zrozumieć, w jakim był stanie ducha. Ale nie znalazłem akt, a jego komputer zniknął. ThinkPad IBM-a. Coś pani wie na ten temat? Może go zostawił w biurze?

- Nie wiem. Raczej nie. Może zostawił w samochodzie. Może zgubił. Może dał do naprawy. Może go skradziono.

- Może ukradł go ktoś, kto nie chciał, żeby coś, co tam było, doszło do kogoś takiego jak ja. - Podniósł ze stolika figurkę świętego Mikołaja i przyjrzał się jej.

Savard westchnęła.

- Sprawdzę te akta rano. Czy to już wszystko, sierzancie?

- Nie.

Odstawił Mikołaja i zbliżył się, pochylił się nad nią. Wziął ją pod brodę i popatrzył w oczy.

- Jak się pani czuje?

Czuję bicie serca aż w gardle. Czuję, jakbym miała lekką głowę. Czuję się bezsilna. Boże, znowu to słowo. „Bezradna”.

- Nic mi nie jest. Jestem zmęczona. Chcę się położyć.

Przesunął powoli palec wskazujący przed jej oczami, tak samo jak rano, w biurze. Z lewa na prawo i z powrotem. Z góry na dół. Lewą dłonią wciąż trzymał ją pod brodę.

- Niech się pani nie obrazi, pani porucznik - powiedział cicho. - Ale jest pani piękną kobietą i wygląda pani zabójczo.

Savard uniosła brew.

- Ojej, a o co tu się obrażać?

Nie odpowiedział. Patrzył na otarcie pod okiem, uczył się rysów twarzy... wciąż trzymał pod brodę... Jego spojrzenie zatrzymało się na jej ustach. Oddech uwiązał jej w gardle.

- Jest pani naprawdę piękna - wyszeptał.

Odwróciła twarz, rozdygotana, wypuściła powietrze z płuc.

- Powinien pan już iść, sierżancie.

- Powinienem - przyznał. - Zanim pani zagrozi mi wyrzuceniem z pracy za mówienie komplementów. Ale jeszcze jedno, zanim pójdę.

Z trudem biorąc się w garść, na ile to było możliwe, porucznik Savard zdołała przywdziać na twarz nieprzeniknioną maskę, swoje codzienne oblicze. Kovac nie cofnął się ani o cal.

- Nazwij mnie „Sam” - powiedział, a kącik jego ust uniósł się odrobinę. - Chciałbym usłyszeć, jak to brzmi.

To niemożliwe, bym tego chciała - pomyślała, a strach zacisnął żołądek w ciasny węzeł. Niemożliwe, bym go chciała. Niemożliwe, bym go potrzebowała.

- Proszę już wyjść... sierżancie Kovac.

Przez moment ani drgnął, a ona wstrzymała oddech i bezskutecznie próbowała czytać mu w myślach. W końcu oderwał rękę od jej twarzy. Cofnął się o krok i wyprostował.

- Niech pani zadzwoni, gdyby znalazła pani coś ciekawego w tych aktach.

Wstała, czując, że się chwieje, położyła sobie rękę na piersi. Kovac zatrzymał się jeszcze w drzwiach.

- Dobranoc... Amando. - Rozłożył ręce, nikły uśmiech nie schodził z jego warg. - Czymże jest następna nagana dla takiego starego wiarusa jak ja?

Do przedpokoju wpadł zimny powiew, Kovac wyszedł. Savard zamknęła drzwi na zasuwę i oparła się o nie, myśląc o ciepłe jego palców na swojej skórze. Łzy zapiekły pod powiekami.

Powoli weszła po schodach. Nocna lampka w sypialni była zapalona; będzie się paliła całą noc. Savard przebrała się w koszulę nocną i wsunęła pod kołdrę. Sięgnęła po szklankę z wodą, popiła tabletkę nasenną. Położyła się na lewym boku, przycisnęła do ciała drugą poduszkę i czekała z oczami szeroko otwartymi, aż nadejdzie sen. Czowała się sama i uczucie to przejmowało ją dojmującym bólem.

Dobranoc... Sam...

Liska wolałaby, żeby to wszystko okazało się nocnym koszmarem. Wszystko: jej informator był transwestytą, znajdował się w sypialni pourazowej, ona spędziła pół nocy, marząc na kość w obskurnym zaułku, samochód Speeda tarasował podjazd pod dom, a sam Speed czekał na nią w jej własnym domu.

Postawiła samochód na ulicy, przy krawężniku, starając się sobie przypomnieć, co służby miejskie robią z samochodami uniemożliwiającymi nocne odśnieżanie ulic. Pewnie pługami śnieżnymi spychają je do rowu, a potem jeszcze wlepiają karę. Mam to gdzieś - pomyślała, wysiadła i poczłapała ku frontowym drzwiom. Weźmie odszkodowanie z polisy i kupi sobie nowe auto. W sam raz będzie, powiedzmy, używany Chevrolet, biorąc pod uwagę, że jej perspektywy zawodowe wyglądają raczej ponuro.

W salonie paliła się lampka na stoliku, a telewizor zachwalał terapeutyczne walory wschodnich sportów walki.- Speed i RJ. spali na kanapie, ramię przy ramieniu, podobni jak dwie krople wody. Nawet włosy sterczały im w tych samych miejscach. RJ. ubrany był w piżamę ze Spidermanem, a kukielkowy Cartman tkwił mu pod pachą.

Liska zatrzymała się i przyglądała im, wcale niezadowolona z uczuć, jakie w niej wzbudził ten widok. Tęsknota, żal, pragnienie. To nie fair, że dziś spada na nią jeszcze to, na dodatek do wszystkiego, przez co musiała przejść. Przycisnęła dłoń do warg i próbowała zwalczyć uczucia, jakby były demonami.

Niech cię szlag! Nie potrafiła powiedzieć, czy bezgłośnie przeklina siebie, czy byłego męża.

Speed podniósł powiekę i zerknął na nią, następnie popatrzył na syna. Powoli i ostrożnie podniósł się i przykrył RJ. narzutą.

- Aż tak kiepsko? - zagadnął cicho, podchodząc. Chodziło mu o chwilę obecną, o to, jak patrzyła na niego, jak się czuła w związku z jego obecnością. Ona tymczasem, jego zwyczajem, zinterpretowała to pytanie zgodnie ze swoimi oczekiwaniami i potrzebami.

- Mój informator, transwestyta, leży w szpitalu na intensywnej terapii, a jego twarz przypadłaby do gustu wyłącznie Picassowi. Według świadków, a jednego z nich



przyłapano na okradaniu ofiary, został zaatakowany przez dwóch karateków z gazrurkami.

- Karatecy nie używają gazrurek. Raczej nunczako.

- Proszę cię, nie bądź taki dowcipny, Speed. Dziś nie mam do ciebie siły.

- Myślałem, że to lubisz. Jestem w tym dobry. Liska tylko odwróciła wzrok.

- No, daj spokój, dziewczyno. Nie jest chyba tak źle, jeszcze się trzymasz na nogach.

- Jest gorzej niż źle.

- Chcesz pogadać?

Tłumaczenie: „Chcesz się przede mną wyzalić, zrzucić z siebie ciężar, zaufać mi?”

„Chcę, ale nie mogę sobie na to pozwolić”.

- Nikki - wymruczał, podchodząc zbyt blisko. Ciepłą ręką pogłaskał ją po policzku, przeczesał palcami jej krótkie włosy i przygarnął ją drugą ręką. - Nie musisz non stop robić za twardziela.

- Muszę.

- Dziś nie - szepnął, muskając wargami jej skroń. Przeszył ją dreszcz, z najwyższym wysiłkiem opanowała chęć, by się do niego przytulić, rozpląnąć, dać się porwać w górę.

- Zaczynij od najgorszego - powiedział.

Czyli od świadomości, że na końcu zawsze mnie zawiedziesz. Od strachu, że być może się mylę i że gdybyś miał szansę, to może tym razem by się stało inaczej. I od tego, że nie dam ci tej szansy, bo jestem już zmęczona nieustannym doznawaniem od ciebie krzywd...

Przełknęła łzy i powiedziała:

- Najgorsze, iż spotkało go to tylko dlatego, że ja się spóźniłam.

- Nik, coś ty. Gość dostał dlatego, że jest zbrojeńcem, a nie przez ciebie.

- Ale gdybym tam była...

- Toby dostał następnym razem.

- Nie wiem nawet, czy wyżyje. Nie wiem, czy nie lepiej dla niego, by umarł - mówiła. - Gdybyś zobaczył, co z nim zrobili, Speed. Coś potwornego.

- Nie wbijaj się w poczucie winy, Nikki. Wiesz, że nie wolno.

Policjantów od początku kariery zawodowej uczy się, że nie należy poddawać się uczuciom tego rodzaju. Droga do domu wariatów wybrukowana jest wyrzutami sumienia. Kovac sam jej o tym przypomniał, kiedy dzwoniła do niego z wieścią, co się stało z Ibsenem. A mimo to trudno jej było zrzucić z siebie winę. Przecież Ibsen czekał tam na nią.

- Pogruhotali wszystkie możliwe kości czaszki. Połamali ręce, obojczyk, żebra, kolano. Wsadzili mu rurę w odbytnicę.

- Rany!

Wzięła głęboki wdech i wyznała coś, co leżało jej na sercu największym ciężarem:

- I niewykluczone, że to byli policjanci.

Speed zamilkł. Pod dłonią czuła, jak bije mu serce. W końcu odezwał się:

- Nikki, Boże, w co ty się pakujesz? Podejrzewać naszych...

- Nie chcę, żeby to była prawda. Ani trochę. Przecież to my mamy być ci dobrzy. Nie chciałabym być tą, która dowiedzie, że jest inaczej.

Sam pomysł wydawał się jej odrażający. Niczym wirus krążący we krwi. Wzdrygnęła się. Speed objął ją mocniej. Pozwoliła mu na to. Tylko dlatego, że to był środek nocy, a ona czuła się wyjątkowo samotna. Tylko dlatego, że to potrwa zaledwie chwilę. I dlatego, że jego zapach jest taki znajomy. I że potem, kiedy on już pójdzie, będzie musiała sama dźwigać to brzemie.

- Nienawidzę tego - wyszeptała. I miała na myśli nie tylko tę aktualnie prowadzoną sprawę. Myślała też o tym, jak nienawidzi poczucia, że jest biedna, bezradna. I tego, że wciąż musi być twarda. I jak nienawidzi niepewności i łez, które piekły w oczy, i sprzeczności, które ją rozdzierały, gdy trwała w ramionach eksmęża.

- Skąd ci przyszło do głowy, że to policjanci? - przemówił łagodnie, jak kochanek szepczący miłosne zaklęcia.

- Na spotkaniu miał mi właśnie opowiedzieć o złym policjancie.

- Może to była przypadkowa zbrodnia z nienawiści. Transwestyci nie są lubiani w niektórych kręgach.

Wyzwolili się z objęć i popatrzyła na Speeda z dystansu.

- Tak. Wierzę w takie zbiegi okoliczności, świętego Mikołaja i w to, że bocian przynosi dzieci.

Odsunęła się, chcąc staranniej przykryć synka, potem podeszła do telewizora i wyłączyła go.

- To miało związek ze sprawą tego zmarłego faceta z SW? - zapytał Speed.

- Owszem. - Niemal się roześmiała. - Miało związek z zakończoną sprawą o zabójstwo, w której sprawca jest skazany i odsiadyuje wyrok, oraz z samobójstwem oficjalnie zakwalifikowanym jako nieszczęśliwy wypadek. Ciekawe, że kogoś, kto coś o tym wiedział, zmasakrowali niemal na śmierć. Nie uważasz?

- Kogo podejrzewasz?

- To jakiś zwykły „krawężnik” ze służby patrolowej. Nikt, kogo znasz. - Nagle zastanowiła się i przyjrzała się Speedowi uważnie. Był boso, w obcisłych dżinsach, opuszczonych nisko na płaskim brzuchu, w koszulce, która nie skrywała świetnej budowy ciała. Obudziła się w niej policyjna żyłka. - A może jednak? Wyglądasz, jakbyś dużo chodził do siłowni. Ten facet musi ostro pakować.

- Przychodzi do siłowni policyjnej w St. Paul?

- Ćwiczysz tam jak szeregowy glina?

- Jest za darmo. A ja mam dość zobowiązań finansowych jak na swoje zarobki.

- Ciekawe, jakie to zobowiązania - mruknęła Liska. - Bo ja nie widzę, żebyś się wywiązywał z tych wobec nas.

Speed otworzył usta, żeby się odgryźć ostro i złośliwie, ale Liska podniosła rękę, by go powstrzymać. R.J. co prawda spał, ale nie wiadomo, co mogło dotrzeć przez sen do jego podświadomości. Przy chłopcach starała się nie wdawać ze Speedem w kłótnie. Rzadko jej się udawało, ale się starała.

- Przepraszam - powiedziała. - Wyrwało mi się. Jestem dziś trochę zmęczona, rozumiesz. Chciałam tylko powiedzieć, że znam mnóstwo policjantów i od nas, z Minneapolis, i z St. Paul, którzy ćwiczą w hali uniwersyteckiej. Tam mógłbyś go zobaczyć.

Stał przez chwilę w milczeniu, przeżuując urazę. Widziała to wyraźnie po jego minie. R.J. miał taką samą, kiedy uważał, że oskarża go się niewinnie. Widziała, że wspomina teraz wszystkie przykrości, jakich od niej doznał, wszystkie pretensje, chcąc wzmocnić swoje oburzenie.

- Przecież cię przeprosiłam.

- Wiesz, że się staram, Nikki - rzekł tonem męczennika. - Pomagam przy chłopcach, jak mogę. Mówiłem ci, niedługo będę miał trochę forsy...

- Wiem...

- Ale ty ciągle musisz mi dokopywać, prawda? Dlaczego? Czy aż tak bardzo mnie nienawidzisz? A może wciąż się boisz swoich uczuć do mnie?

Trafił w dziesiątkę - pomyślała.

- To tak z przyzwyczajenia - odparła.

- To skończ z nim - powiedział łagodnie, patrząc jej w oczy. Podszedł, podniósł rękę i dotknął jej policzka. - Zależy mi na tobie, Nikki. Nie boję się tego powiedzieć, chociaż ty tego nie chcesz.

Pochylił głowę i dotknął wargami jej ust. Był to delikatny pocałunek, przeciągły, lecz nie natarczywy. Liska miała wrażenie, że jej serce chce wydostać się przez gardło.

- Bądź ostrożna, Nikki - powiedział, odstępując. „Uważać na ciebie?” - chciała zapytać.

- Narobisz sobie wrogów, jeśli zaczniesz pracować przeciw swoim.

- Jeśli ten facet zrobił to, o co go podejrzewam, to już nie jest „swój”.

Tak muszę na to patrzeć - pomyślała, gdy Speed podszedł do drzwi wejściowych, włożył ciężkie buty i nałożył płaszcz. Jeśli Ogden jest zabójcą, jeśli jest bestią, która potrafi skatować człowieka, wsadzić mu rurę w odbyty, to fakt, że nosi odznakę policyjną, jest obrazą dla wszystkich pozostałych.

- Masz jakieś dowody? Coś murowanego? Pokręciła głową.

- Przeczucia, wrażenie. Ten transwestyta miał mi dostarczyć konkretów. Podejrzewam, że ten glina jest na dopingu. Może uda mi się nasłać na niego naszych ludzi, zakamuflowanych wśród handlarzy tymi środkami.

- Jeśli ten gość pompuje się sterydami, to musi być wybuchowy, a nawet nieobliczalny. Może być niebezpieczny.

- Tego się spodziewałam. Dzięki, żeś został z chłopcami. I dziękuję za troskę.

- Liczyłem na coś więcej niż tylko „dziękuję”.

Tym razem nie była przygotowana. Zanim zauważyła, co się święci, jego ramiona znów ją objęły, a jego wargi przycisnęły się do jej ust. Tym razem nie były łagodne. Były gorące, spragnione, głodne. Usta ją piekły, kiedy się od niej oderwał.

W tej samej sekundzie był już za drzwiami. Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu i dudnienie silnika. Dopiero wtedy podniosła ręce do warg.

- Potrzebne mi to jak dziura w moście - wymamrotała.

Przykryła R.J. jeszcze jednym kocem, decydując się nie budzić go i zostawić na kanapie. Nie zgasiła lampki i sama poszła spać, nie mając nadziei na szybkie zaśnięcie.

Na zegarku jarzyły się cyfry 3:19, kiedy zadzwonił telefon.

- Tak?

Po drugiej stronie panowała taka cisza, jakby ktoś wstrzymywał oddech. A może to był jej własny wstrzymany oddech? Potem rozległ się szept, od którego dostała gęsiej skórki.

- Nie budź licha, kiedy śpi.

Zdjęcia leżały na wąskim blacie, z biurowej lampy padał na nie snop żółtego światła. Resztę pomieszczenia ogarniał mrok.

Zdjęcia ułożono w równiutkim rzędzie. Eksplodujące życie. Bryzgająca krew. Odłamki kości. Martwa natura. Bez życia. Studium destrukcji. Świadecko kruchości ludzkiego ciała. Abstrakcyjne. Brutalne. Smutne i żałosne.

Poszło zbyt łatwo...

To zło konieczne, ale... lepiej byłoby, gdyby było niemożliwe. Idea jest tak sprzeczna z sednem moralności, że egzekucja powinna po prostu być niemożliwa.

„Egzekucja”.

To słowo niesie ze sobą wspomnienia tylu uczuć. Żal, pogarda, ulga, podniecenie. Strach. Strach przed tym, co się dokonało, fala podniecenia w momencie finalnym. Strach, że coś ludzkiego, coś cywilizowanego, coś wrażliwego można zastąpić... lub zostało zastąpione już dawno temu.

Ale gdyby to była prawda, sen przyszedłby bez trudu, a nie przychodzi wcale.

Obserwacja: udział w sekcji zwłok to nie jest dobry sposób na rozpoczęcie dnia. Taka myśl kołatała się Kovacowi po głowie, gdy siadał na krześle przy swoim biurku z filiżanką podłej kawy w dłoni. Liska podziwiała się nie wiadomo gdzie. Biuro chwilowo było ciche. Udało mu się wślizgnąć niezauważenie i cieszył się z tego. Potrzebował paru minut na refleksję, na poukładanie sobie w głowie. Wyciągnął zdjęcia z miejsca śmierci Mike'a Fallona i rozłożył je na papierach, które zaniedbywał od paru dni na biurku.

Jakiś dokuczliwy niepokój błąkał mu się po krańcach świadomości, nieokreślony, ledwie uformowany, cień cienia. Mógłby zakwalifikować sprawę jako najzwyczajniejsze samobójstwo i miałby to z głowy, jeśli nie liczyć przejrzenia papierów lekarskosądowych. Gdyby nie to mgliste wrażenie oraz fakt, że sprawa Neila Fallona zaczynała ujawniać coraz głębsze warstwy zgnilizny, niczym zepsuta cebula, mógłby o wszystkim zapomnieć.

Kovac wędrował wzrokiem po zdjęciach niemal od niechcienia, mając nadzieję, że dojrzy coś, czego dotąd nie zobaczył. Jednocześnie miał nadzieję, że nie zobaczy niczego. Nie da się ukryć, że dla wszystkich najwygodniej byłoby uznać, iż Żelazny Mike sam skończył ze sobą.

Patrzył na zdjęcia, jakby to były dzieła abstrakcyjnego malarstwa, a nie wizerunki człowieka, którego znał przez dwadzieścia lat.

Tak, na pewno łatwiej oglądać fotografie niż asystować przy sekcji zwłok, patrzeć, jak znajomego człowieka kroją na kawałeczki.

Maggie Stone, główny specjalista medycyny sądowej hrabstwa Hennepin, przeprowadzała sekcję zwłok osobiście. Mimo pewnych dziwactw, jak nierozstawanie się z bronią czy zmienianie co pół roku koloru włosów, Stone była doskonała. Jeśli twierdziła, że jest tak i tak, to było tak i tak. Kovac znał ją od lat. Łączyły ich na tyle dobre stosunki, że mógł ją poprosić o przysługę, jak na przykład zgoda na obecność przy sekcji zwłok starego znajomego o bladym świcie. Stone nie mrugnęła nawet okiem. Niewiele może zadziwić kogoś, kto spędza życie przy krojeniu zwłok, by wyciągać z nich narządy wewnętrzne i tajemnice, jakie się w nich kryją.

I w ten sposób Kovac stał dziś rankiem w prosektorium, starając się nie przeszkadzać pani doktor i jej asystentowi, Larsowi, którzy krzątali się wokół stołu prosektoryjnego ze stali nierdzewnej, robiąc, co do nich należało. Rewelacyjny sposób na spędzenie poranka.

Do boksu weszła Liska. Wyglądała ponuro: blada, mimo że weszła z dworu, gdzie temperatura oscyłowała wokół dziesięciu stopni mrozu. Nie odzywając się, postawiła torebkę na biurku i zdjęła palto.

- Jak tam ten twój niedoszły informator?

- Wygląda na to, że przeżyje. Co to za życie! Właśnie idę ze szpitala.

- Odzyskał przytomność?

- Nie. Ale się nie zwinął w embriona, więc lekarze mają nadzieję, że nie ma poważnych uszkodzeń mózgu. Połamane kości się zrosną, a co mu przeszkadza sztuczny odbyt - odparła z sarkazmem. - Albo to, że będzie wyglądał jak Człowiek Słoń. Powinien się cieszyć, że uciekł grabarzowi spod łopaty.

- To nie twoja wina, Dzwonek - powiedział stanowczo.

Liska unikała jego spojrzenia.

- Wiem, Poradzę z tym sobie. Naprawdę. Tylko... jak go widzę... - Nabrała powietrza, wypuściła. - Gdybym przyjechała na czas...

- Wyrzuty sumienia nikomu nic nie pomogą, mała. Zrobiłaś, ile mogłaś.

Skinęła głową.

- To mnie po prostu frustruje. Ale uporam się z tym.

- Wiem, że tak. A ty wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Popatrzyła na niego z czułością i wdzięcznością; oczy się jej zaszklily.

- Dzięki.

- Po to się ma partnera. Żeby wspierał.

- Tylko mnie nie zmuszaj do płaczu, Kovac - powiedziała, udając zagniewaną - bo ci zrobię krzywdę.

- Uważaj! To mi się może spodobać. Wiesz, samotność doskwiera. - Przerwał. - No, a jak tam po linii służbowej? Włączasz się w tę sprawę czy nie?



- Muszę pogadać z Leonardem. - Skrzywiła się. - Ibsen był moim informatorem. Byłam pierwsza na miejscu zdarzenia. I to do mnie ktoś zadzwonił z ostrzeżeniem, żebym nie budziła licha.

- Ten telefon to kompletna głupota. Gdyby to był przypadkowy napad, nikt nie powinien dostawać telefonów z ostrzeżeniami.

- Głupota aż miło - zgodziła się. - Dzięki temu mam coś, z czym mogę iść do SW i żądać dostępu do akt sprawy Curtisa. Dlaczego ktoś chciałby mnie odstraszyć od zakończonej już sprawy, gdyby nie było jakiegoś cholernie ważnego powodu, aby ją wznowić?

- Wiadomo coś o tym, kto dzwonił?

- To była rozmowa z jakiegoś automatu na bezludziu. Taki już całkiem durny to ten gość nie był. Raczej nie ma nadziei, żeby go ktoś tam widział.

- A Ogden i Rubel? Mają alibi?

- Jakie alibi?! - prychnęła pogardliwie. - Grali w bilard u Rubela. I zgadnij, kto z nimi był. Cal Springer.

- Miłe towarzystwo.

- On by przysiągł, że polecili razem na Księżyc, gdyby pozostali dwaj tak powiedzieli. Trzęsie przed nimi portkami, aż żal patrzeć. Muszą chyba mieć jego zdjęcie, jak dupczy kozę. - Liska nie kryła niesmaku. - Tak czy owak, sprawę napadu na Ibsena dostał Castleton. I on, i szef zmiany nie mają nic przeciwko temu, żebym mu pomagała, pod warunkiem, że się Leonard zgodzi.

- Leonard dobierze ci się do tyłka za grzebanie w sprawach należących do SW.

Liska wzruszyła ramionami.

- Co mogę poradzić, że gość chciał gadać tylko ze mną? Z tego, co mi powiedział, wygląda na to, że nikt go nie chciał wysłuchać. Nikt nie chciał słyszeć o jego spiskowej teorii na temat AIDS.

- AIDS?

- Curtis był nosicielem HIV. Ciekawostka, co? Bardzo musiał ktoś nie lubić homoseksualistów, żeby załuc faceta na śmierć, ryzykując kontakt z zakażoną krwią.

Kovac zamyślił się. Przypomniał sobie wizytę u człowieka, na którego konto zapisano morderstwo Curtisa. - Verma mi wygląda na nosiciela.

- Ale jeśli rzeczywiście Verma to zrobił, to kto by dzwonił do mnie z ostrzeżeniem? Przecież on siedzi.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę. Kovac bujał się na krześle.

- Pasuje mi do tego Ogden - powiedział.

- Mnie też. W tę stronę będę szukała.

- Bądź ostrożna.

Skinęła głową.

- Jak poszła sekcja Mike'a?

- Jak dotąd bez rewelacji. Pod paznokciami tylko brud. Jakies siniaki na grzbiecie dłoni, ale nic, co by można uznać za kontuzje poniesione w walce. Nie ma świeżych skaleczeń, a wiemy, że niedawno spadł z fotela, to może wyjaśniać sińce. A poza tym Stone nie może przysiąc, że to w ogóle są siniaki. Ciało było tak ułożone, że na rękach są plamy opadowe.

- A co z drobinami prochu?

- Są na obu dłoniach. Ale ktoś mógł go zmusić, żeby własnoręcznie wsadził sobie lufę do ust. Z tym że dowieść się tego nie da.

- To znaczy, że nic nie mamy - zmartwiła się Liska. - Stone uzna to za samobójstwo.

- Nie wyda żadnej decyzji, póki nie dostanie wyników z laboratorium. Obiecała mi, że wszystko będzie sprawdzała dwa razy, a poza tym, żeby jak najdłużej przeciągać sprawę, wciąż gdzieś będzie zapodziwiać papiery. Rozumiesz, o co mi chodzi.

- Myślę, że doktor Stone sama chętnie by się zapodziała. Z tobą; rozumiesz, o co mi chodzi.

Kovac poczuł, że się rumieni. Mignęła mu w wyobraźni Amanda Savard, nie Maggie Stone. Ten wyraz oczu, gdy ją wziął pod brodę: bezradność. Udał, że się gniewa.

- Nie chodzę do łóżka z kobietami, które zarabiają na chleb krojeniem ludzi. W każdym razie trochę czasu na tym zyskamy, ale żadnych cudów nie możemy się

spodziewać. Poprosiłem ją, żeby jeszcze raz przyjrzała się wynikom sekcji zwłok Andy'ego. Może ten Upshaw coś schrzanił.

- Przydałby się wam cud? - spytał Elwood, podchodząc do ich boksu. Miał na sobie gruby wełniany sweter, a pod nim koszulę i krawat. Wyglądał jak włochaty mamut.

- Duszę bym za to zaprzedał - rzekł Kovac.

- Coś ci się pomyliło. Od cudów są pozytywni przedstawiciele siły wyższej - wytknął mu Elwood. - A duszę zaprzeda się diabłu.

- Nie wymądrzaj się, tylko gadaj, co dla nas masz.

- Sąsiadka widziała furgonetkę Neila Fallona przed domem Mike'a w nocy ze środy na czwartek. Dokładnie dziewięć po pierwszej. Przejrzałem wczoraj protokoły mundurowych z przesłuchań sąsiadów. W jednym domu nie zastali właścicielki, była tylko pani, która przychodzi sprzątać. Więc poszedłem tam i trafiłem w dziesiątkę.

Kovac podskoczył na krześle.

- To więcej niż dziesiątka, to bomba.

- Sąsiadka widziała wóz, a nie słyszała strzałów? - spytała Liska z powątpiewaniem.

- Cierpiąca na bezsenność osiemdziesięcioletnia staruszka z aparatem słuchowym. Ale łeb nie od parady.

- A co ze wzrokiem?

- Przez lornetkę myśliwską każdy widzi dobrze. Trzyma ją na stoliku przy oknie.

- A oświetlenie?

- Ma wokół domu reflektory. Jest komendantką straży sąsiedzkiej. Marki auta nie rozpoznała, ale zapisała numer rejestracyjny.

- Może wziąć moją posadę, jak Leonard mnie wyleje.

- Widziała, jak wychodził? - spytał Kovac.

- Było dwie po wpół do drugiej.

- To wcześniej niż godzina zgonu według lekarza. Ale można by to uznać.

Kovac zgarnął zdjęcia Mike'a Fallona do szuflady i poprawił krawat, zresztą bez większego skutku.

- Ściągnij Neila Fallona na przesłuchanie - powiedział Elwoodowi. - Ja idę zanieść nowiny Leonardowi.

- O co w tym wszystkim chodzi, do jasnej cholery? - domagał się wyjaśnienia Neil Fallon.

Dwójka umundurowanych funkcjonariuszy wyciągnęła go z warsztatu. Miał na sobie ten sam brudny kombinezon, w którym przyjmował Kovaca, gdy ten przyjechał zakomunikować o śmierci brata. Ręce miał czarne od brudu i smarów.

- Rany boskie, mój brat i mój ojciec nie żyją, a wy mnie traktujecie jak jakiegoś zasranego kryminalistę! - perorował, chodząc w tę i z powrotem po ciasnym pokoju przesłuchań, tym samym, gdzie Jamal Jackson wyrznął Kovaca w głowę. - I to bez wyjaśnienia. Bez przeprosin...

- Bo jesteś zasranym kryminalistą - oznajmił rzeczowo Kovac. - Wiemy, że byłeś skazany za pobicie, Neil. Myślałeś, że to się nie wyda? To chyba ty jesteś mi winien wyjaśnienie i przeprosiny.

Stał z rękami założonymi na piersi, opierając się plecami o ścianę koło weneckiego lustra, i czekał na reakcję Fallona. Liska stała pod przeciwną ścianą. Elwood przy drzwiach. Nikt nie korzystał z krzeseł wokół przyjaznego okrągłego stolika. Czerwona lampka kamery wideo świeciła.

Fallon popatrzył na Kovaca gniewnie.

- To było dawno temu. A poza tym skazali mnie przez nieporozumienie. To był wypadek.

- Taki wypadek, że pobiłeś faceta do utraty przytomności? - zaintrygowana się Liska. - Ktoś ci uwierzył?

- Była bijatyka. Upadł i uderzył się w głowę. Kovac popatrzył na Elwooda.

- Czy nie tak tłumaczył się Kain w sprawie Abła?

- Zdaje się.

- A może byś przeprosił mnie, Neil, za wczorajsze kłamstwo? - ciągnął Kovac. - I wytłumaczył, co robiłeś u ojca o pierwszej w nocy, tej nocy, gdy zginął?

Z Fallona nagle uszło powietrze. Popróbował jeszcze robić gniewne miny, ale bez większego rezultatu. Najpierw wzięło górę zaskoczenie, potem podejrzliwość, w końcu strach.

- Co wy wygadujecie? Nie wiem, o co wam chodzi.

- Oszczędź tego sobie i nam - doradziła Liska. - Sąsiedzi widzieli twój samochód o pierwszej przed domem ojca.

- A mnie powiedziałeś, że wasza ostatnia rozmowa odbyła się przez telefon - rzekł Kovac z wyrzutem i czekał.

Fallon rozglądał się nerwowo po pomieszczeniu, jakby tu mógł znaleźć jakieś wytłumaczenie.

- Dlaczego mnie okłamałeś, Neil? Wstydziliś się, że nie udało ci się wydusić ze starego forsya na spłacenie żony, co? O tym rozmawialiście przez dwadzieścia trzy minuty przez telefon wieczorem od jedenastej siedem?

Fallon sapnął raz, potem drugi, niczym astmatyk, u którego zaczyna się atak. Potarł się po szyi wielką, brudną dłonią. Kovac leniwie przestąpił z nogi na nogę.

- Wyglądasz, jakbyś chciał powiedzieć: „ale się porobiło”. Prawda, Dzwonek?

- Ale się porobiło! - rzuciła. - Uważaj, Neil, bo się zesrasz.

- Myślałeś, że nie sprawdzimy w centrali rejestru rozmów? Chyba uważasz mnie za durnia, Neil.

- Po co to robiliście? - Fallon zaczął się denerwować. - Przecież nie jestem o nic podejrzany. Mój ojciec nie żyje...

- Już mi się niedobrze robi, jak to słyszę. To ja go znalazłem z odstrzeloną głową. Myślisz, że musisz mi przypominać? To nie najlepszy sposób, Neil. Jeśli ktoś ginie gwałtowną śmiercią, jak Mike, prowadzi się śledztwo - tłumaczył Kovac. - I wiesz, kogo się najpierw sprawdza? Rodzinę. Bo zwykle nikt nie ma lepszego powodu, żeby człowieka wykończyć, niż ktoś bliski. Sam mi powiedziałeś: nienawidziłeś Mike'a. A jeśli dodać do tego fakt, że potrzebne ci były pieniądze na spłacenie żony, z którą się rozwodzisz, a Mike nie chciał ci ich dać, to już mamy coś, co się nazywa motywem.

Strach zaczął dawać o sobie znać. Fallon zaczął się ruszać nerwowo, spociła mu się górna warga. Cofnął się w kąt, gdzie stał regał. Usunięto z niego wszystkie półki.

- Przecież to był mój stary. Nie zrobiłbym czegoś takiego. To był mój ojciec.

- I przez trzydzieści parę lat tłumaczył ci, że jesteś gorszy od swojego brata pedała. To już mamy coś, co się nazywa zapiekła uraza.

- Był draniem - oświadczył Fallon - nie zaprzeczę, ale zabić go nie zabiłem. A jeśli idzie o tę sukę Cheryl, to niech jej głowa nie boli, skąd wezmę forszę. Dostanie ją.

- Albo stracisz interes, w który włożyłeś tyle wysiłku - wtrąciła się Liska. - Puści cię z torbami. Nie ma nic gorszego niż zawiedziona, żadna zemsty kobieta. Wiem coś o tym, sama nią jestem.

- Rozmawiałem z twoją eks - przejął pałeczkę Kovac. - Wygląda na to, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu, przyciska cię. Prosiłeś brata o pożyczkę?

Szarpnął głową, jakby ktoś mu dał prztyczka w ucho; nie mógł uwierzyć, że jego życie przybiera taki obrót. Patrzył na zmianę to na Kovaca, to na Liszę.

- Chcecie powiedzieć, że jego też zabiłem?

- Nie twierdzimy, że kogokolwiek zabiłeś, Neil. Po prostu zadajemy ci pytania mające związek ze sprawą; to wszystko. I chcemy ci uświadomić, jak to wygląda z naszego, policyjnego punktu widzenia.

- Wsadź sobie swój punkt widzenia w tyłek, Kovac. Andy to już nie twoja sprawa. Skończyło się. Leży w grobie. Niech mu ziemia lekką będzie. Góra postanowiła zakończyć śledztwo.

Kovac uniósł brew.

- A ty mi o tym przypominasz? Dlaczego ci tak na tym zależy?

- Powiedziałem tylko, że sprawa jest zakończona.

- Tyle że mamy tu do czynienia z powtarzającym się wzorcem, Neil. Jeden członek rodziny odbiera sobie życie - to, powiedzmy, normalne. Ale dwóch w ciągu tygodnia? To coś zupełnie innego. Obu ich nienawidziłeś. Przeżywasz trudny okres, zarówno pod względem emocjonalnym, jak i finansowym. Coś takiego nazywamy czynnikami stresującymi. Czynniki stresujące mogą człowieka doprowadzić do zbrodni. A ty masz już w życiorysie akt brutalności...

- Nikogo nie zabiłem.

- Co robiłeś u Mike'a w środku nocy?

- Pojechałem sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku. - Fallon umknął spojrzeniem w bok. Bezwiednie dotknął twarzy poniżej siniaka na kości policzkowej. - Rozmawialiśmy przedtem. Nie podobało mi się brzmienie jego głosu.

- Brzmienie głosu czy to, co ci miał do powiedzenia? - zaciekał się Kovac. - Wiemy, że piłeś. Sam mi powiedziałeś. Powiedziałeś, że miałeś dość w czubie, żeby się pożreć z klientem, tym facetem, co go uważasz za policjanta. Ojciec powiedział ci coś, co cię wkurzyło?

- Nie o to chodzi.

- No to o co chodzi? Chcesz mi wmówić, że byliście rodziną doskonałą?

- Nie, ale...

- Mówiłeś, że Mike zawsze się do ciebie przychrzaniał. Tym razem było inaczej? O czym rozmawialiście?

- Mówiłem wczoraj. O tym, o której mam go zawieźć na pogrzeb.

- Tak, mówiłeś wczoraj. Dlaczego nie podobał ci się jego głos? Nie mówiłeś nigdy, że się o niego martwisz. Jeśli dobrze pamiętam, zawsze mówiłeś o nim „stary dureń”. Dlaczego nie powiedziałeś, że pojechałeś do niego sprawdzić, czy wszystko w porządku?

Fallon zataczał niewielkie koła, lewą ręką rozcierał sobie czoło, prawą trzymał się pod bokiem.

- Zabił się po moim wyjściu - rzekł, ścisząc głos. - Chyba nie najlepiej się o niego zatroszczyłem. Jedyne dziecko, który został przy życiu...

- A czego potrzebował? Co powiedział?

Kovac czekał, obserwując, jak Neil Fallon drepce w kółko. Potężne barki zgarbił, jakby go bolał brzuch. Twarz miał rozgorączkowaną, oddychał płytko, z sapaniem. Wepchnął rękę do kieszeni, wyciągnął pomietaną paczkę marlboro.

- Żałuję, panie Fallon - odezwał się Elwood - ale u nas nie wolno palić.

Fallon spojrział na niego wściekle i wytrząsnął z paczki jednego.

- No to mnie stąd wyrzućcie. Kovac odwrócił się powoli.

- Coś mi się wydaje, Neil, że ta rozmowa nie była o tym, czego potrzeba Mike'owi - powiedział cicho, przechodząc na nowy poziom. - Myślę, że chodziło raczej o :o, czego

potrzeba tobie. Byłeś pijany i wkurzyłeś się, rozmawiając z nim przez telefon. Pokłóciliście się o te pieniądze, które ci są potrzebne. Po tej rozmowie złość ogarniała cię coraz większa. Myślałeś o tym, ile potrzebujesz, i o tym, że stary nie chce ci tej forsy dać; o tym, że faworyzował Andy'ego, a do ciebie się zawsze przychrzaniał. I tak się nakręciłeś, że wściekły wsiadłeś do wozu i rzuciłeś mu to wszystko w twarz.

- Był na pół pijany, a na pół nieprzytomny od pigułek - mruknął Fallon. - Równie dobrze mógłbym gadać do obrazu. Gównu go obchodziło, co mam do powiedzenia na jakikolwiek temat. Zawsze zresztą tak było.

- Nie chciał ci dać pieniędzy. Pokręcił głową i zaśmiał się.

- Nie chciał w ogóle słuchać. Chciał gadać tylko o An- dym. Jak go kochał. Jak się na nim zawiódł. I o tym, że Andy nie powinien był budzić śpiącego licha.

Kovac zerknął na Lisę, która omal nie podskoczyła.

- Tak się wyraził? - spytała. - Nie budzić licha? Dlaczego tak powiedział?

- Nie mam pojęcia - rzucił Fallon. - Chyba chodziło mu o to, że Andy się ujawnił. Gdyby zachował dla siebie prawdę o tym, że jest pedałem, wtedy stary nie musiałby się tak za niego wstydzić. „Po tylu latach” - powtarzał cały czas. Jakby to było nie fair mówić mu o tym teraz. Jakby wołał, żeby mu Andy powiedział, kiedy miał dziesięć lat albo wcale. Jezu!

- To cię musiało doprowadzić do szału - powiedział Kovac. - No i miałeś już w czubie. A jeszcze ten klient na parkingu ci dołożył. Przychodzisz do ojca, żywy, a mowa ciągle o Andym, który nie żyje. Andy to, Andy tamto.

- Tak mu właśnie powiedziałem. „Andy nie żyje. Pochowajmy go i żyjmy dalej”.

Zaciągnął się głęboko papierosem, mocno wydmuchnął dym. Twarz zrobiła mu się szkarłatna. Zmrużył oczy, starając się bliżej przywołać obraz z wyobraźni... albo wstrzymać łzy. Patrzył w weneckie lustro, ale go nie widział.

- Pochyliłem się nad nim i wrzasnąłem: „Andy był pedałem, rznął się w dupę i cieszę się, że nie żyje!”

Wyrzucił te słowa przez ściśnięte emocjami gardło. Zasłonił oczy lewą dłonią, papieros między palcami dymił.

- I co on na to?



Fallon płakał; łzy ciekły mu spomiędzy palców, z ust wydobywały się urywane, zdławione dźwięki.

- Neil, co Mike zrobił, kiedy to usłyszał?

- U... uderzył mnie.

- A ty, co zrobiłeś?

- O Boże...

- Co zrobiłeś, Neil? - naciskał łagodnie Kovac, podchodząc bliżej.

- O... oddałem mu. Chryste Panie! - Chlipnął i zgiął się wpół, chowając twarz w obie dłonie. - A teraz nie żyje. Obaj nie żyją! Boże!

Kovac wyjął mu z ręki niedopałek, wdychając dym i tęskniąc rozpaczliwie za własnym papierosem. Zgasił go na stole, wypalając czarny znak na drewnopodobnej okładzinie.

- Zabiłeś go, Neil? - zapytał miękko. - Zabiłeś Mike'a?

Fallon pokręcił głową, nie odrywając rąk od twarzy.

- Nie.

- Pobierzemy próbki z twoich dłoni i zbadamy na obecność śladów prochu - włączyła się Liska.

- Zrobimy tak zwaną neutronową analizę aktywacyjną - wyjaśniał Kovac. - Nieważne, ile razy umyłeś potem ręce. Mikroskopijne cząstki wniknęły w głąb skóry przy strzale. Da się je wykryć jeszcze po kilku tygodniach.

Blefował, to było zagranie taktyczne. Test może wykazać tylko tyle, że dana osoba miała kontakt z dwoma metalami, barem i antymonem, które - oprócz tego, że są składnikami prochu strzelniczego - występują jeszcze w milionach innych substancji, sztucznych i naturalnych. Z praktycznego punktu widzenia dodatni wynik analizy będzie miał niewielkie znaczenie dowodowe i prawdopodobnie nie ocaleje w sali sądowej. Zbyt wiele czasu upłynęło między zdarzeniem a badaniem. Adwokaci zarabiają na chleb udowadnianiem twierdzenia, że czas równa się osłabieniu wartości dowodu. Kolejni biegli sądowi mieliby używanie, podważając wnioski poprzedników. Neil Fallon prawdopodobnie jednak o tym nie wiedział.

Rozległo się pukanie. Elwood odsunął się od drzwi. W szparze pojawiła się głowa porucznika Leonarda. Miał minę, jakby cierpiał na obstrukcję.

- Sierzancie, mogę prosić na słówko?

- Jestem w trakcie przesłuchania - odparł Kovac niecierpliwie.

Leonard tylko na niego popatrzył w wiele mówiącej ciszy. Kovac zerknął na Fallona i stłumił westchnienie. Jeśli miał się do czegoś przyznać, to właśnie teraz: był w emocjonalnym dołku. Za chwilę się pozbiera, wzmocni, zażąda adwokata.

Kovac czuł się jak zawodnik w ataku, którego zdejmuje się z boiska w czasie akcji.

Zwrócił się do Liski.

- Spróbuj, może się uda - wymamrotał pod nosem.

- Sierzancie - powtórzył Leonard.

Kovac poszedł za nim do sąsiedniego pomieszczenia, z którego Leonard obserwował przesłuchanie przez szybę. W pokoju było ciemno. Wyglądał jak kinowa salka z oknem zamiast ekranu. Pod oknem stał Ace Wyatt, założywszy ręce na piersiach, i przyglądał się Neilowi Fallonowi. Gdy wszedł Kovac, Wyatt przez chwilę demonstrował na tle szyby swój słynny profil, po czym odwrócił się, by w całej okazałości zademonstrować swoją minę: „mam tyle ważnych spraw na głowie”. To była ta sama mina co na plakacie rozlepionym na billboardach w całym dwójmieście: Minneapolis i St. Paul, reklamującym jego program telewizyjny.

- Po co to robisz, Sam? - spytał Wyatt. - Czy ta rodzina nie dość już wycierpiała?

- To zależy. Jeśli to ten gość zabił pozostałych dwóch, to odpowiedź brzmi: nie, nie dość.

- Czy podczas sekcji zwłok wyszło na jaw coś, o czym nie wiem?

- A dlaczego w ogóle miałbyś coś wiedzieć? - nie wytrzymał Kovac. - Maggie Stone nie ma zwyczaju informować byle kogo.

Wyatt zignorował uwagę.

- Traktujesz go tak, jakbyś wiedział na pewno, że to było morderstwo.

- Mam poważne powody - odparł Kovac. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni zdjęcia i rozłożył je na parapecie. - Po pierwsze, Mike jest wepchnięty do ciasnej toalety. Wielu

samobójców odbiera sobie życie w łazience, ale Mike'owi musiało być trudno wjechać tu fotelem, i to jeszcze na dodatek tyłem. Liska zwróciła na to uwagę. Pomyślałem, że pewnie chciał nam zostawić schludną scenę, ale znacznie bardziej prawdopodobne jest, że to ktoś inny chciał nam zostawić schludną scenę. Dlaczego Mike miałby się przejmować kimś, kto będzie prowadził śledztwo po jego śmierci? Raczej gównu by go to obchodziło. Pistolet trzymał w garderobie przy sypialni. Dlaczego nie zrobił tego tam właśnie, od razu? Chyba nie przejmował się tym, że nabrudzi. W domu panuje straszny bałagan. Na dodatek Neil Fallon ma za sobą wyrok, wiadomo, że był w konflikcie ze starym i kłamał, chcąc ukryć nocną wizytę.

- Ale pora jego odwiedzin nie pokrywa się z podaną przez lekarza godziną śmierci - wysunął argument Leonard.

- Wiele czynników może wpływać na ocenę czasu śmierci. Maggie Stone może panu powiedzieć.

- Chyba przy sekcji nie wyszło na jaw nic, co niewątpliwie wskazywałoby na morderstwo, prawda? - spytał Wyatt.

Kovac podniósł rękę, jakby każąc mu poczekać; jego wzrok przeniósł się z polaroidowych odbitek na pokój przesłuchań za szybą. Neil Fallon siedział z łokciami na stole, z głową w dłoniach. Pochyliła się nad nim Liska.

- Jeśli coś się tamtej nocy wydarzyło, to lepiej nam o tym powiedz od razu, Neil - namawiała łagodnie, po przyjacielsku. - Zrzuć to z siebie. Dźwigasz wielki ciężar.

Fallon pokręcił głową.

- Nie zabiłem go. - Jego głos, dobywający się z głośnika telewizora zamontowanego w uchwycie na ścianie koło okna, brzmiał słabo. Kamera w pokoju przesłuchań pokazywała obraz z góry; wszyscy na ekranie wydawali się mali i zniekształceni.

- Uderzyłem go. Tak. Uderzyłem go w twarz. Własnego ojca. Uderzyłem inwalidę w fotelu na kółkach. I teraz nie żyje.

- Zrobimy neutronową analizę aktywacyjną - oświadczył Kovac Leonardowi i Wyattowi. - Zobaczymy, czy to coś da.

- A jak nie da? - powątpiewał Leonard.

- Wtedy go przeprosimy za kłopoty i spróbujemy czegoś innego.

Wyatt zmarszczył czoło.

- Dlaczego nie poczekaasz, aż dostaniesz raport od doktor Stone? Nie ma sensu znęcać się niepotrzebnie nad tym człowiekiem. Mike był jednym z naszych...

- I zasługuje na to, żebyśmy się przyłożyli do śledztwa. - Kovac czuł, że cierpliwość ma na wyczerpaniu. - Chciałbyś, Ace, żebyśmy tylko odfajkowali? A może pójdziesz do Maggie Stone i namówisz ją, żeby to też uznała za nieszczęśliwy wypadek? Zatuszować sprawę, nie zbrukać legendy Żelaznego Mike'a? Rany boskie! A jeśli to ten drań go załatwił?

- Kovac! - warknął Leonard. Kovac spojrział na niego gniewnie.

- Co?! Jesteśmy ekipą wydziału zabójstw. Prowadzimy dochodzenia w każdym przypadku gwałtownej śmierci. Mike Fallon zmarł gwałtowną śmiercią. Wolelibyśmy na to nie patrzeć, bo myślimy, że odebrał sobie życie; a wiemy, że każdy z nas może się znaleźć na takich zdjęciach za rok czy pięć lat. Myślimy, że popełnił samobójstwo, bo wiemy, co ta praca robi z człowiekiem; wiemy, że odbiera mu wszystko.

- I może dlatego wolałbyś, Sam, aby tu się okazało, że to coś innego - odparł Wyatt. - Myślisz, że jeśli Mike nie odebrał sobie życia, to i tobie to nie grozi.

- Nie. Ja nie chciałem na to patrzeć. Liska mi to wytknęła. Miałem ochotę to odfajkować. Ale ona miała rację; trzeba drażnić, trzeba na tę sprawę patrzeć jak na każdy inny przypadek śmierci od broni palnej. Tu nie wystarczy powiedzieć: „jaka szkoda”, tu chodzi o znacznie więcej.

- Uważam tylko, że trzeba z należyтым szacunkiem traktować jedyne go członka rodziny, który pozostał przy życiu - nie ustępował Wyatt. - Przynajmniej póki patolog nie da nam czegoś konkretnego.

- Cóż, w porządku. Gdyby twój głos się tu liczył, to może bym cię słuchał. Ale jeśli mi się to nie śniło, to byłem na twojej imprezie pożegnalnej, Ace. Już tu nie pracujesz i gównu mnie obchodzi, co mi masz do powiedzenia na temat śledztwa.

Wyatt spurpurowiał na twarzy. Wkroczył Leonard:

- Posuwasz się za daleko, Kovac.

- Za daleko? A co mi wolno? Lizać tyłek? - mruknął Kovac, odsuwając się od nich. Totumfacki Wyatta, Gaines, stał w głębi i przyglądał mu się z pełnym wyższości

uśmiechem klasowego prymusa. Kovac rzucił mu spojrzenie pełne niesmaku i zwrócił się ponownie do szyby.

- Jeśli posunąłem się za daleko, przepraszam. - Zabrzmiało to nieszczerze. - Miałem potworny tydzień.

- Dobrze - westchnął ciężko Wyatt - właściwie masz rację. Nie mam tu nic do powiedzenia. To twoje śledztwo. Jeśli chcesz przydusić Neila i narazić komendę na proces o odszkodowanie tylko dlatego, że przydałby ci się seans u psychoterapeuty, to nie moja sprawa. To naprawdę wielka szkoda; wolałbym, żeby się to nie wydarzyło.

- Tak. A ja bym wolał, żeby na świecie panował pokój, a Wikingowie zdobyli superpuchar, zanim umrę - odparł Kovac. - Wiesz, jak to jest, Ace. Morderstwo to paskudna sprawa.

- Jeśli to morderstwo.

- Jeśli to morderstwo. Ale jeśli tak, to ja wsadzę za kratki tego, kto to zrobił. I nie obchodzi mnie, kim się okaże.

Znów wrócił do okna i przyglądał się temu, co działo się w pokoju przesłuchań.

- Jest pan prawo- czy leworęczny, panie Fallon? - spytał Elwood.

- Leworęczny.

Elwood rozłożył na stoliku niewielki zestaw pojemnicz- ków i wacików. Fallon popatrzył na to i wyprostował się.

- Przetrzemy teraz pański kciuk i grzbiet palca wskazującego pięcioprocentowym roztworem kwasu azotowego - wyjaśniała Liska. - To nic nie boli.

Kovac opuścił wzrok na parapet, na rozłożone tam zdjęcia sceny śmierci Mike\*a Fallona.

- Rany boskie! - wyszeptał, biorąc do ręki jedno za drugim, przyglądając się, odkładając na bok. Tętno mu podskoczyło.

- Co? - zaciekawił się Wyatt.

Kovac wiedział, że na zdjęciach jest to, o co mu chodziło, ale wciąż nie mógł tego znaleźć. Wreszcie dotarł do ostatniej odbitki.

- Proszę mi podać lewą dłoń, panie Fallon - powiedział Elwood, szykując wacik.

Neil Fallon wysunął trzęsącą się rękę.

Kovac przyłożył fotografię do szyby. Miał teraz dwa obrazy w jednym, duży i mały, ojciec i syn. Mike Fallon, nieżywy, zakrwawiony; pistolet, który go zabił, na podłodze, po prawej stronie wózka; najwyraźniej wypadł z ręki zabitego.

- Panie Fallon?

Znak zapytania w głosie Elwooda zwrócił uwagę Kovaca.

- Panie Fallon, musi mi pan podać rękę.

- Nie.

Neil Fallon odsunął krzesło od stolika i wstał.

- Nie. Nie zrobię tego. Nie muszę. Nie chcę.

- To ci niczym nie grozi, Neil - uspokajała Liska. - Jeśli go nie zastrzełeś.

Odepchnął krzesło, aż się przewróciło.

- Nikogo nie zabiłem. Jeśli myślicie, że to ja, to mnie oskarżcie albo pieprzcie się.

Wychodzę.

Elwood odwrócił się do szyby.

Kovac wpatrywał się w zdjęcie; Neil tymczasem wypadł za drzwi pokoju przesłuchań.

- Mike Fallon był leworęczny - powiedział Kovac, patrząc na Wyatta. - Mike Fallon został zamordowany.

- Mike Fallon był mańkutem - mówił Kovac. - Gdyby chciał się zabić, wziąłby pistolet do lewej ręki.

Odegrał scenę przed zebranymi w gabinecie Leonarda: Leonardem, Liska, Elwoodem i Chrisem Loganem z prokuratury hrabstwa.

- Podtrzymuje lewą dłoń prawą, wsadza lufę do ust, pociąga za spust. Bach! Po wszystkim. Nie żyje. Odrzut odrzuca ręce. Może więc pistolet wylatuje z rąk. Albo zostaje w tej dłoni, w której go trzymał, czyli w lewej, gdy ręce opadają na boki, i wysuwa się z dłoni potem. Tak czy owak, w żadnym razie nie może się znaleźć po prawej stronie fotela.

- Na pewno był leworęczny? - spytał Logan. Oskarżyciel wyglądał, jakby z drugiej strony ulicy, z siedziby władz hrabstwa, przywiał go arktyczny wiatr: włosy rozwichrzone, policzki czerwone. Zrosnięte brwi utworzyły ciemne „V” nad oczami.

- Tak, na pewno - odparł Kovac. - Nie mam pojęcia, dlaczego od razu nie zwróciłem na to uwagi. Chyba dlatego, że tak bardzo nasuwała się hipoteza samobójstwa.

- Ale syn, wiedząc, że Mike jest leworęczny, uwzględniłby to jakoś.

- Neil sam jest leworęczny - argumentował Kovac. - Wyprawia starego na tamten świat, odsuwa się, odkłada pistolet lewą ręką. Kładzie po prawej stronie Mike'a.

Logan mocniej zmarszczył czoło.

- To zbyt kruche. Nie macie nic innego? Odcisków palców na broni?

- Nie. Są odciski palców Mike'a, rozmazane. Tak jakby ktoś przytrzymał jego dłoń swoją.

- „Tak jakby” to za mało. Mógł mieć spoconą rękę, mógł kilka razy poprawić uchwyt. Odciski mogły się rozmazać, kiedy pistolet wysuwał się z dłoni.

- Jest świadek, że Neil był tej nocy w domu ojca.

- A Fallon chciał to ukryć.

- Ale to jest trzy godziny przed oszacowaną godziną śmierci.

Włączyła się Liska.

- Byli w konflikcie. Neil miał zastarzałe żale, trawiła go zazdrość. Mike nie chciał mu pożyczyć pieniędzy, których potrzebował. Fallon przyznaje się do kłótni z ojcem. Przyznaje się, że go uderzył.

- Nie przyznaje się, że go zabił.

Kovac zaklął.

- Czy już do tego doszło, że mamy wam każdego sprawcę podać na tacy? Udekorowanego jak świąteczny indyk i z podpisanym przyznaniem się do winy w dziobie?

- To, co macie, nie wystarczy. Muszę mieć więcej. Jego adwokaci wyciągną go stąd w pięć minut. Macie motyw i nic więcej. Czas, kiedy mógł to zrobić, nie zgadza się z oceną lekarza sądowego. Nie macie żadnych dowodów rzeczowych, żadnego świadka. Skłamał? Policji wszyscy kłamią. To za mało, by go aresztować. To za mało, żeby wystawić akt oskarżenia. Gdyby ktoś usłyszał strzał, kiedy on tam był, to co innego. Gdybyście znaleźli krew starego na jego butach - też co innego. Dostarczcie mi coś. Cokolwiek.

- Jeśli Neil przytrzymał dłoń ojca, to będzie można znaleźć jego odciski palców na skórze starego - zauważyła Liska.

- Teraz będzie już trudno - odparł Kovac. - Stone i Lars obcięli paznokcie, badali dłonie na obecność obrażeń odniesionych w obronie własnej...

- Warto spróbować - nie poddawała się. - Użyj swojego uroku, Sam.

Kovac przewrócił oczami.

- A może dostalibyśmy nakaz rewizji w domu Neila? Moglibyśmy poszukać tych zakrwawionych butów.

- Wypiszcie oświadczenie i idźcie z tym do sędziego Lundquista, żeby wam wystawił nakaz. Macie moje błogosławieństwo - powiedział Logan, zerkając na zegarek. - Jestem absolutnie za tym, żeby wsadzić tego drania, jeśli to jego sprawka. - Zaczął wkładać jesionkę. - Ale to musi być murowana sprawa. Bo inaczej znów się okaże, że wdepnęliśmy w gówno, i obsmarują nas w gazetach, a ja nie zamierzam świecić za wszystkich oczami. Muszę iść - oznajmił. - Mam być w sądzie. - I zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, już go nie było.



- Taki jest minus posiadania prokuratora o ambicjach politycznych. Oskarża tylko wtedy, kiedy jest pewien wygranej. Dobrze kalkuluje ryzyko.

- Logan ma rację - wtrącił się Leonard. - Nie stać nas na kolejne fiasko.

Tłumaczenie: jeśli coś spieprzymy, to wierchuszka da Leonardowi w dupę - pomyślał Kovac. Oczywiście za wszystkim będzie stał Ace Wyatt. A Kovac i Liska będą pierwszymi kozłami ofiarnymi. Elwoodowi może się upiecze, bo pełni tu tylko funkcje pomocnicze.

- Wystawię oświadczenie - rzekł Kovac.

Odezwał się pager Liski, sięgnęła po niego do paska.

- Mamy zabrać do domu Neila Fallona ludzi z urzędu szeryfa? - zapytał Elwood. - Powinni przy tym być. To ich jurysdykcja.

Leonard chciał coś powiedzieć, ale Kovac nie dopuścił go do głosu, zupełnie nie zwracając uwagi, kto tu jest zwierzchnikiem.

- Zadzwoń do Tippena. Jeśli mamy mieć w ekipie ludzi szeryfa, to chciałbym, żeby to był on.

- Sam, muszę jechać - powiedziała Liska. - Ibsen odzyskał przytomność. Jestem wam potrzebna?

- Nie. Jedź.

- Dzwonił do mnie komendant nocnej zmiany! - zawołał za nią Leonard, kiedy była w drzwiach. - Wyraziłem zgodę na to, żebyś dołączyła do Castletona przy śledztwie w sprawie pobicia Ibsena. Nawet nie zapytałaś.

- Dziękuję, poruczniku - powiedziała, bez powodzenia ukrywając zmieszanie. - Miałam panu powiedzieć. Ibsen to mój informator.

- Byłbym zobowiązany, gdybyś znalazła pięć minut po powrocie i wprowadziła mnie w to, o czym tak cię informował.

- Jasne. Potem. - Odwróciła się, robiąc po drodze oko do Kovaca.

- Powodzenia, Dzwonek! - rzucił. - Mam nadzieję, że gość wszystko dobrze widział i wszystko dobrze pamięta.

- Będę zadowolona, jeśli w ogóle będzie reagował.

\*

„Odzyskał świadomość” było określeniem mocno na wyrost, jak się okazało. Ibsen częściowo uniósł powieki i jęknął. W odpowiedzi na to personel medyczny oddziału intensywnej opieki medycznej ośrodka zdrowia hrabstwa Hennepin napompuwał go do oporu morfiną.

W łóżku - zawinięty w bandażę i podłączony siecią rurek do aparatury - wydawał się mały i żalony. Nikt przy nim nie siedział i nikt nie modlił się do Boga o jego ocalenie. Nikt go nie odwiedzał, według personelu oddziału, mimo że zawiadomiono szefa klubu „Boys Will Be Girls”, który z pewnością przekazałby wieść znajomym i przyjaciołom Ibsena. Skoro nikt nie przyszedł, to pewnie Ibsen nie miał przyjaciół. Chociaż może odstraszyła ich informacja, że został tak zmasakrowany.

- Czy pan mnie słyszy, panie Ibsen? - Liska zapytała już po raz trzeci.

Leżał z głową odwróconą w jej stronę, z oczami otwartymi, ale nieobecny. Podobno słowa docierają do świadomości nawet ludzi w głębokiej śpiączce. Nie miała podstaw w to wątpić.

- Znajdziemy tych, którzy to panu zrobili - obiecała.

Policjantów. Słabo się jej robiło, kiedy o tym myślała. Zrobili to policjanci. Policjanci popełnili zbrodnię; zhańbili mundury, które noszą. Szkody, jakie wyrządzili, nie ograniczały się do okaleczenia Kena Ibsena. Dotyczyły wizerunku policji, zaufania społeczeństwa do funkcjonariuszy publicznych. Nienawidziła Ogdena i Rubela za to, że zawiedli to zaufanie, a także za to, że podkopali jej własną wiarę w społeczność policyjną, która była jej drugą rodziną.

Nie była naiwna. Wiedziała, że nie wszyscy policjanci to dobrzy policjanci. Niejeden drań nosi policyjną odznakę. Ale zabójstwo czy usiłowanie zabójstwa? W głębi duszy wciąż wzdragała się w to uwierzyć. Ken Ibsen był jednak żywym dowodem, że uwierzyć w to trzeba.

- Odpowiedzą za to - wyszeptała i odwróciła się.

Na zewnątrz sali, pod drzwiami, siedział umundurowany policjant i czytał czasopismo dla wędkarzy. Nazywał się Hess, jeśli wierzyć plakietce identyfikacyjnej. Tłusty facet w oczekiwaniu na emeryturę lub zawał serca, zależy, co przyjdzie najpierw.

Rzucił Lisce lekceważące spojrzenie, typu: „ach, to tylko dziewczyna”. Miała ochotę wykopać mu krzesło spod tyłka. Miała ochotę wyrwać mu pismo z rąk i rąbnąć go w głowę. Nie mogła sobie, niestety, na to pozwolić.

- Z którego komisariatu jesteście, Hess?

- Z trzeciego.

- Wiecie, dlaczego ściągnięto was do śródmieścia?

Wzruszył ramionami.

- Bo byłem wolny. Mam pilnować tego gościa.

Nie zdziwiło go, że nie przydzielono tego zadania komuś z posterunku śródmiejskiego. Był po prostu zadowolony, że ma czas na pogłębianie wiedzy o przynętach i błyskach na szczupaka. Liska zażądała przysłania kogoś z zewnątrz, bo się obawiała, że jakiś koleś Ogdena czy Rubela mógłby ich tu wpuścić „po znajomości”, tak jak to się już zdarzyło, gdy pierwszy na miejscu śmierci Andy'ego Fallona funkcjonariusz wpuścił ich obu do domu. Teraz zastanawiała się, czy taki głąb jak Hess był lepszy.

- Był tu Castleton? - spytała.

- Nie.

- Ktoś inny z policji?

- Nie.

- Gdyby zjawił się ktokolwiek, poza personelem medycznym, mam być od razu zawiadomiona.

- Mhm.

- Jeśli wchodzi do sali ktokolwiek, nie obchodzi mnie, kto, masz podnieść tyłek z tego krzesła i patrzeć przez szybę w drzwiach. Mogłabym go zabić pięć razy, a ty byś tu siedział i porównywał typy spławików.

Hess zrobił obrażoną minę; nie nawykł, by go pouczała w sprawach służbowych kobieta, a już na pewno nie tak młoda, że mogłaby być jego córką.

- Może by ci przeszczepili trochę rozumu, skoro już tu jesteś - mruknęła pod nosem, odchodząc.

Zjechała windą na parter, myśląc o Ogdenie i Rubelu, zastanawiając się, jak daleko mogą się posunąć, czy będą próbować czegoś tutaj, w szpitalu. Wydawało się, że nie powinni aż tak ryzykować, ale z drugiej strony, jeśli mieli coś wspólnego z morderstwem na Ericu Curtisie, jeśli mieli coś wspólnego ze śmiercią Andy'ego Fallona, jeśli byli zdolni uczynić człowiekowi coś takiego, co uczynili Kenowi Ibsenowi, to znaczy, że nie cofną się przed niczym.

A może oni wcale nie chcieli śmierci Ibsena? Żywy był straszliwszym symbolem; stanowił czytelny sygnał, że nie ma z nimi żartów. Zastanawiała się, dlaczego czekali z tym aż do tej pory. Dlaczego nie zrobili tego wtedy, kiedy śledztwo było jeszcze w toku? Może wcale nie przejmowali się Ibsenem; może poruszyły ich dopiero jej wysiłki w celu ponownego wszczęcia dochodzenia. Przecież Ibsena właściwie nikt nie traktował poważnie. Dopiero ona.

Wspaniale! To by znaczyło, że Ibsen jest sygnałem dla niej; i to rzeczywiście przez nią leży teraz w szpitalu.

Musieli obserwować Ibsena, skoro dopadli go w tym zaułku - pomyślała. Ją też prawdopodobnie obserwowali. Nieźle się musieli nagimnastykować, chcąc mieć rękę na pulsie. Ale - przypomniała sobie - przecież to nie tylko ta dwójka; muszą mieć współników. Springer dał im alibi. Dungen, mąż zaufania dla funkcjonariuszy homoseksualistów, wspominał, że nastroje antygejowskie są częste. Ale kto chciałby się posunąć do współudziału w napadzie czy zabójstwie? A nawet tylko patrzeć na to przez palce? Wolałaby siebie nie przekonywać.

Wyszła z windy ze spuszczoną głową, zatopiona w myślach; starała się to wszystko sobie uporządkować, ustalić, co jest najważniejsze, co drugorzędne. Trzeba się skontaktować z ostatnim partnerem patrolowym Erica Curtisa. Jak mu było? Engle. Castleton chce, żeby poszła do SW i wyciągnęła od nich to, co im mówił Ibsen. Musi zadzwonić do Kovaca, poinformować go o swoich ostatnich odkryciach w sprawie Ibsena i dowiedzieć się, jak im poszła rewizja w domu Neila Fallona. Kovac jest teraz pewnie u sędziego Lundquista.

Wyjęła komórkę z kieszeni i rozejrzała się, szukając spokojnego miejsca, żeby się zatrzymać i zadzwonić. Zobaczyła trzy metry przed sobą Rubela, który wpatrywał się w nią bez wyrazu. Był po cywilnemu. Zmartwiała na moment, zobaczyła, że trzyma coś w

ręku, potem ktoś wpadł na nią z tyłu. Rubel ruszył naprzód, jedną ręką nałożył lustrzane okulary słoneczne, drugą schował do kieszeni płaszcza.

- Co tu robisz, u diabła? - wyrzuciła z siebie, zastępując mu drogę.

- Szczepionka przeciw grypie.

- Ibsen jest pilnowany.

- A co mnie to obchodzi? Nie mam z nim nic wspólnego.

- Tak, na pewno. Twój partner mógłby niejedno opowiedzieć.

Rubel wzruszył ramionami.

- Ogden jest czysty. A SW uważała, że ten gość nie ma do powiedzenia nic, czego warto by słuchać.

- Ale ktoś był innego zdania. Wybito mu wszystkie zęby.

- Mówiłem Castletonowi. Nic o tym nie wiem. Ogden, Springer i ja graliśmy u mnie w bilard.

- To przypomina szkolne tłumaczenie: „Pies zjadł mi pracę domową”.

- Niewinni ludzie nie myślą cały czas tylko o tym, żeby mieć żelazne alibi - powiedział, zerkając jej przez ramię gdzieś w głąb korytarza. - Jeśli pani sierżant pozwoli...

- Tak, ty i Ogden, i cała banda waszych koleśków, nienawidzących gejów, to chórek ze szkółki niedzielnej. - Liska żałowała, że brakuje jej wzrostu, by mu to naprawdę rzucić w twarz. W tej chwili mógł patrzeć sporo nad czubkiem jej głowy. - To nie Eric Curtis ani Andy Fallon przynoszą wstyd naszej służbie. To takie zbiry jak wy, którym się wydaje, że mają wolną rękę w eliminowaniu każdego, kto nie pasuje do waszych wąskich poglądów. To was powinno się usunąć ze służby. Jeśli znajdę choć cień dowodu przeciwko wam, dostaniecie w tyłki aż miło.

- To brzmi jak groźba.

- Tak? To się poskarż do SW - rzuciła i ruszyła korytarzem w tę stronę, skąd przyszedł Rubel. Czowała jego wzrok na plecach, póki nie skręciła za róg.

- W czym mogę pomóc? - odezwała się recepcjonistka zza kontuaru.

Liska rozejrzała się dookoła. W niewielkiej poczekalni siedzieli na krzesłach mizernie wyglądający ludzie. Nad kontuarem wisiała tabliczka „Laboratorium”.

- , To tu są szczepienia przeciw grypie?

- Nie, proszę pani. Szczepienia są w gabinecie zabiegowym przy oddziale pomocy doraźnej. Tu robimy badania krwi. Proszę wrócić tym korytarzem, którym pani przyszła i... Liska przerwała kobiecie, podziękowała i odeszła.

- Zaskarżę policję do sądu! - wykrzykiwał Neil Fallon, jego ciężkie buty chrzęściły po ubitym śniegu, kiedy chodził przed Kovakiem w tę i z powrotem. Był z gołą głową, a wiatr dmący znad jeziora rozwiewał mu włosy w zmierzwioną masę. Dziki wzrok i nabrzmiałe żyły na szyi nadawały mu wygląd szaleńca.

Kovac zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wydmuchnął cienką wstążkę dymu, którą wiatr porwał natychmiast. Mróz przy takim wietrze był naprawdę dojmujący.

- Zrób to, Neil - powiedział. - To wyrzucanie pieniędzy, których i tak nie masz, ale co mi tam!

- Bezpodstawne aresztowanie...

- Nikt cię nie aresztuje.

- Szykanowanie...

- Mam nakaz rewizji. Nic nie wskórasz, Neil - rzekł spokojnie.

Słońce rzucało słabe żółtawe światło przez zasłonę niesionego wiatrem śniegu.

Wędkarskie domki rozrzucone na brzegu jeziora wydawały się tulić do siebie dla rozgrzewki.

Fallon stanął, sapiąc ciężko, i spojrzał przez szeroką bramę, jak policjanci przeczesują zagracony warsztat. W domu nie znaleziono nic prócz bałaganu świadczącego o braku kobiecej ręki.

- Nikogo nie zabiłem - powiedział z naciskiem. Kovac obserwował go kątem oka.

- To nie masz się czym martwić. Chodź, idziemy na piwo. Tippen z oddziału detektywów urzędu szeryfa stanął obok.

Też palił i przyglądał się przepastnemu wnętrzu warsztatu. Postawiony kołnierz zimowej kurtki sięgał mu powyżej uszu, narciarska wełniana czapka w czerwono- białe paski opatulą głowę.

- Zdawało mi się, że rzuciłeś palenie - zagaił.  
- Bo rzuciłem - odparł Kovac.  
- To się nazywa zaprzeczanie, Sam. Ciężki przypadek.  
- No cóż... Czy ktoś ci mówił, że w tej czapce wyglądasz jak przyglup?  
- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Tippen z kamienną twarzą. - Gdzie Liska?  
- Masz na nią chętkę, co?  
- Głodnemu chleb na myśli. Pytałem o towarzysza pracy.  
- Podobałoby się jej, że za nią tęsknisz. Rozpracowuje inne aspekty sprawy. W ciepłych krajach.

- Na Alasce? Tam cieplej niż tutaj.  
- Jakie aspekty? - zaciekał się Fallon.  
- Ciebie to nie obchodzi, Neil. Ma inne śledztwa.  
- Nie zabiłem ojca.  
- Co ty powiesz? - Kovac nie przestawał interesować się wnętrzem szopy. Wychodził z niej Elwood, trzymając w ręku drelichowy brązowy kombinezon.

Fallon aż podskoczył, niczym rażony wstrząsem elektrycznym.  
- To nie to, co ci się wydaje.  
- A co mi się wydaje, Neil?  
- Mogę to wyjaśnić.  
- Jak ci się wydaje, Sam? Mnie to wygląda na krew. Kombinezon był brudny. Pochłapany czymś, co wyglądało na zakrzepłą krew i tkanki.

Kovac zwrócił się do Neila Fallona: - Wiesz, co mi się wydaje? Wydaje mi się, że jesteś aresztowany. Masz prawo nic nie mówić...

Cal Springer zadzwonił, że się źle czuje, i wziął wolny dzień. Liska podjechała pod jego dom i rozglądała się chwilę, nim zgasła silnik. Cal wraz z małżonką mieszkali w

podmiejskiej dzielnicy willowej o nazwie „Rajska Preria”. Jego dom agent nieruchomości nazwałby nowoczesnym, co oznaczałoby, że jest bez stylu. Wracając tu do domu po nocnej hulance, ryzykowało się, że wejdzie się do domu sąsiada i nie zauważy różnicy, chyba że uruchomi się alarm.

Mimo wszystko osiedle wyglądało sympatycznie. Liska nie posiadałaby się ze szczęścia, mieszkając w czymś takim. Zastanawiała się, jak to możliwe, że Cala na to stać. Zarabiał sporo; miał duży staż i niezłe stanowisko, niemniej jednak nie aż tyle. I wiedziała, że ma córkę w St. Olaf, kosztownym prywatnym college'u w Northfield. Pewnie to małżonka przynosi kasę. Przyszło jej do głowy: Cal Springer, utrzymanek.

Podeszła do drzwi i zadzwoniła. Potem zatkała palcem judasza.

- Kto tam? - odezwał się zza drzwi Springer. Miał taki głos, jakby się bał, że właśnie dopadł go urząd podatkowy i wywloką go teraz w łańcuchach za życie ponad stan.

- Tu Elana z agencji towarzyskiej „Elite”! - zawołała głośno Liska. - Przyszłam, żeby pana jak zwykle o czwartej wychłostać.

- Niech cię szlag trafi, Liska! - Drzwi się otworzyły, pokazał się Springer, piorunujący ją wzrokiem, a jednocześnie rozglądający się za sąsiadami. - Mogłabyś trochę uważać. Ja tu mieszkam.

- No dobra. Wolalbyś, żebym cię kompromitowała przed obcymi?

Przemknęła się pod ręką Springera i znalazła się w hallu, pomieszczeniu z bezbarwnymi płytkami na podłodze, bezbarwną farbą na ścianach i bezbarwną poręczą przy schodach wiodących na piętro.

- Wiesz, że schody nie powinny wychodzić prosto na drzwi jak u ciebie? *Feng shui* diabli biorą. I całe twoje *chi* ucieka drzwiami.

- Jestem chory - oznajmił Springer.

- Właśnie dlatego. Brak *chi*. Podobno przez to właśnie umarł Bruce Lee. Czytałam o tym w magazynie „In Style”. - Otaksowała go od stóp do głów policyjnym spojrzeniem, zwróciła uwagę na rozczochrane włosy, szarą cerę, wory pod przekrwionymi oczami. Wyglądał fatalnie. - A może to coś zupełnie innego. Towarzystwo Rubela i Ogdena ci szkodzi, Cal. Nie sądzisz?



- Nie powinno cię obchodzić, z kim się przyjaźnię.

- Jestem pewna, że pobili faceta do nieprzytomności w czasie, kiedy ty jakoby grałeś z nimi w bilard.

- Nie mogli tego zrobić - powiedział, uciekając wzrokiem. - Byliśmy u Rubela.

- Małżonka potwierdzi?

- Nie ma jej w domu.

- Kiedyś przyjdzie.

Liska usiłowała stanąć naprzeciw niego, lecz bezskutecznie - Springer wciąż się odwracał. Miał na sobie wypchane na kolanach brązowe spodnie od dresu, które pamiętały lepsze czasy, i za małą bluzę z rękawami, które sięgały mu ledwie za łokieć. Nawet na luzie nie potrafił się porządnie ubrać.

- A w ogóle to co ty masz z tym wspólnego? - zdenerwował się.

- Współpracuję z Castletonem przy śledztwie w sprawie tego pobicia. Ibsen miał się ze mną spotkać. Chciał mi powiedzieć coś ważnego o morderstwie Curtisa. A skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby mu zatkać gębę, to tym bardziej jestem ciekawa, co mi miał do powiedzenia. Znasz mnie, Cal, wiesz, jaka jestem w takich sprawach. Zajadła niczym terier. Nie popuszczę.

Springer jęknął gardłowo i położył rękę na brzuchu. Jego spojrzenie powędrowało ku otwartym drzwiom toalety wciśniętej pod schodami.

- Dlaczego ty się kolegujesz z mundurowymi, Cal? Jesteś przecież detektywem, na litość boską. I musisz mieć od nich - ile? - piętnaście lat więcej? Nie obraż się, ale dlaczego oni trzymają się z tobą?

- Słuchaj, mówiłem ci już, Liska, źle się czuję - powiedział, znów zerkając do toalety. - Możemy dokończyć tę rozmowę kiedy indziej?

- Kiedy już sobie stąd pójdę do diabła? - zapytała obrażonym tonem. - Ale z ciebie gospodarz! Chociaż dom masz niezły. - Zajrzała do salonu z kominkiem z kamienia i skórzanymi kanapami. W kącie stała wysoka choinka. Ubrana była artystycznie, może trochę za bogato, a anielskich włosów miała już stanowczo za dużo. - Ale podatki muszą być tutaj wykańczające, co?

- Co ci do tego? - zapytał, wyprowadzony z równowagi.

- Nic. Mnie by nie było stać na taką chałupę. Skąd na to wziąć?

Popatrzyła prosto na niego i dostrzegła - zanim wziął się w garść - jakiś cień w jego oczach. Stało się dla niej jasne, że Cal Springer zawsze próbował doganiać swoje ambicje i prawdopodobnie nigdy mu się to nie udawało.

Rozległ się odgłos otwierania bramy garażowej; Springer zachmurzył się jeszcze bardziej.

- To moja żona. Wraca z pracy.

- Tak? A czym się zajmuje? Neurochirurgią? Ach, nie, jaka jestem głupia. Gdyby była neurochirurgiem, to wszczepiłaby ci operacyjnie trochę zdrowego rozsądku.

- Jest nauczycielką - powiedział Springer, masując się po brzuchu.

- No, to wyjaśnia życie na wysokiej stopie. Ci nauczyciele wprost tarzają się w forsie.

- Zarabiamy we dwoje dosyć - najeżył się Springer. Dosyć, żeby siedzieć po uszy w długach - pomyślała Liska.

- Ale przydałby się awansik, co? Z tym że po spapranii śledztwa w sprawie Curtisa szansę są marne. Więc kandydujesz na delegata związków, chcąc pokazać zwierzchności, że masz zdolności przywódcze. Mam rację?

- Calvin! Wróciłam! - Miękki, ciepły głos rozległ się z kuchni. - Kupiłam imodium.

- Jesteśmy tutaj, Patsy.

- Kto przyszedł?

Z kuchni dobiegły odgłosy ustawiania toreb z zakupami i za moment w przedpokoju pokazała się pani Springer. Wyglądała jak stereotyp nauczycielki w średnim wieku: pulchna, nijaka, wielkie okulary, mysie włosy.

- Dzień dobry, pani Springer. Jestem Nikki Liska. - Liska wyciągnęła rękę.

- Ode mnie z pracy - uściślił Cal.

- Zdaje się, że widziałam panią kiedyś na imprezie noworocznej - dodała Liska.

Pani Springer wyglądała na zbitą z tropu. Albo zaniepokojoną.

- Przyjechała pani sprawdzić Cala? Ma rozstrój żołądka.

- Właściwie to muszę mu zadać parę pytań.

Springer stanął za żoną. Jego płaska twarz przypominała woskową maskę. Wzrok zdawał się mieć skupiony gdzieś w innym wymiarze, jakby widział właśnie, że jego życie kruszy się niczym zeschnięty ser.

Pani Springer ściągnęła brwi.

- Parę pytań? Na jaki temat?

- Czy wie pani, gdzie Cal był wczoraj około jedenastej, wpół do dwunastej wieczorem?

W oczach pani Springer za zbyt wielkimi okularami pokazały się łzy. Obejrzała się przez ramię na męża.

- O co chodzi?

- Po prostu jej powiedz, Patsy - rzekł Springer niecierpliwie. - To nic ważnego.

Liska czekała, czując ciężar na piersi; przypomniała sobie własną matkę, gdy do domu przychodzili ludzie z SW i zadawali pytania. Znała to uczucie bezsilności; to poczucie, że zostało się zdradzonym przez swoich.

- Calvin wczoraj wieczorem był poza domem - oświadczyła cichym głosem Patsy Springer. - Z przyjaciółmi.

Stojący za jej plecami mąż przetarł dłonią twarz i próbował stłumić westchnienie ulgi.

- Nie - powiedziała Liska, nie odrywając od niego wzroku. - Ci ludzie, z którymi Cal, jak pani twierdzi, spędził wczorajszy wieczór, to nie są jego przyjaciele, pani Springer. Mam nadzieję, że nie był z nimi; mam nadzieję, że pani skłamała.

- Liska, dość! - Springer wyszedł naprzód i stanął przed żoną. - Nie wolno ci w moim własnym domu nazywać moją żonę kłamcą.

Liska nie cofnęła się. Wyjęła z kieszeni płaszcza rękawiczki, włożyła najpierw jedną, potem drugą.

- Nie słuchałeś, co do ciebie mówiłam, Cal - rzekła cicho. - Wykręć się z tego, zanim będzie za późno. Cokolwiek na ciebie mają, nie może być tak złe jak to, co oni zrobili.

- O czym ona mówi, Calvin? - W głosie pani Springer brzmiał lęk.

Springer przeszył Liskę wzrokiem.

- Opuść mój dom.

Liska skinęła głową, po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem zbyt ładny dom i w końcu popatrzyła na Cala Springera, który wyglądał, jakby go coś zżerało od środka.

- Pomyśl o tym, Calvin - dorzuciła. - Wiesz, co z nim zrobili. Wiesz pewnie znacznie więcej. Oni noszą tę samą odznakę co ty i ja, i to jest źle. Bądź mężczyzną, powstrzymaj ich.

Springer odwrócił wzrok, przycisnął dłoń do brzucha, pot perlił mu się na poszarzałej twarzy. Milczał.

Liska wyszła na mróz kończącego się popołudnia, wsiadła do samochodu i ruszyła na wschód, do Minneapolis, nie marząc o niczym innym, tylko o tym, żeby już być w domu z synami.

- Jaka jest szansa, że ta krew to krew Mike'a Fallona? - spytał Tippen znad kufła piwa.

Siedzieli w pubie „U Patryka”; lokal wypełniali stali klienci, którzy przychodzili tu codziennie po służbie, oraz piątkowy tłumek pod hasłem: „zaszalejmy raz w tygodniu”.

- Mała albo żadna - odparł Kovac. Wziął garść mieszanki koktajlowej z miski stojącej na stole i wybrał z niej starannie orzeszki ziemne i słone precelki. Zawsze podejrzewał, że te twarde kawałki, które mają udawać chipsy kukurydziane, w rzeczywistości są obrzynkami paznokci u nóg. - Musiał stać z przodu, przed ojcem, kiedy broń wypaliła. Ta cała miazga poszła do tyłu. Myślę, że ta krew na kombinezonie wzięła się z patroszenia ryb, dokładnie tak, jak twierdzi Fallon. Ale to wcale nie znaczy, że nie zabił starego. Teraz siedzi w więzieniu; niech się trochę pomartwi i namyśli, żeby nam opowiedzieć, jak to było naprawdę.

- Weekend przed nami, wyników nie dostaniemy wcześniej niż we wtorek- środę - włączył się Elwood. - A jeśli on ma coś na sumieniu, to wyśpiewa nam najpóźniej do niedzieli wieczorem.

- Wyznanie w dzień święty - pokiwał z miną mędrca Tippen. - Bardzo symboliczne.

- Bardzo katolickie - sprostował Kovac. - Wychowano go w tej wierze. Neil Fallon to nie zatwardziały morderca. Jeśli to on zabił ojca, nie wytrzyma długo wyrzutów sumienia.

- Bo ja wiem, Sam? - powątpiewał Tippen. - Czyż każdy z nas nie dźwiga brzemienia jakiejś winy? Taszczymy ten ciężar ze sobą przez całe życie; to on nie pozwala nam osiągnąć niezmałconego szczęścia. Przypomina, że jesteśmy mało warci. Daje wymówkę do uchylania się od sukcesów...

- Większość nas nie zabija własnych ojców. Ten rodzaj winy zmusza do wyznania - powiedział Kovac. - W końcu.

Wstał od stolika, chociaż wcale nie miał ochoty.

- Dokąd to? - zaciekawiał się Tippen. - Teraz twoja kolej.

Kovac wyciągnął portfel i rzucił parę banknotów na blat.

- Idę zobaczyć, czy nie uda mi się przyspieszyć tego procesu.

Ktoś niedaleko Steve'a Pierce'a wyprawiał świąteczne przyjęcie. Właśnie przyjechała następna grupa gości, otworzono drzwi, z wnętrza domu wydostały się śmiechy, muzyka, gwar. Kovac przez chwilę siedział w samochodzie i dopalał papierosa. Wsiadł, wrzucił niedopałek do ścieku i podszedł do drzwi.

Okna mieszkania Pierce'a były jasne. Jego lexus stał przed domem. Pierce mógł co prawda wyjść do sąsiadów, na przyjęcie świąteczne, ale Kovac poważnie w to wątpił. Steve Pierce w tym roku nie weźmie udziału w świątecznych zabawach. Cholernie trudno jest bawić się i robić zadowoloną minę, kiedy człowiek musi dźwigać ciężar żałoby, smutku i winy. Kovac miał nadzieję, że nie zastanie narzeczonej, bez której Pierce będzie się czuł samotny i bezradny.

- Kopać leżącego - mruknął do siebie, naciskając dzwonek.

Minęła chwila, zadzwonił jeszcze raz. Do sąsiada przyjechała następna grupka gości. Jeden z nich, facet w grubym czerwonym szaliku, wybiegł do ogródka, objął ramieniem śniegowego bałwana i zaczął śpiewać wesołą kolędę.

- Rany boskie, to znowu pan? - mruknął Pierce, otwierając drzwi. - Nie wie pan, że istnieją telefony?

- Wolę kontakt osobisty, Steve. Widać wtedy, jak bardzo mi zależy.

Pierce wyglądał gorzej niż tamtego wieczoru, gdy znalazł zwłoki Andy'ego Fallona. Miał na sobie tę samą odzież. Śmierdział papierosami, whisky i potem; takim potem, który jest wynikiem szamotaniny emocjonalnej. Taki pot wydaje inną woń niż pot powstały wskutek wysiłku fizycznego; ostrzejszą i kwaśną. Pierce w jednej ręce miał niską szklaniczkę z whisky, z kącika warg zwiślał mu papieros. Wyglądał, jakby się nie golił od pogrzebu.

- Zależy panu na tym, żeby mnie wsadzić za kratki - odparł.

- Tylko wtedy, jeśli popełniłeś przestępstwo.

Pierce się zaśmiał. Był prawie zalany, ale chyba nie chciał dopuścić do przekroczenia tej granicy, do całkowitego znieczulenia bólu. Kovac podejrzewał, że chciał cierpieć, a whisky pozwalała mu utrzymywać ból na możliwym do zniesienia poziomie.

- Neil Fallon siedzi w areszcie - powiedział. - Niewykluczone, że to on wykończył starego. Chciałbym usłyszeć, co ty o tym sądzisz.

- Cóż... - Pierce podniósł szklaneczkę. - Wypadałoby to uczcić. Niech pan wejdzie, sierżancie - zaprosił do środka.

Kovac wszedł za nim.

- Uczcić to, że Neil siedzi, czy to, że Mike nie żyje?

- Jedno i drugie. Warci byli sobie nawzajem.

Weszli do gabinetu o ciemnoniebieskich ścianach. Kovac zamknął za nimi drzwi, żeby zyskać minutę czy dwie, gdyby pojawiła się narzeczona.

- Dobrze znałeś Neila?

Pierce wyjął z kredensu drugą szklaneczkę, chlupnął do niej trochę macallana, dopełnił własną.

- Dość, by wiedzieć, że to zbir. Wściekły, zazdrosny, małostkowy, podły. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. - Wręczył szklaneczkę Kovacowi. - Mówiłem Andy'emu, że jego musieli podmienić w szpitalu po porodzie. Nie mam pojęcia, jak mógł pochodzić z tej rodziny buldogów. Był miły, grzeczny, łagodny.

Oczy miał zaczerwienione. Podszedł do wąskiego okna wychodzącego na sąsiedni dom. Był ciemny.

- Był od nich o niebo lepszy - mówił dalej, a głos nabrzmiewał mu frustracją i poczuciem niesprawiedliwości. - Ale wciąż próbował zaskarbić sobie ich względy.

Kovac pociągnął łyk whisky i od razu zrozumiał, dlaczego flaszka kosztuje pięćdziesiąt dolców. Płynne złoto nie byłoby gładsze w smaku.

- Przecież długo był ulubieńcem ojca - powiedział, nie odrywając wzroku od Pierce'a. - Obszedł obity skórą fotel, chcąc mieć lepszy widok. - Chyba musiało mu być ciężko, kiedy go ojciec odrzucił.

- Wciąż chciał mu to jakoś wynagrodzić. Jak gdyby było za co przeproszać. Chciał skłonić ojca, żeby zrozumiał, ale to było coś całkowicie poza zasięgiem tego prymitywa.

Mówiłem Andy'emu, żeby dał sobie spokój; że nie da się zmienić sposobu myślenia drugiego człowieka, ale nie chciał mnie słuchać.

- Jak mu to chciał wynagrodzić? Czym?

Pierce rozłożył ręce.

- Sęk w tym, że niczym się nie dało. Taka jest prawda. Andy chciał, żeby zrobili coś wspólnie. Myślał o spisaniu wspomnień ojca czy coś w tym rodzaju. Czasami o tym mówił. Wydawało mu się, że jeśli dowie się więcej o ojcu, lepiej go zrozumie i znajdzie z nim jakiś wspólny język. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tej strzelaninie, która skazała go na wózek inwalidzki; to był przecież kluczowy moment jego życia. Ale stary wcale tego nie docenił. Nie chciał opowiadać o tym, co się stało. Nie chciał mówić o tym, co czuje. Wątpię, czy w ogóle potrafił. Uczucia i rozwój osobisty to nie jest coś, co cenią ludzie pokroju Mike'a czy Neila Fallona.

- Właśnie, a co z Neilem? Twierdzi, iż ujawnienie przez Andy'ego faktu, że jest gejem, nie zrobiło na nim wrażenia.

Pierce wybuchnął śmiechem.

- Jasne. Nadęty palant! Nienawidził Andy'ego od dawna. Myślał, że skoro nie jest gejem, to podniosą się jego notowania u starego. Że przestanie być czarną owcą, Homoseksu- alizm to u tych prymitywów największa zbrodnia.

- Czy Andy często się z nim widywał?

- Próbował od czasu do czasu zbratać się z Neilem przy tych różnych męskich rozrywkach. Polowanie, ryby, takie rzeczy. Kompletna strata czasu. Neil nie chciał Andy'ego zrozumieć ani polubić. Nie chciał od Andy'ego nic prócz pieniędzy.

- Prosił go o pieniądze?

- Pewnie. Najpierw próbował mu wmówić, że wpakowanie forsy w ten jego biznes to będzie świetna inwestycja. Powiedziałem Andy'emu, że to bez sensu. Niech da Neilowi pieniądze, jeśli się chce z nimi pożegnać na zawsze. Ale inwestycja? Co za kanciarz! Lepiej od razu wyrzucić forszę na śmietnik.

- I co Andy zrobił?

- Spławił go. Wciąż mówił, że później. Miał nadzieję, że się Neil odczepi. - Łyknął whisky i mruknął: - Też mi inwestycja!



- Czy się kłócili? Wiesz coś o tym?

Pierce pokręcił głową. Pociągnął papierosa, który dopalił się już do filtra, odłożył go na parapet.

- Nie. Andy nigdy by się z nim nie pokłócił. Miał za dużo wyrzutów sumienia, że jest lepszy niż przeciętny Fallon. Dlaczego pytasz? Myślisz, że Neil go zabił?

- Ta furtka jest wciąż otwarta.

- Nie wydaje mi się. Neil jest na to za mało sprytny. Od razu byście go zamknęli.

- Zamknęliśmy go - przypomniał mu Kovac.

- Ale... wie pan, o co mi chodzi. - Wrócił do barku i dolał sobie po raz n-ty. - Neil to typ bałaganiarza. Zastrzeli, zatłucze i wszędzie zostawi krew, posokę, bałagan, odciski palców...

- Może.

- I on oczywiście nie przeproszałby. On nie potrafi napisać „przepraszam” ortograficznie. To on powinien był umrzeć - powiedział Pierce z goryczą w głosie. Napił się jeszcze, podsycając swój gniew, dolewając oliwy do ognia. - Bezwartościowy strzep człowieka. Dlaczego ktoś tak wspaniała jak Andy...

Łzy popłynęły strumieniem; dławił się nimi, próbował tłumić, nie zdołał. Zaklął i odstawił szklanke. Chodził, kuśtykając, od ściany do ściany; szlochał: suche, chrapliwe dźwięki wyrywały mu się z gardła.

- Boże!!!

Kovac czekał, aż Pierce poczuje ból, aż spojrzy demonom prosto w twarz.

Po dłuższej chwili odezwał się:

- Kochałeś go.

Dziwnie to zabrzmiało w odniesieniu do mężczyzny. Obserwował Pierce'a i myślał: jakie to szczęście mieć kogoś - kobietę czy mężczyznę - kto darzy takim głębokim uczuciem. A może to jednak tylko wyrzuty sumienia?

- Tak - przyznał Pierce zboląłym szeptem.

Kovac położył mu rękę na ramieniu. Pierce wyrwał się.

- Łączył was związek.

- Andy chciał, żebym się ujawnił, przestał ukrywać jako gej. Nie mogłem. Ludzie by nie zrozumieli. Nie rozumieją. Mogą twierdzić, że rozumieją, ale nie rozumieją. Widziałem to wiele razy. Wiem, co mówią za plecami. Te żarty, drwiny, pogarda. Wiem, co się dzieje. Moja kariera zawodowa... wszystko, czego się dorobiłem... Ja... On... - Zakrzuszył się, jakby jego samego nie przekonywała własna argumentacja. Osunął się na jeden ze skórzanych foteli, skrył twarz w dłoniach. - On tego nie rozumiał. Nie mogłem...

Kovac odstawił whisky.

- Byłeś tam, Steve? Kiedy Andy zmarł?

Pokręcił głową; kręcił nią przez chwilę, jakby chciał się wziąć w garść.

- Nie - powiedział w końcu. - Mówiłem ci. Spotkaliśmy się w piątek wieczór. Przyjaciółki Jocelyn zorganizowały damski wieczorek. Przedtem nie widziałem się z Andym przez miesiąc. Pokłóciliśmy się na temat ujawniania i... Przestaliśmy się spotykać. Nawet nie rozmawialiśmy.

- Związał się z kimś innym?

- Nie wiem. Może. Widziałem go kiedyś w barze z kimś, ale nie wiem, czy to było coś poważniejszego.

- Znałeś go? Tego drugiego?

- Nie.

- Jak wyglądał?

- Jak aktor. Brunet. Szeroki uśmiech. Nie wiem, czy chodzili ze sobą.

- Jak przebiegło to wasze piątkowe spotkanie?

- Znowu się pokłóciliśmy. Uważał, że powinienem przyznać się Jocelyn.

- Byłeś zły.

- Zawiedziony.

- Jak długo byliście z Andym związani?

Zrobił nieokreślony gest dłonią.

- Z przerwami od czasów studenckich. Z początku myślałem, że to tylko... eksperymentowanie... ciekawość. Ale okazało się, że wciąż... potrzebuję tego... tego

drugiego życia... i nie widziałem drogi wyjścia. Jestem zaręczony z córką Douglasa Daringa, na litość boską! Za miesiąc się pobieramy. Jak mógłbym...?

- Już przedtem się o to kłóciliście.

- Pięćdziesiąt razy. Kłóciliśmy się, zrywaliśmy, potem wracaliśmy do siebie, zapominaliśmy o sprawie, on wpadał w przygnębienie...

Zamilkł i siedział, pochylony jak starzec, z wyrazem żalu i bólu na twarzy.

- Powiedział o tobie Jocelyn?

- Nie. Nie był taki. To miała być moja decyzja; to coś, za co ja sam odpowiadam. A ja nie chciałem tego zaakceptować.

- Był zły?

- Było mu przykro - odparł i znów zamilkł na chwilę. - Trudno mi uwierzyć, że odebrał sobie życie; musiałbym wtedy przyznać, że to również moja wina.

Oczy znów wypełniły mu się łzami, zacisnął powieki, wyciekło spod nich kilka łez.

- Ale on to, niestety, zrobił - wyszeptał. - Nie potrafiłem, jak mężczyzna, powiedzieć wprost, kim jestem, a teraz człowiek, którego kochałem jak nikogo na świecie, właśnie przez to nie żyje. Czyli to ja go zabiłem. Kochałem go i zabiłem.

Zawisła między nimi cisza, zakłócana tylko daleką muzyką z wieży stereo. Jedna z tych pseudojazzowych radiostacji, nadających lekką muzyczkę; ma się wrażenie, że w kółko ten sam utwór; ten sam rytm, ten sam płaczliwy saksofon, ta sama niespieszna trąbka. Kovac westchnął, zastanawiając się, co dalej. Chyba nic. Nie ma powodu naciskać Pierce'a mocniej. To była jego tajemnica, to brzemię. Jego pokuta polegała na tym, że będzie je dźwigał do końca życia.

- Powiesz Jocelyn? - zapytał.

- Nie.

- Ciężko żyć w takim zakłamaniu, Steve.

- Wszystko jedno.

- Tobie może tak; nie sądzisz, że ona jednak zasługuje na coś więcej?

- Będę dobrym mężem, nawet dobrym ojcem. Będziemy wspaniałą parą, nie uważasz? Tego właśnie Joss chce: własnego, naturalnych rozmiarów Kena; lalkę, którą

można ubierać, pokazywać i bawić się z nią w udawanie. Jestem bardzo dobry w udawaniu. Bawię się w to całe życie.

- I zostaniesz wspólnikiem firmy „Daring i Landis” i wszyscy będą żyli długo i nieszczęśliwie.

- Nikt nie zauważy.

- Miłość po amerykańsku.

- Jest pan żonaty, Kovac?

- Byłem. Dwa razy.

- To jesteś ekspertem.

- Przynajmniej od tej nieszczęśliwej strony. W końcu uznałem, że taniej i łatwiej być nieszczęśliwym samemu.

Milczeli przez chwilę.

- Powinieneś jej powiedzieć, Steve. W twoim i jej interesie.

- Nie.

Kovac zobaczył, że drzwi do hallu otwierają się powoli, i przebiegł mu po plecach dreszcz. W drzwiach stała Jocelyn Daring, ubrana jeszcze w palto. Nie wiedział, jak długo była w hallu, ale sądząc z jej miny, wystarczająco długo. Łzy i tusz pomalowały jej policzki w pręgi. Wargi miała bezbarwne. Pierce spojrział na nią i nie odezwał się. Jej usta powoli wygięły się w drżący grymas drwiny.

- Ty głupi sukinsynu! - plunęła słowami jak serią pocisków i skoczyła przez pokój, zawodząc jak upiór; w oczach miała dziką furję.

Kovac chwycił ją wpół, powstrzymując przed rzuceniem się na Pierce'a. Wrzeszczała i wiała się, rozdawała razy na ślepo, trafiła go w czoło i rozcięła mu ranę, która już się goiła. Kopnęła Kovaca i wyrwała mu się z uchwytu; chwyciła ze stołu ciężki cynowy świecznik.

- Ty głupi sukinsynu! - krzyknęła i uderzyła świecznikiem Pierce'a, który ani drgnął, w głowę. - Mówiłam ci, żebyś z nim nie rozmawiał! Mówiłam! Mówiłam!

Kovac złapał ją od tyłu, przytrzymał i odciągnął. Ciało miała napięte, była wysoka, a wściekłość nadawała jej nadludzkie siły.

Pierce nie próbował się bronić. Ze skroni spływał mu strumyczek krwi; wytarł go palcami, rozsmarowując na policzku.

- Kochałam cię! Kochałam! - wrzeszczała niemal niezrozumiale Jocelyn. - Po co mówiłeś?! Ja bym ci pomogła!

Złość wyparowała; Jocelyn zwiotczała, łkając. Kovac posadził ją na fotelu. Osunęła się z niego na podłogę i zwinęła w kłębek, uderzając pięścią w poręcz.

- Pomogłabym ci! Pomogła...

Kovac pochylił się i wyjął jej z ręki świecznik. Z rany na jego czole krew kapnęła na jej sweter. Jasnoniebieski moher.

- Zdaje się, że miał pan rację, sierżancie - powiedział ponuro Pierce, patrząc na swoją zakrwawioną rękę. - Chyba łatwiej być nieszczęśliwym samemu.

Sąsiad Kovaca zdołał znaleźć pół metra kwadratowego wolnej przestrzeni w ogródku i dołożył nowy eksponat: tablicę świetlną, odliczającą godziny i minuty do przyjazdu świętego Mikołaja.

Kovac przyglądał się jej długo, zahipnotyzowany nieustannie zmieniającymi się cyframi, i zastanawiał, jaką karę by mu wymierzono za niszczenie własności prywatnej. Ile świecących, krzykliwych symboli komercjalizacji tego święta mógłby zniszczyć, zanim wysokość szkód przekroczy granicę między drobnym wykroczeniem a czymś poważniejszym. Czy gdyby się przyznał do przestępstwa, pozwolono by mu zatrzymać policyjną odznakę?

W końcu, głównie z powodu braku sił na akty wandalizmu, wszedł po prostu do domu. Było tu tak samo pusto jak przedtem, doszedł jedynie smród śmieci, które miał wystawić rano do wywiezienia.

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej...

Zdjął płaszcz, rzucił na oparcie kanapy, poszedł do łazienki, żeby ocenić ranę. Rozcięcie nad lewym okiem wyglądało paskudnie, całe zalepione skrzepłą krwią. Należało jechać na pogotowie, żeby mu to z powrotem zszyli; nie zrobił jednak tego. Przyłożył mokry ręcznik, skrzywił się, dał za wygraną, umył ręce i wziął trzy tabletki tylenolu.

Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę, wyciągnął nadgryzioną kanapkę z pasztetem i powąchał ją. Pachniała trochę lepiej niż śmieci...

Z kanapką w ręku oparł się o kuchenny blat i słuchał ciszy; w głowie odtwarzała mu się ostatnia scena z domu Pierce'a. Jocelyn Daring, oszalała z wściekłości, bólu i zazdrości, rzuca się przez pokój...

„Mówiłam ci, żebyś z nim nie rozmawiał... Po co mówiłeś?... Kochałam cię. Kochałam”.

„Po co mówiłeś?” Dziwne słowa - pomyślał. Tak jakby homoseksualizm Pierce'a nie był dla niej tajemnicą, chociaż Pierce jej o tym nie mówił, a nawet nie miał zamiaru powiedzieć.

Przypomniał sobie wieczór, kiedy ją poznał. Przypomniał sobie, jak się zachowywała wobec Pierce'a: zaborcza, opiekuńcza; ta wystudiowana obojętność w oczach, kiedy zapytał ją, czy znała Andy'ego Fallona.

„Tego właśnie Joss chce: własnego, naturalnych rozmiarów Kena; lalkę, którą można ubierać, pokazywać i bawić się z nią w udawanie...”

Była niezwykle silna. Kovaca bolał biceps, tak mocno musiał ją trzymać.

Zamyślony, podniósł kanapkę, ugryzł w roztargnieniu. Nim zdołał posmakować, czy nadaje się do jedzenia, rozległ się pisk pagera. Na wyświetlaczu pokazał się numer telefonu komórkowego Liski. Oddzwonił.

- Agencja zadawania bólu, słucham - odezwała się w słuchawce.

- Poproszę jeszcze jedną dziurę w głowie i kopniaka w zęby na deser.

- Przepraszam, nie mamy czasu na żarty. Ale na pewno nie będziesz się nudził.

Deene Combs postanowił pokazać pazury. Dzieciak Chamiki Jones nie żyje.

- Co ci się stało? - zainteresowała się Liska, przyglądając się ze zmarszczonym czołem Kovacowi, wysiadającemu z samochodu.

- Wzgardzona kobieta.

- Nie masz kobiety, którą mógłbyś wzgardzić.

- A dlaczego miałoby to ograniczać moje możliwości doznawania cierpień?

Rozejrzał się. Osiedle Chamiki Jones wyglądało nędznie, stały tu wielkie, stare, chylące się ze starości domy, wzniesione w początkach dwudziestego stulecia, a potem podzielone na małe mieszkania. Nie były to jednak slumsy. Mieszkającym tu rodzinom doskwierało ubóstwo, ale starano się żyć po ludzku.

Bandy i narkotykowi dealerzy są jednak dla nich znacznie groźniejsi niż dla białych mieszkających na przedmieściach - pomyślał Kovac, podchodząc do grupki policjantów i techników kryminalistycznych.

Na ulicy, koło sterty odgarniętego śniegu, leżało drobne ciało. Przykryto je. Śnieg spryskany był krwią. Obok stała Chamiqua Jones, zawodząc i krzycząc, kołysząc się, a znajomi i sąsiedzi próbowali ją uspokoić.

- Dzieci bawiły się w śniegu - powiedziała Liska. - Mówią, że podjechał samochód z trzema czy czterema oprychami, jeden wytknął głowę przez okno i zawołał: „Jones!” Kiedy mała się odwróciła, zastrzelił ją. Trafił raz w twarz, dwa razy w tułów.

- O rany!

- Nie bawili się w ceregiele.

- Komu przydzielono śledztwo?

- Tomowi Michaelsowi.

Słyszając swoje nazwisko, Michaels przerwał rozmowę z jednym z mundurowych policjantów i podszedł do nich. Cesał się gładko do tyłu, kładąc na włosy tony jakiegoś żelu; miał nadzieję, że w ten sposób przestanie wyglądać na siedemnastolatka; na próżno. Był dobrym policjantem.

- Sam, wiedziałem, że zajmowaliście się z Liska pobiciem Nixona - powiedział. - Pomyślałem, że będziecie chcieli być na bieżąco.

- Dzięki. Coś wiadomo o zabójcy?

Michaels skrzywił się.

Czyli odpowiedź brzmi: nie. I inaczej nie będzie. Mała Jones nie żyła, bo jej matkę poproszono, żeby była świadkiem przeciwko jednemu ze zbirów Deena Combsa. Władze dzielnicy będą się teraz gromkim głosem domagać sprawiedliwości i nakłaniać obywateli, żeby śmiało stawili czoło przestępczości, ale nikt ani piśnie. Zwłaszcza po tym. I jak można mieć im to za złe?

- Mówiłam ci!

Słyszając krzyk, odwrócili głowy jak na komendę. Biegła ku nim Chamiqua Jones, patrzyła na Kovaca oczami pełnymi łez, bólu i gniewu. Wycelowała w niego palcem w rękawiczce.

- Mówiłam ci, że nie cofną się przed niczym! Zobacz, co zrobili! Zobacz! Zabili mi dziecko! Zabili mi Chantal! Co teraz zrobisz, Kovac?!

- Przykro mi, Chamiqua - rzekł Kovac, zdając sobie sprawę, jak straszliwie niewystarczająco to brzmi.

Wbiła wzrok w niego i w Liskę.

- Przykro ci? Moje dziecko nie żyje! Mówiłam wam, żebyście mi dali spokój, ale wyście nie mogli! Zeznawaj, Chamiqua - powiedzieliście. Gadaj, co widziałaś, bo wsadzimy cię za kratki - powiedzieliście. Powiedziałam wam, że coś się stanie. Mówiłam!

Uderzyła Kovaca w pierś obiema rękami, najmocniej, jak potrafiła. Pozwolił jej na to. Cofnęła się i dalej przesywała go spojrzeniem; cios nie przyniósł ulgi.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła.

Kovac milczał. Chamiqua Jones nie chciała od niego słyszeć, jak okropnie się z tym czuje ani jak bardzo żałuje, że to się stało. Nie wybaczy mu, nie daruje. A on tylko wykonuje swoją pracę, wypełnia rozkazy. Nie robi na niej wrażenia wyznanie, że został policjantem po to, aby pomagać ludziom, aby dołożyć swoją cegielkę do tego, by świat był lepszy i bezpieczniejszy. Chamiki Jones to wcale a wcale nie obchodziło. Nienawidziła go po prostu.



- Pani Jones, gdybyśmy mogli coś dla pani zrobić... - zaczęła Liska.

- Dość już narobiliście! - odparła z goryczą. - Ma pani dzieci, pani detektyw?

- Dwóch chłopców.

- To niech się pani modli do Boga, żeby nigdy nie musiała pani przeżyć czegoś takiego jak ja. To może pani zrobić.

Odwróciła się na pięcie i poszła w stronę ciała córki. Nikt nie próbował jej zatrzymać.

- To błędne koło - powiedział cicho Michaels, patrząc, jak Jones podnosi przykrycie i dotyka zakrwawionej głowy dziecka. - Gdyby ludzie zebrali się na odwagę i zeznawali przeciwko takim zbirom jak Combs, to takie rzeczy by się nie zdarzały. Ale ponieważ się zdarzają, ludzie nie mają odwagi i nikt się nie wychyla.

- Próbowaliśmy przekonać Leonarda, że trzeba dać jej spokój. Postarać się dobrać do niego z jakiejś innej strony. Ale Sabin uważał, że jeśli uda nam się przymknąć tego gościa, który pobił Nixona, to on sypnie Combsa.

Michaels prychnął.

- Bzdura! Żaden bandzior nie będzie najpierw walił faceta po głowie łyżką do opon, a potem sypał szefa.

- Ty wiesz to i my to wiemy.

- A Chamiqua Jones za to płaci - stwierdziła Liska, nie mogąc oderwać oczu od zrozpaczonej matki.

- Gdybyś potrzebował jakichkolwiek informacji, dzwoń - rzekł Kovac.

- Ty też.

Michaels wrócił do roboty. Kovac położył rękę na ramieniu Liski.

- Życie jest parszywe, a pora jeszcze wczesna - powiedział. - Chodź, Dzwonek, postawię ci kawę. Wypłaczymy się przed sobą nawzajem.

- Nie, dziękuję - odparła z roztargnieniem, wciąż obserwując Chamikę Jones. - Muszę jechać do chłopaków, do domu.

Kovac odprowadził ją do auta, patrzył za nią, jak odjeżdża, i żałował, że sam nie ma nikogo, do kogo mógłby pojechać.

\*

Liskę gnała do domu jakaś potworna obawa. Złe przeczucie; groźba. Nie mogła odpędzić myśli, że kiedy rozmawiała z matką zabitego dziecka, coś strasznego stało się jej własnym dzieciom. Jechała szybko, łamiąc przepisy drogowe i ograniczenia prędkości. Miała wrażenie, że słowa Chamiki Jones były jakąś klątwą. Wiedziała, że to idiotyczne, ale nic nie mogła na to poradzić.

Jako detektyw zajmujący się zabójstwami, na co dzień miała styczność ze śmiercią. I jak większość policjantów zrobiła się twarda. To konieczne, jeśli chce się pozostać przy zdrowych zmysłach. Ale nie można się znieczulić na widok zabitego dziecka. Tu nie da się uciec przed uczuciami: gniewem i smutkiem; przed refleksją nad losem dziecka, krótkością jego życia; nad tym, że nigdy już nie doświadczy tylu rzeczy; nie da się uciec przed wyrzutami sumienia; przed myślą, że można jakoś było tragedii zapobiec. Dorośli mogą dbać sami o siebie. Często jest tak, że dorosły, który ginie, sam swoimi decyzjami naraził się na swój los. Ale nigdy nie da się powiedzieć, że dziecko odpowiada za to, co się stało. Dzieci są zależne od dorosłych; to dorośli odpowiadają za ich bezpieczeństwo.

Liska czuła na sobie ten cały ciężar, skręcając z Grand Avenue i widząc już w głębi ulicy swój dom. Jeszcze stoi. To dobre, na początek. Nie spłonął do fundamentów. Co za ulga! A przecież nie dalej jak pięć minut temu dzwoniła do domu z komórki i opiekunka powiedziała, że wszystko w porządku.

Podjechała pod dom, wyskoczyła z samochodu i pospieszyła do drzwi, szperając w torebce, by *znaleźć* klucze.

Chłopcy byli już w piżamach i leżeli na brzuchach przed telewizorem, pochłonięci grą wideo. Liska odłożyła torebkę, ściągnęła buty i podskoczyła ku nim, nie zwracając uwagi na opiekunkę. Uklęka między nimi i chwyciła każdego jedną ręką, co wzbudziło głośny protest obydwu.

- Hej!

- Popsułaś mi grę!

- Właśnie wygrywałem!

- Nieprawda!

- A właśnie że tak!

Liska przytuliła ich mocno, wdychając zapach czystych włosów i popcornu.

- Kocham was, chłopcy. Tak bardzo was kocham!

- Jesteś zimna! - oświadczył R.J. Kyle popatrzył na nią badawczo.

- Czy kochasz mnie aż tak bardzo, żeby mi pozwolić zostać u Jasona na noc?

Dzwonił i zapraszał.

- Dzisiaj? - zapytała Liska, przygarniając go mocniej. Zamknęła powieki, nie chcąc, by popłynęły spod nich głupie, nagłe łzy ulgi i radości. - Nic z tego, mój drogi. Może jutro. Dziś nie. Nie dzisiaj.

Opiekunka pojechała do domu. Liska bawiła się z chłopcami, aż oczy im się zaczęły same zamykać; wtedy wyprawiła ich do łóżek i jeszcze przez chwilę stała w drzwiach, patrząc, jak zasypiają.

Spokojniejsza już, pewna, że są cali i zdrowi, sprawdziła, czy wszystkie drzwi pozamykane, wzięła kąpiel z bąbelkami - rzadki luksus. Ciepło wnikało w mięśnie, usuwało napięcia, niepokój, toksyczny osad, jaki zawsze pozostawał po pracy nad zabójstwem, niczym esencja zła. Zamknęła powieki i oparła głowę na zrolowanym ręczniku. Filiżanka herbaty parowała na krawędzi wanny. Liska starała się oczyścić umysł ze wszystkiego i po prostu dryfować, po prostu być przez parę minut. Co za rozkosz!

Kiedy poczuła, że jest już całkowicie zrelaksowana, podniosła powieki, wytarła ręce i sięgnęła po stos korespondencji, którą położyła na toaletce. Bez rachunków, bez ulotek reklamowych. Mały stosik, chyba same kartki świąteczne. Swoich nie wysłała, jak zwykle odkłada na Bóg wie kiedy.

Kartka od cici Cici z Milwaukee. Fotografia kuzyna Phila, posiadacza gospodarstwa mlecznego, wraz z rodziną; wszyscy w jednakowych koszulkach z napisem „Pij mleko!” Życzenia od koleżanki z college'u, która straciła kontakt z Nikki aż tak dawno temu, że wciąż adresowała kopertę do „Państwa Lisków”. Po co ludzie piszą kartki do dawno nieaktualnych znajomych? Nie lepiej wykreślić nazwisko z bazy danych?

Ostatnia koperta była zaadresowana tylko do niej. Komputerowy nadruk, brak adresu nadawcy. Dziwne. W środku najpewniej kartka z życzeniami. Koperta czerwona. Wsunęła nóż do papieru pod zakładkę. Zwykła, składana kartka z nadrukiem „Życzenia świąteczne”. Coś z niej wypadło przy otwieraniu. Liska zakłęła i złapała kolorowy kwadrat, gdy upadł na powierzchnię wody.

Zdjęcie z polaroida. Nie. Trzy zdjęcia, skleiły się.

Zdjęcia jej chłopców.

Krew jej zastygła w żyłach. Gęsia skórka pokryła całe ciało. Ręce zaczęły drżeć. Jedno ze zdjęć zrobiono, kiedy chłopcy stali w kolejce wsiadających do autobusu szkolnego. Na drugiej bawili się z kolegami, a autobus szkolny odjeżdżał z przystanku na skrzyżowaniu. Trzecia pokazywała, jak idą chodnikiem do domu. Na każdym ze zdjęć ktoś czarnym mazakiem narysował kółka wokół głów chłopców.

Jedyną informacją wewnątrz karty był numer telefonu, wpisany na czarno.

Liska odłożyła kartkę i zdjęcia, wyszła z wanny, ociekając wodą, owinęła się ręcznikiem i chwyciła słuchawkę telefonu. Tak się trzęsła, że dwa razy źle wybrała numer. Po trzeciej próbie odezwał się sygnał. Czekwała. Po czwartym sygnale włączyła się sekretarka automatyczna, a dźwięk nagranych głosu zmroził ją jeszcze bardziej.

- Cześć! Mówi Ken. Nie ma mnie w domu, bo robię coś niezwykle ekscytującego...

Tak, leży na oddziale intensywnej opieki medycznej. Ken Ibsen.

Słynne ostatnie słowa: „Pomysł wydawał się dobry”.

Kovac nacisnął dzwonek od razu, żeby się nie rozmyślić. Od razu poznał, kiedy wyjrzała przez wziernik we frontowych drzwiach. Czuł jej obecność, czuł, że go obserwuje, że waha się. W końcu drzwi się otworzyły, a ona popatrzyła na niego.

- Tak, mam telefon - zaczął. - Mam nawet parę i umiem się nimi posługiwać.

- To dlaczego pan z nich nie korzysta? - spytała Amanda Savard.

- Bo pani mogłaby powiedzieć „nie”.

- Powiedziałabym „nie”.

- Sama pani widzi.

Nie zaprosiła go do środka. Zmrużyła oczy, przypatrując się jego czołu.

- Bił się pan?

Kovac dotknął palcem rany i przypomniał sobie, że nie obmył jej do końca z krwi.

- Niewinna ofiara cudzej wojny.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. - Przypomniał sobie scenę u Steve'a Pierce'a. - Zresztą nieważne.

- Po co pan przyszedł?

- Mike Fallon został zamordowany. Oczy się jej rozszerzyły.

- Co?!

- Ktoś go zabił. Przymknęliśmy syna, Neila. Zastanawia się teraz nad oczyszczającą rolą przyznania się do winy.

- O mój Boże - mruknęła, uchylając drzwi nieco szerzej. - Co macie na niego?

- Właściwie to nic. Gdyby nie to, że jest weekend, albo gdyby miał cwanego adwokata, to już by siedział w barze, popijając drinka - przyznał. - Ale, z drugiej strony, miał sposobność, motyw, i nienawidził ojca.

- Myśli pan, że to jego sprawka.

- Myślę, że Neil to dowód na potęgę genetyki. Mały, gniewny człowiek, pełen goryczy, że ludzie go nie kochają. Nieodrodny syn swojego ojca - dodał z nutką ironii.

- Wydawało mi się, że Mike Fallon był pańskim przyjacielem.

- Szanowałem Mike'a za jego postawę zawodową. Był policjantem ze starej dobrej szkoły.

Wyrzął na ulicę; jakiś samochód przejeżdżał powoli. Małżeństwo, szukają jakiegoś domu. Normalni ludzie, w drodze na przyjęcie świąteczne. Najpewniej nie przyjechali tutaj z miejsca, gdzie popełniono morderstwo.

- Może miałem do niego słabość, bo chciałem, żeby do mnie też ktoś miał słabość, jak będę taki stary i taki zgorzkniały.

- Czy po to pan tutaj przyszedł, sierżancie? Po współczucie?

Rozłożył ręce.

- Dziś może być nawet litość.

- U mnie za wiele pan tego nie znajdzie.

Pomyślał, że zaraz się uśmiechnie. W jej oczach zobaczył coś, czego dotąd nie widział.

- A szkocka whisky?

- Tego też nie trzymam w domu.

- Ja też nie trzymam. Wypijam.

- Oczywiście. Jest pan chodzącym stereotypem. Bohater tragiczny.

- Dwa razy rozwiedziony, palący, pijący pracoholik. Nie ma w tym nic bohaterskiego. Mnie to zajęcza nieudacznictwem, ale być może moje normy są wyśrubowane.

- Po co tak naprawdę pan tu przyszedł, sierżancie? Nie rozumiem, co mają ze mną wspólnego nowe wieści ze śledztwa w sprawie Mike'a Fallona.

- Po to, żeby mogła mnie pani trzymać na mrozie i ranić moją miłość własną swoją kamienną obojętnością.

Rozbawiona, niemal się uśmiechnęła.

- Wali pan prosto z mostu?

- Szkoda czasu na subtelności. Zwłaszcza jeśli już wypilem jednego. Tej szkockiej, o której wspominałem.

- Jeździ pan po drinku? No to chyba dla dobra bezpieczeństwa publicznego zaproszę pana na kawę.

- Dla mojego dobra. Ogrzewanie w moim wozie nie działa.

Savard z westchnieniem otworzyła drzwi. Kovac wślizgnął się do środka, nie dając jej czasu na zmianę decyzji. Zwycięstwo w wojnie na przetrzymanie. Dom był ciepły, pachniał płonącym w kominku drewnem i kawą. Miły dom. Jego własny był zimny i śmierdziały w nim niewy- rzucone śmieci.

- A może pani zaczyna mieć do mnie słabość, pani porucznik?

- Pomarzyć dobra rzecz.

Kovac ściągnął buty i poszedł za nią przez mały pokój stołowy do kuchni w stylu rustykalnym. Savard ubrana była swobodnie, w luźną, miękką szatę koloru szaławii. Tak mogłaby się nosić w domu dawna gwiazda Hollywood - pomyślał. Włosy wiły się jej wokół głowy miękkimi srebrnoblond falami. Bardzo nęcący obraz, jeśli nie liczyć jakiejś sztywności w karku i plecach, który świadczył o bólu. Przypomniawszy sobie tę historię z jej upadkiem. Najwyraźniej mieszkała sama; ani śladu jakiegoś przyjaciela - a przecież to piątkowy wieczór.

- Jak się pani czuje?

- W porządku.

Wzięła z szafki kamionkowy kubek i napełniła go z dzbanka ekspresu do kawy. Pomieszczenie oświetlały łagodnie żółte lampki zainstalowane pod wiszącymi szafkami i na suficie.

- Rozumiem, że Neil Fallon nie ma alibi.

- Nieszczególne - wyjaśnił Kovac, wspierając się o blat. - Ludzie nigdy nie wierzą, że ktoś może spać sam w domu. Zawsze podejrzewają, że wszyscy na świecie w tym czasie uprawiają seks albo popełniają przestępstwa.

- Słodzi pan? Z mlekiem?

- Czarną, dziękuję.

- Jakies dowody rzeczowe?

- Coś mamy, ale obawiam się, że nic niewarte.

- Odciski palców na broni?

- Nie.

- No to skąd ta pewność, że to morderstwo? Coś wyszło na sekcji zwłok?

- Układ przestrzenny. Ułożenie broni. Nie powinna upaść tam, gdzie leżała. Nie mogła, jeśli to Mike pociągnął za spust.

Podawała mu kawę, sobie też wzięła. Westchnęła w zamyśleniu.

- To smutne, że spotkał go taki koniec. Własny syn... pomyśleć... - powiedziała, patrząc w podłogę. - Przykra sprawa.

- Tak. Wie pani, mógł pojednać się z Andym, ale tego nie zrobił. A potem wszystko diabli wzięli. - Posmakował kawy, trochę się zdziwił, że była bez egzotycznych dodatków. Zwykła, dobra kawa. - Zdaje się, że Andy chciał dowiedzieć się czegoś od Mike'a o zabójstwie Thorne'a. Spisać opowieść Mike'a czy coś w tym sensie.

- Naprawdę? Mike panu o tym mówił?

- Nie. Wspomniał o tym przyjaciel Andy'ego. Mike nie chciał do tamtego wracać. Kisić wspomnienia a podzielić się nimi z kimś to dwie różne rzeczy. Czy Andy kiedykolwiek o tym pani opowiadał?

Savard odstawiła filiżankę, skrzyżowała ręce na piersi i oparła się o kontuar.

- Nie przypominam sobie. Ale dlaczego miałby mi opowiadać?

- Bez powodu. Myślałem, że może wspomniał mimochodem, przecież pani się przyjaźni z Ace'em Wyattem. Tylko tyle.

- Nie przyjaźnimy się. Znamy po prostu. Mamy wspólnych znajomych.

- Wszystko jedno. W każdym razie zarzucił ten pomysł - powiedział Kovac. - W jego papierach nie znalazłem niczego na ten temat. Ani teczki, ani notatek, nic. Chyba że wszystko znikło razem z aktami sprawy Curtisa i Ogdena. I z laptopem.

- Myśli pan, że chciał coś osiągnąć, grzebiąc w przeszłości ojca?

Kovac rozłożył ręce.

- Chciał go pewnie zrozumieć. To właśnie przez tę strzelaninę Mike stał się taki, jakim go znaleźmy przez ostatnie dwadzieścia lat. A może Andy po prostu chciał się



staremu przypodobać, zdobyć jego względy, udając, że się interesuje jego przeszłością. Pani powinna go znać lepiej. Czy Andy był typem lizusa?

Zastanawiała się chwilę.

- Chciał być lubiany. Potrzebował sukcesów. Dlatego tak ciężko zniósł zamknięcie sprawy Curtisa-Ogdena. Chciał sam zdecydować, że to już koniec, a nie godzić się na jej zakończenie, bo Verma się przyznał.

- Chyba wiem coś o tym - powiedział Kovac z uśmiechem zakłopotania. - Przecież ja też nie powinienem chodzić i rozpytywać się o śmierć Andy'ego Fallona, czy też raczej o jego życie. Ale chcę wiedzieć. Chcę mieć tę satysfakcję. Sprawa nie jest zakończona, póki ja nie powiem, że jest zakończona. Taki już jestem.

- I dlatego jest pan dobrym policjantem.

- I dlatego mam ciągle kłopoty. Kiedyś miałem kapitana, który mawiał, że płacą mi za prowadzenie śledztwa, a nie za wyjaśnianie spraw.

- I co pan na to odpowiedział?

- W oczy? „Tak jest!” Mój rachunek bankowy nie wytrzyma przymusowego urlopu bezpłatnego. A za plecami? Nie mogę tego powtórzyć w obecności damy.

Savard wzięła swoją filiżankę i upiła łyk kawy, zerkając na niego spod rzęs. Niemal rozbawiona, odrobinę zainteresowana. Seksowna - pomyślał - jak na damę z podbitym okiem. Piękna, z siniakiem czy bez.

Odwróciła wzrok.

- Przejrzałam te akta. Ogden parę razy znieważył słownie Andy'ego w trakcie dochodzenia, ale to nic nadzwyczajnego. Parę razy groził mu mgliście, to też nic nadzwyczajnego. Potem Verma poszedł na ugodę i już było po wszystkim. Nie ma żadnych uzupełnień w aktach po zakończeniu sprawy. Ogden nie miał powodu szukać kontaktu.

- A co z partnerem Ogdena, Rubelem?

- O nim nie ma nic. Zresztą jego partnerem w tamtym okresie był, zdaje się, niejaki Porter. Larry Porter. Jeśli o mnie chodzi, to podejrzewam, że Ogden był winny. Podrzucił ten zegarek w mieszkaniu Vermy. Nie dało się tylko tego udowodnić. Doszliśmy do pewnego punktu, i dalej ani rusz.

- A po przyznaniu się Vermy dopadły panią związki zawodowe, że czepia się pani Ogdena. A góra nie lubi, jak się zadziera ze związkami - stwierdził Kovac. - Płacą pani za prowadzenie śledztw, nie za wyjaśnianie spraw.

- A ja muszę żyć ze świadomością, że śmierć Andy'ego jest, być może, zawiniona przeze mnie - powiedziała cicho.

- Może - zgodził się Kovac. - A może zabił się, bo jego kochanek nie chciał się ujawnić jako gej. A może myślał, że ojciec nigdy go już nie pokocha, dlatego że się ujawnił. A może wcale sam nie odebrał sobie życia. Może to wcale nie była pani wina. Ale cierpi pani z tego powodu i tak - ciągnął. - Karze pani samą siebie i rozmyśla o tym, że mogła pani temu zapobiec, gdyby tylko była dość bystra, przewidująca, umiała czytać przyszłość.

- Chyba łatwo mnie rozszyfrować.

- Nie, niełatwo. - Pomyślał, że jest ona osobą, którą niezwykle trudno rozszyfrować, chyba jeszcze kogoś takiego nie spotkał. Tym bardziej go intrygowała. Chciałby się dowiedzieć, jaka jest naprawdę i dlaczego taka się stała. Chciałby się przedrzeć przez ten mur. - Po prostu sam byłbym się tak czuł. I moja partnerka. Tłumaczę sobie, że takie uczucia to dowód, iż nie przestaliśmy tak całkiem należeć do rodzaju ludzkiego. Chociaż czasem lepiej by było, gdybym ich nie miał.

Przygniótł go ciężar tego całego wieczoru; poczuł, że jego własne emocje dociskają go do jego własnego muru. Jak dotąd udawało mu się nie dopuszczać do siebie tego obrazu ulicy z policyjnymi radiowozami i ambulansem, z małym ciałkiem na zbryzganym krwią śniegu.

Podszedł do szklanych drzwi na taras. Snop światła z reflektora rozjaśniał fragment ogródka. Resztę oświetlał blask księżycy, odbijający się w śniegu, nadając mu błękitny odcień. Pejzaż ze snu. Granice posesji obsadzone były drzewami, kryjącymi ją przed ciekawskim okiem sąsiadów.

- Dziś znów kogoś straciłem - wyznał. - Dziecko świadka pobicia, nad którym pracowałem. Mała dziewczynka zastrzelona tylko po to, żeby zastraszyć matkę i sąsiadów.

- Dlaczego myślisz, że to twoja wina?

Dostrzegł, że zbliżyła się do niego odrobinę. Światło przesączające się z zewnątrz padało na jej twarz jakby przez tiulową woalkę, przez co nabierała perłowego połysku. Miękkość - pomyślał. Miękka skóra, miękkie włosy w miękkich falach. Wargi, miękkie jak jedwab. Nie próbował zobaczyć ani muru, ani ostrych kantów. Chciał udawać, że ich nie ma.

Pokręcił głową.

- Nie, nie myślę. Widzę całą sytuację: niewinne dziecko zastrzelone na ulicy. Sprawca ma pewnie czternaście lat i wykonał to zadanie, żeby się wkupić do gangu. Strzelają do dziewczynki, chcąc zastraszyć ludzi, którzy już i tak uważają, że życie jest zbyt brutalne, by warto było troszczyć się o cokolwiek prócz własnego bezpieczeństwa. Robią to, by zastraszyć matkę, która wcale nie chciała widzieć, jak narkotykowy dealer dostaje w łeb, i która nie miała najmniejszego zamiaru zeznawać, bo chce żyć, aby wychować dzieci na normalnych ludzi, nie psychopatów. Człowiek patrzy na to i widzi, że winni są wszyscy. Ja też do nich należę. Mam ochraniać ludzi, a nie sprowadzać na nich śmierć. A dzisiaj musiałem stanąć twarzą w twarz z tą kobietą i wyrażać swoje ubolewania, jakby to mogło cokolwiek naprawić.

- Obwinianie się też niczego nie naprawi.

Stanąła z boku, po prawej. Mogła go dotknąć ręką. Wstrzymał oddech, jakby była jakimś płochliwym dzikim stworzeniem, które odskoczy przy jego najlżejszym ruchu.

- Staramy się, jak możemy - powiedziała łagodnie, patrząc jakby w głąb - i sami się za to karzemy. Próbowałam podejmować decyzje, kierując się zasadą najmniejszego zła. Czasami ktoś musi ucierpieć po drodze, ale moja decyzja była oparta na słusznych przesłankach. To się powinno liczyć, prawda?

Kovac odwrócił się do niej, wciąż się częściowo bojąc, że ona ucieknie. W jej oczach zobaczył wyraźnie, że pragnie otuchy. Wzbudziła w nim współczucie. Udało mu się zajrzeć za mur.

- Powinno - zgodził się. - Co takiego mamy w środku, że nam tego zabrania?

- Wolę nie wiedzieć - wyznała. W jej oczach zabłyśły łzy.

- Ja chyba też.

Patrzyła na niego chwilę, po czym wyszeptwała:

- Jesteś dobrym człowiekiem, Sam. Usta wygięły mu się w półuśmiechu.

- Mogłabyś powtórzyć?

- Jesteś...

Dotknął jej warg wskazującym palcem. W dotyku były właśnie takie, jak sobie wyobrażał.

- Nie. Wystarczy samo imię. Powtórz je. Chciałbym usłyszeć z twoich ust.

Przesunęła jego dłoń na policzek. Płynęła po nim pojedyncza łza, połyskując srebrzyście. Z ust popłynął drżący szept:

- Sam...

Pochylił się i schwycił to słowo wargami. Dotknął ustami jej ust. Z wahaniem. Pytająco. Wstrzymując oddech, chociaż pragnienie rozpalało mu żyły.

Jej ręce uniosły się powoli i spoczęły na jego ramionach. Nie po to, by odepchnąć; przeciwnie. Jej wargi drżały pod jego wargami, nie ze strachu, lecz z pragnienia. Zgody. Pożądania. Ich języki się zetknęły.

Pocałunek trwał. Czas wstrzymał bieg. Kovac oderwał usta, odsunął na milimetry i wyszeptał jej imię. Objął ją tak ostrożnie, jakby była ze szkła. Gdy znów wyprostował się i popatrzył jej w oczy, powiedziała tylko jedno słowo:

- Zostań.

Kovac nie poruszył się, choć serce mu waliło jak młotem.

- Chcesz tego?

Przylgnęła do niego, ich wargi znów się zetknęły.

- Zostań... Sam... proszę...

Więcej już nie pytał. Może jej życie jest równie puste jak jego własne. Może ich dusze rozpoznały się w tym samym bólu. Może jej po prostu był potrzebny uścisk, przytulenie; tak jak on chciał ją przytulić, zadbać o nią. A może zupełnie nieważne, dlaczego.

Poprowadziła go na górę do sypialni, gdzie ślad zapachu jej perfum pozostał w powietrzu i na pościeli. Na toaletce leżały drobiazgi osobiste: kolczyki, zegarek, czarna aksamitna opaska na włosy. Lampka przy łóżku świeciła bursztynowo; jej światło

omywało obnażoną skórę. Nigdy nie widział czegoś tak wyjątkowego, jeszcze nigdy nie był tak poruszony, gdy kobieta ofiarowywała siebie samą.

Wyjęła prezerwatywę z szufladki i podała mu; rozerwał opakowanie, wyjął gumkę i oddał jej. Nie rozmawiali. Wszystko mówiły gesty, dotyk, spojrzenia, drżące oddechy, westchnienia. Poprowadziła go w siebie. Wszedł, mając wrażenie, że zatrzymuje mu się serce. Poruszali się razem, niczym w rytm wybijany na bębnach.

Pragnienie. Żar. Namiętność. Oddanie. Rozmarzenie. Pogoń. Stapiają się ze sobą, jedno przechodzi w drugie. Smak soli na skórze, kawy na językach. Zetknięcie ciepła i wilgoci; twardości i miękkości. Jej szczytowanie było niczym crescendo oddechów i bezsłownych spazmów rozkoszy. Na niego rozładowanie spadło niczym grom. Ciałem targnęły skurcze; zdaje się, że krzyknął - ale nie był tego pewien.

Nie przestawał jej całować. Potem też. Nawet gdy zasnęła w jego ramionach, jego wargi wciąż błędziły wokół jej warg, po policzkach, po włosach. W głębi serca bał się, że to się już nigdy nie powtórzy, że musi nasycić się teraz, tej nocy. Potem wyczerpanie okryło go niczym pled; zamknął powieki i zasnął.

Ocknąwszy się, Kovac najpierw pomyślał, że miał niesamowity sen. Potem otworzył oczy.

Amanda.

Spała spokojnie na boku, zwinięta w kłębek i przytulona do niego. Naciągnął kóldrę na jej obnażone ramię, a ona westchnęła przez sen. Na jej twarz padało światło lampki nocnej; zwrócił uwagę na siniaki i otarcia pod okiem i na kości policzkowe. Poczł skurcz w środku, gdy pomyślał, że mógł jej dotknąć i urazić boleśnie w te miejsca, kiedy się kochali. Aż mu się słabo zrobiło na myśl o sprawianiu jej bólu. Jeśli dopadnie kiedyś tego mężczyznę, który jej pozostawił te ślady, to spierze go na kwaśne jabłko.

Rozmasował sobie mostek; bolało jak od kopniaka. Rany boskie, spał z panią porucznik!

Zakochał się w pani porucznik.

Ty to wiesz, kogo poderwać, Kovac.

Co ona sobie pomyśli, jak otworzy oczy? Że popełniła błąd? Że zwariowała? Będzie zażenowana czy zła? Nie wiedział. Wiedział tylko, że to, co się między nimi zdarzyło, było czymś wyjątkowym i że on tego nigdy nie będzie żałował.

Wyślizgnął się z łóżka ostrożnie, wciągnął slipy i poszedł na dół szukać tam łazienki, nie chcąc obudzić Amandy szumem wody. Znalazł łazienkę dla gości z dekoracyjnymi ręcznikami i mydłami, pewnie wcale nieprzeznaczonymi do używania. Użył ich jednak. Twarz, która spojrzała na niego z lustra, była twarda, sfatygowana; nie ukrywała ani wieku właściciela, ani tego, że w jego życiu więcej było zawodów i rozczarowań niż satysfakcji. Co się w niej może podobać kobiecie?

Umyty, wrócił do hallu i poczuł swąd podgrzewanej długo kawy. Nie wyłączyli ekspresu.

Zszedł do kuchni i wyłączył go. Nalał sobie z dzbanka resztkę kawy. Popijając, zaczął rozglądać się po domu i gasić światła w pokojach.

Amanda Savard stworzyła sobie miłą przystań. Umebłowanie było wygodne i przyjemne. Kolory - kojące i stonowane. Dziwne, ale nie zauważył żadnych pamiątek osobistych: ani zdjęć rodzinnych, ani fotek przyjaciół czy jej samej. Za to wiele było oprawionych czarno- białych fotografii, przedstawiających puste miejsca. Przypomnił sobie, że widział parę podobnych w jej gabinecie i zastanawiał się, jakie miały dla niej znaczenie. Chciał zobaczyć coś, co by mówiło o jej życiu. A może właśnie to oglądał? Przecież u siebie w domu też nie miał świadectw swojego życia. Ktoś obcy więcej by się o nim dowiedział, oglądając biurko w pracy niż dom.

Znalazł się w salonie. W kominku dogasało, więc wziął pogrzebacz i rozbił resztki polan, po czym zamknął szklane drzwiczki. Podeszedł do stolika obok kanapy, chcąc zgasić lampkę. Zobaczył książkę. *Jak walczyć ze stresem*.

W głębi, za oszklonymi, rozsuwanymi drzwiami, był jeszcze jeden pokój. Światła paliły się jak wszędzie i cicho grała wieża stereo. Taka sama lekka jazzująca muzyka jak to, co słyszał u Steve'a Pierce'a.

Kovac wszedł, chcąc wyłączyć radio. To jej gabinet. Kolejna urocza oaza ze sprzętami z drzewa wiśniowego i fotografiami, na których nie ma nic. Biurko wysprzątane, jakby wciąż jeszcze stało w sklepie meblowym. Pedanteria, świadcząca o potrzebie porządku i panowania nad wszystkim. Bez większych niespodzianek: Na

półkach nad biurkiem parę pamiątek, które go rozśmieszyły. Mała figurka tygryscy bawiącej się z małym. Kolekcja kolorowych przycisków do papieru, raczej dekoracyjnych niż funkcjonalnych. Kauczukowa zabawka, wybałuszająca oczy, gdy ją ścisnąć. Policyjna odznaka.

Zaciekawiony, wziął odznakę do ręki i przyjrzał się jej. Staromodna. Taka, jakie już wychodziły z użycia, gdy on rozpoczynał służbę milion lat temu. Na pewno sprzed czasów Amandy. Musiała być własnością kogoś dla niej ważnego.

Policja miejska Minneapolis. Numer służbowy 1428.

Pierwsza wskazówka co do przeszłości Amandy, na jaką się natknął, miała związek z pracą. Co za ironia! Może jej życie jest równie puste jak jego własne.

Odłożył plakietkę na miejsce, zgasił światło, wyłączył sprzęt stereo i wyszedł. Odnajdywał drogę w świetle dochodzącym z pietra. Wszedł po schodach, marząc o tym, by się znów wsunąć pod kołdrę, przytulić do ciepłego, miękkiego ciała. Tyle czasu minęło, że już prawie zapomniał, jakie to przyjemne.

- Nie!

Usłyszał krzyk w połowie schodów. Przeskoczył resztę i wpadł do sypialni.

- Nie! Nie!

- Amando!

Siedziała wyprostowana na łóżku, oczy miała szeroko otwarte, rękami rozdawała na oślep ciosy, walcząc z czymś, co istniało wyłącznie w jej imaginacji.

- Nie! Nie! Przestań!

- Amando?

Kovac stał przy łóżku, nie wiedząc, co robić. Niesamowity widok. Wyglądało na to, że nie śpi, ale nie widziała go. Powoli, ostrożnie wysunął rękę i dotknął jej ramienia.

- Amando, kochanie, obudź się.

Wzdrygnęła się na jego dotyk, uchyliła jak przed ciosem. W oczach przerażenie. Kovac jak najłagodniej przytrzymał ją za rękę.

- Amando, to ja, Sam. Nie śpisz?

Zamrugała powiekami, zakłęcie ustępowało powoli. Podniosła twarz, dostrzegła go. Minę miała tak zawstydzoną i zażenowaną, że aż mu się serce krajało.

- Wszystko dobrze, kochanie - powiedział łagodnie i usiadł na krawędzi łóżka. - Już dobrze, jedyna, to był tylko zły sen. Już dobrze. Dobrze.

Przyciągnął ją do siebie, a ona przytuliła się jak dziecko. Drżała na całym ciele. Kovac przytrzymał ją jedną ręką, a drugą zarzucił na nią kołdrę.

- Przepraszam - szepnęła. - Przepraszam.

- Cśś... nie ma za co przepraszać. Miałaś zły sen. Już wszystko w porządku. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

- O Boże! - wyszeptała zawstydzona, zdruzgotana. Kovac przygarnął ją mocniej.

- Dobrze jest.

- Nie - powiedziała, odsuwając się. Spuściła głowę, unikała jego wzroku. - Nie. Nie jest dobrze. Przepraszam.

Wstała, sięgnęła po jedwabny szlafrok i owinęła się weń, jakby się wstydziła, że ją widzi nago.

- Bardzo przepraszam - powtórzyła, nadal nie patrząc mu w oczy.

Kovac milczał, a ona zniknęła w łazience. I znów pojawiło się to uczucie: że drugiej szansy już nie będzie, że ta noc musi mu wystarczyć. Widział ją w momencie największej słabości. Amandzie Savard będzie bardzo trudno uporać się z tym.

Westchnął ciężko i wstał, znalazł koszulę i włożył ją. Wiedząc doskonale, że to nic nie pomoże, podszedł do drzwi łazienki i zapukał.

- Amando, dobrze się czujesz?

- Dziękuję, tak.

Skrzywił się, słysząc jej oficjalny ton; rozpoznał w nim jej ulubiony mechanizm obronny, sposób na trzymanie ludzi na dystans. Postanowił więc dotrzeć do niej inaczej.

- Kochanie, nie ma się czego wstydzić. Mamy taką pracę, że wszystkim nam śnią się koszmary. Szkoda, że nie znasz moich.



Szum wody, potem cisza. Bez dźwięków. Wyobrażał sobie, że ona patrzy w lustro - tak jak on przedtem. Z pewnością nie podobało się jej, co widziała: siniaki na twarzy, bladość skóry, wyraz oczu.

Cofnął się, widząc, że klamka opada. Amanda wyszła i zatrzymała się, obejmując się oburącz, unikając go spojrzeniem.

- To nie był najlepszy pomysł...

- Nie mów tak - odparł Kovac.

Na moment przymknęła powieki, po czym ciągnęła:

- Myślę, że obojgu nam coś tej nocy było potrzebne, to w porządku, ale teraz...

- Było lepiej niż w porządku - powiedział, zbliżywszy się, chcąc ją zmusić, by na niego spojrzała. Bezskutecznie.

- Idź już.

- Nie.

- Proszę, nie pogarszaj sytuacji.

- A dlaczego w ogóle ma być zła?

- Nie spotykam się z mężczyznami z pracy.

- Naprawdę? A z kim to się spotykasz?

- Nie twój interes.

- Tak? A ja myślę, że mój - sprzeciwił się.

Westchnęła, spojrzała w bok.

- Nie chcę się z nikim wiązać. Powiedzmy to sobie od razu i pójdźmy swoimi drogami.

- Nie mam zamiaru iść swoją drogą. - Kovac chwycił ją delikatnie za ramiona. - Amando, nie rób tego.

Odwróciła twarz, wbiła wzrok w podłogę.

- Proszę, daj spokój.

Nie potrafiła ukryć uczuć, zdradzało ją drżenie głosu. Słyszał to wyraźnie: ból, smutek. Czuł to samo w głębi serca.

- Proszę... Sam... - szepnęła.

Pochylił głowę i przytknął wargi do jej policzka. Poglądził ją dłonią po włosach.

- Przepraszam.

Zacisnęła mocno powieki, bojąc się łez.

- Proszę...

- Dobrze - mruknął. - Dobrze.

Odstąpił od niej, poszukał reszty ubrania. Ona się nie poruszyła. Ubrawszy się, podszedł do niej znów i pogłaskał po policzku grzbietem dłoni.

- Zamknij za mną drzwi. Chcę wiedzieć, że jesteś bezpieczna.

Skinęła głową i poszła za nim.

W przedpokoju włożył buty i palto, wyciągnął z kieszeni rękawiczki. Ani razu nie spojrzała mu w oczy. Próbował wziąć ją na przetrzymanie: stanął w drzwiach jak koleś i czekał, ale ona nie podniosła wzroku i nie odezwała się do niego. Miał ochotę nią potrząsnąć, porwać w ramiona, pocałować siłą. Ale w dzisiejszych czasach mężczyznom nie wolno robić takich rzeczy; zresztą z Amandą ta metoda prawdopodobnie nigdy nie dałaby rezultatu. Z nią trzeba z troską i cierpliwie; potrzeba jej swobody, by nie czuła się zagrożona - nie za dużo jednak, by się nie wycofała.

Myślisz o tym tak, jakbyś w ogóle miał jakąś szansę.

- Niezależnie od tego, co postanowisz, Amando - powiedział w końcu - to na pewno nie był błąd.

W dalszym ciągu milczała, więc wyszedł na kęsający w twarz mróz.

Taka jest prawda, Kovac - pomyślał, słysząc szcęk zamków. Na mrozie i sam.

Nie była to sytuacja gorsza niż zazwyczaj, ale czuł ją bardziej dojmująco - bo zasmakował, że może być inaczej.

Pustymi ulicami pojechał z powrotem do miasta, do pustego domu i pustego łóżka, w którym leżał bezsennie przez resztę nocy, patrząc do wnętrza na pustkę swojego życia.

Liska zatrzymała się na podjeździe, nie przejmując się porą. Sobotni poranek w jej domu oznaczał hokej. Kyle i RJ. zaczęli trening o szóstej rano. Zostawiła ich na lodowisku, pod czujnym okiem byłego funkcjonariusza policji miejskiej St. Paul z wydziału przestępstw na tle seksualnym, którego dwóch synów trenowało w tej samej drużynie. Jeśli Milo się nimi opiekował, byli bezpieczni.

Dochodziło wpół do ósmej, słońce dopiero wschodziło. Większość mieszkańców miejscowości Eden Prairie prawdopodobnie jeszcze odsypiała piątkowe przedświąteczne party. Lisce było wszystko jedno. Trzy kwadransy jazdy tutaj spędziła na podsycaniu swojej złości, która doszła teraz do temperatury pieca hutniczego. Jeśli trzeba będzie, wykopie drzwi i wyciągnie jego dupsko z łóżka. Ma coś do powiedzenia Calowi Springerowi i on jej wysłucha.

Dopadła drzwi zbyt ładnego domu i nacisnęła dzwonek. Nie odrywała palca, słyszała ze środka odgłos dzwonienia, a poza nim nic. Uliczka była zupełnie cicha. Stojące na podjazdach samochody miały oszronione na biało okna. Szron pokrywał gałązki cieniutkich drzewek zasadzonych wzdłuż ulicy. Oddech Liski srebrzył się w powietrzu. Mróz, że ciężko było oddychać.

Drzwi się otworzyły, pani Springer ubrana we flanelową koszulę nocną wlepiła w nią wzrok i otworzyła ze zdziwienia usta w małe „o”.

- Gdzie on jest? - Nie czekając na zaproszenie, Liska weszła do środka.

Patsy Springer cofnęła się.

- Calvin? O co chodzi? Czego pani chce o tej porze? Nie...

Liska rzuciła jej spojrzenie, pod którym załamywali się najzatatwardzieli kryminaliści.

- Gdzie on jest?!

Z okolic kuchni dobiegł głos Cala:

- Kto to, Patsy?

Liska bezceremonialnie odsunęła gospodynię na bok i ruszyła w kierunku głosu. Cal siedział przy kuchennym dębowym stole, w tym samym stroju, który miał na sobie wczoraj, nad jajkiem na miękko i miską owsianki. Na widok Liski szczeka mu opadła.

- Co tu robisz? To mój dom, Liska...

Wyciągnęła z torebki polaroidowe odbitki i rzuciła je na stół obok talerza. Springer zaczął się odsuwać od stołu. Chwyciła go pełną garścią za włosy i przytrzymała w miejscu, nie zwracając uwagi na skowyt bólu.

- To są moje dzieci, Cal - powiedziała, z trudem powstrzymując się, żeby nie krzyżeć. - Widzisz? Patrzysz na te zdjęcia?

- Co cię opętało?

- Jestem zła. To są moi synowie. Wiesz, kto mi przysłał te zdjęcia? Zgaduj, do dwóch razy sztuka.

- Nie wiem, o co ci chodzi! - Znów spróbował wstać.

Liska szarpnęła go za włosy, wbiła w nie palce jeszcze mocniej. Pani Springer stała w drzwiach z przerażoną miną.

- Ona oszalała, Calvin! Oszalała!

- Przysłali mi to Rubel i Ogden - powiedziała Liska, chwytając jedno ze zdjęć wolną ręką, i podetknęła Calowi Springerowi pod nos. - Udowodnić będzie trudno, ale wiem, że to oni. Z takimi ludźmi się zadajesz, Cal. Z takimi kanalami. Grożą dzieciom. A ty ich osłaniasz. Jesteś taki sam jak oni!

- Calvin? - zaskrzeczała Patsy. - Mam dzwonić po policję?

- Zamknij się! - wrzasnął.

- Jeśli któremukolwiek chłopcu choć włos z głowy spadnie - oświadczyła Liska - to ja sprawcę zabiję. Nie żartuję, Cal. Zabiję jak mi Bóg miły, i pokroję na kawałki. Rozumiesz?

Próbował się wyrywać, ale Liska przytrzymała włosy i uderzyła go knykciami w czoło.

- Au!

- Ty głupi skurwysynu! - ryknęła i walnęła go jeszcze raz. - Co ci odbiło? Jak możesz się z nimi trzymać?

Pchnęła go gwałtownie, spadł z krzesła i próbując utrzymać równowagę, przebierał kończynami niczym krab.

- Ty gadzino! - krzyknęła Liska.

Złapała za kieliszek z jajkiem na miękko i rzuciła w niego. Podniósł rękę, chcąc się zasłonić, i upadł na wznak, uderzając potylicą w kredens. Zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu. Pani Springer wrzasnęła.

- Pójdiesz do Castletona, ty gnido - rozkazała Liska - powiesz mu, gdzie nie byłeś w czwartkowy wieczór. Pójdiesz do SW. Tam uwielbiają takie gówniane śliskie kreatury jak ty. Tam podkablujesz tych dwóch albo będziesz zazdrościł Hiobowi lekkiego życia, możesz na mnie liczyć. Nikt, powtarzam, nikt nie będzie groził moim dzieciom bezkarnie!

W charakterze ostatniego wykrzyknika rzuciła w niego miską owsianki, po czym zebrała odbitki i wepchnęła je na powrót do torebki. Springer nawet nie próbował się podnieść, owsianka ciekła mu po twarzy.

Liska zaczerpnęła parę razy powietrza, żeby się nieco uspokoić, i popatrzyła na Patsy Springer.

- Przepraszam panią za najście - odezwała się głosem wciąż drżącym z wściekłości.

Żona Cala wydała zduszony okrzyk i uciekła w kąt kuchni.

- Proszę mnie nie odprowadzać, trafię do drzwi - oznajmiła Liska i wyszła, dygocząc na całym ciele tak, że zaczęła się obawiać, iż to jakiś atak.

Wsiadłszy do saturna, odetchnęła głęboko.

- No tak - powiedziała do siebie na głos, wsuwając kluczyk do stacyjki. - Trochę mi pomogło!

„Po co mówiłeś?! Ja bym ci pomogła!”

Co, do cholery, miała na myśli Jocelyn Daring?

Kovac siedział na krzeselku w kącie sypialni Andy'ego Fallona i gapił się w przestrzeń. Odtwarzał w pamięci wejście Jocelyn Daring do pokoju Pierce'a. Wyraz jej twarzy. Furię w oczach. Co by jeszcze zrobiła Pierce'owi, gdyby jej nie powstrzymał?

Za to, co już zrobiła, spokojnie można by ją aresztować. Prawo stanu Minnesota absolutnie nie toleruje przemocy domowej. Nawet jeśli poszkodowany nie złoży skargi, przemoc domową ściga się z urzędu. Kovac jednak nie nadał toku sprawie. Adwokat twierdziłby, że to postępek w afekcie. Biedna Jocelyn! Właśnie dowiedziała się, że jej narzeczony pozostawał w związku homoseksualnym, więc straciła panowanie nad sobą. Po co się nad nią znęcać?

A może zechce dokończyć, co zaczęła?

Wyszła z domu spokojnie i w milczeniu, zabrała wyładowaną walizkę do czekającego na nią samochodu najbliższej przyjaciółki. Steve Pierce pojechał taksówką do punktu pomocy doraźnej, gdzie skłamał, że poślizgnął się na lodzie i rozbił sobie głowę.

Miłość po amerykańsku.

Miłość...

Kovac próbował otrząsnąć się z tych myśli i skupić na oględzinach sceny śmierci Andy'ego Fallona. Przyszedł tu między innymi po to, żeby się oderwać od rozmyślań o tym, w co się wpakował, zadając się z kobietą z naszywkami porucznika i jakimiś mrocznymi problemami w głowie. Próbował przestać się zastanawiać nad tym, jakie mogą być źródła jej nocnych koszmarów. Próbował przestać myśleć o tym, że może to nie był odosobniony przypadek; może kazała mu odejść właśnie dlatego: z obawy, że takie incydenty będą się powtarzały, a on będzie chciał poznać ich przyczynę. Chciał się pozbyć takich myśli, dlatego tutaj przyszedł. Te myśli go prześladowały; musiał sobie wciąż powtarzać, że trzeba ich unikać.

Nie chciał też myśleć o tym, jak to było, kiedy się kochali; jak wspaniale się czuł, tuląc ją, gdy obudziła się z koszmaru. Musi zaprząć umysł do roboty; zresztą tak naprawdę to jedyna rzecz, w której jest dobry - praca. Praca nigdy go nie zawiodła.

W pomieszczeniu wciąż unosiła się trupia woń. Kovac wetknął nos w filiżankę parującej kawy caribou.

„Chyba dla dobra bezpieczeństwa publicznego zaproszę pana na kawę...”

Wyrzucił sprzed oczu obraz Amandy w drzwiach frontowych, przyglądającej mu się. Teraz trzeba się zająć inną blondynką.

Pytanie: Czy Jocelyn Daring mogła zabić kochanka swojego narzeczonego? Tak. Czy miała taką możliwość? Tego nie wiedział, a jej spytać nie mógł. Śledztwo zostało oficjalnie zakończone; nie miał prawa przesłuchiwać nikogo. Czy Pierce coś mówił, że był z nią tej nocy, gdy zginął Andy Fallon? Jeśli miała sposobność, jeśli z niej skorzystała, to w jaki sposób wszystko przeprowadziła? Poszła z Fallonem do łóżka? Nikt nigdy nie wspominał, żeby Andy Fallon był biseksualistą. I wszyscy mieli o nim tak dobrą opinię, że raczej jest nieprawdopodobne, by poszedł do łóżka z narzeczoną przyjaciela. To jest problem.

Pomyślał o tabletkach nasennych, o kieliszkach do wina w zmywarce.

Może...

Następne pytanie: Jeśli go uśpiła czy coś w tym rodzaju, to czy była w stanie go powiesić? Czy mogła go udźwignąć?

Popatrzył na łóżko, na krokiew i linę, która z niej zwisała. Wstał z krzeselka, podszedł do łóżka i usiadł na jego krawędzi. Potem się podniósł i stanął mniej więcej w tym miejscu, gdzie znaleziono zwłoki. Lustro było tam, gdzie poprzednio; słowo „przepraszam” wypadło na wysokości odbicia jego brzucha. Lustro obsypano proszkiem dla zebrania śladów daktyloskopijnych, ale pozostawiono na miejscu - nie zabrano w charakterze dowodu rzeczowego, bo nie stwierdzono przestępstwa. Kovac popatrzył w nie teraz i starał sobie wyobrazić Jocelyn Daring na łóżku.

Być może dałoby się posadzić nieprzytomną ofiarę na łóżku, założyć jej pętlę na szyję, wciągnąć na linie i przywiązać koniec do nogi łóżka. Możliwe. Ile ważył Andy Fallon? Siedemdziesiąt parę kilo? Osiemdziesiąt? Osiemdziesiąt kilo martwej wagi. Jocelyn była silna, ale...

Kobieta miałaby trudności, prędzej dałby sobie z tym radę mężczyzna.

Czy Neil mógł przeprowadzić taki plan? Zabić brata za to, że nie chciał mu pożyczyć pieniędzy, albo za to, że nie był takim samym nieudacznikiem, albo z zazdrości, albo chcąc ukarać w ten sposób ojca, zanim i jego załatwi?

Kovac wrócił na krzesło. Popatrzył na porządek w pokoju; przypomniał sobie, jak nieskazitelnie zasłane było łóżko. To go uderzyło od razu: Andy nawet nie przysiadł na brzegu. A w pralce była pościel.

Kto puszcza pranie, a potem odbiera sobie życie?

Pomyślał o mieszkaniu Neila Fallona, gdzie przeprowadzali rewizję. Brud, smród, bałagan - uzasadnienie negatywnej opinii o samotnych mężczyznach. Pierce powiedział o nim: „Neil to typ bałaganiarza... wszędzie zostawi bałagan, odciski palców...”

Neil Fallon w życiu nie zmienił sam pościeli. Sądząc po jego mieszkaniu, to nie umiał nawet uruchomić zmywarki do naczyń.

Zatem kto? Kto jeszcze miał motyw? Od Ogdena SW już się odczepiło. Chyba że Andy dogrzebał się czegoś nowego. Tego nie wiadomo, póki nie znajdą się jego osobiste notatki ze śledztwa. Ale jakim sposobem taki wół jak Ogden mógłby działać z podobną finezją? To nie w jego naturze. Zatluc kogoś kijem baseballowym - to jest jego natura. A poza tym jakby tu wszedł? Fallon na pewno nie wpuściłby go przez próg. Chyba że byłby na muszce.

Nie ma wątpliwości, że Liska wsadziła kij w mrowisko, przyglądając się udziałowi Ogdena w śledztwie dotyczącym Curtisa...

A co do Steve'a Pierce'a, to Kovac czuł, że wyznał już wszystko. Nie wyobrażał sobie, żeby Pierce mógł zabić kochankę z zimną krwią. Jeśli kochał Andy'ego, a na to wygląda, to nie upokorzyłby go nigdy w ten sposób. A nieudana zabawa seksualna raczej nie wchodzi w grę, w świetle tego, co mówiła Kate Conlan.

Kovac westchnął:

- Przemów do mnie, Andy.

Do wyjaśnienia przeciętnego morderstwa nie trzeba na ogół Sherlocka Holmesa. Zabójstwo przez nieznanego sprawcę to raczej wyjątek potwierdzający regułę. Ludzie na ogół giną z ręki bliskich i z łatwych do odkrycia powodów.

Przesłuchania znajomych Andy'ego, wziętych z jego notesu adresowego, nie przyniosły nic ciekawego. Z niewidoma osobami utrzymywał bliższą znajomość. Skutki skrywanego życia. Chociaż Pierce wspominał, że widział go z kimś ostatnio. Z nowym kochankiem?



Ludzie na ogół giną z ręki bliskich i z łatwych do odkrycia powodów.

W życiu prywatnym: rodzina, znajomi, partnerzy, byli partnerzy.

W życiu zawodowym: koledzy, wrogowie z powodów zawodowych, związanych z pracą.

Nie wiedział, jakie inne śledztwa prowadził Andy. Savard tego nie ujawni, zwłaszcza że oficjalnie uznano śmierć za nieszczęśliwy wypadek i zakończono śledztwo. Nie chciała uznać, że jakaś aktualnie prowadzona sprawa mogła być dla kogoś motywem zabójstwa. Tak więc Kovac wrócił do jedyne śledztwa Fallona, o którym wiedział: sprawa Curtisa-Ogdena.

Ale to nie całkiem prawda. Według Pierce'a Andy zajmował się czymś jeszcze. Przyglądał się zabójstwu Thorne'a. Czy cokolwiek może jednak wynikać ze sprawy, którą zakończono dwadzieścia lat temu, jeśli nie liczyć wyrzutów ze strony ojca?

To znów doprowadziło Kovaca do hipotezy samobójstwa. Może facet pokroju Andy'ego, pedant, facet, który zawsze szuka uznania i wszystko chciałby mieć pod kontrolą... Może taki facet rzeczywiście zmieni pościel, zanim założy sobie pętlę na szyję.

Ludzie na ogół giną z ręki bliskich i z łatwych do odkrycia powodów. Samobójstwo. Depresja.

Trudno sobie wyobrazić prostszą przyczynę śmierci.

Niestety, nie mógł w to uwierzyć.

W biurze wydziału zabójstw panowała w soboty cisza i spokój. Leonard w weekendy się nie pojawiał. Dyżurujący detektywi przebywali na ogół w terenie. Czasami ktoś przyjeżdżał nadrobić zaległości w robocie papierkowej. Kovac, ponieważ nie miał życia osobistego, spędzał tu większość sobót.

Powiesił palto i zamyślił się nad tym, co może porabiać w taką sobotę Amanda. Myśli o nim, o tym, co zaszło? Powraca do chwili, w której on wychodzi; może zastanawia się, co by było, gdyby go powstrzymała, zaprosiła, aby został?

Opadł na krzesło i wpatrzył się w telefon.

Nie. Nie zadzwoni. Ale podniósł słuchawkę, chcąc sprawdzić pocztę głosową. Może...? Nie ma nic. Westchnął, przerzucił fiszki kartoteki telefonów, wybrał numer.

- Archiwum, Turvey przy telefonie - rzeźił i krztusił się flegmą rozmówca.

- Russel, ty krecie! Siedzisz w robocie w sobotę? A życie prywatne?

- Po cholere mi życie prywatne! Gdybym miał się stykać z normalnymi ludźmi... - stary człowiek wydał znów bulgoczący odgłos. - Ehe-ehe. Wolałbym przetrząść małpę.

- Nieźle by to wyglądało. - Russel Turvey, po sześćdziesiątce, gęba jak u Kubusia marynarza z komiksu, wieczny papieros w ustach, brzuch jak piłka do koszykówki, posuwający małpę.

Turvey zaśmiał się, rozkaszał i zakrztusił. Odgłosy wydobywające się z jego płuc nasuwały na myśl plastikowe worki częściowo wypełnione kisiem.

Kovac wyjął z kieszeni paczkę salemów, którą kupił po drodze, i wyrzucił ją do kosza.

- Czego ci potrzeba, Sam? I czy to zgodne z prawem?

- Jasne.

- O, co słyszę! Na starość robisz się nudny. Hej, słyszałem o Żelaznym Mike'u. Podobno ty go znalazłeś. Zawsze ci twardziele w końcu pchają sobie lufę do gęby.

- Niekoniecznie tak to wyglądało. Zajmuję się tym.

- Rany boskie! Jaja sobie robisz! Kto by marnował kulkę na takiego upierdliwego pryka jak on?

- Dam ci znać, jak się dowiem - obiecał Kovac. - Słuchaj, Russ. Trafiłem któregoś dnia na dawną odznakę, w sklepie ze starzyzną. Ciekaw jestem, czyja była. Da się znaleźć coś takiego?

- Pewnie. Jeśli mnie się nie uda, to wiem, kto może się dowiedzieć. Nie mam nic innego do roboty, tylko siedzieć tu i grzebać palcem w dupie.

- Cóż za obrazy roztaczasz przede mną, Russel!

- Ehe-ehe. No to przyjeżdżaj i zrób fotkę do księgi pamiątkowej. Jaki był numer na tej odznace?

- Tysiąc czterysta dwadzieścia osiem. Na moje oko z lat siedemdziesiątych. Czysta ciekawość.

- Wygrzebię ci to.

- Dzięki. Masz u mnie piwo.

- Złap tego drania, co załatwił Mike'a. Będziemy kwita.

- Zrobię, co się da.

- Wiem, Sam. Znam cię. Zrobisz sto razy więcej, niż się da, a jakiś zasrany palant z dowództwa weźmie na siebie cały splendor.

- Taki jest świat, Russ.

- Ehe- ehe. Pieprzyć to. - Rozkaszał się w telefon i rozłączył.

Kovac wyciągnął paczkę papierosów z kosza, złamał ją na pół i wyrzucił z powrotem.

Uruchomił komputer i przez następną godzinę zaznajamiał się z Jocelyn Daring. W jednej bazie znalazł informacje, że ukończyła z wyróżnieniem Northwestern College, gdzie grała z sukcesami w drużynie hokejowej. Sportsmenka. Silna - przekonał się już o tym. Agresywna - też to widział. Ukończyła wydział prawa Uniwersytetu Minnesoty z czwartą lokatą. Ambitna. Pracowita. Z bazy wydziału komunikacji dowiedział się, że miała tendencję cisnąć gaz do dechy, a także zaniedbywała dokarmianie parkometrów. To mogłoby sugerować lekceważenie zasad... a przynajmniej tak powiedziała by John Quinn i jego kolesie od sporządzania profili psychologicznych.

Nie była jednak nigdy karana, gazety nie wpadły na trop żadnej awantury w restauracji czy czegoś w tym stylu. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się znaleźć czegoś takiego. Nawet jeśli Jocelyn dopuściła się jakiegoś ekscesu, jej rodzina miała dość szmalu, żeby zatuszować sprawę.

Co innego z Fallonem, jak zauważył Kovac, przeglądając teczkę Neila, którą przygotował dla niego Elwood. Wybryki Neila znalazły odbicie w publicznych środkach komunikacji. Był skazany za pobicie. Parę razy przyłapany na jeździe samochodem „w stanie wskazującym”. Kłopoty podatkowe. Wykroczenia przeciw przepisom sanitarnym w barze. Konflikty ze służbą ochrony przyrody za nadmierne odłowy każdej możliwej ryby czy zwierzyny łownej.

Zawsze chciał więcej, niż mu się należało - taki obraz wyłaniał się z danych. Człowiek w konflikcie z władzą, z autorytetami. Całkowite przeciwieństwo brata - Neil na pewno miał za złe Andy'emu jego postawę. Chociaż pewnie dlatego Andy był inny.

Widział, co brat robi, i obierał kurs diametralnie przeciwny, chcąc przypodobać się ojcu. I udawało mu się; udałoby się do końca, gdyby nie zrobił rzeczy niewybaczalnej: nie powiedział ojcu prawdy o swoich skłonnościach seksualnych.

Biedny chłopak. Próbował poznać przeszłość ojca, chcąc go zrozumieć. Co tu było do rozumienia? Taki facet jak Mike Fallon nie jest skomplikowany. Tu Neil miał przewagę nad An dym: rozumiał starego doskonale.

- Nie mam nic do powiedzenia, Kovac. Ani słowa bez adwokata.

Neil Fallon patrzył gniewnie, chodząc w tę i z powrotem po pokoju przesłuchań. W aresztanckim pomarańczowym kombinezonie wyglądał zupełnie naturalnie, chociaż brakowało smaru i brudu. Podwinął sobie nogawki, bo były za długie.

- Nie chodzi o ciebie, Neil - wyjaśniał Kovac, siedząc na plastikowym krześle, założywszy kostkę jednej nogi na kolano drugiej. Pełny relaks.

- No to po co tu przylazłeś? Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Mówiłeś to już. Znaczy, że nie chcesz pomóc sobie wydostać się stąd.

- Jak mogę sobie pomóc, skoro nie chodzi o mnie?

- Bądź dobrej myśli, Neil.

Fallon uniósł brwi.

- Dobrej myśli? Wsadź to sobie w tyłek.

- Jak na faceta, który twierdzi, że nie jest pedałem, coś za chętnie wsadzałbyś różne rzeczy w tyłek - zauważył Kovac.

- Pieprz się! - warknął Fallon. Przyspieszył kroku. - Zaskarżę cię, Kovac. Zaskarżę cały wasz komisariat.

Kovac westchnął znudzony.

- Słuchaj, Neil, powiedziałeś, że jesteś niewinny. Powiedziałeś, że nie zabiłeś ojca.

- Bo nie zabiłem.

- Więc pomóż mi zrozumieć parę spraw. Tylko o to cię proszę. Zrozumienie to klucz do oświecenia. Wiesz, policjant twój przyjaciel - tłumaczył jak czterolatki. - A jeśli nie, to masz przechlapane. Spraw, żebym cię polubił, Neil.

Fallon oparł się o ścianę i założył ręce na piersi. Namyslał się.

- Adwokat nie kazał mi z wami rozmawiać.

- Skoro wzięłeś adwokata, to nic, co powiesz w jego nieobecności, nie może być użyte przeciwko tobie. Nie możesz więc sobie zaszkodzić, mówiąc. Nie chcę być twoim wrogiem, Neil. Przecież, do cholery, piliśmy z jednej flaszki. Jesteś porządnym, ciężko pracującym człowiekiem. Jak ja.

Fallon czekał, wydymając dolną wargę.

- Przyniosłem ci papierosy - powiedział Kovac, wyciągając paczkę.

Fallon podszedł, wziął ją i skrzywił się.

- Połamane!

- Człowieku, wypalić się dadzą.

- Rany! - jęknął, ale wziął jednego i spróbował go wyprostować. Kovac dał mu zapalniczkę.

- Parę rzeczy dotyczących Andy'ego po prostu mnie ciekawi. Nie, skąd, nie myślę, żebyś ty go zabił. Nie wiem, chyba to jednak on sam. Wszyscy mówią, że był w depresji. Chcę tylko mieć jasny obraz sytuacji, to wszystko.

Schowany za chmurą dymu Fallon zmrużył oczy, myśląc: chce mnie złapać.

- Widzisz, ja jestem gliną z wydziału zabójstw - ciągnął Kovac. - Mam skrzywienie zawodowe. Jak ktoś umrze nagle, podejrzewam wszystkich naokoło. Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko tobie. Gdyby mój ojciec umarł nagle, to ja, na litość boską, podejrzewałbym matkę. Chcę przyjrzeć się jednej rzeczy. Powiedzmy, że Andy chciał powrócić do dobrych stosunków z ojcem. Chciał odzyskać jego względy, jak to się mówi. Próbował robić z nim coś wspólnie, razem; znaleźć wspólny język, spędzać więcej czasu. Pewnie to on kupił mu ten wielki telewizor do salonu...

- Nie, to Wyatt - sprostował rzeczowo Fallon. Usiadł i przyglądał się połamanemu papierosowi.

- Co?

- Ace Wyatt. Anioł stróż starego - dodał Fallon zgryźliwie. - Zawsze robił takie rzeczy. Płacił rachunki za szpital, kupował różne rzeczy do domu, dla Andy'ego, dla mnie. Mike mówił, że tak jest zawsze: policjanci pomagają sobie nawzajem. Tak jest, mawiał,

bezinteresowna pomoc. I tak było. Ale Wyatt nigdy nie chciał spędzać czasu ze starym ani z nami. Przychodził i zaraz uciekał, jakbyśmy byli zadżumieni. Palant, i tyle.

- A to świństwo z jego strony kupować wam prezenty.

- Wydaje mi się, że zawsze czuł się winny. No bo ta kula była przeznaczona dla Wyatta. To Wyatt mieszkał naprzeciwko Thorne'a. To jego wezwano na pomoc. To on powinien był skończyć na wózku inwalidzkim. Ale Mike był pierwszy.

Kovac przetrwał to, co usłyszał, myśląc, że Neil wyjątkowo trafnie ocenił sytuację. Mike zarobił kulę w zastępstwie Wyatta i nigdy nie pozwolił Wyattowi o tym zapomnieć. Obraz szlachetnej legendy płówał, zmywany kwaśnymi deszczami rzeczywistości.

- Jak ojciec czegoś potrzebował, po prostu dzwonił do Wyatta - kontynuował Neil, zaciągając się papierosem w kształcie litery „L” - I za każdym razem mi to wypominał, nie myśl sobie. Że to ja powinienem o niego dbać, jako najstarszy syn, i tak dalej. Bzdury. Sam głównie dla mnie zrobił.

- Ile lat miał Andy, gdy doszło do tej strzelaniny?

- Siedem czy osiem. A dlaczego?

- Ktoś mi mówił, że Andy chciał z Mikiem pogadać o tym, jak to było. Lepiej zrozumieć ojca.

Fallon zaśmiał się, rozkaszał, zaciągnął złamanym papierosem.

- Cały Andy! Chodząca wrażliwość. Co tu było do rozumienia? Mike był starym, rozgoryczonym skurwysynem, i tyle.

- Mike pewnie wolał o tym nie rozmawiać. Andy coś ci o tym mówił?

Neil zastanawiał się chwilę, miał taką minę, jakby usiłował sobie przypomnieć.

- Coś chyba mówił, kiedy się ostatni raz widzieliśmy. Wspominał, że Mike nie chce rozdrapywać starych ran. Nie przywiązywałem do tego wagi. Po co wyciągać stare sprawy? - Chwilę przyglądał się Kovacowi badawczo. - A po co ci to?

Kovac przez chwilę przeżuwał to, co usłyszał; włączając nowe informacje w to, co już wiedział, i próbując sobie przypomnieć, jak wyglądały jego ostatnie rozmowy z Mikiem.

- Zastanawiam się po prostu - powiedział, chcąc przerwać ciszę. - Coś Andy'ego przygnębiło. Bardzo mu zależało na naprawieniu stosunków z ojcem. Mike nie poszedł mu na rękę, to był dla Andy'ego ostateczny cios. Skończył ze sobą. Może Mike poczuł się winny...

- To byłby u niego pierwszy raz w życiu. - Fallon zgasił papierosa na podeszwie buta. - Nigdy nie wiń siebie, jeśli możesz zrzucić winę na kogoś. Mike był taki.

Kovac spojrział na zegarek.

- No to kiedy mnie wypuścicie? - spytał Neil.

- Nie mam na to wpływu, Neil - odparł Kovac, wstając. Podeszedł do drzwi i przycisnął dzwonek na strażnika. - To nie moja wina. To ci parszywi prawnicy. Pomógłbym ci, gdybym mógł. Zatrzymaj sobie papierosy. Tyle mogę dla ciebie zrobić.

Gazeta „Minneapolis Star Tribune” w czwartkowym dodatku wiadomości ze świata rozrywki wydrukowała harmonogram zdjęć Ace'a Wyatta do programu „Pora zbrodni”. To była jedna ze sztuczek Wyatta dla utrzymania kontaktu z publicznością. Kovacowi za każdym razem, kiedy oglądał jego program, przychodziło do głowy, że niewiele różni się od reklamy. Albo od programów z kanału kulinarnego. Ace Wyatt: mistrz rondla wśród stróżów prawa.

Danie dnia przygotowywano na lodowisku hokejowym na przedmieściu St. Louis Park. Odtworzenie zabójstwa w trakcie meczu curlingu: pouczająca historyjka o zgubnych skutkach nieprzestrzegania zasady *fair play* w sporcie. Kovac błysnął odznaką osiłkowi, który strzegł wejścia do odgradzonego linami sektora trybun, i znalazł się w samym środku Acemanii.

Na fragmencie lodowiska rozpostarto czerwony dywan. Na jednym z jego rogów stała kamera wraz ze znudzonym operatorem, który wyglądał jak Gandhi w kurtce puchowej. Inny operator, ten z kolei na łyżwach i z ręczną kamerą, opierał się o hokejową bramkę. Prawie setka fanów siedziała z tyłu, na trybunach. Czwórkę szczęściarzy wpuszczono na ławkę kar. Tłumy otyłych kobiet i sflaczałych starszych panów w czerwonych bluzach z napisem: „Bądź aktywny!”

- Teraz musimy mieć ciszę! - zawołała chuda, koścista kobieta w okularach w czarnej oprawce i płaszczu, który wyglądał na zrobiony z włochatej wykładziny podłogowej oliwkowego koloru. Zaklaskała w dłonie trzy razy, a tłum posłusznie się uciszył.

Reżyser, tłusty facet pogryzający batonik niskokaloryczny, wrzeszczał na aktorów:

- Na miejsca! Tym razem porządnie!

Jeden z aktorów, gość pod pięćdziesiątkę, w swetrze w skandynawski deseń i w czymś, co wyglądało jak niebieskie rajstopy, poślizgnął się, rymnął na lód, wywijając rękami konwulsyjnego młynka.



- Martwi mnie to, Donald - utyskiwał. - Myślę, jak mam udawać, że gram w curling, skoro tu stoi bramka hokejowa?

- Nie przejmuj się, Keith. Nikt tego nie będzie widział. Nie myśl za wiele. Nie musisz.

Aktor udał się na miejsce. Reżyser pokiwał głową z miną: „Boże, chroń nas przed aktorami”.

Kovac zauważył Wyatta siedzącego z dala od publiczności. Poprawiano mu makijaż. Za nim stała para trzęsących się z zimna hollywoodzkich fachowców, z przylepionymi uśmiechami, ponieważ Gaines robił im zdjęcie. Była też anorektyczna dziewczyna o jaskraworudych włosach ułożonych w grzebień na czubku głowy oraz dwudziestoparoletni facet w czarnym skórzanym płaszczu i kanciastych okularkach.

- Jedno do księgi pamiątkowej - powiedział Gaines.

Błysnął flesz, polaroid wypluł odbitkę.

- Publiczności mróz wcale nie przeszkadza - zauważył facet w okularkach.

Gaines uśmiechnął się do niego zachęcająco.

- Uwielbiają kapitana Wyatta. Na każdym nagraniu mamy tłumy. Są tak podnieceni, że mogą tu być. Cóż dla nich znaczy trochę chłodu?

Dziewczyna podrygiwała i skrzyżowawszy ręce, rozcierała sobie dłonie o ramiona.

- W życiu tak nie zmarzłam. Ani chwili ciepła, odkąd wysiadłam z samolotu. Jak tu można żyć?

- Wydaje się pani, że jest zimno? - prychnął z niesmakiem Kovac. - Niech pani przyjedzie w styczniu. Będzie się pani zdawać, że umarła i znalazła się na Syberii. Tu jest zimniej niż u grabarza w tyłku.

Dziewczyna przyjrzała mu się, jakby oglądała dziwne stworzenie w zoo. Gaines przestał się uśmiechać.

- Sierzancie Kovac, jak miło - powiedział beznamiętnie.

- Mnie również - odparł Kovac, obrzucając ich jeszcze raz spojrzeniem pełnym niesmaku. - Nie co dzień oglądam cyrk. Mam prawdziwą pracę.

- Yvette Halston - przedstawiła się ruda. - Wiceprezes do spraw kreatywnych, telewizja Warner Brothers.

Facet w okularkach wyciągnął rękę.

- Kelsey Vroman, wiceprezes, programowanie rzeczywistości.

- Kovac. Sierżant. Wydział zabójstw.

- Sam! - Wyatt odprawił charakteryzatorkę i wstał z fotela. Zdjął ręczniki papierowe zatknięte za kołnierz dwurzędowej granatowej marynarki i wyrzucił. - Co cię tu sprowadza? Masz wyniki badań laboratoryjnych tych rzeczy od Fallona?

Wiceprezesi Warner Brothers nastawili uszu, słysząc prawdziwą rozmowę policjantów.

- Jeszcze nie.

- Zadzwoń, gdzie trzeba. Będą gotowe dzisiaj.

- Dzięki, Ace. - W głosie Kovaca nie było słycać wdzięczności. - Przyszedłem właściwie w innej sprawie. Masz chwilę?

Podszedł z boku Gaines z notesem w rękę, próbując pokazać mu harmonogram zajęć.

- Kapitanie, Donald chce skończyć tę część do pierwszej. Reszta tych ludzi od curlingu ma tu przyjść na wpół do drugiej, kiedy zaczną się wywiady. Za pół godziny zrobimy przerwę na lunch, żeby ci ze związków zawodowych się nie czepiali.

- To robimy przerwę teraz - zarządził Wyatt.

- Ale ekipa jest gotowa do zdjęć.

- Po lunchu też mogą być gotowi, prawda?

- Tak, ale...

- No to na czym polega kłopot, Gavin?

- Właśnie, Gavin - drażnił się Kovac - na czym polega kłopot?

Gaines spojrzał na Kovaca zimno.

- To ty zwracałeś uwagę, że kapitan Wyatt wystąpił ze służby. Ma ważniejsze sprawy niż pomagać ci w śledztwie, ale jest człowiekiem zbyt uprzejmym, by kazać ci się wynosić.

- Gavin... - w głosie Wyatta zabrzmiała nagana. - Nie ma spraw ważniejszych niż śledztwo w sprawie morderstwa.

Para wiceprezesów niemal się posikała.

- Ace - wymruczała ruda - jesteś konsultantem w sprawie o morderstwo? Nic nam nie powiedziałaś! To może być niezwykle ekscytujące! Co o tym sądzisz, Kelsey?

- Moglibyśmy zorganizować coś z udziałem przedstawicieli różnych formacji stróżów prawa. Dodatkowy segment raz w tygodniu. Policja, Agencja Antynarkotykowa, FBI. Konsultacje na koniec odcinka. Pięć minut, konkretna sprawa, fachowiec z fachowcem, detektyw z detektywem. Ace dzieli się swoją zdroworozsądkową mądrością. Podoba mi się. To by dodało programowi żywości, aktualności. Co myślisz, Gavin?

- To mogłoby wyjść doskonale - odparł Gavin dyplomatycznie. - Ale teraz martwi mnie dzisiejszy harmonogram.

- Poradzę sobie. - Wyatt odprawił asystenta i zwrócił się do Kovaca: - Chodźmy na górę, Sam. Przegryziesz coś w czasie rozmowy. Mamy wspaniały catering. Gavin znalazł firmę. Rewelacja. Najlepsze zapiekanki na świecie.

Wyatt poprowadził betonowymi schodami do pomieszczenia nad lodowiskiem, skąd widać było taflę przez sięgające podłogi okno. Na długim stole, nakrytym czerwonym obrusem, artystycznie rozstawiono potrawy. Centralne miejsce zajmowała księga pamiątkowa „Pory zbrodni”. Wyatt nie interesował się jedzeniem.

- Nie jadam w czasie zdjęć - wyjaśnił, otwierając butelkę z wodą. - Dzięki temu zachowuję większą sprawność umysłu. Ale ty się posil.

- Musisz być cały czas czujny - powiedział Kovac. I uważać, żeby ci gorset nie pękł - dodał w myśli. Wyatt wyglądał, jakby od pięciu godzin nie odetchnął głębiej.

- Wiem, że nie masz najlepszego zdania o tym programie, Sam. Ale my tu naprawdę mamy praktyczne cele. Szukamy sprawców, mobilizujemy ludzi do wzięcia spraw we własne ręce, do działań prewencyjnych...

- I zarabiamy mnóstwo kasy.

- To nie przestępstwo.

- Nie. Nie przejmuj się mną. - Kovac kartkował od niechcenia album pamiątkowy, zatrzymał się przy zdjęciach z pożegnania przyjęcia Wyatta. Upozowany lub nie, jeśli

istniało w ogóle coś takiego jak nieupozowane zdjęcie Ace'a Wyatta. Kolekcja zdjęć wielkiego człowieka w pełni chwały. Wyatt ściskający rękę Kovaca, Kovac ma minę, jakby trzymał w ręku węgorza. Pozowane zdjęcie z dziennikarką Channel Five. Wyatt rozmawiający z Amandą Savard. Kovac przyjrzał się dłużej.

- Ja nie lubię nawet teleturniejów - ciągnął Kovac, starając się przypomnieć sobie, czy widział Amandę tamtego wieczoru. Chyba nie, był zbyt zajęty uzalaniem się nad sobą.  
- Powiedziano mi, że na starość robię się nieznosny. To bzdura. Zawsze byłem nieznosny.

- Nie jesteś jeszcze stary, Sam - zauważył Wyatt. - Jesteś młodszy ode mnie. Zobacz, do czego doszedłem. Drugi zawód, kariera. Sukces.

- Chyba zostanę przy swoim pierwszym zawodzie, póki mnie ktoś nie zastrzeli. Ale, ale, to mi właśnie przypomniało, z czym tu przychodzę.

- Chodzi o Mike'a - kiwnął głową Wyatt. - Masz coś nowego na jego syna, Neila?

- Właściwie to przyszedłem tu w sprawie Andy'ego.

Wyatt zmarszczył czoło.

- Andy'ego? Nie rozumiem.

- Wciąż mnie ciekawi, dlaczego do tego doszło - mgliście wyjaśnił Kovac. - Dowiedziałem się, że Andy zajął się morderstwem Thorne'a, pewnie myślał, że Mike chciałby powspominać, liczył na to, że w ten sposób odzyska względy ojca.

- Ach...

- Rozmawiał z tobą. - Kovac nie pytał, tylko stwierdzał fakt, jakby widział jakieś notatki. Blefował.

- Tak - potwierdził Wyatt. - Wspominał o tym. Wiem, że Mike nie chciał o tym gadać. Bolesne wspomnienia.

- Dla ciebie także.

Wyatt pokiwał głową.

- To była okropna noc. Zmieniła na zawsze życie każdego, kto tam był.

- Związał cię z Fallonami niczym z rodziną.

- W pewnym sensie tak. Nie można przejść przez coś takiego z towarzyszem służby i nie związać się mocno.

- Zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności.

- Co masz na myśli?

- Mieszkałeś naprzeciwko. Thorne'owie wezwali cię na pomoc, ale Mike znalazł się tam pierwszy. Nie masz wrażenia, że Mike dostał tę kulę zamiast ciebie? Mike pewnie tak uważał.

- Zrządzenie losu. - Wyatt westchnął teatralnie. - Wypadło na niego.

- Ale pewnie starasz się okupić poczucie winy. Przez te wszystkie lata bardzo mu pomagałeś.

Wyatt milczał chwilę. Kovac czekał, zastanawiając się, co kryje się pod charakteryzacją. Zaskoczenie? Gniew?

- Do czego ty zmierzasz, Sam?

Kovac wzruszył lekko ramionami i wziął z tacy małą marchewkę.

- Wiem, że Mike trochę to wykorzystywał przez te wszystkie lata - powiedział, łamiąc marchewkę na dwoje. - Zastanawiam się... Wiesz, zaczynasz robić karierę w Hollywood... Zarabiać dużą forszę... Zastanawiam się, czy nie próbował cię naciągnąć na trochę więcej.

Kovac widział, że rumieńce na twarzy Wyatta zaczynają prześwitywać przez makijaż.

- Nie podoba mi się kierunek, który obrałeś - powiedział cicho. - Robiłem dla Mike'a i jego rodziny, co uznawałem za słuszne. Może on trochę mnie wykorzystywał, grał na moim poczuciu winy. Ale to sprawa między mną a Mikiem i niech tak zostanie. Obaj nie zasługujemy na to, co o nas myślisz.

- Ja nic nie myślę, Ace. Nie płacą mi za myślenie. Zastanawiam się tylko. Znasz mnie, zawsze wszystko rozkładałam na części, żeby zobaczyć, jak to działa.

- Stałeś się cyniczny przez swoją pracę, Sam. Może powinieneś się zająć czymś innym.

Kovac zmrużył odrobinę powieki, przyglądał się Wyattowi, chcąc stwierdzić, czy to była groźba. Wyatt może wykonać kilka swoich słynnych telefonów i będzie po wszystkim. Musiałby pożegnać się ze stanowiskiem i resztę życia spędzić w archiwum, na słuchaniu ataków kaszlu Russela Turveya. Za co? Za to, że ujawnił straszną prawdę: Ace

Wyatt czuje się winny, że jest zdrow i cały. Nawet jeśli Mike próbował naciągnąć go na trochę dodatkowej forsy, to sama myśl o tym, że Wyatt mógłby zabić, jest niedorzeczna.

Chyba że opłacał Mike'a Fallona przez te wszystkie lata z zupełnie innego powodu.

- Dobrze znałeś Thorne'ów?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Gaines z zaaferowaną miną.

- Przepraszam, kapitanie. Kesley i Yvette poszli kupić sobie ciepłe kurtki. Ekipa rozchodzi się na lunch. Czy pójdzie pan na chwilę do publiczności, czy to potrwa dłużej? - Mówiąc „to”, spojrzał znacząco na Kovaca. Wyciągnął z kieszeni małą szczotkę do ubrania i strzasnął pyłki z klap Wyatta.

- Nie potrwa - powiedział Wyatt. - Skończyliśmy. Kovac wrzucił do ust marchewkę i gryzł ją w zamyśleniu, patrząc na wychodzącego Wyatta. Poszedł za nim i przyglądał się, jak rozmawia z tłumem ludzi, którzy mają na tyle puste życie, że mogą zmarnować sobotę na oglądanie tych bzdur. Jak ja - powiedział do siebie drwiąco i wyszedł.

Internetowe archiwum „Minneapolis Star Tribune” sięgało w przeszłość tylko do roku 1990. Kovac spędził zatem popołudnie w czytelni biblioteki hrabstwa Hennepin, niszcząc sobie wzrok nad mikrofilmami. Przeczytał wszystko, co napisano o sprawie Thorne'a. Z artykułów wyłoniła się historia mniej więcej taka, jak ją zapamiętał.

Wędrowną złotą rączka Kenneth Weagle wykonał jakieś prace dla żony policjanta Billa Thorne'a, która najwyraźniej wpadła mu w oko. Wieczorem wrócił, wiedząc, że Bill Thorne będzie na służbie. Kręcił się po okolicy wystarczająco długo, by poznać rozkład zajęć mieszkańców. Napadł Evelyn Thome w jej sypialni, zgwałcił, pobił, po czym zaczął plądrować dom. Bill Thorne przypadkowo zajrzał do domu w czasie patrolu, niczego nie podejrzewając. Weagle strzelił do niego z jego własnego pistoletu, który znalazł w domu. W pewnym momencie pani Thorne zadzwoniła do Ace'a Wyatta, który mieszkał naprzeciwko. Przed Wyattem jednak zjawił się Mike Fallon.

Billowi Thorne'owi sprawiono uroczysty pogrzeb z wszystkimi szykanami. Był na ten temat fotoreportaż. Kawalkada policyjnych aut. Niewyraźne zdjęcie wdowy w ciemnych okularach, odbierającej kondolencje od rodziny i znajomych.

Według artykułu Thorne pozostawił po sobie żonę, Evelyn, i siedemnastoletnią córkę, której imienia nie podano. Evelyn Thorne ze zdjęcia przypominała nieco Grace Kelly. Kovac zastanawiał się, czy któraś z nich mieszka gdzieś w pobliżu. Może któryś ze starych wiarusów będzie wiedział. Evelyn Thorne była w czasie tego wypadku stosunkowo młodą kobietą, niewykluczone, że wyszła ponownie za mąż. Dziś będzie miała pięćdziesiąt osiem, córka - trzydzieści siedem.

Jeśli Andy Fallon interesował się tą sprawą, chcąc coś z niej zrozumieć, to pewnie nabiegał się i pozbierał informacje. Ale nie ma akt. Może udałoby się namówić Amandę, żeby pozwoliła mu rozejrzeć się w biurku Fallona, poszperać w jego komputerze służbowym. SW nie zajmowała się sprawą Thorne'a, Amanda nie miałaby więc powodu odmawiać.

Nawet nie wiesz, czy jeszcze kiedykolwiek się do ciebie odezwie, Kovac.

Tak to wygląda.

- Proszę pana? - Poderwał się na dźwięk głosu bibliotekarki. Obejrzał się i zobaczył, że stoi tuż przy nim. - Zamykamy - dodała przepraszająco. - Niestety, musi pan wyjść.

Kovac pozbierał kopie artykułów, które kazał sobie wydrukować, i wyszedł na mróz. Popołudnie przeistoczyło się już w wieczór, chociaż była dopiero piąta. Bezdomnych, którzy spędzali dni w ciepłej biblioteki, wyproszono wraz z Kovakiem. Kręcili się po chodniku, instynktownie trzymając się z dala od niego, wyczuwając glinę. Bibliotekarka pewnie wzięła go za jednego z nich. Był nieogolony, a przez całe popołudnie mierzwił sobie włosy i rozcierał bolące oczy. Stojąc tak samotnie na zimnej i ciemnej ulicy, czuł się jak jeden z nich. Samotny, wyobcowany.

Próbował dodzwonić się na komórkę Liski, ale odzywała się tylko poczta głosowa; namyślał się chwilę, czy nie wezwać jej przez pager, ale zrezygnował. Pojechał do domu, żeby czuć się samotnym i wyobcowanym w cieplejszym miejscu.

Sąsiad do swojej wystawy w ogródku dodał jeszcze jeden eksponat: wyciętego ze sklejki Mikołaja wypinającego goły tyłek. Boki zrywać! Ustawiony był dokładnie na okna salonu Kovaca. To się nazywa klasa!

Kovac miał ochotę wyciągnąć pistolet i przestrzelić Mikołajowi dziurę w tyłku. Wydaje ci się zabawne, palancie?

W mieszkaniu wciąż śmierdziało śmieciami, chociaż je wyrzucił. Tak samo jak z tym trupim zapachem u Andy'ego Fallona. Rzucił odbitki artykułów o morderstwie Thorne'a na stolik w salonie i poszedł do kuchni. Chcąc się pozbyć zapachu, przypalił parę ziaren kawy na kuchence; sztuczka stosowana dla pozbycia się trupiego odoru w domach ofiar. Ciekawe, czy zna ją Heloiza, autorka poczytnej rubryki porad domowych. *Co robić, jeśli w mieszkaniu rozłożą, ci się zwłoki?*

Poszedł na górę, wziął prysznic, wciągnął jakieś dżinsy, wełniane skarpetki i starą bluzę. Zszedł z powrotem poszukać sobie jakiejś kolacji, chociaż nie miał szczególnego apetytu. Potrzebował jednak kalorii, żeby utrzymać sprawność umysłu. A na sprawności umysłu tej nocy naprawdę mu zależało.

Jedyną nadającą się do jedzenia rzeczą, jaką znalazł w domu, była paczka lukrowanych płatków kukurydzianych. Zjadł garść, na sucho, potem nalał sobie trochę whisky, którą kupił po drodze do domu. Macallan. A co!

Znalazł w radiu niby-jazzową stację, grającą niby-jazzowe melodie, i stanął przy oknie, słuchając, popijając macallana i gapiąc się na tyłek świętego Mikołaja.

To jest moje życie.

Nie wiedział, jak długo już tak stoi, gdy usłyszał dzwonięcie do drzwi. Był to tak niecodzienny dźwięk, że zareagował dopiero po trzecim dzwonku.

Na progu stała Amanda Savard, zakutana w czarną apaszkę, żeby ukryć obrażenia. Przynajmniej częściowo.

- No - powiedział Kovac - chyba jesteś detektywem. Nie ma mnie w książce telefonicznej.

- Mogę wejść?

Cofnął się, gestem ręki ze szklaneczką whisky zaprosił ją do środka.

- Nie spodziewaj się za wiele. Mam niejedną myśl na urządzenie domu, tylko nie mam czasu na realizację.

Weszła do salonu, odwinęła chustkę z głowy, ale nie zdjęła rękawiczek ani długiego czarnego palta. Nie usiadła.



- Przyszłam przeprosić - rzekła, patrząc gdzieś w dal, poza jego ramieniem. Kovac zastanawiał się, czy widzi Mikołaja w świetle księżyca; ale nawet jeśli widziała, to nie dała po sobie poznać.

- Za co przeprosić? Za to, że się ze mną przespałaś? Czy za to, że mnie potem wyrzuciłaś za drzwi?

Popatrzyła na niego, jakby wolała być gdzie indziej. Złożyła dłonie razem, potem podniosła jedną do twarzy.

- Ja... nie... nie chodzi mi... - Umilkła, zacisnęła wargi i na moment zamknęła powieki. - Nie jest mi łatwo... nie umiem dzielić życia z kimś drugim. I przepraszam, jeśli...

Kovac odstawił whisky na stolik i podszedł do niej. Dotknął policzka, gładząc kciukiem miejsce obok siniaka. Skórę miała bardzo zimną w dotyku; musiała długo siedzieć, nim zebrała się na odwagę, aby podejść do drzwi.

- Nie masz za co przepraszać, Amando - perswadował łagodnie. - Nie przepraszaj.

Tym razem popatrzyła mu w oczy. Dolna warga drżała jej nieznacznie.

- Nie umiem tego... - powiedziała.

- Pst. - Pochylił się i dotknął ustami jej warg. Nie z pasją, lecz czule. Jej wargi rozgrzały się, zmiękły i rozchyliły, by go przyjąć.

- Nie mogę zostać - wyszeptała. Widać było, że toczy jakąś walkę wewnętrzną.

Pocałował ją znowu. Apaszka upadła na podłogę. Opuszczając pocałunki niżej, na szyję, zsunął jej z ramion płaszcz.

- Sam...

- Amando... - Musnął wargami płatek jej ucha. - Pragnę cię.

Zadrżała nieznacznie. Poczul to pod dłońmi, przesuając je w dół, na plecy. Podniosła głowę, ich usta odnalazły się znowu. Drżący pocałunek. Pełen wahania, lecz i oczekiwania. Pragnienia, lecz i obawy. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego przez łzy.

- Nie wiem, czego możemy oczekiwać - powiedziała. - Nie wiem, czy mogę ci coś dać.

- To nie ma znaczenia - odparł, zgodnie z prawdą chwili. - Możemy mieć to. Możemy to mieć już.

Czuł bicie jej serca na swojej piersi, odmierzające czas. Nawet teraz nie wiedział, czego może po niej oczekiwać; nie wiedział, jakie pytania zadaje sobie we wnętrzu i jak na nie odpowiada. Wyczuwał w niej smutek, pustkę, samotność, walkę wewnętrzną. Rozpoznawał te cechy, reagował na nie, zatracił się w nich, gdy oboje opadli na kanapę.

Mogą mieć to. Mogą to mieć już. Nawet gdyby miało być tylko to i więcej nic, to nie zamieniliby tego na nic na świecie.

- Nie mogę zostać - powiedziała Amanda cicho.

Leżeli w objęciach na sofie Kovaca, przykryci paltem. Jego skóra była ciepła, podobało jej się to. I to ciało przytulone do jej ciała; i to, że mogła opleść jego nogi swoimi; i to wrażenie, że jest przez niego owinięta; podobało się jej też to poczucie, że są nierozłączni. Ale miała świadomość, że to tylko poczucie; coś, co wcale nie jest rzeczywistością. I ta świadomość sprawiała, że czuła się pusta, wydrążona, wyobcowana.

Przytrzymał jej głowę i pocałował w czoło.

- Nie musisz, ale możesz... jeśli chcesz. Nawet zmienię pościel.

- Nie - zaproponowała, zmuszając się do poruszenia, do wstania. Pozbierała swoją garderobę, zasłoniła nią. - Nie mogę.

Kovac uniósł się na ręce i łagodnie rozczesywał palcami jej poplątane włosy.

- Amando, nie obchodzi mnie, skąd się biorą te koszmary. Rozumiesz, co ci chcę powiedzieć? To mi nie przeszkadza. Nie przeraża mnie, że je masz.

Ale mnie przeszkadza. I mnie przeraża - chciała powiedzieć; milczała jednak.

- Możesz mi o nich opowiedzieć, jeśli masz ochotę - zachęcał. - Uwierz mi, niejedno słyszałem.

Czegoś takiego na pewno nie słyszałeś - pomyślała, ale nie powiedziała mu tego. Od dawna wiedziała, kiedy lepiej nie dyskutować, lecz milczeć.

Kovac westchnął.

- Łazienka w głębi przedpokoju po prawej.

Kovac patrzył za nią, gdy wychodziła z pokoju, na wpół ubrana. Nawet jeśli na tym miałyby się skończyć, to zyskał więcej, niż się spodziewał w najśmielszych marzeniach.

Niech ma swoje tajemnice. Sparzył się już dwukrotnie na stałych związkach; po co próbuje jeszcze raz? Ale kusi go. Amanda była tajemnicą, łamigłówką, a on nie spocznie, póki nie rozwikła wszystkich tajemnic. I po co? Tylko ją zrazi i wszystko popsuje.

Ubrał się, przygładził ręką włosy i usiadł na poręczy fotela, sącząc whisky i czekając na nią. Wróciła i znów wyglądała tak samo jak wtedy, gdy ją ujrzał w drzwiach: piękna, z rezerwą, starannie ubrana.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć - zwróciła się do pustego akwarium.

- To mi nic nie mów. Wy tam, w dowództwie - skomentował, robiąc minę - zawsze byście chcieli mieć plan działania.

Wyglądała na zmartwioną.

Grzbietem dłoni pogłaskał ją po twarzy.

- Czasami trzeba po prostu iść tropem i zobaczyć, dokąd doprowadzi - rzekł. Mądrości Sama Kovaca. - Posłuchaj, bo wiem, co mówię. Przegrałem już dwa razy. Za każdym razem kończę w ciemnym tunelu z lokomotywą jadącą z przeciwka. Powinienem trzymać się pracy policjanta. W tym jestem dobry.

Wykrzesła dla niego półśmiech. Zniknął jednak, gdy jej spojrzenie padło na stolik. Zmarszczyła brwi.

- Co to jest?

- Morderstwo Thorne'a. Postrzelenie Mike'a Fallona. Andy przed śmiercią właśnie tym się zajmował. Szperam tu, żeby zobaczyć, czy coś nie wylezie.

- Iść tropem i zobaczyć, dokąd prowadzi... - powiedziała w zamyśleniu.

- Smutna historia. Jesteś za młoda, żeby pamiętać.

- Smutna - mruknęła, patrząc na kiepsko odbite zdjęcie wdowy po Billu Thornie, odbierającej kondolencje od rodziny.

- Nagły zwrot losu.

- Tak, rzeczywiście.

Wyprostowała się, poprawiła aksamitną chustkę, wzięła głęboki wdech, znów patrząc gdzieś poza nim.

- Powiedz po prostu: „zobaczymy się, Sam”. Ułatwi to pożegnanie.

Spróbowała się uśmiechnąć, nie zdołała jednak, potem stanęła na palcach i pocałowała go w policzek, jej ręce napięły się na jego ramionach.

- Przykro mi - wyszeptała.

I już jej nie było. Jedyne, co zostało Kovacowi, żeby się rozgrzewać, to flaszka whisky za pięćdziesiąt doków.

- Tobie nie jest tak przykro jak mnie - powiedział, stojąc w otwartych drzwiach i patrząc, jak odjeżdża.

U sąsiada „mikołajolicznik” odliczał minuty.

Zadzwoił telefon; Sam prawie rzucił się, by go odebrać. Było mu wszystko jedno, kto dzwoni.

- Klub samotnych serc - rzucił do słuchawki. - Wstąp od razu. Cierpienie lubi towarzystwo.

- Przyjmujecie masochistów? - To była Liska.

- Podwójna karta wstępu w cenie pojedynczej, jeśli razem z sadystą.

- Co porabiasz, Kojak? Siedzisz w domu i użalasz się nad sobą?

- Nie mam nikogo innego, nad kim mógłbym się użalać. Moje życie to pusta skorupa.

- Spraw sobie psa - powiedziała bez współczucia. - Zgadnij, kto był partnerem patrolowym Curtisa mniej więcej rok przed jego zabójstwem?

Kovac pociągnął głębszy łyk macallana.

- Jeśli mi powiesz, że Bruce Ogden, to się wypisuję z tego filmu, Jodie.

- Derek Rubel - oznajmiła. - I zgadnij, kto był wczoraj w szpitalu miejskim i robił sobie badanie krwi, a potem skłamał, że się szczepił przeciw grypie?

- Derek Rubel.

- Co ty o tym sądzisz?

- Niech mnie szlag trafi.

- Nie - odparła Liska. - Mam przecucie, że szlag trafi Dereka Rubela.

Siłownia Steele'a należała do tych, gdzie pot i stękanie należały do dobrego tonu. Nie było tu aerobiku przy jazzie, nie było jogi. Sztangi, twardzi faceci o twardych mięśniach, heavy metal z głośników. Było tu coś z atmosfery warsztatu mechanicznego, a odór testosteronu panował tak silny, że normalnemu człowiekowi oczy by łzawiły.

Liska pokazała plaketkę znudzonej dziewczynie w recepcji i weszła do głównej hali. Stała chwilę z brzegu, przyglądając się obecnym, trochę - do czego by się nie przyznała - zafascynowana męskimi ciałami. Niesamowite, co zwykły człowiek może zrobić ze swoim ciałem, jeśli się obsesyjnie uprze albo odwoła do osiągnięć współczesnej chemii. Co trzeci facet w siłowni był zbudowany jak Waligóra.

Rubel stał w kącie i asekurował kogoś ćwiczącego na ławeczce. Miał na sobie czarny podkoszulek z obciętymi rękawami, żeby mu się zmieściły ramiona grube jak szynki. Mięśnie miał tak doskonale zarysowane, że można by na nim uczyć anatomii.

Liska precyzyjnie się przez tłumek ćwiczących; od razu spostrzegła, gdy Rubel ją zauważył - chociaż nie patrzył w jej stronę. Wyczuła zmianę energii w powietrzu. Podeszła do ławeczki i spojrzała z góry na paskudną gębę Bruce'a Ogdena. Wyciskał sztangę z tarczami wielkości kół od ciężarówki, był czerwony na twarzy i rzeził.

Przeniosła wzrok na Rubela.

- W łóżku też robi tyle hałasu?

- Skąd mam wiedzieć?

- Zapytałabym jego dziewczynę, ale nigdy żadnej nie miał, z tego, co mi się udało dowiedzieć. - Pochyliła się nad Ogdenem i zrobiła przeproszającą minę. - Kurwy się nie liczą.

Ogden ryknął i podniósł sztangę.

- O co chodzi, pani sierżant? Jesteśmy zajęci.

- Wiem - powiedziała śmiertelnie poważnie, nie kryjąc swojej nienawiści. - Jesteście zajęci różnymi sprawami. Ale zwróćcie uwagę, jak ja załatwiam swoje:

przychodzę osobiście i mówię prosto w twarz. Bez anonimowych telefonów z budki. Bez zdjęć w kopercie. Mam więcej jaj niż wy obaj razem wzięci.

Ogden odłożył sztangę i usiadł, stękając. Pot spływał mu po twarzy rześście.

- Tak. Słyszeliśmy. Interesujesz się dziewczynami?

Liska przewróciła oczami.

- Znów aluzje. Stać cię na więcej. Gdybyś przestał na chwilę starać się zostać wielką, męską heteroseksualną bestią i zamiast tego poćwiczył mózg, to nie siedziałbyś w tym gównie po uszy. Ale teraz już za późno, żeby być mądrym. Przeciągnęliście strunę, gdy postanowiliście włączyć w to moje dzieci. Nie ma odwrotu. Ponieważ nie mogę wyrwać wam serc z piersi i podstawić ich wam pod oczy, gdy będziecie zdychać, bo byłoby to niezgodne z prawem, więc muszę się zadowolić wsadzeniem was za kratki.

- Nie wiem, o czym mówisz - rzekł Rubel bez emocji. Liska patrzyła mu w oczy i zwlekała z odpowiedzią.

- Mam Cala Springera - powiedziała w końcu. - Jest mój. Doniosłam na niego. I teraz zacznie się zabawa - powiedziała ze złośliwą satysfakcją. - Umowa z prokuratorem. Jutro o dwunastej siedzimy z Calem u Sabina i dogadujemy szczegóły.

Ogden wydał usta.

- Pleciesz bzdury, Liska. Gdybyś miała cokolwiek, już wyciągnęłabyś kajdanki.

- Nie mamy nic na sumieniu - powiedział Rubel, wciąż z kamiennym spokojem. - Nie możesz mieć nic przeciwko nam.

Liska uśmiechnęła się do niego.

- Myśl tak dalej, kotku. I pomyśl też trochę o tym, co się dzieje w więzieniu z takimi przystojnymi chłopcami jak ty. Słyszałam, że bywa ostro. Chyba że to lubisz. - Wyciągnęła rękę i poklepała go po policzku. - Szkoda, że Eric nie żyje, boby nam opowiedział, co lubisz.

Bach! Prosto między oczy! Rubel powieką nie mrugnął, nie zmienił wyrazu twarzy, ale odczuł cios tak samo, jak gdyby trafiła go kula. Liska poczuła falę, która nim wstrząsnęła; on wiedział, że ona to zauważyła. Rozkoszowała się chwilę zwycięstwem. Ale tysiąc takich chwil by potrzeba, aby zrekompensować to, co czuła, widząc zdjęcia Kyle'a i RJ.

A może nie.

Odwróciła się i stanęła jak wryta. Na moment. Rubel i Ogden pewnie wcale tego nie zauważyli. Wahala się nie dłużej niż przez ułamek sekundy. Lecz w tym ułamku sekundy spojrzeli sobie prosto w oczy. Trzy metry przed nią, odpoczywając po przysiadach z obciążeniem, stał Speed.

- To na pewno będzie działać? - pojękiwał Cal Springer. - A jeśli mikrofon się nie włączy?

Na podłodze klęczał przed nim Barry Castleton i przyklejał taśmą miniaturowy magnetofon do sflaczałego brzucha Springera. Castleton prowadził śledztwo w sprawie Ibsena, więc Liska poinformowała go o złamaniu Springera. Liska może i wolałaby ze względów osobistych załatwić całą sprawę sama, ale nie mogła go odciąć. Castleton, czterdziestoparoletni Murzyn ze skłonnością do ubierania się jak angielski profesor, był dobrym gliną i porządnym człowiekiem. Jeśli już miała to robić z kimś, to on się do tego doskonale nadawał.

- Nie przejmuj się - powiedział do Springera. - Nawet idiota tego nie zepsuje.

Kovac prychnął.

- Dla utalentowanego idioty nie ma rzeczy niemożliwych.

Siedzieli w kuchni Springera: gospodarz, Castleton, Tippen z urzędu szeryfa, Liska i Kovac. Tippena wzięli, bo - działając poza jurysdykcją policji miejskiej - musieli mieć kogoś ze służb podległych władzom hrabstwa. Pani Springer wyjechała do siostry. Liska zastanawiała się, czy w ogóle wróci, kiedy to wszystko się skończy. Pewnie tak. No i ciekawe, czy Calowi uda się wyłgać z więzienia i będzie ją mógł przywitać w progu.

Springer wplątał się w cały dramat wtedy, kiedy udał, że nie widzi, jak Ogden podrzuca sfabrykowany dowód do mieszkania Renal da Vermy. W ten sposób został złapany na haczyk. Jako samodzielny detektyw wydziału zabójstw miał znacznie więcej do stracenia niż szeregowy mundurowy funkcjonariusz. A Cal Springer, żyjący od dawna ponad stan i tonący po uszy w długach, nie mógł sobie pozwolić na żadną stratę.

- Nie czuję się za dobrze - jęknął.

- Tak, czujemy to, Cal - burknął Castleton, podnosząc się na nogi.

Liska przestała się na moment przechadzać, podeszła do Springera i kopnęła go.

- Au! - Zgiął się wpół i chwycił za goleń.

- Człowiek omal nie zginął przez ciebie, a ty narzekasz, że się nie czujesz dobrze?! - powiedziała z bezgranicznym niesmakiem. - Grożono moim dzieciom, bo nie potrafiłeś odmówić Bruce'owi Ogdenowi jak mężczyzna.

- Straciłbym pracę - bronił się.

- Za to teraz pójdziesz siedzieć. Świetny wybór, Cal!

- Nie rozumiesz.

Wbiła w niego pełen niedowierzania wzrok.

- Nie, nie rozumiem. I nigdy nie zrozumiem. Pozwoliłeś Ogdenowi sfabrykować dowód, chcąc zakończyć śledztwo i zapisać sukces na swoim koncie.

- A co za różnica? Verma przecież był zabójcą. Wiedzieliśmy, że to zrobił! A... a zabity był jednym z nas. Nie mogliśmy dopuścić, żeby Vermie się upiekło!

- I jeszcze śmiesz twierdzić, że zależało ci na sprawiedliwości! - pluła słowami Liska. - Wcale ci na tym nie zależało, teraz dorabiasz sobie ideologię! A chodziło ci wyłącznie o awans!

- Ach, bo ty nigdy nie zrobiłaś nic dla awansu - ironizował Springer.

- Nigdy nie manipulowałam śledztwem. Czy nie przyszło ci do łba, że może Verma nie zabił Curtisa, policjanta geja, który trzykrotnie w ciągu pięciu lat zmieniał partnera do patroli i skarżył się na anonimowe pogróżki?

- Po tym, jak dorwałem Vermę za morderstwo Franza? Nie.

- Hej, Springer, coś ci się porąbało. To nie ty złapałeś Vermę, tylko Bobby Kerwin. Nie miałeś nic wspólnego ze śledztwem w sprawie Franza.

Springer zacisnął szczęki.

- To była przerośnia. Verma pasował jak ulał. Identyczne morderstwo i ileś tam rabunków. Dlaczego miałem nie pomyśleć, że to on?

- Może dlatego, że nie miałeś żadnych dowodów? - podpowiedział Tippen.

Springer rzucił mu gniewne spojrzenie.



- Dlaczego miałbym podejrzewać innego policjanta, na miłość boską! Rozmawialiśmy ze wszystkimi byłymi partnerami patrolowymi Curtisa. Nie wypłynęło nic podejrzanego.

- Bo nie słuchałeś - rzuciła Liska. - Ostatni partner Curtisa, Engle, powiedział mi - a powiedziałaby to każdemu - że jego zdaniem zaszło coś między Curtisem a Rubelem. Tobie nic takiego nie mówił?

- W czasie przesłuchań nic takiego nie wyszło. Słuchaj, popatrz na Rubela. Przecież to nie pedał. I dlaczego miałyby zabijać Curtisa? Od dawna już nie byli partnerami.

- Z powodu HIV, ty durniu. Jeśli Curtis zaraził Rubela nieuleczalną, śmiertelną chorobą, to chyba można to uznać za motyw?

Springer wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je.

- A nie uderzyło cię, że parę miesięcy po śmierci Curtisa Derek Rubel, dawny partner Curtisa, zaczyna nagle pracować w parze z facetem, który fabrykował dowody w tamtej sprawie? - spytała.

Springer wyglądał, jakby miał ochotę wyjść z siebie, ale bał się Liski. Poczzerwieniał na twarzy. Drżał.

- Ludzie są ciągle przydzielani do różnych zespołów. A poza tym śledztwo było już wtedy zakończone.

- Ach tak. Zakończone. Czyli nic nie szkodziło obciążyć kogoś, kto tego akurat nie popełnił? A ty znalazłeś się u Ogdena na haczyku. Mógł cię w każdej chwili zadenuncjować do SW - ciągnęła Liska. - Pewnie, sobie też by wtedy zaszkodził. Ale ciebie by to drożej kosztowało. Kiedy więc Ogden i Rubel potrzebowali alibi na czwartkowy wieczór, nie musieli się martwić: mieli ciebie.

- Ogden by mnie wykończył.

- Żli policjanci sami się wykańczają - powiedziała cicho Liska, cytując porucznik Savard, od której usłyszała te słowa, gdy poszła do SW zaraz po odkryciu zwłok Andy'ego Fallona. Jak dawno to było!

- A nie wzruszyło cię to, co zrobili Kenowi Ibsenowi? - zapytała.

Springer odwrócił się ze wstydem. Przez niego ktoś omal nie zapłacił życiem.

- Miałabym ochotę zawlec cię do szpitala, żebyś stał przy Ibsenie, jak lekarze go badają - powiedziała. - Chciałabym ci wszczepić na stałe do mózgu jego wspomnienia z tej nocy w zaułku. Musiałbyś wciąż od nowa przeżywać to, co te bestie mu zrobiły.

- Przykro mi! - krzyknął Springer.

- Wierzę.

Kovac wszedł między nich i złapał Liskę za rękę.

- Daj spokój, Dzwonek. Zaraz tu będą. Przygotujmy się do imprezy z niespodzianką.

Zaprowadził ją do spiżarni Springerów, wąskiego pomieszczenia z półkami przetworów i zapasowych naczyń. Liska oparła się o jedną półkę, Kovac o drugą.

- Dorwałaś ich, Dzwonek - powiedział cicho Kovac.

- Chwycili przynętę, ale w saku jeszcze ich nie mam. Chciałabym ich mieć w kajdankach i za kratkami. I przyłożyć parę pał.

- No to może nie znęcaj się nad jedyną osobą, która cię może do tego doprowadzić.

- On zasłużył na swoje.

- Owszem, zasługuje na to, co powiedziałaś: na przeżywanie przez całe życie tego, co się stało Kenowi Ibsenowi. Ale musimy się zadowolić wyłaniem go ze służby i wsadzeniem do kryminału.

- Grozili moim chłopcom, Sam. - Na samą myśl zadrżała. - Cały czas się zastanawiałam, jak bardzo musi nienawidzić homoseksualistów ktoś, kto naraża się na kontakt z taką ilością krwi. Wiesz, ludzie boją się AIDS, myślą, że można się zarazić przez deskę klozetową, uścisk ręki, oddychanie. A tu ktoś, kto albo kompletnie nic nie wie o drogach zakażenia, albo sam jest zarażony. Potem zobaczyłam Rubela w szpitalu...

- Rubel nienawidził Curtisa nie dlatego, że Curtis był homoseksualistą - myślał głośno Kovac. - Zabił go, bo Curtis go zaraził. Zemsta.

- A Ogden sfabrykował dowód przeciwko Vermie, chcąc chronić Rubela. Byli kochankami.

- To złoczyńcy, Dzwonek. I to ty ich zdemaskowałaś. - Poklepał ją po ramieniu. - Jestem z ciebie dumny, dziecino.

- Dzięki. - Odwróciła oczy i przygryzła wargę. - Myślisz, że Springerowi uda się z nich wyciągnąć przyznanie się do Fallona?

- Może. Jeśli to rzeczywiście ich sprawka.

Do spiżarni wetknął głowę Tippen.

- Goście już są. Wszyscy na miejsca!

Liska wyciągnęła z kabury broń i sprawdziła ją. Kovac zrobił to samo. Gra się zaczęła. Zostaną tutaj, a Springer tymczasem będzie próbował wyciągnąć z Ogdena i Rubela jakieś obciążające zeznania, licząc na to, że wszystko się nagra. Potem Liska, Kovac i Tippen dokonają aresztowania, przy wsparciu wezwanych radiowozów z urzędu szeryfa hrabstwa.

Zadzwonił gong. Rozległy się jakieś głosy, Liska nie mogła zrozumieć słów. Wyobraziła sobie, że Springer wita gości, zaprasza do środka, zapewnia, że jest po ich stronie. Ton jednak zmienił się gwałtownie, a Cal krzyknął: „Nie!” Rozległ się strzał, krzyk się urwał.

- Cholera! - zawołał Kovac i wypadł ze spiżarni. Liska rzuciła się za nim.

- Policja, nie ruszać się! - krzyczał Castle ton.

Rozległy się jeszcze trzy strzały.

Kovac skoczył do salonu, przykucnięty. Liska gospodarczym wyjściem dostała się do garażu, a potem do bramy, która wychodziła na podjazd.

- Rubel! - zawołała i oddała strzał, po czym schowała się za framugę.

Odpowiedziały jej dwa strzały, jeden po drugim; pocisk oderwał szczapę od nadproża. Skądś dobiegły jeszcze trzy wystrzały, potem krzyk człowieka.

Ryknął zapuszczony silnik, na podjeździe pojawiła się cofająca się furgonetka. Liska pchnęła drzwi, zobaczyła Rubela z uzbrojoną ręką wyciągniętą przez okno furgonetki. Z lufy wytrysnął błysk.

Dwa radiowozy na sygnale nadszedły pędem, błyskając światłami, chcąc zablokować wyjazd z uliczki. Rubel nawet nie zwolnił, celując w przerwę między maskami pojazdów. Przeleciał, z hukiem, zawadzając o maskę jednego z nich. Pędził dalej, a jeden z wozów szeryfa ruszył za nim w pogoń.

Bruce Ogden leżał na podjeździe, szlochając i wijąc się jak foka na plaży, bezskutecznie próbując chwycić się za plecy.

Podbiegła do niego Liska z wyciągniętym pistoletem, kopniakiem odrzuciła broń poza zasięg leżącego. Zza domu wybiegł Kovac, klnąc na czym świat stoi.

- Zabili Springera!

- Ratunku! Ratunku! - skowyczał Ogden. Z tyłu za nim, na zlodzonej nawierzchni podjazdu, rosła ciemna plama. Liska popatrzyła na niego, myśląc o Kenie Ibsenie.

Podjechał radiowóz policji miejskiej Eden Prairie; wyskoczyło z niego dwóch mundurowych.

- Nie dotykać go bez rękawiczek - zarządziła Liska, odstępując krok do tyłu. - Zagrożenie zdrowia.

- Kto wpadł na ten genialny pomysł?! - pytał Leonard, patrząc prosto na Kovaca.

- Musieliśmy działać szybko, panie poruczniku - tłumaczyła Liska. - Chcieliśmy mieć przyznanie Ogdena i Rubela, zanim przyjdzie im do głowy wziąć adwokatów.

Stali w salonie Springera przy niezapalonym kominku i takiejż choince. Cała Springera pakowano właśnie w torbę, w której zostanie dostarczony do kostnicy. Dostał prosto w środek piersi z małej odległości.

- Absolutnie nie podejrzewaliśmy, że może się stać coś takiego - rzekł Kovac.

- Widziałem, że Rubel i Ogden chcą go wyciągnąć ze sobą - wyjaśniał Castleton. - Prawdopodobnie chcieli go gdzieś wywieźć i pozbyć się bez śladu. Springer wiedział o tym. Chciał się wycofać. Rubel strzelił, zanim mogłem cokolwiek zrobić.

- Rany boskie! - Leonard z niesmakiem patrzył na zapakowane zwłoki na noszach, wywożone przez ludzi z wydziału medycyny sądowej. - Prasa znów będzie sobie na nas używała!

Aha, i proszę przyjąć wyrazy współczucia, pani Springer - pomyślała Liska.

- Każdy policjant w mieście i w okolicznych hrabstwach dostał list gończy za Rubelem - powiedział Castleton.

- Prawdopodobnie porzuci gdzieś furgonetkę i ukradnie jakieś inne cztery kółka - powiedział Kovac. - Teraz już nie ma nic do stracenia. Jak go złapiemy, to idzie siedzieć za dwa morderstwa i napad z bronią w rękę. Nie wyjdzie do końca życia.

Do przedpokoju zajrzał z zewnątrz komendant policji Eden Prairie.

- Poruczniku Leonard? Mamy tu przedstawicieli prasy.

Leonard zaklął pod nosem i wyszedł.

Liska poszła do kuchni Springera i wyciągnęła telefon, chcąc sprawdzić, co u chłopców. Od pralni wszedł Speed, zatrzymał się w drzwiach, popatrzył na nią.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Źle.

Spuściła głowę i wystukała numer Mila Foremana. Speed czekał, słuchając, jak wyjaśnia mu pokrótce sytuację i pyta, czy chłopcy mogą zostać u niego do niedzieli. Zamknęła komórkę i wrzuciła do kieszeni.

- Zapytałabym, co tu robisz, ale...

- Usłyszałem przez radio.

- Naprawdę? A nie śledziłeś przypadkiem Ogdena i Rubela od wyjścia z siłowni, w której byłeś, chociaż normalnie ćwiczysz winnej?

Speed podrapał się po brodzie i spojrzał w bok.

- Co tutaj robisz, Speed? - dokończyła.

Głębokie westchnienie.

- Wypożyczyli mnie wydziałowi antynarkotykowemu policji Minneapolis. Wiedzieli, że mają wśród własnych funkcjonariuszy problem ze steroidami. Potrzebna im była jakaś obca twarz.

- Od kiedy? - zapytała, czując, że ogarnia ją gniew i rozzalenie.

Zawahał się znowu, nim uczynił wyznanie.

- Od dwóch miesięcy.

Liska zaśmiała się i pokręciła głową. Dlaczego mnie to tak boli? - zapytywała samą siebie. Nawet zdziwić się nie powinna. A może wcale nie była zdziwiona. Musiała się

jednak przyznać do tej iskierki nadziei... Po tylu latach wciąż nie zdołała jej stłumić. Nie rozumiała, dlaczego nie chciała zgasnąć sama z siebie.

- To znaczy, że twoje nagłe odnowienie zainteresowania mną i chłopcami...

- Było zupełnie szczere, Nikki.

- Proszę, daj spokój... Przysunął się do niej.

- Wiedziałem, że zainteresowałaś się Ogdenem i Rubelem. Byli w siłowni tego dnia, kiedy ty złapałaś tę sprawę Fallona.

- A w jakim celu obserwowałaś mnie, jak sobie z nią radzę? - zapytała. - I ani słowem się nie zdradziłaś...

- Nie mogę opowiadać o sprawach służbowych, Nikki. Przecież wiesz...

- Ach tak, ale nie masz żadnych skrupułów przed wyciąganiem informacji ode mnie! - Każde pytanie, które jej zadał przez ostatni tydzień, aż się jej gotowało w pamięci.

- Straszny drań z ciebie.

Podszedł ku niej, starając się wyglądać na skruszzonego i urażonego jej złą opinią. Liska uchyliła się, nie chcąc bliższego kontaktu.

- Nikki, chciałem mieć pod opieką ciebie, chłopców...

- Tak się nami opiekowałaś? Ukrywając przede mną prawdę?! Pojawiając się i znikając?

- Nie prosiłaś mnie, żebym się trzymał blisko.

- Tylko nie zwalaj na mnie.

Rozłożył ręce i cofnął się o krok.

- Myślałem, że mogę mieć na was oko, nie zakłócając ani swojego, ani twojego śledztwa.

- Raczej chodziło ci o to, żebym nie spłoszyła twoich ptaszków, gdyby moje wyfrunęły. A może planowałaś zmaterializować się cudownie w kluczowym momencie niczym Superman i uratować sprawę? To by ci pasowało, co? Bandyci złapani, dziewczyna twoja...

Speed zaczął tracić cierpliwość, jak zawsze, gdy urok i fałszywa szczerłość nie dawały rezultatu.

- Nikki, jeśli naprawdę uważasz, że...

Liska zaczerpnęła tchu i spróbowała okiełznać emocję.

- Uważam, że powinieneś sobie iść. Mam tu robotę. Przełknął kolejne westchnienie i zmienił taktykę, tym razem próbując metody zatroskanego przyjaciela.

- Słuchaj, wiem, że teraz nie pora ani miejsce. Chciałem się tylko upewnić, że nic ci się nie stało. Może wpadnę do domu później...

- Nie rób tego.

- Mógłbym wziąć chłopców jutro po południu, gdybyś chciała.

- Chciałabym - powiedziała Liska, patrząc w głąb pralni, ponieważ patrzenie na niego zbyt ją bolało - nie oglądać cię przez jakiś czas, Speed.

Dotarło do niego wreszcie, że tym razem nie wygra. Wdzięk i uroda oddawały mu na co dzień nieocenione usługi, ale z nią wyczerpały już swoje możliwości. Przynajmniej do następnego razu, gdy znów osłabnie jej czujność.

- Weź jutro chłopców, jeśli chcesz spędzić z nimi czas. Ale nie wykorzystuj tego, żeby się zbliżyć do mnie.

Chwilę się wahał, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia, ale zmilczał. Wyszedł tą samą drogą, którą przybył.

Liska stała, gapiąc się w podłogę i próbując oczyścić sobie umysł, wrócić na służbowe tory myślenia, otrząsnąć się, pozbierać, wziąć w garść. Znowu. Zobaczyła Kovaca w przejściu do pokoju.

- Dlaczego ja nigdy nie zmańdrzeję? - zapytała.

- Bo jesteś tępa.

- Dzięki.

- Poznał swój swego. - Otoczył ją ramieniem. - Chodź, Dzwonek. Skończyliśmy na dzisiaj. Jedź do domu. Postawię ci radiowóz przed domem.

Skrzywiła się.

- Nie potrzebuję...

- Potrzebujesz. To ty zdemaskowałaś Rubela, dziecino. A on wie, gdzie mieszkasz.

Poczuła mróz na plecach, jakby przejechał jej po kręgosłupie lodowaty palec.

- Wiesz - powiedziała, kładąc mu głowę na ramieniu - są dni, kiedy żałuję, że nie zostałam kelnerką.



Do szóstej wieczorem wieść o poszukiwaniu listem gończym funkcjonariusza Dereka Rubela ściągnęła do komendy reporterów wszystkich możliwych stacji telewizyjnych i gazet. W gmachach władz Minneapolis kłębiło się od ekip telewizyjnych. Kovac, Liska, Tippen i Castleton otrzymali zakaz otwierania ust na temat zabójstwa Cala Springera. Wywiadów udzielał Leonard, szeryf hrabstwa Hennepin i komendant policji miejskiej Eden Prairie.

Wezwano na pomoc FBI, a także stanowy urząd do spraw zwalczania przestępczości. Policje drogowe stanów Minnesota i Wisconsin wysłały na poszukiwanie helikoptery, które przeczesywały sieć dróg, wypatrując czarnego forda explorera Rubela. Uciążliwe zadanie, z mnóstwem fałszywych alarmów. W Minnesocie aż się roi od czarnych fordów explorerów. Ani jeden z tych, które zatrzymano i sprawdzono, nie był samochodem Rubela.

Przesłuchano sąsiadów i znajomych, chcąc się dowiedzieć jak najwięcej o zwyczajach Rubela i miejscach, gdzie mógłby się ukrywać. Wysłano funkcjonariuszy służby szeryfa, by przeszukiwali czterdziestohektarową posiadłość myśliwską koło Zimmerman, wspólną własność kilku funkcjonariuszy. W chacie nie znaleziono śladów Rubela.

Ogdena z ranami postrzałowymi przewieziono helikopterem do szpitala hrabstwa. Po trzygodzinnej operacji stwierdzono, że życiu jego nie zagraża niebezpieczeństwo. Czekало go przesłuchanie. Związek zawodowy policjantów wynajął mu adwokata, który już stawił się pod drzwiami sali szpitalnej.

Kovac całą noc przepytывał sąsiadów. Wolał pukać do drzwi obcych osób niż spędzić noc we własnym pustym domu. Do rana jego zapasy umiejętności nawiązywania kontaktów międzyludzkich spadły do zera, w związku z czym przekazał pałeczkę Elwoodowi i pojechał do domu.

Sąsiad krzątał się po zalanym słońcem, mroźnym ogródku w kraciastej ciepłej pilotce, grzebiąc w śniegu szpadlem.

- Cholerne psy - usłyszał jego mamrotanie Kovac, wysiadłszy z samochodu. Na odgłos trzaśnięcia drzwiczek sąsiad podniósł głowę i zaczął się przyglądać Kovacowi przez przekrzywione okulary.

- Hej, słyszeliśmy o tych poszukiwaniach! - zawołał zbyt podniecony, by pamiętać o niechęci do Kovaca. - Gliniarz zabójca to dopiero! Uczestniczy pan w tym?

- To właśnie mnie szukają - odparł Kovac. - Doprowadzony do szaleństwa brakiem snu wskutek iluminacji u sąsiada...

Sąsiad nie mógł się zdecydować, czy się obrazić, czy uznać to za dowcip.

- Co za historia! - ciągnął. - Pokazywali w telewizji. Robią nawet specjalne wydanie „Pory zbrodni”.

- Kolejny dobry powód, żeby czytać książki - burknął Kovac.

Sąsiad nie zwracał uwagi.

- Najlepszy program w tej telewizji.

- Programowanie rzeczywistości.

- Zna pan tego faceta? Ace ma na imię. To jest ktoś. On to prawdziwy policjant.

- Kiedyś był kobietą - odparł Kovac, otwierając zamki.

Sąsiad podskoczył ze zdziwienia. Zmrużył oczy.

- Pan jest chory! - oznajmił i wrócił do wybierania psich głów z żółtego śniegu.

Kovac wszedł do siebie. Jego spojrzenie powędrowało najpierw na kanapę. Stał chwilę, nim zdał sobie sprawę, co się stało.

Ktoś tu był.

Materiały, które przyniósł z biblioteki, leżały porozrzucane. Teczki zauważył na podłodze, za krzesłem; ktoś sforsował zamki i otworzył ją. Ekran telewizora był rozbity.

Atmosfera była naładowana elektrycznością; Kovac czuł to przez skórę. Tętno skoczyło mu nagle. Rozpiął płaszcz i dyskretnie sięgnął za pazuchę, chcąc wysunąć broń z kabury. Drugą ręką wyciągnął z kieszeni komórkę i wystukał 911.

Zgłosił włamanie, po czym przejrzał dom, pomieszczenie po pomieszczeniu, oceniając straty i sprawdzając, czy sprawca gdzieś się nie ukrył. Powyciągano szuflady biurka. Przeszukano komodę. Znikła gotówka, którą trzymał w górnej szufladzie, a wraz z

nią kosztowny zegarek, wygrany kiedyś na loterii przy okazji konferencji sił porządkowych. Wszystko wskazywało na włamanie rabunkowe. Jakiś menel, chcący dostać parę groszy od pasera.

Sprawdził szafę w sypialni i z ulgą stwierdził, że stara trzydziestkaósemka jest na swoim miejscu w pudełku po butach na półce.

Zszedł na parter i odkrył, że włamywacz dostał się przez drzwi kuchenne. Zamek był w takim stanie, że nie musiał sobie zadać wiele trudu. Trzeba przyznać, że dom nie jest zadbany - pomyślał Kovac. Odwrócił się i zobaczył otwarte na oścież drzwi do piwnicy.

Zapalił światło i nasłuchiwał chwilę. Cisza. Zszedł parę stopni, potem przyklęknął, chcąc wyjrzeć za ścianę.

Piwnica była niewykończona. Stał tu osuszacz powietrza, pracujący na okrągło, by usunąć zawilgocenie ścian i fundamentów. Nie było żadnych mebli, nic, co mogłoby zainteresować złodzieja; opróżnione do połowy puszki farby i niezliczone pudła z dokumentacją starych śledztw.

Pudła, które ktoś pozdejmował z półek i porzucił po podłodze.

W kieszeni rozdzwiewał się telefon komórkowy.

- Kovac.

- Liska. Znalaziono wóz Rubela. W jeziorze Minnetonka. Spadł z drogi, sturlał się z pobocza i przebił lód.

- Więc nie żyje?

- Powiedziała, że znalaziono wóz. Rubela w środku nie było.

Atmosfera na brzegach jeziora Minnetonka przypominała inaugurację sezonu wędkarskiego. Sznury samochodów na poboczu wąskiej szosy. Ludzie łążą w tę i z powrotem, czekając, aż się coś wydarzy. Policja oddzieliła ostrzegawczą taśmą teren, na który wpuszczano wyłącznie przedstawiciele organów ścigania. Poza tą linią zajęli miejsca reprezentanci najrozmaitszych środków masowego przekazu. Największe przedstawienie robiła ekipa „Pory zbrodni”. Ta sama ekipa, którą Kovac poznał na lodowisku, umiejscowiła się teraz tuż przy żółtej ostrzegawczej taśmie.

Kovac przyglądał się. Ace Wyatt, opatulony w gruby skafander, stał jak zwykle na czerwonym dywanie przed tłumkiem widzów. Za nim, z tyłu, znajdował się explorer Dereka Rubela, z pootwieranymi drzwiami, wyciągnięty przy użyciu ciężkiego sprzętu, a ekipa kryminalistyczna z urzędu do spraw zwalczania przestępczości stanu Minnesota badała go centymetr po centymetrze. Najpierw sprawdzą wóz tutaj, potem przetransportuje się go do garażu policyjnego w St. Paul, gdzie każdy znaleziony włos i nitka zostaną skatalogowane i obejrzone pod mikroskopem.

Kovac przez chwilę przypatrywał się scenie, próbując sobie wyobrazić, jak byłoby tu bez tych tłumów. Znajdowali się nad wąską zatoką jeziora, w miejscu jeszcze słabo zagospodarowanym mimo wszelkich wysiłków. W zasięgu wzroku stały dwa domki; w odległości niedługiego spaceru, za daleko jednak, by ktoś z mieszkańców mógł dojrzeć, czy ze spadającego do jeziora samochodu wyskoczyła jakaś postać, czy nie. Przyszedł Tippen w swojej humorystycznej czapeczce, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie grubej puchowej kurtki.

- Sprawdzili domy. Jeden jest pusty. W drugim ktoś był, ale w tej chwili go nie ma; nie ma też samochodu. Szukamy kogoś, kto wiedziałby, gdzie jest właściciel, a raczej gdzie powinien teraz być. Jak dotąd bez rezultatu.

- Prawdopodobnie Rubel wozi go w bagażniku jego własnego buicka - rzekł Kovac.  
- Co za koszmar!

- Właśnie. W Minnesocie nie było takiej sensacji od czasów Andrew Cunanana.

- Andrew Cunanan nie był policjantem. To była hollywoodzka sensacja.

Kovac spostrzegł dwójkę wiceprezesów Warner Brothers w narożniku dywanu Wyatta; stali tuż za tłustym Donaldem, reżyserem. Ruda kupiła sobie kurtkę, która wyglądała jak pokryta folią aluminiową. Podszedł do nich Gaines; wyglądało na to, że coś im wyjaśnia, pokazując ręką w stronę jeziora, gdzie na tle dalekiego śniegu widniały rozsiane kropki budek wędkarskich.

Kovac rozejrzał się jeszcze raz, próbował zorientować się, gdzie się znajduje - mieszkańcomi łatwo się zgubić w labiryncie dróg wokół Minnetonki. Doszedł do wniosku, że są niedaleko od domu i ośrodka wędkarskiego Neila Fallona. Niewykluczone, że to tam, gdzie pokazywał ręką Gaines; chociaż Kovacowi wszystkie budki wędkarskie wydawały się takie same.

Wyatta znów charakteryzowano; jakiś pomagier celował w niego światłomierzem i wykrzykiwał liczby.

- Wierzysz temu facetowi?

- Jego ludzie byli tu jeszcze przed nami - odparł Tippen. - Oplaca się mieć przyjaciół na stanowiskach, nawet jeśli się robi taki głupkowaty program.

- Zwłaszcza jeśli się robi taki głupkowaty program. Programowanie rzeczywistości.

Poryw wiatru znad jeziora zwał Wyattowi na twarz jego czerwony szalik. Reżyser zaklął, odwrócił się, zrugął kobietę w płaszczu z włochatej wykładziny, po czym ogłosił dziesięciminutową przerwę i udał się w stronę wozu campingowego ekipy „Pory zbrodni”, który stał na poboczu.

Operatorzy wyciągnęli papierosy. Włochaty Płaszcz weszła na dywan, żeby poprawić Wyattowi szalik, wiceprezesa poszli za nią. Gaines zatrzymał się, żeby wziąć filiżankę parującej kawy od jakiejś panienci.

Kovac podszedł do ekipy. Osilka z ochrony, który ruszył w jego stronę, obrzucił takim spojrzeniem, że ten się cofnął.

- Ace, właściwy człowiek na właściwym miejscu - zagadnął Kovac.

- Szkoda, że o tobie się tego nie da powiedzieć, Sam. - Wyatt stał bez ruchu, podczas gdy Włochaty Płaszcz artystycznie układała niesforny szalik. - To, zdaje się, ty i twoja partnerka odpowiadacie za tę wczorajszą wpadkę.

- Cóż, jestem policjantem naprawdę, nie na niby. A jak ci wiadomo, w prawdziwym świecie, z prawdziwymi złoczyńcami, może się gównie przytrafić.

- A pan uwielbia w nie wdeptywać - włączył się Gaines, wkładając Wyattowi filiżankę kawy do ręki.

- A nawet brodzić w gównie po pas, lalusi, jeśli trzeba się dostać na drugą stronę, żeby znaleźć to, czego szukam. Jako zawodowiec w lizaniu tyłków, powinieneś wiedzieć, jak smakuje. Czy teraz już dają w tym dyplomy ukończenia studiów?

- Jesteśmy zajęci, sierzancie - uciął Gaines.

- Rozumiem i zaraz wam dam spokój, byście mogli dalej zajmować się tak niecierpiącymi zwłoki sprawami jak szukanie lekarstwa na raka. Mam tylko jedno pytanko do Kapitana Ameryki.

Wyatt sapnął.

- Zaczynasz mi działać na nerwy, Sam.

- Tak, mam do tego talent. Słuchaj, nasza wczorajsza pogawędka tak pobudziła moją ciekawość, że poszedłem sobie poczytać o morderstwie Thorne'a. Cóż to za dramat, Ace! Nie pamiętałem tego dobrze. Powinieneś zrobić o tym oddzielny program. Wydanie specjalne. Byłaby świetna reklama całego twojego cyklu.

- Mój cykl ma się dobrze bez dodatkowej reklamy - odparł sucho Wyatt. - Nie mam zamiaru wykorzystywać tamtej tragedii.

Kovac się roześmiał.

- Całe zawodowe życie z niej korzystałeś! Dlaczego teraz przestać?

- Nie! - niemal krzyknął Wyatt. - Wcale nie miałem takiego zamiaru. Na mój późniejszy awans nie miałem żadnego wpływu.

Odwrócił się i warknął na kobietę we włochatym płaszczu, która wciąż poprawiała mu ubranie:

- Zostaw ten cholerny szalik w spokoju!

Para wiceprezesów popatrzyła na Wyatta, potem na siebie, a w końcu na Gainesa, starając się zrozumieć, o co chodzi.

- To tragiczna historia - wyjaśnił Kovac.

- I właśnie dlatego kapitan nie chce do niej wracać - wtrącił Gaines, ustawiając się między Kovakiem a Wyattem. Zwrócił się do wiceprezesów: - Jeden przyjaciel kapitana zginął, drugi został inwalidą do końca życia. Rozumiecie, że nie chciałby do tego wracać, rozdrapywać starych ran.

- Nie rozumiecie - odparł Kovac. - Tamta noc uczyniła z Ace'a bohatera. Uratował życie koledze. To historia jak ułał dla Hollywood. Ace zrobi z tego wspaniały program, cała Ameryka będzie słuchać i oglądać z zapartym tchem. Zastanawiam się tylko, Ace - wyciągnął głowę, żeby spojrzeć na Wyatta schowanego za Gainesem - czy wiesz, co się dzieje z wdową po Thornie. Przyszło mi do głowy, że wypadałoby zawiadomić ją o śmierci Mike'a.

- Nie - odparł. - Straciłem z nią kontakt. Kovac uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Z Mikiem trzymałeś się tak blisko, a z Evelyn Thorne straciłeś kontakt? Po tym, co razem przeszliście?

- Właśnie dlatego, że to razem przeszliśmy - wymamrotał Wyatt.

- Andy Fallon nie mówił ci, czy się z nią skontaktował? Albo z córką Thorne'a?

- Nie przypominam sobie.

- No cóż, na pewno było coś na ten temat w jego notatkach. Problem w tym, że jeszcze ich nie znalazłem. Jak znajdę, to ci powiem. Może będziesz chciał się z nią skontaktować.

- Musimy oczyścić plan, sierżancie - powiedział Gaines, próbując się go pozbyć. - Wieczorem wchodzimy na antenę. Chcemy panu pomóc w wybrnięciu z tego bałaganu, którego pan narobił.

- To świetnie. Będę mógł się skoncentrować na czymś innym. Dzięki.

Kovac odszedł, rzucając po drodze spojrzenie ochroniarzowi.

- Powinieneś się zająć zawodowymi zapasami. Tam będziesz w lepszym towarzystwie.

- Drodzy obywatele, oto zdjęcie mordercy, którego poszukują dziś setki funkcjonariuszy.

Wyatt miał to, co często opisywano jako „orli wygląd”. Stalowe spojrzenie. Surowa mina. Oblicze wzbudzające szacunek i zaufanie.

- Oto twarz funkcjonariusza Dereka Rubela. Wiemy, że zamordował policjanta, swojego kolegę. Jest podejrzany o inne brutalne zbrodnie. Ten człowiek jest teraz na wolności. Aby doprowadzić to zwierzę przed oblicze sprawiedliwości, konieczna będzie odwaga i przemyślność całej naszej społeczności. Jeśli zobaczycie Dereka Rubela, to pod żadnym pozorem nie zbliżajcie się do niego. Ten człowiek jest skrajnie niebezpieczny. Jane, co trzeba zrobić, będąc świadomym obywatelem?

- Trzeba z najbliższego telefonu zadzwonić na policję - odpowiada kobieta.

Odpowiada kolejny człowiek z widowni:

- Zapisać numer rejestracyjny.

Na sygnał cała publiczność skanduje:

- Być aktywnym!

Na ekranie pojawia się numer telefonu gorącej linii i adres internetowy.

Telewizor gaśnie.

Doskonale.

Świadectwo potęgi skruchy i pokuty.

Służba społeczeństwu. Odzyskiwanie siły przez bezsilnych.

Powraca podniecenie.

Strach, palący w dołku i promieniujący na zewnątrz.

Strach przed zdemaskowaniem.

Strach przed śmiercią.

Wewnętrzny strach przed tym, do czego jest się zdolnym samemu.



Poczucie, że świat obraca się coraz szybciej i szybciej; i robi się coraz mniejszy i mniejszy; i że zdemaskowanie staje się nieuniknione.

To tylko kwestia czasu.

W głowie przeglądającego fotografie, które przedstawiają śmierć, kołacze się jedna myśl: To tylko kwestia czasu.

Kovac musi zginąć.

- Co za wspaniały program! - powiedziała Liska, odkładając słuchawkę.

Kovac jęknął po drugiej stronie boksu. Siedział przy włączonym komputerze, a słuchawkę telefonu przytrzymywał barkiem przy uchu.

- Telefony się urywają od chwili emisji programu - ciągnęła.

- A ile w tym jakichś realnych informacji?

- Nam wystarczy jedna. Co ci się nie podoba?

- Nienawidzę...

- Poza tym, że nienawidzisz Ace'a Wyatta.

Kovac wydał wargi.

- Właściwie to tylko tyle.

- Zobacz, co nam daje taki program. Uczy ludzi, którym wydawało się, że są całkowicie bezsilni, aby brali się do działania. Gdyby Cal Springer zdecydował się działać, Derek Rubel nie byłby dziś na wolności.

- To całe cholerne programowanie rzeczywistości!

- Uwielbiałeś „Najbardziej poszukiwanych Ameryki”.

- To co innego. Wyatt robi jakiś teleturniej. Co dalej? Interaktywne procesy sądowe? Widzowie głosują telefonicznie: winny czy niewinny?

- Już mamy coś takiego w „Dateline”.

- Wspaniale. A w następnym sezonie transmisje z wykonywania wyroków śmierci w Teksasie. Może uda im się zaangażować Regisa Philbina jako prowadzącego - burknął.

- Z kim rozmawiasz? - Liska wreszcie zauważyła, że wciąż trzyma słuchawkę.

- Z Frankiem Sinatrą.

- Kojak, on nie żyje.

- Czekam na Donnę z centrali telefonicznej. A jeśli ten program daje ludziom fałszywe poczucie mocy i w końcu ktoś zrobi coś głupiego i zginie?

- A może ludzie giną, bo są bierni i głupi i nie oglądają tego programu?  
- Nienawidzę Ace'a Wyatta.  
- Warner Brothers promują go jako Kapitana Amerykę.  
- Rany, to ta para wiceprezesów. Ukradli mi pomysł - powiedział, dusząc się z niesmaku.

- Zadzwoń do agenta w Hollywood.  
- To ty byś, Dzwoneczku, miała ochotę na karierę gwiazdy, nie ja.  
- Wolałabym sławę pogromcy Rubela, nie jego ofiary. Kovac miał na końcu języka ciętą uwagę, ale w słuchawce odezwał się wreszcie ludzki głos.

- Przepraszam, Sam, że musiałeś czekać. Co mogę dla ciebie zrobić?  
- Cześć, Donna. Potrzebny mi jest wydruk połączeń pewnego abonenta z Minneapolis.

- Masz papiery?
- Niezupełnie.
- Nie da rady.
- Ale... gość nie żyje. Komu to będzie przeszkadzać?
- A rodzina?
- Też nie żyje albo w więzieniu.
- A prokurator?
- Chcę tylko wyjaśnić jeden drobiazg, Donna. To nie do sądu.
- Hmm... ale ode mnie tego nie dostałeś.
- Ale nie tracę nadziei.

Donna na to zakrzuszyła się ze śmiechu. Dziewucha z klasą. Kovac dał jej numer Andy'ego Fallona i odłożył słuchawkę.

- Kogo chcesz namierzyć? - spytała Liska.  
- Nie bardzo wiem - przyznał się. - Chcę się tylko przyjrzeć zestawieniu rozmów Andy'ego, może coś mi się rzuci w oczy. Andy węszył w sprawie morderstwa Thorne'a, chciał tą drogą zbliżyć się do Mike'a. Kiedy ja zacząłem przewąchać, Wyatta mało szlag nie trafił. Chcę zobaczyć...

- To obsesja, Sam. Nie podoba ci się koncepcja, że to Rubel stoi za śmiercią Andy'ego? Jeśli to w ogóle było morderstwo.

- Nie. To zupełnie do Rubela nie pasuje. U Andy'ego było za schludnie. Rubel potrafi zatłuc kogoś na śmierć kijem baseballowym czy prawie na śmierć łomem, strzelić z bliska w pierś. Gdzie mu do finezji!

- Sam mówiłeś, że Pierce widział Andy'ego, jak prowadzał się z jakimś facetem. Może to był Rubel? Całkiem możliwe. Andy przyglądał się Ogdenowi ze względu na tę aferę ze śledztwem Curtisa. Nikt nie wiedział, że Ogden i Rubel to para. Rubel, korzystając z tego, że jako były partner Curtisa ma związek ze sprawą, mógł zbliżyć się do Andy'ego i jak to się mówi, trzymać rękę na pulsie. Andy dociera zbyt blisko prawdy i... kapujesz?

- Nic z tego. Rubel był partnerem Ogdena...

- Na początku śledztwa jeszcze nie był. Nie widziało się między nimi żadnego związku. Nikt niczego nie podejrzewał. Rubel był kiedyś partnerem patrolowym Curtisa, ale Curtis twierdził, że nie miał kłopotów z żadnym ze swoich byłych partnerów.

- Póki jednego nie zaraził.

- A jeśli Andy dowiedział się, że Rubel jest nosicielem HIV...? - Pozwoliła Kovacowi dokończyć myśl samemu, po czym dodała: - Zamierzam sprawdzić, czy Pierce nie rozpozna Rubela ze zdjęcia.

- Spróbuj. A kto włamał się do mojego domu? Po co miałby to robić Rubel? Nie miałem przecież w domu żadnych dowodów, które mogłyby go zaprowadzić na szubienicę.

- Mnie się wydaje, że to może być zupełny zbieg okoliczności. Jakiś menel szukał pieniędzy. Albo to był ktoś związany z zupełnie inną sprawą. Może to nie ma nic wspólnego z Fallonem.

Taka możliwość przychodziła już Kovacowi do głowy. Przecież miał w toku jeszcze parę innych śledstw... Zadzwoił telefon.

- Kovac, wydział zabójstw.

- Tu Maggie Stone. Przyjrzałam się tej sprawie... Fallon, Andy.

- I?

- Czy on jest już pochowany?

- Chyba nie. A o co chodzi?

- Chciałabym, żeby do nas wrócił. Mam ochotę mu się bliżej przyjrzeć. Niewykluczone, że został zamordowany.

Biuro Maggie Stone w kostnicy hrabstwa Hennepin zawsze nasuwało Kovacowi na pamięć sensacyjne wiadomości o zwariowanych staruszkach, których zmumifikowane zwłoki znaleziono wśród stosów starych gazet i śmieci, niewyrzucanych od dziewięciu lat. W jej pokoju panował bałagan nie do opisania: istny labirynt papierów, periodyków fachowych i książek na temat medycyny sądowej, a także magazynów na tematy motocyklowe, Maggie Stone bowiem przy dobrej pogodzie jeździła na harleyu.

Gestem jednej ręki zaprosiła Kovaca do środka; w drugiej trzymała lukrowanego pączka z marmoladą. Z wnętrza pączka sączyło się coś czerwonego; trzeba przyznać, że trochę za bardzo przypominał różne rzeczy widoczne na fotografiach porzrzucanych na biurku.

- Czytasz coś z tego w ogóle? - spytał Kovac.

Wpatrywała się w jakąś fotografię przez swoje okulary w ekstrawaganckiej oprawce i podświetlaną lupę.

- Co czytam?

W tym miesiącu miała włosy koloru toffi, przycięte w krótką czuprynkę i przylizane do głowy jakimś żelem. Na ogół wyglądała tak, jakby zapomniała użyć grzebienia od dziesięciu lat.

- Co znalazłaś?

- *Okay.* - Odchyliła lupę na statywie, żeby Kovac mógł spojrzeć przez nią z drugiej strony biurka. - Jeśli ktoś zginie przez powieszenie, to powinien mieć na szyi szramy i wybro- czyny ułożone w kształt litery „V”, odzwierciedlające układ pętli. Widzimy je tutaj wyraźnie - pokazała na zdjęcie. - Znalazłeś go powieszzonego. Wiemy, że wisiał. Widzę tu jednak jeszcze coś: ślad szramy opasującej szyję prosto.

- Myślisz, że duszono go, a powieszono potem?

- Ta szrama jest niewyraźna. Jeśli ktoś się temu przyglądał z powziętym z góry wnioskiem, że to było samobójstwo, to mógł nie zwrócić na nią uwagi. Ale mnie się wydaje, że to coś jest. Jeśli mam rację, to podejrzewam, że zabójca podłożył jakąś ochronną podkładkę między pętlę a szyję ofiary. Jeśli mamy szczęście i zakład pogrzebowy nie przygotował zwłok zbyt starannie, być może zdołam znaleźć jakieś włókna na szyi. A jeśli ta szrama jest tam rzeczywiście, to założę się, że jeszcze więcej śladów będzie na karku.

Usiadła, zacisnęła dłonie w pięści i wysunęła przed sobą, demonstrując, jak się to odbywa.

- Jeśli zabójca zaciska pętlę rękami, kostki palców wbijają się w kark ofiary i zostawiają siniaki. Jeśli to była garota, to nacisk w punkcie, gdzie pętla się łączy i zaciska, spowodował wyraźny pojedynczy siniak.

- Nie ma zdjęć karku?

- Nie. Muszę przyznać, że to nie była najskrupulatniej przeprowadzona sekcja. No, ale ponieważ wyglądało to na najzwyczajniejsze samobójstwo, a od was były telefony, żeby zrobić ją jak najszybciej, to nie ma się co dziwić.

- To nie były telefony ode mnie - sprostował Kovac, przyglądając się zdjęciom ze zmarszczonym czołem. Wpatrywał się w ledwie widoczne szramy na gardle Andy'ego Fallona, tuż pod wyraźnymi śladami pętli z liny. Poczł nerwowy skurcz w żołądku, jakby obudził się tam do życia splątany kłęb robaków. - Ja tutaj tylko sprzątam. Te naciski pochodziły od kogoś umiejscowionego znacznie wyżej w łańcuchu pokarmowym.

Te naciski pochodziły od Ace'a Wyatta.

Kovac zajrzał przez kontuar i przyłapał Russella Turveya na kartkowaniu „Hustlera” w kącie biura.

- Rany, Russell! Wyświadczyć mi przysługę i nie podawaj mi ręki.

Turvey zaśmiał się i rzucił magazyn na podłogę. Chwycił się kontuaru i podjechał wraz z krzesłem, nie wstając.

- Słyszałem, że Springer dostał - powiedział, wbijając jedno oko w Kovaca. Drugie zezowało gdzieś w bok. - Nigdy go nie lubiłem.

Powiedział to takim tonem, jakby wskutek jego niechęci śmierć Springera była nieunikniona.

- Ty też tam byłeś - ciągnął.

- Przysięgam, że to nie ja pociągnąłem za spust. Liska za mnie poręczy.

- Ha! Ehe... Liska! - charknął, a wyraz jego twarzy nadawał się na ilustrację hasła „lubieżność”. - To lesba?

- Nie!

- Nawet nie... - pokiwał dłonią.

- Nie - potwierdził Kovac z naciskiem. - Możemy przejść do rzeczy? Przyszedłem tu w jakimś celu.

Turvey uniósł dłoń.

- Jakim?

- Muszę zajrzeć do starych akt. Morderstwo Thorne'a. Nie mam numeru sprawy, ale mam datę...

- Wszystko jedno - odparł Turvey. - Nie ma ich.

- Na pewno?

- Tkwię tu dzień w dzień, od lat. Myślisz, że nie wiem, co tu jest, a czego nie ma?

- Ale...

- Wiem na pewno, bo ktoś z SW przyszedł tu do mnie i dopytywał się o nie parę miesięcy temu. Chłopak Mike'a Fallona. Nie było ich. To i teraz nie ma.

- A gdzie mogą być?

- Nie mam pojęcia.

Kovac westchnął i zamierzając już wyjść, zastanawiał się, kto mógłby mieć te dokumenty albo chociaż ich kopie.

- Ciekawe, że o to pytasz - zauważył Turvey.

- Dlaczego?

- Bo sprawdziłem, do kogo należała ta odznaka, której numer mi kiedyś podałeś. To była odznaka Billa Thorne'a.

Amanda Savard trzymała odznakę Billa Thorne'a na swoim biurku w domu.

Kovac stał jak słup soli, starając się zmusić mózg do wyciągnięcia wniosków.

- Pamiętam Billa Thorne'a - mówił Turvey, drapiąc się po brodzie. - Wtedy patrolowałem rewir Trzeciego Komisariatu. To był najgorszy skurwysyn, jakiego w życiu widziałem.

- Naprawdę?

Turvey podciągnął brwi.

- Czy naprawdę? Kiedyś widziałem, jak wybił prostytutce zęby, bo mu nie powiedziała prawdy.

- To na pewno odznaka Thorne'a?

- Tak. Na pewno.

Kovac odszedł, nie słuchając dalszej gadaniny Russella.

Amanda Savard trzymała na biurku odznakę Billa Thorne'a.

Poszedł do toalety, opryskał sobie twarz zimną wodą, potem stał, oparty rękami o umywalkę, przyglądając się swojej twarzy w lustrze.

Myślał przebiegał ostatnie dni; migały mu obrazy Amandy, ich obojga. Pomyślał o sobotniej nocy. Kochali się na jego kanapie. A potem, kiedy szykowała się do wyjścia, spojrzała na stolik i zobaczyła odbitki artykułów z biblioteki.

„Morderstwo Thorne'a. Postrzelenie Mike'a Fallona. Andy się tym właśnie zajmował. Grzebię w tym, żeby zobaczyć, czy coś nie wylezie”.

„Nagły zwrot losu” - powiedziała wtedy.

Poszedł na parter, gdzie tłum kłębił się większy niż zazwyczaj: oprócz policjantów dziennikarze, węszący za jakimiś ochłapami informacji na temat poszukiwań Rubela. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Stał z boku i patrzył w stronę drzwi z numerem 126.

Ona pewnie jest w biurze. SW teraz pilnie wygrzebuje wszystko, co się da, na Rubela i Ogdena. Przeglądają wszystkie raporty, w których coś się o nich znajdzie, szukają zwiastunów problemu. Amandę pewnie wezwano na dywanik, szef się dopytuje, dlaczego śledztwo dotyczące Ogdena w sprawie zabójstwa Curtisa utknęło i zostało zakończone. Dlaczego nikt nie wspominał wtedy o Rubelu?



Nie może teraz do niej wejść, na pewno jest zajęta. A nawet gdyby wszedł, to co? Zachować się jak oszukany mąż? Już widział tę scenę. Czuł upokorzenie. Nie.

Dostrzegł go jakiś dziennikarz, życie znów przełączyło się na „szybkie przewijanie w przód”.

- Hej, sierżancie Kovac - powiedział facet, podchodząc. Starał się zniżyć głos, żeby konkurencja nie dosłyszała. - Podobno był pan przy tym, co się stało w sobotę wieczorem? Co to było?

Kovac podniósł rękę i odwrócił się.

- Bez komentarza.

Wymknął się do hallu wejściowego, przepchnął przez tłumek usiłujący sforsować recepcjonistkę i przedostał się do biura. Liski nie było. Donna z centrali przysłała mu wydruk rozmów z telefonu Andy'ego Fallona. Będzie czym zająć głowę zamiast bez przerwy rozmyślać o Amandzie. Włączył komputer, połączył się z internetową książką telefoniczną i zaczął szukać.

Zbyt wiele numerów telefonicznych nie figurowało w rejestrze. Dziś każdy chce zastrzec numer, chce anonimowości, nie życzy sobie nagabywania. Te numery, które znalazł, nie przyniosły nic interesującego. Mike, Neil, pizza na telefon. Kilka rozmów z czymś, co się nazywało Hazelwood Home. Kovac znalazł dyskretną informację: „instytucja opiekuńcza”. Opiekuńcza? Dla kogo? Może dom opieki dla Mike'a? Chociaż nie wyglądało na to, żeby Mike'owi potrzebny był dom opieki. Gospodyni, owszem. Dom opieki? Nie.

Skończywszy przeglądanie rejestru, Kovac zaczął dzwonić po numerach, których w książce nie znalazł. Odzywały się głównie automatyczne sekretarki.

Jedna z nich należała do Amandy Savard. Fallon dzwonił do niej kilka razy w ostatnich dniach życia.

Andy Fallon grzebał w sprawie morderstwa Thorne'a. Amanda Savard trzyma na biurku odznakę policyjną Billa Thorne'a.

Chłodno zaprzeczyła, jakoby Andy się z nią kontaktował w sprawie tego prywatnego śledztwa.

Niech to szlag! Gdyby tylko miał notatki Fallona. Te dokumenty muszą gdzieś być... i laptop.

A może przejść się korytarzem i zapytać Amandę wprost o tę odznakę.

Intuicja podpowiadała mu: nie pytać.

A może wcale nie intuicja.

Ona ma odznakę Billa Thorne'a. Widziała Andy'ego Fallona wieczorem, zanim zginął. Była u niego w domu. Andy dzwonił do niej przed śmiercią wielokrotnie.

Uwielbiam zagadki - pomyślał i szarpnęło nim, niczym chłaśnięcie biczem, ponure przecucie.

Amanda Savard poszła z nim do łóżka. Dwa razy. Przewąchiwał w sprawie śmierci Andy'ego Fallona. Andy Fallon przewąchiwał w sprawie śmierci Billa Thorne'a. Amanda ma odznakę Billa Thorne'a.

Chwycił słuchawkę telefonu i wystukał numer Hazelwood Home.

Hazelwood Home okazał się domem opieki dla psychicznie chorych.

Kovac złapał płaszcz, kapelusz i wyskoczył z biura.

Wiatr miótł śniegiem, unosił biały pył w powietrze, tak że Hazelwood Home wyglądał jak za mgłą. Dawna rezydencja prywatna, pobudowana była w doprowadzonym do przesady stylu Franka Lloyda Wrighta. Długie linie poziome sprawiały, że wydawała się siedzieć nisko przy ziemi. Na pokrytym śniegiem trawniku stały tu i tam wielkie stare drzewa. Dalej rozciągały się odkryte, podmokłe tereny, typowy pejzaż obszarów na zachód od Minneapolis.

Kovac zatrzymał samochód przed wejściem i wszedł do środka, od razu wpadając na pojedynkę świątecznych dekoracji. Z jednej strony foyer bożonarodzeniowa choinka, z drugiej - chanukowa menorah z lampkami. Dominującym wrażeniem z hallu wejściowego był mrok. Wydawało się, iż niski belkowany strop wisi tuż nad głową.

Rozejrzał się za najmłodszą, najmniej doświadczoną przedstawicielką personelu, znalazł i ruszył w jej kierunku. Dziewczę o urodzie cherubinka, z blond kędziorami, poskręcany jak u pudła. Na plakietce identyfikacyjnej miała napisane „Amber”. Oczy

Amber otworzyły się szeroko na widok odznaki policyjnej Kovaca. Detektyw odciągnął ją na bok, od starszej recepcjonistki, zajętej chwilowo telefonem.

- Czy on jest tu niedaleko? - zapytała dziewczyna z niepokojem.

- Przepraszam?

- No ten - odparła szeptem. - Ten zabójca. Szuka go pan?

Kovac pochylił się do jej ucha.

- Niestety, nie wolno mi nic powiedzieć.

- Ojejku!

- Chcę cię o coś zapytać, Amber - powiedział Kovac, wyciągając zdjęcie Andy'ego Fallona, które zabrał z domu Mi-ke'a. - Widziałaś gdzieś tutaj tego człowieka?

Sprawilo jej zawód, że na zdjęciu nie ma Dereka Rubela, ale nie dała tego poznać po sobie.

- Tak, widziałam go. Był tutaj parę razy.

- Niedawno?

- W ostatnich paru tygodniach. To też policjant - powiedziała, mrużąc oczy - a przynajmniej tak twierdził.

- Co tutaj robił? Z kim rozmawiał? - Kovac nie spuszczał z oka starszej kobiety po drugiej stronie kontuaru recepcyjnego. W takich instytucjach jak Hazelwood dyskrecja była na pierwszym miejscu. Amber była zbyt niewinna i naiwna, żeby to zrozumieć.

- Odwiedzał panią Thorne - powiedziała po prostu, mrugając powiekami.

- Trzeba panu zdać sobie sprawę, sierżancie, że Evelyn żyje we własnym świecie - mówiła lekarka, prowadząc go długim korytarzem do pokoju Evelyn Thorne. - Uświadomi sobie pana obecność. Porozmawia z panem. Ale rozmowa będzie dotyczyła jej wewnętrznego świata.

Lekarka, psychiatra, była wysoką, łagodną z wyglądu kobietą o obfitej grzywie długich blond włosów.

- Chcę ją tylko zapytać o policjanta, który odwiedzał ją tu parokrotnie - wyjaśnił Kovac. - Sierżant Fallon. Czy rozmawiał z panią?

Lekarka wyglądała na zakłopotaną.

- Rozmawiałam przelotnie z panem Fallonem. Nie wiedziałam, że jego wizyta miała służbowy charakter. Powiedział, że jest siostrzeńcem Evelyn. Pytał mnie, czy ona opowiada o zabójstwie swojego męża.

- A opowiada?

- Nie. Nigdy. Zaraz po jego śmierci przeżyła załamanie nerwowe.

- I od tamtej pory jest w tym stanie?

- Tak. Bywają lepsze dni, ale na ogół ma kontakt tylko ze swoim światem wewnętrznym. Tam się czuje bezpiecznie.

Lekarka zajrzała przez szybkę pokoju Evelyn. Nim weszła, zapukała dwukrotnie.

- Evelyn, masz gościa. To pan Kovac.

Kovac stanął na progu, jakby dostał pięścią w splot słoneczny. Evelyn Thorne siedziała na wyściełanym fotelu, ubrana w niebieski dres, i wyglądała przez okno. Była szczupła, taką szczupłością, która ma podłoże nerwowe. Włosy jej posiwiały. Zaczesawała je do tyłu i przytrzymała aksamitną opaską. Na gazetowych fotografiach przypominała Grace Kelly. W rzeczywistości przypominała znacznie bardziej kogoś innego.

Odwróciła głowę, chcąc na niego spojrzeć; jej wzrok był trochę nieobecny, ale uśmiechnęła się miło.

- Znam pana.

- Nie, proszę pani - powiedział, podchodząc.

- Pan Kovac chciałby ci zadać parę pytań o tego młodego człowieka, który tu cię odwiedzał, Evelyn - wyjaśniła lekarka.

Nie zwróciła na lekarkę uwagi.

- Byłeś przyjacielem mojego męża - powiedziała do Kovaca.

Lekarka spojrzała z miną oznaczającą: „A nie mówiłam!” i wyszła.

Pokój był przestronny, umeblowany normalnie, z wyjątkiem szpitalnego łóżka, które jednak przykryto narzutą w kwiaty. Niezłe miejsce dla kogoś, kto zabija czas zamknięty w swojej wewnętrznej rzeczywistości - pomyślał Kovac. Niezłe też musi

kosztować. Zastanawiał się, czy to Wyatt reguluje rachunki. Nic dziwnego, że musiał iść do Hollywood.

- Miło, że pan mnie odwiedził - powiedziała uprzejmie Evelyn Thorne. - Proszę usiąść.

Kovac usiadł na krześle naprzeciwko niej i wyciągnął tę samą fotografię, którą pokazywał Amber.

- Pani Thorne, pamięta pani Andy'ego Fallona. Był u pani ostatnio.

Wzięła fotografię, uśmiechając się cały czas.

- Ach, jaki przystojny! To pański syn?

- Nie, proszę pani. To chłopak Mike'a Fallona. Pamięta pani Mike'a Fallona? Policjant. Był u pani w domu tej nocy, kiedy zginął pani mąż.

Nie wiedział, czy usłyszała chociaż jedno słowo. Wydawało się, że nie.

- Rosną tak szybko - powiedziała, wstając z krzesła i podchodząc do małej etażerki, na której leżało mnóstwo czasopism ilustrowanych i Biblia.

- Też mam zdjęcia - oznajmiła i wyciągnęła spod spodu jakiś magazyn. - Córce się wydaje, że zabrała mi wszystkie. Nie lubi zdjęć, zdjęć rodziny. Ale ja musiałam parę schować.

Wyjęła spomiędzy kartek pisma szarą kopertę i wydobyła z niej kilka fotografii.

- Moja córka - obwieściła z dumą, wręczając je Kovacowi. Nie chciał ich dotykać, jakby nie dotykając ich ani na nie nie patrząc, mógł odsunąć od siebie prawdę. Evelyn Thorne jednak wcisnęła mu je do rąk.

Na zdjęciach była młodsza. Trochę drobniejsza. Włosy miała inne. Ale pomyłki być nie mogło, to była córka Evelyn i Billa Thorne'ow: Amanda Savard.

Amanda Savard jest córką Billa Thorne'a.

Przypomniał sobie, co pisały gazety z tamtych lat: „Thorne pozostawił po sobie żonę i córkę”. Tylko tyle. Ani imienia córki, ani zdjęcia.

Savard to panieńskie nazwisko Evelyn. Tyle od niej wydobył. Amanda musiała przyjąć je jako własne po śmierci ojca. Gdyby nie to, nie mogłaby utrzymać swojego pochodzenia w tajemnicy.

Andy Fallon pracował u Amandy Savard, córki Billa Thorne'a. Interesował się morderstwem Billa Thorne'a, tą nocą, w której Mike Fallon został kaleką, tą nocą, która uczyniła z Ace'a Wyatta bohatera. Ace Wyatt przez lata spłacał dług wdzięczności Mike'owi Fallonowi. Andy Fallon nie żyje. Mike Fallon nie żyje...

Kovac siedział w samochodzie na ciemnym parkingu przy budynku, w którym mieściła się firma producencka Wyatta. Po trzecim papierosie w ciągu dwóch godzin łupało mu w głowie. Co za dzień! Czuł się wykończony. Stary. Wydrażony. Ciekawe - pomyślał - okazał się zbyt cyniczny, by poczuć rozczarowanie albo zawód. Niezły kawał, co, Kovac?

Budynek firmy Wyatta niczym się nie wyróżniał. Piętrowy dom z klinkierowej cegły, jakich tysiące na zachodnich przedmieściach. Parking opustoszał przez ostatnią godzinę, skończyły się godziny pracy, a biegli księgowi, adwokaci i ortodonci, którzy tu mieli swoje gabinety, powiadali do swoich zimnych pojazdów i ruszyli ulicą w kłębach spalin, żeby dowlec się do pełzającego powoli korka godzin szczytu na trasie numer 494.

Wyatt na niego czekał. Czekał już od dziesięciu minut. Kovac zwlekał, chcąc, żeby cały personel biurowy Wyatta wyszedł. Lincoln Wyatta stał na zarezerwowanym miejscu pod samym wyjściem z budynku. Kovac zaparkował w trzecim rzędzie parkingu, sam. Zapiszczał pager, sprawdził na wyświetlaczu. Leonard. Niech spada.

Zgasił silnik i przeszedł przez parking do wejścia. Papierosa wyrzucił przed samymi drzwiami, nie troszcząc się o niedopałek. Wygięty w podkowę kontuar

recepcyjny był opustoszały, dzwonił na nim telefon. Z tablicy informacyjnej na ścianie dowiedział się, że „Wyatt Productions” mieści się na piętrze.

Minął windę, wszedł po schodach, niezauważony, i znalazł się w biurze. Podobnie jak w reszcie budynku panował tu kolor szary: na wykładzinie, na ścianach, na obiciach prostych mebli. Na ścianach wisiały fotografie wielkiego człowieka przy okazji wręczania listów pochwalnych, nagród i dyplomów za rozmaite wiekopomne dokonania w pełnej poświęcenia służbie społeczeństwu. Zdjęcia z notablami lokalnymi, z legendami organów sprawiedliwości i ścigania, z gwiazdami filmu złapanymi za guzik podczas wizyt w Minneapolis.

Ten człowiek zawsze stawał przed obiektywem, żeby pokazać się z najlepszej strony. Z Evelyn Thorne także.

Kovac pokiwał głową.

Drzwi gabinetu Wyatta uchyliły się, z wnętrza dobiegły urywki rozmowy, raz cichsze, raz wyraźniejsze.

- ...zdobywanie popularności... takimi metodami... jest nie do przyjęcia, Gavin - głos Wyatta.

- ...zazęgnąć w ten sposób niebezpieczeństwo... zaprzeczyć... - to Gaines.

- ...do jasnej cholery... wizerunek... moja widownia to przeciętni Amerykanie, na litość boską!

- Przykro mi, ale...

Drzwi zamknęły się znowu. Kovac się przysunął, chcąc coś usłyszeć. Nagle wyszedł Gaines, zarumieniony ze złości.

- Co się dzieje, lalusz? Ciężki dzień na kolanach?

- Wiem, że nie szanuje pan mojej pracy, sierżancie, ale naprawdę nie ma powodu, żeby podkreślał pan to za każdym razem.

- Kiedy tak lubię, jak się złościysz, Gavin.

Gaines wyglądał, jakby był gotów zębami gryźć żelazne sztaby.

- Kapitan Wyatt oczekuje pana od dłuższej chwili.

- Dobrze. Jestem zajęтым człowiekiem. - Kovac podeszedł do drzwi, po czym obejrzał się na prawą rękę Wyatta i dodał: - Możesz iść, Gaines. Kapitan nie będzie cię potrzebował. Będziemy gadać o dawnych czasach.

Wyatt stał przy oknie, zapatrzony w mrok. Ciemności zapadły już godzinę temu. Przyglądał się odbiciu Kovaca w szybie.

- Rubela ani śladu - powiedział. Stwierdzenie faktu.

- Wiedziałbyś przede mną.

- Nie powinienes przypadkiem być na poszukiwaniach?

- Robią to za mnie twoi obywatele. Przyniosą go związanego jak baleron. Będzie gościem specjalnym następnego programu.

Wyatt wziął to dosłownie.

- Może. Podoba mi się pomysł, żeby od czasu do czasu zrobić wywiad ze złoczyńcą. Niech telewizowie się dowiedzą, jak pracuje spaczony umysł.

Chyba za dużo czasu spędzał z wiceprezesami Warner Brothers.

- Mam na głowie inne śledztwa - powiedział Kovac. - Na przykład morderstwo Mike'a. Albo Andy'ego.

Wyatt popatrzył zdziwiony.

- Nikt do ciebie nie zadzwonił? - Kovac udawał oburzonego. - Maggie Stone uważa, że Andy'ego uduszono, zanim został powieszony.

Z twarzy Wyatta odpłynęła cała krew.

- Co?!

- Ślady na krtani - powiedział, przejeżdżając palcem po własnym gardle dla zademonstrowania, o co chodzi. - Niewyraźne, ale są. Lekarz, który robił sekcję, zbagatelizował je. Poprosiłem doktor Stone, żeby osobiście przejrzała wyniki, na wypadek gdyby ten nowy coś przeoczył. Zwierzchność naciskała przecież na niego, żeby uwiął się jak najszybciej. Dobry miałem pomysł, co? O mało co Andy nie zabrał tej małej tajemnicy ze sobą do ziemi.



- Dlaczego...? - zaczął Wyatt. Kovac widział wyraźnie, jak próbuje wziąć się w garść; stara się, żeby to, co mówi, brzmiało spokojnie i rzeczowo. - Myślisz, że to ma coś wspólnego z Rubelem?

- Osobiście? Nie - odparł Kovac. - Myślę, że to cholernie dziwny zbieg okoliczności, iż najpierw umiera Andy i wydaje się, że to samobójstwo, potem ginie jego stary i to też ma wyglądać na samobójstwo. Nie wydaje ci się to dziwne?

Wyatt zmarszczył swoje sławne czoło.

- Więc chcesz oskarżyć Neila o oba morderstwa?

Kovac zignorował pytanie, był zbyt zmęczony i emocjonalnie wyczerpany, żeby tańczyć teraz umysłowego menueta.

- Znalazłem Evelyn Thorne. Andy też do niej dotarł. Myślisz, że skończę jak on czy jak Mike?

- Nie wiem, o czym ty gadasz.

- Rany boskie, Ace! - Cierpliwość Kovaca się wyczerpała. - Nie mam czasu na te bzdury. Sprawa ma korzenie w czasach zabójstwa Thorne'a! Andy wykrył coś, co zaszło tamtej nocy; coś, czego nikt dotąd nie zauważył, bo wtedy nie chciano tego widzieć albo wołano zatuszować. Żeby wszystko zostało w policyjnej rodzinie. Thorne to policjant, ty też i Mike. Jedynym niepolicjantem był ten biedak Weagle.

- Weagle napadł na Evelyn! - oświadczył Wyatt. - U... uderzył ją. Pobił, zgwałcił. Zastrzelił Billa. Zabił go. Postrzelił Mike'a.

- Naprawdę? - spytał Kovac. - Ja mam tu wątpliwości. Dlaczego, Ace, ludzie, którzy zainteresują się tą sprawą, związani z tą sprawą, nagle giną? Jeśli to się odbyło tak, jak twierdzisz, to nie byłoby powodu.

Wyatt poszedł za biurko. Jakby się wycofywał albo szukał osłony... Kovac nie odrywał od niego wzroku; mięśnie miał napięte, gotowe do działania. Ustawił się tak, żeby widzieć jednocześnie i Wyatta, i drzwi.

- Co ci powiedziała Evelyn? - zapytał Wyatt. - Wiesz, że ona jest chora. Na pewno lekarze cię uprzedzili, że ona często zmyśla.

- Powiedziałeś mi, że straciłeś z nią kontakt. Powiedziałeś, że nie wiesz, gdzie jest.

- Chciałem ją ochronić. Evelyn nigdy nie podniosła się z szoku. Zawsze była... delikatna. Tamtej nocy coś pękło w jej psychice. Lekarze nie zdołali tego naprawić. Wycofała się w bezpieczne schronienie, swój własny świat. I na ogół sprawia wrażenie zadowolonej.

- Pokazywała mi zdjęcia. Dawni sąsiedzi, przyjęcia w ogrodzie, przyjaciele. Ciekawe, nie ma ani jednej fotografii Billa. Ani jednego zdjęcia męża.

- Bolesne wspomnienia.

- Jak bardzo bolesne? - drążył Kovac.

Wyatt zamknął powieki i przyglądał oboma dłońmi włosy.

- Do czego zmierzasz, Sam? To było dwadzieścia lat temu.

Kovac przyglądał mu się, zerkał na eleganckie umeblowanie gabinetu, myślał o tym, jaką karierę zrobił Ace Wyatt od tamtej nocy, gdy ktoś zastrzelił Billa Thorne'a. A jeśli to wszystko kłamstwo? Ace Wyatt ma przejść do telewizji ogólnokrajowej, a tu Andy Fallon dowiaduje się prawdy...

- Do czego zmierzam? Zginęli ludzie, Ace. Jeśli nie rozumiesz, że to trzeba wyjaśnić, to znalazłeś się w niewłaściwym miejscu.

Wyatt przybrał kamienną twarz.

- Nie masz żadnego dowodu, że te zgony są ze sobą powiązane albo powiązane z przeszłością. Nie wierzę w to.

- Muszę przyznać, że wciąż jeszcze szukam. Andy pewnie też nie miał jeszcze nic pewnego. Ale coś znalazł, dlatego nie żyje. I myślę, że wiem, gdzie to coś schował. I jeśli to jest tam, Ace, ja to znajdę. Dla każdego zamieszanego w tę sprawę będzie lepiej, jeśli sam rzecz wyjaśni. Wiesz, o co mi chodzi. Ty. Savard. Wiem, że jest córką Thorne'a.

Wyatt patrzył gdzieś poza niego.

- Mówisz, jakbyś uważał, że zrobiłem coś złego - powiedział beznamiętnie. - Nie zrobiłem. Ani kiedyś, ani teraz. Nic dobrego nie wyniknie z odkurzania starych spraw, Sam. To może zaszkodzić ludziom, ich karierom, reputacji. Bez powodu.

- Uważam, że z tego właśnie powodu zginęło dwóch ludzi - odparł Kovac. - To jest powód, Ace. A cała reszta guzik mnie obchodzi.

Podszedł do drzwi, wziął za klamkę, obejrzał się przez ramię na żywą legendę. Chociaż nigdy nie lubił tego człowieka, w głębi duszy, mu współczuł.

- Evelyn cię pozdrawia - rzekł cicho i wyszedł.

Ma już tego dość...

Dzień pracy się skończył. Amanda Savard nadal nie opuściła azyłu swojego gabinetu. Ukrywała się. Chroniła przed dziennikarzami, przed koniecznością pójścia do domu. Pogasiła wszystkie światła prócz lampki na biurku i siedziała, otulając się ciszą. Brak ruchu: co za ulga - myślała, patrząc na zdjęcie, które sama zrobiła, wywołała i oprawiła wiele lat temu. Pejzaż zimowy.

Dlatego właśnie fotografowała krajobrazy, a nie ludzi: nieruchomość. Gdyby mogła odnaleźć taką niezmiennność w swoim otoczeniu, gdyby mogła ją osiągnąć w swoim wnętrzu... choćby na chwileczkę. Choćby na taką chwilę jak wtedy, gdy zagłębia się w surowe piękno sfotografowanego pejzażu. W takich chwilach udaje się jej rozluźnić; puszczają zaciśnięte węzły jej wnętrza.

Tak jej brakowało dziś tego spokoju. Kakofonia dźwięków wrażała się w mózg. Gniewne pytania, ostre pytania, żądania, polecenia. A na dodatek wiadomość z Hazelwood nagrana w poczcie głosowej. Ma już tego dość.

Kovac już wie.

Wiadomo było, że to tylko kwestia czasu. Gdzieś w głowie zawsze kołatała się świadomość, że do tego dojdzie. W głębi serca miała nadzieję na coś innego: na pętlę czasu, w której uwięzną wydarzenia, zamkną się, oddalą, odseparują. Cóż za piękny pomysł! Gdyby. Ale przeszłość jest toksyczna i trudna do okiełznania - przesiąka przez bariery, które przeciwko niej wzniosła.

Zamknęła powieki i przywołała obraz: ulotne wspomnienie poczucia bezpieczeństwa i bycia kochaną. Tak bardzo chciałaby go zaakceptować. Nie chce już dźwigać tego ciężaru. Ma już dość...

Podniosła powieki i zobaczyła go. Stał. Strach chwycił ją żelazną garścią. Przez chwilę nie wiedziała, czy to prawda, czy omam. Tak często nawiedzały ją koszmary, że coraz trudniej było się połapać.

Stał w mroku, z twarzą bez emocji, milcząc; kołnierz płaszcza miał postawiony.  
Przerażenie wezbrało gwałtowną falą.

- Jesteś córką Billa Thorne'a - powiedział i podniósł pistolet.

Kovac jechał, nie spiesząc się. Chciał mieć czas na rozmyślenia, na poukładanie sobie w głowie wszystkiego, czego się dziś dowiedział, na uzupełnienie dedukcją luk w wiedzy. Starał się nie reagować emocjonalnie. Starał się stłumić poczucie zdrady. Starał się nie przypominać sobie wciąż, że miał rację od początku: lepiej niczego nie oczekiwać.

Bar Neila Fallona był zamknięty; wyglądał na opuszczony. Cały obiekt sprawiał wrażenie jakichś slumsów, porzuconych nawet przez nędzarzy: budki wędkarskie, byle jakie domki kempingowe, wiata warsztatowa, hangar na łódki - wszystko ciemne i pozbawione życia, jeśli nie liczyć szczurów. Jedynymi światłami były dwie latarnie i neon reklamy piwa, który jarzył się w oknie baru.

Kovac zaparkował pod latarnią i wysiadł. Wyciągnął latarkę spod zwałów rupieci pod siedzeniem pasażera, potem otworzył bagażnik i zaczął w nim szperać. W końcu znalazł to, czego szukał: łyżkę do opon.

Wiatr nie zelżał. Temperatura spadała. To nie był wieczór na spacer przy księżycu. Kovac jednak postanowił się przejść; ruszył w kierunku hangaru na łódzie. Wyostrozonymi zmysłami aż nadto wyraźnie czuł mróz: w nosie, w płucach. Aż nadto wyraźnie słyszał chrzęst śniegu pod podeszwami. Zatrzymał się przy hangarze i spojrzał w dół skarpy, na zamrożone jezioro.

W świetle księżycy nie widział miejsca, gdzie wpadł do wody wóz Dereka Rubela. To musiało być blisko. Stojąc wśród pustych zabudowań gdzieś na bezludziu, Kovac myślał sobie, że to doskonałe miejsce, by człowiek znikł z jednego wymiaru i znalazł się w innym, nie zostawiając po sobie śladu.

To warto zapamiętać. Może się kiedyś przydać. Miał przeczucie, że gdy to wszystko się skończy, ucieczka będzie jedną z lepszych możliwości do rozważenia.

Broń wypaliła z ogłuszającym hukiem.

Amanda poderwała się z fotela, rozrzuciła ręce na boki.

I ocknęła się.

W gabinecie nikogo nie było.

Stała za biurkiem, serce waliło, płuca chwytały powietrze jak po długodystansowym biegu. Czowała własny pot. Bielizna nim przesiąkła. Emocje wzbierały w niej, dławily. Miażdżyły. Z gardła wyrwał się jej urywany szloch. Rzuciła się na biurko, wymachując rękami. Zrzuciła lampę, resztę rzeczy, pospadały, rozsypując się, tłukąc. Walila pięściami w blat, płakała, walczyła; wściekła, przerażona.

Kiedy adrenalina wypaliła się i atak minął, usiadła z powrotem na krześle i zaprzęła umysł do pracy.

Choćby nie wiem jak się oszukiwała, prawda wyjdzie na jaw, to tylko kwestia czasu.

Czas się kończy.

Wysunęła szufladę biurka i wyjęła rewolwer.

Kovac podważył łyżką do opon skobel starych drzwi. Skobel wraz z kłódką odskoczył, Kovac wszedł do hangaru. Pstryknął latarką, chcąc znaleźć włącznik światła.

Zimowało tu ze sześć łodzi, rozmaitych wielkości i kształtów. Kovac oglądał je, czytał nazwy. „Hang Time”, „Miss Peach”, „Lazur II”. Wybrał jedną, „Szcwanego Łososia”, i wszedł po drabince. Wrócił z dużym, ciężkim plecakiem, trzymając go za pas naramienny.

- Zostaw to, Kovac.

Kovac odsunął plecak na bok i westchnął.

- Zostaw, bo co?

- Bo cię zabiję na miejscu.

- Zamiast mnie zabić później i upozorować samobójstwo? Naprawdę nie żartowałeś, mówiąc, że dla kapitana zrobisz wszystko.

- Nie, nie żartowałem - odparł Gaines. - Odłóż plecak.

- Pewnie myślisz, że jest tam coś cennego.

- Nieważne, co tam jest. Zostaw to.

- Aha. - Kovac odwracał głowę, próbując zobaczyć, co Gaines wycelował mu w plecy. - Bo tam nie ma nic prócz plików starych papierów. Ale zabij mnie najpierw, a o

dowody będziesz się martwić później. Wiem, że to brzmi jak banał, ale nie ujdzie ci to na sucho, Gaines. Za późno. Zbyt wiele osób wie za dużo.

- Nie sądzę - odparł asystent Wyatta pewnym głosem. - Miałeś tylko podejrzenia, nic więcej. Przewąchiwałeś, jesteś tu sam. Nie prowadzisz oficjalnie śledztwa. Nie rozmawiałeś z Leonardem o swoich podejrzeniach. Jak dotąd nie masz żadnych dowodów. Ci, co wiedzą, czym interesował się ostatnio Andy Fallon, są na straconej pozycji. Dziś został sporządzony akt oskarżenia przeciwko Neilowi Fallonowi o zamordowanie ojca. Jeśli idzie o przyczynę zgonu Andy'ego, to lekarz sądowy nie zmieni orzeczenia.

- Jesteś cholernie pewny siebie - rzekł Kovac. - Wyatt powiedział ci, że wszystko załatwi?

- Wyatt nic nie wie.

- Nie wie, że zabiłeś dla niego, że pozbyłeś się ludzi, którzy mogliby zniszczyć jego wizerunek w amerykańskiej opinii publicznej? Ileż w tobie bezinteresowności, Gavin! Szef powinien ci dać premię. A może premia przyjdzie później? Kiedy już Wyatt się urządzi, kiedy program okaże się hitem antenowym, kiedy zaczniesz się naprawdę wielką forsa? Czy to wtedy pokażesz mu zdjęcia albo film wideo, czy jakie tam dowody zgromadziłeś? Pokażesz mu, jak bardzo go kochasz.

- Zamknij się!

- A jak wyjaśnisz moją śmierć? - Kovac przestąpił delikatnie z nogi na nogę, odrobinę zmienił pozycję. Wciąż nie widział, co Gaines trzyma w rękach. - Coś ci powiem, lalusz. To nie będzie wyglądało na samobójstwo. Jeśli mam stracić życie, to sprzedam je drogo.

- Mam parę pomysłów. Odłóż plecak.

- Z Andym poszło łatwo, co? Przyszedł do Wyatta zadać parę niewinnych pytań. Zobaczyłeś, że Wyatt się zaniepokoił. Może postanowiłeś sam trochę w sprawie pogrzebać, dowiedzieć się, co znalazł Andy. Może on do końca nie zdawał sobie sprawy, w co się wdał, więc nie miał się na baczności. Jesteś przystojny, on był przystojny. Spotkaliście się parę razy. Niczego się nie spodziewał, kiedy wpadłeś któregoś dnia z butelką wina...

- Nie chciałem go zabić - powiedział Gaines, a Kovac dosłyszał w jego głosie emocje: dziwną mieszaninę żalu i satysfakcji. - Nie jestem mordercą.

- Jesteś, jesteś. Pomyślałeś, że on ma coś, co może zmarnować ci przyszłość. Zaplanowałeś to. Uśpiłeś go. Udusiłeś, gdy był nieprzytomny, więc się nie bronił. Potem powiesiłeś go na krokwi i pętla dokończyła roboty.

- Nie chciałem.

- I założę się, że stałeś i przyglądałeś się, jak wił się i kopał. Zdumiewające, jak szybko to się odbywa, nie?

- Powiedziałem mu, że go przepraszam - powiedział Gaines. - Naprawdę było mi przykro. Ale on by wszystko zmarnował. Zrujnowałby kapitana Wyatta. Zbyt wiele w to włożyłem, żebym mógł pozwolić na zaprzepaszczenie tej szansy. Wszystko przede mną, w zasięgu ręki. Sprawy idą w dobrym kierunku: program, antena ogólnokrajowa. On chciał mi to zabrać. I dlaczego? Przez bzdury sprzed ponad dwudziestu lat. Przez coś, co się stało i już się nie odstanie. Nie mogłem do tego dopuścić.

- Wiesz, co się zdarzyło tamtej nocy?

- Wiem, że Mike Fallon wiedział. Trzymał głowę na kłódkę tyle lat, bo Wyatt go opłacał. Andy się tego domyślił. Gdyby wyciągnął ze starego to, co on wiedział... Nie mogłem do tego dopuścić.

- Wyatt musiał podejrzewać, Gavin. Myślisz, że będzie cię trzymał, wiedząc, że jesteś mordercą? Przecież jest policjantem, na miłosierdzie boskie! Ten program to program o sprawiedliwości, o ściganiu zbrodni! Jeśli jest cwany, wrobi ciebie i w ten sposób uratuje własny tyłek. Zrobiłoby się z tego program specjalny.

- Rzuć ten pieprzony plecak!

- Jesteś mordercą - powtórzył Kovac. - On się zorientuje...

- On też jest! - wrzasnął Gaines. - Rzuć to!

Kovac nie miał czasu na przetrwanie ostatniej rewelacji. Kątem oka dostrzegł ruch ręki Gainesa i rzucił się naprzód. Młotek ciesielski musnął tylko potylicę, a cały impet uderzenia poszedł w bark. Nawet przez grube palto zabolalo tak, jakby w mięśniu eksplodowała gorąca, twarda kula.



Kovac przetoczył się na plecy, Gaines tymczasem zamachnął się szaleńczo jeszcze raz, mierząc znów w głowę. Tym razem obuch młotka ugrzął w klepisku.

- Rzuć to, Gaines! - zawołała Liska. - Jesteś aresztowany.

- Uwaga, broń! - krzyknął Kovac, widząc, jak Gaines sięga za pazuchę.

Kovac przeturlał się w bok, pod kadłub łodzi. Gaines jednak już myślał tylko o ocaleniu skóry. Rzucił się do ucieczki, z plecakiem w lewej ręce, z pistoletem w prawej. Odchylił rękę do tyłu i strzelił. Liska odpowiedziała ogniem. Gaines biegł w stronę wychodzących na jezioro wrót hangaru.

Liska ruszyła za nim, Kovac wstał i wyciągnął swój rewolwer. Gaines schował się za ostatnią łodzią i wypalił dwa razy. Liska uskoczyła w prawo, drugi strzał oderwał szczapy laminatu z kadłuba, który ją osłaniał; rykoszet przeleciał parę centymetrów od jej głowy. Gaines wyskoczył na zewnątrz.

Kovac wybiegł bocznymi drzwiami i przyklęknął za stertą metalowych beczek po oleju, starając się usłyszeć, zorientować, dokąd pobiegł Gaines. Nie słyszał nic prócz wycia wiatru.

- Elwood ma jego wóz - powiedziała Liska, kucając obok Kovaca, oddychając ciężko. - Radiowozy Tippena już w drodze.

Zasadzkę przygotowywali w biegu. Nie mieli czasu na wtajemniczenie Leonarda; ani ochoty. Kovac musiał przyznać, że mają niewiele na przynętę, usłyszał jednak i poukładał sobie w głowie dość, aby spróbować. Gdyby akcja się nie udała, nic by nie stracili. Jeśli poszliby z tym do Leonarda, a Leonard nie wyraził zgody - nic by nie zyskali.

Kovac zdjął rękawiczkę, dotknął tyłu głowy, obejrzał zakrwawione palce. Zaklął pod nosem.

- W którą stronę pobiegł? Jeśli stąd zwieje, będziemy mieli drugiego Rubela na koncie. Karierę zawodową zakończymy jako strażnicy na rejonowym wysypisku śmieci.

- Sami znajdziemy się na wysypisku. Leonard nas pozabija.

Kovac wyrzwał zza beczki i przecesał wzrokiem podwórze. Gainesa ani śladu, co znaczyło, że mógł się schować w każdym z budynków posesji. Sytuacja wyglądała na pat. Nagle powietrze rozciął gniewny warkot małego silnika i nie było już czasu na myślenie.

Z tylnej bramy wiaty garażowej wypadł skuter śnieżny i z rykiem ruszył na Kovaca. Kovac stanął pewnie obunóż i strzelił, celując w nos maszyny, potem uskoczył z drogi, przeturlał się, zerwał do biegu.

Gaines na pełnym gazie gnał na jezioro, w stronę odkrytej przestrzeni na lewo od budek wędkarskich do łowienia spod lodu. Maszyna podskakiwała na usypanych przez wiatr zaspach. Kovac biegł za uciekającym, nie chcąc stracić go z oczu. Wystrzelił dwukrotnie, właściwie bez nadziei, że w coś trafił.

Skuter uderzył w skarpe i wyskoczył w powietrze, Gaines spadł z siedzenia, pojazd wywinął koziołka z Gainesem wciąż uczeponym rękoma do kierownicy.

Kovac przyspieszył kroku. Widział nadbiegającą z lewej strony Liskę.

Skuter uderzył w lód, przebijając go. Rozległ się dźwięk pękającej pokrywy lodowej, niczym trzask bliskiego grzmotu. Gaines wylądował koło maszyny i chwilę leżał bez ruchu.

- Uwaga na lód! Uwaga na lód! - krzyczała Liska do Kovaca, który biegł po pomocy starej przystani.

Gaines otrząsnął się, zaczął wstawać, plecak na ramionach przeważał go. Skuter tonął, lód wokół kruszył się i pękał. Kolejny trzask i maszyna poszła pod wodę.

- Daj za wygraną, Gaines! - krzyknął Kovac. - Nie masz dokąd uciekać!

Gaines podniósł broń i znów wystrzelił. Kovac padł na ziemię. Podniósł głowę, usłyszawszy wrzask Gainesa.

- Jest w wodzie! - krzyknęła Liska.

Gaines wydał zdławiony odgłos, wymachując rękami nad wodą. Kovac zszedł z pomostu, macając lód nogą.

- Nie ruszaj się, Gaines! Nie ruszaj!

Gaines wpadł jednak w panikę, głowa zanurzyła mu się raz i drugi; wywijał rękami, próbował wydostać się z wody, łamiąc tylko lód coraz bardziej i pogarszając sytuację.

Kovac opadł na czworakach, starając się rozłożyć swój ciężar na jak największą powierzchnię, i pełznął powoli w kierunku łamiącej się krawędzi.

- Gaines, nie miotaj się! - krzyknął.

Słyszał sapanie i rżenie Gainesa. Przy takiej temperaturze wody wychłodzenie organizmu jest błyskawiczne, zamarznięcie na śmierć to kwestia minut. Nasiąknięta odzież ciągnęła na dno, niczym żelazna zbroja. Plecak, przytroczony do ramion, działał niczym kamień u szyi. Lada moment mięśnie odmówią posłuszeństwa.

- Daj mi rękę! - krzyknął Kovac, wyciągając do niego swoją. Czuł trzeszczenie lodu.

Zamiast podać rękę Gaines zamachnął się szaleńczo, krusząc następnych paręnaście centymetrów lodu. Wyrwał mu się zwierzęcy krzyk strachu.

- Nie ruszaj się! Do jasnej cholery! Nie ruszaj! - krzyczał Kovac.

Skupił się na ręce Gainesa, rzucił do przodu, chwycił ją. Lód pod jego klatką piersiową załamał się, Kovac wpadł twarzą do wody.

Wrażenie zimna było równie brutalne jak uderzenie głową w mur na pełnym biegu. Zaczął instynktownie odpychać wodę rękami, jakby była czymś stałym i można się było od niej odepchnąć. Czuł, jak Gaines usiłuje go chwycić, pociągnąć za sobą. Poczul też drugie szarpnięcie, z tyłu, za nogi.

Poderwał głowę, wynurzył ją, krztusząc się. Próbował cofać się, wrócić na bezpieczniejszy lód.

- Sam! - krzyknęła Liska.

Była tuż za nim, rozplaszczona na lodzie, trzymała go za nogę. Kovac zastygł w bezruchu. Palce już mu zdrętwiały z zimna. Kaszłac i dławiąc się lodowatą wodą, której się opił, patrzył na dziurę w lodzie.

Gainesa nie było. Woda była nieruchoma i czarna w świetle księżyca.

Przez moment Kovac zastanawiał się, jak to jest, gdy się człowiek topi: ostatni moment pod wodą, ciemność, chce zaczerpnąć powietrza, nad głową tylko lód.

Zamknął furtkę do tych myśli i odpełznął powoli w stronę pomostu.

- A ty twierdzisz, że to ja jestem nadmiernie ambitna - mówiła Liska. - Tymczasem ja nikogo nie zabiłam dla awansu.

Siedzieli w samochodzie Kovaca. Przybyły ekipy od szeryfa. Tippen prowadził ich na miejsce. Jeden z funkcjonariuszy pożyczył Kovacowi suchy sweter. Kovac narzucił na to brudny płaszcz myśliwski, pożyczony z warsztatu Neila Fallona. Jego rękawy sięgały Kovacowi do połowy przedramion, a cuchnął jak mokry pies.

- Ale groziłaś, że to zrobisz - odparł Kovac. Ktoś przyniósł mu kawy. Wypił ją, nie czując ani smaku kawy, ani smaku whisky, którą skądś zdobył Tippen.

- To się nie liczy.

Chwilę milczeli.

- Ile z tego wie Wyatt, jak myślisz? - zapytała Liska.

Kovac pokręcił głową.

- Nie wiem. Chyba musiał nabrać podejrzeń!. Cała rzecz bierze się od Thorne'a. O tamtej nocy musi wiedzieć, do cholery, wszystko.

- I przez te wszystkie lata nikt nie odkrył tajemnicy.

- Póki Andy Fallon nie zaczął w tym grzebać. To właśnie musiał mieć na myśli Mike, kiedy mówił, że nie może wybaczyć Andy'emu tego, co zrobił, i że Andy wszystko zrujnował, i że mówił mu, żeby dał z tym spokój. A ja myślałem, że chodzi mu o ujawnienie przez Andy'ego homoseksualizmu... Jezu, tyle lat!

- Myślisz, że to Wyatt zabił Thorne'a?

- Do tego doszedłem. Miał romans z Evelyn Thorne.

- Skąd się o tym dowiedział Gaines?

- Nie wiem. Może Andy doszedł do takiego samego wniosku i coś Gainesowi wychlapał. Może Gaines znalazł notatki Andy'ego. Nie wiem.

- A co z tym włóczęgą, który miał być wszystkiemu winien?

- Nie wiem.

To, co się wydarzyło owej nocy, to musiała być nie lada historia - pomyślał Kovac. Prócz Wyatta była jeszcze tylko jedna osoba, która mogła mu ją opowiedzieć. Amanda.

- Chcesz porozmawiać z Wyattem w cztery oczy? Bo mogę pojechać z tobą, jeśli chcesz...

- Nie - mruknął. - Muszę to zrobić sam. Dla Mike'a. Niezależnie od tego, jaki był później, kiedyś znaczył dla mnie bardzo wiele.

Liska skinęła głową.

- W takim razie pojedę do biura i zajmę się trochę papierkową robotą. Trzeba napisać sprawozdanie z tej całej przygody.

- Jedź do domu, Dzwonek. Jest późno.

- Chłopców odesłałam do mojej matki. Z powodu Rubela. W domu pusto, jeśli nie liczyć radiowozu z paroma palantami, który stoi na moim podjeździe.

- O Rubelu nic nie słyhać?

- Mnóstwo doniesień, mnóstwo fałszywych alarmów. W końcu kiedyś wypłynie, chyba że już się zadołował gdzieś na Florydzie.

- Boisz się? - Kovac przyjrzał się jej uważnie.

Popatrzyła mu prosto w oczy i kiwnęła głową.

- Tak. O siebie, o chłopców. Muszę po prostu mieć nadzieję, że dopadniemy go pierwsi.

Znów zamilkli.

- Czuję się starcem, Dzwonek. Jestem zmęczony.

- Nie myśl o tym, Sam - doradziła. - Jeśli zaczniesz o tym rozmyślać, to się już nie podźwigniesz.

- Ty to umiesz pocieszyć!

- Słuchaj, straciłam szansę na karierę w Hollywood - powiedziała z udawaną złością. - Czego chcesz? Mam cię dopieszczać?

Znalazł dość sił, żeby zachichotać. Potem rozkaszał się. Płuca wciąż go bolały od lodowatej wody.

- Hej! - Liska poklepała go po policzku. - Naprawdę się cieszę, że cię Gaines nie zabił, partnerze.

- Dzięki. I dzięki za uratowanie życia, partnerko. Omal nie skończyłem pod lodem jak on.

- Po to się ma przyjaciół - powiedziała zwyczajnie i wysiadła z samochodu.

Nie wiadomo dlaczego, w środku nocy wszystkie miejsca na ulicy wokół ratusza, gdzie parkowanie jest dozwolone, były zajęte. Liska podjechała więc na miejsce zarezerwowane dla służb ratunkowych i tam zostawiła samochód. Na parking wielopoziomowy dziś na pewno nie pojedzie.

W skrytości cieszyła się, że może wrócić do biura. Zawsze lubiła pracować tu w nocy, kiedy miasto śpi. Dziś wolała to niż siedzenie w domu. W domu miałyby czas myśleć o żalonym stanie swojego życia osobistego, miałyby czas tęsknić za chłopcami.

Korytarze były ciche. Sztab poszukiwań Rubela FBI umieściło w swoim własnym budynku przy alei Waszyngtona. Tam dziś w nocy będzie ruch.

Zatrzymała się przed wejściem do biur Służby Wewnętrznej, pomyślała, że los płała figle. Tydzień temu pluła na samą wzmiankę o SW. A przez ostatnie kilka dni widziała wystarczająco wielu złych gliniarzy, by mieć dość na całe życie.

Niezauważona, weszła do pomieszczeń departamentu dochodzeń kryminalnych. Może by tu zostać przez całą noc - myślała, odkładając torebkę do szuflady - przespać się pod biurkiem, jak ci bezdomni, którzy kryją się w korytarzach metra, kiedy już wszystko jest pozamykane.

Pstryknęła włącznikiem komputera, odwróciła się, chcąc zdjąć płaszcz... i zobaczyła Dereka Rubela z wymierzonym w nią pistoletem.

- Opowiedz wszystko. Od początku.

W pokoju panowała cisza, Amanda Savard czuła jej ciśnienie na bębenkach w uszach.

Wyatt siedział za swoim biurkiem, patrzył na jej rewolwer. Postawiła przed nim na blacie mały dyktafon. Znajdowali się u niego w domu. Nikogo innego nie było. Wyatt

ożenił się dawno temu, kilka lat po zabójstwie Billa Thorne'a, ale małżeństwo nie trwało długo.

- Opowiedz wszystko - powtórzyła. - Nie marnuj mi taśmy.

Zrobił urażoną minę.

- Amando, dlaczego to robisz?

- Andy Fallon nie żyje. Mike Fallon nie żyje.

- Nie zabiłem ich.

- Przez te wszystkie lata - wyszeptwała. - Przez te wszystkie lata nie mogłam powiedzieć... z powodu matki. Z powodu tego, co zrobiła tamtej nocy. Tamten człowiek już nie żył. Nie mogłam go uratować. Myślałam, że mogę jakoś zadośćuczynić, naprawić jakimś innym sposobem...

Długo myślała, że to wystarczająca pokuta: ściganie złych policjantów, policjantów, którzy krzywdzą ludzi. I jednocześnie pilnowanie mrocznej tajemnicy rodzinnej, mrocznej tajemnicy rodziny policyjnej, do której należał jej ojciec. Poświęciła życie odkrywaniu tajemnic ludzi służących w policji Minneapolis; dokładała wysiłków, by policjantom nie uchodziły na sucho takie rzeczy, jakie uszły Billovi Thorne'owi i Ace'owi Wyattowi.

Wyatt swoje też odpokutował. Ale to nie miało znaczenia. Jej ojciec nie żył... ożywał tylko w jej koszmarach. Weagle nie żył... żył tylko w jej koszmarach. Teraz Andy... i Mike Fallon...

- Nie potrafię żyć z tymi wszystkimi trupami w głowie - powiedziała. Głos jej drżał. Zrobiła gest bronią. - Więc mów. Już!

- Amando...

Jego ton ciął jej nerwy niczym brzytwa: pełen wyższości, protekcyjny. Przesunęła lufę pięć centymetrów w prawo i wpakowała pocisk w ścianę, niedaleko jego głowy.

- Powiedziałam, opowiedz wszystko! - krzyknęła.

Wyatt zbieleł na twarzy, potem poczerwieniał. Spocił się. Ostry zapach ciepłego moczu buchnął w powietrze.

- Nie... zniosę... tego... ani... chwili... dłużej - wycodziła przez zęby. Jakiś fragment jej mózgu oceniał jej własne zachowanie jako irracjonalne. Ale to właśnie był jej problem, nieprawdaż? Była zbyt racjonalna, zbyt praktyczna przez zbyt długi czas, tłumiała te horrory, własny strach, odpychała od siebie świadomość, że to, co się stało, było złe i że mogła położyć kres temu wszystkiemu.

- Zacznę za ciebie - zaproponowała. Przedstawiła się do magnetofonu, podała datę i miejsce, jak przy każdym policyjnym przesłuchaniu. Wprowadziła temat, określiła datę zdarzenia. Wyatt wpatrywał się w nią bez ruchu.

- Kochałem twoją matkę - powiedział. - Zrobiłem to dla niej, chciałem ją chronić. Wiesz o tym, Amando.

Łzy wypełniły jej oczy.

- Teraz sama się chroni. Nikt jej nie może skrzywdzić. Nie mogę dopuścić, żeby dalej ginęli ludzie. Tak nie wolno. Zostałam policjantką, żeby właśnie temu zapobiegać. Czy ty to rozumiesz? Właśnie z powodu tamtej nocy jestem tym, kim jestem. Stałam się policjantem policjantów, żeby coś takiego, jak to, co się stało tamtej nocy, nie mogło się przydarzyć nikomu innemu. A stało się.

- Nie zabiłem ich, Amando. Ani Andy'ego, ani Mike'a. Nie...

- Zabiłeś. Nie rozumiesz? Opowiadaj!

- Sami się zabili - powiedział, ale bez przekonania. Nie potrafił się okłamywać.

Po twarzy Wyatta ciekły łzy. Dygotał. Patrzył na dyktafon, pewnie zastanawiając się, czy zginie, kiedy skończy opowieść.

- Bill Thorne był najokrutniejszym człowiekiem, jakiego znałem - zaczął drżącym głosem. - Znęcał się nad twoją matką, Amando. Wiedziałaś o tym. Zawsze mu coś nie odpowiadało. Wyładowywał na niej swoją złość. Bił ją. Ciebie chyba nie ruszał, prawda, Amando?

- Nie - wyszeptała, też drżąc. - Nigdy mnie nie uderzył. Ale wiedziałam. Widziałam. Nienawidziłam go za to. Chciałam, by go ktoś powstrzymał, ale nikt nigdy tego nie zrobił... bo był policjantem. Wiedziałaś, co z nią potrafił zrobić: podbite oczy, siniaki. Widziałaś. Inni policjanci też widzieli. I wszyscy udawali, że nie widzą. Nie



mogłam tego zrozumieć. Dlaczego ty nic nie zrobiłeś? Kochała cię. Jak mogłeś to tolerować?

- Twoja matka nie chciała...

- Przestań. Nie próbuj nawet tak mówić. Że nie chciała wstydu, że nie chciała kłopotów... Była kobietą stłamszoną.

Odwrócił wzrok, zawstydzony.

- Był policjantem! Dlatego wszyscy to tolerowali. Dopuściłeś do tego, co się tamtej nocy stało, bo nie miałeś odwagi zdemaskować takiego łajdackiego sukinsyna jak Bill Thorne.

Wyatt nie odpowiadał. Odpowiedzi nie było.

- Tej nocy, o której mowa... - zaczęła.

- Twoja matka zadzwoniła do mnie, że dzieje się coś złego. Była w hysterii. Bill wrócił do domu niespodziewanie. Był podпиты. Bill popijał w pracy. Lekcewał wszystkie reguły z wyjątkiem tych, które sam ustalił. Wtedy... - głos mu się załamał. Znow zaczął: - Wtedy ją zgwałcił. I pobił. Evelyn miała dość. - Spuścił głowę. Łzy kapały na blat biurka coraz gęściej. - Chwyła pistolet i postrzeliła Billa dwukrotnie w pierś. Potem zadzwoniła do mnie.

Nie mogłem dopuścić, żeby poszła do więzienia. Nie ufałem sądom, wątpilem, czy staną po jej stronie. Gdyby wyszło na jaw, że spotykaliśmy się, prokurator uznałby to za motyw.

- Więc znalazłeś Weagle'a...

- Był pod ręką. Kręcił się po okolicy. Widziałem go na ulicy, kiedy szedłem do twojego domu. Nie wiedziałem, co słyszał czy widział.

Wyatt chwycił się rękami za głowę i zaczął lkać.

- Zwabiłem go więc do domu... I zastrzeliłem go... z trzy- dziesiątkósemki Billa. Jezu... Wtedy przyszedł Mike... a ja stałem nad zwłokami. Wpadłem w panikę...

- Rany boskie! - powiedział Kovac, otwierając drzwi. Wzrok wbił w Wyatta, który płakał, krztusił się i patrzył w ziemię. - Postrzeliłeś Mike'a Fallona.

Liska znieruchomiła. Tysiące rzeczy przemykało jej błyskawicznie przez głowę. Rzucić się na niego, krzyczeć, uderzyć czymkolwiek, schować się. Dzięki Bogu, zadzwoniła już przedtem do chłopców i powiedziała im, że ich kocha.

- Odłóż broń, Rubel - rzekła tonem towarzyskiej rozmowy, co zabrzmiało dziwnie.

- Ty suko!

Był w przeciwsłonecznych okularach z lustrzanymi szklami, nie widziała jego oczu. Niedobrze.

- Jesteś na tyle mądry, że teraz dasz za wygraną - mówiła dalej. - Nikt ci nie zrobi krzywdy. Jesteś wśród swoich.

- To nie twój zasrany interes.

- Zabiłeś człowieka. To absolutnie mój interes.

Z tyłu, za nim, Liska widziała skradającego się Barry'ego Castletona z pistoletem w ręku, z oczami ogromnymi z podniecenia.

- Odłóż broń - powtórzyła. - Przecież nie uda ci się stąd uciec, Derek.

- A co mi zależy? - odparł. - Przecież wiedziałem, wchodząc tu. Ja już nie żyję od dawna. Nie mam nic do stracenia. Lepiej umrzeć teraz, szybko. I co za premia - zabiorę cię, dziwko, ze sobą.

- Zrobiłeś z Mike'a Fallona kalekę - rzekł Kovac, wchodząc do pomieszczenia. - I przez te wszystkie lata wszyscy brali cię za bohatera. A ty zrobiłeś z niego kalekę, do cholery!

Wyatt płakał i bełkotał przez złożone dłonie:

- Nie chciałem! Oszalałem ze strachu! Kiedy zdałem sobie sprawę... zrobiłem, co tylko było możliwe, żeby go uratować. Cały czas myślałem, że już po mnie, po mojej karierze zawodowej, że Mike wszystko powie. Ale ratowałem go...

- I zostałeś okrzyknięty bohaterem.

- A co miałem zrobić? Próbowałem mu zadośćuczynić.

- Jasne. Wielkoekranowy telewizor wszystko mu wynagrodził. Czy wiedział, że to ty go postrzeliłeś?

- Twierdził, że niczego nie pamięta. Ale... czasami... słysząc te jego uwagi... myślałem, że może...

- I nie zrobiono ekspertyzy balistycznej? Ograniczono się do stwierdzenia, że wszystkie pociski pochodziły z trzydziestkiósemki. No bo wszyscy zamieszani byli policjantami, jeśli nie liczyć zabitego menela z wyrokiem w życiorysie. No i mieliście świadka, Evelyn. A może dwoje świadków? - spojrzał na Savard.

Porucznik Savard nie odrywała wzroku od Wyatta.

- Mnie kazano zostać w pokoju i mówić, że nic nie widziałam. Zrobiłam to ze względu na matkę, bo to ona wzięła na siebie winę.

- Rany! - Kovac zaczerpnął powietrza, czując, że robi mu się słabo.

- Mike był bohaterem - powtarzał Wyatt. - Mike był bohaterem.

- Mike nie żyje. Gaines zabił go z twojego powodu. Przez ciebie. I zabił też Andy'ego - powiedział Kovac. - Wiedziałaś, że Andy wypytuje o wypadki tamtej nocy. Przyszedł do ciebie. Potem nagle okazało się, że nie żyje. Musiałaś się domyślać...

- Nie! Myślałem, że odebrał sobie życie! - przekonywał Wyatt. - Naprawdę...

- Mogłeś to zatrzymać - powiedziała Savard, a łzy płynęły jej po policzkach. - Ja mogłam to zatrzymać. Andy przyszedł i do mnie. Jak odszukał matkę. Powinam była powstrzymać to wszystko. Jestem policjantem. Mogłam to powstrzymać - mówiła, zapatrzona w głąb siebie. W dłoni trzymała pistolet, ręka trzęsła się jej niemiłosiernie. - Przepraszam, przepraszam cię, Andy...

- Nie ty go zabiłaś, Amando - przemówił łagodnie Kovac, jego gniew zamienił się w strach, gdy zobaczył w jej ręku broń. - Oddaj mi pistolet. Powstrzymamy to wszystko teraz, dzisiaj. Pomogę ci.

- Za późno - wymamrotała, wciąż zapatrzona gdzieś w głąb. - Przykro mi. Tak mi przykro.

- Daj mi broń, Amando.

Popatrzyła na trzymany w ręku pistolet i skierowała lufę na siebie.

- Rzuć broń, Rubel! - zawołał Castleton. - Mamy cię!

Rubel skierował lufę dziewięciomilimetrowego kalibru w pierś Liski i wrzasnął - był to zwierzęcy ryk, twarz mu poczerwieniała, a żyły na potężnej szyi uwydatniły się pod napiętą skórą.

- Oddaj mi pistolet, Amando - rzekł Kovac, robiąc krok w jej stronę. Wszystko się w nim trzęsło. - Już po wszystkim, kochanie.

- Mogłam to powstrzymać - powiedziała. Kovac zrobił następny krok.

- Amando, proszę... Popatrzyła mu w oczy.

- Nie rozumiesz.

- Amando!

- To wszystko moja wina.

- Nie - zaprzeczył szeptem Kovac i powoli wyciągnął rękę. Ręka mu się trzęsła jak u alkoholika.

- Nie - rzekła cicho, kiwając głową. Palcem pogładziła spust. - Oni wszyscy nie żyją przeze mnie.

Castleton odpowiedział rykiem i ruszył na Rubela.

Liska wepchnęła rękę do kieszeni płaszcza.

Rubel odwrócił głowę, na sekundę. Tylko tyle jej trzeba było.

Pałka taktyczna ze szczękiem rozsunęła się na pełną długość, Liska machnęła nią od siebie i w bok, z całej siły. Kości przedramienia Rubela trzasnęły, pistolet wypalił, strzał poszedł w ścianę. Potem Rubel osunął się na podłogę, krzycząc i wijąc się.

Liska rzuciła pałkę i wyszła z boksu.

- Amando... - powiedział szeptem Kovac. Później wspominał tę właśnie chwilę i za każdym razem uświadamiał sobie, że to, co zobaczył wtedy w jej oczach, to było odbicie jego własnych gasnących nadziei.

- Amando, daj mi pistolet.

- Nie. Nie, Sam. Nie rozumiesz? Mogłam to powstrzymać dwadzieścia lat temu. To nie moja matka zastrzeliła Billa Thorne'a. Ja to zrobiłam.

Kovac nie zapamiętał huku strzału. Nie zapamiętał krzyków: Ace'a Wyatta i swojego. W pamięci zostały tylko obrazy:

Bryzgająca krew, mózg i odłamki kości.

Ułamek sekundy zdziwienia w oczach Amandy, a potem pustka.

Obraz siebie, jak siedzi na podłodze i obejmuje jej zwłoki; tak jakby jego świadomość oddzieliła się od ciała i odsunęła, chcąc się oddalić od potworności.

Nie było jednak ucieczki. I nigdy nie będzie.

- Dzwonił Tippen - powiedziała Liska.

Wyglądała okropnie. Dzwoneczek na heroinie. Biała, fioletowe podkowy pod oczyma, włosy sterczące na wszystkie strony. Nie spała od nie wiadomo kiedy. Kovac nie pamiętał, kiedy sam spał. Ale, chociaż wyczerpany, wcale nie marzył o powrocie do domu. Dla niego praca była schronieniem. Dla Liski także.

Więc pracowali dalej, nie zamierzając wracać do domu. Wstawał nowy dzień, pogodny i mroźny. Stali na stopniach domu Gavina Gainesa, w którym odbywała się rewizja w poszukiwaniu dowodów, wskazujących niezbicie na jego udział w zabójstwach Andy'ego i Mike'a Fallonów. W poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby sugerować, że Wyatt o tym jego udziale wiedział.

Kovac popatrzył na słońce, bladą, pomarańczową kulę na błękitnym niebie, otoczoną kolistą poświatą. Będzie mróz.

Jak cholera.

- Znalaziono dokumentację Andy'ego - powiedziała Liska. - W jego łódce. Miałeś dobre przeczucie.

- Neil powiedział mi, że Andy był u niego w niedzielę po południu - powiedział Kovac. - Dokumentacji nigdzie nie było. Nie miał jej Gaines, bo gdyby miał, nie pojechałby za mną wczorajszej nocy. Chociaż laptopa na pewno zabrał zaraz po morderstwie i gdzieś się go pozbył.

- Dlaczego Andy, który coś podejrzewał, skoro schował dokumenty, wpuścił Gainesa do domu?

- Nie wiem. Może nie chciał po prostu ich Gainesowi pokazywać. Na pewno nie sądził, że Gaines jest zdolny zabić za nie.

- Co będzie z Wyattem?

Kovac wzruszył ramionami.

- Morderstwo nie ulega przedawnieniu. Mamy nagranie z jego przyznaniem się do zabicia Weagle'a i postrzelenia Mike'a.

- A jego adwokat powie, że było złożone pod naciskiem, że nie poinformowano go o przysługujących mu prawach i tak dalej, i tak dalej.

- Tak. Mógłbym powiedzieć, że nie ma sprawiedliwości. Ale to nieprawda. Sprawiedliwość istnieje. Czasem tylko trzeba na nią długo czekać. I kiedy już przyjdzie, nie zawsze jest taka, jak sobie wyobrażaliśmy.

Przez chwilę nic nie mówili, stali i patrzyli na ulicę.

- Szkoda porucznik Savard - rzekła Liska.

Kovac nie powiedział jej o tym, co czuł do Amandy. Po co ma ktokolwiek wiedzieć? Wystarczy, że sam musi się z tym uporać. Współczucie by tylko pogorszyło sprawę. A litość jeszcze bardziej. Opowiedział jej jednak o tym, co wydarzyło się w domu Wyatta. Opowiedział, jak domyślił się prawdy, jak mozolnie dopasowywał fragmenty układanki.

Wyobrażał sobie siedemnastoletnią bezradną i przestraszoną Amandę, pokrzywdzoną, niemogącą się doczekać sprawiedliwości od ludzi, od których ma prawo jej oczekiwać. Amandę, która ratuje matkę w jedyny sposób, jaki przychodzi jej do głowy: zabija strzałem ojca. A potem Evelyn Thorne robi jedyną rzecz, jaka jej przychodzi do głowy, żeby ratować córkę: bierze winę na siebie. Wtedy pojawia się Wyatt i tragedia nabiera nowego wymiaru.

Przypomniał sobie, co Amanda mu powiedziała wtedy u siebie w kuchni: „Próbowałam podejmować decyzje, kierując się zasadą najmniejszego zła. Czasami ktoś musi ucierpieć po drodze, ale moja decyzja była oparta na słusznych przesłankach. To się powinno liczyć, prawda?”

- Tak, szkoda - mruknął w końcu, zadowolony, że przeciwsłoneczne okulary zakrywają mu oczy i to, co można by w nich zobaczyć. - Wyatt jest załatwiony na amen - dodał, wyciągając z kieszeni papierosa i wtykając go do ust. - Skończony. Nic mu nie zostało...

Ani mnie - pomyślał, ale nie powiedział tego. Miał przecież pracę, jedyną rzecz w życiu, w której był dobry.

Chociaż dziś miał wrażenie, że praca mu nie wystarcza. Dziś nie mogła wypełnić tej pustki w jego wnętrzu. Może tak już zostanie.

- A jak ty sobie radzisz? - zapytał.

Liska wzruszyła ramionami. Włożyła ciemne okulary.

- Nieźle jak na to, że musiałam spojrzeć śmierci w oczy. Wolalabym nie robić tego codziennie. - Dała mu kuksańca w bok i uśmiechnęła się drwiąco. - Widzisz? Ta robota w Hollywood to byłoby coś. Forsa za nic.

Milczeli jakiś czas, po czym odezwała się:

- Bałam się. Wciąż się boję. Wolę nie myśleć, że chłopcy mogliby dorastać bez matki. Ktoś mi podtyka lufę pod nos, a ja z tego żartuję. A to wcale nie jest zabawne.

- Chyba mnie nie rzucisz, Dzwonek?

Nie zareagowała od razu, a i tego, co powiedziała potem, nie można uznać za odpowiedź.

- Biorę urlop. Zabieram gdzieś chłopaków. Zabawimy się, opalimy.

Elwood wytknął głowę przez drzwi.

- Chodźcie coś zobaczyć, nie uwierzycie.

Gaines lubił ciuchy. W szafie wisiały dziesiątki garniturów i koszul. Półki uginały się od swetrów i butów. Ktoś odsunął wieszaki na bok i ukazało się dno szafy z ukrytymi tam dziełami sztuki.

- Rany! - tylko tyle zdołał Kovac wykrztusić.

Cała ściana była zawieszona zdjęciami Wyatta i wycinkami z czasopism na jego temat. Artykuły o nim, o programie, o umowie z Warner Brothers i siecią telewizyjną. Fotki Wyatta w dziesiątkach miejsc: uściski rąk, portrety z notablami, z wielbicielami. Zdjęcia ich obu. W środku Wyatt, osiemnaście na dwadzieścia cztery, na błyszczącym papierze. Ołtarz!

- Fu! - prychnęła Liska, marszcząc nos. - Czy jeszcze ktoś oprócz mnie ma ochotę wziąć prysznic?

- A to znalazłem w kopercie na półce - powiedział Elwood, wręczając Kovacowi plik odbitek z polaroida.



Andy Fallon powieszony na belce w swojej sypialni. Pełna sylwetka. Nagi. Zaraz po śmierci. Zbliżenie twarzy. Mike Fallon martwy w wózku inwalidzkim.

- Do książki pamiątkowej - Kovac powtórzył słowa Gainesa z pożegnalnego przyjęcia Wyatta i z lodowiska.

- Myślisz, że robił je po to, by potem szantażować Wyatta? - zastanawiał się Elwood. Kovac popatrzył na zdjęcia w ręku, potem na ścianę.

- Nie - zaprzeczył, oddając plik. - Nie sędzę.

## Epilog

Pogrzeb Amandy Savard odbył się we czwartek. Osiem dni po pogrzebie Fallona. Kovac poszedł sam. Siedział wśród dwudziestu paru osób w niewielkiej kaplicy domu pogrzebowego. Prowadziła skromne życie, opanowane, chroniona murem mechanizmów obronnych. Kovac podejrzewał, że był jednym z niewielu, którym udało się zajrzeć za ten mur.

Evelyn Thorne była pod opieką lekarki. Czy wiedziała, co się dzieje, trudno odgadnąć. Siedziała cicho przez całe nabożeństwo, wpatrując się w zdjęcie, które ścisnęła w rękę. Amanda w wieku pięciu lat. Bystrooka i bardzo poważna. Włosy w koński ogon, niebieska aksamitna opaska. Evelyn pokazywała Kovacowi zdjęcie trzy razy. Miał ochotę o nie poprosić, ale nie zrobił tego.

Nabożeństwo było skromne. Zwyczajne zamknięcie ziemskiej egzystencji. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. I niech ziemia lekką będzie. Do tego się wszystko sprowadza: rodzisz się, żyjesz, umierasz. Nie było przemówień. Nie miała zostać pochowana u boku ojca.

Szczegóły związane z udziałem Amandy w śmierci Billa Thorne'a zatajono przed prasą. Jej pogrzeb nie wzbudził zainteresowania. Pogrzeb Mike'a Fallona ściągnął tysiące przedstawicieli organów ścigania z całego środkowego Zachodu i znalazł się na pierwszej stronie „Star Tribune”. Kovac nie brał w nim udziału.

Wślizgnął się z powrotem do kaplicy po zakończeniu nabożeństwa, gdy reszta żałobników już wyszła. Siedział długo, wpatrując się w zamkniętą trumnę, ale nie pozwalał sobie na rozpamiętywanie. Podszedł do niego szef przedsiębiorstwa pogrzebowego i rzucił mu spojrzenie barmana wobec ociągającego się klienta, gdy przychodzi pora zamknięcia lokalu.

- Proszę się nie spieszyć - powiedział z uprzejmym uśmiechem, po czym wycofał się za doniczkę z palmą.

Kovac wstał i włożył rękę do kieszeni.

- Czy mógłbym coś jej zostawić? Może już na to za późno?

- Ależ skąd! - Wyszedł zza palmy. - Zajmę się tym.

Kovac wyciągnął policyjną odznakę, którą nosił jako początkujący policjant. Popatrzył na nią, przetarł kciukiem i wręczył przedsiębiorcy pogrzebowemu.

- Chciałbym jej to dać.

Mężczyzna wziął odznakę, skłonił głowę i uśmiechnął się uprzejmie.

- Zapewniam pana, że to dostanie.

- Dziękuję.

Na tylnym parkingu zostały tylko dwa samochody. Jego i Liski. Stała, oparta o drzwiczki swojego, ze skrzyżowanymi rękami.

- W porządku z tobą? - spytała, mrużąc oczy.

Kovac obejrzał się.

- Tak sobie... złamałem jedną ze swoich zasad. Spodziewałem się za wiele.

Liska pokiwała głową.

- Ja też to zrobiłam... No to teraz możemy oboje oddać się ponuractwu.

Wcisnął ręce do kieszeni i zgarbił się z zimna. Uniósł kącik ust.

- To nie ponuractwo, to rozgoryczenie.

Przez chwilę mu się przyglądała. Nie jak policjant, ale jak przyjaciel. Potem oderwała się od samochodu, objęła go ramionami i przytrzymała. Kovac też ją przytulił, zaciskając mocno powieki, żeby się nie rozplakać. Obejmowali się tak minutę, a może dwie.

Oderwała się w końcu od niego, dała kuksańca i słabo się uśmiechnęła.

- Mamy przecież siebie, co, partnerze? Chodź, postawię ci kawę.

Kovac uśmiechnął się lekko.

- No to chodźmy, przyjaciółko.